

Lisa Gardner ZŁAP MNIE

Z języka angielskiego przełożyła
Monika Wiśniewska



Tytuł oryginału:
CATCH ME

Copyright © 2012 by Lisa Gardner, Inc.
Copyright © 2014 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2014 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Kula
Zdjęcie autorki: © Philbrick Photography

Redakcja: Ewa Penksyk-Kluczkowska
Korekta: Iwona Wyrwisz, Magdalena Bargłowska

ISBN: 978-83-7999-073-3

Sprzedaż wysyłkowa:

www.merlin.pl
www.empik.com
www.soniadraga.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.
Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28
e-mail: info@soniadraga.pl
www.soniadraga.pl
www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

Skład i łamanie:
Wydawnictwo Sonia Draga

Katowice 2014. Wydanie I

Druk:
WZDZ-Lega, Opole

Prolog

Dziewczynka obudziła się tak, jak została wyszkolona: szybko i bezszmerowo. Ostrożnie, bezgłośnie zaczerpnęła powietrza, przerywając na chwilę nocną ciszę. Jej wzrok padł na zmizerniałą twarz matki.

- Cśś - wyszeptała matka, kładąc palec na ustach. - Zbliżają się. Już czas, dziecko. Wstawaj.

Dziewczynka odrzuciła koldrę i usiadła. Zimowa noc była chłodna i z każdym oddechem z ust dziewczynki wydobywały się widoczne w blasku księżyca obłoki pary. Dziewczynka była na to jednak przygotowana. Podobnie jak jej starsza siostra zawsze spała w ubraniu, wkładała kilka warstw koszulek, bluz i kurtek, bez względu na porę roku. Przecież w każdej chwili mogli pojawić się ONI i wypłoszyć swe ofiary z ciepłej kryjówki, zagnać na otwarte, zdradzieckie tereny. Nieprzygotowane dzieci szybko ponosiły porażkę: obnażone, podatne na odwodnienie i strach.

Ale nie dziewczynka i jej siostra. One wszystko sobie zaplanowały. Matka uczyła je sztuki przetrwania, od kiedy zaczęły chodzić.

Dziewczynka chwyciła leżący przy łóżku plecak. Zarzuciła go na plecy i wsunęła stopy w luźno zasznurowane tenisówki. Podążyła za matką w stronę pograżonej w ciemnościach klatki schodowej. Matka zatrzymała się przy najwyższych stopniach, położyła palec na ustach i wypatrywała czegoś w mroku.

Dziewczynka przystanęła tuż za nią. Poszukała wzrokiem miejsca w głębi korytarza, gdzie zazwyczaj spała jej siostra. Dom był zbyt mały, by siostra miała własny pokój albo chociaż łóżko. Spała więc na ziemi, na płaszczu zamiast materaca i z plecakiem pod głową zamiast poduszki. Jak na dobrego żołnierza przystało, mawiała ich matka.

Jednak miejsce przy najdalszej ścianie było puste - ani śladu siostry, płaszcza czy znoszonego plecaka. Teraz już całkiem obudzoną dziewczynkę zalala pierwsza fala strachu. Z trudem zwalczyła pragnienie zawołania siostry.

Matka była w tej kwestii stanowcza, a jej instrukcje jasne: miały się nie martwić jedna o drugą, miały nie czekać na siebie nawzajem, tylko biec do lasu. Co sił w nogach. Spotkają się potem w ustalonym miejscu. Teraz najważniejsze to wydostać się z domu i uciekać.

A gdyby miało im się nie udać...

Matka mówiła im to wiele razy, ściągając mięśnie chudej, starej jak na swój wiek twarzy: Trzeba być odważnym. Wszyscy kiedyś umrzemy.

Matka zeszła jeden stopień w dół. Trzymała się prawej strony, bo tam deski mniej skrzypiały. Za duży wełniany płaszcz płatał się wokół jej nóg, jak czarny kot ocierający się pieszczotliwie o kostki.

Dziewczynka podążała za matką, równie uważnie stawiając kolejne kroki, nasłuchując odgłosów z tonącego w ciemnościach parteru. Ich malutki, dwupiętrowy domek stanowił kiedyś część dużego gospodarstwa rolnego. Leżał na skraju lasu, z dala od miasta, z którym łączyła je długa, ciągnąca się przez brunatne połacie ziemi polna droga. Nie mieli korzeni wśród lokalnej społeczności, nie utrzymywali kontaktów z sąsiadami.

Dziewczynka cały swój dobytek miała na plecach. Ubranie, butelkę wody, suszone owoce i migdały, podniszczoną powieść Nancy Drew, którą kupiła kiedyś za dziesięć centów na jakiejś

garażowej wyprzedazy, kryształ kwarcu znaleziony dwa lata wcześniej przy innej drodze, w innym mieście, w którym matka też obudziła dziewczynkę i jej siostrę w środku nocy, w mieście, którego nigdy więcej nie zobaczyły.

Może inne dzieci miały zabawki. Zwierzątka. Telewizory. Komputery. Szkołę. Przyjaciół.

Dziewczynka miała swój plecak, starszą siostrę, matkę i to.

Matka zeszła na parter. Uniosła rękę i dziewczynka przystanęła bez słowa. Do uszu dziewczynki wciąż nie dochodziły żadne hałasy, wpatrywała się w srebrzyste tumany kurzu tańczące wokół odzianych w kozaki stóp matki.

Nagle dziewczynka usłyszała jakiś dźwięk. Stukot, a po nim dwa uderzenia. Jakby stary piec nagle odkrył chłód i zaczął budzić się do życia. Po chwili walenie ustało i znów zapanowała nocna cisza. Dziewczynka rozglądała się wokół. Nadstawiała uszu. Nie dostrzegając żadnego zagrożenia, spojrzała z powagą w bladą twarz matki.

Czasami dziewczynka wiedziała, że nie uciekają w środku nocy z powodu jakichś domniemanych złoczyńców czy bezmiennego zagrożenia czyhającego w cieniu.

Czasami opuszczały dom, bo ciągle ucieczki nie zostawiały wiele czasu na pracę, tym samym nie zapewniały pieniędzy, by zapłacić za czynsz, ogrzewanie czy jedzenie. „Oni” mieli swoje metody, a głód, zimno i zmęczenie, którymi nękali ich rodzinę, były najbardziej skuteczne.

Na tym etapie swojego życia dziewczynka potrafiła przemykać bezszelestnie po domu niczym cień, przebijać wzrokiem ciemności nie gorzej niż kot. Tyle że mogło jej przecież zaburzyć w brzuchu, mogła zacząć dygotać. Ostatecznie to głód, wyziębienie i zmęczenie mogły wydać jej rodzinę.

Matka jakby czytała w jej myślach. Odwróciła się i chwyciła dziewczynkę za rękę.

- Trzeba być odważnym... - wyszeptwała.

Głos matki załamał się. Tak rzadka, nieoczekiwana jawność emocji wystraszyła dziewczynkę stokroć bardziej aniżeli ciemność, chłód czy pograżony w ciszy dom. Ścisnęła dłoń matki równie mocno, jak matka ścisła jej, zdając sobie sprawę, że to nie ćwiczenia. Nie tym razem. Niczego nie zaplanowały.

Coś się wydarzyło.

Znaleźli je. To działa się naprawdę.

Matka się poruszyła. Pociągnęła dziewczynkę w stronę małej kuchni, której obrzeża skąpane były w wąskich promieniach księżyca wpadających do środka przez rząd dużych okien.

Dziewczynka nie chciała iść dalej. Chciała zaprotestować. Powstrzymać szaleństwo. Uciec na górę, wskoczyć na łóżko i zakopać się głęboko pod kołdrą.

Albo wybiec na zewnątrz. Uciec od tego domu, od napięcia, od poranej zmarszczkami twarzy matki. Mogłaby pobiec do tego białego domku po drugiej stronie lasu. Mieszkał tam mały chłopiec. Podglądała go czasem z górnej gałęzi rozłożystego dębu. Dwa razy przyłapała go na tym, że i on jej się przygląda zamyślony. Jednak nigdy nie odezwała się słowem. Grzeczne dziewczynki nie rozmawiały z chłopcami. Żołnierze nie bratali się z wrogami.

SisSis. Potrzebowała starszej siostry. Gdzie jest SisSis?

- Wszyscy kiedyś umrzemy - mamrotała pod nosem matka.

Doszła na środek kuchni i raptownie się zatrzymała. Przyglądała się najwyraźniej księżycowi, być może nasłuchiwała jakichś odgłosów świadczących o zbliżającym się niebezpieczeństwie.

Dziewczynka odezwała się po raz pierwszy:

- Mamusiu...
- Cśś, dziecko! Mogą być na zewnątrz. Nie pomyślałaś o tym? Tu. Zaraz za oknem. Przytuleni do ściany nasłuchują kroków. Wyglodniali i podnieceni tym, co za chwilę nam zrobią.
- Mamusiu...
- Powinniśmy puścić to z dymem. Podpalić ścianę. Słuchać, jak wyją z wściekłości, patrzeć, jak wiją się z bólu.

Matka odwróciła się gwałtownie w stronę okna. Na jej twarz padły promienie księżyca, oświetlając ciemną przepaść szeroko otwartych oczu. Wtedy się uśmiechnęła.

Dziewczynka cofnęła się, próbując uwolnić rękę z dłoni matki, ale było za późno. Matka zdążyła chwycić ją mocno za nadgarstek. I nie zamierzała puszczać. Szykowała się do czegoś strasznego. Czegoś makabrycznego. Czegoś, co miało być wymierzone w NICH, jednak ostatecznie zawsze dotykało dziewczynkę i jej starszą siostrę.

- Mamusiu - dziewczynka spróbowała raz jeszcze, wypatrując w czeluściach matczynych oczu jakichś śladów bliskości.

- Zapalki - krzyczała matka. Już nie ściszała głosu, grzmiała teraz na cały dom głosem niemal radosnym. Jakby były na przyjęciu urodzinowym, jakby zapalały właśnie świece na torcie. Cóż za udana impreza! Jakaż cudowna przygoda!

Dziewczynka znów zakwiliła. Z pomocą drugiej ręki gorączkowo próbowała wyrwać nadgarstek.

Nadaremnie. W chwilach takich jak ta palce matki wbijały się w skórę niczym szpony, napięte mięśnie trzymały, jakby były ze stali, a siła, którą emanowały, nie dawała szans.

Matka z impetem otworzyła pierwszą z szafek. Lewą ręką wciąż ściskając nadgarstek dziewczynki, prawą zaczęła przekopywać zawartość szafki. Na łuszczące się linoleum spadł deszcz błyszczących plastikowych sztućców. Na podłodze wylądowały też saszetki z keczupem, musztardą i dołączane do gotowych dań opakowania z grzankami, które dziewczynka wykradała nocą z kuchni, bo jej matka wierzyła, że głód hartuje, podczas gdy dziewczynkę przyprawiał jedynie o ból brzucha, i dlatego wcinała grzanki i wysysała keczup z saszetek, a potem napychała kieszenie musztardą dla siostry, która też umierała z głodu, jednak nie potrafiła tak bezszelestnie poruszać się po domu.

Sos sojowy. Pałeczki. Chusteczki papierowe. Chusteczki nawilżane. Matka szaleńczo płałdowała szafkę za szafką, ani na moment nie puszczając dziewczynki.

- Mamusiu. Proszę, mamusiu.
- Ta-da!
- Mamusiu!
- Będą miały skurwysyny nauczkę! - Matka chwyciła opakowanie zapalek. Świecący srebrny kartonik ze świeżą, czarną draską.
- Mamusiu - dziewczynka podjęła ostatnią desperacką próbę - drzwi wejściowe. Możemy uciec drzwiami wejściowymi. Do lasu. Jesteśmy szybkie, uda się nam.
- Nie - oznajmiła matka z nabożnością w głosie. - Właśnie na to czekają. Na zewnątrz jest zapewne trójka, szóstka, może dwunastka ludzi. Nie ma rady. Podpalimy firanki. Gdy tylko zajmie się ściana, wezmą nogi za pas. Pieprzone tchórze.

- Christine - dziewczynka zniżyła głos, zmieniając taktykę. Stała na palcach, wyprostowała się i wyciągnęła w górę na tyle, na ile pozwolił jej kręgosłup sześciolatki. -

Christine. Przestań! To nie czas na zabawy zapalkami!

Na chwilę uwierzyła, że może się udać. Matka zamrużyła powiekami, a jej twarz jakby straciła odrobinę nienaturalnego blasku. Prawa ręka zawisała bezwładnie u nóg. Kobieta z uwagą wpatrywała się w córkę.

- W piecu wygasło - ciągnęła śmiało dziewczynka - ale już się tym zajęłam. Wracaj do łóżka. Wszystko już dobrze. Idź do łóżka.

Matka dalej się na nią gapiła. Wyglądała na zagubioną. Zagubiona to i tak lepsze niż szalona. Dziewczynka wstrzymała oddech, uniosła podbródek, wyprostowała ramiona.

Nic nie wiedziała o NICH. Tak naprawdę całe swoje dziecięce życie przygotowywały się z siostrą, planowały i opracowywały strategie, by przetrwać z własną matką. Czasem musiały się poddać, a czasem przejąć kontrolę. Zanim matka posunie się za daleko. Zanim ucieczka będzie naprawdę jedynym sposobem na ujście z życiem. Zanim matka dopuści się niewyobrażalnych czynów, by pokonać zamieszkujące jej głowę demony.

Kiedyś dziewczynka miewała koszmary. W snach prześladował ją płacz niemowlęcia. Jej mama, wtedy pulchniejsza, łagodniejsza, delikatniejsza, przychodziła ją utulić. Gładziła włosy dziewczynki i smutnym, melodyjnym głosem śpiewała o zielonej trawie, słonecznym niebie i odległych miejscach, gdzie małe dziewczynki śpią nocą z pełnymi brzuskami w swoich dużych, miękkich łóżeczkach.

W takich chwilach dziewczynka kochała swoją mamę. Czasem nawet żałowała, że nie ma złych snów, tęskniąc za matczynym śpiewem i delikatnością, z jaką głaskała jej włosy opuszkami palców.

Dziś już ani dziewczynka, ani jej starsza siostra nie miewały koszmarów. Koszmarem stało się ich życie.

Chłopczyk z lasu. Może gdyby pociągnęła mocniej, wyrwała się z uścisku matki, gdyby pobiegła co sił w nogach...

Dziewczynka wyprostowała się. Tak naprawdę wcale nie wierzyła, że chłopczyk ją ocali. Ani teraz, ani nigdy.

- Christine, do łóżka! - rozkazała matce.

Ta ani drgnęła. Puściła dłoń dziewczynki, jednak w prawej ręce w dalszym ciągu dzierżyła zapalki.

- Przykro mi, Abby - powiedziała.

Głos dziewczynki złagodniał.

- Za późno. - Matka wciąż stała nieruchomo. Mówiła teraz cicho, ze smutkiem w głosie. - Nie wiesz, co zrobiłam.

- Mamusiu...

- Musiałam. Pewnego dnia zrozumiesz, dziecko. Musiałam.

- Mamusiu...

Dziewczynka wyciągnęła rękę. Za późno. Matka już ruszyła w stronę żółtych firan. Zdażyła otworzyć pudełeczko i wydobyć pierwszą zapalkę.

- Nie, nie, nie! - krzyczała dziewczynka uczipiona grubego płaszcza. Ciągnęła co sił z nadzieją, że uda jej się przewrócić matkę.

Ich walka przypominała osobliwy taniec w blasku księżyca, piruety długich, dygoczących cieni. Matka była jednak większa, szybsza, silniejsza. Napędzało ją szaleństwo, podczas gdy

jedynym atutem dziewczynki była desperacja.

Pierwsza zapałka wyrwała się z kartonowego więzienia, obudziła się do życia i rozświetliła ciemności cudnym pomarańczowym płomieniem.

Matka przystanęła, podziwiając widok.

- Piękne, prawda? - wyszeptała.

A potem rzuciła zapałkę w rozkołysane firanki. W tym samym momencie z ciemności salonu wyłoniła się starsza siostra dziewczynki i mosiężną lampą uderzyła matkę w potylicę.

Matka upadła. Podniosła głowę. SisSis uderzyła ponownie, tym razem w lewą skroń. Matka zwała się na podłogę jak kłoda.

Stara lampa upadła na ziemię w chwili, gdy firana z cichym sykiem zajęła się ogniem.

Dziewczynka dopadła do niej pierwsza. Gołymi rękami uderzała płonące fałdy, próbując zdusić ogień o brudną ścianę. Nacieriała tak długo, póki trzask nie ucichł, płomienie nie zgasły, a dłonie nie zaczęły palić żywym ogniem.

Z trudem łapiąc powietrze, odwróciła się wreszcie do siostry. Dzielilo je leżące na podłodze ciało matki. Dziewczynka podniosła głowę i spojrzała na siostrę. Starsza siostra schyliła głowę i spojrzała na dziewczynkę.

- Gdzie byłaś? - dziewczynka odezwała się pierwsza.

Siostra milczała, a dziewczynka po raz pierwszy zauważyła coś jeszcze. Że siostra uważnie wpatruje się w swój lewy bok, że szary nylon jej zimowej kurtki nasiąka brunatną cieczą.

- SisSis?

Starsza siostra chwyciła się za bok i kurczowo zacisnęła dłoń. Gdy rozpostarła palce, buchnęła spomiędzy nich czarna lawa, kradnąc z pokoju cały księżycowy blask.

Dziewczynka zrozumiała, dlaczego siostra nie spotkała się z nią na górze. Ponieważ matka obudziła ją pierwszą. Sprowadziła na dół. I to jej pierwszej zrobiła to, co kazały jej głosy.

Dziewczynka nie mówiła już nic. Wyciągnęła rękę. Siostra ujęła jej dłoń, zachwiała się, upadła na kolana. Dziewczynka przykucnęła obok na brudnym linoleum. Trzymały się za ręce nad nieruchomym ciałem matki. Ile to razy zakradały się do kuchni w poszukiwaniu jedzenia lub żeby ukryć się przed matką, albo zwyczajnie побыć ze sobą razem, bo przecież na wojnie każdy potrzebuje sojusznika.

Dziewczynka nie była głupia. Wiedziała, że matka krzywdziła SisSis częściej i boleśniej. Wiedziała, że SisSis się na to godziła, bo gdy matka wpadała w jeden ze swoich nastrojów, ktoś musiał zapłacić. SisSis niczym dobry żołnierz chroniła swoją młodszą siostrę.

- Przepraszam - wyszeptała SisSis, zamykając w tym jednym słowie cały żal i wyrzuty sumienia.

- Proszę, SisSis, proszę - błagała dziewczynka. - Nie zostawiaj mnie... Zadzwoń pod alarmowy. Ściągnę pomoc. Tylko czekaj. Poczekaj na mnie.

Siostra w odpowiedzi ścisnęła mocniej dłoń dziewczynki.

- Już dobrze. - Jej oddech stawał się świszczący. - Przecież wszyscy kiedyś umrzemy, prawda? Bądź odważna. Kocham cię. Bądź odważna...

Siostra zwolniła uścisk. Jej ręka opadła na podłogę, a dziewczynka rzuciła się do telefonu i wykreśliła 911, tak jak uczyła ją SisSis, bo przecież obie wiedziały, że pewnego dnia sprawy tak się mogą potoczyć. Nie przypuszczały jedynie, że stanie się to tak szybko.

Dziewczynka wyrecytowała imię i nazwisko matki oraz adres. Zażądała karetki. Mówiła

wyraźnie głosem wyzutym z emocji, bo to też wielokrotnie ćwiczyła. Razem z siostrą przygotowywały się, planowały, opracowywały strategię.

Matka nie była do końca szalona. Co do jednego miała rację: wszyscy kiedyś umrzemy, a śmierci trzeba stawić czoło z odwagą.

Zadanie wykonane, dziewczynka wypuściła z dłoni słuchawkę telefonu i pognąła do siostry. Jednak gdy do niej wróciła, siostra już jej nie potrzebowała. Oczy miała zamknięte i dziewczynka nie mogła zrobić nic, by ponownie je otworzyła.

Matka poruszyła się na podłodze.

Dziewczynka spojrzała najpierw na nią, a potem na stary mosiężny stojak do lampy.

Chudymi rękami, z wysiłkiem podniosła ciężki przedmiot, przyglądając się srebrnym promieniom księżyca tańczącym po przykurzonej powierzchni.

Matka jęknęła, zaczynała odzyskiwać przytomność.

Dziewczynka pomyślała o kołysankach i zapałkach, przypomniała sobie czułe uściski i głodne noce. Przed oczami stanęła jej starsza siostra, która szczerze ją kochała. A potem chwyciła za górną część stojaka, stanęła nad ciałem matki i po raz ostatni dźwignęła go do góry.

Rozdział 1

Nazywam się Charlene Rosalind Carter Grant.

Mieszkam w Bostonie, pracuję w Bostonie i za cztery dni najprawdopodobniej tu umrę.

Mam dwadzieścia osiem lat.

I nie mam ochoty jeszcze umierać.

Wszystko zaczęło się przed dwoma laty od morderstwa mojej najlepszej przyjaciółki, Randi Menke w Providence. Została uduszona we własnym salonie. Policjanci z Rhode Island nie znaleźli żadnych śladów walki ani włamania. Przez chwilę podejrzewali jej byłego męża. Musieli mieć doniesienia o przemocy domowej. Nie żeby Randi kiedykolwiek się pożaliła mnie albo naszej wspólnej przyjaciółce Jackie. Pocieszałyśmy się tym faktem z Jackie, łkając na pogrzebie Randi. Przecież o niczym nie wiedziałyśmy. O niczym nie wiedziałyśmy, bo gdyby było inaczej, zrobiłybyśmy... coś. Cokolwiek.

Tak przynajmniej się przed sobą tłumaczyłyśmy.

Szybki przeskok o dwanaście miesięcy. Jest dwudziesty pierwszy stycznia. Rocznicą. Siedzę w domu z ciotką Nancy, w górach, na północy New Hampshire. Jackie wróciła w korporacyjne szeregach Coca-Coli, gdzie pracuje jako zastępca prezesa oddziału w Atlancie. Nie chce obchodzić rocznicy śmierci Randi. Twierdzi, że to byłoby chore. Może latem się spotkamy i uczymy urodziny Randi. Może wejdziemy na szczyt Góry Waszyngtona, zabierzemy butelkę whisky. Najpierw się upijemy, potem sobie popłacemy, wreszcie odeśpimy wszystko w schronisku nad Jeziorem Chmur.

I tak dzwonię do Jackie dwudziestego pierwszego. Nie mogę się powstrzymać. Tyle że ona nie podnosi słuchawki. Nie odbiera ani telefonu stacjonarnego, ani służbowego, ani komórki. Żadnego.

Nazajutrz rano, gdy nie pojawia się w pracy, policjanci wreszcie ulegają moim błaganiom i

jadą do jej domu.

Żadnych śladów walki, czytam później w policyjnym raporcie. Żadnych śladów włamania. Tylko samotna kobieta uduszona we własnym domu dwudziestego pierwszego stycznia.

Dwie najlepsze przyjaciółki, które dzieliło ponad trzy tysiące kilometrów, zamordowane dokładnie rok po roku.

Policja wszczęła śledztwo. Nawet FBI rzuciło okiem na sprawę. Nie znaleźli żadnych jednoznacznych dowodów na to, że coś łączy oba morderstwa, może dlatego, że generalnie nie znaleźli żadnych jednoznacznych dowodów.

Pech, powiedział nawet jeden z funkcjonariuszy. Paskudny pech.

Dziś mamy siedemnasty stycznia roku następnego.

Jak myślicie, czy ja też będę miała pecha dwudziestego pierwszego? Co byście zrobili na moim miejscu?

Poznałam Randi i Jackie, kiedy miałam osiem lat. Po wydarzeniach fatalnej nocy zamieszkałam z ciotką Nancy w dzikich ostępach New Hampshire. Zobaczyłam ciotkę po raz pierwszy na oczy dopiero, gdy przyjechała po mnie do szpitala. Bliskie krewne, a jednocześnie zupełnie obce sobie osoby. Ciotka Nancy na mój widok wybuchła płaczem.

- Nie miałam pojęcia - powiedziała pierwszego dnia. - Uwierz mi, dziecko, nie miałam pojęcia. Inaczej już dawno bym cię zabrała.

Nie rozplakałam się. Nie widziałam sensu we łzach, zresztą nawet nie byłam pewna, czy jej wierzę. Skoro kazali mi zamieszkać z tą kobietą, zamieszkałam z nią. W końcu nie miałam wielkiego wyboru.

Ciotka Nancy prowadziła pensjonat w urokliwym miasteczku w Mount Washington Valley, które dobrze sytuowani mieszkańcy Bostonu czy Nowego Jorku lubili odwiedzać, by zimą zakosztować białego szaleństwa, latem wspinaczki, a jesienią podziwiać malownicze krajobrazy. Ciotka zatrudniała dorywczo tylko jednego pracownika, osobiście witała więc gości, sprzątała pokoje, parzyła herbatę, przygotowywała śniadania, udzielała wskazówek, jak i gdzie dojechać, i zajmowała się milionem innych, drobniejszych spraw, które wszystkie razem składały się na definicję słowa „gościnność”. Kiedy z nią zamieszkałam, przejęłam ścieranie kurzów i odkurzanie. Potrafiłam całymi godzinami sprzątać. Uwielbiałam zapach środka czyszczącego Pine-Sol. Uwielbiałam dotykać świeżo wypolerowanego drewna. Uwielbiałam to, że mogłam czyścić podłogę i czyścić, a ona za każdym razem wyglądała jak nowa.

Sprzątanie dawało mi poczucie kontroli. Sprzątanie trzymało demony na dystans.

Pierwszego dnia szkoły ciotka odprowadziła mnie na miejsce. Dostałam z tej okazji nowiutkie ubranie i czarne lakierki, które przez kolejne pół roku obsesyjnie polerowałam. Nie czułam się dobrze. Ciuchy były po oczach nowością.

Ciągle jeszcze nie przywykłam do wiejskiego zgiełku i gwaru. Do sąsiadów spotykanych na każdym kroku. Do ludzi, którzy nawiązują kontakt wzrokowy i pozdrawiają cię uśmiechem.

- Serwis do herbaty zaśnieźniał - poinformowałam ciotkę przecznicę przed swoją pierwszą szkołą. - Wrócę do domu i go wypoleruję.

- Zabawna z ciebie dziewczynka, Charlene.

Przystanąłam. Moja ręka instynktownie powędrowała do boku, a dłoń zaczęła pocierać bliznę,

która wciąż jeszcze czasem dawała o sobie znać. Miałam ich znacznie więcej, oplatały me ciało niczym pajęczyna: stare rany na spodzie lewej ręki, paskudna szrama na prawym łokciu, ślady po przypaleniu na prawej łydce. Byłam niemal pewna, że inne dzieci nie są naznaczone w ten sposób.

Że ich matki nie „kochały” równie mocno jak mnie moja.

- Nie chcę tam iść.

Ciotka się zatrzymała.

- Charlie, czas iść do szkoły. Masz pewnym krokiem przekroczyć ten próg. Masz trzymać głowę wysoko. Chcę, żebyś wiedziała, że jesteś najodważniejszą i najtwardszą dziewczynką, jaką znam i w niczym nie jesteś gorsza od pozostałych dzieci. Słyszysz? W niczym nie jesteś gorsza od pozostałych dzieci.

Zrobiłam więc, jak ciocia kazała. Weszłam do środka pewnym krokiem. Głowę uniosłam wysoko. Wśliznęłam się do ławki na tyłach sali. Dziewczynka po lewej odwróciła się do mnie i przedstawiła: „Cześć, jestem Jackie”. Dziewczynka po prawej odwróciła się do mnie i przedstawiła: „Cześć, jestem Randi”.

I tak zwyczajnie zostałyśmy przyjaciółkami.

Ale nigdy nie opowiedziałam im swojej historii.

Wiecie, jak to jest, prawda?

Gdy czasem nawet najlepszej przyjaciółce, bratniej duszy, która śmieje się z tobą i płacze i zna wszystkie szczegóły pierwszego młodzieńczego zauroczenia i pierwszego miłosnego zawodu, nie możesz opowiedzieć wszystkiego.

Nawet najlepsze przyjaciółki miewają swoje sekrety.

Mówię to wam ja, jedyna ocalała, która przez ostatnie dwa lata w bolesny sposób poznała siłę owych sekretów.

Dorastałyśmy w ostatnich dniach prawdziwego dzieciństwa. Latem biegałyśmy po lasach, budowałyśmy domki na drzewach i urządzałyśmy przyjęcia z zupą żołądziową i szyszkowymi deserami. Puszczaliśmy łódki z liści na rwących potokach. Odkrywałyśmy miejsca, gdzie można popływać. Łączyłyśmy puszki po zupie kablem i udawałyśmy, że to telefony.

Latem pomagałam ciotce rano i wieczorem. Popołudnia należały do mnie i spędzałam je z przyjaciółkami. Jackie już wtedy była urodzonym organizatorem. Nasze zabawy planowała w najdrobniejszych szczegółach, pewnie przygotowałyby plan marketingowy i prognozy, gdybyśmy jej tylko pozwoliły. Randi była cichsza. Miała przepiękne włosy w kolorze pszenicy, które zakładała za uszy.

Najbardziej lubiła budować domki w lesie i przy jej niesamowitym zmyśle artystycznym wystarczało kilka jagód i garść liści, by z gnijących gałęzi i konarów wyczarować przytulne gniazdko.

Poleciłam przyjaciółkę i jej niezwykle umiejętności ciotce Nancy i od tamtej pory Randi pomagała w weekendy w pensjonacie. Rozwieszała ozdoby świąteczne, dekorowała salon i stoły w jadalni. Wraz z nią przychodziła Jackie. To ona podpięła komputer ciotki do sieci i w odpowiednim czasie zaznajomiła ciotkę z Internetem.

Nie miałam ani smykałki Jackie, ani talentu Randi. Myślałam o sobie jak o spoiwie

scalającym naszą trójkę. Robiłam wszystko to, co one chciały robić. Dzieliłam każdą ich pasję. Od małego musiałam się dostosowywać i byłam w tym naprawdę dobra.

Nigdy mi to nie przeszkadzało. Kochałam je. Kiedyś dorastałam w ciemnościach, by w górach New Hampshire wreszcie odnaleźć światło. Randi i Jackie się śmiały. Pytały mnie o zdanie, chwaliły, witały mnie uśmiechem.

Było mi wszystko jedno, co robiłyśmy. Pod warunkiem, że robiłyśmy to razem.

Tak to już jest, że dzieci z małych miasteczek marzą o życiu w wielkim mieście. Jackie odliczała dni do matury. Miała dosyć wścibskich sąsiadów, wiejskiego domu kultury i poczty, która była głównym siedliskiem plotek. Chciała się dostać na studia w Bostonie i zakosztować wielkomiejskiego splendoru.

Randi ubiegła ją, cicho i niepostrzeżenie, jak to miała w zwyczaju. Pewnego śnieżnego styczniowego dnia poznała na stoku studenta medycyny Uniwersytetu Browna. Skończyłyśmy szkołę w czerwcu, a pierwszego lipca Randi była już mężatką i pakowała swoje dzieciństwo do czterech kartonów, by wyruszyć do Providence i resztę życia spędzić jako pani doktorowa.

Jackie dostała stypendium. Nim nadszedł wrzesień, już jej nie było, a ja po raz pierwszy od lat nie wiedziałam, co ze sobą zrobić. Szorowałam, piaskowałam i cyklino wałam drewniane podłogi ciotki. Czyściłam parą zasłony. Myłam meble. Zaczęłam ustawiać regały z książkami.

Pod koniec września ciotka Nancy wzięła mnie za rękę i powiedziała stanowczym tonem:

- Jedź. Rozwiń skrzydła, a gdy będziesz gotowa, wróć do mnie, do domu.

Wylądowałam w Arvadzie, w Kolorado. Pojechałam za facetem, za którym nie powinnam była jechać. Robiłam rzeczy, o których ciotka nigdy nie powinna się dowiedzieć. W bolesny sposób przekonałam się, że nie zawsze warto się do kogoś dostosowywać. Prędzej czy później trzeba zacząć żyć po swojemu, nawet bez ukochanej ciotki i dwóch najlepszych przyjaciółek, które posłużyłyby ci radą.

Po zerwaniu, zdecydowana nie wracać do domu z podkulonym ogonem, złożyłam podanie o pracę dyspozytora centrum powiadamiania ratunkowego. Co mnie skusiło? Nie wymagali studiów, jedynie sprawnego pisania na komputerze i zdolności szybkiego reagowania, a skoro były to właściwie moje jedyne umiejętności, postanowiłam spróbować. Za trzydzieści tysięcy dolarów rocznie pracowałam całe dnie, rezygnując zupełnie z życia towarzyskiego, ale wreszcie odkryłam prawdziwe powołanie.

Pracowałam w centrum operacyjnym wyposażonym w dwadzieścia dwie linie telefoniczne i cztery radia, za pomocą których przyjmowano dwieście tysięcy wezwań rocznie. Prośby o interwencję policji, straży pożarnej, lekarza czy hycła - wszystkie trafiały do nas. W przypadku niektórych wystarczyło przekazać sprawę do pogotowia lub straży, jednak z całą resztą musieliśmy radzić sobie sami, a były to sytuacje wymagające działań policji, telefony od dowcipnisiów, od osób, które nie potrafiły się wysłowić albo wpadły w panikę lub histerię.

Podczas jednej ze zmian kolega dyspozytor uratował życie kobiecie, każąc jej krzyczeć co sił w płucach, czym wystraszyła włamywaczy. Inny kolega odebrał telefon od ciężko rannej nastolatki, którą potrafił samochód. Dziewczyna zmarła przed przyjazdem policji, ale jej zeznanie zostało nagrane i posłużyło za dowód, dzięki któremu kierowca trafił za kratki. Płakałam z ludźmi. Krzyczałam z nimi. Kiedyś nawet śpiewałam kołysanki pięciolatkowi, który schował się w szafie. Za jej drzwiami rodzice obrzucali się obelgami przy akompaniamencie tłuczonego szkła.

Nie wiem, jak się skończyła sprawa chłopca. Czasem o nim myślę. Więcej niż powinnam.

I dlatego po sześciu latach opuściłam Arvade i wróciłam w góry. Straciłam na wadze. Chyba nie wyglądałam najlepiej.

- Och, Charlene Rosalind Carter Grant - westchnęła ciotka, gdy wysiadłam z samolotu.

Przytuliła mnie. Stałam tak na środku lotniska, a łzy same spływały mi po policzkach.

Ciocia miała rację: musiałam wyjechać, by prawdziwie cieszyć się z powrotu. Z rozrzwinieniem powitałam góry, sąsiadów, znajomych, ludzi, którzy patrzyli mi w oczy z uśmiechem. I tak jak ciocia Nancy stała się moją rodziną, tak to małe miasteczko stało się wreszcie moim domem.

Wcale nie chciałam więcej wyjeżdżać. Ktoś miał jednak względem mnie zupełnie inne plany.

Na pogrzebie Randi nie czułam zagrożenia. Wprawdzie moja przyjaciółka z dzieciństwa została zamordowana, ale im bardziej klarował się obraz jej byłego męża - porywczego, skłonnego do przemocy, lubiącego zaglądać do kieliszka drania - tym mocniej utwierdzałyśmy się z Jackie w przekonaniu, że znamy sprawcę. To, że policja nic na niego nie ma, nie znaczy, że łajdak tego nie zrobił. W końcu kto jak kto, ale lekarz zna na tyle podstawy medycyny sądowej, żeby umiejętnie zatrzeć za sobą ślady. Do tego Randi była łatwowierna. Zapewne wpuściła byłego męża wbrew zdrowemu rozsądkowi.

Przez jakiś czas pomagałam detektywom z Providence w śledztwie. Jackie załatwiła prywatną konsultację specjalisty z Oregonu, jakiegoś emerytowanego agenta FBI. Nic to niestety nie dało.

A potem, rok później, Jackie... Jackie, która mieszkała w samym sercu Atlanty, twarda korporacyjna wyjadaczka, do tego, wydawać by się mogło, uprzedzona w pewien sposób o grożącym jej niebezpieczeństwie. Kogo mogła wpuścić do domu tamtego wieczoru? Komu dała się tak po prostu udusić, nie podjąwszy nawet próby obrony?

Z całą pewnością nie byłemu mężowi Randi.

A to każe się zastanowić, czy sprawcą był aby rzeczywiście były mąż Randi. A może ktoś zupełnie inny?

Ktoś, kto znał i Randi, i Jackie. Ktoś bliski. Ktoś, komu ufały.

Ktoś, kto z założenia musiał więc znać i mnie, skoro przez dziesięć lat funkcjonowałyśmy w naszym miasteczku jako trio: Randi Jackie Charlie. Trzy muszkietierki. Jedna za wszystkie, wszystkie za jedną.

Czy to, że dwie z nas nie żyją, oznacza, że teraz kolej na mnie?

Tym razem na pogrzebie nie uroniłam ani jednej łzy. Stałam przy trumnie z drzewa wiśniowego, przeczesując wzrokiem tłum zgromadzony w małej, lecz urządzonej z przepychem wiktoriańskiej kapliczce. Przyglądałam się twarzom pogrążonych w żalobie sąsiadów, znajomych, przyjaciół.

Zastanawiałam się, czy tuż obok mnie stoi ktoś, kto już zaczął odliczać dni, które zostały do kolejnego dwudziestego pierwszego stycznia. Tylko dlaczego? I jak? I kto? Tyle pytań. Mam trzysta sześćdziesiąt dni, by znaleźć odpowiedzi.

Opuściliśmy cmentarz o dziewiątej wieczorem. Kwadrans później siedziałam już w samochodzie. W bagażniku leżała pełna walizka, na policzku wciąż czułam chłód po pożegnalnym pocałunku cioci Nancy.

Pojechałam do Bostonu. Pozostałam bez samochodu i komórki. Odciełam się od cioci, ludzi,

wśród których dorastałam, gór, porzucając tym samym jedyną szansę na normalne życie. Miej nadzieję na najlepsze, ale przygotuj się na najgorsze, nie tak mówią?

Wzięłam sobie te słowa do serca. Mam nadzieję, że policja zabierze się do roboty i złapie drania, który zamordował moje dwie najlepsze przyjaciółki. Niemniej jednak ja przygotowuję się do nadchodzącego dwudziestego pierwszego stycznia, kiedy to około godziny dwudziestej, przynajmniej według policyjnych raportów, ktoś może zapukać do mych drzwi. Bo kiedyś byliśmy we trzy: Randi Jackie Charlie, potem we dwie: Jackie Charlie, a wkrótce może nie być śladu po żadnej z nas.

Nie mam przyjaciół. Nie wchodzę w żadne bliższe relacje. Mieszkam w Cambridge, gdzie wynajmuję pokój od owdowiałej emerytki, której nie starczało na czynsz. Jestem dyspozytorem liczącego trzydziestu funkcjonariuszy posterunku na obrzeżach Bostonu. Pracuję w pojedynkę na nocnej zmianie. W nocy pracuję, rano śpię.

Biegam cztery razy w tygodniu po siedem kilometrów. Chodzę na szkolenie strzeleckie. Boksuję. Podnoszę ciężary. Przygotowuję się, planuję, obmyślam strategię.

Jestem przekonana, że za cztery dni ktoś będzie próbował mnie zabić.

Jednak najpierw będzie mnie musiał skurwysyn złapać.

Rozdział 2

Sierżant bostońskiej policji D. D. Warren dostała sprawę. Nie była jednak zadowolona.

Dziwne, zważywszy na fakt, że do tej pory żyła wyłącznie pracą i nic nie sprawiało jej większej przyjemności niż głośnie, medialne dochodzenia oznaczające wieczne nadgodziny i całonocne narady przy zimnej pizzy.

No dobrze, niedawno została mamą. To by wiele wyjaśniało, zwłaszcza że mały Jack okazał się takim samym nocnym markiem jak mamusia. Ząbkowanie? Mało prawdopodobne w wieku dwóch i pół miesiąca. Kolki? Może. Nie żeby na porodówce rozdawali instrukcje obsługi niemowlaka, a szkoda. Wczoraj w nocy próbowała mu śpiewać. Płakał jeszcze głośnie. W końcu go tylko kołysała, płacząc razem z nim. Zasnęli oboje gdzieś koło czwartej, budzik zadzwonił o szóstej. Ale to nie przez te dwie godziny snu była nie w sosie.

Prawda, w jej życiu zaszły ostatnio drastyczne zmiany. Wpadka w wieku czterdziestu lat zupełnie ścięła ją z nóg, postanowiła jednak pójść za ciosem i przymierzyć się do sielanki rodzinnej, czyli zamieszkać z ojcem dziecka. Sprzedała swoją kawalerkę w North End, pożegnała całe cztery meble kupione w ciągu ostatnich kilkunastu lat i wprowadziła się do domku Alexa na przedmieściach.

Alex wspaniałomyślnie odstąpił jej całą garderobę. D. D. starała się nie zabierać mu w nocy kołdry. Obojgu bardzo podobał się pokój dziecięcy.

Alex dbał o nią, pomagał jej, a co najważniejsze, sam będąc technikiem kryminalistyki wykładającym na Akademii Policyjnej, doskonale rozumiał, że musi pozwolić jej pracować. Wczorajszej nocy zmieniał ją przy dziecku, godzinami nosił i tulił małego Jacka, więc to na pewno nie z powodu Alexa była nie w sosie.

Zgadza się, to była jej pierwsza duża sprawa po powrocie z ośmiotygodniowego urlopu

macierzyńskiego, ale po dwóch tygodniach papierkowej roboty naprawdę miała ochotę ruszyć w teren, więc to nie dlatego była nie w sosie.

Tak naprawdę wcale nie miała ochoty o tym rozmawiać. Wystarczyłoby, gdyby ktoś jej trochę pożałował.

Przepchała się przez tłum gapiów zgromadzonych na chodniku i pokazała odznakę zabezpieczającemu teren mundurowemu. Mężczyzna odnotował jej nazwisko i numer odznaki i po chwili mogła przejść pod żółtą taśmą policyjną. Włożyła obuwie ochronne, czepek i ruszyła w górę spróchniałymi schodami w wyblakłej szarej kamienicy.

Miejsce zbrodni znajdowało się na drugim piętrze, w dwupokojowym lokalu typowej, zamieszkiwanej przez biedotę czynszówki. Ofiarą był na oko czterdziestoletni biały mężczyzna, i z tego co się D. D. zdążyła zorientować, prawdopodobnie jedyny biały w zasięgu ośmiu przecznic. Najwyraźniej mieszkał sam, skoro zawiadomienie złożyli narzekający na smród sąsiedzi.

D. D. nienawidziła starych czynszówek. Gdyby desperację zamknąć w czterech ścianach z maleńkimi oknami i przykryć przeciekającym sufitem, zapewne wyglądałaby dokładnie jak jedno z tych mieszkań. Nie cierpiała nastoletnich gnojków przyglądających się jej wyzywająco, bo skoro i tak nie mieli nic do stracenia, czemu by tak nie wkurzyć bostońskiego stróża prawa?

Żal ścisnął jej serce, gdy widziała zasuszone staruszki dźwigające ciężkie zakupy na trzecie piętro do ciasnych klitek, które zimą przypominają lodówkę, a latem saunę. Ubolewała nad widokiem zdziczałych dzieciaków, nieufnie wyglądających zza progu, w wieku lat czterech, pięciu czy sześciu nauczonych, by nienawidzić wszelkiej maści przedstawicieli władzy.

Dyskryminacja na tle rasowym. Wykluczenie społeczne. Stare czynszówki niezmiennie przypominały D. D., że będąc policjantem bostońskiej policji, wciąż niewiele robi dla znacznej części mieszkańców swojego miasta.

Zamordowano tu mężczyznę. D. D. i jej zespół rozpoczną dochodzenie. D. D. i jej zespół złapią sprawcę. A życie mieszkańców tej kamienicy, czy to dziś czy jutro, będzie tak samo do dupy.

Sierżant D. D. Warren była nie w sosie. Ale nie chciała o tym rozmawiać.

Na wysokości drugiego piętra spotkała członka swojego zespołu, Neila. Trzydziestoletni rudy chudzielec pracował kiedyś jako sanitariusz, dlatego wystawiano go na linię frontu przy wyjątkowo paskudnych zbrodniach. Nos i usta zasłaniał teraz chusteczką, co nie wróżyło nic dobrego.

Twarz D. D. musiała zdradzać paskudny nastrój, bo Neil wzdrygnął się lekko na jej widok.

- Mały? - rzucił ostrożnie.
- Nie o to chodzi - warknęła.

Zastanowił się przez chwilę.

- Alex puścił cię kantem? - spytał w końcu.
- Na litość boską...

Kochała członków swojego zespołu, z wzajemnością zresztą. Jednak pracujący z nią na co dzień detektywi wierzyli niezachwianie, że tylko ktoś o anielskiej cierpliwości wytrzymałby z ich szefową, a to w ich oczach podnosiło Alexa do rangi świętego.

- Nie w tym rzecz.
- Nie musisz wchodzić do środka - spróbował z innej beczki - Jeśli boisz się smrodu albo,

albo... - zająknął się, a widząc wyraz jej twarzy, zamilkł zupełnie.

- Moi rodzice przyjeżdżają - wyrzuciła w końcu z siebie.
- To ty masz rodziców?

D. D. przewróciła oczami.

- Na Florydzie - burknęła. - Mieszkają na Florydzie. Grają tam sobie w golfa, brydża i robią te wszystkie inne rzeczy, które robią starzy ludzie. Podoba im się na Florydzie. Mnie też podoba się, że mieszkają na Florydzie. Po co zmieniać coś, co tak świetnie funkcjonuje, tylko dlatego, że urodziłam dziecko?

Neil kiwnął głową ze zrozumieniem i czekał. Kiedy upewnił się, że już skończyła, wychylił się odrobinę w jej stronę.

- Mają jakieś imiona?
- Patsy i Roy.
- No tak, to wiele wyjaśnia. A teraz możemy pogadać o ofierze?
- Myślałam, że nigdy nie spytasz. Co mamy?
- Dwie rany postrzałowe głowy. Facet nie żyje od jakichś trzech, czterech dni.

D. D. się skrzywiła.

- Wzdęte, zagazowane? - Chodziło jej o zwłoki.
- Mrozy trochę pomogły - odparł Neil.

To fakt. Przy sierpniowym upale i wilgotności smród czterodniowego trupa czuć byłoby z ulicy. Tymczasem stała niecałe trzy metry od miejsca zbrodni, a odór zgnilizny był ledwie wyczuwalny. Bogu dzięki za bostoński styczniowy mróz.

W głowie nagle zaświtała jej myśl.

- Co z ogrzewaniem? - spytała.
- Wyłączone.
- Przez ofiarę czy mordercę? - spytała, unosząc brwi.

Neil wzruszył ramionami, bo nie mógł oczywiście znać odpowiedzi na to pytanie, co nie znaczy, że sam się nad tym nie zastanawiał. D. D. dość często myślała na głos, a członkowie jej zespołu dawno temu się nauczyli, że lepiej nie wdawać się z nią wówczas w dyskusje.

- Kogo mamy na miejscu? - spytała o towarzystwo w mieszkaniu.

Neil rzucił kilkoma nazwiskami. Był wśród nich ich kolega Phil, stateczny mąż i ojciec rodziny, kilkoro techników, fotograf i ludzie z biura koronera. Niezbyt liczna ekipa, co bardzo D. D. odpowiadało. Na tak małej przestrzeni dodatkowe osoby, nawet tak zwani eksperci, łatwo mogły coś spieprzyć. D. D. wołała więc ograniczać liczebność zespołu do minimum, by zachować pełną kontrolę nad miejscem zbrodni. To ona dostanie po głowie, jeśli coś pójdzie nie tak, ale wołała podjąć to ryzyko, aniżeli wpuścić do środka zastępy mundurowych.

- Powinna wiedzieć coś jeszcze? - spytała Neila.
- Nie powiem ci - odparł z przekorą.

Podniosła na niego wzrok zaskoczona. To raczej Phil lubił się z nią droczyć w ten sposób. Żart w wykonaniu Neila był niespodzianką.

- Jak ci powiem, a okaże się, że nie miałem racji, wkurzysz się - Neil mamrotał pod nosem, unikając jej wzroku. - A jak nie powiem, a okaże się, że miałem rację, sama będziesz mogła do tego dojść, a potem zebrać całą śmietankę.

D. D. pokręciła głową. Neil byłby świetnym detektywem, gdyby nie chował się tak bardzo w

cieniu jej i Phila. Dobrowolnie oddał im pierwsze miejsca w szeregu, a sam przesiadywał całe dnie w zakładzie medycyny sądowej, nadzorując sekcje zwłok. Wydawał się jednak zadowolony z takiego stanu rzeczy.

Ciekawe, czy był tu też Ben Whitley, koroner, z którym Neil umawiał się prawie od roku. Jak to w przypadku romansów między kolegami z pracy, aż strach pomyśleć, co będzie, jeśli ze sobą zerwą. A zresztą kto jak kto, ale czterdziestoletnia stara panna i matka dziesięcioletniego bobasa raczej nie powinna prawić nikomu morałów.

Życie płynie, a nam nie pozostaje nic innego, jak dać się porwać jego nurtowi.

Westchnęła, ścisnęła grzbiet nosa, czując, jak przytłacza ją ciężar ostatnich bezsennych nocy.

Jack leżał wygodnie w nosidelku, kiedy wychodziła rano z domu. Szeroko otwarte niebieskie oczy i pulchne różowe policzki. Kiedy całowała go w czubek głowy, pomachał w jej stronę tłustymi piąstkami.

Czy dziesięcioletni niemowlak wiedział już, co to tęsknota za mamą? Bo mama z dziesięcioletnim stażem z całą pewnością wiedziała, co to tęsknota za dzieckiem.

D. D. westchnęła raz jeszcze, wyprostowała się i zabrała do roboty.

Najpierw uderzył ją ostry, cierpki zapach amoniaku. Cofnęła się gwałtownie jak po zderzeniu ze ścianą. Do oczu natychmiast napłynęły jej łzy, zaczęła więc odruchowo machać dłonią przed nosem, choć świetnie wiedziała, że nic to nie da.

Zerknąwszy na podłogę, odkryła źródło smrodu. Kupki psich odchodów i kałuże uryny.

- A to co, do cholery?

- Szczeniaczek - wyjaśnił Neil. - Słodki biszkoptowy labrador z klapniętymi uszami. Przesiedział zamknięty ze zwłokami dobrych kilka dni. Widać nie zdołał obronić domu. Przeżył na wodzie z klozetu i paczce krakersów. Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami już go zabrało, jeśli chcesz zwierzątko dla Jacka.

- Jack śpi, je i robi kupy. Po co mu zwierzątko?

- Hmm... - Neil pokiwał głową ze znawstwem - pewnie wkrótce z tego wyrośnie.

Ostrożnie, uważając na psie odchody, D. D. przeszła za Neilem z maleńkiego salonu do jeszcze mniejszej kuchni. Pomachała kilkorgu technikom, których minęła po drodze. Wszyscy tylko kiwnęli głowami, nie przerywając pracy. Zważywszy na smród, nic dziwnego, że chcieli się z tym uporać jak najszybciej.

Przy kuchni znajdowało się wejście do sypialni. W środku D. D. dojrzała Phila siedzącego ryłem przy mikroskopijnych rozmiarów biurku. Osłonięte rękawiczkami palce tańczyły po klawiaturze laptopa ofiary. Jako ich technik kryminalistyki zawsze robił pierwsze rozeznanie. Później oczywiście oddawał sprzęt do pełnej analizy kryminalistycznej, ale w śledztwie liczył się czas i dlatego wolał sprawdzić, co się da, zamiast czekać kilka tygodni na szczegółowy raport.

- Cześć - przywitała starszego kolegę.

Zerknął przez ramię, automatycznie podnosząc rękę. Dopiero kiedy zauważył wyraz jej twarzy, zaszczyił ją dłuższym spojrzeniem.

- Mały Jack? - spytał, sam będąc ojcem czwórki dzieci.

- Nie o to chodzi - wycodziła przez zęby.

- Alex...?

- Nie o to chodzi!

- Przyjeżdżają jej rodzice - podpowiedział stojący z tyłu Neil.
- To ty masz rodziców?

Zgromiła go wzrokiem, więc natychmiast uciekł spojrzeniem do komputera. Przynajmniej mogła się teraz skupić na obejrzeniu kuchni. Pod najdalszą ścianą stał stół, a przy nim dwa rozklekotane drewniane krzesła, z których jedno zajmował obecnie denat.

Nad ciałem pochylał się koroner, Ben Whitley. Podniósł na nią wzrok, kiedy podeszła bliżej. Wyraźnie unikając przy tym patrzenia na Neila.

To pewnie tylko taki etap, miała ochotę powiedzieć.

Ale tylko przyjrzała się ofierze: bardzo grubemu albo bardzo spuchniętemu białemu mężczyźnie o przeredzonych brązowych włosach i z dwiema dziurami po kulach na lewej skroni.

- Nikt nie słyszał strzałów? - Jej oczy nie przestawały łzawić od intensywnego zapachu uryny. Teraz rozumiała, czemu Neil zatykał nos chusteczką. Z trudem powstrzymała odruch wymiotny.

- W takim sąsiedztwie? - zadrwił Neil.

D. D. skrzywiła się, przyznając mu w duchu rację.

Wnętrznosci denata zaczynały żyć własnym życiem pod ciasno oplatającym je pancerzem z dzinsów i czerwonej flanelowej koszuli. Siła strzałów odrzuciła jego głowę do tyłu, a rysy zastygły w ciągu dwóch do sześciu godzin na skutek stężenia pośmiertnego. Jednak po dwóch, trzech dniach stężenie ustąpiło, mięśnie się rozluźniły, a skóra z podgardla spłynęła na twarz niczym stopiony воск ze świecy. Zaczął się kolejny etap rozkładu: proces gnilny. W ciągu pierwszych dwudziestu czterech godzin po śmierci uaktywniają się bakterie, które produkują gazy powodujące opuchliznę i charakterystyczny odór, tak dobrze znany detektywom i medykom sądowym na całym świecie. Skóra w okolicach podbrzusza i pachwin przybiera zielonosiną barwę, a treści żołądkowe zaczynają wyciekać przez usta, nos i odbył.

Nic przyjemnego. Tym milej była D. D. zaskoczona względnie nienaruszonym stanem zwłok. Na tym etapie bakterie mogłyby już pozostawić niezłe spustoszenie w jelitach denata, tymczasem wyglądało na to, że dopiero biorą się do roboty. Choć dzięki temu praca na miejscu zbrodni była o niebo znośniejsza, D. D. i tak nie chciałaby podchodzić tak blisko ofiary, jak musiał Ben Whitley.

- Obstawiasz trzy, cztery dni? - spytała go z wyraźnym powątpiewaniem w głosie.

Zastanowił się chwilę.

- Niskie temperatury opóźniają proces rozkładu. Zimno panujące w mieszkaniu mogłoby wyjaśnić tak dobry stan zwłok, jednak niczego nie będę pewien, póki go nie otworzę.

- A pierwsze wrażenie?

- Przyczyną śmierci były najprawdopodobniej dwa strzały w lewą skroń - odpowiedział. - Z bliska, bardzo osobiste. Popatrz na ślady prochu na obrzeżach i na bliskość ran wlotowych. Nie dzieli ich nawet centymetr.

- Egzekucja? - spytała, wbrew sobie podchodząc bliżej. - Jakies ślady walki?

- Nie.

D. D. ufała Benowi bezgranicznie, był jednym z najlepszych medyków sądowych, jakich kiedykolwiek miało to miasto. Nie mogła jednak przestać przyglądać się dłoniom ofiary, bo brak śladów walki zupełnie nie miał sensu. Kto dobrowolnie siada przy stole i daje się zastrzelić?

- Jesteś pewien, że to nie samobójstwo? - spytała Bena.
- Brak broni. Brak śladów prochu na dłoniach - odpowiedział, a potem urażony jej powątpiewaniem dodał: - No, chyba że miał na sobie rękawiczki, które ściągnął zaraz po tym, jak do siebie strzelił i schował narzędzie zbrodni.

Ciężko się było z nim nie zgodzić. Spojrzała na Neila.

- Jakież ślady włamania?

Chudy rudzielec pokręcił głową. Wyglądał na zadowolonego z siebie.

- Sąsiadów do środka wpuścił zarządca budynku. Nie widać, żeby ktoś majstrował przy zamku. Okna nietknięte, nie mówiąc już o tym, że są zbyt wypaczone, by w ogóle dało się je otworzyć.

D. D. przyjrzała się badawczo partnerowi.

- Nie powiesz mi?

- Nie.

- Dobra, dobra. Zabawa trwa.

Wróciła do analizy miejsca zbrodni. Ślady po kulach na skroni były małe i okrągłe. Ze względu na brak ran wylotowych obstawiała broń niewielkiego kalibru, najpewniej dwudziestkędwójkę. Miłośnicy broni nazywali takie pistolety „bzdyckami”. Dobre do postrzelania do puszek albo wiewiórek lub postraszania kogoś, gdy wszystko inne zawodzi. Jednak biorąc pod uwagę duży procent ofiar, którym udaje się przeżyć, niezbyt praktyczny wybór przy planowanej egzekucji.

D. D. myślała dalej: ofiara musiała znać sprawcę. Mężczyzna otworzył drzwi mordercy i wpuścił go do środka. Co więcej, został znaleziony na krześle w kuchni, co sugeruje przyjazną pogawędkę. Coś w stylu „A czego byś się napił?”.

D. D. podeszła do zlewu. W brudnej komorze ze stali nierdzewnej stały oczywiście dwa wyszczerbione kubki. Podniosła jeden dłonią w rękawiczce i zerknęła do środka. Żadnych zauważalnych śladów po jakimś płynie, więc albo płyn był przezjzysty, albo kubki starannie wypłukano.

Odstawiła je na miejsce, skąd zostaną za chwilę zabrane przez techników, ale nie przestawała im się przyglądać.

Ktoś umył je i odstawił do zlewozmywaka? Dziwne, bo nic w mieszkaniu nie wskazywało na to, by coś tu wycierano, myto lub traktowano jakimkolwiek środkiem czyszczącym przez ostatnie pół roku. Klejące się blaty, pokryta grubą warstwą brudu i miejscami zasikana podłoga, poplamione ściany.

D. D. rzuciła okiem na stół, który też wyglądał na świeżo umyty. Przejechała palcem po zniszczonej powierzchni. O tak, sfatygowany, lecz czysty. A więc mamy dwa opłukane kubki i jeden wytarty drewniany stół.

Spojrzała na Neila, który uśmiechał się jeszcze szerzej.

- Morderca po sobie posprzątał - powiedziała cicho.

Nie odpowiedział, choć z tą pokerową miną na twarzy właściwie nie musiał.

D. D. otworzyła lodówkę. W środku znajdowała się otwarta puszka psiej karmy, która cuchnęła jeszcze gorzej niż reszta mieszkania, sześciopak piwa, szprycery, ciastka z kremem Hostess Twinkies, pojemniki z resztkami chińszczyzny i niedojedzony kurczak z rożna, którego termin ważności upłynął dziesięć dni temu.

Czyli ofiara lubiła fast foody i miała słabość do słodczy.

D. D. dalej tworzyła w głowie portret psychologiczny denata. Biały mężczyzna w średnim wieku, kawaler zamieszkujący w obskurnej czynszówce.

Czemu mieszkał akurat tutaj? Biały gość musiał się czuć obco w tym sąsiedztwie. Dokuczała mu samotność? Czy to dlatego sprawił sobie szczeniaka? Ale przecież miał jakieś życie towarzyskie. Ktoś wpadał najwyraźniej na drinka. Wpadnij zobaczyć mojego szczeniaka. Napijemy się czegoś, coś przekąsimy.

I nagle poczuła to. Wyraźne fizyczne doznanie, które promieniowało od kości ogonowej wzdłuż kręgosłupa aż do szyi, na której zjeżyły się jej wszystkie włoski, przyprowadzając o solidny dreszcz.

Spojrzała na Neila, który szczerzył do niej zęby.

- Nie powiesz mi chyba, że...
- A właśnie, że powiem.
- Phil coś znalazł?
- Nie wiem, czy jest coś w komputerze, ale wcześniej odkryliśmy dwa kartony po butach ze zdjęciami wciśnięte pod łóżko.
- Był notowany?
- Nie znaleźliśmy na razie nic w systemie, ale wrzuciliśmy nazwisko i odciski palców do bazy i czekamy.
- A zdjęcia?
- Sami chłopcy, wszyscy poniżej dwunastego roku życia, w większości czarni, choć nie tylko. Myślę, że wybór zależał nie tyle od rasy, ile od nadarzającej się okazji.
- Skurwysyn! - krzyknęła D. D. - Był pedofilem. Znalazł sobie dobrą metę wśród najbardziej obiecujących potencjalnych ofiar: niekochanych, niepilnowanych, bezbronnych dzieciaków.

Przechadzał się ze szczeniakiem, żeby zwrócić ich uwagę, a potem zapraszał na ciastka, chipsy, butelkę piwa. Skurwysyn.

- D. D.
- Co?
- Jest jeszcze lepiej.
- Co może być lepszego od jednego zboczeńca mniej w tym mieście?

Z sypialni wyszedł Phil, zdejmując gumowe rękawiczki.

- Już jej powiedziałaś? - spytał Neila.
- O czym?
- Byłaś wtedy na urlopie macierzyńskim - odparł Neil, jakby to wszystko wyjaśniało.
- Mów!
- Nie o jednego zboczeńca mniej - oznajmił radośnie. - Pan Chcesz się Pobawić z Moim Szczeniakiem to nie pierwszy nasz przypadek.

Phil z Neilem musieli ją wtajemniczyć w szczegóły tamtego dochodzenia. Sprawa była sprzed czterech tygodni, co oznaczało, że Jack miał wówczas sześć tygodni, a D. D. całe dni przesiadywała w bujanym fotelu, z pulchniutkim stworzonkiem nieustannie przytulonym do jej piersi niczym termofor, tylko znacznie delikatniejszym i wymagającym ciągłej uwagi, pochłonięta liczeniem małych paluszków u rączek i stopek, gładzeniem niewiarygodnie

mięciutkich kępek włosków okalających maleńką główkę - z całą pewnością nie oglądała wówczas wiadomości, bo całą sobą była zatopiona w tu i teraz, w byciu z własnym dzieckiem w sposób, w jaki jeszcze nigdy z nikim nie była. Nie mówiąc, nie myśląc, nie interesując się niczym innym. Wracający do domu po pracy Alex, który zastawał ją niezmiennie w tej samej pozycji w fotelu bujanym, obdarzał ją uśmiechem, jakim nie obdarzył jej nigdy wcześniej żaden mężczyzna. W takich chwilach czuła dziwny ucisk w piersi. Uczucie przynależności. Bycia. Zadowolenia może.

Przez te osiem tygodni rozkoszowała się każdą chwilą swojego urlopu macierzyńskiego.

Tak więc cztery tygodnie wcześniej tkwiła w Waltham, całkowicie pochłonięta opieką nad dzieckiem, podczas gdy niebezpieczny pedofil został zastrzelony w swoim mieszkaniu w pobliżu szpitala Suffolk County. Nie w kuchni, szybko dodał Phil. W korytarzu. Tak jakby strzał padł zaraz po otworzeniu drzwi. A dokładniej dwa precyzyjne strzały z dwudziestkidwójki. Żadnych świadków poza kilkorgiem sąsiadów, którzy widzieli młodego mężczyznę, może nastolatka, walęśającego się w pobliżu. Podczas rewizji znaleziono filmy pornograficzne i bogatą kolekcję zdjęć w komputerze ofiary, wszystkie przedstawiające chłopców i dziewczęta pomiędzy szóstym a dwunastym rokiem życia podczas różnych aktów seksualnych.

Samo posiadanie komputera było naruszeniem przez Douglasa Antiholde'a warunków zwolnienia warunkowego, więc śledczy mieli podstawy, by uznać, że facet znowu zszedł na złą drogę i zajął się niszczeniem życia kolejnych młodych ludzi.

- Macie cokolwiek?

Phil wzruszył ramionami.

- Daj nam znać, jeśli zobaczysz białego mężczyznę w wieku od szesnastu do dwudziestu pięciu lat ubranego w ciemną, zimową kurtkę i granatową wełnianą czapkę.

- Założę się, że telefony na linię alarmową się urywają.

- Daj spokój, sąsiedzi muszą tańczyć z radości. Nie przepadali za nim, i to z a n i m się dowiedzieli, co miał w komputerze.

- Miał szczeniaka?

Phil pokręcił głową.

- Będziemy musieli porównać zdjęcia zgromadzone przez obie ofiary - rzuciła bez zastanowienia. Dopiero po chwili poczuła, jak skręcają się jej wnętrzności na myśl o przejściu od obrazu małego Jacka do tych zdjęć...

Zawahała się. Stojący obok Phil, ojciec czwórki, też wyglądał na zbitego z tropu.

- Ja się tym zajmę - zdecydował za nich Neil.

Podnieśli na niego wzrok.

- Nie żebym miał ochotę - dodał, wzruszając ramionami. - Jednak skoro nie mam dzieci, a wy oboje... Wicie, będzie mi łatwiej. No i to ja nadzoruję przecież sekcje zwłok. Przejrzenie tych zdjęć nie będzie chyba gorsze?

- Będzie dużo, dużo gorsze - natychmiast odpowiedział Phil. - Zwłoki... cóż, najgorsze mają już za sobą. A te dzieci...

Neil znów wzruszył ramionami.

- Ktoś i tak musi to zrobić. Lepiej ja niż wy.

Phil wolno pokiwał głową.

- Pięknie nam tu chłopak dorasta - zwrócił się do D. D.

- Pięknie go sobie wychowaliśmy - odpowiedziała pani sierżant.

Neil przewrócił tylko oczami.

- Jakież rady dla debiutanta? - spytał.

- Nie szukaj podobieństw jedynie między ofiarami - odpowiedziała D. D. - choć od tego należy zacząć, studiuj też uważnie tło każdego zdjęcia, patrz na wzory firanek, dywanów, pościeli. Czasem punktem zbieżnym nie okazuje się osoba, lecz miejsce, dzięki któremu udaje się powiązać jednego zbrojcy z drugim. Jak skończysz, wyślemy zdjęcia do Narodowego Centrum do spraw Zaginionych i Wykorzystywanych Dzieci. Ich specjaliści na nowo przejrzą zdjęcia, porównując je tym razem ze swoją bazą. Mają też programy do rozpoznawania twarzy, co znacznie ułatwia sprawę.

Neil tylko patrzył bez słowa.

- Musimy cię wysłać na Akademię FBI - poinformowała młodszego partnera.

Powtarzała to regularnie co pół roku. Akademia FBI w Quantico organizowała dziesięciodniowe szkolenia doskonalące warsztat policyjny. Uważane były za obowiązkowy krok w karierze każdego detektywa. Podczas swojego kursu D. D. spędziła cały dzień ze specjalistami z Narodowego Centrum ds. Zaginionych i Wykorzystywanych Dzieci. Dzięki temu poznała narzędzia, którymi wspierali lokalne komórki. I doceniła to, że jest detektywem, a nie wiecznie walczącym z wiatrakami kryminologiem, który próbuje ratować molestowane dzieci.

Patrzyła Neilowi prosto w oczy. Odwrócił wzrok, jak zawsze, gdy wypływał temat szkolenia.

- Sprawca jest praworęczny - wymamrotał pod nosem, by zmienić temat. - Wnioskując po kącie oddania strzału.

- Niezbyt nam to zawęża - D. D. wzruszyła ramionami.

- Zbrodnię popełniono w środku dnia - dorzucił Neil.

- Skąd taki wniosek?

- Bo w żadnej z dzielnic nikt nie otworzyłby drzwi po zmroku.

- Brak świadków w obu przypadkach.

- Bo w obu dzielnicach - powtórzył Neil - ludzie są nauczeni, by niczego nie widzieć. A nawet jeśli coś widzieli, na pewno nam o tym nie powiedzą.

- Prawda - D. D. przyznała mu rację i zwróciła się do Phila: - Podczas gdy Neil będzie przeglądał zdjęcia, zajmij się komputerami obu ofiar. Pedofile działają w sieci. Siedzą na czatach, prowadzą błogi, szukają ludzi podobnych do siebie. I nawet jeśli ci dwaj nigdy nie spotkali się osobiście, ich ścieżki mogły się skrzyżować w wirtualnej rzeczywistości. Znajdź jakiś wspólny mianownik, to może ruszymy z miejsca.

- Komputer Antiholde'a był już sprawdzany - poinformował ją Phil. - A to oznacza, że muszę prześwietlić tylko ten i mogę zacząć zabawę.

- Poprosimy o nagrania z monitoringu - dodała cicho, mając na myśli kamery publiczne umieszczone na wielu bostońskich budynkach, czasem będących własnością państwa, czasem prywatnych przedsiębiorców, a czasem przezornych mieszkańców zabezpieczających się na wypadek zbrodni. - Kto wie, może akurat znajdziemy ujęcie białego mężczyzny między szesnastym a dwudziestym piątym rokiem życia, ubranego w czarną zimową kurtkę i granatową wełnianą czapkę?

Phil i Neil uśmiechnęli się z powątpiewaniem, ale D. D. pokiwała im palcem.

- Mówię poważnie! Zapomnijcie o ciuchach i wieku, skupcie się na białym chłopaku. Ilu ich

widujecie w takich dzielnicach? Niewielu, a to działa na naszą korzyść.

- Chcesz wciągnąć w to media? - spytał Phil.

Będzie musiała o tym pomyśleć.

- Może kiedy stworzymy dokładniejszy profil sprawcy. Do tego czasu nie widzę sensu.

Neil wydawał się zaskoczony.

- Ale mamy dwie zastrzelone ofiary, jedną niespełna kilka dni temu. Co oznacza, że sprawca może się właśnie przymierzać do trzeciego morderstwa.

- Trzeciego pedofila - dodał cicho Phil.

D. D. była ostrożniejsza:

- Dwie zbrodnie popełnione przez tego samego sprawcę? A skąd ta pewność? Masz jakiegoś świadka, który widział na obu miejscach zbrodni tę samą osobę? Masz raport balistyczny potwierdzający, że kule w jednym i drugim wypadku wystrzelono z tej samej broni?

Neil pokręcił głową.

- No to nie wyciągajmy pochopnych wniosków. Nie chciałabym siać paniki w mieście. I może... wcale nie mam ochoty ostrzegać żadnego zbrodnie.

Neil otworzył szerzej oczy ze zdziwienia. Dobrze wiedział, co oznacza ta decyzja w praktyce. Niepewnie spojrział na Phila, którego twarz zachowała równie kamienny wygląd co D. D.

- Wow - wyrwało się Neilowi w końcu. - A ja myślałem, że po urodzeniu dziecka trochę zmięknie...

Przy ostatnich słowach ściszył głos, uświadomiwszy sobie, że tę ostatnią myśl powinien zatrzymać dla siebie.

Na szczęście D. D. klepnęła go tylko w plecy.

- Też się za tobą stęskniłam - oznajmiła z uśmiechem. - A teraz, proszę nie brać tego do siebie, ale ja muszę być w domu przed siedemnastą, co daje nam - zerknęła na zegarek - jakieś sześć godzin na złapanie mordercy. Do roboty!

Rozdział 3

Pracę na miejscu zbrodni zakończyła dopiero po kilku godzinach. Dawno już przestała zwracać uwagę na smród psich odchodów. Kiedy schodziła po schodach i opuszczała starą czynszową kamienicę, tysiące myśli kłębiło się jej w głowie: powinna już wracać do domu, powinna skontaktować się z detektywem, który prowadził pierwsze śledztwo, powinna przyspieszyć badania balistyczne, by porównać obie zbrodnie. Jakie są szanse, że jej szef, Cal Horgan, da jej dodatkowego człowieka do przejrzenia nagrań z monitoringu? A może będzie musiała sama się tym zająć? Phil potrzebuje przecież kilku dni na sprawdzenie komputera. A Neil wpadnie zapewne w depresję po pierwszej porcji zdjęć. Wiedziała, bo ona i Phil już to przerabiali i zapewne nie raz będą to jeszcze przerabiać, choć miała nadzieję, że nieprędko. Nieważne, jak bardzo uda ci się zdystansować, takie zdjęcia zawsze sprawiają ból. Do powstającej w głowie listy dodała: sprawdzić, jak się czuje Neil, jak mu idzie robota, czy potrzebuje wsparcia psychologa, a może sesji terapeutycznej przy kuflu zimnego piwa? Dobry sierżant poświęcał tyle samo uwagi dochodzeniom co swoim ludziom, a D. D. uważała się za dobrego sierżanta.

Pokonała ostatnie stopnie i wyszła na świeże powietrze, wciągając do płuc kilka solidnych haustów. Na zewnątrz nie czekali żadni reporterzy, bo strzelaniny w takich dzielnicach rzadko trafiały na nagłówki gazet. Oczywiście jeśli dziennikarze zwierzają informację o zdjęciach i powiążą obie strzelaniny, a głupi przecież nie są...

Na razie D. D. postanowiła rozkoszować się ciszą, póki trwała.

Przepchała się przez resztki gapiów, z których większość wyglądała na wyraźnie znudzonych i zawiedzionych, że praca na miejscu zbrodni nie wygląda tak spektakularnie jak w telewizji. D. D. wepchnęła dłonie w kieszenie, skuliła się, czując przeszywający styczniowy mróz i ruszyła w stronę samochodu.

Zostało jej do pokonania jakieś pięć metrów, kiedy zauważyła coś białego pod lewą wycieraczką, coś co mogłoby być kulką śnieżną, gdyby tak nie łopotało na wietrze. Kartka papieru.

Zapewne reklama albo ulotka. Wtuliła się głębiej w roboczą kurtkę i szła dalej tym samym tempem.

Kiedy zbliżyła się do maski, wiedziała już, że to nie ulotka - litery były odręcznie napisane. Zwolniła kroku. Nie wyciągając rąk z kieszeni, uważnie studiowała kawałek kartki.

Litery były cienkie, pełne zawijasów, do tego dziwnie spłaszczone u dołu, jakby ktoś pisał od linijki. Wiadomość nie była zaadresowana ani podpisana. Zawierała dwa zdania.

„Wszyscy kiedyś umrzemy”.

„Trzeba być odważnym”.

D. D. natychmiast podniosła wzrok znad świstka i rozejrzała się wokół. Postać w ciemnej puchowej kurtce zniknęła właśnie za rogiem po drugiej stronie ulicy.

D. D. ruszyła w pościg.

Kiedy pędziła co sił w nogach, w jej głowie pojawiły się dwie myśli jednocześnie. Po pierwsze, bieganie osiem tygodni po porodzie nie jest najlepszym pomysłem, pewne części ciała wściekle podskakują, co dość utrudnia sprawę. Po drugie, pościg za potencjalnym sprawcą w pojedynkę to już zupełne szaleństwo w przypadku świeżo upieczonej matki, która planuje za jakieś trzy godziny ucałować synka na dobranoc.

I jeszcze jedna zła wiadomość: mundurowi funkcjonariusze noszą ze sobą nadajniki radiowe, detektywi nie. Co oznacza, że powinna była wezwać posiłki przez radio w samochodzie, zatrzymać się i krzyknąć przez ramię cokolwiek.

Pięprzyć to. D. D. okrążyła plac i dostrzegłszy szybko poruszającą się ciemną postać, która przymierzała się do przebiegnięcia przez ulicę, krzyknęła:

- Policja! Stój, bo strzelam!

Daleka była od użycia jakiegokolwiek siły, na szczęście większość obywateli wychowała się na *Budnym Harrym* i nie zwykła podważać zasadności takich ostrzeżeń. Ubrana na ciemno postać zatrzymała się i odwróciła.

- Trzymaj ręce tak, żebym je widziała! - krzyczała D. D., zwalniając. Prawa dłoń nie puszczała rękojeści broni ukrytej w futerale przy boku.

Osobnik wyciągnął ręce, rozpostarł ramiona i rozłożył odziane w czarne rękawiczki palce w jakiejś komicznej parodii z serii „Ja nic nie zrobiłem”.

D. D. zbliżała się teraz krokiem spacerowym, z większą ostrożnością. Zdążyła zarejestrować

bladą owalną twarz wyzierającą spomiędzy kołnierza czarnej puchowej kurtki i naciągniętej głęboko na oczy czarnej wełnianej czapki. Z tej odległości rysy wydawały się zbyt drobne, zbyt delikatne na mężczyznę. Kiedy przyjrzała się uważniej, spod za dużej kurtki wyłoniła się sylwetka osoby nie wyższej niż metr sześćdziesiąt i ważącej najwyżej pięćdziesiąt kilogramów.

Kobieta. Biała, młoda, na oko dwudziestokilkuletnia. Ciemnowłosa z głęboko osadzonymi niebieskimi oczami, z których wyzierała mieszanina nieufności, strachu i buntu. Jak u większości zatrzymywanych przez policję. Najpierw walczone „Nic nie zrobiłem”, potem pełne niepewności „Mam jednak coś na sumieniu”.

Zatrzymała się trzy kroki przed nieznaną. Mierzyła ją twardym spojrzeniem, nie puszczając broni.

- Imię i nazwisko - zażądała.
- Po co?

D. D. zmrużyła oczy.

- Zawsze pyskujesz policjantom?
- Proszę pokazać odznakę - poprosiła kobieta pewnym głosem, lekko przyciszonym przy ostatniej sylabie. Nie taka do końca znowu twardzielka.

D. D. czekała bez słowa, bez ruchu. To zawsze najlepszy atak.

Dziewczyna westchnęła w odpowiedzi, zaczynała odzyskiwać pewność siebie. Wyglądało na to, że niejedno w życiu przeszła.

D. D. pozwoliła, by cała minuta upłynęła w milczeniu. Potem powoli, z rozmysłem, lewą ręką odpięła odznakę od paska spodni i wyciągnęła przed siebie.

- Sierżant detektyw D. D. Warren, bostońska policja. Ja się przedstawiłam, twoja kolej.
- Charlene Rosalind Carter Grant.
- Że jak? - D. D. zamrugała oczami z niedowierzaniem. - Rosalynn Carter... Jak była pierwsza dama?

- Rosalind! Rosalind Carter. Charlene. Rosalind. Carter. Grant. Możesz mi mówić Charlie.

D. D. wpatrywała się twardo w kobietę.

- Nie mieszkasz nigdzie w pobliżu, prawda, Charlie?
- Nie mieszkam.
- To co robisz na moim miejscu zbrodni?

Młoda kobieta nie spuszczała z niej wzroku. Z jej zmieniającego się wyrazu twarzy trudno było cokolwiek wyczytać.

- Sprawdzam panią.
- Przepraszam, co robisz?
- Spodziewam się, że za cztery dni ktoś mnie zamorduje. Podobno jest pani jednym z najlepszych detektywów bostońskiego wydziału zabójstw, więc chciałabym, żeby to pani poprowadziła śledztwo. Wygląda na to, że jest pani moją ostatnią nadzieją na to, by sprawiedliwości stało się zadość.

D. D. zabrała Charlie ze sobą do siedziby wydziału zabójstw. Po pierwsze dlatego, że w życiu nie słyszała bardziej niewiarygodnej historii, co tylko wzmogło jej podejrzliwość. Po drugie, kobieta odpowiadała opisowi sprawcy widzianego na miejscu pierwszej zbrodni, nie wspominając już o tym, że oddalała się od samochodu D. D. dokładnie w chwili, gdy sierżant zauważyła kartkę. No i

wreszcie samotna kobieta w czarnej puchowej kurtce była jak na razie jej jedynym punktem zaczepienia.

D. D. przeszukała podejrzaną, poprosiła, by kobieta zdjęła czapkę, następnie usadowiła ją na tylnym siedzeniu swojego forda crown victoria. Policyjna zasada numer jeden: najważniejszy jest kontakt wzrokowy z podejrzanym i wyraz jego twarzy. Dlatego D. D. nigdy nie pozwalała nikomu chować się pod czapkami czy szalikami.

D. D. włożyła kartkę do plastikowego woreczka na dowody, opisała i odłożyła na siedzenie pasażera. Potem ruszyła do biura, z Charlie na tylnym siedzeniu i telefonem przy uchu. W ciągu kilku minut zdołała ustalić, że Charlene Rosalind Carter Grant pracowała w Bostońskim Centrum Powiadomiania Ratunkowego i nie ciążył na niej żaden nakaz sądowy. Dwa punkty dla dziewczyny, na to przynajmniej wyglądało.

Potem odsłuchiwała wiadomości na skrzynce głosowej. Pierwsza od Alexa, który pytał, jak mija jej dzień. Druga od matki. Na sam dźwięk jej głosu mimowolnie się skrzywiła. Rodzice przyjeżdżają za dwa dni, w czwartek wieczorem. Matka pytała, czy D. D. zamierza odebrać ich z lotniska, czy mają sami się dostać do domu Alexa. Ton głosu nie pozostawiał wątpliwości, jakie ma zdanie na temat każdej z opcji. No i sposób, w jaki wymówiła „domu Alexa”.

D. D. skasowała wiadomość. Nie zamierzała od razu oddzwaniać.

Jeszcze miała czas na panikę. Uciec z Alexem i małym Jackiem, dołączyć do jakiejś wędrowniej trupy cyrkowców. Alexowi byłoby do twarzy w pasiastym stroju klauna, a mały Jack wyglądałby uroczo w grochach. Jeśli miała wybierać między wypominającą jej nieślubne dziecko matką a noszeniem czerwonego nosa do końca życia... no cóż, wybór wydawał się oczywisty.

D. D. westchnęła. Jej rodzice nienawidzili wycieczek na północ. Nic więc dziwnego, że czekali, aż ich jedynaczka przywiezie wnuka na Florydę. Jednak Jack przyszedł na świat cztery tygodnie przed planowaną datą porodu, w połowie listopada zamiast w połowie grudnia. Pierwszy tydzień życia musiał spędzić na oddziale neonatologicznym, żeby dojść do siebie niczym ciasteczko w piekarniku, jak powiedział jej położnik. Nie miała wtedy głowy powiadamiać rodziców. Zadzwoiła dopiero po dziesięciu dniach, co okazało się niewybaczalnym błędem. Jednak przez tych pierwszych kilka dni...

Kiedy kryzys został zażegnany i skontaktowała się wreszcie z rodzicami, zbliżało się Święto Dziękczynienia. Za duży zamęt na podróże, poinformowała ją matka głosem pełnym konsternacji i dezaprobaty. Przez egoizm D. D. stracili już dwa pierwsze tygodnie z życia wnuka, a teraz będą musieli czekać nawet dłużej...

Kolejne telefony, kolejne narzekania na tłumy podróżnych, ciągle rosnące poczucie winy. Aż wreszcie odliczała dni do zaplanowanego na dziewiętnasty stycznia lotu.

Tego dnia jej rodzice, którzy nigdy nie planowali dzieci, ale zaliczyli na starość małą wpadkę, której owocem była właśnie D. D., i ich latorośl, sierżant bostońskiej policji, która też nie planowała dzieci, ale zaliczyła na starość małą wpadkę, będą mogli usiąść przy jednym stole i podać sobie ręce.

Jeśli Alex pozostał jeszcze przy zdrowych zmysłach, powinien uciekać, gdzie pieprz rośnie.

D. D. podjechała pod budynek, rozglądając się za miejscem do zaparkowania. Siedziba wydziału zabójstw mieściła się w ścisłym centrum Roxbury i o miejsce parkingowe było tu równie trudno co o niećpającego nastolatka. Zaliczyła trzy rundki wokół budynku. Wreszcie szczęście się do niej uśmiechnęło.

Zaparkowała, wysiadła, otworzyła tylne drzwi i raz jeszcze przyjrzała się dziewczynie.

Charlene Rosalind Carter Grant wysiadła z tylnego siedzenia i czekała.

- Nie jesteś jakoś specjalnie rozmowna - zauważyła D. D.

- Nie wierzy mi pani, to co mam mówić?

D. D. kiwnęła głową.

- Rozumiem. Napijesz się kawy? - Ruszyła ulicą w stronę budynku.

- Chętnie. Czy jestem o coś oskarżona?

- A powinnam cię o coś oskarżyć?

Dziewczyna westchnęła.

- Rozmawiała pani z Dyspozytornią Numeru Alarmowego?

- Tak.

- To wie już pani, że nie jestem kompletną świruską.

- Więc po co zostawiałaś mi kartkę za wycieraczką?

- Jaką kartkę? Nie zostawiałam żadnej kartki.

- Tę, którą spakowałam w samochodzie do foliowego woreczka.

- To nie moja kartka - zaprotestowała dziewczyna. - Na oczy jej nie widziałam. Nie mówiąc już o tym, że nawet nie wiedziałam, że to pani samochód. Proszę mi wierzyć, dla nas, zwykłych obywateli, wszystkie fordys crown victoria wyglądają tak samo.

D. D. nie skomentowała tego trafnego skądinąd spostrzeżenia. Czy na ulicy tak gęsto zastawionej radiowozami i fordami crown victoria autor karteczki mógł wiedzieć, który samochód należał do D. D., czy zależało mu jedynie, by trafiła w ręce któregoś z detektywów? Kwestia, nad którą warto się później zastanowić.

Po wejściu do budynku D. D. zabrała Charlie od razu na pierwsze piętro, do wydziału zabójstw. Ładnie tu u nas, pomyślała jak zawsze przy wejściu. Wnętrze ich wydziału przypominało bardziej siedzibę korporacji aniżeli serialowe surowe posterunki. Jako dowódca jednostki przysługiwał jej własny mały gabinet z drewnianym biurkiem, na którym stał laptop, i luksusowym fotelem z czarnej skóry. Bardzo cywilizowanie.

D. D. nie zaprowadziła podejrzanej do biura, tylko do niewielkiego pokoju przesłuchań. Zabrała płaszcz kobiety, kazała jej usiąść, a sama poszła po napoje. Dla dziewczyny kawa. Na widok czajnika zawahała się. Jej organizm od tak dawna dawał sobie radę bez kofeiny, że wytrzyma chyba jeszcze godzinę.

Zrezygnowała z kawy w pierwszych miesiącach ciąży, a raczej zrezygnował z niej mały Jack, który buntował się, ilekroć chwyciła za filiżankę z małą czarną. Potem wstrzeźliwość przez okres karmienia piersią. Sama była zdziwiona, z jaką ochotą się temu oddawała. Odstawiła Jacka w wieku sześciu tygodni tylko dlatego, że musiała wracać do pracy, a jej charakter wykluczał bieganie z laktatorem i resztą oprzyrządowania, z którymi tak heroicznie zmagaly się inne matki.

Brakowało jej tego. Nikomu o tym nie powiedziała, nawet Alexowi, bo co niby miała powiedzieć? Musiała wracać do pracy. Jej dziecko musiało przestawić się na butelkę i przez osiem godzin dziennie zostawać pod opieką miłej pani z sąsiedztwa. Takie jest życie. Skoro radzi sobie z morderstwami, da radę i z rodzicielstwem.

Nalała filiżankę kawy dla Charlie, a dla siebie wzięła butelkę wody.

Dziewięćdziesiąt trzy minuty do powrotu do domu.

Weszła do pokoju przesłuchań, usiadła naprzeciw podejrzanej i zabrała się do roboty.

- Skąd pochodzisz, Charlie?

- Z J-Town w New Hampshire.

- Nie kojarzę.

- Trzy godziny na północ, niedaleko Góry Waszyngtona. Małe miasteczko, w którym wszyscy są ze sobą po imieniu.

- Dlaczego wyjechałaś?

- Bo jestem przekonana, że osoba, która będzie próbowała mnie zabić dwudziestego pierwszego stycznia, to ktoś, kogo znam. Krok pierwszy: uciec od wszystkich, których znam.

Dziewczyna się skrzywiła. Wzięła od D. D. kawę, ale jeszcze się jej nie napiła. Trzymała w dłoniach filiżankę, jakby chciała sobie ogrzać dłonie.

Z tego, co się D. D. zdążyła dowiedzieć, Charlie Rosalind Carter Grant miała dwadzieścia osiem lat. Na żywo, z długimi kasztanowymi włosami ściągniętymi ciasno w koński ogon, wyglądała nawet młodziej. Była drobnej postury, do tego skulona na skutek stresu lub nerwów. Jej blade policzki były zmizerniałe, a niebieskie podkrążone oczy zdradzały nieprzespane noce. Miała na sobie za dużą, bezkształtną czarną bluzę, jaką noszą najczęściej zbiry i wandy, podziurawione džinsy i tanie śniegowce. Strój pozwalający się wtopić w tłum każdego dużego miasta.

Doskonałe przebranie zarówno dla drapieżnika, jak i dla ofiary.

- Dlaczego dwudziestego pierwszego stycznia? I czemu myślisz, że znasz zabójcę?

Wtedy dziewczyna zaczęła mówić, a jej historia naprawdę robiła wrażenie. Opowiedziała o przyjaciółce z dzieciństwa zamordowanej dwa lata wcześniej dwudziestego pierwszego stycznia i kolejnej przyjaciółce zamordowanej dokładnie tego samego dnia rok później i o tym, że oto została sama na linii strzału. Podała nazwiska detektywów prowadzących obie sprawy, streściła nawet raport z miejsca zbrodni przygotowany przez emerytowanego profilerę FBI Pierce'a Quincy'ego.

- I znalazł coś? - D. D. musiała spytać, nie żeby nie ufała ekspertyzie jakiegoś federalnego. Zanotowała sobie jednak kilka szczegółów. Z jednym ze śledczych, Roanem Griffinem z Rhode Island, była kiedyś na szkoleniu. Może do niego później zadzwoni.

- Wniosując po braku śladów włamania i walki, Quincy stworzył portret osobnika o ponadprzeciętnej inteligencji, metodycznego w wyglądzie i działaniu, być może znanego ofiarom, a przynajmniej na pierwszy rzut oka niebudzącego poczucia zagrożenia. Wygadanego, skoro potrafił się wprosić do środka i kontrolować sytuację do ostatniej chwili.

Dziewczyna recytowała zdania z pamięci głosem pozbawionym emocji. Jak ktoś, kto przeczytał analizę miejsca zbrodni tyle razy, że konkretne zdania przestały się odnosić do bliskich mu osób, a stały się wyuczonymi na pamięć frazesami, powtarzanymi w kółko kolejnym ekspertom. D. D. miała doświadczenie w pracy z rodzinami ofiar. Znała kolejne etapy. Nie raz obserwowała, jak przepelnieni bólem bliscy ofiar zmieniają się w żądnych krwi adwokatów. Lepiej zaznajomionych z tematem niż niejeden specjalista.

- Napaść na tle seksualnym? - spytała D. D.

- Nie.

D. D. się skrzywiła. A to niespodzianka. U źródeł większości morderczych instynktów leży żądza. A gdy ofiary są wcześniej śledzone i w jakiś sposób bliskie sprawcy, tym bardziej należy się spodziewać motywów seksualnych. Chyba że to morderstwo na zlecenie albo na tle

rabunkowym. Wówczas w grę wchodzi pobudki bardziej materialistyczne.

- Ślady włamania? - spytała.
- Brak.
- Coś zniknęło? Cokolwiek, choćby jakiś drobiazg, który mógł mieć osobiste znaczenie dla którejś z ofiar?

Charlie pokręciła głową.

- Nie, choć oczywiście nie mogę mieć pewności - dodała. - Moje przyjaciółki mieszkały same, nie sposób sprawdzić każdy przedmiot. Łatwo przeoczyć jakiś drobiazg.

- Ewentualny spadek? Ktoś wyjątkowo skorzystał na śmierci twoich przyjaciółek?

- Nie wiem. Randi nie zostało wiele po rozwodzie. Stawiam, że wszystko dostali rodzice. Podobnie u Jackie. Nieźle zarabiała w Coca-Coli, ale nie nazwałabym jej bogatą. Miała dom, samochód, fundusz emerytalny. Majątek wart kilkadziesiąt tysięcy dolarów, a nie kilkaset.

- Ty coś dostałaś? - spytała D. D. bez ogródek.

Dziewczyna pokręciła przecząco głową.

- Miała któraś polisę na życie?

- Nic mi na ten temat nie wiadomo. Chociaż - poprawiła się - nie zdziwiłabym się, gdyby Jackie miała taką polisę. Lubiła wszystko planować z wyprzedzeniem. Zakładam, że spadkobiercami mogli być rodzice albo brat.

- A nie mąż?

- Raczej partnerka.

- Była lesbijką?

- Tak.

- Było coś kiedyś między wami? - spytała D. D., wpatrując się w dziewczynę z zaciekawieniem.

- Byłyśmy najlepszymi przyjaciółkami - odparła beznamiętnym tonem. - Lesbijki przyjaźnią się z kobietami, wie pani? Tak jak i mężczyźni przyjaźnią się z kobietami.

- Musiałam spytać - dodała D. D. łagodnie. - To moja praca. - D. D. przygryzła wargi, przetwarzając w głowie informacje. Dwa morderstwa, które dzieliło ponad trzy tysiące kilometrów. Widoczny związek między ofiarami, metodologią działania i datą, ale nic konkretnego, czego można by się uczyć. Niesamowita historia, musiała przyznać. Interesująca. Intrygująca. Z serii tych, które pobudzają zmysły detektywów pracoholików.

- To czego chcesz? - spytała w końcu D. D.

Charlie zamrugnęła. Znów wzięła do ręki filiżankę z kawą i wpatrywała się bez słowa w panią sierżant.

- To znaczy? - spytała wreszcie.

- Przyszłaś do mnie, już zapomniałaś? Zaczaiłaś się w pobliżu miejsca zbrodni. Po co?

Dziewczyna się zawahała. Uciekła wzrokiem.

D. D. upiła łyk wody. Lubiła oczywistych kłamców. Znacznie ułatwiało jej to pracę.

- Chciałam panią zobaczyć.

- Skąd wiedziałaś, że tu będę?

- Policyjny skaner nasłuchowy. Pracuję jako dyspozytorka, zapomniła pani? Słyszę wszystkie wezwania. Mówili o strzelaninie, więc założyłam, że pani tu będzie.

- Dlaczego?

- Bo sobie panią wygooglowałam.
- Że co zrobiłaś?
- Wygooglowałam sobie panią. Szukałam detektywów z wydziału zabójstw i pani nazwisko przewijało się najczęściej. Pomogła pani uratować córeczkę funkcjonariuszki policji stanowej, rozwiązała pani sprawę morderstw dwóch całych rodzin, odnalazła pani tamtą zaginioną kobietę z Południowego Bostonu. Poszperałam w Internecie i... - Dziewczyna odsunęła filiżankę z kawą, popatrzyła na D. D., wzruszyła ramionami. - Nie wiem, co się stanie za cztery dni. Chyba chciałam zobaczyć na żywo osobę, która będzie prowadzić sprawę mojego morderstwa. Myślałam, że to, że mnie pani pozna, może jakoś pomóc. Że będzie się pani bardziej starać. I że wreszcie uda się go złapać. Komuś w końcu musi się udać.
- Nie mnie - odparła D. D.
- Dlaczego?
- Wynajmujesz pokój w Cambridge, prawda? To nie mój rejon.
- Aha - Charlie najwyraźniej nie miała o tym pojęcia. - Może nie tam zginę.
- Twoje przyjaciółki zginęły w swoich domach, prawda?
- Ale to w zasadzie nie mój dom - odpowiedziała dziewczyna. - Ja tylko wynajmuję pokój.
- To już dylemat natury semantycznej. Twój profiler podkreślał jednak osobisty stosunek sprawcy do obu ofiar, zgadza się? Nie były dla niego nieznanymi. Sprawca dobrze znał obie.
- Tak.
- Więc uderzy tam, gdzie czujesz się swobodnie. To część planu, metodologii. Nie wystarczy mu zacząć się w metrze. Musisz widzieć, jak nadchodzi. Musisz przywitać go uśmiechem. Obowiązkowy punkt programu.
- W takim razie nie wracam do domu dwudziestego pierwszego.
- Ciekawość D. D. rosła wbrew jej woli.
- Więc opuściłaś rodzinne miasteczko, przyjechałaś do dużego miasta. Stwierdziłaś, że tu się łatwiej zgubić, łatwiej wtopić w wielkomięjski tłum.
- Dziewczyna kiwnęła głową.
- Biegam, podnoszę ciężary, boksuję i ćwiczę strzelanie. Nie jestem bezbronna.
- A pozwolenie na noszenie broni? - spytała D. D. ostrym tonem.
- Mam.
- Jak ci się udało je zdobyć?
- Massachusetts różni się w tej kwestii od innych stanów, na terenie których możesz trzymać sobie broń, gdzie ci się żywnie podoba: w samochodzie, w domu, w pracy. Tutaj trzeba mieć oficjalną zgodę na samo posiadanie broni. A już na pozwolenie na noszenie jej przy sobie poza domem czy pracą wymaga się jakiegoś konkretnego powodu, najczęściej starają się o nie pracownicy ochrony albo właściciele dużych firm noszący przy sobie pokazną gotówkę. Trudno sobie wyobrazić, by wydano je ot, tak jakiejś młodej paranoiczce.
- Dziewczyna powtórzyła jednak z uporem, krzyżując ręce na piersiach:
- Mam pozwolenie.
- D. D. dalej mierzyła ją baczny spojrzeniem.
- No dobra, jesteś legalną posiadaczką broni i trenujesz, by być niebezpieczną. Ale imienia i nazwiska nie zmieniałaś: Charlene Rosalind Carter Grant. Po co tyle zachodu, jeśli zostałaś przy swoim nazwisku?

Dziewczyna uciekła wzrokiem.

- Muszę pracować, a jedyne doświadczenie, jakie mam, to w pracy w centrum powiadamiania ratunkowego. Tam trzeba jednak przejść gruntowną weryfikację. Nawet gdybym stworzyła sobie nową tożsamość, nie wiedziałabym, jak dorobić całą resztę, by przeszła tak skrupulatną kontrolę.

- Jasne.

Dziewczyna umilkła zaskoczona, popatrzyła na panią sierżant z wyrzutem.

- Nie marnuj mojego czasu. Jeśli raz kłamiesz, cały czas muszę się zastanawiać, czy i kiedy mówisz prawdę. A tak dla twojej wiadomości - D. D. zerknęła na zegarek - zostały ci trzy minuty, więc nie marnuj ich na gierki.

- Zostały mi tylko trzy minuty?

- Tak. To się nazywa życie rodzinne. - D. D. poinformowała ją z powagą: - Po czterdziestu latach wreszcie postanowiłam spróbować. Więc nie ściemniaj mi tu, tylko powiedz, dlaczego zostawiłaś nazwisko.

- Chcę wrócić do domu - odpowiedziała dziewczyna, a po tonie jej głosu D. D. od razu wiedziała, że nie ma na myśli wynajmowanego pokoiku w Cambridge. Że chodzi jej o rodzinne miasteczko i jego mieszkańców. O miejsce, do którego należała, zanim jej najlepsze przyjaciółki zaczęły ginąć.

Miejsce, które D. D. zaczynała sobie wyobrażać, co przestraszyło ją odrobinę i przyprawilo o dreszcze, bo w głosie dziewczyny słychać było nostalgię, tęsknotę, którą planująca wyjść za trzy minuty D. D. doskonale rozumiała.

- Chcesz, żeby morderca cię znalazł.

- Inaczej nie mogę wrócić do domu.

- Próbował nawiązać jakiś kontakt? Liściki, telefony, jakiegokolwiek ostrzeżenia lub groźby?

Dziewczyna pokręciła przecząco głową.

- Rozumiem - powiedziała niemal przyjaznym tonem - że nic nie może pani zrobić. Nie ma groźb, napaści, morderstwa, nie ma zbrodni, nie ma sprawy. Jestem dla pani tylko mało przekonującą bajeczką.

- Powinnaś zmienić nazwisko - odpowiedziała D. D. - Albo przynajmniej podzielić się swoją historią ze współpracownikami. Jesteś dyspozytorką. Pracujesz z policjantami. Dbasz o ich tyłki, więc oni mogą zadbać o twój.

- To będzie ktoś, kogo znam, ktoś, komu ufam. - Charlie pokręciła energicznie głową.

- Ale policjanci, z którymi pracujesz, nie znali twoich starych przyjaciół. Są na chwilę obecną twoją najlepszą opcją.

Ale Charlie, nie wiedzieć czemu, nie wyglądała na przekonaną. To, że masz paranoję, wcale nie znaczy, że nikt tam na ciebie nie czyha, pomyślała D. D.

Zerknęła na zegarek. Minęły trzy minuty. Koniec przesłuchania. Czas, by nowa, lepsza D. D. zameldowała się w domu. Wstała.

- Charlene Rosalind Carter Grant, jaką broń nosisz przy sobie?

Dziewczyna przyglądała się jej bez słowa. D. D. odwzajemniła badawcze spojrzenie.

- Taurusa dwudziestkędwójkę z długą lufą - rzuciła oschle dziewczyna. - Trenuję z J. T. Dillonem w Związku Strzeleckim stanu Massachusetts w Woburn.

- Tak? I jak ci idzie?

- Trafiam w dziesiątkę z pięćdziesięciu metrów.
- Nie miałabyś więc problemu z podwójnym strzałem w skroń.
- Takie strzały są ryzykowne - odpowiedziała dziewczyna spokojnie. - Lepiej celować w środek ciała.

D. D. trawiła chwilę odpowiedź, wciąż niepewna, co dziewczyna robiła w pobliżu miejsca zbrodni, wciąż niezadowolona z niektórych odpowiedzi na zadane pytania. Samo przebywanie w pobliżu miejsca morderstwa trudno jednak zaklasyfikować jako przestępstwo...

D. D. odeszła od stołu.

- Dobra. Na tym kończymy - oznajmiła, a po chwili dodała: - Na dzisiaj.

Dziewczyna zamrugła nerwowo.

- To znaczy?
- Wracaj do domu. Dbaj o siebie. Unikaj miejsc zbrodni.
- Swojego własnego również? - Dziewczyna uśmiechnęła się blado, a potem zaczęła wstawać. - Nie możecie mi pomóc.

- Masz rację. Bez zbrodni nie ma śledztwa.

- Utrzymuję swój pokój w nieskazitelnej czystości. Dzień wcześniej planuję potraktować wybielaczem podłogi, ściany i prześcieradła. Powinna to pani wiedzieć dwudziestego pierwszego, obojętnie, czy dostanie pani ten rejon, czy będzie się kontaktować z detektywem, który go dostanie. Cokolwiek znajdziecie, będzie od niego. I sprawdźcie moje paznokcie. Zapuszczam je, więc szukajcie krwi, włosów, skóry, zrobię wszystko, by dostarczyć wam DNA. Nie dam się. Proszę o tym pamiętać dwudziestego drugiego. Przygotowuję się, planuję, opracowuję strategię. Kiedy mnie złapie, nie poddam się bez walki.

D. D. patrzyła na dziewczynę. Wierzyła jej. Tego jednego była pewna.

- Polegnę w walce - poinformowała policjantkę Charlene Rosalind Carter Grant. - Proszę o tym pamiętać, pani detektyw. A potem już wszystko będzie... w pani rękach.

Rozdział 4

- Mam, jestem! - Chłopiec wparował do środka niczym odrzutowiec. Plecak Red Soxów cisnął na lewo, śniegowce kopnął na prawo. Zimową granatową kurtkę upuścił na ziemię przed sobą, następnie ją przeskoczył. Wylądował z głośnym hukiem, zdjął z głowy czapkę i rzucił ją w powietrze. Nie czekał, gdzie spadnie, od razu pobiegł do kuchni po przekąskę.

- Jesse - z głębi korytarza dobiegło go besztanie matki. - Nie tak głośno! Rozmawiam przez telefon.

Chłopiec skwitował to milczeniem, wiedział, że mama wcale nie czeka na odpowiedź. Jego wejście i jej pretensje były stałym elementem popołudniowego scenariusza, prawie jak batonik twinkies.

Matka Jessego pracowała jako telemarketerka. Sprzedawała różne rzeczy przez telefon. Szczęście, że w ogóle miała pracę, powtarzała mu wiele razy. Szczęście, że mogła pracować w domu i Jesse nie musiał przesiadywać popołudniami w świetlicy, gdzie wmuszali w dzieci batoniki zbożowe, i to nawet nie te dobre, chrupiące, tylko twarde i suche, takie, których

dzieciaki szczerze nie znoszą, a rodzice kupują, bo w opakowaniach zbiorczych wychodzą taniej.

Jesse wspiął się na blat kuchenny, otworzył górną szafkę i chwycił niebieski plastikowy kubek. Zeskoczył na podłogę. Z takim hukiem, że podłoga odpowiedziała.

No może nie podłoga, a pani Flowers, tysiącletnia staruszka mieszkająca piętro niżej. Nie lubiła, kiedy Jesse hałasował.

- Chowasz tam chyba małego słonia - narzekała ciągle mamie Jessego.

Mama śmiała się wówczas zmieszana, kwitując jej uwagi zwyczajowym:

- Cóż, tacy już są chłopcy - i rzucając Jessemu spojrzenie, które mówiło, że albo się poprawi, albo...

Jesse westchnął, po cichu podreptał do lodówki i pociągnął z całych sił za drzwiczki. Mieli z mamą umowę, że wolno mu zjeść batonik twinkie, tylko jeśli wypije kubek mleka.

Uczciwe warunki. Jesse nalał sobie mleka i zlizwał wyciekające z batonika nadzienie.

Pierwszy z rytuałów zaliczony, teraz przeszedł do salonu. Nie wolno mu było po szkole oglądać telewizji ani grać w gry telewizyjne. Telewizja wypala mózg, mawiała mama, a przecież on będzie kiedyś swojego potrzebował, jeśli chce dojść do czegoś w życiu. Poza tym hałas telewizora przeszkadzał mamie w pracy.

Stąd kolejna umowa. Mógł w zamian korzystać z laptopa, który stał na stole w rogu. Stolik był dla czterech osób, ale skoro była ich z mamą tylko dwójka, jedno miejsce na stałe zajął komputer. Drugie wolne zostało na zeszyty szkolne. Po kolacji mama je wszystkie przejrzy, a potem Jesse odrobi zadanie domowe. On swoje, a mama swoje.

Ona też chodzi do szkoły. Dla pielęgniarek. Został jej jeszcze rok, a potem będzie mogła poszukać lepszej pracy, tak mu tłumaczyła. Z lepszą pensją i świadczeniami i może będą mogli poszukać fajniejszego mieszkania z placem zabaw, po którym chłopcy mogą szaleć do woli bez strachu przed wiekową panią Flowers.

Jesse usiadł. Włączył laptop. Komputer był stary, podarował go mamie jej ostatni chłopak, który był w porządku. Lubił Red Soxów, ćwiczył z Jessem bejsbol w parku i podarował mu pierwszego wypchanego niedźwiedzia dzierzącego w łapach piłkę i kij, którego chłopiec zarejestrował na stronie AthleteAnimalz. Nazywał się Pałkarz, co bardzo się Jessemu podobało. Sam chciał kiedyś zostać graczem. Jak jego idol Big Papi.

Chłopak mamy przetrwał cały rok. A potem poznał chyba kogoś innego, mama Jessego płakała, a Jesse przestał lubić Mitchella i zaczął go nienawidzić. Którejś nocy poszedł nawet z nożyczkami do Pałkarza i próbował go zniszczyć. Rano nie czuł się z tym jednak dobrze, cóż komu zawinił biedny miś? No i Jesse nie miał w końcu za dużo zabawek ze względu na „zły stan finansów”, o którym ciągle przypominała mama.

Z pomocą srebrnej taśmy klejącej posklejał misia najlepiej jak potrafił. Przykleił wszystkie łapy, piłkę i pałkę. Nawet mu się taki miś podobał. Wyglądał całkiem cool. Od teraz nazywał go Zombie - pałkarz, który wrócił z zaświatów.

Miś Zombie już czekał koło laptopa, gotów na kolejne popołudniowe przygody. Pod jego czujnym spojrzeniem Jesse uruchomił wreszcie komputer i wszedł na stronę AthleteAnimalz.

Jesse mógł odwiedzać tylko trzy strony internetowe. Mama sprawdziła je wszystkie dokładnie, zanim wydała swoją zgodę. Chłopcu nie wolno było wchodzić na żadne strony spoza listy, a kiedyś, gdy przez przypadek wpisał zły adres, mama zaraz o tym wiedziała i nazajutrz go o to spytała. Jesse widział kiedyś reklamę z jakimś sprzętem do szpiegowania. Mama musiała taki

właśnie mieć.

Jesse lubił AthleteAnimalz. Lubiał gry, zwłaszcza bejsbol. Oczywiście na AthleteAnimalz nie występował jako Jesse, tylko Niedźwiedź Pałkarz alias Zombie. Logował się, by w magiczny sposób stać się własnym Niedźwiedziem. Jako Zombie mógł się poruszać po stronie - poznawać ludzi, grać, rywalizować i zbierać punkty.

Jessemu marzył się milion punktów. Ale miał tylko siedem lat i z niektórych gier mało rozumiał. Na razie zebrał sto dwadzieścia jeden punktów. Nie najgorzej, pomyślał. Kiedy dobieje do stu pięćdziesięciu, zdobędzie trofeum. Bardzo chciał je zdobyć. Dlatego codziennie po szkole logował się na stronie AthleteAnimalz i grał w bejsbol. Dołączył do jednej z drużyn, która posiadała między innymi Różowego Pudła, najlepszego pałkarza, jakiego Jesse kiedykolwiek widział. Nie był pewien, czy pudel powinien być dobry akurat w bejsbolu, ale wszystko było możliwe na AthleteAnimalz.

Dzisiaj gra już trwała. Drużyny były kompletne, ale można było „usiąść na ławce rezerwowych” i poczekać, aż któraś drużyna cię wybierze. Wyboru dokona, oczywiście, patrząc na punkty. Najpierw więc szansę dostaną gracze z najlepszym wynikiem, zwierzęta z mniejszą liczbą punktów, tak zwane żółtodzioby, będą musiały poczekać dłużej.

Jesse sprawdził obie drużyny. Rozpiętość punktowa ich członków: małp, psów, kotów, królików, dwóch węży i jednego hipopotama, była duża. Nie najgorzej, zdecydował, ktoś powinien go niedługo wybrać. A jeśli jego drużyna wygra, wszyscy gracze dostaną po dziesięć punktów plus po jednym punkcie za każdy kwadrans spędzony online. W ciągu najbliższych dwóch godzin Jesse bardzo się zbliży do pułapu stu pięćdziesięciu punktów i upragnionego trofeum.

Na ekranie otworzyło się okno. Hipopotam w kasku pałkarza chciał wiedzieć, czy Jesse dołączy do jego drużyny. Przyklejone do monitora oczy Jessego otworzyły się szerzej ze zdziwienia. Hipopotam Pałkarz miał przecież jakiś tryliard punktów. Prawie jak arcymistrz AthleteAnimalz. Jesse grał z nim już wcześniej parę razy.

Hipopotam Pałkarz znał wszystkie ruchy. Hipopotam Pałkarz nigdy nie przegrywał.

Jesse nie wierzył własnemu szczęściu.

Szybko zaakceptował zaproszenie i ikonka jego misia pojawiła się na boisku. Jego drużyna właśnie się broniła. Niedźwiedź Zombie przyjął pozycję w środkowej części boiska. Jesse mógł „złapać” piłkę, klikając myszką raz lub rzucać, obrawszy kierunek za pomocą strzałek funkcyjnych, kolejnym kliknięciem. Z łapaniem szło mu nie najgorzej, ale rzucanie wciąż było nie lada wyzwaniem - z ogromnym trudem operował strzałkami, by wyznaczyć kierunek lotu. Ale dla Hipopotama Pałkarza da z siebie wszystko.

Dla Hipopotama Pałkarza Jesse musi wygrać.

Kilka minut po szesnastej mama Jessego odłożyła słuchawkę telefonu. Chłopiec nawet nie zauważył, że weszła do pokoju. Do gry dołączył przed chwilą Różowy Pudel, którego natomiast wybrała drużyna rywali. Zdążył już zdobyć dwa punkty dla swojej drużyny i w ostatniej rundzie drużyna Jessego przegrywała sześć do siedmiu. Za chwilę mieli stanąć na pałce. Patrząc na dorobek punktowy, Hipopotam Pałkarz był ich niepisany kapitanem. Dodawał im więc otuchy. Przecież mogą to wygrać!

Mama Jessego stanęła za jego plecami.

- AthleteAnimalz? - spytała.

Jesse kiwnął głową nieprzytomnie, nie odrywając wzroku od monitora. Zaraz będzie jego kolej na oddanie strzału. Denerwował się. Nie chciał zawieść swojej drużyny.

Mama kiwnęła z aprobatą głową na widok znajomej strony i wyszła do kuchni.

- Za piętnaście minut obiad - rzuciła na odchodnym.

Znowu przytaknął automatycznie, ledwie przyswajając informację. Jego kolej. Pierwszy out, Hipopotam Pałkarz na drugiej bazie. Jeśli dobrze uderzy, będzie remis. Jeśli świetnie uderzy, zdobędą z Hipopotamem Pałkarzem po punkcie i obejmą prowadzenie.

Żeby uderzyć, Jesse musiał uważnie obserwować nadlatującą piłkę, by w odpowiednim momencie kliknąć myszką. Problem w tym, że piłka czasem przyspieszała, czasem zwalniała, a jeszcze innym razem w ostatniej chwili zmieniała kierunek. Jak w prawdziwym bejsbolu liczyło się wyczucie chwili.

Pierwsze uderzenie. Piłka nagle zmieniła kierunek, a Jesse kliknął zbyt szybko. Miś zamachnął się kijem, ale nie trafił w piłkę.

Uderzenie drugie.

Nad głową Hipopotama Pałkarza otworzyło się okienko dialogowe. Gracze nie mogli pisać wszystkiego, na co mieli ochotę - gra nie dawała takiej możliwości. Kwestia bezpieczeństwa w sieci, jego mama pochwaliła to z uznaniem. Można było natomiast wybierać i wklejać gotowe wyrażenia, związane głównie ze sportem lub luźnymi przyjacielskimi pogawędkami. Strona była również monitorowana pod kątem ewentualnego znęcania się nad słabszymi. Jesse wiedział to od mamy. Nie bardzo rozumiał, jak można się było znęcać nad słabszymi, używając gotowych wyrażen w stylu „Dawaj, dalej, dawaj!”, ale może były sposoby na uniknięcie tych zabezpieczeń, znane starszym, bardziej doświadczonym graczom. Jesse miał to w nosie, dopiero uczył się pisać i cieszył się, że może wybrać dla swojego Niedźwiedzia gotowe zdania jednym kliknięciem myszki.

„Skup się na piłce!” - pisał Hipopotam Pałkarz. - „Uda ci się. Wiem, że ci się uda”.

Jesse wziął głęboki wdech. Zrobi to. Dla swojej drużyny. Dla Hipopotama Pałkarza.

Pojawiła się piłka: maleńki czarny punkcik przemieszczał się w dół monitora najpierw wolno, potem szybciej, szybciej, szybciej...

Jesse kliknął myszką. Jego Niedźwiedź zamachnął się pałką, z głośników dobiegł głuchy trzask, a po chwili mała czarna kropeczka pofrunęła dalej, mijając głowę Niedźwiedzia, Hipopotama Pałkarza, by zniknąć w zielonej trawie.

Na ekranie pojawiło się „Piłka poza boiskiem”. Z nieba posypało się wirtualne confetti, z głośników ryknęły fanfary. Home run. Zrobił to! Home run!

Grafika zniknęła i Jesse mógł teraz obserwować, jak jego Niedźwiedź i Hipopotam Pałkarz zdobywają punkty. Jeden, drugi, by wreszcie objąć prowadzenie z wynikiem osiem do siedmiu.

- Jesse, jeszcze pięć minut! - wołała z kuchni mama.

- Dobra!

Nie odrywał wzroku od monitora. W lewej dłoni ścisnął swojego Misia Zombie. Cała drużyna żywo dyskutowała, ekran usiany był okienkami dialogowymi graczy gratulujących mu zwycięskiego strzału.

Ale Jesse skupiony był tylko na jednym z nich: Hipopotamie Pałkarzu.

„Dobra robota! Jesteś mistrzem!”

Jesse wciąż się uśmiechał od ucha do ucha, gdy na dolnym pasku ekranu pojawiła się nowa ikonka. Skrzynka pocztowa. Jego Niedźwiedź otrzymał właśnie wiadomość.

Jesse posłusznie kliknął na mrugającą kopertę. Ze strony często przychodziły maile zawierające informacje o przyznanych bonusach, życzenia dla Niedźwiedzia z okazji jego urodzin, komunikaty i powiadomienia o nowych możliwościach.

Tym razem nie była to jednak wiadomość od administratorów strony, ale od samego Hipopotama Pałkarza! Mogli wysyłać maile do siebie nawzajem. O tym Jesse wcześniej nie wiedział.

„Niedźwiedziu Pałkarzu”, czytał Jesse (tylko on po incydencie z nożyczkami nazywał swojego misia Zombie). „Gratuluje zwycięskiego uderzenia. Wiedziałem, że dasz radę! Masz ochotę na kolejną grę? Będę jutro o 15.30. Zawsze gram w czapeczce Red Soxów, przynosi mi szczęście, a Ty?”

Jesse nacisnął „odpowiedz”. Otworzyło się nowe okienko. W rubryce „nadawca” wyświetlił się adres Hipopotama Pałkarza, reszta była pusta. Żadnych gotowych zdań do wyboru. Będzie musiał sobie poradzić sam. Napisać wszystko samodzielnie. Ale może trochę oszukać i podpatrzeć pisownię w wiadomości od Hipopotama.

Z kuchni dochodziły hałasy krzątającej się mamy. Jesse wysunął język i z ogromnym wysiłkiem zaczął wystukiwać litery. „Tak. Będę. Też lubię Red Soxów”.

Wieczorem, po kolacji, po odrobieniu zadania domowego, kąpieli i wieczornym czytaniu, Jesse wtulił się w swoją pościel z motywami z *Gwiezdnych wojen*, ściskając w dłoni Misia Zombie. Przypomnił sobie swój zwycięski strzał. Przypomnił sobie Hipopotama Pałkarza.

I zalała go fala ciepła. Uczucie, że jest kimś wyjątkowym.

Jutro. 15.30. Już się nie mógł doczekać.

Rozdział 5

- Ten pies, co to nie jest twoim psem, czeka pod gankiem! - krzyknęła zza drzwi właścicielka domu, w którym wynajmowałam pokój. Wybiła dziewiąta, najwyższy czas, żeby zacząć się szykować do pracy.

Mój pokój znajdował się w piwnicy trzypiętrowego, liczącego sto dwadzieścia lat budynku. Na początku mi to przeszkadzało. Wołałabym większy pokój na drugim albo trzecim piętrze, ale wszystkie były zajęte i szczerze mówiąc, zbyt drogie jak na moje fundusze. Na szczęście właścicielka, Frances Beals, bardzo poważnie traktowała kwestie bezpieczeństwa. Urodziła się w tym domu, o czym zdążyła mnie poinformować podczas naszego pierwszego spotkania w sprawie wynajmu. W porządnej irlandzkiej rodzinie katolików, która doczekała się jedenaściorga potomstwa. Połowa rozjechała się do innych stanów, a połowa już umarła.

Przeżywszy całe swoje życie w Cambridge, Frances była w pełni świadoma jego wad. Uniwersyteckie miasteczko stanowiło eklektyczną mieszankę starych, wartych miliony dolarów rezydencji i rozpadających się ceglanych kamienic. Nie brakowało tu rozległych terenów zielonych, ciekawych knajpek, w których lubiły się stołować pnące się po szczeblach drabiny społecznej młode rodziny, pralni samoobsługowych, pizzerii i sklepików z modnymi ciuchami

dla studentów. Niektórzy mieszkańcy Cambridge podobnie jak Frances pochodzili z rodzin, które mieszkały tu od pokoleń. Inni wpadali tylko na lato, jeden semestr albo cztery lata studiów. To z kolei oznaczało, że poczucie bezpieczeństwa było tu bardzo pozorne, a w sąsiedztwie szanowanych rodzin z tradycjami kwitły drobne kradzieże, włóczęgostwo, pijaństwo i rozpusta.

Zanim wynajęła mi pokój, walczyła mnie dwie godziny, próbując przyporządkować do którejś z powyższych kategorii. Kiedy ustaliła wreszcie, że nie mam zwierząt, chłopaka ani kolczyków na ciele, zaliczyłam. Ja ze swojej strony poprosiłam jedynie o zamek z podwójnym ryglowaniem i możliwość sprawdzenia drzwi i okien na całym piętrze.

Moja prośba najpierw ją zdziwiła, potem ucieszyła. Chyba mimo wszystko potwierdzała, że jestem przy zdrowych zmysłach.

Już nigdy potem nie rozmawialiśmy tak długo. Zakładałam, że była kiedyś mężatką, bo nad kominkiem wisiał portret ślubny. Obok było zdjęcie niemowlaka, ale Frances nic nie wspominała o dzieciach, a na święta nie przyjeżdżała żadna rodzina. Może kryła się za tym jakaś historia, ale nigdy jej o to nie pytałam.

Za obopólnym porozumieniem Frances wchodziła zawsze od frontu, a ja tylnym wejściem, od strony ogrodu. Staralam się schodzić jej z drogi, co nie było trudne, zważywszy na to, że przez cztery dni w tygodniu pracowałam w nocy, a potem spałam do południa.

Mój pokój był mały, ale podobały mi się jego trzymetrowa wysokość, solidne, choć podniszczone deski na podłodze i okna ozdobione fasetami z wolimi oczami. Przede mną mieszkała tu młoda pani profesor, która zostawiła półkę z Ikei zastawioną romansami. Tak właśnie spędzałam wolny czas. W swoim pokoju, zatopiona w lekturze książek Nory Roberts. Przy wszystkim, co spotkało mnie w życiu, zasłużyłam na te kilka godzin ze szczęśliwym zakończeniem.

Wsunęłam rozciągniętą szarą bluzę z kapturem i sięgnęłam pod poduszkę po dwudziestkędwójkę. Jeszcze rok temu nie tknęłabym broni. Nie odróżniłabym pistoletu od rewolweru, bocznego zapłonu od centralnego, kalibru .22 od magnum .357.

Teraz, nieskromnie się pochwalę, strzelec ze mnie wyborowy.

Dwudziestkadwójka nie jest bronią niezawodną. Jest mała, lekka i wybierają ją głównie osoby, które zamierzają nosić ją na widoku, wetkniętą za pasek, w kaburę albo dyndającą na łańcuszku jak u członków ulicznych gangów.

W miejscach publicznych trzymałam swoją w skórzanej torbie na ramię, bo mieszkańcy Massachusetts nie przepadają za osobami trzymającymi broń na widoku. Ale gdy byłam sama, taurus tkwił w kaburze na lewym biodrze. Tam też znajdzie się z pewnością dwudziestego pierwszego stycznia. Wielokrotnie ćwiczyłam szybkie wyciąganie i natychmiastowe oddawanie strzału. Tak w zasadzie przynajmniej dwa razy w tygodniu przez trzydzieści minut.

Mój taurus ma niklowaną lufę i uchwyt z drewna palisandrowego. Waży 340 gramów i doskonale leży w dłoni. Lubię czuć ciepłe drewno pod opuszkami palców. Muszę przyznać, że mi się podoba. Do tego i broń, i naboje miały dość przystępną cenę.

Jeszcze rok temu nawet nie myślałam takimi kategoriami. Nie zastanawiałam się, czy dany pistolet, a tym bardziej amunicja, mają rozsądną cenę. A przecież to, że obawiam się o własne życie, wcale nie oznacza, że mam nieograniczone środki.

Dziś jestem chodzącą reklamą bezpieczeństwa i uzbrojenia za niewielkie pieniądze. To wyjaśnia, czemu wybrałam dwudziestkędwójkę za dwieście dolarów, a nie majestatycznego

glocka czterdziestkępiątkę za dwa tysiące. Mój nauczyciel strzelania, J. T. Dillon, dał mi kiedyś postrzelać swoim. Myślałam, że siła odrzutu urwie mi rękę, ale dziura w celu była imponująca. Kolesie ze SWAT albo komandosi często noszą czterdziestki. Czasem się zastanawiam, jakie to uczucie, gdy stawiasz czoło zagrożeniu w towarzystwie kompanów z oddziału, którzy cię osłaniają, i z pistoletem wprost stworzonym dla kogoś takiego jak ty i twoja misja.

Przez ostatnie dwa tygodnie próbowałam sobie wyobrazić, jak może wyglądać dwudziesty pierwszy stycznia. Przerabialiśmy z J. T. kolejne etapy, rozpatrując różne możliwe scenariusze.

Stawałam na środku swojego uroczego pokoiku. Na lewo, pod ścianą łóżko, za mną ikeowa półka z jasnego drewna, a przy drzwiach stary kredens, na którym stał jeszcze starszy dwudziestocalowy telewizor. Pokój, po którym można się było bez problemu poruszać, można było w nim walczyć, bronić się, swobodnie wyciągnąć ręce dzierżące w dłoniach taurusa. Pistolet naładowany był amunicją .22 LR. To naboje o dość przeciętnej mocy, ale miałam dziewięć szans na załatwienie sprawy.

Dwa razy w tygodniu podczas treningów J. T. kazał mi za każdym razem opróżnić cały magazynek. Nie wahaj się, powtarzał mi do znudzenia. Oceń zagrożenie. Podejmij decyzję. Broń się.

Wciąż nie potrafię sobie wyobrazić, jak będzie wyglądał dwudziesty pierwszy stycznia. Wciąż przypominają mi się tylko słowa z policyjnego raportu - brak śladów włamania, brak śladów walki.

Musisz go widzieć, gdy będzie nadchodził, powiedziała dzisiaj detektyw D. D. Warren. Musisz go powitać uśmiechem.

Wetknęłam taurusa w kaburę, narzuciłam ciężki czarny płaszcz i ruszyłam do pracy.

Pies, który nie był moim psem, czekał już na ganku. Dom otaczał od tyłu drewniany metrowy plot i tylko dlatego suka przychodziła od frontu. Taka była mądra.

Nazwałam ją Fuksja. Przyplątała się do mnie jakieś pół roku wcześniej. Nie miała obroży ani zawieszki. Początkowo towarzyszyła mi w popołudniowym bieganiu. Podejrzywałam, że jest głodna i liczy na jakiś smakołyk, ale nigdy jej niczego nie dałam. Nie mój pies, nie mój problem. Chciałam tylko w spokoju pobiegać.

I tak Fuksja zaczęła regularne treningi. Ośmiokilometrowe przebieżki z wywieszonym jęczorem i tempem wybijanym ciężkimi biało-rudymi łapami. Okrucieństwem byłoby nie poczęstować jej choćby miską wody. Siadałyśmy więc na werandzie. Ona wypijała wodę z miski, ja z butelki. Potem kładła się z pyskiem na moich kolanach. Drapałam ją za uszami i głaskałam siwiejący pysk.

Wyglądała na jakiegoś ogara. Na harriera, burknęła pod nosem któregoś dnia Frances. Sprawdziłam tę nazwę w Internecie na komputerze w bibliotece. Wyglądało na to, że harriery to małe lub średnie angielskie psy gończe. Fuksja miała coś z harriera - krótką rudą sierść z białymi skarpetkami i obrożą, chudy sprężysty ogon, oklapłe uszy i szeroki, przyjazny pysk. Nie była już podlotkiem, ale wytworną starszą damą, która niejedno w życiu przeszła. Jak ja. Gdyby umiała mówić, pewnie niejedno by mi opowiedziała.

Dziś Fuksja siedziała na ganku, z dala od śniegu. Była cierpliwym psem, Frances mówiła, że potrafiła czekać na mnie po kilka godzin.

Nie widziałam jej od paru dni - to problem z psami, które nie są twoimi psami. Nie

wiedziała, dokąd chodzi ani czy ma jakiś inny dom. Czasem przychodziła codziennie, czasem kilka razy w tygodniu. Cóż, ja też się muszę chyba nauczyć cierpliwości.

Od razu zauważyłam, że cała się trzęsie i zrobiło mi się jej żal.

- Nie możesz tak robić - skarciłam ją, gdy wstawała, merdając swoim sprężystym cienkim ogonem. - Styczeń w Bostonie to nie najlepszy czas na bezdomność.

Fuksja popatrzyła na mnie i zaskomlała cicho.

Jakieś pięć miesięcy temu zaczęłam kupować puszki z psią karmą. Była taka szczupła, a jeszcze jak tyle ze mną biegała... Pierwsza wizyta u weterynarza miała miejsce dwa tygodnie później. Żadnych pcheł, kleszczy ani pasożytów. Weterynarz zaszczepił ją, dał mi frontline, środek przeciw pchłom i kleszczom, i wypisał rachunek, przy którym moja dwudziestkadwójka okazała się tania jak barszcz.

Zapłaciłam. Wzięłam trochę nadgodzin. Dalej biegałam z psem, który nie był moim psem. Zaczęłam ją dokarmiać.

Teraz też miałam w kieszeni reklamówkę z jedzeniem, które chwyciłam, gdy Frances powiedziała, że Fuksja czeka na ganku.

Wysypałam suchą karmę na podłogę. Fuksja podeszła do niej z wdzięcznością. Miałam wrażenie, że schudła. Przy zadzie miała świeżą bliznę, na prawym uchu szramę.

Jesienią rozwiesiłam w okolicy ogłoszenia, żeby sprawdzić, czy się komuś nie zgubiła. Wydałam też całkiem niemałą sumkę na anons w lokalnej gazecie. Zadzwoiłam wreszcie do hycła, ale kiedy zaczęli mi zadawać zbyt wiele pytań, spanikowałam. Chciałam się tylko dowiedzieć, czy Fuksja miała gdzieś prawdziwy dom, w którym ją kochano, tęskniono za nią i oczekiwano jej powrotu. Kto jak kto, ale ja rozumiałam takie rzeczy, sama czułam się podobnie.

I nie chciałam, żeby ją wyłapali i uśpili, tylko dlatego że na którymś etapie życia postanowiła sama być sobie panią.

- Przydałaby ci się kurtka - wyszeptałam, głaszcząc ją po uszach i drapiąc po fałdkach przy szyi. Podeszła bliżej, przytuliła się do moich nóg i znów poczułam, jak dygocze. Temperatura minus siedem i wciąż spadała. Nie mogłam wpuścić jej do środka, bo właścicielka domu zabiłaby nas obie. Ale nie mogłam zostawić jej na dworze, żeby zamarzła.

Sprawdziłam, ile mam gotówki w kieszeni. Chyba wystarczy, zdecydowałam.

Potem spojrzałam na psa, który nie był moim psem, wciąż przytulonego do moich nóg, z zamkniętymi oczami dyszącego ze zmęczenia i trosk, których nigdy nie poznam.

- Ale to musi zostać między nami - powiedziałam poważnym tonem.

Zatrzymałam taksówkę i pojechaliśmy do pracy.

- 911. Proszę podać rodzaj zagrożenia.

Brak odpowiedzi.

Wpatrywałam się w swój monitor, na którym za chwilę wyświetli się numer telefonu i adres dzwoniącego. Informacje zaczęły się pojawiać.

- 911 - powtórzyłam, prostując się na krześle. - Proszę podać rodzaj zagrożenia.

- Mam grubą tyłkę - odezwał się wreszcie męski głos.

Odetchnęłam. Takie akcje nie były dla mnie nowością.

- A czy ów powiększony mięsień pośladowy stacjonuje przy ulicy West Carrington Street, pod numerem dziewięćdziesiąt pięć?

- Ale jaja! - skwitował głos. W tle słychać było śmiech. Raczej chichotanie. No cóż, trzeba się przygotować na takie numery, kiedy się pracuje na nocki.

Ciągnęłam służbowym tonem:

- I czy ten spuchnięty zadek należy do niejakiego pana Edwarda Keichta?

- O cholera, a skąd wiesz?

- Proszę pana, zdaje pan sobie sprawę, że gdy dzwoni na 911, automatycznie wyświetla się pana nazwisko i adres?

Mój rozmówca musiał oniemiać z wrażenia, bo zamilkł na chwilę.

- Jaja sobie robisz? - skomentował wreszcie. Pan Keicht uraczył się najwyraźniej czymś mocniejszym niż piwko.

- I jest pan świadom tego, że telefonowanie na numer 911 dla zabawy jest wykroczeniem, za które może pan wylądować w więzieniu?

- Ekstra!

- Proszę się przywitać, panie Keicht, z przemiłym funkcjonariuszem, który za chwilę zapuka do pańskich drzwi.

- Dobra!

- I proszę pamiętać, że używki wypalają mózg.

Wyłączyłam się i dałam znać jednemu z moich funkcjonariuszy, by zajął się gościem. Wszystkie wezwania pod 911 wymagają interwencji policji. Stąd całe zamieszanie z wykroczeniem. Za mniej więcej trzy do pięciu minut pan Mam Gruby Tyłek nie będzie już z siebie taki zadowolony.

Pierwsza dwadzieścia. Na monitorach pusto, telefon milczał. Przyzwoita nocka, ale w końcu to była tylko środa. Częstotliwość wezwań rosła wraz ze zbliżającym się końcem tygodnia. Piątki i soboty były czystym szaleństwem, a kręciły się wokół przemocy domowej i pijackich awantur. Drugą najgorszą zmianą było niedzielne popołudnie. Zaczynało się gdzieś w okolicach siedemnastej. Nazywaliśmy ją godziną duchów. To czas batalii rozwiedzionych rodziców, bo zazwyczaj właśnie wtedy zabierający dzieci na weekend ojcowie powinni odprowadzić dzieci do matek.

Wnioskując po liczbie zgłoszeń, rodzicielska odpowiedzialność schodziła na dalszy plan, kiedy pojawiała się okazja, by dokuczyć byłemu partnerowi. Dokładnie minutę po piątej otrzymywaliśmy pierwsze zgłoszenie z serii „Nie, proszę pani, nie może mu pani odstrzelić jaj tylko dlatego, że się pięć minut spóźnił”, a zaraz po nim „Postanowienie sądu w sprawie spotkań z dzieckiem jest dokumentem prawnym i sugeruję, żeby je pan przeczytał”.

Staralam się unikać niedziel. Awantury domowe łatwo wyprowadzały wszystkich z równowagi - moich rozmówców, moich funkcjonariuszy, mnie.

Choć muszę przyznać, że dwudziestopięciotysięczna populacja Grovesnor i tak była bułką z masłem w porównaniu z Arvada, gdzie pracowałam w głównej dyspozytorni przyjmującej kilkaset zgłoszeń na godzinę. Tutaj siedziałam sama w ciemnym pokoju, z psem, który nie był moim psem. Odbierałam od dziesięciu do czterdziestu telefonów podczas jednej zmiany. Dziesięć w nocki takie jak ta i po czterdzieści w weekendy.

Rutynowo zdarzały się pomyłki i dowcipy w stylu gościa z dużym tyłkiem czy pizzy na wynos lub innych kretyńskich pomysłów znudzonych dzieciaków. A ja wysyłam mundurowego pod każdy adres. Hej, nie ja ustaliłam te zasady.

Zaledwie jedna trzecia zgłoszeń wynika z prawdziwych zagrożeń. Zazwyczaj są to doniesienia o kierowcy stanowiącym zagrożenie na drodze, o martwym bądź rannym zwierzęciu na jezdni, czasem o zakłócających ciszę sąsiadach. Z tymi najłatwiej sobie poradzić, gdyż na monitorze od razu wyświetla mi się nazwisko, adres i numer telefonu. Gorzej z połączeniami z komórki i Internetu, nieprzypisanych do konkretnych fizycznych adresów, stąd automatycznie kierowanych do policji stanowej, która dopiero ustala lokalizację. W takich wypadkach nie mogę od razu wysłać tam funkcjonariuszy.

Oprócz monitora miałam też system Dispatcher Event Mask. Mogłam wprowadzać do programu wszystkie niezbędne informacje, takie jak szczegóły wypadku czy opis sprawcy, a one natychmiast wyświetlały się na monitorze komputera konkretnego radiowozu. Jednym kliknięciem myszki przenosiliśmy się na tę samą wirtualną autostradę. To znacznie ułatwiało pracę.

Jeśli tylko system nie padł. Jeśli tylko udało mi się opanować dwa monitory jednocześnie, i w tym samym czasie uspokoić spanikowanego rozmówcę, zadać mu standardowe pytania i zanotować odpowiedzi.

Poza tym dziecinna igraszka.

Mój monitor obudził się do życia. Na ekranie pojawiło się nazwisko i adres. Założyłam słuchawki i nacisnęłam „odbierz”.

- 911. Proszę podać rodzaj zagrożenia.
- Nie... Nie wiem - kobiece głos tym razem. Drżący.
- Proszę pani, czy potrzebuje pani pomocy?
- Mój mąż jest zdenerwowany.
- Rozumiem. Czy jest pani w domu? - Wyrecytowałam adres wyświetlony na monitorze.

Potwierdziła. - A nazywa się pani?

- Dawn.

Nazwiska nie podała. Według moich danych właścicielem był niejaki Vincent Heinen. Nie drążyłam tematu.

- Miło cię poznać, Dawn. Mam na imię Charlie. Czy twój mąż jest w domu?
- Tak - ściszyła głos niemal do szeptu, założyłam więc, że mężczyzna znajduje się gdzieś blisko.

- Czy w domu są jakieś dzieci?
- Nie.
- Zwierzęta, psy? - Policjanci woleli być uprzedzeni o obecności psów.
- Nie.

Przeszłam do rzeczy.

- Jest pijany?
- Tak. - Wypowiedziała to słowo bardzo cicho.
- Dawn, czy on jest w tym samym pokoju? - spytałam, ale kiedy nie odpowiedziała, sama zniżyłam głos. - Schowałaś się przed nim? Możesz wcisnąć któryś z klawiszy na aparacie. Jeden sygnał na tak, dwa na nie.

Usłyszałam jeden dźwięk i wzięłam głęboki wdech. Czyli prawdziwe zgłoszenie. Wtulona w moje nogi Fuksja zadrżała. Chyba wyczuła moje zdenerwowanie. Usiadła.

- Dawn, czy ty się go boisz?

Jeden sygnał.

Nie odwracając wzroku od monitora, nadałam przez radio: „Czterysta sześćdziesiąt jeden do dziewięćset dwadzieścia sześć”.

Dziewięćset dwadzieścia sześć, alias funkcjonariusz Tom Mackereth, potwierdził:

- Dziewięćset dwadzieścia sześć do czterysta sześćdziesiąt jeden.
- Czterysta sześćdziesiąt jeden do dziewięćset dwadzieścia sześć. Mam na linii kobietę - poinformowałam go. - Mówi, że jej mąż jest zdenerwowany. Mówi, że pił i że się go boi.
- Dziewięćset dwadzieścia sześć do czterysta sześćdziesiąt jeden, proszę o podanie adresu.
- Czterysta sześćdziesiąt jeden do dziewięćset dwadzieścia sześć, wysyłam. - Wprowadziłam wszystkie zebrane dotąd dane do systemu i wysłałam na przenośny komputer funkcjonariusza Mackeretha. - Czterysta sześćdziesiąt jeden do dziewięćset dwadzieścia sześć, zgłaszająca mówi, że jest w domu. Żadnych dzieci, żadnych zwierząt.
- Dziewięćset dwadzieścia sześć do czterysta sześćdziesiąt jeden, możesz podać więcej szczegółów? Wygląd obojga? Czy mężczyzna jest uzbrojony? Pod wpływem alkoholu, narkotyków?

I co jeszcze, Sherlocku, miałam ochotę spytać, ale wszystkie rozmowy były nagrywane, więc trzymałam się procedur.

- Czterysta sześćdziesiąt jeden do dziewięćset dwadzieścia sześć, wysłę.

Wróciłam do mojej rozmówczynie, która podejrzenie zamilkła.

- Dawn, tu Charlie, jesteś tam?

Jeden sygnał.

Dobra, kontakt nawiązany. Przysunęłam się do monitora, poprawiłam słuchawki. Teraz lepiej słyszałam jej krótkie oddechy, gdy desperacko starała się siedzieć cicho.

- Dawn, jesteś w sypialni? - Spytałam cicho, chcąc podtrzymać dialog.

Znowu jeden sygnał.

- Zamknięta w łazience?

Dwa sygnały.

Dwa sygnały oznaczały „nie”. Wyobraziłam sobie sypialnię i spróbowałam ponownie:

- W szafie?

Jeden sygnał. Biorąc pod uwagę rozkład pomieszczeń w typowym kolonialnym domu w Nowej Anglii, zaryzykowałam:

- Dawn, czy twoja sypialnia znajduje się na piętrze?

Jeden sygnał.

Dodałam informacje do systemu i zadałam kolejne pytanie:

- Dawn, czy twój mąż jest uzbrojony?

Cisza, ani tak, ani nie. Czy to oznaczało „może”?

Musiałam to wyjaśnić.

- Dawn, pani Heinen, czy pani nie wie, czy mąż jest uzbrojony?

Jeden sygnał.

- Mackerethowi zapewne się to spodoba - rzuciłam w stronę Fuksji, która siedziała teraz prosto, bacznie mnie obserwując. Zagrożenie nieznane, jedno z typowych i najbardziej niebezpiecznych policyjnych wezwań.

Wróciłam do radia, wezwałam dziewięćset dwadzieścia sześć i poinformowałam, że sypialnia

znajduje się na górze, mąż jest gdzieś blisko i może być uzbrojony.

- Narkotyki? - chciał wiedzieć funkcjonariusz Mackereth, wiedząc, że pijany mąż to wystarczająco beznadziejna sprawa. Ćpuny były jeszcze gorsze, bo nie istniały dla nich granice logiki czy bólu. Bardzo stresowały policjantów.

Wróciłam do Dawn Heinen.

- Dawn, czy twój mąż zażywa narkotyki?

Jeden sygnał.

Jeden. Nie zdziwiło mnie to. Uzupełniłam dane.

- Dawn, czy dzisiaj coś brał?

Cisza.

- Nie wiesz, czy twój mąż zażywał dzisiaj jakieś narkotyki?

Jeden sygnał.

Zawiesiłam palce nad klawiaturą i zamknęłam na chwilę oczy, czując, jak rośnie napięcie. Moim zadaniem było zdobyć jak najwięcej informacji. Byłam oczami i uszami funkcjonariusza Mackeretha. Jeśli zawalę, samotny policjant o pierwszej trzydziści nad ranem będzie musiał stawić czoło tonącemu w ciemnościach domowi, kierując się jedynie własnymi przeczuciami.

- Czteryście sześćdziesiąt jeden do dziewięćset dwadzieścia sześć. Zgłaszająca nie wie, czy mąż jest uzbrojony. Zgłaszająca nie wie, czy mąż jest pod wpływem narkotyków, ale przyznaje, że zdarzało mu się w przeszłości korzystać z używek.

- Dziewięćset dwadzieścia sześć do czterysta sześćdziesiąt jeden, przyjąłem. - Rozczarowanie w jego głosie było wyraźne. Liczył na mnie, a ja go zawiodłam. Powiadomił mnie, że znajduje się przecnicę od celu. Wyłączał syreny i wtapiał się w mrok. Co oznaczało, że nie udzieliłam mu wystarczających informacji. Co oznaczało, że będzie się skradał w milczeniu, by samemu ocenić sytuację.

- Dalej, Dawn - wyszeptalam. - Musimy się bardziej postarać. Dla nas wszystkich, musimy się bardziej postarać.

Wróciłam do swojej rozmówczyni i jej urywanego oddechu, tym razem nasłuchując dźwięków dochodzących z otoczenia. Męża wykrzykującego imię swojej żony. Trzasku szkła tłuczonego w awanturnicznym szale. A może nawet pukania do drzwi, które oznaczałoby, że funkcjonariusz Mackereth dotarł na miejsce. Nic, cisza.

- Dawn, czy twój mąż jest dalej w pokoju? - spytałam.

Jeden sygnał.

- Policjant jest już w drodze. Za chwilę tam będzie. - Przerwałam, zastanawiając się, co dalej. Zgodnie z procedurami powinnam teraz ustalić wygląd zewnętrzny podejrzanego, na wypadek gdyby chciał zbiec z miejsca zdarzenia, a funkcjonariusz Mackereth musiał go ścigać. Nie bardzo jednak wiedziałam, jak to zrobić za pomocą sygnałów telefonicznych.

Czułam rosnącą presję, ramiona miałam spięte, bolał mnie kark. Funkcjonariusz Mackereth powinien być już na miejscu.

Otwierać drzwi, rozglądać się po domu, próbując ocenić sytuację.

- Dawn, czy twój mąż jest dalej zły?

Jeden sygnał.

To co do cholery robi, miałam ochotę krzyknąć. Który rozwścieczony facet siedzi tak cicho?

I wtedy ni stąd, ni zowąd zrozumiałam. Wyobraziłam sobie rozwścieczonego faceta za

drzwiami szafy.

Chwyciłam radionadajnik.

- Czterysta sześćdziesiąt jeden do dziewięćset dwadzieścia sześć - prawie krzyczałam. - Nie dzwoń do drzwi! Nie podchodź! Natychmiast się zatrzymaj!

Cisza, już nie słyszałam Dawn, tylko swój własny urywany oddech.

- Dziewięćset dwadzieścia sześć do czterysta sześćdziesiąt jeden - usłyszałam wyraźnie ożywiony głos policjanta. - Dwa trzy trzy?

Dwa trzy trzy to nasz wewnętrzny kod. Numery odpowiadają literkom c d d. „Co do diabła?”. Hej, w tej pracy potrzebne jest poczucie humoru.

Wzięłam głęboki oddech.

- Czterysta sześćdziesiąt jeden do dziewięćset dwadzieścia sześć, poczekaj, proszę.

- Dawn - wyszeptalam. - Czy twój mąż lubi pizzę?

Cisza, potem jeden sygnał, a potem pierwszy hałas od dobrej chwili: płacz Dawn.

- Jedna chwila, Dawn - obiecałam kobiecie. - Poczekaj chwilkę. Minutkę.

Sprzedałam szybko Vincenta Heinena w swoim systemie i odnalazłam drugi numer, telefon komórkowy zarejestrowany na jego nazwisko. Zaciśnęłam kciuki, wyciągnęłam swój telefon na kartę i wybrałam numer. Tego nie uczono nas na szkoleniu. Tego uczyła cię praca.

Przez krótką chwilę słyszałam dzwonek telefonu w stereo: z mojego telefonu przy uchu i z aparatu Vincenta dzwoniącego w sypialni. Jeden, dwa, trzy sygnały.

Zbyt mocno ściszałam swoją komórkę.

Wtedy moje radio powróciło do życia.

- Dziewięćset dwadzieścia sześć do czterysta sześćdziesiąt jeden...

- Zamknij się! - syknęłam tylko, zanim mąż Dawn odebrał swój telefon.

- Czego? - ryknął do słuchawki, zamykając w tym jednym słowie swoją całą swoją wściekłość i wszystkie groźby, przez które jego żona łkała zamknięta w szafie.

- Stary - rzuciłam do słuchawki. - Chcesz tę swoją pieprzoną pizzę czy nie? Bo nie będę tu wystawała cały dzień. Dzwonię do drzwi od pięciu minut. Czy ją bierzesz czy nie, i tak obciążymy ci kartę kredytową, więc lepiej rusz tyłek, bo jak nie, to sama ją zjem.

Zamknęłam kłapkę telefonu, włożyłam z powrotem słuchawki.

- Co za cipa - usłyszałam głos męża Dawn dobiegający zza drzwi szafy. A potem wreszcie jakiś ruch. Otwierane gdzieś daleko drzwi, dudniące kroki.

Z opóźnieniem włączyłam radio.

- Czterysta sześćdziesiąt dwa do czterysta dwadzieścia sześć. Przywiozłeś pizzę. Powtarzam, jesteś dostawcą pizzy. Mężczyzna jest najprawdopodobniej uzbrojony i idzie do drzwi, będzie u ciebie za pięć, cztery, trzy, dwa...

- Kurwa! - w słuchawkach eksplodował męski głos.

- Policja! - krzyknął funkcjonariusz Mackereth. - Ręce tak, żebym je widział, ręce tak, żebym je widział.

Odgłosy szamotaniny, uderzenia i znów krzyki.

Zerwałam się z krzesła, nie mogłam się powstrzymać. Chwyciłam słuchawki, zaciśnęłam mocno oczy i stałam tak w swojej ciemnej dyspozytorni, jakby to mogło pomóc mojemu funkcjonariuszowi, dodać mu odwagi. Fuksja zaczęła cicho skomleć. Zagryzłam dolną wargę.

A wtedy:

- Dziewięćset dwadzieścia sześć do czterysta sześćdziesiąt jeden - zdyszany głos Mackeretha. - Mężczyzna obezwałdniony. Mężczyzna pozbawiony broni. - A potem poza protokołem: - Miał glocka dziewczątkę. Skąd, do cholery, wiedziałś? Ja pierdolę, Charlie. Ja pierdolę.

Zamknęłam oczy. Właśnie to sobie wyobraziłam, właśnie to zobaczyłam. Męża Dawn stojącego za drzwiami szafy z załadowaną bronią. Tylko czekał na czyjąś interwencję, na wycie syren, uzbrojonego policjanta dzwoniącego do drzwi, żeby...

Właśnie na to czekał stary dobry Vincent. Ostatnią prowokację, która usprawiedliwiłaby pociągnięcie za spust.

Ze słuchawek znów dobiegł głos Mackeretha. Już doszedł do siebie i wrócił do zachowań regulaminowych. Zmusiłam się, by pójść w jego ślady.

- Dziewięćset dwadzieścia sześć do czterysta sześćdziesiąt jeden, możesz bezpiecznie wejść do środka?

Wróciłam do słuchawek:

- Dawn, tu Charlie. Pod drzwiami czeka mundurowy. Obezwałdnił twojego męża i odebrał mu broń. Możesz już wyjść, Dawn.

A wówczas po raz pierwszy usłyszałam jej głos:

- Czy... coś mu się stało?
- Policjantowi czy twojemu mężowi? - spytałam, choć znałam odpowiedź.
- Mojemu mężowi - odparła drżącym głosem.
- Wiesz co, Dawn, może zejdziesz i sama się przekonasz?
- Dobrze, dobrze. Tak chyba zrobię, Charlie.

Czekałam. Ale nie podziękowała. Mało kto mi dziękował.

Dawn odłożyła słuchawkę. Poszła sprawdzić, co z mężem, który jeszcze pięć minut temu gotów był ją zabić.

A ja usiadłam i zatopiłam palce w jedwabistej sierści za uszami Fuksji.

- Cieszę się, że cię tu mam, mała - wyszeptalam. - Cieszę się, że cię tu mam.

Położyła swój siwiejący pysk na moich kolanach, a ja głaskałam ją, dopóki moje ręce nie przestały się trząść. Potem siedzieliśmy w ciszy w ciemnościach.

Można by pomyśleć, że to wystarczy na jedną noc. Ale nie. O drugiej trzydzieści trzy odebrałam podobny telefon. Gdy rozpoznałam numer wyświetlony na monitorze, znów byłam w pełnej gotowości. Wyprostowałam się, wzięłam głęboki oddech i nacisnęłam „odbierz”.

- Hej - przywitałam się zaskoczona, że mój rozmówca dzwoni przez oficjalną linię, a nie na moją prywatną komórkę na kartę.

Najpierw cisza, długa cisza. Myślałam, że mój rozmówca nie może rozmawiać. Ale nagle usłyszałam głos. Niski, drżący, przestraszony. Czyli dziewczynka, nie chłopiec. Za mała, żeby zapamiętać numer komórki, dlatego dzwoni na numer awaryjny: 911.

Płakała, a ja na tym etapie nie musiałam jej pytać dlaczego.

My dyspozytorzy... jesteśmy kimś więcej niż wsparciem dla naszych funkcjonariuszy. Jesteśmy telefonicznym odpowiednikiem pracowników opieki społecznej, pierwszymi konsultantami bitych żon, przerażonych młodych rodziców, pijanych nastolatków i wystraszonych dzieciaków.

Wszyscy dzwonią do nas.

A my przełączamy rozmowę do odpowiedniej jednostki i na tym kończy się nasza rola. Nie nasz problem. My tylko przekazujemy dalej, że tak, życie jest do dupy.

A teraz pytanie do was: Gdyby zostały wam cztery dni życia, co byście zrobili?

Czekali za boczną linią czy włączyli się do gry?

I gdybyście przypadkiem przez cały ostatni rok trenowali bieganie, uczyli się walczyć, strzelać i zamiast biernie czekać, zaczęli wreszcie działać? Czy to wpłynęłoby jakoś na waszą decyzję?

Całe miesiące zastanawiałam się nad odpowiedzią. I podjęłam wreszcie decyzję.

Pomogła mi teraz, gdy wciskałam odpowiednie przyciski na klawiaturze. Gdy zupełnie świadomie i dobrowolnie, łamiąc prawo, przełączałam swoją rozmówczynię na mój prywatny telefon.

- Cześć - ponownie się przywitałam. - Już dobrze. To ja, Charlie. Pomogę ci. Jeszcze jeden dzień, kochanie, i nikt nigdy cię już nie skrzywdzi.

Rozdział 6

- Zła wiadomość jest taka - poinformowała D. D. Alexa przy obiedzie - że w wojnie o zdrowie psychiczne tego miasta wygrywają szaleńcy.

Udało jej się dzisiaj odebrać Jacka od niani kwadrans przed szóstą. Alex dotarł do domu przed wpół do siódmej, a że uwielbiał gotować, od razu zabrał się za dokończenie duszonego kurczaka *cacciatore*, którego zaczął przyrządzać dzień wcześniej.

Siedzieli teraz naprzeciwko siebie przy stole w kuchni. Alex przy kieliszku czerwonego wina, D. D. przy szklance wody. Alex mógł swobodnie jeść i pić obiema rękami. D. D. jedną tuliła do siebie Jacka, w drugiej dzierżyła widelec.

Mały spał, połową twarzyczki wtulony w jej szyję, wydając przy tym najbardziej rozkoszne dźwięki świata. Większej sielanki domowej nie będzie jej chyba dane doświadczyć. Dziecko przy piersi, włoskie przysmaki na stole i rozmowa z mężem o sprawach służbowych.

- W jednej chwili badam miejsce zbrodni, która może, choć nie musi być dziełem seryjnego mordercy - opowiadała Alexowi - a w drugiej gonię jakąś podejrzaną kobietę chcącą, żebym zajęła się sprawą jej morderstwa, które będzie miało miejsce za cztery dni.

Alex zamarł z widelcem w połowie drogi do ust.

- I ona planuje to z wyprzedzeniem? Od kiedy to ktoś zapisuje w testamencie nazwisko detektywa, który ma poprowadzić sprawę?

- Oj, zapisują, zapisują, tylko młode, piękne żony wymazują ten fragment, zanim szanowny małżonek podpisze się u dołu.

Alex zastanowił się chwilę.

- W sumie to całkiem logiczne. - Zjadł kilka kęsów i znów przerwał. - Ta kobieta na serio planuje sprawę własnego morderstwa?

- Jej dwie przyjaciółki zginęły rok po roku dwudziestego pierwszego stycznia. Pierwsza została zamordowana dwa lata temu, druga w zeszłym roku, co oznacza, że w tym roku...

Alex wpatrywał się w nią skonsternowany.

D. D. westchnęła. Odłożyła widelec i pogłaskała Jacka po policzku.

- Właśnie to jest w tym wszystkim najdziwniejsze. Po powrocie do domu sprawdziłam wszystko w Internecie i kobieta mówiła prawdę. Randi Menke zginęła w Providence dwa lata temu dwudziestego pierwszego, Jacqueline Knowles w Atlancie tego samego dnia rok później. I co, przyprawia o gęsią skórkę?

- Przyprawia - zgodził się Alex i odłożył widelec. Wykładał analizę miejsca zbrodni na Akademii Policyjnej i w sprawach takich jak ta kierował się głównie zdrowym rozsądkiem i logiką.

D. D. bardzo to sobie ceniła, bo sama z reguły najpierw strzelała, a potem zadawała pytania.

- Brak podstaw do wszczęcia śledztwa - zaznaczył Alex tytułem wstępu. Już szykował się do rozłożenia całej sprawy na czynniki pierwsze.

- Wiem. Pytałam o groźby, telefony. Nic. Wygląda na to, że wiedzie dość spokojne życie, jeśli wykluczyć coroczne pogrzeby. Dwa morderstwa popełnione w dwóch różnych stanach dodatkowo komplikują sprawę. Federalni rzucili okiem na obie sprawy, ale nie znaleźli żadnych oczywistych powiązań. Jak na ironię, trzeciego morderstwa nie będą już mogli zignorować, co oznacza, że w tym roku...

Alex pokiwał głową. Jako były śledczy dobrze rozumiał znaczenie liczb. Dwa można jeszcze potraktować jak przypadek, a na przypadki nie ma środków w policyjnym budżecie. Trzy potwierdza już pewien schemat. Detektywi zacierają ręce.

- Kobieta zapłaciła za prywatną ekspertyzę emerytowanemu profilerowi FBI - ciągnęła D. D., poprawiwszy małe posapujące ciało przytulone do piersi. - Zastanawiam się, czy do niego nie zadzwonić? I czy nie skontaktować się z detektywem, który prowadził śledztwo w sprawie pierwszego morderstwa w Rhode Island? Nie zadać mu kilku pytań?

- Ja bym tak zrobił - Alex ochoczo przytaknął.

- Myślisz, że coś jej grozi?

- Tego nie wiem. Ale popatrz na to z drugiej strony: jest coś, co łączy oba morderstwa: ona sama. Znała obie ofiary.

- Zakładam, że śledczy to sprawdzili... - zaczęła D. D.

- Nigdy niczego nie zakładaj - przerwał jej Alex. - I pamiętaj, że kręciła się w pobliżu miejsca zbrodni, co też jest dość... dziwne. Bo albo tak się boi, że ze strachu zgłasza się na najbliższy posterunek i o wszystkim opowiada, albo jak twierdzi, nie wierzy, że policja jest w stanie cokolwiek zrobić i postanawia wziąć sprawy w swoje ręce. I w jednym, i w drugim przypadku śledzenie detektywa na miejscu zbrodni trochę mija się z celem... Patrząc na to racjonalnie, co jej to niby miało dać?

- Kontakt osobisty czasem dużo daje - odpowiedziała D. D. - Teraz, gdy ją poznałam, będę się bardziej starać.

- Czyli chciała się zaprzyjaźnić?

- Mówię ci, miałam dzisiaj samych świrów.

- A co z kartką, którą znalazłaś za szybą? - spytał Alex.

- Kartka! Cholera! - D. D. otworzyła szeroko oczy. - Leży w samochodzie. Zapomniałam oddać ją do laboratorium. Na Boga! Jak mogłam zapomnieć o oddaniu dowodu do laboratorium? Jak na Boga... cholera... mój Boże...

Głos się jej załamał, gdy uświadomiła sobie wagę własnego niedopatrzenia. Wpatrywała się w Alexa przerażona.

- To podstawa, zasada numer jeden, punkt pierwszy kodeksu! Jestem idiotką. Poszłam na urlop macierzyński i wróciłam bez mózgu!

- Masz mózg, tylko snu ci brakuje - pocieszył ją Alex.

- Nie przekazałam dowodu. Jak mogłam w ogóle coś takiego zrobić? - Zamilkła. Miejsce hysterii powoli zajmowała panika. Sierżant D. D. Warren nie popełniała błędów. Sierżant D. D. Warren na pewno nie zapomniała o tak elementarnych zasadach jak konieczność przekazania dowodów.

Dziecko zmienia człowieka, ją najwyraźniej zmieniło na gorsze.

- D. D... - odezwał się Alex.

- Będę musiała zrezygnować z pracy.

- D. D.

- Może wystarczy, jak zrezygnuję z funkcji sierżanta? Przekażę dowodzenie Philowi. Ma czwórkę dzieci, a bije mnie na głowę.

- D. D.

- Czy szare komórki się regenerują? - spytała płaczącym głosem. - Wszystkie książki piszą o stałym rytmie dnia. Może Jack też będzie kiedyś taki miał. Będzie spał w nocy, a ja przestanę popełniać błędy, przez które groźni bandyci mogą pozostać na wolności.

- Cholera - wtrącił się Alex, tym razem bardziej stanowczo - gdyby tylko ojciec twojego dziecka był specjalistą od analizy miejsc zbrodni i dowodów na nich znalezionych i mógłby na przykład zadzwonić do specjalisty grafologa, który zupełnym przypadkiem jest znajomym wykładowcą.

- Serio?

- Serio.

- Och. - Zerknęła na swój talerz i uświadomiwszy sobie, że niewiele zjadła, ponownie chwyciła widelec. - I na dodatek świetnie gotujesz.

Alex uśmiechnął się blade. Skończył jeść i wstał od stołu. W drodze do zlewozmywaka rzucił niby od niechcenia:

- Uważaj, bo jeszcze któraś złapie się na to i postanowi za mnie wyjść.

- Chyba już ustaliliśmy, że ja jestem na to za głupia - odpowiedziała równie spokojnie.

Alex już się nie odezwał. Poszedł do samochodu po kartkę.

D. D. została przy stole z Jackiem przy piersi. Pocałowała czubek jego głowy.

- Przepraszam - wyszeptła, choć nie bardzo wiedziała którego z nich i za co.

Alex wrócił z plastikowym woreczkiem. Odzianymi w gumowe rękawiczki dłońmi wyjął ostrożnie karteczkę i zrobił jej kilka zdjęć. Potem zadzwonił do znajomego z uczelni i wymieniwszy kilka zdawkowych uprzejmości, umówił się z nim, że wyśle mu zdjęcia mailem.

- Oddzwoni za jakieś dwadzieścia, trzydzieści minut - poinformował D. D. - co nie zmienia faktu, że jeśli chcesz szczegółowej analizy, będziesz musiała oddać ten świstek do laboratorium, gdzie pobiorą odciski palców, zbadają papier i tusz.

- Dziękuję.

Siedziała na kanapie z synkiem na kolanach. Jack właśnie się obudził i wpatrywał się w nią

dużymi niebieskimi oczkami. Kiedy dołączył do nich Alex, maluch odwrócił się w jego stronę i zaczął wymachiwać tłustymi rączkami.

- Popatrz - oświadczyła z dumą - już umie pokivać na przywitanie. Mówiłam, że będzie bystrzakiem.

- Po mnie - skwitował Alex, sadowiąc się wygodniej na kanapie, z ręką wokół jej ramienia. - Umiem zjednywać sobie ludzi... I machamy. Uśmiechamy się i machamy. - Lewą ręką pomachał z gracją Miss Ameryki. Jack w odpowiedzi uraczył go kopnięciem.

- Gwiazda futbolu - natychmiast skomentowała D. D. - Popatrz na te mięśnie.

- Futbol? Hmm, to chyba po tobie. Ja przy swojej koordynacji ruchowej nawet nie żuję gumy podczas chodzenia.

- Moi rodzice byli nauczycielami - odezwała się nieobecny głosem. - Wykładowcami na uczelni. Są już na emeryturze.

- No to oby młody nie odziedziczył problemów z koordynacją.

- Alex pogładził ją po policzku - Jednak przyjeżdżają w weekend?

Wreszcie na niego spojrziała.

- Jeszcze możesz uciec - odpowiedziała poważnym tonem. - Powiem im najwyżej, że zakopałam twoje ciało w ogródku. Uwierzą.

Wyszczerzył zęby w uśmiechu, ale z jego oczu wyczierała troska. Martwiło ją, że Alex może uważać, że ona takiego właśnie spojrzenia potrzebuje. Jeszcze bardziej martwiło ją to, że prawdopodobnie miał rację. Stała się kobietą, która wymagała cierpliwych uśmiechów i czułych spojrzeń. Próbowwała to tłumaczyć brakiem snu, ale bała się, że to jedna z tych zmian, które są następstwem posiadania dzieci, co oznaczało, że już na zawsze zostanie umęczoną, udomowioną, nieudolną wersją samej siebie.

- To nie jest tak, że ich nienawidzę. - Usłyszała swój własny głos. - Może nie mamy takich relacji jak ty ze swoimi rodzicami, ale na pewno ich nie nienawidzę.

Alex nawinął sobie na palec jeden z jej blond loków.

- Więc co do nich czujesz?

Wzdrygnęła się, bawiąc się paluszkami synka w ten sam sposób, co mąż jej włosami.

- Szanuję ich. To inteligentni, dobrodusznicy ludzie zajęci swoimi sprawami. Oni mają swoje życie, ja swoje. I wszyscy jesteśmy szczęśliwi.

- Nie chciałaś, żeby mama była z tobą przy porodzie? - spytał cicho Alex.

D. D. gwałtownie pokręciła głową.

- O Boże, nie. To byłoby okropne.

- Ale dlaczego?

- Bo... - Wzruszyła ramionami i zerknęła na swego maleńkiego tłusciutkiego synka, który raczył ją właśnie cudnym, bezzębnym uśmiechem. Miał błękitne oczka po niej, a po ojcu odziedziczył zapewne ciemne włosy.

- Kocham go - powiedziała. - Kocham go... całego. I to, jak pachnie, i to, jaki jest mięciutki i to, jak się uśmiecha. Nie ma doskonalszego dziecka na całym świecie. A zapewniam cię, że moja matka nigdy tak o mnie nie myślała. Byłam późną wpadką dwójki wykładowców, którzy nigdy nie planowali potomstwa. Do tego nie przypominałam cichych, grzecznych książkowych dzieci. Byłam małym diabłem, skaczącym po drzewach i rozbijającym się na rowerze, raz nawet przyłożyłam Mikeyowi Davisowi tak mocno, że wyleciał mu zęb.

- Spralaś chłopaka?
- Miałam wtedy siedem lat - odpowiedziała, jakby to wszystko wyjaśniało. - Walnęłam tak mocno, że pękła mi skóra na kłykciach. Moja pierwsza myśl: potrzebuję lekcji boksu. Pierwsza myśl mojej matki: szlaban do końca życia. Jeśli chodzi o różnice zdań, niewiele się od tamtej pory zmieniło.

- Nie podoba im się, że zostałam detektywem?
- Detektywa jeszcze jakoś przeżyją. Detektywi budzą respekt nawet w świecie moich rodziców. Ale kiedy zostałam policjantką... myślę, że mamie ulżyło chociaż, że tę stronę prawa wybrałam.

Alex uśmiechnął się do niej.

- Myślę, że to samo można by powiedzieć o wielu moich mundurowych kolegach. Denerwujesz się? - spytał.

Podniosła na niego wzrok.

- Przy nikim nie czuję się tak brzydka i głupia jak przy mojej matce - odparła szczerze.
- No to zrobimy tak, żeby zabawili tu jak najkrócej i skupili się na Jacku. Nawet jeśli twoja matka nigdy nie potrafiła docenić twojego prawego sierpowego, jemu się chyba nie oprze, co, kochanie? - spytał, wskazując na gaworzącego i wymachującego nóżkami malca. - Czy ktoś może mu się oprzeć?

Dziesięć minut później zadzwonił telefon. D. D. właśnie odłożyła Jacka do kołyski z nadzieją, że teraz chwilę pośpi. Do następnego karmienia. Wyciągnęła notes, dyktafon i włączyła tryb głośnomówiący.

- Profesor Dembowski? Sierżant D. D. Warren przy telefonie. Dziękuję za telefon.
- Mów mi, proszę, po imieniu. Jestem Ray.

Dembowski miał przyjemny głos. Głęboki, spokojny głos pięćdziesięcio-, może sześćdziesięciolatka. Usiadła na kuchennym krześle z woreczkiem na dowody przed sobą.

„Wszyscy kiedyś umrzemy”.

„Trzeba być odważnym”.

Alex usiadł naprzeciwko z nowym kieliszkiem wina.

- Po pierwsze - zaczął znajomy Alexa - muszę wiedzieć, czy masz więcej próbek. Generalnie moja praca opiera się na porównywaniu dowodu i próbek. Ta karteczka byłaby dowodem, tylko gdzie próbki?

D. D. otworzyła oczy szeroko ze zdziwienia. Zerknęła na Alexa, ale ten tylko wzruszył ramionami, również zaskoczony.

- Próbki, powiadasz...

- Inne próbki pisma, których mógłbym użyć do porównania. Na przykład jeśli podejrzewasz, że tę karteczkę napisał podejrzany A, powinnaś dostarczyć mi trzy inne próbki pisma, których mógłbym użyć do przeprowadzenia ekspertyzy.

- Eeee... nie mam żadnego podejrzanego - przyznała D. D. - Prawdę mówiąc, myślałam, że zaczniemy od drugiej strony: przeanalizujesz charakter pisma i pomożesz mi znaleźć podejrzanego A.

- I na podstawie samego charakteru pisma podam ci pięć i najlepiej zawód podejrzanego A?

- Byłoby super - potwierdziła D. D.

Wnioskując jednak po ciszy, która następnie zapadła, domyśliła się, że nie do końca tak to działa.

- Hmm... jeśli taka analiza jest w ogóle możliwa - dodała asekuracyjnie.
- Nie jest możliwa - odpowiedział Dembowski.
- Nie?
- Taka pseudonauka, gdzie eksperci twierdzą, że potrafią z pisma wyczytać różne czary-mary, nazywa się grafologią. Ja nie jestem grafologiem, tylko biegłym sądowym zajmującym się analizą pismoznawczą, co oznacza, że zajmuję się porównywaniem dokumentów, żeby stwierdzić, czy autorem wszystkich dowodów jest ta sama osoba.

D. D. nie miała pojęcia, co odpowiedzieć. Popatrzyła na Alexa, ale ten wzruszył tylko ramionami, jakby mówił „Skąd mogłem wiedzieć?”.

- Przykro mi, Ray - odezwała się w końcu - że nie jestem jeszcze na takim etapie śledztwa, by ci dostarczyć kilka próbek. Póki co mam jedne zwłoki i ten oto liścik, który ktoś zostawił za szybą mojego samochodu zaparkowanego w pobliżu miejsca strzelaniny. Do tego mam jeszcze powody przypuszczać, że morderca się dopiero rozkręca, stąd każda najmniejsza wskazówka jest dla mnie na wagę złota.

Po drugiej stronie Dembowski głośno westchnął.

- Rozumiesz, że to nie będzie miało nic wspólnego z nauką i że wkraczamy w sferę domysłów?
- Czyli rozmawiamy nieoficjalnie?
- Nie możemy inaczej. Nawet jeśli sąd dopuściłby opinię grafologa, moje zeznania i tak nie spełniłyby żadnych standardów.
- W porządku. - D. D. powoli rozumiała, w jakim kierunku zmierza ta rozmowa. - Potraktujmy to jak rozmowę dwójki znajomych. Znalazłam tę oto fascynującą karteczkę. Co o niej myślisz?

Kolejna pauza, kolejny głęboki wdech i Dembowski zabrał się wreszcie do roboty:

- Jako osobę zawodowo zajmującą się analizą charakteru pisma zaskoczyło mnie w tym liściku kilka rzeczy. Po pierwsze, litery niedrukowane, co jest dość rzadko spotykane. Po drugie, duży rozmiar liter, zamaszystość, z jaką zostały napisane i charakterystyczne spłaszczenie u dołu powstające, gdy używa się linijki lub innego twardego elementu służącego do podkreślenia.
- Też to zauważyłam.

Alex wychylił się, by ponownie przyjrzeć się zapakowanej w worek karteczce. „Wszyscy kiedyś umrzemy. Trzeba być odważnym .

- Jeśli chodzi o pozostałe odstępstwa od normy, to litery w piśmie przeciętnego człowieka różnią się rozmiarem. Te częściej używane, zwłaszcza samogłoski, piszemy zazwyczaj szybciej, są też znacznie mniejsze. Tymczasem w twoim liściku litery są identyczne. Przyjrzyj się kreszczkom nad „ś” i „ć”. Mają tę samą długość, co do milimetra. To wskazuje na osobę bardzo dbającą o szczegóły. To, że starała się, by tekst był zapisany równo, tylko potwierdza ogromną precyzję. Z grafologicznego punktu widzenia osoba ta odczuwa przemożną potrzebę kontroli na każdym polu swojego życia, osobowość typu A, sztywna i pedantyczna, wypisz wymaluj moja pierwsza była żona, he, he - Dembowski zaniósł się śmiechem.

D. D. zamyśliła się, odnotowując te fakty w głowie. Zważywszy na charakter zbrodni, to miało sens. Wytarta kuchnia, kubki skrupulatnie odstawione do zlewozmywaka. Nawet strzały:

czyste i precyzyjne, oba w skroń, gwarantujące natychmiastowy zgon. Czyli morderca pedant przesadnie dbający o szczegóły. Ciekawe.

- Podczas każdej analizy zwracam też uwagę na stopień pochylenia liter. Osoba leworęczna, pisząc, pochyla dłoń w lewo. Praworęczna w prawo. Tymczasem litery na tej kartce są idealnie pionowe. Gdybym miał strzelać, stawiałbym, że autor jest praworęczny i wiele staranności włożył w wykaligrafowanie każdej litery.

D. D. starała się zapamiętać kolejne fakty.

- A teraz przyjrzyjmy się otwartym częściom liter „m”, „n” i „y”. Większość z nas ścisła je, pisząc w pośpiechu, a tutaj mamy piękne otwarte kształty, bardzo eleganckie. W literkach „m” i „n” każdy garb jest wyraźny i zaokrąglony u szczytu, podczas gdy w „w” pięknie zachowano kąty ostre. Taki stopień dokładności, wszystkie litery wykaligrafowane z taką precyzją, to coś więcej niż potrzeba kontroli. Wskazują na osobę doświadczoną i wyszkoloną w sztuce kaligrafii.

- Chodzi ci o osobę z wyższym wykształceniem? Ponadprzeciętną inteligencją?

- Chodzi mi o szkołę katolicką. Nikt, kto nie chodził w mundurku i nie dostawał po łapach linijką od zakonnic, nie mógł się nauczyć tak pięknie pisać.

- To by się zgadzało - stwierdziła D. D., która sama będąc produktem państwowej edukacji, bazgrała jak kura pazurem. Siedzący naprzeciw Alex, który ukończył prywatną katolicką szkołę i niejednokrotnie dokuczał D. D. z powodu jej nieczytelnych bazgrołów, wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Pewnie, że tak - ciągnął Dembowski. - Poprawna składnia, gramatyka i interpunkcja wskazują na inteligentną, wykształconą osobę. Pamiętajmy jednak, że mamy tylko dwie linijki tekstu, czyli dość ograniczony materiał do analizy.

- Rozumiem - D. D. zaczynało się to podobać. Dobrze czy niedobrze, ale dzięki pseudonaukowym wnioskom Dembowskiego w jej głowie zaczął powstawać obraz mordercy. Karteczka pasowała do miejsca zbrodni, miejsce zbrodni pasowało do karteczki. Jak dla niej, bomba.

- I wreszcie - dodał Dembowski - zwróć też uwagę na charakterystyczny kształt łaseczki „y” i na te lekkie zawijasy, którymi są wykończone ostatnie literki w każdym słowie. Te ozdobniki mówią nam wreszcie coś o psychice autora. Konsekwencja w rozmiarze liter i skrupulatność w ich kształcie zdradziły dotychczas doświadczenie i ogromną precyzję twórcy, zdobniki są niczym ostatni szlif pokazujący wreszcie jego indywidualny styl. Wytworny i elegancki.

- Czyli mój sprawca jest nie tylko wykształcony, ale należy do klasy wyższej? Wysoki status socjoekonomiczny?

- Możliwe. Wskazywałaby na to prywatna szkoła. Zbierając wszystko do kupy, w mojej pseudonaukowej opinii osoba, która napisała ten tekst, jest praworęczna, zadbana, ma oko do szczegółów, wykształcona, prawdopodobnie wyznania katolickiego, no i oczywiście...

Przerwał, jakby ostatni element układanki powinien być dla D. D. oczywisty.

- Zaokrąglone litery - podpowiedział po chwili. - Zawijasy.

D. D. wreszcie załapała. Otworzyła oczy szeroko ze zdumienia.

- Niemożliwe!

- Jestem niemal pewien. W ogóle jeśli chodzi o płeć, badania wykazały, że nawet laik w siedemdziesięciu procentach potrafi trafnie ocenić, czy autorem listu jest mężczyzna czy kobieta. Różni się, nawet w charakterze pisma. Więc jeśli ten list napisał twój morderca, oznacza to, że

jest...

- Kobieta - dokończyła D. D.
- I do tego nieprzeciętną pedantką.

Rozdział 7

- Od kiedy to wpuszczają psy do dyspozytorni?

Podniosłam wzrok znad poplamionego kawą blatu w naszym maleńkim aneksie kuchennym i zauważyłam stojącego w drzwiach funkcjonariusza Mackeretha, który przyglądał się mnie i Fuksji siedzącej cierpliwie przy mych nogach.

Zmieniająca mnie Sarah Duffy zrobiła mi tę przyjemność i zjawiała się punktualnie. Odbiła kartę już za dwadzieścia ósma, miałyśmy więc spokojne trzydzieści minut, by omówić pokrótce wszystkie nocne zgłoszenia. Takie sprawozdania pomagały zwłaszcza przy awanturach domowych, kiedy ta sama osoba mogła dwa razy dzwonić do jednego dyspozytora, ale za trzecim razem trafić już na kolejną zmianę. Drugi dyspozytor miał więc pojęcie o sprawie, wiedział, że sytuacja staje się coraz poważniejsza i czas na bardziej zdecydowane działania policji, czy dzwoniący tego chce czy nie.

Właśnie skończyłam pracę, czując, że zapracowałam na każdy cent mojej piętnastodolarowej godzinnej stawki. Ogarniały mnie na zmianę fale zmęczenia i adrenaliny, niebezpieczna mieszanka, zwłaszcza dla mnie.

Kolejny dzień za mną, zostały trzy do dwudziestego pierwszego. I Randi, i Jackie zginęły wieczorem. Przyjęłam więc dwudziestą jako domniemaną godzinę własnego morderstwa. To dawało mi osiemdziesiąt cztery godziny, a czas uciekał nieubłaganie. No i odejmując po sześć dziennie na sen, zostawało jakieś sześćdziesiąt na życie.

Tom wszedł do środka. Zbliżył się do Fuksji z wyciągniętą dłonią.

- Ma jakieś imię?
- Fuksja.
- Często ją bierzesz ze sobą?
- Jest za zimno, żeby siedziała na zewnątrz - odpowiedziałam, jakby to wszystko wyjaśniało.

Kiwnął głową, więc może jednak.

Skończyłam wycierać blat chloroxem, chwyciłam ostrą gąbkę i zabrałam się za sfatygowany srebrny zlewozmywak. Jakies dziewięć miesięcy temu zaczęłam kupować środki czystości do naszego pomieszczenia socjalnego. Uwierzcie mi, ktoś musiał.

Funkcjonariusz Mackereth głąskał Fuksję za uchem, nie spuszczać ze mnie wzroku. Ja wpatrywałam się w zlew, który tak uparcie szorowałam. Wszędzie plamy po kawie i kamień. Doprowadzało mnie to do szału.

- Niezłą mieliśmy dzisiaj akcję - powiedział w końcu.

Przerwałam na chwilę, zauważywszy rdzę, która już pewnie nie zejdzie. Zaczęłam trzeć jeszcze mocniej.

- Przepraszam, że tak wolno przesyłałam ci dane - rzuciłam oschle - ale dzwoniąca schowała się przed mężem i nie bardzo mogła rozmawiać.

- To jak udało ci się uzyskać informację?
- Dzięki sygnałom dźwiękowym.
- Że co?

Skończyłam ze zlewozmywakiem i puściłam wodę, żeby wypłukać gąbkę. Mackereth wyglądał na trzydzieści kilka lat. Miał niebieskie oczy i krótko przystryżone brązowe włosy. Odrobinę przysadzisty, ale trzymający formę. Z serii tych, przy których podejrzani dwa razy się zastanawiają, zanim pomyślą o ucieczce.

Nie podobało mi się, że stoi tak blisko. Nie podobało mi się, że przygląda mi się badawczo policyjnym wzrokiem, wyszkolonym, by demaskować sekrety.

Nie rozmawialiśmy poza pracą. Mało który policjant utrzymywał kontakty z dyspozytorami. Z jednej strony, jak mówiła detektyw D. D. Warren, osłaniałam ich, a oni wierzyli, że osłaniają mnie. Z drugiej, dyspozytorzy dość szybko się wypalali. Stąd większość funkcjonariuszy czekała rok, nim zdecydowała się kóregokolwiek bliżej poznać.

Byłam niczym jeden ze statystów w starych wojennych filmach. Pojawiająca się na chwilę postać, której imienia nikt nie stara się nawet zapamiętać.

A jednak funkcjonariusz Mackereth rozmawiał ze mną, poświęcał mi swoją uwagę. Najwyraźniej zdecydował, że skoro do tej pory nie wymiękłam, będę jeszcze grać w kolejnych ujęciach.

Miałam ochotę się uśmiechnąć, potem roześmiać, wreszcie rozplakać.

Zmęczenie i adrenalina. Niebezpieczna mieszanka, zwłaszcza dla kogoś, komu zostało czterdzieści osiem godzin życia.

- Sygnały?

Odłożyłam chlorox. Sięgnęłam po swoją torbę.

- Zadawałam pytania. Dzwoniąca naciskała klawisze: raz na „tak” i dwa na „nie” - wyjaśniłam. - Tak się wszystkiego dowiedziałam.

Przerzuciłam przez głowę czarny skórzany pas torby. Pod biodrem poczułam ukrytego w środku taurusa. Chwycałam smycz Fuksji.

Funkcjonariusz Mackereth położył mi dłoń na ramieniu.

Zamarłam. Być może wstrzymałam oddech, gorączkowo się zastanawiając, co powinnam czuć, jak zareagować. Przez cały rok ćwiczyłam atak, odwet, obronę. Powinnam przyjąć pozycję bokserską, rękami osłonić twarz. „Jakbyś robiła zdjęcie”, krzyczał zawsze mój trener. Pierwszy cios, zaraz po nim kolejny, potem lewy sierpowy i na koniec prawy podbródkowy.

Od roku nikt mnie nie dotykał. Tak zwyczajnie, serdecznie, z sympatią.

W tym momencie poczułam, jak zalewa mnie fala bezgranicznej pustki i osamotnienia. Odosobnienie, zmęczenie, adrenalina.

Miałam ochotę się roześmiać. Miałam ochotę się rozplakać.

Chciałam rzucić się Mackerethowi w ramiona i przypomnieć sobie, jak to jest się do kogoś przytulić.

- Nauczyci cię tego podczas szkolenia? - spytał.
- Nie.
- A broń? Skąd wiedziałaś, że jest uzbrojony?

Rękę wciąż trzymał na moim ramieniu, wpatrując się we mnie intensywnie niebieskimi oczami. Głowę trzymałam podniesioną, przyjęłam neutralny wyraz twarzy.

- Po prostu wiedziałam.

Opuścił wreszcie rękę. Siedząca przy moich nogach Fuksja zaskomlała cicho, wyczuwając moje napięcie.

- Dobra robota - pochwalił mnie niespodziewanie. - Myśle... Dziękuję, Charlie. Naprawdę, serdecznie ci dziękuję.

- Cieszę się, że nic ci się nie stało - odpowiedziałam. - I przepraszam, że tyle to trwało, zanim się połąpałam co i jak. Następnym razem bardziej się postaram.

Dwie zmiany. Zostały mi jeszcze dwie zmiany.

Funkcjonariusz Mackereth pochylał się teraz nad wtuloną w moje nogi Fuksją. Ręce trzymał luźno przy ciele. Nie miał obrączki, choć to akurat o niczym nie świadczyło. Niewielu policjantów nosiło obrączki, woleli się nie afiszować żadnymi relacjami.

- Odwiozę cię do domu - oznajmił nagle.

- Nie trzeba - zaczęłam, ale mi przerwał:

- Przecież nie wpuszczą cię z psem do metra. Może i bostończycy słyną z tolerancji, ale bostońska komunikacja miejska niekoniecznie - wyjaśnił z drwiną w głosie.

I tu mnie miał. Taksówka kosztowała mnie trzydzieści dolarów, prawie jedną trzecią dniówki. Jeśli doliczyć drogę powrotną, można by rozważyć, czy w ogóle jest sens wychodzić z domu.

Wciąż się wahałam. Trudno się tak nagle pozbyć starych nawyków. Detektyw D. D. Warren radziła mi szukać pomocy u kolegów z pracy. Nie byli powiązani z Jackie i Randi. Skoro nie stanowili części problemu, może pomogliby w jego rozwiązaniu?

Tylko że w filmach wojennych sama rozmowa ze statystą oznaczała, że statysta za chwilę zginie. A w prawdziwym świecie, moim świecie, rozmowa oznaczała, że to aktor będzie następny. Nie bez powodu byłam samotnikiem, i nie chodziło mi o to, by ograniczyć liczbę osób, które mogłyby mnie skrzywdzić, a raczej liczbę osób, które mogłyby zostać skrzywdzone z mojej winy.

- Nie daj się prosić, Charlie - odezwał się szorstko policjant. - Opuść. Prawdopodobnie uratowałaś mi dzisiaj życie. Pozwól, że dzięki mnie zaoszczędzisz chociaż na taksówce.

Ruszył w stronę drzwi. Poszliśmy z Fuksją za nim, moja suka wyraźnie pobudzona okazanym jej zainteresowaniem.

Zastanawiałam się, co Jackie robiła o tej porze w zeszłym roku. O czym myślała, kogo poznała? Czy gdyby organizatorka naszych dziecięcych zabaw mogła przewidzieć swoją śmierć, cokolwiek zrobiłaby inaczej?

Powiedzieć „tak” czy „nie”?

To kluczowe życiowe pytanie, nieprawdaż? Czy żałujesz tego, co zrobiłaś czy tego, czego nie zrobiłaś?

Czterdzieści osiem godzin i czas wciąż ucieka. Poszłam za Mackerethem do jego wozu.

Powiedziałam Mackerethowi, że mieszkam w Cambridge przy Harvard Square. To blisko, więc mogłyśmy się stamtąd z Fuksją przespacerować.

Dowiedziałam się, że funkcjonariusz Mackereth mieszka w Grovesnor, co przy porannych korkach na I-93 oznaczało, że nadłoży przynajmniej godzinę drogi. Ponownie zaprotestowałam. Zaprowadził mnie jednak do swojego służbowego wozu patrolowego.

Usiadłam z przodu, zagłębiając się w całkiem wygodny fotel z prawdziwej czarnej skóry.

Fuksją zajęła pokryte winylem siedzenie z tyłu. Idealne w utrzymaniu, ale średnio wygodne dla psa o śliskiej sierści. Zsunęła się dwa razy, nim w końcu przeniosła się na podłogę.

- Skąd pochodzisz? - spytał Mackereth, wjeżdżając na dziewięćdziesiątkętrójkę.
- Z New Hampshire.
- Concord?
- Północ, góry.
- Jeździsz na nartach?
- Trochę. Na biegówkach.
- Ja trochę zjeżdżałem na studiach. Zerwałem więzadła w kolanie. Biegówki byłyby chyba

lepszym pomysłem. Masz jakąś rodzinę?

Wzdrygnęłam się, uciekłam wzrokiem za okno.

- Nie jestem mężatką. A ty?
- Nawet nie byłem blisko. Masz kogoś?
- Jesteśmy z Fuksją dość blisko.
- Jak długo? - Zaśmiał się.
- Za chwilę będziemy świętować pierwsze pół roku razem. Mam nadzieję, że kupi mi

kwiatki. Masz jakieś zwierzę?

- Żadnej dziewczyny, żadnych dzieci, żadnych zwierząt. Dwoje rodziców, jedna upierdliwa starsza siostra i troje uroczych siostrzeńców. Wystarczy jak dla mnie. Jakieś hobby, zainteresowania?

- Lubię sprzątać.

Odwrócił się w moją stronę, nie odrywając lewej ręki od kierownicy.

- Poważnie?

Wzruszyłam ramionami.

- W nocy pracuję, w dzień śpię. Niewiele zostaje na życie towarzyskie.
- Prawda - odparł, a zerkając na ręce, które trzymałam na kolanach, dodał: - Ale tych poobijanych dłoni to nie masz od sprzątanania.

Spuściłam głowę zawstydzona, żałując, że nie założyłam rękawiczek, albo chociaż nie włożyłam rąk między nogi. Moje kłykcie były w opłakanym stanie, przestrzenie między małym palcem a serdecznym na obu dłoniach sine i spuchnięte. Pozostałe kostki poobcierane i pokryte bliznami oraz świeżymi ranami. Dłonie zawodowego boksera. Niezbyt ładne, niezbyt kobiece, a jednak bardzo podobał mi się ten ich nowy wygląd.

- Boks - przyznałam w końcu.

Mackereth zmarszczył czoło zdziwiony.

- No to masz jednak jakieś hobby. I to chyba poważne, skoro odnosisz takie kontuzje, i to w rękawicach.

Nie poprawiłam go. Oczywiście, że nie wkładałam rękawic. Co mi dwudziestego pierwszego pomocą rękawice?

- Też pracujesz głównie na nocnej zmianie? - spróbowałam jakoś zmienić temat.
- Najczęściej tak - przytaknął.
- Czemu? Z twoim stażem mógłbyś spokojnie poprosić o inną zmianę.
- Zacząłem od nocnej zmiany, bo wszystkie żółtodzioby od niej zaczynają. I sam nie wiem...

Chyba zawsze byłem nocnym markiem. Godziny pracy mi nie przeszkadzają, a koledzy mają

rodziny, dzieci, psy i Bóg jeden wie co jeszcze i taka nocna zmiana byłaby dla nich prawdziwym utrapieniem. To chyba sensowne rozwiązanie.

- Gracz zespołowy - odparłam.

- Jak większość policjantów - zauważył. - A dyspozytorzy?

- Samotnicy - odpowiedziałam, co nie do końca zgodne było z prawdą, ale jakoś tak wypaliłam pod wpływem impulsu. - Samotne przesiadywanie w ciemnym pokoju przy kilku monitorach i kilkunastu filiżankach kawy to nasz sposób na rozrywkę. Wiesz, co ci wyjdzie, jak skrzyżujesz kontrolera lotów z linoskoczkiem? Operator numeru alarmowego.

Roześmiał się donośnym, niewymuszonym śmiechem, który poruszył mnie bardziej, niżbym sobie tego życzyła.

- Jak w ogóle trafiłaś do pracy w dyspozytorni?

- Zaczęłam w Kolorado. Potrzebowałam pracy, a nie miałam studiów. Do call center przyjmują właściwie każdego, czyli się nadawałam.

W szkole miałam problemy z pamięcią, nie mówiąc już o tym, że zupełnie nie potrafiłam się skupić. Edukacja była drogą przez mękę. Pamiętam, jak Jackie kręciła z dezaprobatą głową, kiedy oblewałam kolejny sprawdzian. Okazało się jednak, że doskonale działałam w chwilach największego kryzysu. Nie chcesz mnie w swojej drużynie w kwizie albo konkursie? Nie szkodzi, to do mnie zadzwonisz, jak ktoś będzie ci się chciał włamać do domu.

Dwudziestego pierwszego też miałam zamiar polegać na przyplywie adrenaliny.

- Niewielu chętnych daje radę przejść przez szkolenie - zauważył funkcjonariusz Mackereth. Teraz to ja wzruszyłam ramionami.

- Chyba mi się spodobało. Każda zmiana jest inna, trzeba szybko reagować. Chyba cierpię na zespół deficytu uwagi, ale to chyba dobrze. A ty?

- Mój ojciec był gliną. Banalne, ale cóż. Lubię tę robotę. Każda zmiana jest inna. Trzeba szybko reagować.

Mackereth zjechał z I-93 w kierunku Storrow Drive. Byliśmy blisko. W lusterku widziałam, jak zniecierpliwiona Fuksja podnosi uszy.

- Możesz nas wysadzić na Harvard Square.

- Nie mieszkasz na Harvard Square.

Spojrzałam na niego pytająco.

- Skąd wiesz, gdzie mieszkam?

- Jestem gliną - oznajmił bez cienia emocji. - Sprawdziłem.

Ręce znieruchomiały mi na kolanach. Przypominałam sobie o taurusie schowanym w torbie, bo nie pozwalają mi go nosić w kaburze przy spodniach.

- Mackereth... - zaczęłam.

- Tom.

- Mackereth.

- Tom - powtórzył uparcie.

- Możesz nas wysadzić na Harvard Square - poinformowałam lodowatym głosem. - Fuksji dobrze zrobi spacer.

- Pod warunkiem, że odpowiesz mi na jedno pytanie.

Podniosłam na niego wzrok bez słowa.

- Nie ufasz generalnie mężczyznom czy tylko mnie? Bo o ile się orientuję, nie możesz mi

zarzucić braku szacunku, choć jeśli się mylę, musisz mnie oświecić, żebym się lepiej postarał następnym razem.

Dojeżdżał właśnie do Harvard Square. I nie zamierzał zwolnić. Czułam to. Znał mój adres i ubzdurał sobie, że winien jest mnie i Fuksji podwózkę pod same drzwi. Może wcale nie miał dobrych zamiarów, może chciał mi pokazać, jak dużo wie, jak bardzo może się zbliżyć.

A może był po prostu mężczyzną, a ja kobietą i dziś przeżyliśmy razem coś naprawdę intensywnego? Może byłam wykończona i pobudzona, on też był wykończony i pobudzony i miał ten głęboki śmiech i wysportowany tors i tak łatwo byłoby go dotknąć...

Pamiętałam jeszcze. To ciepło męskiej skóry pod dłonią, szorstki zarost, smak głodu mężczyzny, który pragnął mnie tak mocno jak ja jego. Zapominałam wówczas o całym świecie, dawałam się ponieść namiętności.

Być może najbardziej nie boimy się umierania, lecz umierania w samotności. Bez dotyku bliskiej osoby. Bez uczucia przynależności. Opuszczając ziemię, na której nic po sobie nie zostawimy.

Ta myśl mnie dobiła. Zepchnęła moje zmęczenie i podniecenie w tak głębokie i ciemne zakamarki duszy, że miałam ochotę przespać się z zupełnie obcym mężczyzną. Przez chwilę poczuć, że coś dla kogoś znaczę.

Mackereth dojechał do Harvard Square. Zwolnił, przepuszczając samochody i studentów na pasach. Wjechał w zabudowaną ceglanymi budynkami uliczkę, następnie pod estakadę, a potem przy zielonym skwerku skręcił w lewo, w drogę wiodącą wprost do mojego domu.

Fuksja zaskomlała, wyczuwając, że jesteśmy już blisko. Cztery przecznice. Trzy, dwie, jedna. Mackereth nacisnął hamulec, skręcił w prawo i zatrzymał się pod samymi drzwiami trzypiętrowego domu, w którym wynajmowałam pokój.

Zdążyłam już chwycić klamkę, dobra wiadomość: drzwi pasażera w policyjnych radiowozach nie mają blokady i można je otwierać do woli w dogodnym momencie.

- Dzięki za podwiezienie - rzuciłam.

- Kolacja? - spytał. - Dzisiaj przed zmianą? Mogę po ciebie przyjechać. Ugotować coś u siebie, jeśli chcesz zabrać Fuksję. Albo wyjść na miasto, jeśli wolisz?

- Dzięki za podwiezienie - powtórzyłam.

Westchnął.

- Twardy z ciebie zawodnik, Charlie.

Nie odpowiedziałam, tylko wysiadłam z samochodu i wypuściłam Fuksję. Zeskoczyła z wdzięcznością i zaczęła biegać jak szalona w kółko po zaśnieżonym chodniku.

Mackereth nic już nie powiedział. Patrzył na mnie przez szybę, kiedy trzasnęłam mu drzwiami w twarz. Sekundę później odpalił silnik i odjechał.

Odprowadziłyśmy go z Fuksją wzrokiem.

Zaczekałam, aż samochód zniknie z pola widzenia. Wtedy wypuściłam głośno powietrze, które wstrzymywałam, nie zdając sobie nawet z tego sprawy i ruszyłam w stronę domu. W ostatniej chwili dostrzegłam kątem oka jakiś ruch. Podniosłam wzrok na tyle szybko, by w dwupiętrowym budynku obok dostrzec sylwetkę.

Mężczyzny lub kobiety, nie wiem. Ten ktoś schował się od razu, zasuwając rolety. Zostałyśmy z Fuksją znów same na ulicy i poczułam, jak włos mi się jeży na głowie.

Rozdział 8

- Włączam się w śledztwo.

- Co? - D. D. podniosła przekrwione oczy znad sterty przeglądanych właśnie zeznań. Już i tak była wystarczająco skolowana, ale cóż się dziwie. Jack był cichy i spokojny podczas kolacji, a potem całą noc płakał. D. D. kołysała go pierwszą część nocy, Alex drugą. Nad ranem oboje byli wykończeni.

Nad jej biurkiem stała detektyw Ellen O. Miała jakieś nazwisko, ale było za długie i zawierało za dużo spółgłosek. Kiedy świeżo upieczona detektyw dołączyła do zespołu dwa lata temu, ktoś skrócił jej nazwisko do „O” i dzisiaj nikt się nawet nie wysiłał z imieniem. Została „detektyw O”.

O była piętnaście lat młodsza od D. D. i jakieś piętnaście kilo cięższa, ale tam, gdzie trzeba. Miała ciemne oczy o egzotycznej barwie i błyszczące włosy w odcieniu cynamonu. Kiedy dołączyła do zespołu, cała męska część wydziału aż się paliła, by nowej pani detektyw od przestępstw na tle seksualnym posłużyć za przewodnika. Gdy okazała się nieczuła na ich starania, pojawiła się plotka, że jest lesbijką.

D. D. szczerze w to wątpiła. Młoda pani detektyw w całości poświęciła się pracy. Chyba nawet bardziej niż D. D., co wcale dobrze nie wróżyło. D. D. nie przyznałaby się do tego za żadne, ale to żadne skarby świata, ale młodziutka policjantka trochę ją przerażała.

- Chodzi o twojego zmarłego zboka. A nawet dwóch. Chcę się włączyć w dochodzenie - dodała.

D. D. zaczęła od oczywistości:

- Zajmujesz się przestępstwami na tle seksualnym. To sprawa o morderstwo.
- W której głównej podejrzani to pedofile wchodzący zupełnie przypadkiem w mój zakres obowiązków. Zaufaj mi, przydam ci się.

D. D. spojrzała na O. Obie siedziały w tym zbyt długo, by wiedzieć, że w takich dyskusjach „zaufaj mi” nie było najlepszym argumentem.

O rzuciła na biurko D. D. plik papierów.

- Raport techników na temat zawartości komputera denata numer jeden. Dam ci trzy minuty na przejrzenie, a potem powiesz mi, co tam odkryłaś, bo ja już wiem.

- Trzy minuty? - skrzywiła się D. D. Nawet nie doszła do szczegółów pierwszego zajścia, wciąż skupiona na zbrodni, którą popełniono, gdy wróciła do pracy.

- Tyle to zajęło mnie - rzuciła O zuchwale. Skrzyżowała ręce na piersiach. Miała na sobie białą rozpinaną koszulę narzuconą na niebieski podkoszulek. Jak najbardziej stosowny strój, tylko czemu D. D. miała ochotę wstać i zapiąć jej tę koszulę po samą szyję?

Najwyraźniej na skutek braku snu zrobiła się czepialska. Złośliwa. I za bardzo na to wszystko zmęczona.

D. D. westchnęła głośno, poddając się. Oddała jej raport.

- Dobra, ty tu jesteś ekspertem. Skoro te dwa morderstwa są powiązane, przyda nam się pomoc. Co masz?

O wyglądała na zaskoczoną. D. D. chyba też trochę. Pani sierżant nigdy wcześniej nie poddała się tak łatwo i z taką elegancją. Ha, miała ochotę powiedzieć: może i jesteś młodsza i ładniejsza,

ale ja jestem starsza i mądrzejsza. To by chyba trochę zepsuło nastrój, więc ugryzła się w język.

- No dobra. - O wyprostowała ręce, przysiadła na brzegu biurka D. D. i przeszła do rzeczy. - Douglas Antiholde, groźny przestępca seksualny, zastrzelony cztery tygodnie temu w drzwiach własnego mieszkania. Podwójny strzał w lewą skroń.

- Tyle to i ja wiem - ponagliła ją D. D.

- Większość pedofilów specjalizuje się w jednym konkretnym sposobie działania. Niektórzy używają przymusu, inni siły, jeszcze inni czekają, aż nadarzy się okazja. Wszyscy jednak uwodzą wpięrow swoje ofiary. Tu też metodologia jest różna, ostatnimi czasy w większości bazująca na Internecie.

- Douglas Antiholde wyszukiwał swe ofiary w Internecie - wtrąciła się D. D., znów kiwając ręką, by O zmierzała do sedna sprawy. Tak jakby D. D. nigdy nie prowadziła sprawy internetowych pedofilów.

- Wiesz, na kogo polują najczęściej? - spytała O.

- Na czternastolatki? - zgadywała D. D.

- Nie. Na małych chłopców, od pięciu do dziewięciu lat.

- Serio? - D. D. wyprostowała się w fotelu. Dobra, tego akurat nie wiedziała.

- Lista odwiedzanych stron ciągnie się w nieskończoność - kontynuowała O. - Był zarejestrowany na każdej możliwej dziecięcej stronie, do tego Facebook, Spokeo, Chatroulette. Na internetowych pedofilów musisz patrzeć jak na handlowców: pracują dwadzieścia cztery godziny na dobę. Surfują po Internecie, namierzają cele, nawiązują znajomości, a potem dbają, uwodzą, przymilają się. Niczym maklerzy: rozumieją, że nie wszystkie cele uda się podejść. Budują więc sobie portfolio dziesięciu, piętnastu, dwudziestu potencjalnych ofiar, nad którymi intensywnie pracują. Nie oczekują, że wszystkie ich działania przyniosą jakieś owoce. Wystarczy, że uda się z jednym, a wtedy całość i tak się opłaca.

D. D. miała wrażenie, że szczęka opada jej do samej ziemi. Nigdy wcześniej nie myślała o gwałcicielach jak o zawodowcach. Co za dyscyplina. Co za skupienie.

- Ale są przecież jakieś zabezpieczenia, programy, które blokują dostęp do dzieci?

- I tak, i nie. Większość pięciolatek korzysta ze stron ze swoimi ulubionymi bohaterami bajek. Rodzicom wmawia się, że spełniają one najwyższe standardy bezpieczeństwa, że są na bieżąco monitorowane. Komunikacja pomiędzy użytkownikami jest również utrudniona, tak by Wirtualny Zwierzak A mógł się porozumieć z Wirtualnym Zwierzakiem B tylko za pomocą gotowych dialogów. To daje rodzicom złudne poczucie bezpieczeństwa. Przecież podejrzany Zwierzak A nie napisze „Hej, masz ochotę się spotkać po szkole?“, bo takiego zdania nie ma na listach gotowych dialogów. Rodzice nie zdają sobie jednak sprawy, że niebezpieczne jest już samo użytkowanie takich stron, bycie członkiem wirtualnej społeczności, która zachęca do nawiązywania przyjaźni i nagradza wspólnie spędzony czas, a tu zaczyna się uwodzenie, pielęgnowanie, przymilanie się. Pięciolatek dochodzi do wniosku, że fajnie jest korzystać z Internetu. Pięciolatek dochodzi do wniosku, że fajnie się poczuć kimś wyjątkowym. Pięciolatek myśli, że fajnie się zaprzyjaźniać z nieznanymi. Strony dziecięce odwalają za pedofila całą czarną robotę. Wystarczy, że się zaloguje i doprowadzi zabawę do końca.

- Ale jak? - spytała D. D. - Przecież przed chwilą powiedziałaś, że mają tylko gotowe zdania do wyboru.

- Na tych stronach tak, dlatego stanowią one pierwszy krok w procesie uwodzenia. Weźmy

takiego Antiholde'a. Wybiera sobie popularną stronę dziecięcą, powiedzmy AthleteAnimalz.com. Zakłada konto, rejestruje się. Przez pierwsze tygodnie, jak wszyscy pozostali użytkownicy, gra jak szalony. Szkoli swoje umiejętności, gromadzi punkty, wygrywa wszystko, co jest do wygrania. Zwłaszcza chłopcy zwracają uwagę na status pozostałych graczy. Od małego bardzo chcą wygrywać i przyjaźnić się ze zwycięzcami. A Antiholde szybko staje się zwycięzcą. Buduje swój wizerunek najlepszego i najbardziej popularnego gracza. Taki kapitan szkolnej drużyny, któremu wszyscy chcą na korytarzu przybijać piątkę. I wtedy zabiera się do roboty. Zaczyna obserwować innych użytkowników. Szuka tych grywających regularnie. Pamiętaj, że jest profesjonalistą, że to jest jego praca. Nie będzie sobie zawracał głowy przypadkowymi gośćmi. Szuka kogoś, kto siada do komputera o przewidywalnych porach, po szkole, po obiedzie. Dzień w dzień. Potem zaczyna się zaprzyjaźniać. Zaprasza innych użytkowników do grona swoich wirtualnych przyjaciół. Zaprasza do grania w gry. I znów strona robi wszystko za niego, oferując całą masę możliwości zbudowania ducha zespołowego. Pomyśl o grach z elementami walki. Gracz Antiholde'a będzie bohaterem, który cię zawsze obroni. Uratuje twój bohatera raz, drugi, trzeci. Będziesz mu dożgonnie wdzięczna. Za kilka tygodni będziesz się cieszyć za każdym razem, gdy zastaniesz go przy komputerze. Będziesz szczęśliwa, gdy wybierze cię do swojej drużyny. Będziesz w siódmym niebie, gdy zaczniecie się umawiać na grę o konkretnych porach o dnia. Już nie będziecie tylko przyjaciółmi, będziecie przyjaciółmi na śmierć i życie.

- No dobra - wtrąciła D. D. - ale w dalszym ciągu wszystko dzieje się w sieci. Przyjaźń wirtualna. Prerażająca, ale nieprawdziwa. Poza tym jaka jest szansa, że dzieciak jest z tego samego miasta co pedofil? Słyszałam co prawda o szesnastolatce, którą internetowy przyjaciel namówił, by przyleciała do niego na drugi koniec Stanów, ale pięciolatek?

- Gry sportowe - wyjaśniła O.

- Gry sportowe?

- To pierwszy wskaźnik rejonu geograficznego, z którego pochodzisz. Jeśli jesteś bostońskim pedofilem, przede wszystkim szukasz dzieciaków, które są fanami Red Soxów, Celtics czy Bruins. W dziewięciu na dziesięć przypadków ofiara będzie mieszkać gdzieś w pobliżu. A chłopcy uwielbiają rozmowy o sporcie. Dla pedofila to kolejny niewinny sposób na zbliżenie się do ofiary, a dla dziecka sposobność, by zupełnie bezwiednie udzielić mu informacji.

D. D. drgnęła niespokojnie na krześle.

- Skomplikowane.

Detektyw O wzruszyła ramionami.

- To, że są pedofilami, nie znaczy, że są głupi. Komputer to narzędzie. My go używamy do analizy dowodów czy zeznań. Oni opuszczają dzięki niemu swe małe, obleśne mieszkanki i wchodzą do naszych ciepłych, przytulnych domów, bez naszej wiedzy osaczając nasze dzieci. Niektórzy tworzą nawet własne strony. „Chomiki grające w hokeja” albo inne tego typu. Po loginie ze strony A próbują odnaleźć adres mailowy dziecka, co nie jest jakimś komplikowanym zadaniem. Następnie wysyłają maila z zaproszeniem do odwiedzenia strony „Chomiki grające w hokeja”. Dziecko nie dostrzega w tym niczego niepokojącego czy budzącego strach. Przecież wiadomość przysłał kolega, z którym gra od tygodni. Klika w przesłany link i ta-dam! jest na stronie kontrolowanej przez pedofila. A tam treści nie będą już tak niewinne, gdy pedofil przejdzie do fazy drugiej osławiania. Oprawca może też od razu przejść do akcji. Zamiast zapraszać do grania w kolejne gierki, wyśle wiadomość typu „Hej, stary, chcesz się umówić po

szkole w parku? Możemy pograć w berka”.

- Albo pobawić się z moim szczeniakiem - wyszeptala D. D.

- Druga ofiara - uściłiła O. - Stephen Laurent. Przyjdź pobawić się z moim szczeniakiem. Dziećmi generalnie łatwo manipulować. Dostają maila od kogoś, kogo uważają za przyjaciela, więc mówią: tak. Myślą, że idą do domu kolegi pobawić się z jego szczeniakiem. Drzwi otwiera im jednak dorosły mężczyzna. Jest także szczeniak, no i rodzice uczyli go, że trzeba być grzecznym dla dorosłych, więc nawet jeśli czują się nieswojo, nawet gdy gdzieś tam wewnątrz czują, że coś jest nie tak... - wzruszyła ramionami - idą na to. Tego nauczyliśmy je nawet bez komputerów.

D. D. czuła, że robi jej się niedobrze. Zamiast rozkładać zbrodnię na czynniki pierwsze, jak ją nauczono, ona wyobrażała sobie małego Jacka za pięć lat. Wychowają go z Alexem w dobrej dzielnicy, w bezpiecznym domu, poślą do dobrej szkoły, a w chwili, gdy włączy Internet... Jej syn zniknie w wirtualnej króliczej norze, pełnej mrocznych uliczek i niebezpiecznych nieznajomych. Mrocznych uliczek w postaci kolorowych ekranów komputera i niebezpiecznych nieznajomych jako małych, słodkich króliczków o nickach takich jak ILuvSk8boardingInHarvardSquare. Słodki Jezu.

- Masz dzieci? - spytała Ellen O.

Detektyw przybrała poważny wyraz twarzy.

- Żartujesz? Opowiadam na prawo i lewo o tym, że czterdzieści procent dziewczynek w wieku od dwunastu do siedemnastu lat choć raz było zaczepianych przez nieznajomego w sieci. Takie teksty nie nadają się na randki. Ani przyjęcia. Jeszcze ktoś wyciągnie smartfona z dyktafonem... Powiedzmy, że przynajmniej moje koty jakoś ze mną wytrzymują.

D. D. nie myślała o tym wcześniej w ten sposób, ale O miała rację. Miała głowę pełną makabrycznych historii, których nikt nie miał ochoty słuchać. D. D. pracowała w wydziale zabójstw, a też nie wiedziała, ile z tego zdoła znieść. Obnażało to jej słabości, mamy i policjantki.

- Czyli mówisz, że historia przeglądarki w komputerze Antiholde'a potwierdza, że polował w sieci?

- Profil by się zgadzał.

- A Stephen Laurent?

- Chętnie rzuciłabym okiem na jego komputer, ale chyba potrzebuję najpierw twojej zgody.

- Sprawdź też historię przeglądarki internetowej - zgodziła się D. D. - Na tym etapie szukamy jakichkolwiek powiązań między ofiarami.

- Pedofilami.

- Ofiarami morderstwa. Jeśli obaj odwiedzali te same strony, o których mówiłaś...

- To zostaje pytanie: kto ich rozszyfrował? Chodzi mi o to, że w sieci niczym nie różnią się od innych użytkowników, podekscytowanych dzieciaków. A jednak ktoś się domyślił, kim są i czym się zajmują.

- Wspólna ofiara? - zgadywała D. D. - Ktoś, kto znał ich ofiarę?

Przypomniała sobie wczorajszą rozmowę ze specjalistą od analizy pismoznawczej i tezę Dembowskiego, że mordercą jest pedantyczna kobieta. Nic jednak nie powiedziała. Nie chciała manipulować śledztwem na podstawie przypuszczeń, a grafologia, jak się okazało, opiera się w głównej mierze na przypuszczeniach, nie mówiąc już o tym, że miała sens tylko przy założeniu, że osoba, która zostawiła liścik, to ta sama osoba, która zabiła Stephena Laurenta. A to nasuwało

kolejne pytanie. Spojrzała na detektyw O.

- Czytałaś raport z miejsca pierwszej zbrodni?
- Tak. Wczoraj wieczorem.

Stare dobre czasy, gdy nie musiała kończyć pracy o siedemnastej.

- Kojarzysz jakiś liścik od mordercy?
- To znaczy?

- Kiedy wyszłam z mieszkania Stephena Laurenta, znalazłam za wycieraczką samochodu liścik. Zastanawiam się, czy zostawił go morderca.

Ellen O podniosła brwi zdziwiona.

- Co w nim było?
- „Wszyscy kiedyś umrzemy. Trzeba być odważnym”.
- O kurczę, kurczę, kurczę. Poczekaj. Zaczekaj chwileczkę.

O wypadła z gabinetu. D. D. została sama, zastanawiając się, o co właściwie chodzi.

O wróciła po sześćdziesięciu sekundach ze zdjęciami z miejsca pierwszej zbrodni. Na jednym widniał Douglas Antiholde. Drugie przedstawiało zbliżenie zawartości jego kieszeni: drobniaki, spinacz i poślódką karteczkę z notesu, wyprostowaną na tyle, by dało się przeczytać: „Wszyscy kiedyś umrzemy. Trzeba być odważnym”.

Każda litera starannie wykaligrafowana, wszystkie lekko spłaszczone u dołu.

- A niech to - mruknęła D. D.
- Seryjny morderca atakujący pedofilów - oznajmiła detektyw O triumfalnie. - Włączam się.
- Życzę ci powodzenia. Wszystkim nam życzę powodzenia.

Rozdział 9

Śniła mi się matka.

Stała przy blacie w maleńkiej, brązowożłotej kuchni. Zasłona ciemnych włosów przesłaniała jej wychudzoną twarz, a ona nuciła pod nosem „Cukier, przyprawy i wszystko, co dobre. Z tego zrobione są małe dziewczynki”.

We śnie miałam trzy lata i siedziałam wciśnięta w wysokie krzesło do karmienia małych dzieci. Plecy kleiły mi się do lepkiego, winylowego oparcia, a biały plastikowy pasek oblepiony wyschniętymi jajkami i rozmazaną owsianką boleśnie wrzynał mi się w brzuch.

Chciałam się stamtąd wydostać. Jęczałam, kwiliłam, awanturowałam się i kręciłam. Gdybym małymi, zwinnymi rączkami dosięgnęła klamry, mogłabym uciec. Robiłam to już wcześniej. Udało mi się kiedyś uciec, więc matka zmieniła zapięcie i klamerki znajdowały się teraz z tyłu siedzenia. Czułam się uwięziona i było mi niewygodnie i chociaż czułam głód, nie chciałam tam dłużej siedzieć.

Matka trzymała w ręce żarówkę. Wykręciła ją z obtłuczonej białej lampy w salonie, podśpiewując łagodnie do siebie. „Cukier, przyprawy i wszystko, co dobre. Z tego zrobione są małe dziewczynki”.

Włożyła żarówkę do niebieskiej plastikowej miski, wzięła dużą metalową łyżkę i uderzyła nią mocno. Rozległ się delikatny brzęk. Starsza ja, ta prawdziwa, a nie trzyletnia, uwięziona wersja

mnie, rozumiała, że dźwięk pochodził z rozbijanej żarówki.

Trzyletnia, uwięziona ja obserwowała jedynie dużymi niebieskimi oczami, jak matka miażdży żarówkę, cały czas nucąc pod nosem.

Potem podniosła wzrok i uśmiechnęła się do mnie.

Obok miski stał słoik masła orzechowego. Matka odkreśliła pokrywkę i nabrała pełną łyżkę masła. Włożyła je do niebieskiej miski ze zmiażdżoną żarówką i zamieszała.

- Cukier, przyprawy i wszystko, co dobre - oznajmiła. - Z tego zrobione są małe dziewczynki.

Podeszła do krzeselka. Zamaszystym gestem postawiła miskę na za małym, białym stoliku, na kawałku zaschniętego jajka. Słyszałam grząski odgłos żółtka rozmazującego się na misce.

Matka wyglądała elegancko. Usta miała pociągnięte błyszczakiem, a policzki różem. Jej brązowe włosy były świeżo umyte. Cierpliwie rozczesywała je, aż długie i błyszczące opadły do połowy pleców jak wodospad połyskującego, brązowoczerwonego jedwabiu.

Chciałam ich dotknąć, zamknąć w dłoni i poczuć tę delikatniejszą wersję mojej matki.

Ładnie wyglądała, co mnie jednocześnie fascynowało i przerażało.

- Cukier, przyprawy i wszystko, co dobre - podśpiewywała. - Och, Charlie, kochana, miłe dziewczynki kończą ostatnie. Nie chcesz przecież być ostatnia. Świat potrzebuje dzielnych i twardych dziewczynek. Cukier, przyprawy i rozbite szkło. Z tego powinny być zrobione małe dziewczynki.

Nabrała pierwszą łyżkę masła orzechowego.

- Patrz, leci samolot. No dalej, Charlie. Bądź grzeczną córeczką mamusi. Otwórz buzię. Samolot wlatuje do hangaru, brum, brum, brum...

Potem wymiotowałam krwią. Pojechaliśmy na pogotowie. Pielęgniarki zabrały mnie szybko na salę, robiąc wokół mnie wiele zamieszania. Szturchano mnie, dźgano, a lekarz świecił mi latarką w oczy. Trzymałam się za brzuch i jęczałam. Ale nie płakałam. Grzeczne dziewczynki są dzielne i twarde.

Ból. Potworne skurcze, wykańczająca biegunka, twarz złana potem, ale przyrzekam solennie, żadnych łez na policzkach.

- Po prostu nie wiem, co robić - tłumaczyła doktorom moja śliczna, błyszcząca mama. - Odwróciłam się tylko na chwilę, a potem patrzę, a ona je żarówkę. Naprawdę, doktorze, co za dziecko je żarówkę?

Grzeczne dziewczynki są dzielne i twarde.

- Czasem tak trudno być samotną matką. Zajrzałam na chwilę do kuchni, by przygotować jej ulubioną kanapkę z masłem orzechowym, w tym samym czasie robiłam pranie, sprzątałam zabawki w salonie i czyściłam łazienkę. Tak, żarówka się przepaliła, więc wyjęłam nową, żeby ją wymienić, ale nawet przez sekundę nie pomyślałam... Przepraszam, przepraszam. Nie chcę płakać, ale od tak dawna się nie wysypiam. Nie ma pan pojęcia, jaka ona jest ruchliwa i impulsywna... A teraz to, a nie mamy ubezpieczenia i... i... Przepraszam, czy mogę na chwilę usiąść?

Grzeczne dziewczynki są dzielne i twarde.

Lekarz poklepał matkę po ramieniu i powiedział, że wszystko będzie dobrze. Zgodził się, że matka robi wszystko, co w jej mocy i że w pełni ją rozumie.

Przewróciłam się na bok, złapałam za brzuch i znów zwymiotowałam krwią.

Chciałam się odezwać. Chciałam odzyskać głos, ale język miałam spuchnięty, bolały mnie policzki i piekło w gardle.

Obok mnie stała inna pielęgniarka, wycierała mi usta chłodną ściereczką i dotykała delikatnie czoła palcami. Przyglądałam się jej. Miała ciemne oczy i ciemne włosy. Mów. Chciałam mówić. Próbowałam otworzyć usta. Czułam nagłą, rozpaczliwą potrzebę odezwania się. Muszę o tym powiedzieć, muszę.

Nie o żarówce ani o maśle orzechowym.

Muszę powiedzieć o czymś innym. Gdybym tylko mogła powiedzieć...

Grzeczne dziewczynki są dzielne i twarde.

Otworzyłam usta.

Pielęgniarka się odwróciła. Jakby wyczuwając mój zamiar, matka spojrzała na mnie przez ramię lekarza, z drugiego końca pokoju, napotkała mój wzrok i uśmiechnęła się triumfalnie.

Obudziłam się w sypialni z zasłoniętymi żaluzjami, w moim wynajmowanym pokoju w Cambridge. Miałam przyspieszony puls, zmierzwione włosy, a szary bezrękawnik lepił mi się do spoconej skóry.

Nadal czułam słowa na końcu języka. Słowa, których wówczas nie dane mi było wypowiedzieć. Potrzebowałam wielu lat, by powoli, ale dokładnie je zapamiętać.

„Dziecko płacze”.

To chciałam powiedzieć. Czułam rozpaczliwą potrzebę, by to właśnie powiedzieć lekarzowi, pielęgniarce, komukolwiek. Tyle że, teoretycznie, nie pamiętałam żadnego dziecka. Teoretycznie matka urodziła tylko mnie.

„Dziecko płacze”.

„Na końcu korytarza”, pomyślałam. Przez sekundę niemal poczułam jego imię jak zapach w powietrzu, cień cienia wspomnienia. Mała dziewczynka. Na końcu korytarza. Płacze.

Zacisnęłam powieki. Przycisnęłam dłoń do oczu, jakby to mogło pomóc. Zapamiętać. Zapomnieć?

Nie wiedziałam. Przez wszystkie te lata nie wiedziałam.

Moja matka mnie skrzywdziła. To wiedziałam. Nie była zdrowa. W zasadzie była tak chora, że po tym ostatnim incydencie zamknięto ją na stałe. Chyba w szpitalu psychiatrycznym, bo tam zwykle wysyłano chorych ludzi. Przed pójściem do więzienia musiałyby przejść proces, a to bym zapamiętała.

Mama wyjechała. Tak powiedziała mi ciocia Nancy pierwszego dnia pobytu w szpitalu i nigdy więcej nie poruszyłam tego tematu. Wypowiadając imię matki, ryzykowałam, że przywołam demona. Więc nie pytałam, a ciocia Nancy nie mówiła.

Stało się coś złego, gorszego niż zwykle. Wiedziałam co. W głębi serca rozumiałam, że wiem wszystko, że w zasadzie pamiętam wszystko. Ale nie chciałam pamiętać tego, co pamiętałam. Więc zapomniałam. Świadomym lub podświadomym aktem woli wzięłam przeszłość, zamknęłam ją w pudełku i schowałam, by więcej jej nie oglądać.

Może nie jest to najlepsza strategia radzenia sobie, może jest niepozbawiona konsekwencji. Okazuje się, że kiedy odgradzimy się od części swojego umysłu, nie możemy kontrolować wszystkiego, co znika. Do dzisiejszego dnia moja pamięć jest w najlepszym razie chaotyczna.

Umyka mi czas, dni, tygodnie, całe rozmowy z przyjaciółmi, ważny wykład tuż przed egzaminem końcowym.

Jackie i Randi żartowały kiedyś ze mnie, że zapomniiałabym własnej głowy, gdyby nie była przytwierdzona do ramion. Śmiałam się razem z nimi, choć często z zażenowaniem. Jackie rzeczywiście zadzwoniła do mnie dzień wcześniej, rozmawiałyśmy przez dwie godziny, a ja o wszystkim zapomniiałam. Opowiedziała mi ze szczegółami o swojej pierwszej randce z obiektem kobiecych westchnień, Tomem Eastmanem, a ja nie potrafiłam sobie przypomnieć z tej rozmowy ani słowa.

Powtarzałam sobie, że to drobne zakłócenia w systemie operacyjnym. Biorąc pod uwagę ilość środków, jakie zaangażowałam w wymazanie ze świadomości całych ośmiu lat, pewne błędy były nieuniknione. Poza tym bez względu na to, jak bardzo dałam plamę, zapomniiałam o czymś lub po prostu coś przeoczyłam, były to i tak lepsze momenty niż te, kiedy zaczęłam sobie przypominać.

A działo się to najczęściej, gdy poziom mojego lęku gwałtownie wzrastał. Wówczas przeszłość wyciekała do moich snów, fragmenty taśmy ze starym filmem, w którym dawno, dawno temu chuda, zwariowana matka mieszkała w maleńkim, brudnym domu ze swoją chudą, samotną córką. Matka karmiła córkę tłuczonym szkłem, przytrząskiwała jej palce szufladami i spychała ze stromych schodów, ponieważ małe dziewczynki powinny być dzielne i twarde.

Aż pewnego dnia mała dziewczynka stała się tak dzielna i twarda, że wygrała wojnę.

Czułam to w kościach. Moja matka coś zrobiła. Ale to ja wygrałam wojnę.

Nie pytałam już o matkę, ponieważ w głębi serca rozumiałam, że odpowiedź może wyjawić mi wszystko, na co jeszcze nie jestem gotowa.

„Dziecko płacze”.

Dziewczynka. Miś. Białe falbanki, różowe kropki. „Cukier, przyprawy i wszystko, co dobre...”

Zapomnij, wyprzyj to, odepchnij. Nic dobrego nie wyniknie z przeszłości, szczególnie takiej jak moja. Nie mówiąc już o tym, że na tym etapie gry nie miałyby to sensu.

Ścigana kobieta nie potrzebuje rozliczenia z przeszłością, ale umiejętności walki.

Wstałam gwałtownie, spojrzałam na zegarek w zaciemionym pokoju i obliczyłam czas, jaki pozostał mi do ósmej wieczorem dwudziestego pierwszego stycznia. Do godziny zero, kiedy mój własny zabójca wreszcie mnie odwiedzi.

Pozostało siedemdziesiąt osiem godzin.

Włożyłam sportowe ubranie, chwyciłam smycz Fuksji i byłam gotowa do biegu.

Mój ojciec mieszka w Bostonie. Tylko raz pokłóciłam się z ciotką Nancy, i to właśnie o niego. Był to więc kolejny temat rzadko poruszany, a jeszcze rzadziej rozważany. Tak, mam ojca. To bogaty facet. Z tego co słyszałam, ma obecnie piątą lub szóstą żonę. Mam też rodzeństwo, to znaczy przyrodnie rodzeństwo. Nigdy ich nie poznałam i nie mam złudzeń, że mój ojciec jest dla nich lepszym rodzicem niż dla mnie.

Do ojcostwa podchodził jak dawca spermy. Poznać młodą ładną dziewczynę i zrobić jej dziecko. Jeśli jest wystarczająco młoda, ładna i chirurgicznie podrasowana, może nawet się z nią ożenić. I bawić się w męża, do czasu, oczywiście, kiedy na horyzoncie pojawi się kolejna młoda ślicznotka. A wtedy, no cóż, jest facetem, nic nie może na to poradzić.

Moją mamę poznał chyba podczas wakacji w ogromnym, starym hotelu Mount Washington w

Bretton Woods. Miała siedemnaście lat i pracowała jako pokojówka, a on trzydzieści i szukał rozrywki. Według ciotki Nancy matka powiedziała mu, że jest w ciąży. Nie poślubił jej, ale wysyłał pieniądze. Dawca spermy, autor czeków. Widzicie, niezły gość.

Nie interesował się mną, a przynajmniej tak mówi rodzinna historia. Szybko zerwał kontakt z matką, co trochę mnie dziwi. Nie to, że mnie zostawił, ale że matka zostawiła jego. Może próbowała go zatrzymać, ale była tylko szarą myszką, a on bogatym finansistą z wielkiego miasta, który zarabiał krocie i miał długoletni, stały system wartości spowity wysokim mniemaniem o sobie. Pewnie nie miała żadnych szans.

Prawdopodobnie po owym incydencie nowojorscy policjanci zadzwonili najpierw do niego. Jego nazwisko figurowało w telefonie matki jako kontakt alarmowy, chociaż bez przypisanego numeru telefonu. Policjanci są nieco bardziej wykwalifikowani niż chora psychicznie dwudziestopięcioletka, więc namierzali go w ciągu kilku dni. Nie było go jednak w kraju. Paryż, Londyn, Amsterdam - nie pamiętam.

Odesłał ich do ciotki Nancy, ona zaś dostała zaszczytu przejęcia odpowiedzialności za siostrzenicę, której nigdy wcześniej nie poznała. Już wówczas prowadziła pensjonat, a ponieważ zadzwoniono do niej zniemacka, kilka dni zajęło jej dotarcie z dzikiego New Hampshire w jeszcze dzikie północne rejony stanu Nowy Jork.

Tamte dni pamiętam jak przez mgłę. Wiem, że obudziłam się w szpitalu i byłam zaskoczona, że żyję. A potem zalała mnie fala dojmującego rozczarowania.

Siedziała koło mnie pracownica opieki społecznej. Czarne włosy obcięte na pazia okalały kanciastą twarz o ostrych rysach. Nie wyglądała przyjacielsko ani nie zdradzała cech matczynych. Sprawiała wrażenie twardej i mówiła w szorstki sposób.

Lekarze usunęli mi wyrostek robaczkowy i być może coś jeszcze. Najwyraźniej lata przyjmowania małych dawek szkła i trutki na szczury nie służyły organom wewnętrznym. Kobieta zapewniła mnie jednak, że zdrowieję i że wyjdę z tego.

Ponownie poczułam się głęboko zawiedziona.

Nie odezwałam się do niej, ani do pielęgniarek, ani do lekarzy. Zdradzili mnie. Zmusili mnie do życia i za to ich nienawidziłam.

W końcu przyjechała ciotka. Wzięła mnie za rękę i w tym momencie z córki mojej matki stałam się siostrzenicą ciotki.

To była najlepsza rzecz, jaka mnie w życiu spotkała.

Ciotka Nancy była starszą o sześć lat siostrą mojej matki. Miała srebrzystosiwie włosy obcięte bardzo krótko. Podobno przedwczesna siwizna to cecha rodzinna, podobnie jak niebieskie oczy i zdecydowany zarys szczęki. Z siwizną było mojej ciotce do twarzy, podkreślała stalowoniebieski kolor jej oczu i wydatne kości policzkowe. Ciotka się nie przejmowała. Podczas gdy matka miała obsesję na punkcie zwracania na siebie męskiej uwagi, ciotka równie obsesyjnie trzymała mężczyzn na dystans.

Gdy ich rodzice zginęli w wypadku samochodowym - w New Hampshire można zauważyć wiele znaków ostrzegających, by hamować na widok łośia na drodze, i to rzeczywiście dobra rada - ciotka przejęła rolę rodzica. Już wówczas moja matka była tą dziką, a ciotka tą odpowiedzialną. Krótko mówiąc, ich stosunki były napięte, jeszcze zanim matka zaszła w ciążę z bogatym finansistą z Bostonu.

Drogi sióstr się rozeszły, aż pewnego dnia zadzwonił telefon i ciotka dowiedziała się o

incydencie, o siostrzenicy i jeszcze jednej nieoczekiwanej zmianie w życiu.

Jak każde dziecko nie doceniałam ciotki do momentu, gdy pewnej nocy zadzwonił mój własny telefon z informacją o wypadku, tragedii, nieoczekiwanej stracie. Zwróciłam się do niej po radę, ponieważ mając do wyboru bycie córką mojej matki i siostrzenicą ciotki, bez wahania zawsze wybrałabym to drugie.

Moja ciotka jest dzielna i twarda.

Pieprzyć życie tłuczonego szkła.

Prowadziła pensjonat z niewielką pomocą i bez ubezpieczenia zdrowotnego w górach New Hampshire, gdzie w styczniu temperatury w ciągu dnia zaczynają się od minus dwudziestu, a większość gości z Bostonu zapomniała spakować czapek, szalików i rękawiczek.

Myślałam o ciotce teraz, kiedy wraz z Fuksją zwolniłyśmy przed skrzyżowaniem, poczekałyśmy, aż światło się zmieni i ruszyłyśmy sprintem przez przejście dla pieszych. Uważałam, że zasługuje na coś lepszego niż kolejny zmieniający życie telefon dwudziestego pierwszego stycznia.

Serce waliło mi po przebiegnięciu dziesięciu kilometrów, pot spływał po twarzy, pies truchtał obok, a łatwo dostępna broń tkwiła w saszetce na pasku. Jak dobrze, że ciotka mnie teraz nie widzi.

Wystarczyłoby jej jedno spojrzenie, by zrozumieć, że nawet jeśli wygrywałam walkę, to przegrałam wojnę: stałam się żywym odbiciem swojej matki, włącznie z podbitymi oczami, zapadniętymi policzkami i twarzą o surowych rysach.

Góry mnie opuściły. Ciotka mnie opuściła. Żyjąc w odosobnieniu, walcząc z paranoją w wielkim mieście, stałam się dokładnie taka, jaka wiedziałam, że nie powinnam się stać.

W ostatnich dniach byłam córką swojej matki.

Tyle że już nie żułam tłuczonego szkła.

Nosiłam przy sobie samopowtarzalną dwudziestkędwójkę i tego wieczora, około siódmej, miałam zamiar kolejny raz udowodnić, że umiem się nią posługiwać.

Rozdział 10

Cześć. Mam na imię Abigail.

Czy my się znamy?

Spokojnie, poznamy się.

Cześć. Mam na imię Abigail.

Rozdział 11

Detektyw policji stanowej z Rhode Island sierżant Roan Griffin miał głos niedźwiedzia i był wielki jak dąb. Prawdziwy wielkolud. Prawdopodobnie podnosił na siłowni małe samochody, powaliwszy wcześniej zapaśników sumo i zablokowawszy obrońców w meczu futbolowym. Był również przystojny. Kilka lat temu „Providence Journal” ochrzcił go mianem Niebieskookiego

Policjanta, kiedy pojawił się w programie Dave'a Lettermana, aby zaprezentować nowe, obsypane nagrodami mundury policji stanowej.

Prawda była taka, że policja stanowa z Rhode Island słynęła z najprzystojniejszych policjantów w Nowej Anglii. Nikt nie wiedział, jak tam trafiali. Może specjalna fabryka rzeźbiła szerokich w barach mężczyzn o pokaźnych klatkach piersiowych i kwadratowych szczękach. Tak czy inaczej, kiedy tylko nadarzała się okazja, by poćwiczyć z kolegami z Rhode Island, policjantki z Massachusetts szybko zapisywały się na trening. Wszystkie trzy.

W tej chwili D. D. rozmawiała z Griffinem przez telefon. Wielka szkoda, ponieważ siedziba policji Rhode Island oddalona była jedynie godzinę drogi na południe, a biorąc pod uwagę liczbę restauracji w dzielnicy Federal Hill, w których można zjeść lunch... „Brak czasu na zwiedzanie i kosztowanie włoskich potraw”, pomyślała D. D. i westchnęła. To tyle, jeśli chodzi o nowy, lepszy styl życia.

Griffin był żonaty. Było to jego drugie małżeństwo, ponieważ pierwsza żona zmarła na raka. Żona numer dwa miała na imię Jillian, była blondynką i pracowała w reklamie na stanowisku kierowniczym. D. D. nigdy osobiście jej nie poznała, dowiedziała się o niej z artykułów prasowych. Mniej więcej osiem lat temu Jillian przeżyła atak seryjnego gwałciiciela z College Hill. Jej młodsza siostra nie miała tyle szczęścia. Kiedy policja w końcu aresztowała sprawcę, Jillian stworzyła grupę pod nazwą Klub Ocalonych, której członkinie miały pomagać sobie nawzajem podczas procesu. Tyle że do procesu nie doszło, ponieważ podejrzany został zastrzelony przed siedzibą sądu, w wyniku czego Jillian i jej koleżanki z klubu darzonych współczuciem ofiar stały się głównymi podejrzanyimi.

D. D. jako pierwsza przyznała, że śledziła sprawę równie gorliwie jak Nancy Grace, zwłaszcza kiedy po domniemanym zabójstwie gwałciiciela zamordowano kolejną kobietę. W swojej pracy spotykała się czasem z takimi sprawami, których nie wymyśliłby nawet autor powieści kryminalnych.

Griffin i Jillian mieli dwóch synów. D. D. dowiedziała się, że chłopcy są w wieku czterech i sześciu lat. Młodszy z nich, Dylan, przejął zainteresowania taty i był zafascynowany futbolem, natomiast sześciolatek Sean niedawno odkrył gotowanie. Na przykład zeszłego wieczoru przyrządził dla całej rodziny comber jagnięcy.

- Marynowany w soku z granatu - zakończył Griffin. - Chociaż podejrzewam, że mama mu w tym pomogła.

- Ma zaledwie sześć lat. Jak zdołałby samodzielnie wstawić brytfannę do piekarnika? - dopytywała D. D.

- Och - odparł hardo Griffin. - Ma to po mnie.

- Gorący piekarnik też nie stanowi problemu?

- Jillian dostąpiła zaszczytu wyjęcia potrawy i pomogła mu opiec skórkę. Ale Sean znalazł przepis...

- Gdzie? W komiksie?

- Wypożyczył książkę kucharską z biblioteki. Lubi instrukcje. Nie czyta beletrystyki, ale znosi do domu poradniki na temat zakładania ogródków, konstruowania robotów czy budowania łodzi. Teraz przyszedł czas na gotowanie.

- Comber jagnięcy. To niesamowite.

- Był przepyszny. Chyba zacznę odkładać pieniądze na jego studia na uniwersytecie

Johnson&Wales*.

* Uniwersytet z główną siedzibą w Providence, który prowadzi również wydział gastronomiczny [przyp. tłum.].

- Nie jestem jeszcze ekspertką w gotowaniu dla Jacka - powiedziała D. D. - Ale wczorajszej nocy wymiotował coś, co mogłoby ująć za sos.

Griffin się zaśmiał. To była wspaniała cecha rodziców i policjantów z wydziału zabójstw: nic nie wydawało im się obrzydliwe. Mogła całymi dniami opowiadać o brudnych pieluchach, a koledzy detektywi uznawali to za czarujące. D. D. zastanawiała się czasem, jak żyją normalni ludzie.

- Sypia w ogóle? - zapytał Griffin.

- Nie.

- Próbowalas wozic go samochodem?

- Nie, boję się, że zasnę za kółkiem.

- A sypia w ciągu dnia?

- Trochę. Gdy trzymam go na rękach albo w nosidełku, odpływa kompletnie.

- Dylan też mało spał, jak był mały - powiedział z ożywieniem Griffin. - Zabierałem go na krótkie przejażdżki samochodem, żeby się zmęczył. Po powrocie do domu wstawiałem fotelik wprost do łóżeczka, nie wypinając małego z pasów. Sprawdzało się cudownie przez wiele tygodni. Wkrótce mogliśmy kłaść go bezpośrednio do łóżeczka. Może dzięki spaniu w foteliku przyzwyczaił się do niego? Nie mam pojęcia, ale działało.

D. D. wyduła wargi i westchnęła.

- Warto spróbować. Albo od razu zgłoszę się do wariatkowa.

W ostatniej chwili zreflektowała się, że nie powinna była tego powiedzieć, biorąc pod uwagę przeszłość Griffina, niewielki incydent z Candy Manem oraz wyniki z tego załamanie nerwowe detektywa i zwolnienie lekarskie.

Griffin niewzruszony zaśmiał się ponownie. D. D. wywnioskowała z tego, że układa mu się w nowej rodzinie. Miała nadzieję, że tak właśnie jest. Griffin był dobrym człowiekiem i wspaniałym detektywem. Skoro on był szczęśliwy, może istniała także nadzieja dla reszty.

- No więc tak. Nasze dzieci są rzeczywiście cudowne, jednak dzwonię poniekąd służbowo. Randi Menke, zamordowana w Providence dwa lata temu. Zdaje się, że w dochodzenie włączyła się policja stanowa, ponieważ prowadziłeś wówczas przeciwko głównemu podejrzanemu dochodzenie w sprawie o oszustwo.

- Jon Menke - odpowiedział natychmiast Griffin. - Cwany skurczybyk.

- Myślisz, że on to zrobił?

- W tamtym momencie ręczyłbym za to swoją pracą, jednak biorąc pod uwagę kolejne morderstwo rok później, pewnie bym ją stracił.

- Jackie Knowles - dodała D. D. - A więc słyszałeś o tym?

- Tysiące razy. Jej koleżanka... Chance, Chartreuse...

- Charlene. Charlie.

- Właśnie. - Griffin pstryknął palcami. - Charlie cośtam cośtam Grant. Odwiedziła naszą piękną komendę wiele razy, żądając natychmiastowego i błyskawicznego wymierzenia sprawiedliwości.

- Co o tym myślisz?

Kolejne westchnienie.

- Cholera, mamy osiemnasty stycznia. Zostały trzy dni. A niech to... - Griffin przestał mamrotać i zamilkł, zbierając myśli. - Okej, mogę się wypowiadać tylko na temat miejsca zbrodni w Providence i niewiele jest do powiedzenia. Po przyjeździe ratownicy zastali dom pogrążony w ciszy. Drzwi były zamknięte, ale nie na klucz. W salonie znaleźli zwłoki kobiety. Leżała tak spokojnie, że jeden z ratowników rzucił się, by ją reanimować. Dopiero gdy się nad nią pochylił, dostrzegł zasinienie wokół szyi i zdał sobie sprawę, że kobieta nie żyje.

- Była ubrana?

- Miała na sobie ciemnozielony dres z górnej półki: spodnie, białą koszulkę z długim rękawem i pasującą do spodni bluzę, miękkie skarpetki i kapcie L. L. Bean. Wygodne ciuszki, jak wyraził się jeden ze śledczych. Wyglądało to tak, jakby przygotowała się, by spędzić spokojny wieczór w domowych pieleszach, i wtedy ktoś zadzwonił do drzwi.

D. D. się zastanowiła. Kobiety nie wkładają zwykle dresu i ciepłych skarpetek, jeśli oczekują męskiego towarzystwa, więc przyjęła policyjną teorię, iż Randi szykowała się na spokojny wieczór.

- A telewizor? - zapytała. - Czy był włączony? Albo jakieś światła?

- Telewizor i światła były wyłączone...

- Zdjęliście odciski z włączników? - przerwała mu D. D.

- Ba - odparł pogodnie Griffin. - Nic. Sprawca na pewno miał rękawiczki. Uważam też, co jest trudniejsze do udowodnienia, że znał dom ofiary. Czuł się w nim swobodnie. Wyglądało to tak, jakby przyszedł, zrobił, co miał zrobić i wyszedł. Z tego co wiemy, wyłączył światła, zmył podłogę, posprzątał kuchnię. Miejsce zbrodni było czyste. Oczywiście poza zwłokami.

- Może była jakaś szamotanina? - zastanawiała się D. D. - Może Randi zaciekle się broniła i dlatego sprawca posprzątał po wszystkim.

- Możliwe, jednak na ciele nie ma urazów, żadnych ran, które by mogły powstać w walce ani siniaków. Reasumując, wygląda na to, że wszedł, zacisnął jej dłonie na szyi i po wszystkim.

- Kilka razy użyłeś rodzaju męskiego. Myślisz, że sprawcą był mężczyzna?

- Tak przypuszcza lekarz sądowy. Nie jest łatwo udusić kogoś rękami, potrzeba do tego sporej siły mięśni, również w palcach. Randi była średniej budowy ciała, sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, pięćdziesiąt cztery kilogramy wagi, cztery razy w tygodniu ćwiczyła pilates. Teoretycznie potrzeba by kogoś większego i silniejszego, by obezwładnić ją tak szybko.

D. D. wydeła wargi.

- A Jon Menke?

- Gnida - mruknął Griffin. - Metr osiemdziesiąt wzrostu, osiemdziesiąt sześć kilo, sprawny fizycznie, cztery, pięć razy w tygodniu ćwiczył rano na siłowni. Najwyraźniej uważał, że lekarz powinien wyglądać zdrowo. Dowiedzieliśmy się, że jego koleżanki z pracy bardzo to sobie ceniły.

- Pies na baby?

- Z pewnością nie monogamista.

- Czy Randi o tym wiedziała?

- Najwyraźniej była to jedna z przyczyn rozwodu, nie licząc tego, że lubił ją tłuc.

- Czy jest to udokumentowane?

- O, tak. Trzeba przyznać, że Randi zrobiła, co trzeba, zanim odeszła od tego drania. Zadzwoniła na gorącą linię, otrzymała kilka rad. Zanim zadzwoniła do prawnika i podjęła próbę

ucieczki, zappełniła całą skrytkę bankową zdjęciami i zaświadczeniami z przychodni. I wierz mi, Menke nieźle się tym wkurzył. Żona nie tylko od niego odeszła, ale przypięła mu łątkę damskiego boksera i pozwała o alimenty. Tak, Menke miał wszelkie powody, by życzyć jej śmierci i był w pełni zdolny do tego, aby ją zabić.

- Tyle że... - zapytała przeciągle D. D.

- Miał alibi - odparł Griffin. - Kelnerka, notabene młoda ślicznotka, która prawdopodobnie zobaczyła jego mięśnie, czeki i porsche i szybko zapomniała, że ma na koncie przemoc domową. Byli w barze i kilku stałych klientów to potwierdziło. Ostatecznie nie rozgryźliśmy sprawy.

D. D. zastanowiła się.

- Mówiłeś, że prał żonę.

- Tak. Spuchnięte wargi, podbite oczy, uszkodzone kolano, w które podobno ją kopnął.

- Wygląda na to, że koleś miał problemy z kontrolowaniem gniewu.

- Tak.

- Ale miejsce zbrodni...

- Wyglądało tak, jakby robotę wykonał ktoś całkowicie opanowany - zgodził się Griffin. - To była kolejna wątpliwość przy rozpatrywaniu Menkego jako potencjalnego sprawcy. Z jednej strony dobrze byłoby przymknąć go za coś, z drugiej jednak to coś nie było w jego stylu. On zdemolowałby dom. Dodatkowo, jak twierdzi nasz kryminolog, mężowie, którzy biją żony, a wreszcie je zabijają, prawie zawsze oszpecają małżonki, strzelają im w twarz albo zadają pięćdziesiąt ciosów nożem. To osobisty, szaleńczy, odczłowieczający atak. Tę zbrodnię popełniono z zimną krwią. Bardziej przypominała morderstwo na zlecenie, co było naszą kolejną teorią.

- Och. - D. D. otwarła szerzej oczy. - Menke zapłacił komuś, by zabił jego byłą idealną żonę.

- Tak, to moja teoria. Wówczas wygrywała z innymi i nadal może stanowić najlepszy trop. Nie mogliśmy jednak znaleźć żadnych śladów płatności. W owym czasie federalni prowadzili dochodzenie przeciwko Menkemu w sprawie o oszustwo dotyczące opieki zdrowotnej i historia związanych z nim operacji finansowych była długa i zawiła. Istniało podejrzenie, że na boku handlował lekami na receptę, dzięki czemu miałby dostęp do gotówki i szczególnej klienteli, czego nie udało nam się udowodnić. Tak więc moim zdaniem morderstwo na zlecenie pozostaje najbardziej prawdopodobnym scenariuszem.

- Przymknęliście go za oszustwo?

- Federalni go dopadli, ale niewiele wskórali. Zdołali udowodnić mu jedynie niewielkie przekręty, a nie największe szwindle. To jednak wystarczyło, by odebrać mu uprawnienia do wykonywania zawodu, a poza tym odsiaduje trzy do pięciu lat w jakimś więziennym kurorcie. Jeśli masz więcej pytań, możesz skontaktować się z agentem FBI z Bostonu Davidem Riggsem, który prowadził dochodzenie w sprawie oszustwa.

- Jak zareagował, kiedy przesłuchiwaliście go na temat morderstwa żony? - zapytała D. D. - Zachowywał się wrogo, czy był z siebie zadowolony?

- Zareagował świętym oburzeniem. Już całkiem o niej zapomniał, więc jak śmiemy go o cokolwiek posądzać.

- A, oburzenie, dobre wyjście dla damskiego boksera. Przestrzega zasad moralnych.

- Jest w końcu lekarzem.

Oboje zamilkli.

- Żadnych dowodów rzeczowych na miejscu zbrodni? - D. D. spróbowała ponownie.
 - Jedynym dowodem był brak dowodów - zapewnił ją Griffin.
 - Co masz na myśli?
 - W większości domów można znaleźć odciski palców. W tym, o dziwo, nie było żadnych.
 - Więc zabójca rzeczywiście po robocie posprzątał.
 - Zimny jak lód i zręcznie posługujący się zmywakiem. Nadal myślę, że to zabójstwo na zlecenie. Facet ma niezły życiorys.
 - A drugie morderstwo - drażyła D. D. - W Atlancie?
 - Nie znam szczegółów. Po fakcie dowiedziałem się o zdarzeniu od Charlie i zadzwoniła do mnie agentka FBI z Atlanty, Kimberly Quincy. Słyszała, że morderstwo Jackie Knowles może być powiązane ze sprawą z Providence i chciała się czegoś dowiedzieć. Powiedziała, że miejsce zbrodni po zabójstwie Knowles było również nieskazitelnie czyste. Oczywiście, nie licząc zwłok.
- D. D. ściągnęła brwi. Nie podobało jej się to.
- Muszą być powiązane. - Teraz ona mamrotała. - Ile czystych miejsc zbrodni widziałeś w swojej karierze?
 - Włącznie z Randi: jedno.
 - Właśnie. Muszą więc być ze sobą związane. Ale jak?
 - Pytanie brzmi: kto? - poprawił ją Griffin. - Wiemy, że Randi miała przynajmniej jednego wroga: swojego byłego męża. Ale co z Jackie Knowles? Kto mógłby życzyć jej śmierci?
 - Morderstwo na zlecenie sugeruje pieniądze - powiedziała natychmiast D. D. - Jednak dwie różne ofiary z dwóch różnych rodzin wykluczają kwestie spadkowe.
 - Proszę, Randi nie dostawała aż tak wysokich alimentów. Na koncie miała tylko trzydzieści dolarów. Słuchaj - Griffin wziął głęboki oddech. - Muszę za chwilę lecieć, ale jeśli to pomoże, kiedy usłyszałem o miejscu zbrodni z Atlanty, sprawdziłem okoliczne hotele. Chciałem zobaczyć, czy w którymś z nich nie zatrzymał się wspólny znajomy Randi i Jackie. Razem dorastały, prawda? Może był to sąsiad, kolega z klasy, przyjaciel.
 - Charlie bla, bla Grant - zasugerowała D. D.
 - Nie mogę tego udowodnić, ale może zapłaciła za pokój gotówką... Wiesz, jak to jest.
- D. D. przytaknęła. Wiedziała, jak to jest.
- Sama mnie znalazła.
 - Charlie cośtam cośtam Grant?
 - Tak. Mieszka teraz w Bostonie. Uciekła od sąsiadów, kolegów z klasy, przyjaciół.
 - Trzy dni do dwudziestego pierwszego - mruknął Griffin.
 - Tak. Chciała spotkać się ze mną osobiście. Ma nadzieję, że jeśli nie przeżyje dwudziestego pierwszego, to zmotywuje mnie bardziej do poszukiwań mordercy.
 - Cholera - zaklął Griffin.
 - Tak właśnie pomyślałam.
 - Powinnaś zadzwonić do Atlanty, do tej agentki. Wydawała się w porządku. Żałuję, że nie mogę ci bardziej pomóc, szczególnie biorąc pod uwagę nagłący termin...
- D. D. przytaknęła. Trzy dni na rozwiązanie dwóch spraw morderstw popełnionych z zimną krwią, w kwestii których dochodzenie w ciągu dwóch lat nie dało żadnych rezultatów...
- W takim razie - zaczęła zwawo. - Kogo byś szukał na moim miejscu?
 - Kogoś silnego fizycznie, opanowanego, elokwentnego, choć przede wszystkim sprawnego

manualnie i kompletnie bezdusznego. Prawdopodobnie z ponadprzeciętną umiejętnością obsługi komputera - dzisiaj Internet jest najlepszym przyjacielem każdego prześladowcy. I na odwrót - zasugerowałbym Charlie, by trzymała się z dala od Internetu, dopóki jest potencjalną ofiarą. Dzisiaj logowanie to jak wysyłanie sygnałów dymnych: tutaj jestem. I przeanalizowałbym kontakty. Ile osób znało wszystkie trzy kobiety? Właśnie pomyślałem, że warto sprawdzić Facebooka. Czasami są tam strony poświęcone czyjejś pamięci, np. Randi Menke czy Jackie Knowles. Sprawdź, kto się na nich udziela i namierz ich. Może to będzie dobry początek.

- Mnóstwo godzin na sprawę, która nie jest nawet sprawą - wymamrotała D. D. i w tym samym momencie pomyślała o detektyw O, internetowych pedofilach i oswajaniu ofiar. Poczowała satysfakcjonujące kliknięcie z tyłu głowy. Dziesięć tygodni kompletnie pozbawionych snu, ale nadal była w formie.

- Dzięki, Griffin - rzuciła pośpiesznie. - Właśnie podsunąłeś mi pomysł.

Rozdział 12

Jesse wypadł ze szkolnego autobusu, zarzucił na lewe ramię plecak Red Soxów i puścił się biegiem ośnieżoną drogą. Nie miał zegarka i nie był pewien, która jest godzina. Wiedział jednak, że autobus się spóźnił. Że też właśnie dzisiaj przyjechał później. Musi się bardzo, bardzo śpieszyć.

Przeskakując po dwa stopnie, wbiegł po schodach prowadzących do budynku i uderzył całą dłonią w dzwonek domofonu. Mama już na niego czekała i wpuściła do środka. Popchnął ciężkie drzwi wejściowe i wpadł na schody. Przeskoczył dwa pierwsze stopnie, zahaczył stopą o krawędź trzeciego i upadł na kolana, by za chwilę stanąć na nogi i dokończyć długi bieg na drugie piętro. Już po drodze szukał w kieszeni klucza do mieszkania. Dotarł pod drzwi spocony, drżący, czując, że lekko go mdli.

Nie mógł się spóźnić, nie chciał.

Hipopotam Pałkarz liczył na niego.

Jesse wetknął metalowy klucz do zamka, otworzył drzwi i wpadł do mieszkania, w biegu zrzucając z siebie buty, plecak, rękawiczki, kurtkę, czapkę i spodnie śniegowe. Nie ma czasu na żadne przekąski. Musi się zbierać, szybko, szybko.

Sprintem dopadł stołu, wcisnął włącznik komputera nad klawiaturą i usłyszał, jak mama krzyczy z korytarza:

- Jesse, wszystko w porządku?

- Tak, tak, tylko zagram.

- Jesse?

- AthleteAnimalz. Jezu, mamó, wszystko w porządku! - W momencie, gdy wypowiedział te słowa, przygryzł dolną wargę. Zbyt późno zdał sobie sprawę, że powinien uważać na ton głosu. Czasami, gdy niegrzecznie się odzywał, mama zabraniała mu korzystać z komputera. Zamarł z dłonią na klawiaturze i z oczami utkwionymi w monitorze, podczas gdy stary laptop powoli ożywał.

Ale mama nie pojawiła się w progu i nie powiedziała nic więcej. Prawdopodobnie rozmawiała

przez telefon i nie mogła się oderwać. Jesse czuł się winny, ale zarazem wdzięczny. Odwrócił się na ułamek sekundy od ładującego się komputera, by chwycić Misia Zombie i szklankę mleka. Zegar w kuchence wskazywał piętnastą czterdzieści dwie.

Tak, spóźnił się, i to bardzo.

Dopadł z powrotem stołu, rozlewając po drodze trochę mleka. Pędem pobiegł do kuchni po serwetkę i kiedy wrócił i posprzątał, serce mu waliło i wcale nie czuł się dobrze. Było mu gorąco, cały się trząsał i chciało mu się płakać, choć nie wiedział dlaczego.

Spóźnił się i Hipopotam Pałkarz będzie na niego zły, do tego nieprzyjemnie odpowiedział mamie, która też się pewnie na niego gniewa, a on tylko chciał się z kimś zaprzyjaźnić, chciał, żeby wszystko było w porządku i żeby ktoś go lubił, żeby mama nie musiała tak ciężko pracować i żeby sąsiadka z dołu pani Flowers nie waliła ciągle w drzwi, kiedy starał się stąpać cicho, choć niezbyt mu to wychodziło.

Jesse zasiadł przed komputerem, wszedł na stronę AthleteAnimalz i robił, co mógł, by się nie rozpłakać. Wiedział, że się spóźnił, ale nie chciał się mazać jak dziecko.

Niedźwiedź Pałkarz dostał nową wiadomość. Ręka Jessego drżała tak bardzo, że dopiero za trzecim razem udało mu się kliknąć myszką na ikonkę skrzynki pocztowej. Nadawcą był Hipopotam Pałkarz, a wiadomość zawierała uśmiechniętą buźkę i rysunek rękawicy bejsbolowej.

„Hej, kolego. Jestem tutaj, gotowy do gry. Daj znać, gdy będziesz gotowy. Twój przyjaciel, Hipopotam Pałkarz”.

I wtedy Jesse się rozpłakał. Z oczu popłynęły mu wielkie łzy ulgi. Hipopotam Pałkarz nie gniewał się na niego i nadal chciał z nim grać.

Hipopotam Pałkarz nadal był jego przyjacielem.

Jesse łkał z wdzięczności.

Rozdział 13

O czwartej trzydzieści jeden zaczęłam pierwszą fazę przygotowań. Po pierwsze, strój. Zdecydowałam się na czarne jeansy, czarny golf, buty biegowe z grubą podeszwą i czarny wełniany płaszcz, wszystko z miejscowego sklepu Armii Zbawienia.

Wyglądałam jak włamywacz albo nowojorczyk, zależnie od punktu odniesienia.

Uwielbiałam te buty i próbowałam pogodzić się z ich stratą. Faza czwarta zakładała wyrzucenie całego stroju do kontenera na śmieci. Policja nadal będzie co prawda mogła go odnaleźć, ale nie będzie w stanie udowodnić, że używane ubrania należały do mnie. Przeworność, przeworność i jeszcze raz przeworność.

Do tej pory taka taktyka się sprawdzała.

Wychodząc z domu, założyłam jaskrawy turkusowy szalik, czapkę w tym samym kolorze i za duże rękawiczki z jednym palcem. Przeczytałam gdzieś, że kluczowym elementem każdego przebrania są wyróżniające się dodatki. Później świadkowie skojarzą mnie z zielononiebieskim szalikiem lub dziwnymi rękawiczkami, co znaczy, że nie mogłam być odzianym w czerń sprawcą. Przecież w czasie popełnienia zbrodni byłam ubrana w turkusy!

Przewiesiłam przez ramię torbę listonoszkę wypchaną gazetami, by wydawała się pełniejsza.

Później wyrzucę je, a ich miejsce zajmą jaskrawy szalik, czapka i rękawiczki. Na razie wypchana torba zasłaniała kolejny łatwo rozpoznawalny element: mojego taurusa. Dwudziestkadwójka tkwiła w kaburze przy pasie specjalnie zaprojektowanym przez mojego instruktora strzelania J. T. Dillona, by mogła pomieścić dodatkowe dwadzieścia siedem sztuk amunicji.

Jutro spotkam się z nim ostatni raz. Miałam przeczucie, że wie co nieco o dzisiejszym wieczorze. Nie dopytywał się jednak, a ja nie byłam wylewna. Nasza rozmowa przed dwoma tygodniami przebiegła mniej więcej tak:

- Gdybym potrzebowała, powiedzmy, nowej tożsamości... na przykład gdybym chciała dostać pełen zestaw profesjonalnie wykonanych dokumentów, wiedziałbyś, do kogo mogę się zwrócić w tej sprawie?

J. T. ładował swoją czterdziestkępiątkę.

- Często słyszę to pytanie.

- Lepšie niż padające z ust dziewczyn pytanie o znak zodiaku.

J. T. w końcu podniósł na mnie wzrok. Robiłam, co mogłam, by nie skulić się pod tym spojrzeniem. Zanim stanął twarzą w twarz z seryjnym zabójcą, wystrzelał połowę Massachusetts i w końcu znalazł żonę, J. T. służył w Force Recon, oddziale specjalnym marynarki wojennej. Przypominał mi uzbrojonego bandytę, z siwiejącymi włosami, szorstką skórą na twarzy i otoczonymi zmarszczkami oczami człowieka, który większość życia spędził, wpatrując się w linię horyzontu i nigdy nie był zaskoczony tym, co na niej zobaczył.

- To nie jest tanie - odparł.

- Mam fundusze na czarną godzinę. I właśnie się ściemnia.

- Moja żona cię lubi - odparł, jakby to załatwiało sprawę.

Może tak było. Spotkałam ją tylko raz. Popatrzyła na mnie przez pół sekundy, podeszła i mocno mnie przytuliła. Odniosłam wrażenie, że Tess jest równie twarda jak jej mąż i gdybym kiedykolwiek przyjęła ich zaproszenie na obiad, miałybyśmy sobie wiele do powiedzenia.

J. T. podał mi nazwisko i kazał odczekać dwadzieścia cztery godziny, aby móc za mnie poręczyć. Najwyraźniej zrobił to, ponieważ gdy dwa dni później zadzwoniłam pod podany numer, kobieta o rzeczowym głosie sprawiała wrażenie, jakby się mnie spodziewała. Ona pytała, a ja odpowiadałam. Trzy dni temu za okazijną cenę tysiąca dolarów nabyłam trzy zestawy nowiutkich, najwyższej jakości fałszywych dokumentów: trzy akty urodzenia, trzy karty ubezpieczenia i jedno prawo jazdy.

Wszystko, czego przerażona kobieta może potrzebować, aby uciekać przez resztę życia.

Prawdę mówiąc, nie byłam pewna, czy jestem to sobie w stanie wyobrazić. To zabawne, ale boksowanie, strzelanie i bieganie obudziły coś we mnie. Okazuje się, że mam w sobie żyłkę agresji. Odkrycie tego zajęło mi tylko dwadzieścia osiem lat, ale ostatnio robiłam wszystko, by nadrobić stracony czas.

Wychodząc tylnymi drzwiami z domu, w którym wynajmowałam pokój, z uczuciem ulgi zobaczyłam, że na ganku nie ma Fuksji. Dzisiejsza misja była zdecydowanie jednoosobowa.

Owinęłam się ciaśniej płaszczem, zakryłam brodę kołnierzem, by uchronić się przed szczypiącym mrozem i ruszyłam w stronę Harvard Square. Dziesięciminutowy spacer na stację, osiem minut oczekiwania na pociąg, potem wsiałam i dalej w drogę.

Godziny szczytu, więc metro wypchane po brzegi. Stałam pośrodku, stając się kolejnym bezimiennym pasażerem z dłonią na metalowej rurce, kołyszac się w rytmie wagonu i wdychając

podziemny zapach potu, moczu i wilgotnych wełnianych płaszczy.

Nuciłam cicho pod nosem, co było jedynym sposobem na opanowanie rosnących nerwów.

Zostało mi siedemdziesiąt pięć godzin życia.

Co ty byś zrobił w takiej sytuacji?

Gdy wyszłam ze stacji metra, niebo było kruczoczarne. Pokonałam trzeszczącą obrotową bramkę i ruszyłam po schodach w stronę ciemniejszej, spokojniejszej części Bostonu. Latarnie robiły, co mogły, by poradzić sobie z nieugiętym, zimowym wieczorem, ale stały zbyt daleko od siebie i na chodniku tworzyły się ciemne plamy, na tyle duże, aby samotna kobieta zaczęła się zastanawiać, czy tamtędy przejść. Zdjęłam turkusowy szalik, czapkę i rękawiczki i wcisnęłam je głęboko do torby. Przesunęłam ją na plecy. Już nie musiałam ukrywać kabury na biodrze. W tej okolicy wszyscy nosili spluwy, a stapiając się z otoczeniem, miałam większe szanse na przeżycie.

Okazuje się, że w biednych dzielnicach nawet śnieg jest brzydki. Góry, gdzie kiedyś mieszkałam, czy Harvard Square, gdzie mieszkałam teraz, pokrywały połacie białego, puszystego śniegu jak z obrazów Normana Rockwella. Ale nie tutaj. W tej części miasta śnieg był kolejnym rodzajem zanieczyszczenia. Szary, wymieszany z piaskiem, upstrzony żółtymi plamami psich sików i najeżony wyrzuconymi skrętami, pokrywkami z kubków po napojach i petami. Patrząc na taki śnieg, nie myślimy o bożonarodzeniowych światełkach, kominku czy kubku gorącego kakao. Przechodząc obok takich zasp, dochodzimy do wniosku, że nawet matka natura jest niewdzięczną suką.

Podążałam za mapą, którą zapamiętałam, by odnaleźć adres, którego nie zapisałam. Kolejne środki ostrożności.

Ulice nie były puste. W biedniejszych dzielnicach nigdy nie pustoszeją. Minęłam grupkę potężnych czarnoskórych nastolatków w bejsbolówkach założonych tyłem na przód, puchowych kurtkach cztery numery za dużych, ze złotymi łańcuchami połyskującymi na piersiach. Niektórzy się śmiali, inni palili. Kilku z nich już szturchało się i popychało nawzajem, może w żartach, a może nie.

Wszyscy podnieśli wzrok. Ruszyli z miejsca. Biała laska na ich ulicy.

Uśmiechnęłam się do nich, położyłam palec na ustach i delikatnie wypuściłam powietrze.

- Cśś.

A oni zwyczajnie ucichli i odeszli.

Myślę, że to z powodu mojego spojrzenia, które każdy z nich dobrze znał i prawdopodobnie co rano oglądał w lustrze.

Chcecie wiedzieć, jakie to uczucie, gdy nie macie już nic do stracenia?

Wyzwalające.

Oszłamiające.

Niebezpieczne.

Szósta dwie po południu. Obrałam cel.

Zostały mi siedemdziesiąt cztery godziny życia.

Co ty byś zrobił w takiej sytuacji?

Tomika czekała na mnie w holu. Tak grubo opatulila dzieci, że na tle ciemnych twarzy widać było im jedynie błyszczące, białe oczy. Michael, starszy synek, miał ze sobą czerwony plecak, a

Mica, czteroletnia dziewczynka, ścisnęła kocyk i pluszowego misia. Tomika niosła resztę rzeczy w dwóch torbach przewieszonych przez oba ramiona. Osiem lat małżeństwa i dwadzieścia sześć lat życia spakowane w dwóch średniej wielkości torbach podróżnych.

Potknęłam się. Przechodząc przez próg, źle postawiłam stopę, zachwiałam się i musiałam przytrzymać drzwi.

Potem zrobiłam coś, co zadziwiło mnie samą. Wypuściłam powietrze, aby zobaczyć, jak tworzy mglisty szlak w zimnej jak lód otchłani wieczora.

To mi się podobało. Miałam poczucie, że wszystko dzieje się tak, jak trzeba.

- Dzwonił? - zapytałam łagodnie.

- Pięć minut temu.

Zerknęłam na zegarek i wyznaczyłam w głowie ramy czasowe.

- Chodźmy.

Wyciągnęłam rękę i dziewięcioletni Michael wsunął w nią swoją, jakby była to najbardziej naturalna rzecz na świecie. Uśmiechnęłam się do niego. Odpowiedział mi uroczystym spojrzeniem i ponownie wszystko było jak trzeba.

Tomika pierwszy raz zadzwoniła do centrali pół roku temu. Typowa historia, pijany, rozwścieczony mąż demoluje mieszkanie. Typowy rezultat, przyjechała policja, uspokoiła męża, a żona odmówiła wniesienia oskarżenia.

Jednak sześć tygodni temu do centrali zadzwonił Michael. Matka wyszła i zostawiła jego i młodszą siostrę z ojcem. Kulili się w szafie, robiąc wszystko, by ojciec ich nie usłyszał ani nie zobaczył, ponieważ przyszli inni mężczyźni, zaczęli się kłócić, jeden wyciągnął broń, więc Michael chwycił siostrę, zaszły się z nią w głębi szafy rodziców i nie wiedział, co ma robić.

Zrobiłam to, co robią dyspozytorzy, zadałam pytania i otrzymałam odpowiedzi. Wysłałam na miejsce zdarzenia kilku policjantów i cały czas pozostawałam w kontakcie telefonicznym z Michałem. Rozmowa trwała czterdzieści pięć minut. Śpiewaliśmy głupie piosenki i opowiadaliśmy sobie kawały. Michael i Mica nauczyli mnie nawet kilku wyrażen ze slangu getta, żebym mogła podnieść swoją wiarygodność na ulicy.

Kiedy funkcjonariusze dotarli na miejsce, mężczyźni zdążyli już opuścić mieszkanie, a Stan wkurzył się, widząc na progu policjanta. Tego wieczora służbę pełnił Mackereth. Tom. Dobrze się spisał. Nie wspomniał ani słowem o Michaelu ani Mice skulonych w szafie z telefonem. Wyjaśnił tylko, że przyjechał w związku ze skargami sąsiadów, którzy słyszeli kłótnię. Zapytał, czy Stan widział coś lub słyszał.

Po tym zdarzeniu Michael zaczął dzwonić częściej, czasami tylko po to, by porozmawiać. Noce w jego domu były długie i nikt nie przejmował się potworami pod łóżkiem, kiedy prawdziwy potwór spał pijany na sofie w salonie. Chłopiec martwił się o mamę i bał o siostrę.

Po ostatnim zarejestrowanym telefonie, trzy tygodnie temu, opieka społeczna złożyła rodzinie wizytę. Jak opowiedział mi później Michael, Stan zebrał rodzinę i posadził przed pracownikiem opieki społecznej. Mieli odpowiedzieć na wszystkie pytania szczerze i otwarcie, gdy tymczasem on stał nad nimi i patrzył.

Jak tylko pracownik wyszedł, Stan wyjął młotek. Połamał Tomice wszystkie palce, Michaelowi cztery i małej Mice dwa. Wyjaśnił im, że albo nikt więcej nie będzie korzystał z telefonu, albo następnym razem zamiast młotka wyjmie toporek.

Michael potrzebował dwudziestu czterech godzin, by zebrać się na odwagę i wykręcić małymi

palcami numer alarmowy. Potem musiał odczekać kolejne dwa dni, aż pojawiłam się na nocnej zmianie. Jeśli ktokolwiek odsłuchał kiedyś nagranie z tej rozmowy, brzmiało to tak, jakby mały chłopiec bawił się telefonem, szukając numeru do mamy, a doprowadzony do rozpaczy dyspozytor w końcu wyrecytował numer, by uspokoić dziecko.

Całkiem przypadkiem okazał się nim prywatny numer komórki dyspozytora. Jaki inny numer można wyrecytować z pamięci?

Michael i ja kontynuowaliśmy rozmowy nieoficjalnie, a potem dołączyła do nas Tomika. Następnie zlikwidowałam własne konto oszczędnościowe, wypłaciłam całe cztery tysiące dwieście dolarów, aby kupić kobiecie i jej dwójce dzieci nowe dowody tożsamości, zapłacić pierwszą i ostatnią ratę czynszu wraz z kaucją za nowe mieszkanie oraz nabyć bilety autobusowe, dzięki którym mieli do niego dojechać.

Zostały siedemdziesiąt trzy godziny i trzydzieści minut.

Co ty byś zrobił w takiej sytuacji?

Odprowadziłam Tomikę, Michaela i Mikę na dworzec autobusowy. Będą musieli przesiąść się jeszcze trzy razy, zanim dotrą do Portsmouth w New Hampshire, ale mieszkała tam dawna koleżanka Tomiki, która miała jej załatwić pracę. Nowe imiona, nowe życie, nowe możliwości.

Tomika płakała.

- Kocham go - powiedziała, a potem otarła policzki dłonią.

Jej palce rozdzielone były szynami i owinięte białymi bandażami.

- Zabije cię.

- Wiem.

- Zabije twoje dzieci.

- Wiem.

Michael trzymał rękę na ramieniu młodszej siostry. Wpatrywał się w matkę z rezygnacją na twarzy.

- Mamusiu? - odezwała się w końcu Mika.

Tomika spojrzała na córkę i załkała mocniej.

- Przysięgam, że tam nie wrócę. Będę silna. Zadbam o nas, kochanie. Obiecuję, zadbam o nas.

Ponieważ palce miała usztywnione, pomogłam jej schować nowe dokumenty do torebki. Otworzyłam jej portfel, wyjęłam stare prawo jazdy, włożyłam nowe, w którym przyjaciel J. T. wykorzystał jedno z jej zdjęć z Facebooka. W ciągu trzydziestu sekund Tomika Miller stała się Tonyą Davis. Zawiązałam swój turkusowy szalik wokół jej szyi, założyłam jej ciemne okulary i czapkę, by zasłonić sterczące włosy.

Dla Michaela i Miki wymyśliłyśmy coś prostszego. Michael dostał perukę i został siedmioletnią siostrą, a po pospiesznym odcięciu kucyka Mika stała się czteroletnim bratem.

Gdyby później Stan Miller pytał o nich na dworcu, nikt nie będzie pamiętał samotnej kobiety ze starszym synkiem i młodszą córeczką. Zobaczą tylko dwie kobiety wsiadające do autobusu z dwójką dzieci: starszą dziewczynką i młodszym chłopcem. Trzymałam razem wszystkie bilety, aby Tomika mogła schować w kieszeniach zabandażowane dłonie. Stan mógłby zapytać również o ten szczegół, ale nikt na przystanku go nie potwierdzi.

W ostatniej chwili wysiadłam z autobusu, mówiąc, że czegoś zapomniałam i dołączę później.

Tuż przed wyjściem wsunęłam do kieszeni Michaela telefon komórkowy na kartę, kupiony niedawno w Wal-Mart. Zapisałam w nim jeden numer - mój własny. Szepnęłam mu do ucha:

- Dzwonź do mnie. O każdej porze. Odbiorę, Michael, zawsze odbiorę.

I już mnie nie było. Pięć minut później autobus ruszył, a Tomika Miller i jej dzieci zaczęły nowe życie.

Chyba że sytuacja okaże się zbyt trudna i Tomika ulegnie pokusie zadzwonienia do męża lub załamie się i opowie swoją historię koleżance, która przekaże ją koleżance, ta z kolei swojej koleżance, a ona w końcu Stanowi Millerowi albo ten sam zdoła ich namierzyć.

Może tym razem przyniesie toporek. Może tym razem Michael zadzwoni do mnie, prosząc, błagając i wołając rozpaczliwie o pomoc.

Może będzie to miało miejsce dwudziestego pierwszego stycznia po ósmej wieczorem.

Mój telefon będzie dzwonił, dzwonił i dzwonił, ponieważ nie będzie w pobliżu nikogo żywego, by go odebrać.

Zerknęłam na zegarek. Siódma czterdzieści dwie.

Zostało mi siedemdziesiąt dwie godziny i piętnaście minut życia.

Co ty byś zrobił w takiej sytuacji?

Ruszyłam z powrotem do dawnego mieszkania Tomiki. Do Stana Millera.

Oto czego nie wiedziałam o sobie do zeszłego roku: mocno obawiam lub obawiałam się odpowiedzieć na cios przeciwnika. Kiedy pierwszy raz trener bokserski postawił mnie na ringu, abym stoczyła pojedynek, nie byłam w stanie tego zrobić. Walka z cieniem - oczywiście, trening z workiem - żaden problem, gruszka na sprężynie - frajda. Ale żeby rzeczywiście kogoś uderzyć, cofnąć ramię, a potem wyrzucić pięść do przodu, rotując bark, skręcając się w talii i podążając za prędkością ciosu, który trafia w brzuch przeciwnika, jego nerki, brodę, nos, prawe oko - tego nie byłam w stanie zrobić.

Tańczyłam wokół ringu, robiłam uniki, schylałam się, robiłam kroki po linii V i na boki, blokowałam łokciem i lekko muskałam, robiłam wszystko poza wyprowadzeniem ciosu.

Wszystkie te lata dostosowywania się, bycia dzielną, grzeczną dziewczynką. Nie potrafiłam wziąć odwetu.

Matka wspaniale mnie wyszkoliła.

Pod koniec szóstej sesji, z czystej desperacji mój trener Dick, emerytowany trzykrotny mistrz świata, przyłożył mi w oko. Zabolało. Kość policzkowa eksplodowała bólem, a oko zaszło łzami. Odsunęłam się, spojrzałam na niego z niedowierzaniem, jakbym nie mogła pojąć, że zrobił coś takiego.

Uderzył mnie w drugie oko, a potem w brzuch, ramię i brodę. Mój trener zaczął mnie okładać.

A ja to przyjęłam. Skuliłam się i z rękawicami przed twarzą i łokciami przyklejonymi do klatki piersiowej pozwoliłam, by mnie bił.

Dzielna, grzeczna dziewczynka.

Mama byłaby ze mnie dumna.

Dick poddał się pierwszy i odszedł zniesmaczony, psiocząc pod nosem na mnie, że się nie broniłam i na siebie, że pobił bezbronną dziewczynę.

I zadziało. Wreszcie zaczęłam zauważać własny ból. Usłyszałam wreszcie, jak ktoś nazywa mnie bezbronną dziewczyną i nie wytrzymałam.

Zaatakowałam mojego pięćdziesięcioletniego, siwowłosego, okaleczonego w walce trenera boksu i próbowałam go zabić. Wymierzałam ciosy proste, podbródkowe, atakowałam prawym i lewym sierpowym, zadawałam bez przerwy silne ciosy i nieskończoną ilość uderzeń w nerki. Goniłam go po ringu od narożnika do narożnika i odkryłam w sobie coś, czego wcześniej nie byłam świadoma - wściekłość. Czystą, nieskażoną wściekłość. I nie była to stara, dobra wściekłość w stylu „mam dwadzieścia osiem lat i wreszcie wkurzyłam się na matkę”, ale lepsza, silniejsza wściekłość pod hasłem „mam dwadzieścia osiem lat i wreszcie wkurzyłam się na samą siebie”. Ponieważ się na to zgodziłam, ponieważ byłam grzeczną, dzielną dziewczynką i na wszystko się zgadzałam. Boże dopomóż, byłam posłuszna, zgadzałam się na wszystko, ale już nigdy więcej nie będę posłuszna.

Tę sesję mój trener zakończył z podbitym okiem i spuchniętym nosem, ja natomiast miałam dwoje podbitych oczu i poobijane żebra. I oboje byliśmy w euforii.

- Właśnie tak! - powtarzał, brocząc krwią po całym ringu. - Wiedziałem, że potrafisz! Wiedziałem, wiedziałem! To się nazywa boks, Charlie, to są ciosy!

Okazało się, że nie chcę być Tomiką Miller, uciekającą przed każdym cieniem i nieustannie oglądającą się przez ramię.

Chciałam, żeby już był dwudziesty pierwszy stycznia, chciałam otworzyć drzwi i spojrzeć mojemu zabójcy w oczy.

Chciałam go sprać, a potem władować w jego pierś trzy kulki: jedną za Randi, drugą za Jackie, a trzecią za mnie.

Kiedyś byłam grzeczną dziewczynką.

I nigdy więcej nie chciałam nią być.

O ósmej dwadzieścia sześć dotarłam do mieszkania Tomiki w jednej z czynszówek. Wiedziałam, że Stan pracuje jako ochroniarz i kończy zmianę o siódmej. Zwykle wypijał kilka drinków z kumplami i około dziewiętej wracał do domu, aby terroryzować czekającą w nim rodzinę.

Koleś był duży. Metr osiemdziesiąt siedem wzrostu, sto dwadzieścia siedem kilo, ale bez formy. Jego praca polegała na siedzeniu w budce i legitymowaniu gości w dużej fabryce. Krótko mówiąc, zarabiał dwanaście dolarów na godzinę za siedzenie na tyłku i budzący grozę wygląd. Najwyraźniej to go wkurzało, bo wracał do domu i zaczynał się rządzić.

Według Tomiki często nosił spluwę i otrzymywał niekończące się dostawy broni. Nie wiedziała ani nie pytała, skąd pochodzą. Razem z kumplami lubił strzelać do puszek po piwie stawianych na schodach przeciwpożarowych na tyłach budynku i żaden z nich nie miał problemu z przyniesieniem gnata.

Miałam mniej więcej trzydzieści minut, by przygotować się na potężnego gościa, który mógł mieć przy sobie kilka sztuk broni.

Dłonie mi się pociły, a serce waliło zbyt mocno.

Podzieliłam plan działania na krótkie, łatwe do wykonania etapy. Krok pierwszy, szybkie przejście przez mieszkanie i wykręcenie żarówek. Ciemność była moim sprzymierzeńcem, a zaskoczenie największą przewagą.

Jak tylko Stan otworzy drzwi, oświetlony z tyłu światłem z korytarza stanie się wyraźnym celem. Najlepszą okazją do ataku staną się owe dwie pierwsze sekundy, kiedy on będzie zaskoczony i widoczny, a ja przyczaję się jak wątył cień w ciemnych zakamarkach salonu.

Moje odliczanie do dwudziestego pierwszego stycznia nie ustanie, ale jego już nie będzie.

Kolejny krok to szybkie przeszukanie kuchni i szuflad w sypialni. Znalazłam dwudziestkędwójkę i małe pistolet do przypięcia na kostce. Zatrzymałam malucha, a dwudziestkędwójkę wrzuciłam do toalety. Potem dostrzegłam zestaw narzędzi Stana i zabrałam się do pracy. Przezorność, przezorność i jeszcze raz przezorność.

W sypialni na końcu mieszkania zostawiłam otwarte okno, wychodzące na chybotałe schody przeciwpożarowe. Zawsze dobrze mieć dodatkowe wyjście, szczególnie jeśli sąsiedzi usłyszą odgłosy wystrzałów i zaczną zbierać się na klatce.

Dziewiąta jeden. Jestem roztrzęsiona. To niedobrze. Mój własny niepokój zaczął mnie wkurzać. Nerwy? Cholera, trenuję i ćwiczę od roku. Co mi po nerwach? Przepraszam, Panie Zabójco Moich Dwóch Przyjaciółek, czy moglibyśmy na minutę odłożyć naszą konfrontację, żebym mogła się uspokoić? Może drinka albo xanax?

Proszę wziąć od razu dwie tabletki.

Pieprzyć nerwy.

Byłam zwinną, podłą maszyną do zabijania.

Cholera.

Kroki w holu. Ciężkie i głośnie. Łup, łup, łup.

Tętno podskoczyło mi gwałtownie. Czarny golf zaciskał mi się na szyi i w ostatniej sekundzie musiałam zdjąć drzącą, lewą dłoń z taurusa, aby wytrzeć pot o nogawkę jeansów.

Zamknęłam wejściowe drzwi na klucz, jak wszyscy w tym budynku, i teraz usłyszałam brzęk kluczy. Zgrzyt metalowych ząbków wkładanych do pierwszego zamka, a potem do drugiego. Drzwi otwarły się z impetem.

Sto dwadzieścia siedem kilogramów Stana Millera zamajaczyło w przejściu.

- Co na obiad, suko? - rzucił gromko w głąb pograżonego w ciemnościach mieszkania.

Ton jego głosu brzmiał niefrasobliwie, prawie tak, jakby Stan Miller był w dobrym humorze.

Więc do niego strzeliłam.

Ściągnęło mnie na lewo. Nie pytajcie jak ani dlaczego. Po prostu ściągnęło mój cholerny strzał na lewo. Ościeże eksplodowało, Stan padł na ziemię i krzycząc, poturlał się do kuchni. Zakląłam siarczyście i pośród szoku i wściekłości zdałam sobie sprawę, że mi się oberwie, nie mówiąc o tym, że gdyby mój instruktor strzelania J. T. kiedykolwiek się o tym dowiedział, sam by mnie zabił i oszczędził beznadziejnego bólu dwudziestego pierwszego stycznia.

- Co jest, kurwa? Co jest, kurwa? Co jest, kurwa? - krzyczał Stan. - Gdzie Tomika? Co zrobiłeś z Tomiką?

- Zabiłem ją! - krzyknęłam w odpowiedzi. - To cię nauczy oddawać długi.

(To zmyśliłam na poczekaniu. Nigdy za wiele ostrożności, prawda? Zawsze trzeba mieć plan B. Jeśli nie zabiję Stana, plan B miał go przekonać, że jego rodzina nie żyje. Pomyślałam, że facet taki jak Stan musiał być coś komuś winny).

- Jesteś dziewczyną - powiedział i tak po prostu stanął w swojej kuchni. Najwyraźniej atak dziewczyny nieszczególnie go przeraził.

Więc strzeliłam jeszcze raz.

Tym razem trafiłam w bark. Zawył i upadł znowu.

Poczułam się lepiej.

Do momentu, gdy stary dobry Stan nie podniósł się ponownie i nie oddał w moim kierunku czterech strzałów. Tym razem padłam, aby się schować, złorzecząc sobie w duchu. Pierwsze dwie sekundy. Bitwy wygrywa się lub przegrywa w pierwszych dwóch sekundach. Stał tam, pięknie oświetlony, sto dwadzieścia siedem kilogramów celu. Jakim cudem spudłowałam?

Niech to szlag!

- Wykończę cię - ryczał teraz Stan. - Znajdę cię i wykończę. Nożem. Nie wywiniesz mi się.

Z wyciągniętą przed siebie bronią przeczółgałam się za tapczan i wyjrzałam, aby rozejrzeć się po ciemnej kuchni. Nic nie widziałam.

Cholera.

Zatrzymałam się na moment, aby ocenić swoje położenie. Stan prawdopodobnie robił to samo, ponieważ w mieszkaniu zapadła upiorna cisza. Wyteżyłam słuch, koncentrując się na odgłosach z pozostałej części budynku. Spodziewałam się usłyszeć sąsiadów krzyczących o strzałach lub walących w sufit z komunikatem „Ciszej tam” albo zbliżające się syreny policyjne.

Nie usłyszałam nic.

Może o dziewiątej wieczorem większość mieszkańców nie wróciła jeszcze do domów. Niewykluczone też, że w budynku, w którym mężczyźni regularnie spędzali wieczory, strzelając do puszek po piwie na schodach pożarowych, nikt nie zauważał już odgłosów strzałów.

Ja je zauważyłam. W uszach mi dzwoniło, serce waliło jak młotem, a dłonie drżały z powodu mieszanki adrenaliny i strachu. Nawet z żołądka odbierałam dziwne doznania, jakby był pusty, wrażliwy, roztrzęsiony. To prawdopodobnie wynik szoku, przerażenia, wściekłości.

Próbowałam skoncentrować się na wściekłości. Lęk by mnie zabił. Gniew pozostał moją ostatnią nadzieją.

- Kim jesteś? - zaryczał znowu Stan. - Nic nikomu nie wiszę, więc kim, kurwa, jesteś?

Nie odpowiedziałam, ale ustaliłam, że głos dochodził z przedpokoju, na lewo od kuchni. Z trudem dostrzegłam Stana, jego szarą koszulkę ledwie odróżniającą się na tle słabo oświetlonej podłogi. Wyczołgał się na otwartą przestrzeń, prawdopodobnie, żeby się do mnie podkraść, ale również po to, by uniknąć przyparcia do muru. Niewielki aneks kuchenny nie nadawał się dla żadnego z nas, był zbyt mały i ciasny. Lepszy był salon, a najlepsza usytuowana na końcu mieszkania sypialnia z otwartym oknem wychodzącym na schodki przeciwpożarowe wiodące na dół z piątego piętra.

Żeby jednak mogła się do niej dostać, Stan musiałby usunąć się z przedpokoju. W porządku. Znowu do niego strzeliłam.

Jak na potężnego gościa, poruszał się dość szybko. Wybił się ze skulonej pozycji i skoczył przez drzwi do pokoju dziecięcego.

Nie byłam w stanie stwierdzić, czy go trafiłam, ale nie czekałam, aby się o tym przekonać. Puściłam się pędem przez przedpokój w kierunku sypialni, a on otworzył do mnie ogień. Dywan eksplodował pod moimi stopami, a na głowę posypały mi się kawałki płyty gipsowo-kartonowej.

Strzelał jeszcze gorzej niż ja. Na moje szczęście kilka godzin spędzonych w barze nie wpłynęło pozytywnie na jego celność.

Zrobiłam cztery kroki zygzakiem i chwiejąc się, weszłam do sypialni. Kolejny brzęczący odgłos strzału i już skakałam przez parapet, by z lekkim przestraszeniem wylądować niepewnie na metalowych schodach przeciwpożarowych. Poczulałam, jak chybotały pod nogami podest chwieje się pod wpływem uderzenia. Nie mogłam się teraz zatrzymać. Zostałabym uwięziona na maleńkim

balkoniku, gdzie Stan z łatwością by mnie dopadł.

Już nie myślałam, tylko się poruszałam. Przyklejona do parapetu, rozpaczliwie próbowałam znaleźć w ciemności pierwszy szczebel schodów. Uderzyłam głową o stopnie prowadzące w górę, zachwiałam się i poczułam na ramieniu muskularną dłoń.

- Mam cię! Będiesz cierpiała, dziewczyno. Wyciągnę toporek, młotek i nóż. Zapłacisz mi za to.

Zabawne, że to właśnie powiedział, kiedy to ja trzymałam w ręce broń. Mały zwrot i już przyciskałam lufę mojej dwudziestkidwójki do jego skroni.

Stan zamarł. Oczy mu się rozszerzyły, a usta uformowały w przysłowiowe „O”, przez które gwałtownie wciągnął powietrze, gdy mocniej przycisnęłam mu broń do tłustej głowy. Stary, duży Stan popełnił błąd. Chwycił mnie lewą ręką, a ponieważ jego szerokie barki zaklinowały się w wąskiej ramie okna, prawa ręka, w której trzymał broń, utknęła bezużytecznie w sypialni. Aby przełożyć ją przez okno, musiałby mnie puścić i cofnąć lewy bark z powrotem do pokoju.

Bitwy wygrywa się w czasie pierwszych dwóch sekund albo w końcowych dwóch minutach.

Schody przeciwpożarowe zachwiały się niestabilnie i poczułam się tak, jakbym wisiała w powietrzu. Uśmiechnęłam się do Stana. Zrobiłam wydech i patrzyłam, jak marznąca para rozplywa się w zimnym, nocnym powietrzu.

Było dokładnie tak, jak powinno być.

Strzelaj. Pociągnij za spust. Za Tomikę, Michaela i Mikę.

Za młotek Stana, palce jego rodziny i jej długie, przerażające noce.

Chciałam to zrobić. Potrzebowałam tego.

Za tego małego chłopca w Kolorado, o którym nadal nie mogę zapomnieć. Za wszystkie płaczące dzieci i przerażone kobiety dzwoniące pod 911, których problemy były zbyt duże, aby mógł je rozwiązać jakikolwiek dyspozytor czy policjant.

Pociągnij za spust.

Dziecko. Płaczące na końcu korytarza. Znowu ją słyszałam, tak blisko, tak wyraźnie. Dziecko w domu mojej matki, płaczące na końcu korytarza.

Cukier, przyprawy i wszystko, co dobre. Z tego zrobione są małe dziewczynki.

Cukier, przyprawy i tłuczone szkło, tak powinnam powiedzieć pielęgniarce. Dlaczego nie powiedziałam tego tej miłej pielęgniarce?

POCIĄGNIJ ZA SPUST!

Pociągnij za ten cholerny spust!

Nie mogłam tego zrobić. Patrzyłam na Stana Millera, wpatrywałam się w białka jego oczu, wciskałam niklowaną dwudziestkędwójkę coraz głębiej w jego skroń... i nie byłam w stanie tego zrobić. Ręka zbytnio mi drżała.

Cofnęłam ją i zamiast strzelić, walnęłam go lufą.

Stan zawył, puścił mnie i zatoczył się z powrotem do sypialni.

Rzuciłam się do ucieczki w dół starych schodów przeciwpożarowych. Zardzewiałe, metalowe szczeble chwiały się, a cała konstrukcja bujała na boki, kiedy na wpół ześlizgiwałam się, na wpół zeskakiwałam z jednego metalowego podestu na drugi, za wszelką cenę chcąc dotrzeć na ziemię pięć pięter niżej.

Stan uwolnił swoje prawe ramię. Teraz na mnie zapoluje, a taki jak on zastrzeli kobietę bez wahania.

Poczułam kolejny zgrzyt schodów pode mną. Usłyszałam raczej, niż zobaczyłam, jak Stan pakuje i wciska swoje mordercze cielsko w wąski podest na piątym piętrze.

Szybciej, szybciej. Zostało mało czasu. Dalej, dalej.

Schody zafalowały i zatrzeszczały złowieszczo.

- Dopadnę cię, dziewczyno! - ryczał z góry Stan. - Wielki Stan cię wytropi. Co zrobiłaś z moją rodziną? Gdzie jest moja Tomika? Mów, dziewczyno. Gadaj albo odstrzelę ci ten cholerny łeb.

Usłyszałam, jak pierwszy metalowy nit łączący podest z rozpadającym się ceglanym budynkiem odpada z brzękiem. Potem drugi, trzeci i czwarty.

Dalej, dalej, poganiałam samą siebie. Nie ma czasu do stracenia. Jak Jaś uciekający przed olbrzymem po pnączach fasoli. Biegnij!

Całe schody zakołysały się nade mną. Ostro skręciłam i pokonałam dwie kondygnacje. Zorientowałam się, w którym momencie do Stana dotarło, co się dzieje, ponieważ wypuścił wtedy broń. Przeleciała koło mnie, ledwie mijając moją głowę. Stan nie potrzebował już pistoletu, zamiast tego chwycił się balustrady.

To mu jednak nie pomogło. Wiedziałam o tym, ponieważ to ja poluzowałam wszystkie bolce przytwierdzające chybotałe schody do starych cegieł walącego się budynku.

Przezorność, przezorność i jeszcze raz przezorność.

Ważę tylko czterdzieści siedem kilogramów, a to za mało, by walczyć z takim wielkoludem jak Stan. Jednak lżejsza i szybsza mogę pokonać go na walących się schodach przeciwpożarowych.

Teraz pod moimi stopami trzęsła się rozklekotana drabinka. Nad sobą usłyszałam okropny krzyk, kiedy schody na wysokość pięciu pięter zakołysały się w powietrzu, a potem poczułam, jakby gigantyczny łańcuch zaczął wyrywać kolejne podesty i drabinki ze ściany taniego budynku. Ping, ping, ping.

Stan wrzasnął.

Metal jęknął. Ludzie w budynku zauważyli nagle zamieszanie i zaczęli krzyczeć, gdy tymczasem drabinka pod moimi stopami gwałtownie opadła w dół. Jestem na wysokości pierwszego piętra.

Nie zdążę.

Skoczyłam, upadłam i przeturlałam się na bok, by uciec przed walącą się metalową konstrukcją, spadającą z hukiem na ulicę.

Jeszcze większy wrzask, krzyki i jęki.

Stan Miller spadł z wysokości pięciu pięter na zamarznięty chodnik.

Wtedy krzyki umilkły. Chmura żwirowatego piasku i brudnego śniegu uniosła się i opadła.

Wstałam, chwiejąc się, przetarłam oczy i poczułam ból w kostce. Teraz nie było na to czasu. Ludzie zaczęli wylewać się z budynku, mieszkańcy odporni na strzały i krzyki, ale nie na coś takiego. Czegoś takiego nikt nigdy nie widział. Zebrali się na ulicy, gadali, wystukiwali numery w telefonach, kręcili głowami, a potem, gdy dostrzegli cielsko Stana nadziane na kilka odłamanych metalowych szczepki, pierwsza kobieta krzyknęła przerażona, a za chwilę dołączyło do niej kilka kolejnych.

Patrzyłam na tę rzeź, stertę powykrzywianego żelastwa i powiększającą się plamę krwi na przodzie koszulki Stana.

A potem puściłam się biegiem.

Nie oglądałam się za siebie. Nie odwróciłam się, chociaż słyszałam krzyczące kobiety, coraz głośniejszy płacz i przestraszony okrzyk dzieciaka, który zauważył moją ucieczkę.

Biegłam coraz dalej i dalej, a moje ciało drżało niekontrolowanie.

Za rogiem przystanąłam tylko na moment, by chwycić torbę spod zaśnieżonego krzaka. I już biegłam dalej.

Dziewiąta pięćdziesiąt sześć.

Zostało mi siedemdziesiąt godzin życia.

Co ty byś zrobił w takiej sytuacji?

Rozdział 14

Mały Jack znowu płakał. Nie był zadowolony z życia i chciał, aby wszyscy wokół czuli jego ból.

- Ma to po mnie - stwierdziła D. D. Była dziewiąta wieczorem i Jack płakał z przerwami, od kiedy odebrała go ze żłobka, gdzie podobno cały dzień marudził. Żadnej temperatury ani ulewania, ale marszczył twarz, zaciskał dłonie w pięści i kopał nóżkami, jakby biegł w maratonie.

Podali mu już krople na kolki. Według D. D. okazały się niezbyt skuteczne.

- Możemy zadzwonić do pediatry - zaproponował Alex. Siedział na kanapie, podczas gdy D. D. próbowała uspokoić Jacka, kołyszając go na fotelu bujanym.

- I przyznać się, że nie wiemy, co robić? - zapytała.

Alex spojrzał na nią dziwnie.

- Przecież nie wiemy, co robić. Nie jesteśmy pierwszymi rodzicami, którzy dręczą lekarzy pytaniami w środku nocy. Na litość boską, od tego właśnie są!

Nieoczekiwany upust emocji Alexa wreszcie zwrócił uwagę D. D. Spojrzała na jego siwiejące włosy, które w tej chwili stały dęba, cienie pod oczami i zmizerowane rysy twarzy.

Wyglądał okropnie, jakby od lat nie zmrużył oka. Czyżby ona też tak źle wyglądała? Przypomniała sobie, że tego dnia Phil cztery razy poklepał ją po ramieniu z wyraźnym współczuciem. I nagle doznała olśnienia.

- Mały wygrywa! - wykrzyknęła.

- To trafna ocena sytuacji - zgodził się Alex ze zmęczeniem w głosie.

- Ma dopiero dziesięć tygodni. W jaki sposób już zdołał nas pokonać?

Alex spojrzał na ich krzyczącego syna.

- W pewien sposób młodość zawsze wygrywa ze starością. Jest wytrwalsza i szybciej się regeneruje.

- Jesteśmy dwojgiem silnych, inteligentnych i pomysłowych ludzi. Nie możemy dać się pokonać dziecku. Miałam nadzieję, że wytrzymamy przynajmniej do momentu, gdy będzie miał siedemnaście lat i zażąda własnego samochodu. A, właśnie, przypomniałam sobie: gdy w wieku trzech lat poprosi o własną komórkę, odpowiedź brzmi „nie”, a jeśli jako pięciolatek będzie chciał założyć konto na Facebooku, również nie ma mowy.

Alex z podkrążonymi oczami i nieogolonymi policzkami wpatrywał się w nią.

- Dobra.
- Wiedziałeś, że internetowi pedofile polują najczęściej na chłopców w wieku od pięciu do dziewięciu lat?

Alex otworzył szerzej oczy.

- Nie!
- Tak. Świat jest wrogi. I więcej zła, niż ci się wydaje, siedzi w tym małym, eleganckim laptopie na stole.

Alex przeganiał włosy drżącą dłonią.

- I tak nie miałem zamiaru dzisiaj spać. Czy to informacje z twojej nowej sprawy?
- Tak, pomaga mi teraz detektyw Ellen O specjalizująca się w przestępstwach na tle seksualnym. Jest ekspertem w kwestii internetowych pedofilów. Razem z Philem spędzili cały dzień, ślęcząc nad raportami z komputerów obydwu ofiar i rozmawiając jak maniacy komputerowi.

- Znaleźliście powiązania pomiędzy dwoma zbrojeńcami? - zapytał Alex.
- Wiele różnych - zapewniła go D. D. - Jak na ironię, po przejrzeniu dysków ofiar okazało się, że zaglądały na tak wiele wspólnych stron internetowych, że trudno znaleźć punkt zaczepienia. Nie chodzi o to, czy spotkali się w Internecie, ale na ilu różnych stronach, grupach i chat roomach. To trochę zajmie.

- Czy Neil nadal przegląda zdjęcia?
- Na nieszczęście dla niego, tak. Przejrzał pierwsze z sześciu pudełek i już wygląda jak żywy trup. Na pewno będzie musiał odpocząć po tej pracy. Próbowałam porozmawiać z nim dzisiaj, ale jeszcze nie jest gotowy. Mówi, że musi się przez to przekopać. - D. D. westchnęła, że szczerą troską pomyślała o młodym koledze z ekipy i westchnęła ponownie. - Niemal podziwiam jego naiwność.

Przełożyła Jacka na drugą rękę i kołysała dalej. Zważywszy na dochodzące do jej ucha łkanie, lewe ramię wcale nie przypadło mu do gustu bardziej niż prawe.

Alex wstał.

- Zmienić cię? - Wskazał Jacka, który marudził i przebierał nóżkami.

D. D. pomasowała plecki syna, niezadowolona, że nie potrafi mu pomóc. To wydawało się nie w porządku, a jednocześnie było nieuniknione. Dowodziło, że jej matczyne umiejętności okazały się niewystarczające i że była tak chłodna jak jej rodzice. Tyle że nie uważała, że zachowuje się chłodno i lekceważąco. Czuła się źle, kiedy jej dziecko było niezadowolone. Rozpaczliwie chciała zrobić i powiedzieć to, co trzeba, aby je pocieszyć. Do tej pory próbowali już bekania, opatulania, kołysania, śpiewania, chodzenia z małym i wozenia go samochodem. Nic nie pomagało.

Dziecko wygrywało, a oni byli starzy.

- W porządku - odparła niechętnie.

Alex podszedł do niej.

- A co z raportem balistycznym? - zapytał, przenosząc Jacka z jej rąk na swoją pierś. - Macie coś, co mogłoby bezspornie powiązać zastrzelenie pierwszej ofiary z zabójstwem drugiej?

- Mamy liścik - oświadczyła triumfalnie D. D. - znalezione w kieszeni pierwszej ofiary. Dokładnie taki sam tekst: „Wszyscy kiedyś umrzemy. Trzeba być odważnym”. Napisany tym samym charakterem pisma.

Alex był pod wrażeniem. Jack nie.

- Może spróbujemy jeszcze raz przejechać się samochodem? - zaproponowała D. D.
- Nie jestem pewien, czy którekolwiek z nas jest w stanie bezpiecznie prowadzić.

D. D. przytaknęła zmęczona. Alex miał rację, byli ogłupiali ze zmęczenia. Dlatego rozmawiali o sprawach zawodowych. Tylko ten temat pojawiał się naturalnie.

- Jutro powinien przyjść raport balistyczny - wymamrotała D. D.
- Przed przylotem twoich rodziców czy potem?

Cholera!

Alex przestał chodzić z dzieckiem.

- Czyż nie miałem ci o tym przypomnieć?
- Powinniśmy po prostu uciec - zasugerowała D. D. Nie da sobie z tym rady. Była zbyt zmęczona, a dziecko jej nienawidziło. Nie ma mowy, żeby wytrzymała obecność swojej matki.
- Mogę się z nimi spotkać - zaproponował dzielnie Alex. - Odbiorę Jacka ze żłobka i będę czynił honory. Jeśli utkniesz w pracy, też nic się nie stanie. Zawsze możesz dołączyć do nas na obiad.

- Nigdy mi tego nie wybaczą.
- Wybaczą. Jesteś matką ich wnuka, a on, kiedy się nie drze jak wyjec, jest najśłodszym, najbardziej rozkosznym i najwspanialszym chłopczykiem na świecie. Prawda?

Alex podniósł Jacka do góry, podrzucił go lekko i złapał.

Jack przestał płakać, spojrział na ojca i czknął dwa razy.

Podniesiony na duchu, Alex podrzucił go jeszcze raz.

Jack wylądował w ramionach ojca, czknął ponownie, a potem beknął potężnie i uwolnił wreszcie gazy, które tłoczyły się w jego maleńkim brzuszku. Wypluł przy tym cały płynny obiad na klatkę piersiową taty.

Alex zatrzymał się i zamarł w bezruchu.

- Przynajmniej nie płacze - oznajmił w końcu.

D. D. rzuciła się w poszukiwaniu ręczników papierowych i mokrych chusteczek.

- Jesteś najlepszym ojcem na świecie - zapewniła swojego niewyspanego partnera. - Na Dzień Ojca Jack podaruje ci nie jeden, ale dwa krawaty. Obiecuję!

D. D. skończyła właśnie wycierać Jacka i włożyła go do nosidełka, kiedy zadzwonił jej telefon. Zerknęła na wyświetlacz. Numer zastrzeżony o tej porze mógł oznaczać wiele rzeczy. Z czystej, chorobliwej ciekawości odebrała.

- Detektyw D. D. Warren? Agentka specjalna Kimberly Quincy z Atlanty. Przepraszam, że dzwonię tak późno.
- Och - odparła D. D. - Nic nie szkodzi.
- Cały dzień byłam poza biurem - agentka specjalna Quincy kontynuowała szorstkim tonem.
- Właśnie odebrałam pani wiadomość i miałam oddzwonić jutro, ale przypomniałam sobie, jak mało czasu zostało.
- Tylko dwa i pół dnia do dwudziestego pierwszego - uściśliła D. D.
- Właśnie. Pomyślałam, że skoro pani do mnie dzwoniła, nastąpił jakiś postęp w sprawie i

wolałaby pani, abym oddzwoniła wcześniej niż później.

- Odnalazłam trzecią przyjaciółkę - wyjaśniła D. D. - Charlene Rosalind Carter Grant. Czyba ją pani zna?

- Można tak powiedzieć.

- Teraz ja też ją poznałam. Jak pani słusznie zauważyła, już prawie dwudziesty pierwszy i Charlie szykuje się do walki. W ramach planu B chciałaby, żebym poprowadziła śledztwo w sprawie jej morderstwa.

- Aha.

- Z całym szacunkiem, pani agent, ale nie spałam od dziesięciu tygodni. Liczyłam, że usłyszę od FBI coś więcej niż „aha”.

- Duża sprawa? - zapytała agentka.

- Niemowlak.

- Chłopiec czy dziewczynka? - Głos Kimberly nabrał cieplejszego tonu.

- Chłopiec. Głośny, kapryśny, marudny, piękny chłopiec.

- Ja mam dwie dziewczynki - powiedziała Kimberly. - Siedmiolatka chce mieć swoją komórkę, a czterolatka szczeniaka. Na pewno nie chce pani pomocy przy sprawie? Mogłabym od razu przylecieć.

D. D. się uśmiechnęła.

- Powinna mi pani powiedzieć, że z czasem będzie łatwiej. „To przejściowa faza. Bycie rodzicem staje się z każdym dniem łatwiejsze”. Proszę mnie okłamać. Przyda mi się teraz dobra bajeczka.

- Oczywiście, najlepsze jeszcze przed panią. A tak na marginesie, proszę nigdy nie zostawiać pięciolatka samego ze skakanką i dwuletnią siostrą, a jeśli pani mąż pracuje w nocy tak często jak mój, niech pani kupi łożę małżeńskie, ponieważ wszystkie żywe organizmy będą rezydowały w waszej sypialni.

- Trudno zmieścić łożę małżeńskie w bostońskim domu. Skakanka?

- Oficjalnie dwulatka była związana jedynie przez dziesięć minut, a potem wykombinowała, jak rozwiązać węzły. Winię za to mojego męża. Lubi spędzać czas na dworze i stale uczy dziewczynki umiejętności, których nieuniknionym rezultatem jest to, że nianie zmieniają się jak w kalejdoskopie.

- Co robi pani mąż?

- Mac jest policjantem. W policji stanowej.

- Aha - skomentowała D. D., której nagle wszystko ułożyło się w całość. - Więc pani dzieci mają w domu dwóch agentów specjalnych: z jednej strony FBI, a z drugiej Biuro Śledcze stanu Georgia.

- Tak to można również tłumaczyć - zgodziła się Kimberly.

- Mój partner też był detektywem, a teraz prowadzi zajęcia z analizy miejsca zbrodni w szkole policyjnej. Podejrzewam, że kiedy Jack po raz pierwszy obetrze sobie kolano, Alex najpierw oznaczy miejsce zbrodni, a potem sięgnie po plaster.

- Mac zabiera straszą córkę Elizę na strzelnicę. Zarzeka się, że za pierwszym razem trafiła trzy razy w pierś. Najwyraźniej celowanie w środek masy ciała ma w genach.

- Pani siedmioletnia córka potrafi strzelać?

- To jest południe, kochana. Lubimy broń.

- Podoba mi się pani córka - zapewniła D. D.
- Mnie też. Cóż więc mogę powiedzieć o morderstwie Jackie Knowles? Zakładam, że czytała pani raport mojego ojca.
- Pani ojca... - D. D. umilkła, ale po chwili zrozumiała, o co chodzi. - Konsultant, emerytowany agent FBI Pierce Quincy to pani ojciec?
- Tak. Dzięki niemu trafiłam do tej pracy. Zazwyczaj lokalne zabójstwa nie zwracają uwagi FBI, ale mój ojciec przeprowadził analizę miejsca zbrodni w Rhode Island. Znalazł kilka czynników w zabójstwie z Providence pokrywających się z morderstwem w Atlancie, a przestępca działający na terenie różnych jurysdykcji to już nasza działka.
- Więc twierdzi pani stanowczo, że morderstwa są ze sobą powiązane?
- Trudno mi uwierzyć, że nie są - odpowiedziała szczerze Kimberly. - Ofiary się znały i zostały zamordowane dokładnie w odstępie jednego roku przez sprawcę używającego tego samego *modus operandi*. Między tymi zbrodniami istnieje ewidentny związek. Niech mnie szlag, jeśli wiem jaki, ale na pewno jest.
- Co myśli pani o trzeciej przyjaciółce Charlene cośtam cośtam Grant?
- Spotkałam się z nią tylko kilka razy i za każdym razem była negatywnie nastawiona do śledczych, którzy prowadzili dochodzenie w sprawie morderstw jej koleżanek. Częściej kontaktowała się z moim ojcem i atmosfera była bardziej pozytywna. Lubi ją, ale odnosi się do niej z rezerwą. Chociaż poważnie i z oddaniem traktuje swoje przyjaciółki i występuje w ich imieniu jako oddany adwokat...
- Nadal pozostaje główną podejrzaną - dokończyła D. D.
- Tak.
- Ma alibi na morderstwo Knowles?
- Jej ciotka twierdzi, że wieczorem dwudziestego pierwszego była w New Hampshire. W południe dwudziestego drugiego, kiedy dowiedziała się od miejscowej policji o śmierci Jackie, poleciała prosto do Atlanty z Portland w stanie Maine. Na bilecie widnieje jej nazwisko i możemy potwierdzić jej obecność na pokładzie w liniach lotniczych Delta. Ogólnie rzecz biorąc, solidne alibi.
- Wyczuwam wątpliwość w pani głosie - zauważyła D. D.
Kimberly westchnęła.
- Jedyne trop, jaki mieliśmy w tej sprawie, brzmi następująco: sąsiad Jackie twierdzi, że dwudziestego pierwszego widział, jak Jackie wraca do domu po dziewiątej wieczorem, ale nie sama. Przyproceedziła koleżankę drobnej budowy z długimi ciemnymi włosami.
- Podobnie wygląda Charlene Grant - zadumała się D. D.
- Która była wówczas tysiące kilometrów stamtąd, ze swoją ciotką. Niestety, sąsiad widział dziewczynę tylko z tyłu, więc niełatwo będzie ją zidentyfikować, ale to wszystko, co mamy.
- A miejsce zbrodni? - podpowiedziała D. D.
- Czyste, ostentacyjnie czyste. Włączniki światła wytarte, podłoga umyta, każda poduszka na kanapie na swoim miejscu. Kuchnia, przedpokój, salon: nieskazitelnie czyste. Zabójca poświęcił dużo czasu na sprzątniecie mieszkania i czuł się w nim swobodnie. Skupiony na szczegółach, skrupulatny i bystry.
- I silny - dodała D. D. - Uduszenie rękami.
- Tak, przyczyną zgonu było zadławienie, a więc musiał mieć silne ręce. Jestem jednak w tej

kwestii mniej przekonana niż śledczy z Rhode Island. Uznali zadławienie za dowód, iż sprawcą był mężczyzna. Może to dlatego, że mieszkam na południu, ale widziałam wystarczającą ilość staruszek ukręcających głowy kurczakom, by być otwartą na różne możliwości. Wiele kobiet wykazuje dużą siłę górnej części ciała. Szczególnie jeśli zaatakują drugą kobietę od tyłu, jest to wykonalne.

- Może więc to przygodna znajoma, którą Jackie przyprowadziła owej nocy do domu. Sprawdziła pani miejscowe bary?

- Jasne, rejestr transakcji dokonanych kartą kredytową dał nam odpowiedź, gdzie Jackie spędziła wieczór. Niestety, był to nowo otwarty bar w centrum miasta. Gdy pokazaliśmy zdjęcie dziewczyny, kilku kelnerów potwierdziło, że widzieli ją owego wieczora, ale nikt nie zwrócił na nią szczególnej uwagi. Najwyraźniej otwarcie okazało się sukcesem i nowy bar się rozkręcał.

- A jej maile, rejestr połączeń telefonicznych? - zapytała D. D.

- Żadnego śladu niedawnych kontaktów z nową przyjaciółką ani zaplanowanych spotkań z taką i taką, tu i tu. Podejrzewam, że tamtego wieczora Jackie nie planowała spotkania z koleżanką. Myślę, że owa druga kobieta sama ją znalazła.

- Znalazła czy wyszukała?

- Dobre pytanie.

- I namówiła Jackie, by ta zaprosiła ją do domu.

- Przypuszczenie, ale całkiem niezłe.

- Jackie może być podejrzliwa w stosunku do mężczyzn, z powodu tego, co przytrafiło się jej przyjaciółce Randi, ale nie powinna mieć nic przeciwko nieznajomej kobiecie.

- Według jej przyjaciół i rodziny Jackie uważała, że Randi zginęła z ręki byłego męża. Nie jest więc pewne, czy zachowywała się szczególnie ostrożnie. Z drugiej strony, to była rocznica śmierci jej przyjaciółki. Jackie siedziała w barze w centrum miasta, pewnie trochę samotna i smutna...

- To dobry trop. „Cześć, podoba mi się twój sweter. Mogę się przysiąść?”

- Pogawędka, kilka drinków - uzupełniła historię Kimberly.

- Jackie była łatwym celem, zakładając, że nasz zabójca jest kobietą i świetnie radzi sobie w kontaktach z ludźmi.

- Biorąc pod uwagę oba miejsca zbrodni, szukamy osoby o doskonałych zdolnościach interpersonalnych, a tego, prawdę mówiąc, nie można powiedzieć o zbyt wielu zabójcach.

D. D. przytaknęła i zamyśliła się. Ta sprawa, która nawet nie była sprawą, coraz bardziej jej się podobała i wciągała ją. Zagadka w zagadce.

- Zostały nam dwa dni do dwudziestego pierwszego - oznajmiła D. D. - Miejsce potencjalnej zbrodni przeniosło się teraz do Bostonu, gdzie mieszka ostatnia ofiara z trójki, Charlene Rosalind Carter Grant. Ona zdecydowanie ma się na baczności, nosi przy sobie dwudziestkędwójkę, biega, trenuje, doszkała się w technikach śledczych i prawdziwych zbrodniach, nie mówiąc o pomocy miejscowej detektyw z wydziału zabójstw. Nie sadzę, żeby dwudziestego pierwszego przyprowadziła do domu jakiegokolwiek nowego „znajomego”, czy to kobietę, czy mężczyznę.

- Prawdopodobnie nie - zgodziła się Kimberly.

- Nasz zabójca będzie musiał wymyślić inny podstęp - wymamrotała D. D. nadal pogrążona w rozmyśleniach.

- Czego Charlene pragnie najbardziej? - zapytała Kimberly.

- Co ma pani na myśli?
- Jeśli jesteś zabójcą i chcesz zwrócić uwagę osoby, która ma się na baczności, musisz zaproponować coś tak dobrego, osobistego i przekonującego, że nawet przewrażliwiona Charlene zapomni na chwilę o przezorności, by poznać szczegóły.
- Chce się dowiedzieć, kto zabił jej przyjaciółki - stwierdziła D. D.
- Więc może tym razem morderczynie będzie miała ułatwione zadanie. Nie będzie musiała nic udawać, może być po prostu sobą. Ponieważ to właśnie ona jest tym, czego Charlene pragnie najbardziej. Ona wie wszystko o ostatnich minutach życia Randi i Jackie. Jeśli ktoś nam bliski został zamordowany... trudno się temu oprzeć. Nawet jeśli wiemy, że nie powinniśmy tego robić, pragnienie, potrzeba dowiedzenia się, co stało się z ukochaną osobą... To bardzo skuteczne narzędzie. Nie miałabym za złe Charlie, gdyby nie potrafiła się przed tym powstrzymać.
- Kogo pani straciła? - zapytała łagodnie D. D.
- Mamę i siostrę.
- Gdyby zabójca zadzwonił do pani jutro?
- Musiałby chyba najpierw skorzystać z usług medium, aby poznać mój numer telefonu - odparła bez emocji Kimberly.
- A pani siedmioletnia córka potrafi wpakować trzy kulki w środek ciała?
- Tak.
- Brzmi nieźle.
- Przygotowania Charlene mają charakter fizyczny - stwierdziła Kimberly. - Natomiast sposób działania zabójcy opiera się na podejściu psychologicznym. Zakłada bliskie spotkanie twarzą w twarz. Po co trenować bieganie, skoro sama chętnie otworzy drzwi? Charlene nie musi intensywnie ćwiczyć, tylko myśleć. Tym sposobem przetrwa dwudziesty pierwszy.
- Mam ochotę trochę namieszać - zaproponowała D. D.
- W jaki sposób?
- Facebook, media społecznościowe. Pracuję z inną detektyw, która jest ekspertem w tych kwestiach. Chcemy założyć fikcyjną stronę na Facebooku ku pamięci Randi i Jackie. Zobaczymy, kto się na niej pojawi.

Kimberly rozważała przez chwilę pomysł.

- A może jakieś przecieki?
 - Chodzi pani o szczegóły z miejsc zbrodni?
 - Fałszywe informacje, może raport kryminologa. Coś niepochlebnego. Nie, cofam to. Coś na temat nieporządku. Nasz zabójca lubi mieć wszystko pod kontrolą, prawda? Czysty, schludny, dokładny. Można by ujawnić, że przeoczył coś na miejscu zbrodni Knowles, coś, co badamy teraz jako możliwy trop. Zabójca przyjmie postawę obronną, zacznie mieć wątpliwości, czy zadbał o wszystko.
 - Trzeba przejrzeć jej lub jego sposób myślenia - mamrotała D. D.
 - Całkowicie zmienić zasady gry.
 - Ma pani jakiś pomysł na szczegół, o którym można by wspomnieć na stronie?
- Kimberly się zawahała.
- Zapytam ojca. Zna oba miejsca zbrodni, osobiście je badał. Zabawa z umysłem zabójcy, to mu się spodoba. Zadzwonię do niego.
 - Dziękuję.

- Nie ma sprawy. Proszę informować mnie na bieżąco. Szczególnie dwudziestego pierwszego.
 - Jasne. Powodzenia z córeczkami.
 - Powodzenia z synkiem.
- Obie kobiety westchnęły i zakończyły rozmowę.

Rozdział 15

Po raz pierwszy spóźniłam się na nocną zmianę. Nie dało się inaczej.

Musiałam bieć całą drogę na stację. Następnie czekałam dziesięć minut na pociąg, którym wróciłam do Cambridge. Potem biegłam przez kolejnych siedem minut z ciekącym nosem i łzawiącymi oczami, całą drogę powrotną do mojego wynajmowanego pokoju. Pani Beals nie było w domu, ale Fuksja czekała na ganku.

Nawet się nie zastanawiałam. Wzięłam w ramiona ciepłe, dobrze zbudowane ciało psa, który nie był moim psem i zanurzyłam twarz w lśniących fałdach skóry na jej karku. Fuksja oparła głowę na moim ramieniu. Poczułam, jak westchnęła, jakby sama zrzuciła z piersi wielki ciężar. Stałyśmy tak, moje ramiona kołysały jej ciało, a jej głowa spoczywała na moim barku.

Może trochę popłakałam. Może ona zlizwała łzy z moich policzków. Może powiedziałam jej, że ją kocham i może ona zamerdała ogonem, żeby pokazać, że też mnie kocha.

Zabrałam ją do pokoju. Już się nie przejmowałam, czy Frances się o tym dowie i mnie wyrzuci. Pozostało tak niewiele czasu. Czy miało to teraz jakiegokolwiek znaczenie? Pozostało tak niewiele czasu.

Stan Miller. Metalowe pręty wystające z jego wielkiego ciała. Krew sącząca się z kącików ust. Wpatrujące się we mnie niewidzące oczy.

Zostawiłam Fuksję w pokoju z miską jedzenia, a potem poszłam korytarzem, aby wziąć długi prysznic. Szorowałam się i szorowałam. Szampon, płukanie, odżywka, a potem wszystko jeszcze raz od początku.

Czy to tylko moja wyobraźnia, czy opuszki palców nadal pachniały mi prochem? Obejrzałam całe ciało, szukając ewentualnych śladów wieczornych działań, krwi lub siniaków, czegokolwiek. Czułam się odmieniona od wewnątrz, więc na zewnątrz też powinny zajść jakieś zmiany.

Niestety... nic nie znalazłam. Skórzane rękawiczki do strzelania zdały egzamin i ochroniły moje zmęczone boksowaniem dłonie, gdy spuszczałam się w dół po schodach przeciwpożarowych. Ciepłe, zimowe ubranie też okazało się skuteczne i ochroniło moje i tak już okaleczone w bójkę ciało, kiedy spadłam na ziemię i przeturlałam się po chodniku. Nie czułam nawet bólu w kostce, musiało to być niegroźne skręcenie, po którym staw szybko się zregenerował.

Kiedy wyszłam spod prysznica, przetarłam zaparowane lustro, by potwierdzić to, co już wiedziałam.

Właśnie zabiłam człowieka i wyglądałam zupełnie, dokładnie tak samo jak wcześniej.

Charlene Rosalind Carter Grant, poznaj Charlene Rosalind Carter Grant.

Kochającą siostrzenicę, lojalną przyjaciółkę, szanowaną pracownicę centrum powiadamiania

ratunkowego i bezduszną morderczynię.

Znów zaczęłam się trząść, więc wróciłam pod prysznic, odkręciłam najgorętszą wodę, jaką się dało, ale nadal nie mogłam się rozgrzać.

Dwudziesta trzecia czternaście. Fuksja i ja pojechałyśmy taksówką do pracy.

Przedostatnia zmiana.

Sześćdziesiąt osiem godzin i czterdzieści pięć minut.

Obejmowałam psa, który nie był moim psem, i nie puszczałam.

- Dziecko płacze.

- C...co?

- Dziecko płacze. Na końcu korytarza. Ciągłe płacze i nic nie pomaga. Nie wiem... - Drżące westchnięcie. - Nie wiem, nie wiem, nie wiem. Proszę pani, niech mi pani powie, jak je uciszyć.

Siedziałam sama w blasku monitorów i wyciszzonego ekranu telewizora. Potarłam twarz i zmusiłam się do koncentracji. Płaczące dziecko. Przerażony, świeżo upieczony rodzic. Jeden z dziesięciu najbardziej typowych telefonów. Zgodnie z protokołem należało ustalić stan zdrowia dziecka i formę psychiczną rodzica. Jeśli w obu przypadkach wszystko było w porządku, trzeba było przypomnieć dzwoniącemu, że numer 911 przyjmuje zgłoszenia nagłych wypadków i nie udziela porad rodzicielskich, a następnie rozłączyć się.

Nie rozłączyłam się. Zmiana mijiała dość spokojnie, w policyjnym skanerze nasłuchowym słychać było rozmowy na temat poważnej zbrodni, którą służby już się zajęły, ale poza tym nikt nie zgłaszał większych wypadków. Rozumiałam, jak wielu dyspozytorów, którzy siedzieli sami w ciemnych dyspozytorniach o drugiej nad ranem, że czasami ludzie muszą się po prostu wygadać.

Więc pozwoliłam dzwoniącej mówić. Dowiedziałam się, że jej dziewięciomiesięczna córeczka ma na imię Moesha oraz że ojciec dziecka pracuje na nocną zmianę jako dozorca. Dowiedziałam się też, że moja rozmówczyni, dziewiętnastoletnia Simone, nadal ma nadzieję, że ukończy szkołę średnią, i że w przyszłości chciałaby zostać technikiem weterynarii. Ucieszyła się na wieść, że jest w ciąży i marzy o ślubie. Jej mała córeczka płacze niemal co noc i młodej mamie zaczyna być ciężko. W dodatku ojciec małej zachowuje się ostatnio jak palant i dziewczyna chciałaby po prostu wyjść z koleżankami na zakupy, ale nie ma pieniędzy, a jej chłopak mówi, że jest zbyt gruba, żeby kupować ubrania i powinna poczekać, aż zrzuci nadwagę po ciąży, ale kiedy to będzie, co?

Simone mówiła, potem płakała, a potem znowu mówiła.

Siedziałam, słuchałam i głaskałam Fuksję po głowie.

Simone się wygadała, rozmowa została zakończona i ekran znów był pusty.

Siedziałam w ciemnościach i głaskałam uszy Fuksji.

- Dziecko płacze - wyszeptałam do psa.

Spojrzała na mnie.

- Na końcu korytarza.

Fuksja położyła głowę na moich kolanach.

- Dałam plamę, Fuksja. Wiele lat temu, w domu mojej matki... zawiodłam dziecko. Dlatego nie myślę już o matce. Nie chcę pamiętać. Nie żeby to miało jeszcze jakieś znaczenie, prawda? Już za późno.

Pies dotknął nosem mojej dłoni.

Spojrzałam na nią i pogłaskałam po głowie.

- To zabawne, że spędziłam cały rok, planując, przygotowując się i ustalając strategię na ostatnie starcie, ale w rezultacie umrę pewnie jak wszyscy: z głową pełną niedokończonych spraw.

Fuksja zaskomlała cicho. Pochyliłam się i objęłam ją za szyję.

- Wyślę cię na północ - obiecałam jej. - Zamieszkaś z moją ciotką Nancy, zostaniesz psem hotelowym. Góry są piękne, pełne ścieżek do biegania, wiewiórek do gonienia i rzek do pływania. Spodoba ci się tam. Mnie się bardzo podobało.

Przytuliłam ją mocniej.

- Pamiętaj o mnie - wyszeptalam.

Fuksja westchnęła ciężko.

Wiedziałam dokładnie, jak się czuje.

Zaraz potem drzwi się otworzyły. Stała w nich ciemna postać oświetlona od tyłu światłem z korytarza. Na jej widok zerwałam się z krzesła i automatycznie przyjąłam bokerską postawę, podczas gdy krzesło poszybowało na drugą stronę maleńkiego pomieszczenia.

Mackereth zapalił światło.

- Zawsze pracujesz po ciemku? - zapytał szorstko.

Miał na sobie mundur i pas policyjny. Gdy zaczynałam zmianę, sprawdziłam grafik, więc wiedziałam, że pracuje tej nocy. Wiedziałam również, że został wcześniej wezwany, wraz z tuzinem innych policjantów, do pomocy na miejscu zabójstwa na osiedlu Red Groves. Martwy ciemnoskóry mężczyzna nadziany na zawałone schody przeciwpożarowe czynszówki. Według informacji podanych przez radio policyjne miejsce zbrodni okazało się doprawdy paskudne. Technicy musieli w końcu użyć lamp lutowniczych, by odciąć wystające z ciała Stana Millera metalowe pręty od schodów przeciwpożarowych. Potem lekarz sądowy zabrał ciało, nadal poprzekłuwane prętami jak szaszłyk, specjalną, wielką karetką, którą miasto niedawno kupiło do transportu szczególnie dużych pacjentów.

Opuściłam ręce z boku ciała i wygięłam palce. Chciałam odsunąć się dalej, ale biurko uniemożliwiało mi ruch. Dyspozytornia dla jednej osoby była pomieszczeniem czysto użytkowym. Dwa metry długości na dwa szerokości. Dostępna dla niepełnosprawnych koedukacyjna toaleta policyjna była większa.

Fuksja się ożywiła. Podeszła do Mackeretha, usiadła przed nim i podstawiała łeb.

Pochylił się i podrapał ją po karku. Potem zrobił coś, co prawdopodobnie zaskoczyło jego samego tak samo, jak mnie: ukucnął i objął Fuksję. Polizała go w policzek.

- Przynajmniej jedna z was mnie lubi - skomentował.

W świetle fluorescencyjnych lamp widziałam głębokie zmarszczki na jego twarzy. To cena pracy na miejscach zbrodni. Czy przyśni mu się później Stan Miller? Jak bardzo by się zdziwił, gdyby dowiedział się, że mnie też dręczą podobne koszmary?

- Ciężka noc - skomentowałam, nadal stojąc przy konsoli.

- Przynajmniej nie było innych zgłoszeń - powiedział Mackereth.

- Dość spokojnie.

- Nic dziwnego. Wszyscy policjanci kręcą się na miejscu zbrodni w Red Groves.

- Jak wygląda sytuacja? - Wpatrywałam się w monitor, jakbym miała tam znaleźć odpowiedź na to pytanie.

Tom wzruszył ramionami.

- Miejsce zbrodni zabezpieczono, ciało zapakowano i wywieziono, a sąsiedzi są rozzłoszczeni i przestraszeni. Jak zwykle.

- Jacyś świadkowie? - zapytałam od niechcienia.

- Załedwie kilkudziesięciu...

- Naprawdę?!

Mackereth z rezygnacją wypuścił powietrze i wstał.

- Do diabła, mieliśmy tylu gapiów, z których każdy mówił co innego, że nic nie wiadomo. Połowa z nich twierdziła, że facet krzyczał na swoją żonę, potem pewnie zaczął zbiegać schodami przeciwpożarowymi, ale te się zawaliły. Inni przysięgali, że słyszeli odgłosy strzelaniny w OK Corral, prawdopodobnie porachunki dilerów narkotykowych albo rosyjskiej mafii...

- Rosyjska mafia?

- Mało prawdopodobne, ale ktoś rzeczywiście urządził strzelaninę w mieszkaniu. Dziury po kulach są wszędzie. Nadal szukamy rodziny, żony i dwójki dzieci. Jeden z sąsiadów widział, jak wychodzili z domu wieczorem. Mam nadzieję, że nic im się nie stało.

- Och - powiedziałam.

- Niezbyt przyjemna śmierć - skomentował Tom, odchylając się na piętach. - Chryste, nigdy nie widziałem czegoś podobnego. Upadek z piątego piętra na metalowe pręty.

W ostatnim momencie musiał zauważyć mój wyraz twarzy. Zatrzymał się i szybko dodał:

- Przepraszam. Nie chciałem... Ryzyko zawodowe. Gliny czasem zapominają, że inni ludzie nie spędzają czasu, patrząc na zwłoki.

- W porządku - odparłam pokornie. - Często o tym słyszę.

- To nie to samo. Łatwiej usłyszeć, niż zobaczyć.

- Czyżby? A może bardziej działa wtedy wyobraźnia? Szczególnie jeśli nigdy się nie dowiem, jak zakończyła się dana historia. Krzyki, wrzaski, kryzys, kryzys i kolejny dzwoniący. I tyle.

Mackereth skinął powoli głową, jakby pierwszy raz zastanawiał się nad życiem dyspozytora.

- Posprzątałaś już? - zapytał nagle.

Musiałam się zastanowić.

- Jeszcze nie.

- Uderzyłaś kogoś?

- Jeszcze nie.

- Spokojny dzień Charlene Grant?

- Charlene Rosalind Carter Grant - poprawiłam go automatycznie.

- Nie to masz napisane w prawie jazdy.

Podniosłam głowę i spojrzałam na niego uważnie.

- Na formularzu nie było miejsca na dwa kolejne imiona, więc postanowiłam nie wpisywać żadnego z nich.

- A tak w ogóle, skąd masz dodatkowe dwa imiona?

- Nie wiem.

- Czy to imiona kogoś z rodziny?

- Może.
- Nigdy nie pytałaś o to rodziców?
- Nawet nie wiem, gdzie są - odparłam chłodno.

Ta odpowiedź go przyhamowała. Przytaknął ponownie, ale nadal mi się przyglądał. Tańczyliśmy wokół siebie nawzajem. W jedną i w drugą. Nie potrafiłam jedynie zdecydować, czy jesteśmy partnerami na parkiecie czy przeciwnikami na ringu.

- Próbowałem cię wygugłować - oznajmił.
- I czego się dowiedziałeś?
- Na świecie jest wiele Charlene Grant.
- Może dlatego dano mi dwa dodatkowe imiona. Dla odróżnienia.
- Nie masz dwóch dodatkowych imion.
- Owszem, mam.
- Według aktu urodzenia nie masz.
- Sprawdzaleś mój akt urodzenia?
- Jeśli wujek Google nie pomógł, cóż mi pozostało?

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Zamrugałam powiekami. Fuksja zaskomlała cicho i usiadła między nami.

- Czego chcesz? - zapytałam. Nogi nadal miałam przyciśnięte do biurka i nagle zaczęło mi to przeszkadzać. Zmusiłam się, aby uczynić krok naprzód. Przestać się wycofywać i przejąć kontrolę nad pomieszczeniem. Nad sytuacją.

- Adres e-mail - zasugerował Mackereth.
- Nie mam.
- Konto na Facebooku? Na Twitterze albo MySpace?
- Nie posiadam komputera.
- Smartfon?
- Nie posiadam komputera, smartfona, iPada, iPod'a, czytnika książek ani nawet odtwarzacza

DVD.

- Poza zasięgiem - podsumował Mackereth.

- To z oszczędności. Jeśli chcę coś sprawdzić w Internecie, idę do biblioteki, a przy okazji mogę wypożyczyć dobrą książkę.

- Co robisz dwudziestego pierwszego? - zapytał nagle.
- Co?!

- Dwudziestego pierwszego, w sobotę rano. Co wtedy będziesz robiła?

- Dlaczego pytasz? - Mój głos zabrzmiał piskliwie. Zaciśnęłam dłoń. Nie wiem, czy zauważył, ale Fuksja przylgnęła do mojej nogi.

- Odmówiłaś wyjścia na kawę, odrzuciłaś propozycję wspólnego obiadu. Zostaje nam więc brunch.

- Brunch?
- W sobotę dwudziestego pierwszego, o pierwszej, w Café Fleuri w hotelu Langham. Bufet czekoladowy „Jedz, ile chcesz”. To moja najlepsza oferta. Co ty na to?

Nie... nie wiedziałam, co odpowiedzieć. I nie musiałam. Obok mnie rozświetlił się monitor, w słuchawkach usłyszałam przywołujący dzwonek i w ostatnim momencie zostałam uratowana.

Chwyliłam słuchawki z mikrofonem i zwróciłam się w kierunku monitora, na którym

automatycznie pokazywało się nazwisko i miejsce pobytu dzwoniącego.

- Nie możesz uciekać przede mną do końca życia - dorzucił Tom za moimi plecami.

Odwrociłam się gwałtownie, ale już go nie było. Zgasił za sobą światło i zostawił mnie w mroku.

Rozdział 16

Piąta trzydzieści. Jesse wymknął się z łóżka. Podreptał najciszej jak potrafił przez tonący w ciemnościach przedpokój w kierunku kuchennego stołu. Drzwi do sypialni mamy były zamknięte. Na wszelki wypadek zatrzymał się przed nimi i przez chwilę nasłuchiwał w skupieniu. Żadnych odgłosów, mama nadal spała. To dobrze.

Jesse podążył dalej w kierunku swojego celu - starego laptopa. Kusił go ze stołu. Zniszczona obudowa była zamknięta, a na niej czekał Niedźwiedź Pałkarz alias Zombie.

Matka Jessego lubiła zasady. Jedna z nich zabraniała oglądania telewizji i grania na komputerze rano, przed szkołą. Od poniedziałku do piątku oboje wstawali o szóstej trzydzieści. Jedli razem śniadanie, potem mama szykowała Jessemu drugie śniadanie do szkoły, podczas gdy on się ubierał, mył zęby i się czesał. O siódmej dwadzieścia pędził na dół po schodach i o siódmej trzydzieści wsiadał pod domem do szkolnego autobusu.

Taki był plan. Jesse szedł do szkoły, a mama do pracy.

Od poniedziałku do piątku Jesse przestrzegał grafiku i stosował się do zasad. Dzięki temu mama była zadowolona, a Jesse lubił, kiedy była radosna. Częściej się uśmiechała, mierzwiła mu zabawnie włosy na głowie i kupowała smakołyki, nawet takie, których nie pochwalala, na przykład ciasteczka Twinkies. Powtarzała mu, że są tylko we dwoje, Jenny i Jesse kontra reszta świata. Co wieczór siadali przytuleni na sofie, mama czytała mu przerażające historie z serii „Gęsia skórka”, a on opierał głowę na jej piersi, jakby był małym chłopcem i to było w porządku, ponieważ było tylko ich dwoje, Jesse i Jennifer kontra reszta świata.

Jesse kochał swoją mamę.

W nocy nie mógł spać. Nie mógł przestać myśleć o Hipopotamie Pałkarzu i ich wspólnym popołudniu spędzonym na AthleteAnimalz.com. Zawsze lubił grać na tej stronie, dzięki temu miał się czym zająć. Ale wczoraj... wczoraj było naprawdę super. Nie tylko mógł robić coś fajnego, ale miał teraz fajnego towarzysza, z którym mógł to robić. Prawdziwego przyjaciela, który wierzył w Jessego i twierdził, że może on zrobić wszystko. Starszego kolegę, który go lubił.

Jesse chciał znów wejść na tę stronę.

Mimo że był poranek przed szkołą.

Miał plan. Po pierwsze, nastawił budzik na godzinę przed pobudką mamy. Słońce jeszcze nie wstało, więc kiedy po cichu wyszedł z łóżka, było jeszcze zimno i ciemno. Spędził dłuższą chwilę otulony w polarowy szlafrok. Potem łagodne światło z przedpokoju wywabiło go z ciemnej sypialni i prowadzony jego smugą, poszedł w głąb mieszkania w stronę salonu. Odgłos jego kroków tłumił piżamowy kombinezon ze stopami i wreszcie dotarł, o poranku przed szkołą, przed komputer. Przygryzł dolną wargę i spojrzął na Niedźwiedzie Pałkarza alias Zombie.

Poszedł za impulsem.

Szybkim ruchem odsunął misia na bok, otworzył laptopa, wcisnął włącznik i usłyszał, jak komputer z jękiem budzi się do życia.

Uruchomienie zajmowało starymu komputerowi dłuższą chwilę. W tym czasie Jesse przeszedł do realizacji drugiej fazy planu. Miał zamiar zrobić sobie śniadanie, następnie przygotować jedzenie do szkoły, a potem spakować plecak.

Dzięki temu, kiedy mama wstanie i w oczywisty sposób zastanie go przed komputerem, nie zezłości się tak bardzo. W końcu zjadł śniadanie, przygotował się do szkoły, a nawet pomógł jej i sam naszykował sobie kanapki, prawda?

Zasady można czasem nagiąć. To była jedynie kwestia odpowiedniego zarządzania mamą.

Jesse poszedł na palcach do maleńkiego aneksu kuchennego. Otworzył lodówkę i w smudze światła padającej z jej wnętrza wdrapał się na blat kuchenny, zdjął miskę, znalazł płatki Cheerios i nalał sobie mleka. Zjedzenie śniadania zajęło mu około pięciu minut. Oparł się chęci sprawdzenia komputera, ponieważ stół kuchenny stał zaraz obok sypialni mamy i ruch w jej pobliżu mógł ją obudzić. Lepiej pozostać w kuchni i dokończyć poranne zadania.

Kolejne na liście do wykonania: drugie śniadanie do szkoły. Lubił kanapki z mortadellą, majonezem i plasterkiem topionego żółtego sera. Wolał jasny chleb, ale mama kupowała tylko pełnoziarnisty. Powtarzała, że jedzenie jasnego chleba to jak jedzenie cukru, co spowodowało, że polubił go jeszcze bardziej.

Jesse wyjął dwie kromki chleba, a następnie zaczął się mocować z plastikową butelką majonezu. Żeby coś z niej wycisnąć, musiał użyć obu rąk. Początkowo nic nie wychodziło, a po chwili z butelki wystrzeliła połowa zawartości i na kanapce pojawił się wielki majonezowy kleks. Jesse starał się rozsmarować go na chlebie, ale kiedy dodał ser, kielbasę i położył na wierzchu drugą kromkę chleba, majonez wytrysnął na boki.

Upačkana, oblepiona kanapka. „Cena poranka z AthleteAnimalz”, pomyślał filozoficznie Jesse. Włożył lepką kanapkę do torebki i schował do pudełka na drugie śniadanie. Dodał jabłko i małą paczkę precelków. W szkole dostanie kartonik mleka.

Zasunął pudełko z transformersami, włożył do plecaka i zakołysał się na piętach. Czuł się całkiem niezłe. Udało mu się przygotować śniadanie i jedzenie do szkoły, a wszystko przed szóstą rano. To wcale nie takie trudne.

Wtedy spojrzął na swoje dłonie upačkane tłustym majonezem i blat kuchenny ubrudzony jeszcze większą ilością majonezu, płatkami śniadaniowymi i okruchami chleba. Lepiej to posprzątać, bo mama się wścieknie.

Ponownie wdrapał się na blat. Odkręcił delikatnie wodę, zmoczył zmywak i startł nim powierzchnię najlepiej, jak mógł, rozsmarowując majonez i goniąc płatki zbożowe. Jeszcze jedno przetarcie i już był na dole. Zeskoczył jak najciszej, wziął głęboki oddech, zamknął lodówkę i wreszcie wymknął się z maleńkiej kuchni. Ręce miał nadal trochę lepkie, ale nie za bardzo. „Może być”, pomyślał.

Laptop był otwarty. Już nie brzęczał. Czekał na niego.

Jesse podszedł bliżej do urządzenia. Czuł, jak serce zaczyna mu mocniej bić z podekscytowania. Ostatnia sekunda, nadstawił uszu, nasłuchując odgłosów z sypialni mamy... Cisza.

Wpisał www.AthleteAnimalz.com i wcisnął enter.

Czekała na niego wiadomość, i to wcale nie od Hipopotama Pałkarza, co go zaskoczyło. Nadal nie rozpracował wszystkich zasad dotyczących korespondowania z innymi graczami. Z tego, co się zorientował, „rozmawianie” z innymi zwierzętami podczas gry podlegało wielu ograniczeniom. Każde zwierzę mogło posługiwać się jedynie wyrażeniami wybranymi z listy, które pojawiały się następnie w chmurce nad jego głową. Ale wysyłanie maili... to wydawało się zgodne z zasadami. Hipopotam Pałkarz mógł pisać, co chciał i wysłać Jessemu prawdziwy list. Jesse mógł napisać w odpowiedzi równie prawdziwy mail, co wydało mu się bardzo fajne. Jak rozmowa dwóch starszych kolegów. Najnowsza wiadomość nie pochodziła jednak od Hipopotama Pałkarza. Tego dnia odnalazł go ktoś inny: Różowy Pudel.

Zaciekawiony Jesse otworzył wiadomość.

Nieźle wyniki! Coraz lepiej Ci idzie, szczególnie w bejsbolu. To moja ulubiona gra. Twoja też? Gram codziennie. Po szkole korzystam z komputera w Bostońskiej Bibliotece Publicznej. Widzę, że kibicujesz Red Soxom. Czy to znaczy, że też mieszkasz w Bostonie?

Przyjdź kiedyś, to pogramy razem. Pokażę Ci kilka sztuczek, jak podkręcać piłkę. Żaden problem.

Jeśli chciałbyś się spotkać, wpadnij do biblioteki. Łatwo mnie znaleźć: szukaj Różowego Pudła. Jeśli chcesz.

Do zobaczenia w necie.

Różowy Pudelek

Jesse ściągnął brwi. Przeczytał list ponownie, a potem jeszcze raz. Niektóre słowa sprawiły mu trudność, ale chyba zrozumiał ogólny sens wiadomości. Różowy Pudel go lubił. Różowy Pudel mieszkał w Bostonie i mógł mu udzielić kilku wskazówek, jeśli przyjdzie do Bostońskiej Biblioteki Publicznej.

Jesse usiadł przed komputerem. Serce znów mocno mu biło, choć nie był pewien dlaczego. Nieświadomie wytarł dłonie o sprane nogawki piżamy. Jeszcze raz spojrzął na jasny, radosny e-mail.

Uważaj na nieznajomych. W świecie realnym i w Internecie. Mama często to powtarzała. Przypominała, że jeśli Jesse dostanie od kogoś wiadomość, pod żadnym pozorem ma na nią nie odpowiadać, tylko natychmiast zawołać mamę. Jeśli ktoś prześle mu załącznik, nie wolno mu go otwierać, ponieważ może zawierać wirus, który zniszczyłby ten i tak ledwie działający komputer. Co gorsza, może w nim być coś złego, niestosownego dla dzieci.

- Coś strasznego? - zapytał mamę. Jesse nie lubił strasznych filmów, chociaż nigdy nie przyznałby się do tego przed kolegami z drugiej klasy. Śniły mu się po nich koszmary.

- Coś w tym rodzaju - odpowiedziała mama.

Tak więc nie wolno mu było rozmawiać z obcymi w Internecie ani otwierać przesłanych plików. Hipopotam Pałkarz i Różowy Pudel nie byli jednak obcy. To inne dzieci grające na AthleteAnimalz. Nie wysyłały mu strasznych filmów, tylko uczyły, jak zdobyć więcej punktów w grze.

Jesse lubił zdobywać punkty. Przydałyby mu się dodatkowe umiejętności.

Przypomniawszy sobie również, że wolno mu odwiedzać Bostońską Bibliotekę Publiczną. Chodzili tam często z mamą, kilka razy w miesiącu. Biblioteki były w porządku, mama je

aprobowała. Jeśli zapyta, czy mógłby pójść tam po szkole, pozwoli mu. Nie wolno mu wsiadać do samochodu obcej osoby ani iść z nią do jej domu. To rozumiał. Ale spotkanie z innym dzieckiem w bibliotece publicznej... To wydawało się w porządku.

Jesse raz jeszcze przeczytał wiadomość.

Różowy Pudelek. Dziewczyna. Ale dziewczyna, która świetnie gra w bejsbol. Najlepszy uderzający, jakiego widział, lepszy nawet niż Hipopotam Pałkarz. Jeśli Jesse zaloguje się później do gry i zdobędzie jeszcze więcej punktów dla drużyny, czyż Hipopotam Pałkarz nie będzie zadowolony?

Jesse podjął decyzję. Używając palca wskazującego, zaczął mozolnie wystukiwać swoją odpowiedź, zerkając na list Różowego Pudła, by sprawdzić ortografię.

Bejsbol jest też moją ulubioną grą. Przyjdę po szkole. Żaden problem, dodał, ponieważ podobało mu się to wyrażenie. Tak napisałby starszy, pewny siebie chłopak, może szóstoklasista.

Oparł się na krzesło i jeszcze raz przeczytał odpowiedź.

Biblioteka to publiczne miejsce, upewnił sam siebie.

Poza tym miał uważać na obcych, strasznych mężczyzn, a Różowy Pudel była dziewczyną. Jesse nie bał się dziewczyn.

Przytaknął sam sobie. Dotknął starannie napisanej wiadomości na ekranie komputera. Z dumą spojrzął na poprawnie napisany tekst i odpowiednią interpunkcję. „Zupełnie jak szóstoklasista”, pomyślał.

Wcisnął „wyślij”.

W tym momencie po drugiej stronie cienkiej ściany zabrzmiał budzik jego mamy.

Rozdział 17

Cześć. Mam na imię Abigail.

Czy my się znamy?

Spokojnie, poznamy się.

Cześć. Mam na imię Abigail.

Rozdział 18

D. D. przeszła na ciemną stronę i ponownie się zakochała.

Kawa. Gorąca, mocna, czarna. Trzymała delikatnie kubek, czując, jak ciepło z napoju dociera do wnętrza jej dłoni i miejsca na nadgarstkach, gdzie wyczuwa się puls. Pierwszy powolny wdech. Leniwe rozkoszowanie się wonią. Powitanie dawnego przyjaciela.

- Do jasnej cholery, po prostu wypij! - rozkazał Phil z przeciwległego końca stołu konferencyjnego.

Przyjrzała mu się łagodnie. Detektyw O siedział po jednej jego stronie, a Neil po drugiej. Tego ranka O miała na sobie obcisły sweterek w kolorze głębokiej czerwieni, w którym przypominała raczej modelkę Victoria's Secret niż panią detektyw. Natomiast Neil wyglądał tak,

jakby spędził poprzednią noc w kostnicy jako nieboszczyk.

- Prawie nigdy nie przeklinasz - zauważyła D. D. Nadal ścisnęła kubek i czuła, jak aromatyczna para przefiltrowuje się przez jej zmysły.

- Wyglądasz, jakbyś grała w reklamie kawy. O i ja spędziliśmy tu całą noc, a Neil połowę. Chcemy zdać ci raport, a potem odpocząć.

D. D. zrobiło się nieswojo. Spojrzała na swoją wykończoną ekipę, na twarze oświetlone nadmiernie światłem lamp fluorescencyjnych i mocno podkrążone oczy. Sama nie wyglądała lepiej, ponieważ też zarwała noc. Różnica polegała na tym, że jej ciemieżca był mniejszy i bardziej wytrzymały.

- Dobra - zgodziła się z Philem. - Zaczynamy imprezę. Najpierw ty.

Wzięła pierwszy łyk i jej serce natychmiast przyspieszyło. Poczowała w ustach i jednocześnie usłyszała, jak kofeina trafia do jej krwiobiegu. Zastryk energii, po którym miała ochotę westchnąć, wziąć głęboki wdech i zacząć cały proces od początku. I tak też zrobiła.

- Na miłość boską! - wykrzyknął Phil.

- Może sam się napijesz?

- Tak!

Phil wyszedł gwałtownie z sali w poszukiwaniu świeżej kawy. O pokręciła głową. Neil położył ręce na stole i oparł na nich głowę.

„Kolejny dzień w raj”, pomyślała D. D. i wzięła łyk swojego cudownego naparu. Jak mogła bez niego żyć?

Phil wrócił z własnym kubkiem napoju i impreza wreszcie się zaczęła.

- Znaleźliśmy chat room - oznajmiła O.

- Znaleźliśmy zapis rozmów z chat roomu - wtrącił się Phil, patrząc na swoją partnerkę od komputerów. - Jeśli chodzi o sam chat room, to jest prawdopodobnie zakodowany i zaszyfrowany na wszystkie możliwe sposoby.

- By się do niego dostać, trzeba zostać zaproszonym - dodała O.

- Z tego, co się zorientowaliśmy, korzystają z niego użytkownicy z całego świata, dlatego bardzo trudno namierzyć serwery - wyjaśnił Phil.

- Ale to wyraźnie strona szkoleniowa - podkreśliła O.

- Co to za szkolenia? - zapytała D. D., marszcząc brwi i ścisnąjąc kubek z kawą teraz bardziej defensywnie. Słuchanie dwóch maniaków komputerowych wcale nie było łatwiejsze niż słuchanie jednego.

- Dla pedofilów - wyjaśniła O. - No wiesz, miejsce, gdzie się spotykają, porównują notatki i czują akceptację względem swoich perwersji.

D. D. odstawiała kawę.

- Co?

- Obserwujemy ten trend od kilku lat - oznajmiła lekceważąco O. Najnowsze odkrycia najwyraźniej nie były nowością dla niej, a może i dla obojga ekspertów. - Coraz więcej przestępstw przeciwko dzieciom popełnianych jest przez coraz młodszych sprawców. Doszliśmy do wniosku, że ma to związek z korzystaniem przez społeczność pedofilską z chat roomów i ten zapis rozmów to potwierdza.

Neil podniósł głowę znad stołu i spojrzał uważnie na czarnowłosą detektyw od przestępstw seksualnych.

- Zaczynj jeszcze raz - polecił. - I mów wolniej.

O przewróciła oczami, ale spełniła prośbę.

- Dobra. Społeczeństwo działa według norm. Jedna z nich zabrania postrzegania dzieci jako obiektów seksualnych. Oczywiście pedofile patrzą na dzieci właśnie w taki sposób: to dla nich dewiacyjna fantazja seksualna. Mówiąc najogólniej, pedofil przez co najmniej kilka lat próbuje zwalczyć ową fantazję. Rozpoznaje ją jako niewłaściwą i stara się oprzeć pokusie. Niektórym się to udaje, ale jak widać niektórym nie. Ci w końcu idą za impulsem i wstępują na drogę przestępczą. W świetle takiego cyklu większość pedofilów w momencie popełnienia zbrodni ma około dwudziestu, trzydziestu lat. To stosunkowo dojrzały wiek jak na przestępcę. Istnieją pewne wyjątki, na przykład nastoletni opiekunowie, których celem stają się ich podopieczni, ale ilustrują one raczej zjawisko impulsywnego działania pod wpływem nadarżającej się okazji. Tego typu ataki rzadko są zaplanowane czy wyrafinowane. Tak więc, dla przypomnienia, typowy pedofil jest dojrzałym mężczyzną. Ostatnio jednak zaobserwowaliśmy wzrost liczby przestępstw, które można by określić mianem „dzieci przeciwko dzieciom”. Stosunkowo młodzi pedofile podejmują działania mające na celu namierzanie i osvajanie ofiar, które do tej pory przypisywaliśmy jedynie starszym pedofilom.

- Dobry Boże - jęknął Neil, a D. D. mu zawtórowała.

- Zakładamy, co potwierdza również zapis rozmów z forum, że te nastolatki nie opierają się swoim zboczonym fantazjom seksualnym - kontynuowała O. - Oni logują się w Internecie, gdzie znajdują uznanie dla swoich impulsów, a nawet porady, w jaki sposób podejmować owe niewłaściwe działania. Krótko mówiąc, doświadczeni pedofile używają internetowych chat roomów, aby szkolić kolejne pokolenie przestępców, co przyspiesza pedofilski cykl zbrodni.

- Nigdy więcej nie skorzystam ze swojego komputera - oznajmiła D. D.

- Proszę - powiedział zmęczonym głosem Phil. - Spędziliśmy całą noc, czytając zapisy rozmów z tego typu chat roomów. Teraz powinienem chyba wrócić do domu i wybielić sobie gałki oczne.

- Wciąż mówicie o „zapisach rozmów”. Co macie na myśli? - zapytała D. D.

- Ofiara numer dwa - wyjaśnił Phil. - Stephen Laurent zapisał część rozmów z chat roomów na twardym dysku swojego komputera. Była tam między innymi instrukcja, jak użyć szczeniaka, by zbliżyć się do dzieci. W kolejnej rozmowie pojawiają się informacje, jak śledzić dzieciaki na różnych dziecięcych stronach internetowych, by zwabić potencjalne ofiary. Opis jest bardzo szczegółowy i zawiera nawet wskazówki, jak ustalić, która e-ofiara mieszka na tyle blisko, aby stać się ofiarą fizyczną.

- Tworzył podręcznik - stwierdził dobitnie Neil. - Miał na swoim twardym dysku cały cholerny podręcznik dla zboczeńców, włącznie ze zdjęciami.

O wyciągnęła rękę i dotknęła delikatnie dłoni Neila. Rudowłosy detektyw wzdrygnął się i wyprostował.

- Potrzebujesz pomocy? - zapytała łagodnie. - Przeglądałam już wcześniej tego typu zdjęcia. Jeśli chcesz, mogę popracować nad tym z tobą.

- Nie dam rady obejrzeć ich więcej. Po prostu... przestałem patrzeć na nie jak na dzieci. A to źle, bardzo źle. Już nie mogę - zwrócił wzrok w stronę D. D. - Mam dość.

Natychmiast przytaknęła.

- Tak, zdecydowanie. Nie będziesz ich więcej oglądał. Masz rację, Neil, to są dzieci i

zasługują na to, by postrzegać je w ten sposób. To dobrze, że zauważyłeś moment, w którym doszedłeś do granic swojej wytrzymałości. W ten sposób traktujesz je z szacunkiem. Dziękuję ci.

- Nie sądzę, żeby to były jego ofiary - oznajmił Neil.

Phil spojrział na niego.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Przekopałem się przez cztery z sześciu pudełek. Zdjęcia, które w nich znalazłem, wydają się zbyt eklektyczne. Są tam zdjęcia z lat osiemdziesiątych zrobione polaroidem i wyblakłe odbitki z lat siedemdziesiątych. Przedstawiają chłopców, dziewczynki, młodsze dzieci i nastolatki, czarne, białe, latynoskie, a zrobione zostały na terenach miejskich, w domach i hotelach. Myślę, że Laurent zbierał zdjęcia, może kupował je w sieci, wymieniał się z innymi kolekcjonerami... - Spojrział na detektyw O.

Skinęła głową.

- Jasne, pedofile zawsze wymieniają się obrazkami, filmami wideo i tym podobnym. Niektórym to nawet wystarcza. Zdziwiłbyś się, ilu porządnych ojców rodziny przyłapaliśmy na posiadaniu dziecięcej pornografii. Twierdzili, że dobrze im robi. Chroniło ich to przed popełnieniem przestępstw na prawdziwych ofiarach.

- Nienawidzę tej sprawy - wymamrotał Neil.

D. D. nie mogła się z nim nie zgodzić, ale czuła dezorientację.

- Chcesz powiedzieć, że Stephen Laurent mógł nie być aktywnym pedofilem, a jedynie kolekcjonerem pornografii?

- Mówię tylko, że taki model istnieje - stwierdziła detektyw O. - Wątpię jednak, by Laurent był pasywnym pedofilem. Nie tylko ściągał z Internetu zapisy rozmów na temat sposobów podejmowania nielegalnych działań, ale jak pamiętacie, miał również szczeniaka.

- Czy pedofile mają tendencję do poszerzania zakresu swoich działań? - zapytała D. D. - Może Laurent zaczynał jako kolekcjoner dziecięcej pornografii, ale potem rozwinął się w kierunku molestowania dzieci?

- Jasne. W dużym stopniu, po to właśnie są owe chat roomy. Oferują słabym pedofilom, zwykle mężczyznom o niskim poczuciu własnej wartości, akceptację, narzędzia i porady, jak w końcu uzewnętrznić swoje zбочzone fantazje seksualne. Przy okazji, są też chat roomy dla gwałcicieli, a być może nawet dla seryjnych morderców.

- Nienawidzę tej sprawy - powtórzył Neil.

D. D. wpadła na pewien pomysł.

- W kontekście cyklu pedofilskiego kim był Stephen Laurent, mentorem czy uczniem?

- Uczniem - odparła bez wahania O. Spojrzała na Phila. - To właśnie znaleźliśmy na jego komputerze, prawda? Dubler zbierający informacje potrzebne do odegrania swojej głównej roli.

Phil przytaknął.

- A pierwsza ofiara strzelaniny? - zapytała szybko D. D. - Antiholde? Czy on też zaglądał do tych chat roomów?

- Tak, pojawił się w tym samym - potwierdził Phil.

- Jako trener czy uczeń?

- Trener - odparł beznamytnie Phil. - Zważywszy na jego kryminalną przeszłość. Drugiej ofiary, Laurenta, jeszcze nigdy nie złapano, natomiast Antiholde'a aresztowano i zwolniono warunkowo. Założył się, że odwiedzał chat roomy z dwóch powodów: aby chwalić się swoimi

dokonaniami i jednocześnie ulepszyć technikę pod kątem przyszłych przestępstw. Był zdecydowanie bardziej doświadczonym pedofilem niż Laurent.

- Nadal szukał jednak informacji i wskazówek - dodała D. D.
 - Pedofile cały czas szukają nowych informacji - odparła rzeczowo O. - To bardzo ryzykowny styl życia, w którym czują się ofiarami własnych impulsów i trwają w ciągłym lęku przed złapaniem. Dlatego wciąż logują się w sieci.
 - Ilu jest użytkowników tych chat roomów? - zapytała D. D.
 - Jeszcze do tego nie doszliśmy. W zapisach rozmów z komputera Laurenta figuruje kilkudziesięciu aktywnych rozmówców.
 - Musimy ich namierzyć.
 - Oczywiście, pracujemy nad tym - odparła oschle O. - Niestety pedofile to bardzo podejrzliwa grupa, dysponująca wyrafinowanymi umiejętnościami komputerowymi.
 - Nasze ofiary łączy jedna rzecz: ów chat room. Zidentyfikujemy użytkowników, następnie zabójcę... albo kolejne ofiary.
 - Powtarzam - przypomniał jej Phil - że mamy jedynie kopie zapisu rozmów, a nie dostęp do samego chat roomu. Figuruje na nim kilkudziesięciu użytkowników, ale to prawdopodobnie zaledwie wierzchołek góry lodowej. Większość użytkowników na tego typu forach się przyczaja. Oznacza to, że istnieją prawdopodobnie setki, jeśli nie tysiące innych użytkowników, którzy nie zamieszczają postów i tym samym pozostają dla nas niewidoczni. Będziemy starali się namierzyć nazwiska użytkowników, których możemy zidentyfikować z zapisu, ale pamiętajcie, że to zadanie przypominające szukanie igły w stogu siana.
 - Powiedziałaś, że nie mamy dostępu do chat roomu - zauważyła D. D. - Że jest zaszyfrowany na wszystkie możliwe sposoby i można się do niego dostać jedynie na zaproszenie. W jaki sposób można zostać zaproszonym?
 - Nie wiem - stwierdziła O. - Prawdopodobnie na zasadzie polecenia przez znajomego. Pedofile poznają się na innych forach, być może wymieniają się pornografią i kiedy zyskają czyjeś zaufanie, użytkownik chat roomu zaprasza ich.
 - Powiedziałaś, że muszą jakoś zdobywać nowych członków, nastolatków.
 - Jasne. Moglibyśmy podszyć się pod nastoletniego chłopca, stworzyć mu wirtualną tożsamość i w poszukiwaniu informacji pojawiać się w odpowiednich miejscach w sieci, by zwrócić uwagę innych pedofilów. Tajni śledczy już działają w Internecie. Doprowadzenie takiej operacji do końca zajmie nam jednak kilka miesięcy. Biorąc pod uwagę częstotliwość ataków naszego zabójcy, mamy raczej kilka tygodni.
 - Potrzebujemy hakera - stwierdziła rzeczowo D. D.
 - Zgadzam się.
 - Albo... - D. D. zastanawiała się przez chwilę. - Czy bywalcy forum wiedzą, że dwóch użytkowników nie żyje? Moglibyśmy podszyć się pod nich i zalogować jako Stephen Laurent albo Douglas Antiholde.
 - Musielibyśmy znać ich loginy i hasła - zauważył Phil.
 - Z tym nasi wytrawni eksperci komputerowi powinni sobie poradzić, prawda? Mogą je odnaleźć na twardych dyskach w komputerach ofiar.
- Phil powoli skinął głową, po chwili również O.
- Tak - przyznał Phil. - Może im to zająć kilka dni, ale powinno się udać.

- W porządku. W takim razie zapominamy o tworzeniu fałszywej tożsamości. Ukradniemy po prostu nazwę użytkownika, pod którą pojawiał się w sieci Stephen Laurent, zalogujemy się i zaczniemy badać. Będziemy słuchać, uczyć się i przy odrobinie szczęścia znajdziemy naszego mężczyznę... lub kobietę, kimkolwiek się okaże.

- Kobietę? - zapytała O.

D. D. nie wspomniała wcześniej o swojej rozmowie z biegłym grafologiem. Zdecydowała, że nadszedł czas, by to zrobić.

- Na obu miejscach zbrodni znaleziono liściki o treści: „Wszyscy kiedyś umrzemy. Trzeba być odważnym”. Analiza pisma wskazuje, że ich autor jest prawdopodobnie kobietą, pedantyczną, wyedukowaną w prywatnej szkole, gdzie przypuszczalnie nosiła kraciaste plisowane spódniczki. Tu nasuwa się kolejne pytanie: jak wiele informacji na temat osobowości można wywnioskować z postów zamieszczanych w chat roomach? Czy któryś z użytkowników przypomina samicę alfa? Czy można w ogóle odróżnić, którzy z użytkowników są kobietami, a którzy mężczyznami?

Phil pokręcił głową, podobnie jak O. Oboje się jednak zastanawiali. D. D. poczuła dreszcz między łopatkami, który tak lubiła w pracy detektywa. Dochodzili do czegoś, nareszcie znaleźli punkt zaczepienia.

Wkrótce rozpracują tę sprawę. Już niedługo. Nagle.

Namierzą tego mężczyznę... lub kobietę.

- Czy powinnam wiedzieć o czymś jeszcze? - zapytała.

Jej ekipa potrząsnęła zmęczonymi głowami.

- O, a może spotkasz się z Neilem i przejmiesz od niego zdjęcia?

O kiwnęła głową. Neil wyglądał na zawstydzonego, że musi oddać zadanie, ale nie protestował.

- Neil, spotkajmy się w moim gabinecie o dziesiątej - kontynuowała. - Phil, kończysz służbę o dwunastej w południe. Idź do domu i odpocznij. O, możesz dokończyć pracę dzisiaj, ale nie chcę cię tu jutro widzieć przed południem. Pamiętaj, to maraton, a nie sprint.

Phil spojrział na nią dziwnie.

- Nigdy nie wysyłasz nas do domu.

- Masz coś przeciwko?

Phil się zamknął.

D. D. odroczyła spotkanie, wróciła do gabinetu, wzięła do ręki raport z drugiego miejsca zbrodni i zaczęła przygotowania do kolejnej ważnej sprawy owego dnia: rychłego zabójstwa Charlene Rosalind Carter Grant.

Podniosła słuchawkę telefonu i wykręciła numer.

Rozdział 19

Trening oznacza gotowość. Wielokrotnie ćwiczysz schemat ruchów, aby w momencie ataku zamiast zastygnąć w przerażeniu, wrócić do instynktownych reakcji, które szybko rozbijają przeciwnika.

Przynajmniej teoretycznie.

Fuksja i ja opuściłyśmy komendę policji w Grovesnor chwilę po ósmej rano. Tym razem Mackereth nie czekał, aby podwieźć nas do domu. Poranne słońce słabo świeciło, ledwie przedzierając się przez gęstniejące chmury. Niemal czułam smak śniegu gromadzącego się na horyzoncie i mróz przenikający przez moją kurtkę, czapkę i rękawiczki.

W ciągu zaledwie kilku minut Fuksja, którą chroniła jedynie krótka, biało-ruda sierść, zaczęła drzeć.

To mnie rozproszyło. To był pretekst, by ruszyć z nią pospiesznie na róg ulicy i wziąć udział w konkurencji polegającej na zatrzymaniu taksówki w porannym szczycie komunikacyjnym.

Po pięciu nieefektywnych minutach Fuksja trzęsła się coraz bardziej.

Podjechał autobus. Numer mi odpowiadał, więc wsiadłam, zabierając psa ze sobą.

Kierowca, krępa czarnoskóra kobieta z karbowanymi siwymi włosami i twarzą, która zdradzała życiowe doświadczenie, pokręciła głową.

- Tylko psy przewodnicy.

- To jest pies przewodnik, tylko zgubiła obrozę. Jakiś debil zdjął ją tuż przed komendą policji. I co pani na to? Proszę na nią spojrzeć. Nie ma na sobie munduru i zamierza na śmierć.

Fuksja pomogła mi, posyłając kierowcy swoje najbardziej żalosne spojrzenie.

Za moimi plecami ustawiły się już cztery osoby, które chciały wsiąść i niecierpliwiły się z powodu zatoru, zwłaszcza w takim mrozie.

Kierowca ignorowała ich i wpatrywała się we mnie.

- Jaki ma pani rodzaj niepełnosprawności?

- Alergię na orzeszki ziemne.

- Nie ma psów przewodników z powodu alergii na orzeszki ziemne.

- Są.

- Nie ma.

- Są - wymamrotał mężczyzna za mną. - No dalej. Niech ją pani wpuści albo wyrzuci. Tu jest cholernie zimno.

Posłałam mu gniewne spojrzenie, a potem omiotłam wzrokiem pasażerów, którzy już zajmowali swe miejsca.

- Czy ktoś jadł dzisiaj rano masło orzechowe? - zawołałam. - Albo ma orzeszki ziemne w torebce?

W górze pojawiło się kilka niepewnych rąk. Zwróciłam się triumfalnie w stronę kierowcy.

- Widzi pani, potrzebuję psa. Inaczej mogłabym umrzeć w pani autobusie. Proszę pomyśleć o papierkowej robocie, którą musiałaby pani wtedy wykonać. Nikt nie ma na coś takiego ochoty.

Przesunęłam kartę miejską przez czytnik i postawiłam Fuksję na podłodze w przejściu, jakby to przesądzało sprawę. Kiedy szłam w kierunku tyłu autobusu, ciągnąc za sobą psa, wiedziałam, że kierowca nadal mi nie wierzy. Ale na zewnątrz było kurewsko zimno, a nikt nie lubi papierkowej roboty.

Skłamałam i upiekło mi się. To sprawiło, że poczułam się pewna siebie, jak zwycięzca. Drugi błąd tego ranka.

Naprawdę, to była jedynie kwestia czasu.

Musiałam stać. Prawą ręką trzymałam się górnego drążka, aby zachować równowagę. Owinęłam sobie koniec smyczy Fuksji wokół lewego nadgarstka, a lewą dłoń przycisnęłam

plasko do zamkniętej klapy torby listonoszki, chroniąc jej zawartość, zwłaszcza broń.

Jedna z zasad transportu publicznego: im zimniej jest na zewnątrz, tym cieplej wewnątrz.

Gorące powietrze buchało z grzejników i dość szybko wełniane płaszcze i wyściełane polarem czapki, które tak bardzo przydawały się na zewnątrz, zaczęły utrudniać oddychanie. Fuksja zaczęła dyszeć. Ja zaczęłam się pocić. Kolejni pasażerowie zwiększali ścisk, a rozgrzane, przylegające do siebie nawzajem ciała potęgowały wrażenie przebywania w saunie.

Po dwudziestu minutach mojej niemal godzinnej przejażdżki zaczęłam odczuwać mdłości. Kołysząca się pod stopami podłoga, smród zbyt wielu ciał stłoczonych zbyt blisko siebie, z których tylko kilka w ostatnim czasie zadało sobie trud, by wziąć prysznic.

Po kolejnych pięciu minutach uniosłam rękę trzymaną na torbie na tyle wysoko, by móc poluzować szalik i zdjąć czapkę. Oddychało mi się nieznacznie lepiej, a wtedy autobus ponownie ruszył i zaczął podskakiwać, pasażerowie falowali w środku, a szyby zachodziły mgłą.

Udało mi się wetknąć czapkę do kieszeni kurtki i ponownie musiałam unieść lewą rękę, by odpiąć górny guzik, potem, drugi, trzeci i czwarty.

Pod spodem miałam na sobie za dużą polarową, granatową, wkładaną przez głowę bluzę, wygodny, obszerny strój, w który można się wtulić, siadając na kanapie z książką w niedzielny wieczór. Teraz bluza mnie dusiła, kołnierz był wilgotny od potu, a podciągnięte rękawy uciskały ręce.

Trzydzieści minut za mną, dwadzieścia pięć przede mną.

Autobus się zatrzymał, kilku pasażerów wysiadło i jeszcze więcej wsiadło. Fuksja skomlała i dyszała. Poluzowałam uścisk na śliskim od potu metalowym drążku i wytarłam brwi przedramieniem.

Autobus podskoczył, podobnie jak mój żołądek.

Czy nadal trzymałam torbę? Może. Może nie. Było mi gorąco, niewygodnie i walczyłam z chorobą lokomocyjną. Najpierw czułam się rozproszona, potem pewna siebie, a teraz częściowo obezwładniona.

W miastach obowiązuje prawo dżungli: stado niezwłocznie uśmierca słabych i niedołącznych.

Przystanek za przystankiem, przecznica za przecznicą, a ja dyszałam niemal tak samo jak Fuksja. Nie zwracałam uwagi na innych pasażerów ani na otoczenie. Odliczałam jedynie przecznice i pragnęłam za wszelką cenę wysiąść z tego cholernego autobusu.

Wreszcie, kiedy kolor mojej twarzy przeszedł z rozżarzonej czerwieni przez przerażającą błądź w niepokojącą zieleń, autobus się zatrzymał. Drzwi na przedzie otworzyły się, a ja zaczęłam przeciskać się w ich stronę, ciągnąc za sobą Fuksję, która bez trudu przemykała się przez morze ciężkich butów i trzepoczących płaszczy.

- Przepraszam, przepraszam, chcę przejść. - Przepychałam się, rozpychałam i chygotałam, podążając za syrenią pieśnią o świeżym powietrzu, wabiącą mnie przez otwarte drzwi. Wreszcie udało nam się. Wymieniłam z kierowcą ostatnie gniewne spojrzenia, potem Fuksja i ja zeszyliśmy po stromych stopniach autobusu na zamrznięty na kość stały ład. Odbiegliśmy kawalek, z dala od metalowej sauny.

Jak przez mgłę widziałam zamykające się drzwi i odjeżdżający autobus. Obie ręce trzymałam z dala od torby. Rozpinałam kurtkę, łączywie wdychałam mroźne, przetykane śniegiem powietrze, próbując wciągnąć go jak najwięcej w swe przegrzane płuca przez przesiąknięty potem polar.

Skórzana torba dyndała mi na biodrze, a rozpięta kurtka trzepotała wokół ud.

Myślałam jedynie o odświeżająco zimnym powietrzu i jego powiewie na twarzy. Wreszcie wysiadłam z autobusu. Koniec trasy. Stąd Fuksja i ja mogłyśmy przebiec mniej więcej dwa i pół kilometra do celu podróży. Z dala od zatłoczonych terenów miejskich, w stronę bocznych dróg i wyboistych wsi, którymi nadal upstrzony był obszar Greater Boston.

Dobrze się czułam poza miastem. Czułam się bezpiecznie.

Czułam ulgę, a nawet optymizm.

Do momentu, gdy ktoś zaatakował mnie od tyłu.

Najpierw chwycił mnie za ubranie. Szarpnął kłapy mojej czarnej wełnianej kurtki do siebie i w dół. W mniej niż sekundę unieruchomił mi lewą rękę i praktycznie przywiązał ją do mego boku moim własnym okryciem. Pasek torby wisiał jednak w poprzek mojego ciała i przytrzymał prawą klapę z boku szyi, oplątując napastnikowi rękę.

Wykorzystałam tę sekundę, aby stanąć bez ruchu, z bezgłośnie otwartymi ustami, podczas gdy mój mózg krzyczał (głupio): „Przecież dziś nie jest dwudziesty pierwszy!”.

Gdy stałam jak posąg, atakujący chwycił pasek mojej torby, przerzucił mi go nad głowę i cisnął torbę na bok. Jej ciężar napotkał po drodze smycz Fuksji, palce wyprostowały mi się odruchowo, puszczając smycz i natychmiast straciłam broń i psa. Dla pewności napastnik kopnął torbę dalej, nadal stojąc za mną.

Następnie zacisnął mi dłonie na szyi.

Z opóźnieniem włączył mi się instynkt samozachowawczy. Przestałam analizować, co się dzieje i zaczęłam działać. Najpierw podjęłam walkę z własną kurtką.

Kiedy napastnik ścisnął mi gardło, powoli, ale skutecznie blokując drogi oddechowe, wykonałam mocny ruch w tył spętanym ubraniem łokciem i wbiłam mu go w bok. Gdy zachwiał się w lewo, wykorzystałam ów pozbawiony oddechu moment, aby zrzucić z siebie kurtkę i wreszcie wyswobodzić ręce i dłonie.

Uścisk stał się mocniejszy. Otworzyłam rozpaczliwie usta, próbując złapać powietrze. Czułam rosnący ucisk w klatce piersiowej, ciężar przybierającej na sile paniki.

Przecież dziś nie jest dwudziesty pierwszy!

Walka, musiałam walczyć. Byłam jednak przygotowana na wymierzanie ciosów przed siebie. Uniki, bloki i ciosy. Teraz czułam się jak na kursie samoobrony dla początkujących, próbując stanąć na podbiciu napastnika lub kopnąć go w rzepkę. Zadać mu ból, obezwładnić, zrobić coś, by musiał mnie puścić.

Fuksja biegała wokół nas, szczekając i ciągnąc za sobą smycz.

Ręce napastnika nadal zaciskały się na mojej szyi, a przed moimi oczami zaczęły pojawiać się białe plamy.

Zapomniałam o tym, żeby deptać po stopach, żeby walczyć. Poddałam się panice i bezskutecznie chwytałam krępujące gardło palce, jakby mogło to pomóc.

A więc tak czuła się Randi. Tak czuła się Jackie.

Przygniatający ciężar miażdżył mi klatkę piersiową. Potrzeba, pragnienie złapania oddechu było tak pierwotne, tak wpisane w funkcjonowanie ciała, że brak tlenu powodował dziwny rodzaj bólu. Czułam, jak komórki mojego ciała obumierają jedna po drugiej, krzycząc panicznie w ostatnich sekundach życia.

Na końcu korytarza płacze dziecko.

„Wiem, wiem, powinnam była powiedzieć, powinnam”.

Płakałam. On mnie uśmiercał, a ja, zamiast się bronić, czułam się przytłoczona dawnymi wyrzutami sumienia. Dziecko, które zawiodłam. Matka, którą skrzywdziłam. Przyjaciółki, które kochałam całym sercem, a potem pochowałam, jedną po drugiej.

Słyszałam szczekanie Fuksji i nagle skowyt bólu. Kopnął ją.

Napastnik skrzywdził mojego psa.

To mnie wkurzyło.

Zawiesiłam się na nim. Jak przez mgłę przypominałam sobie ruch powtarzany na tak wielu treningach, przestałam wspierać się na nogach i zamiast tego stałam się bezwładnym ciężarem. Nagle ugięcie przeze mnie kolana wytrąciło napastnika z równowagi.

Poleciał do przodu, a ja natychmiast oparłam z powrotem stopy na ziemi i wykorzystując jego ciężar, przerzuciłam go nad swoją głową.

I już na nim siedziałam. Kopałam w żebra i waliłam w nieosłoniętą głowę. To nie był boks, to była walka uliczna. Wciągałam w płuca nierówne hausty powietrza i kopałam, uderzałam i goniłam napastnika po ośnieżonej ziemi.

Przeturlał się, zakrywając przedramionami twarz i próbował oddalić, aby z powrotem stanąć na nogi.

O, nie. Nie ma mowy. Jeśli wstanie, z pewnością będzie ode mnie większy i silniejszy, a do tego może wyciągnąć z rękawa nóż, broń albo inną zabawkę. Musiałam utrzymać go w parterze, gdzie to ja górowałam nad nim i to ja byłam największym twardzielem w mieście.

Kontynuowałam pościg. On nadal się turlał, w pewnym momencie stanął na czworakach, ale nagrodziłam jego wysiłek tak druzgocącym kopniakiem w żebra, że padł i skulił się na boku.

Trzymał głowę w dole, chroniąc twarz, przez co trudno mi było odgadnąć jego zamiary. Dlatego zdołał mnie zaskoczyć. Kiedy zamierzyłam się powtórnie, błyskawicznie wyciągnął lewą rękę, chwycił mnie za stopę i mocno pociągnął.

Przewróciłam się do tyłu i wylądowałam z hukiem na prawym biodrze. Nawet dysząc z bólu, miałam jednak na tyle świadomości, by kopnąć prawą nogą i wyswobodzić lewą z jego uchwytu. Teraz oboje staliśmy na czworakach na zamrożonej ziemi i krążyliśmy wokół siebie.

Fuksja też biegła wkoło, jednak już nie szczekała, tylko niepewnie skomlała. Nie mogłam ryzykować, spoglądając na nią albo na otoczenie. Powinnam prawdopodobnie zacząć krzyczeć, wezwać pomoc. Znajdowaliśmy się tuż przy ulicy. Było po dziewiątej rano, a nawet na obrzeżach miasta żaden rejon nie jest kompletnie wyludniony.

Nie mogłam jednak wydobyć z siebie głosu. Krew buzowała mi w uszach i słyszałam własny, zachrypnięty oddech. Nie mogłam nawet szepnąć, moje struny głosowe były zablokowane, zamrożone.

W horrorach dzielna bohaterka zawsze krzyczy z przerażenia, natomiast w życiu jest bardziej prawdopodobne, że umrzemy w ciszy.

Stałam na nogi i w tym samym momencie on się wyprostował. Podskoczyłam, uniosłam zaciśnięte pięści, wreszcie przyjął odpowiednią pozycję do walki, dokładnie w momencie, gdy napastnik stanął przede mną gotów do starcia.

I spojrzałam prosto w ogorzałą twarz mojego instruktora strzelania J. T. Dillona.

- Stawiam ci trójcę - powiedział. Wyprostował się i opuścił ręce.

Nadal niepewna, co się dzieje, zadałam cios prawą ręką, celując w bok jego głowy. Równie szybko J. T. zablokował moje uderzenie lewym ramieniem, by po chwili znów opuścić ręce wzdłuż tułowia.

- No, może czwórkę - dodał szorstko, oddychając równie ciężko jak ja. - Nadal żyjesz, ale niewiele brakowało.

Wyprostowałam się powoli.

- Zaatakowałaś mnie w ramach treningu?

- Uznaj to za egzamin końcowy. - Wskazał swój bok, gdzie mocno go kopnęłam, i syknął z bólu. - Chociaż, biorąc pod uwagę mój wiek, następnym razem przyniosę po prostu papierowy dyplom.

Nadal trzymałam ręce w górze. Nie mogłam ich opuścić. Jeszcze nie. Mój oddech był zbyt płytki, a gardło bolało. Za kilka godzin cała będę w siniakach.

- Pierdol się! - rzuciłam nagle.

Spojrzał na mnie spokojnie, zagadkowo.

Znów wymierzyłam cios, a on ponownie go zablokował. Więc dałam z siebie wszystko. Waliłam, tłukłam i atkowałam, tak że po chwili znów goniliśmy się w kółko, tym razem on w pozycji obronnej, a ja napędzana wściekłością, którą ledwie rozpoznawałam. Zranił mnie i musiałam w odwecie zranić jego.

Niemal mnie zabił.

A ja prawie mu na to pozwoliłam.

Płonęły. Moje gardło, klatka piersiowa, moja duma. Tyle treningów, ćwiczeń, a jednak niemal zginęłam, zabita przez sześćdziesięcioletniego byłego marine.

Fuksja biegła za nami, ale już nie szczekała ani nie skomlała. Widziała mnie wcześniej podczas walki treningowej i być może pojmowała sytuację lepiej niż ja sama. Nie wiem. Goniłam swojego trenera strzelania, a on mi na to pozwalał. Robił uniki, blokował, odskakiwał, czasami oddawał cios. Poruszał się z prędkością, której nie spodziewałam się po srebrnowłosym byłym snajperze marynarki wojennej.

Problem z uderzaniem, prawdziwym wymierzaniem ciosów polega na tym, że wymaga ogromnego wydatku energii. Nawet mistrzowie świata w wadze ciężkiej są w stanie atakować bez przerwy zaledwie przez trzy minuty.

Już po chwili moje ręce stały się ciężkie, płuca łączywie wciągały powietrze, a ramiona i klatka piersiowa paliły. Tętno skoczyło mi do granic mdłości i nie tyle goniłam mojego przeciwnika, co ślaniałam się za nim. Wściekłość nadal napędzała mnie do walki, ale reszta mnie mówiła „dość”.

J. T. zakończył to, siadając na ziemi pod bezlistnym drzewem. Opadłam na śnieg obok niego. Twarz miałam czerwoną jak burak, zlaną potem. Przyjemnie było czuć na twarzy śnieg, a szare niebo było jak balsam na moje rozpalone policzki.

Fuksja podeszła, usiadła obok mnie i zaskomlała niepewnie. Poglaskałam ją po głowie, a ona polizła mnie w policzek. Potem podeszła do J. T. i powtórzyła cały rytuał. Zadowolona, że wszystko już w porządku, usiadła między nami, przytulając się do mego boku w poszukiwaniu ciepła. Po chwili J. T. wstał, podbiegł truchtem do mojej torby i przyniósł mi ją.

Usiadł znowu i spędziliśmy kolejną chwilę w milczeniu.

- Dlaczego mój nauczyciel strzelania spuszcza mi lanie? - zapytałam w końcu.

Przyjrzał mi się uważnie.

- Nie ma nic złego w trenowaniu z bronią - odparł zwięźle. - Możliwe jednak, że nigdy nie oddasz strzału, a nawet jeśli to zrobisz, przytłoczy cię panika i adrenalina. Będziesz strzelała na oślep, aż zabraknie ci amunicji, a wówczas wrócisz do punktu wyjścia: bliskiego spotkania twarzą w twarz.

Pomyślałam o swojej konfrontacji ze Stanem Millerem. J. T. właśnie trafnie ją podsumował. Oboje ze Stanem strzelaliśmy gdzie popadnie, a cała sytuacja skończyła się na bliskim spotkaniu twarzą w twarz.

- Zabiłeś kiedyś kogoś? - zapytałam.

- Mam swoje na sumieniu.

- Jak się wtedy czułeś?

- Nigdy tak dobrze, jak bym chciał.

Znów siedzieliśmy w ciszy. Głaskałam Fuksję po głowie.

- Czy zgine dwudziestego pierwszego? - zapytałam wreszcie.

Głupie pytanie, ale może do tego właśnie sprowadza się życie. Głupie pytania zadawane w czasie, który nam pozostał, gdy stojąc na torach, patrzymy jak lokomotywa zmierza wprost na nas i zastanawiamy się, jak bardzo będzie bolało.

- Może - odparł J. T. Spojrzał na mnie znowu. - Kto cię bił? Matka, ojciec, chłopak?

Nie odpowiedziałam od razu. Głaskałam jedwabiste, brązowe uszy Fuksji.

- Matka - odpowiedziałam w końcu. - Zastępczy zespół Münchhausena.

Pierwszy raz wypowiedziałam te słowa na głos. Nigdy nie rozmawiałyśmy o tym z ciotką Nancy i nigdy nie opowiedziałam o tym Randi ani Jackie. Nigdy nie wspomniałam przy nich o matce, o tym, gdzie mieszkałam, zanim przeprowadziłam się w góry ani o żadnym z dni, tygodni ani miesięcy, które spędziłam, zanim z córki matki stałam się siostrzenicą ciotki.

Ale powiedziałam J. T. Dillonowi, ponieważ tak właśnie jest, gdy walczy się z kimś fizycznie. To tworzy więź. Seks, przemoc, śmierć, wszystkie na swój sposób stwarzają atmosferę intymności. To kolejna rzecz, o której dowiedziałam się dopiero podczas ostatniego roku.

- Nie broniłaś się - powiedział lakonicznie J. T. - Nie walczyłaś o siebie.

- W końcu zaczęłam.

- Nie. Kopnąłem twojego psa. Walczyłaś o psa.

- To dobry pies.

Wpatrywał się we mnie.

- Musisz wybić ją sobie z głowy - powiedział gwałtownie.

Zesztywniałam. Nadal głaskałam Fuksję po uszach, ale czułam, że się odsuwam.

- Mówię poważnie - oznajmił J. T. - Musisz bić się o siebie. Musisz zebrać wściekłość, wstyd i milczenie i uczynić z nich swoją broń. Musisz wiedzieć, Charlie, musisz być przekonana, że to nie w porządku, gdy ktoś cię krzywdzi. Nie zasługujesz na karę. Gdy ktoś cię atakuje, przestań to akceptować, a zacznij mu oddawać.

- Staram się.

- Bzdura! Wahasz się. Udajesz się do miejsca w swojej głowie, gdzie masz czekać, aż kara się skończy. Tak cię zaprogramowano. Posłuchaj, mogę nauczyć cię strzelać, Dick może cię nauczyć, jak się bić, ale żaden z nas nie może cię odgrywania ofiary we własnym życiu.

Ty sama musisz to zrobić. Tobie musi zależeć na sobie samej.

Zarumieniłam się i poczułam jak mała dziewczynka zganiona za brak pracy domowej. Nie chciałam być bierna. Chciałam być twardzielką. A jednak, kiedy zacisnął ręce na moim gardle... Kiedy zaatakował mnie od tyłu...

Poczułam, jakbym na to zasłużyła. Byłam niegrzeczna i zasłużyłam na karę. Odruchowa reakcja wszystkich dzieci, które doświadczyły przemocy. Wszystkie dorosłyśmy, ale żadnemu z nas nie udało się uciec.

- Umieranie za kogoś jest łatwe - wyszeptał J. T., jakby czytał w moich myślach. - Życie dla siebie... to jest trudne. Ale musisz to zrobić, Charlie. Uszanuj siebie. Broń się. Walcz o siebie.

Przytaknęłam w końcu, przyciągając Fuksję bliżej, aby ją ogrzać.

- Idziemy teraz postrzelać?
- Za chwilę.

Otworzył moją torbę i wyjął taurusa. Dwudziestka dwójka wydawała się taka mała w jego wielkiej, spracowanej dłoni, a długie palce pasowały bardziej do jego niebezpiecznej czterdziestki niż mojej pukawki. Obwąchał broń i spojrzął na mnie.

- Nigdy nie chowaj brudnej broni - polecił.
- Pomyślałam, że wyczyszczę ją po naszej sesji.
- Nigdy nie chowaj brudnej broni.
- Dobrze.
- Chcesz o tym porozmawiać?
- Nie.
- To dobrze, bo ja nie chcę o tym słyszeć.

Podał mi taurusa i oboje wstaliśmy.

- Może iść? - zapytał i wskazał Fuksję.
- Jeśli będziemy w ruchu. Potrzebuje okrycia. Może dzisiaj coś jej znajdzie.
- Koniecznie. Pies, o którego warto walczyć, zasługuje na sweter.

J. T. ruszył, Fuksja i ja dołączyliśmy do niego. Czekał nas prawie dwupółkilometrowy spacer do jego domu ukrytego na hektarze ziemi. To było idealne miejsce dla człowieka, który na podwórku ma strzelnicę. Idealne dla mężczyzny i jego żony, którzy nie przepadają za towarzystwem.

- Żyje? - zapytał w drodze.

Nie potrzebowałam wyjaśnienia, o kogo pyta.

- Nie - usłyszałam swój głos. Kolejne rzadkie wyznanie, ledwie rozpoznawalne wspomnienie, którego z pewnością nie zgłębiłam. Kiedy jednak dobrze się nad tym zastanowiłam... to oczywiście, że moja matka nie żyła. Gdyby żyła, z pewnością napisałaby do mnie z więzienia albo jakiegoś szpitala psychiatrycznego i odwiedziłaby mnie zaraz po wyjściu. Na tym właśnie polega zastępczy zespół Münchhausena - sprawca postrzega siebie jako ofiarę. Wszystko kręci się wokół niej. Nie tylko potrzebuje współczucia, wsparcia i zrozumienia, ale na nie zasługuje. Nie miałam od niej jednak żadnego sygnału od czasu, gdy obudziłam się w szpitalu na północy stanu Nowy Jork. Żadnego telefonu, listu, nic.

Nastąpiła jakaś ostateczna konfrontacja. Ja przeżyłam, a moja matka...

- Pijaczka? - zapytał J. T.
- Nie.

- Narkomanka?
 - Wariatka. Po prostu wariatka.
 - W takim razie cieszę się, że nie żyje - powiedział J. T. - A teraz zapomnij o niej.
 - Jasne - obiecałam mu. - Czemu nie. - Zerknęłam na zegarek. - Zostało mi pięćdziesiąt osiem godzin - wyszeptałam.
- Oboje zaczęliśmy biec.

Rozdział 20

- Quincy.

- Tu sierżant detektyw D. D. Warren z bostońskiej policji. Dzwonię w sprawie profilu psychologicznego, który opracował pan dla Charlene Grant. Zabójstwa z dwudziestego pierwszego stycznia. Dwa dokonane i potencjalne trzecie, którego osobiście chciałabym uniknąć. Statystyki dotyczące zabójstw w Bostonie są wystarczająco wysokie.

- Pani detektyw - emerytowany profiler FBI Pierce Quincy powitał ją rzeczowo. - Rozmawiałem wczoraj wieczorem z córką. Poinformowała mnie o pani dochodzeniu. Wygląda na to, że ma pani plan, coś związanego z mediami społecznościowymi?

- Warto spróbować. Rozumiem, że badał pan obydwie miejsca zbrodni?

- Przygotowałem pierwszy raport dla Jackie Knowles, a drugi dla Charlene Grant po zabójstwie Jackie.

O tym D. D. nie pomyślała.

- Przykro mi - wyszeptała niepewna, co powiedzieć emerytowanemu agentowi.

- Analiza miejsca zbrodni jest łatwiejsza, kiedy nie zna się ofiary - odpowiedział wprost Quincy. - Dlatego muszę dodać zastrzeżenia do drugiego raportu. Prawdopodobnie nie jest tak obiektywny jak pierwszy.

- Zaczniemy od pierwszego morderstwa, w Providence - postanowiła D. D. - Po przeczytaniu pańskiego raportu i rozmowie z głównym śledczym Roanem Griffinem odniosłam wrażenie, że sprawca jest osobą wysoce opanowaną, o rozwiniętych umiejętnościach komunikacyjnych, ponadprzeciętnej inteligencji i niemałej sile rąk.

- Zgadza się.

- Mężczyzna czy kobieta?

- Statystyki wskazują na mężczyznę. Brak śladów gwałtu komplikuje jednak analizę.

- A pańskie przeczucie?

- Nie miałem żadnego po morderstwie w Providence, jednak biorąc pod uwagę zabójstwo z Atlanty, gdzie ofiarę ostatni raz widziano w towarzystwie kobiety, skłaniam się ku sprawczyni. To by tłumaczyło gotowość ofiar do otwarcia drzwi napastnicze, a nawet dokładne wysprzątanie mieszkań po zbrodni. Oczywiście, wielu seryjnych morderców skrupulatnie czyści miejsca zbrodni, ale niewielu pomyśli o tym, by ułożyć poduszki na sofie.

- Ułożyć poduszki na sofie? - zapytała D. D.

- Wyglądały na niedawno przetrzepane, co jest typowo kobiecym działaniem.

- Przetrzepane? Skąd może pan to wiedzieć?

- Pewności nie mam, ale według sąsiadów pani Knowles zwykle układała ona dekoracyjne poduszki po jednej stronie kanapy, a siadała po drugiej. Kiedy jednak policja dotarła na miejsce zbrodni, poduszki były idealnie rozłożone. Poduszki na siedzeniu sofy i na oparciu zostały wygładzone i uformowane w idealne kwadraty. Jak zauważył jeden z detektywów, kanapa wyglądała tak, jakby nikt nigdy na niej nie siedział.

- Mogła to jednak zrobić sama Jackie - podważyła teorię D. D. - Wie pan, posprzątała na wypadek, gdyby miała tej nocy przyprowadzić do domu gościa.

- To prawda. Przedstawiam teorię opartą na przypuszczeniu, a nie na faktach.

- Przynajmniej jest pan szczerzy - przyznała D. D.

Wydawało jej się, że profiler się zaśmiał, ale tylko przez chwilę.

- Musimy sprowokować działanie - powiedziała nagle. - Zostały nam dwa dni do dwudziestego pierwszego stycznia. Charlene Grant biega po Bostonie uzbrojona w samopowtarzalną dwudziestkędwójkę i chowa się przed każdym, kogo zna.

- Ma broń?

- Legalnie zarejestrowaną.

- To jej nie pomoże.

- To stwierdzenie oparte na przypuszczeniu czy na faktach?

- Na jednym i drugim. Pierwsze dwie ofiary się nie broniły. Skoro nie połamały sobie paznokci, próbując zerwać z gardła duszące je dłonie, co każe Charlene przypuszczać, że uda jej się oddać choćby jeden strzał?

D. D. przełknęła głośno ślinę. Nie podobał jej się ten obraz.

- Może się broniły, tylko sprawca po zabójstwie wyczyścił im dłonie. Oczywiście po tym, jak przetrzepał poduszki.

- Randi miała starannie zrobiony manicure i paznokcie ponadprzeciętnej długości. Żaden z nich nie został złamany. To raczej mało prawdopodobne.

- Badanie toksykologiczne? - zapytała D. D.

- Nie wykazało obecności narkotyków.

- Czy ofiary mogły zostać zaatakowane we śnie?

- To możliwe, ale brak tlenu powinien je gwałtownie obudzić i sprowokować do walki lub ucieczki. Według wszelkich danych obie były zdolne do walki.

- Więc jak pan wytłumaczy brak ran obronnych?

- Nie wiem.

D. D. znowu westchnęła.

- Przynajmniej jest pan szczerzy - powtórzyła.

- Niestety nie pomaga to żadnemu z nas. Dwudziestego pierwszego nie pomoże też Charlene Grant. Czy morderca się z nią kontaktował? - zapytał nagle Quincy. - Zostawił jej liścik albo coś w tym rodzaju?

- Nie.

- To nietypowe - skomentował. - Nawet bardzo nietypowe, żeby recydywista tak dokładnie powtarzał schemat zbrodni. Większość zabójców opisuje morderstwo jako doznanie fizyczne, w trakcie którego do mózgu zostaje uwolniona substancja chemiczna powodująca odczucie podobne do euforii biegacza. Pierwsze zabójstwo zwykle popełniają pod wpływem impulsu i odczuwają po nim niepokój. Kiedy wszystko się uspokaja, zabójca zapomina o lęku, a pamięta

podeksytowanie i znów zaczyna tęsknić za zbrodnią. Kolejny morderczy cykl może chwilę potrwać, ale z czasem potrzeba fizjologicznej ulgi, która towarzyszy każdej zbrodni, staje się głównym motorem działań, prowadzi do skrócenia przerw w cyklu i jednocześnie większego chaosu, mniejszej organizacji i kontroli nad działaniami. Morderca może próbować zwalczyć tę potrzebę, sięgając po alkohol czy narkotyki jako substytuty euforii doświadczanej podczas zabójstwa, ale rzadko spełniają one tę rolę. Z drugiej strony, tendencja ta działa na korzyść organów ścigania, gdyż zabójca zaczyna tracić spójność i popełnia coraz więcej błędów.

- Idąc tym tropem myślenia, nasz zabójca jest nadal w początkowym stadium cyklu, skoro potrafi wytrzymać cały rok pomiędzy jedną zbrodnią a drugą? - zasugerowała D. D.

- Formalnie sprawca nie jest jeszcze seryjnym zabójcą. Musiałby zabić trzy ofiary. W tym momencie mamy do czynienia z recydywistą, którego schemat postępowania ma niemal techniczny charakter. Przypomina on raczej rytualnego zamachowca niż seryjnego zabójcę.

- Być może dlatego, że sprawca jest kobietą. Nie kieruje nią żądza krwi, ale coś innego.

- Właśnie to „coś innego” musimy zrozumieć. Jeśli odpowiemy na pytanie „dlaczego”, może dowiemy się „kto”.

- W porządku - zgodziła się D. D. - Dlaczego Randi Menke? Dlaczego Jackie Knowles? Co mają ze sobą wspólnego?

- Obie były singielkami i mieszkały w mieście. Były w tym samym wieku. Obie dorastały w Górach Białych w New Hampshire, ich rodziny się znały, miały też wspólnych znajomych, a przede wszystkim: obie przyjaźniły się z Charlene Grant.

- Z tego powodu Charlene podejrzewa, że będzie kolejną ofiarą. Czy pan również jest tego pewien? Może to ma coś wspólnego z Randi i Jackie, ale zupełnie nie dotyczy Charlie.

- Niewykluczone - zgodził się Quincy. - Dane z dwóch morderstw nie dają wystarczających podstaw, aby wyciągnąć znaczące wnioski. Fakt, że Randi i Jackie się znały, może być zupełnie przypadkowy. One wiedziały, że się znają, ale zabójca nie.

- Nie lubię przypadków - stwierdziła D. D. - Wiem, że się zdarzają, ale i tak w nie nie wierzę.

- To jest nas dwoje - zgodził się Quincy. - Zróbmy pierwsze założenie: pomiędzy Randi i Jackie istniało powiązanie, które doprowadziło do ich śmierci. W dorosłym życiu jednak nic ich prawie nie łączyło. Mieszkały w dwóch różnych stanach, które dzieliło ponad tysiąc sześćset kilometrów. Randi mieszkała w eleganckiej dzielnicy Providence, rozwiodła się z mężem, który ją bił, i pracowała jako recepcjonistka w centrum wellness. Jackie mieszkała na przedmieściach Atlanty, była singielką, lesbijką i zatrudnioną w korporacji pracoholiczką. Nie miały ze sobą wiele wspólnego.

- Chwileczkę - wtrąciła się D. D. - A co z agresywnym mężem? Czy Jackie o nim wiedziała? Być może interweniowała w imieniu przyjaciółki, przez co lekarz zwrócił na nią uwagę.

- Niestety. Sama Jackie stwierdziła, że do momentu śmierci przyjaciółki nie wiedziała o tym, iż Randi doświadczała przemocy domowej. Najwyraźniej Randi nie zwierzała się koleżankom.

- Izolowała się - wyszeptła D. D. Rozpoznała schemat zachowania typowy dla bitych żon.

- Gdy przyjaciółki dorosły, ich drogi się rozeszły - stwierdził Quincy. - To oznacza, że w poszukiwaniu powiązania pomiędzy Randi a Jackie trzeba cofnąć się o przynajmniej dziesięć lat, do czasu, gdy razem dorastały w małym miasteczku i chodziły do tej samej, maleńkiej szkoły. W owym czasie nie były znane jako Randi i Jackie, ale jako Randi, Jackie i Charlie. Podobno

mieszkańcy często zwracali się do nich, używając wspólnego przezwiska: Randi Jackie Charlie.

- Trzej muszkietierowie - powiedziała D. D.

- Właśnie. Zważywszy na to, trudno się dziwić Charlene, że spodziewa się, że będzie następna. W najlepszym razie obudzi się dwudziestego drugiego stycznia przyjemnie zaskoczona. W najgorszym...

- Trzeba być dobrej myśli, ale szykować się na najgorsze - powiedziała pod nosem D. D.

- Właśnie.

- Dobrze - oznajmiła energicznie D. D. - Dla potrzeb tej rozmowy założmy, że celem zabójcy była cała trójka. Dlaczego teraz? Czyż nie byłoby sensowniej zabić je, kiedy mieszkały w tym samym mieście? Wszystkie razem? Dlaczego uśmiercać je pojedynczo, jedną po drugiej? I dlaczego dwudziestego pierwszego stycznia?

- Doskonale pytania, pani detektyw. Kiedy znajdzie pani na nie odpowiedzi, proszę dać mi znać.

- Zabójstwa mają charakter rytuału - D. D. kontynuowała myślenie na głos. - Podejście sprawcy jest bardzo osobiste. Data, metodologia, nawet indywidualne namierzanie. Być może celem jest trójka przyjaciółek, ale styl działania zabójcy zakłada, że każda z nich ma zginąć sama.

- Ciekawa obserwacja, pani detektyw.

- Założmy, że zabójca czuje moralny sprzeciw wobec papużek nierozłączek. Pierwsze morderstwo miało miejsce dwa lata temu, niemal osiem lat po tym, jak drogi przyjaciółek się rozeszły. Po co czekać tyle lat i zacząć od napaści na Randi dwudziestego pierwszego?

- Tu pojawia się kilka kwestii do rozważenia - odparł Quincy. - Po pierwsze, wiek. Kobiety rozstały się w wieku osiemnastu lat. Zakładając, że zabójca znał je z dzieciństwa, możliwe, że jest ich równolatkiem. Osiemnaście lat to wiek przełomowy, granica pomiędzy okresem młodzieńczym a dorosłością. Możemy założyć, że morderca potrzebował nabrać doświadczenia, zanim zgromadził środki niezbędne, by wprowadzić swe fantazje w czyn...

- Oswajanie - wyszeptała D. D. - Musiał odwiedzać różne chat roomy dla morderców i uczyć się, jak dokonać zabójstwa.

- Proszę?

- Nic takiego.

- Osiemnaście lat to również kluczowy wiek dla zdrowia psychicznego. Istnieje wiele zaburzeń, w tym choroba dwubiegunowa czy schizofrenia, które ujawniają się mniej więcej w tym momencie rozwoju.

- To znaczy, że napastnik z „normalnego” stał się „nienormalnym”, co oznacza również nienormalną potrzebę zabicia papużek nierozłączek?

- Myślę, że to możliwe i warte rozważenia. Wadą tej teorii jest fakt, że charakter miejsca zbrodni sugeruje sprawcę w pełni władz umysłowych, zorganizowanego, a nie zdezorganizowanego.

- Coś się jednak wydarzyło - powiedziała cicho D. D. - Jeśli założymy, że celem są trzy przyjaciółki, coś spowodowało, że sprawca rozpoczął ten rytuał.

- Może to coś miało miejsce dwudziestego pierwszego - dodał Quincy.

- Czyżby coś zobaczyły, były świadkiem jakiegoś zdarzenia? - zadumała się D. D. - Może jako dorosłe kobiety przyjechały do domu na wakacje i były świadkami wypadku samochodowego, który by kogoś obciążył, mafijnych porachunków lub czegoś w tym rodzaju.

- Zadano to pytanie wiele razy i za każdym razem Charlene odpowiadała przecząco.
- Okej - D. D. myślała dalej. - Trzy najlepsze przyjaciółki. Kto nienawidzi trzech dziewczynek? - I wtedy odpowiedź nagle się pojawiła, tak oczywista, że D. D. nie mogła uwierzyć, iż wcześniej na nią nie wpadła. - Ta czwarta - wyszeptwała. - Czwarta dziewczynka, której nigdy nie przyjęły do paczki.
- Nie zna piekło straszliwszej furii nad wściekłość zawiedzionej kobiety - podsumował Quincy. - Dobra teoria. Właściwie to przykro mi, że nigdy nie pomyślałem, żeby zadać to pytanie.
- Skontaktuję się więc z Charlene i zapytam o inne koleżanki z dzieciństwa.
- Nie - natychmiast poprawił ją Quincy. - Niech pani nie pyta o koleżanki, ale o dziewczynki, z którymi nigdy się nie przyjaźniła. O samotniczkę z klasy, dziewczynkę, która zawsze siedziała sama w czasie lunchu, o outsiderkę, która wszystko obserwowała.
- Mówi pan jednak, że zabójca posiada ponadprzeciętne umiejętności komunikacyjne. Skąd samotniczka miałaby je mieć?
- Może w tej kwestii się myliłem. Może Randi i Jackie otworzyły drzwi z powodu dawnej litości w stosunku do koleżanki z klasy, a nie ciepłego przywitania ze strony charyzmatycznej nieznajomej.
- Dobrze, dobrze, jestem to w stanie zrozumieć - mruknęła D. D. - Ale nawet jeśli Charlene pamięta jej imię, mam czterdzieści osiem godzin, aby namierzyć osobę zamieszana w sprawę, która nie jest nawet jeszcze moją sprawą. Zważywszy na dzisiejszą datę, być może dziewczyna jest już w Bostonie i poluje na Charlene...
- Szuka pani bardziej agresywnej strategii?
- Chcę przyciągnąć do nas zabójcę. Myślałam o założeniu strony na Facebooku, która upamiętniałaby rocznicę zabójstw, oddawała cześć ofiarom. Chcę użyć prowokacji. Zajrzeć do umysłu mordercy. Jak mam to zrobić?
- Po drugiej stronie zaległa cisza. D. D. czuła, że Quincy rozważa kwestię.
- Żałuję, że nie mogę przyjechać do Bostonu - powiedział cicho. - Myślę, że czułbym się lepiej, gdybym tam był.
- Proszę nie traktować tego osobiście, panie były agencje, ale policja bostońska to nie zgraja wieśniaków. Staramy się utrzymać przy życiu co najmniej jedną osobę rocznie. Myślę, że w tym roku będzie to Charlene Grant.
- Martwię się o nią - powiedział cicho Quincy.
- I słusznie - odparła szczerze D. D. - Spędziłam z nią godzinę. Powinna przytyć przynajmniej dwanaście kilo, przespać dwadzieścia dni i dać sobie spokój z dwudziestkądwójką. Poza tym...
- Żona i ja niedawno adoptowaliśmy.
- Macie małe dziecko? - D. D. była zszokowana. Nie widziała zdjęcia byłego profilerka i nie mogła ocenić jego wieku, ale zważywszy na to, że jego córka była dorosłą agentką i miała własne dzieci...
- Nie niemowlę, na to jesteśmy o wiele za starzy - Quincy odparł oschle, jakby czytał jej w myślach. - Dziesięcioletnią dziewczynkę, którą wzięliśmy wcześniej na wychowanie. Bardzo ją kochamy. Mamy nadzieję, że dopisze nam szczęście i że któregoś dnia będzie w stanie poczuć tę miłość. Jeszcze na to za wcześnie.

- Inwestycja - powiedziała D. D.
- Potencjał - poprawił ją delikatnie Quincy. - Moja żona też jest byłym funkcjonariuszem organów ścigania. Oboje widzieliśmy obie strony medalu. Wiemy, na co się porywamy. Kiedy usłyszałem o morderstwie Jackie Knowles... Dobrze było znów mieć w domu dziecko. Dobrze było przypomnieć sobie obietnicę przyszłości, a nie tylko rozpamiętywać żale z przeszłości.

D. D. nic nie powiedziała. Słowa Quincy'ego sprawiły, że pomyślała o tym, dlaczego tak uwielbia wracać do domu, do Jacka.

Na początku martwiła się, że posiadanie dziecka ograniczy jej zdolność do pracy. Być może Jack ograniczał ją czasowo, ale jednocześnie wprowadzał równowagę. Dzieci, nadzieja na lepsze jutro - dla nich właśnie pracują policjanci z wydziału zabójstw. Przyjmują na siebie ciosy, by ich dzieci nie musiały tego robić. Pracują wiele godzin, jak jej ekipa zeszłej nocy, aby dzieci mogły czuć się bezpiecznie.

- Czwarta koleżanka.
- Co?
- Tego pani potrzeba. Na podstawie pani własnej analizy. Musi pani stworzyć fikcyjną czwartą przyjaciółkę. Świeży cel, który zdekongruje zabójcę.

D. D. ściągnęła brwi, rozważając pomysł.

- Ale jak? Jeśli zakładamy, że mordercą jest ktoś z dzieciństwa, kto znał całą trójkę, będzie wiedział, że to fałszywa postać.

- Pani musi być tą czwartą przyjaciółką.
- Co?
- Osoba, która założy stronę na Facebooku. Proszę się postawić w pozycji kogoś, kto ma prawo do Randi i Jackie i chce oddać im cześć. Powiedzmy, że poznała je pani w college'u, najpierw Jackie, potem Randi, a w końcu Charlie. Spotykałyście się wszystkie w Bostonie. Kocha je pani, rozpacza po ich śmierci, a teraz przyjęła na siebie rolę strażniczki wspomnień o nich. Jeśli pani teoria jest trafna i zabójczyni jest outsiderem, już to powinno ją zirytować. Zamordowała Jackie i Randi, aby należały do niej, a teraz po ich śmierci pani je jej odbiera. Rości sobie pani prawa do pamięci o nich. Mówiąc kolokwialnie, to powinno ją wkurzyć.

- Podoba mi się ten pomysł - oznajmiła D. D.
- W zabijaniu chodzi o władzę. Musi więc pani naruszyć równanie władzy, celowo prowokując i zagrażając autorytetowi morderczynie. To nie ona, ale pani panuje nad sytuacją. W zasadzie jest pani najlepszą przyjaciółką, jaką miały Jackie i Randi, ponieważ dzięki pani będą żyły wiecznie. Pani miłość i władza są silniejsze niż jej.

- I noszę lepsze buty - dodała D. D. - Kobiety tego nie cierpią.

Quincy zaśmiał się cicho.

- Wygląda na to, że jest pani na dobrym tropie.
- Dziękuję - powiedziała szczerze D. D. - Bardzo mi pan pomógł. - Zamilkła na chwilę. - Czy mogę zadać panu ostatnie pytanie?

- Oczywiście.
- Czy to może być Charlene? Kreuje się na trzecią ofiarę, ale może to tylko podstęp? A jeśli to ona jest sprawcą i w ten sposób zaciera ślady?

Po drugiej stronie ponownie zapadła cisza.

- Nie wiem - odparł w końcu Quincy. - To skomplikowany sposób na uniknięcie kary za

morderstwo. Jedno jest pewne: dowie się pani tego dwudziestego drugiego.

Rozdział 21

J. T. i ja strzelaliśmy na zmianę przez godzinę. Ja celowałam z sześciu metrów, potem z piętnastu, a na koniec z dwudziestu siedmiu. Odległe cele nie są dla mnie. Moje wyzwanie to bliskie spotkanie twarzą w twarz.

Gdy opróżniłam ostatni magazynek, usiadłam na beli siana niedaleko ogrodzenia i zabrałam się za czyszczenie broni. Zaczął padać śnieg, przykrywając moje ciemne włosy lekkimi płatkami, kiedy siedziałam pochylona nad taurusem i skrupulatnie rozkładałam go na części.

Fuksja zostawiła mnie, wybierając ciepło domu J. T. i komfortowe towarzystwo jego żony. J. T. nadal strzelał. Lubił trenować z celem ustawionym na stu trzydziestu siedmiu metrach. Czasami rysował strzałami uśmiechnięte twarze, pięcioramienne gwiazdy albo walentynkowe serce dla swojej żony. Każdy ma jakiś talent.

Gdy zadzwonił mój telefon, najpierw go zignorowałam, ale potem przypomniałam sobie o Michaelu i aparacie na kartę, który wsunęłam mu do kieszeni w autobusie. Szybko sprawdziłam wyświetlacz.

To nie był Michael, ale szybko rozpoznałam numer. Wcisnęłam klawisz „odbierz” i przystawiłam telefon do ucha, czekając, aż odezwie się w nim głos D. D. Warren.

- Pracowałaś zeszłej nocy? - zapytała.
- Tak.
- Spałaś dziś rano?
- Nie.
- To podobnie jak reszta z nas. Przyjeżdżaj, mamy plan.
- Proszę?
- Jestem twoją nową przyjaciółką. Dosłownie. Spotkajmy się za pół godziny w komendzie.

Chcemy ci coś pokazać.

Detektyw się rozłączyła. Podniosłam wzrok i zobaczyłam, że J. T. mnie obserwuje.

- Musisz iść?
- Chyba tak.
- Okej - odparł.
- Okej.

Poszłam po psa. Kiedy wyszłam na zewnątrz z Fuksją, J. T. już nie było, a w powietrzu unosił się jedynie zapach prochu.

- Nie jest dobry w pożegnaniach - wyszeptała za moimi plecami jego żona, Tess. Wyszła na osłonięty ganek i skrzyżowała ręce na koszuli w czarno-szarą kratę, by ochronić się przed zimnem. Była młodsza od J. T., raczej koło pięćdziesiątki niż sześćdziesiątki, a srebrne kosmyki obficie przetykały jej jasne włosy. W wyblakłych dzinsach i wyściełanych polarem kapciach, z włosami związanymi w luźny kucyk, odsłaniającymi kościstą twarz nie wydawała się piękna, ale było w niej coś uderzającego. Patrzyła na mnie w sposób, który przywodził mi na myśl J. T. Oboje nie tylko patrzyli, ale przede wszystkim widzieli i mieli pewność, że poradzą sobie z tym,

co zobaczą. Pasowali do siebie idealnie.

Wpatrywałam się w pustą przestrzeń strzelnicy.

- Wiem, jak się czuje - odparłam.

Tess stanęła obok mnie.

- Powiedziałam mu, że powinien zostać z tobą w sobotę dwudziestego pierwszego. Na wszelki wypadek.

- Nie.

- Mówił, że tak właśnie zareagujesz.

- Czy ktoś panią kiedyś bił? - zapytałam nagle.

- Tak.

- Przyjmowała pani ciosy czy broniła się?

- I jedno, i drugie. Ludzie się zmieniają, dzieci dorastają.

- J. T. mówi, że muszę wybić sobie matkę z głowy.

- Ma rację.

- Ale nie wiem jak.

- Nienawidzisz jej? - W głosie Tess usłyszałam szczere zainteresowanie.

Musiałam się nad tym zastanowić.

- Nie wiem. Unikam jej. Nie myślę o niej, nie pamiętam, w ten sposób nie muszę czuć.

- Więc w tym tkwi twój problem.

- Wyparcie? Ale to moja siła.

- Charlie, jeśli uważasz, że rzeczywiście zginiesz w sobotę, jeśli twierdzisz, że będziesz musiała stoczyć walkę o swoje życie, powinnaś coś czuć w związku z tym.

- Jestem wkurzona.

- To już coś. Nie ma tu dobrej odpowiedzi. Ja wybaczyłam swojemu ojcu, ale J. T. prawdopodobnie nigdy nie przestanie nienawidzić swojego.

To mnie zaskoczyło, ale nic nie powiedziałam.

- Nie chcę nienawidzić - powiedziała z prostotą Tess. - Ani ojca, ani byłego męża. Trzymałam się wściekłości tak długo, jak musiałam, by zrobić to, co należało. Potem odpuściłam. Patrzę na swoje dzieci, czuję, jak bardzo je kocham i jak bardzo one kochają mnie. Dzięki temu jest mi lepiej.

- Kocham mojego psa - oznajmiłam, automatycznie schylając się, by pogłaskać Fuksję po głowie. - A nie jest nawet moim psem.

- To brzmi jak słowa piosenki country. Charlie, możesz u nas zostać tak długo, jak chcesz.

Przytaknęłam, potem wyprostowałam się, poprawiłam torbę i smycz Fuksji w dłoni.

- Do widzenia, Tess - powiedziałam.

Nie była zaskoczona.

- Do widzenia, Charlie.

Fuksja i ja zeszliśmy z ganku i chociaż pies lekko skomlał, żadna z nas się nie odwróciła.

Potrzebowałyśmy dwudziestu minut, aby dotrzeć do terenów, gdzie ruch był na tyle duży, byśmy mogły złapać taksówkę. Kolejne dwadzieścia minut zajęła nam jazda do komendy policji bostońskiej w Roxbury. Kierowca nie był zadowolony, że musi przewozić psa, więc dałam mu wyjątkowy, pięciodolarowy napiwek i w ten sposób już po chwili byłam splukana.

Powiem wam jedno, pracy na stanowisku dyspozytorki nie podejmuje się dla pieniędzy.

Pomyślałam o Mackerecie, poczułam, że się rumienię i przypomniałam sobie stanowczo, że to również nie jest powód, dla którego wykonuję swoją pracę.

Po wejściu do budynku komendy musiałam przejść przez stanowisko ochrony. Pierwszy policjant, wielki ciemnoskóry facet, lekko się podekscytował moją dwudziestkądwójką. Pokazałam mu pozwolenie na broń, ale i tak traktował mnie sceptycznie. Tylko w Massachusetts prawo dotyczące posiadania broni jest tak restrykcyjne, że nawet jeśli poczynisz w tym kierunku wszystkie odpowiednie kroki prawne, nikt ci nie wierzy.

Oczywiście nie jestem pewna, jakie kroki prawne podjęto, by załatwić moje pozwolenie na broń. Ze względu na surowe przepisy zrobił to dla mnie J. T. Prawdopodobnie kilka osób wyświadczyło mu przysługę. Nigdy go o to nie pytałam. Podstawą moich relacji były pytania bez odpowiedzi.

- Czym się pani zajmuje? - zapytał mnie policjant.

- Jestem dyspozytorką numeru alarmowego w Grovesnor.

- O. - Opuścił masywne ramiona. Spojrzał na mnie z szacunkiem, choć niechętnie. Policjanci lubili dyspozytorów. Dbaliśmy o nich i wiedzieli o tym.

Zatrzymał broń i wręczył mi kwitek.

- Możesz ją odebrać, wychodząc. Psa też.

- Nie możecie zabrać mi psa.

Napakowany znów się nasrożył.

- Skarbie, moja chata, moje zasady. - Wskazał kciukiem szklane drzwi. - Pies wychodzi na zewnątrz, a jak ładnie poprosisz, to będę miał go na oku.

Po nieprzespanych dwudziestu czterech godzinach niezbyt dobrze przyjąłem taką informację.

- Proszę posłuchać, wasza pani detektyw mnie tu zaprosiła - poinformowałam go, nie bacząc na to, że jest trzy razy wyższy i cztery razy cięższy ode mnie. - To mój pies i nie przywiążę jej na zewnątrz w taką pogodę, w tej okolicy. Jeśli sierżant detektyw D. D. Warren chce się ze mną widzieć, musi przyjąć nas obie. Taki jest warunek.

- Sierżant detektyw D. D. Warren? - Ciemną twarz policjanta rozświetlił szeroki uśmiech. - Ha, to powodzenia. - Dał ręką znak sierżantowi za biurkiem, siedzącemu po drugiej stronie skanera. - Mamy gościa z psem do detektyw Warren.

- Z psem? - zawołał sierżant.

- Potrafi wywęszyć donuty - poinformowałam go. - Lata tresury.

- To rzeczywiście idealny pies dla pani detektyw - odparł przeciągle.

Wreszcie zostałyśmy z Fuksją wpuszczone do holu. W oczekiwaniu na spotkanie przechadzałyśmy się po ogromnej szklano-stalowej przestrzeni.

„Miejskie komendy powinny wyglądać obskurnie, z poplamionymi na żółto podwieszanymi sufitami i maleńkimi, zakratowanymi okienkami”, pomyślałam zrzędlawie, „a nie jak koszmarne sztuka nowoczesna, szczyć się przeogromnymi holami wypełnionymi szkłem i szarym, zimowym niebem, nie wspominając o unoszącym się zapachu kawy i świeżych wypieków”. Fuksja i ja poszłyśmy bezradnie za kuszącymi aromatami do czekającego za otwartymi drzwiami policyjnego bufetu. Obie nie jadłyśmy od dwunastu godzin, jednak brak gotówki ograniczał nasze możliwości. W obecnej sytuacji będziemy musiały dotrzeć do metra, jeśli chcemy wrócić do domu.

W końcu D. D. Warren pojawiła się po drugiej stronie holu. Rozpoznałam ją po falowaniu kręconych blond włosów i przenikliwym jak laser spojrzeniu krystalicznie niebieskich oczu. Dostrzegła mnie, potem Fuksję i wycelowwała.

- Co ci się stało? - zapytała ostro. Zdaje się, że siniaki zaczynały być widoczne.
- Boks.
- Czy nie powinno się do tego zakładać rękawic? - Wskazała moje dłonie, na których knykcie obu małych palców zrobiły się ciemnofioletowe.

- Przypomnę o tym napastnikowi dwudziestego pierwszego - zapewniłam ją.
- A siniaki na szyi?
- Powinna pani zobaczyć tego drugiego.
- Z prawnego punktu widzenia, nie jestem pewna, czy tego właśnie byś chciała.
- To prawda.

Przyglądała mi się jeszcze przez chwilę, jakby chciała się domyślić, z jakim wariactwem ma dzisiaj do czynienia.

A potem mnie zaskoczyła.

- Ładny pies. - Wyciągnęła rękę do Fuksji. - Psy przydają się kobietom. To jedna z najlepszych metod samoobrony, lepsza niż broń. Pistolet można odebrać i użyć przeciwko tobie, ale psa nie.

Potrząsnęłam głową. Powinam była się domyślić, iż detektyw będzie chciała coś udowodnić.

- Nie planuję mieć przy sobie Fuksji dwudziestego pierwszego - poinformowałam D. D. - Wysłałam ją do ciotki.

- W takim razie jesteś idiotką.
- Wolę określenie odpowiedzialny dorosły.
- Męczennica.
- Rozważna przyjaciółka.
- Poświęcający się głupek.
- Samowystarczalny wojownik.
- Idiotka - powtórzyła detektyw Warren.
- Skończyliśmy?
- Nie wiem. Widzę, że teraz, kiedy mam w domu niemowlę, bardziej doceniam dojrzałą rozmowę. Chcesz kawę?

- Kto płaci?

Spojrzała na mnie, potem na mojego psa. Przypisałam D. D. Warren do tej samej kategorii co J. T. i jego żonę, Tess. Podobnie jak oni, D. D. nie tylko patrzyła, ale widziała.

- Chodź, ja stawiam.

Poszłyśmy za D. D. do bufetu. Wybrałam kanapkę z pieczonym kurczakiem dla siebie i z serem dla Fuksji, dodałam do tego dwa ciastka, paczkę chipsów, kubek kawy i butelkę wody. Detektyw bez słowa zapłaciła rachunek.

Zaprowadziła nas z powrotem do sierżanta za biurkiem, który znów mi się przyjrzał, a potem wręczył detektyw moją otagowaną dwudziestkądwójkę.

- Miała to w torbie, razem z pozwoleniem - poinformował ją.
- Skarżypyta - powiedziałam do niego bezgłośnie.

D. D. zerknęła na mnie.

- Nic - odparłam.

Powąchała broń.

- Niedawno czyszczona.

- Nic o tym nie wiem - odparłam.

- Przypomnij mi, dlaczego ci pomagam.

- Płacę podatki.

- W takim razie... - D. D. podała sierżantowi mojego pięknego, niklowanego taurusa z palisandrową rękojeścią. - Ma na nią pozwolenie, więc kiedy będzie wychodziła, może ją odebrać.

Sierżant wziął broń i podał mi przepustkę gościa. Zrobiłam w jego kierunku minę ważniaka.

Możliwe, że zbyt długo nie spałam.

Poszłyśmy na górę do wydziału zabójstw, gdzie D. D. włączyła swój komputer, a ja przestałam oddychać drugi raz tego dnia.

Jako pierwsze pojawiło się zdjęcie Randi. Jej piękne, rozpuszczone blond włosy o odcieniu pszenicy, z jednej strony założone za ucho i długa grzywka opadająca łagodnie po drugiej stronie twarzy podkreślały wielkie, brązowe, sarnie oczy. Siedziała obok donicy z różowymi petuniami, być może na ganku swego domu w Providence. Nie byłam pewna, ponieważ nie rozpoznałam scenerii w tle. Czułam jednak siłę jej szerokiego, łagodnego uśmiechu. Znajomym gestem opuszkami palców dotykała sznura pereł nad dekoltem szarego kaszmirowego swetra.

Były to perły babci, które rodzice podarowali jej na szesnaste urodziny. Jackie i ja rozpyłyśmy się nad nimi. Nie przepadałyśmy za perłami, ale rozumiałyśmy, jak bardzo podobają się Randi. Wiedziałyśmy, że będzie nosiła je codziennie, czy to na imprezy lub wyjścia, czy do pracy w ogrodzie lub idąc po zakupy i będzie wyglądała w nich pięknie. Jeśli Jackie zazdrościła przyjaciółce tak drogiego naszyjnika, nie dała tego po sobie poznać. Jeśli ja zazdrościłam jej, że odziedziczyła rodzinną pamiątkę po babci, która ją znała i kochała, też tego nie zdradzałam. Cieszyłyśmy się, że jest szczęśliwa.

Randi promieniała owego dnia. Otworzyła pudełko i jej zwykle spokojna twarz nagle się rozświetliła, aż zaczęła błyszczeć bardziej niż same perły.

Nie mogłam się powstrzymać. Wyciągnęłam rękę i dotknęłam twarzy na płaskim ekranie, jakbym w ten sposób mogła poczuć ciepło skóry przyjaciółki, dotknąć jej dołeczka i usłyszeć, jak woła moje imię.

„Charlie, Charlie, Charlie! Spójrz! Możesz w to uwierzyć? Perły mojej babci. Och, Charlie, czyż nie są piękne?”

Słowa wyszły z moich ust, zanim zdołałam je powstrzymać:

- Zawiodłam ją.

D. D. Warren przyglądała mi się. Patrzyła i widziała.

- Dlaczego tak uważasz?

- Ja byłam spoiwem, to było moje zadanie. Jackie nas organizowała, Randi dodawała energii, a ja... ja trzymałam nas razem. Przez drobne kłótnie, utarczki i wszelkie zdarzenia, w wyniku których trzy dziewczynki mogą zmienić się w dwie przeciwko jednej. Lepiej nam było razem i doceniałam to. Moim zadaniem było utrzymać nas na dobrym kursie i przypominać, nawet w trudnych chwilach, że w trójkę jest lepiej niż we dwie, a we dwie lepiej niż samej.

Jednak gdy skończyłyśmy osiemnaście lat, nasze drogi się rozeszły.

- Dlaczego? - zapytała bez emocji D. D., jakby rozumiała, że moja odpowiedź ma znaczenie i jest prawdziwym powodem, dla którego nie potrafiłam teraz pozwolić przyjaciółkom odejść.

Przeniosłam wzrok ze zdjęcia na detektyw. Przyglądałam się jej i zaczęłam rozumieć prawdziwe znaczenie bycia twardym. Taka właśnie była detektyw Warren, mój instruktor strzelania J. T. i jego żona, Tess.

Patrzyli życiu prosto w oczy. Czuli się na tyle pewnie, by nie unikać ciosów, ale stać prosto i przyjmować je.

- Wstydziałam się - wyznałam cicho. - Pozwoliłam na to, by nasza trójka się rozpadła, ponieważ nie tylko kochałam Jackie i Randi, ale wiedziałam, że kocham je bardziej niż one mnie. Dlatego nigdy nie powiedziałam im o mojej matce. Gdybym to zrobiła, być może Randi opowiedziałyby nam o przemocy męża. Jackie i ja pomogłybyśmy jej i trzymałybyśmy się razem, zamiast oddalić się od siebie i rozejść. Ale nie potrafiłam opowiedzieć im o mamie. Tak bardzo je kochałam. Nie mogłam zaryzykować, że pomyślą, iż jestem gorsza.

Detektyw Warren pochyliła się i spojrzała na mnie uważnie.

- Co powinnaś była powiedzieć im o swojej matce, Charlene?

Uniosłam lewą rękę. Świeże sińce po walce odznaczały się wyraźnie, jaskrawofioletowe pocałunki pomiędzy niektórymi palcami. Były tam jednak jeszcze inne ślady, siateczka cienkich, białych blizn pokrywających zygzakami moją skórę. Stawały się bardziej widoczne latem, gdy byłam opalona, niż zimą, kiedy moja skóra była śnieżnobiała, jak u większości mieszkańców Nowej Anglii.

Wiedziała jednak, że D. D. dostrzeże blade, pajęczne linie.

- Myślę, że matki innych ludzi nie rozbijają butelek na rękach córek, aby móc zabrać je na ostry dyżur, gdzie przystojny stażysta powyjmuje z ciała kawałki szkła. Inne matki nie przykładają gorącego żelazka do opuszek palców córek, by za trzy dni wrócić na ten sam ostry dyżur, gdzie znów miał pracować przystojny stażysta.

- Ile miałaś wtedy lat?

- Byłam na tyle mała, by godzić się na wszystko, ale na tyle duża, by rozumieć, że to nie w porządku.

- To miało miejsce w New Hampshire?

- W północnej części stanu Nowy Jork. Tam mieszkałam, zanim umarła matka. Wtedy opieka społeczna odszukała moją ciotkę i poprosiła, by się mną zajęła. Tak poznałam Jackie i Randi, pierwszego dnia w szkole. Usiadłyśmy obok siebie i natychmiast zostałyśmy przyjaciółkami. Wszystko robiłyśmy razem: bawiłyśmy się, uczyłyśmy, pracowałyśmy, buntowałyśmy się. Potem jednak skończyłyśmy osiemnaście lat. Dziewczyny miały marzenia, a ja nie, więc pozwoliłam im odejść. Nie dzwoniłam do nich, nie sprawdzałam, co się z nimi dzieje, nie byłam taką przyjaciółką, jaką być powinnam, ponieważ nie chciałam, żeby wiedziały, jak bardzo za nimi tęsknię. Wstydziałam się, że przez te wszystkie lata nadal kochałam je bardziej niż one mnie. A teraz... a teraz...

Nie mogłam wykrztusić słów. Siedziałam tylko i dotykałam cyfrowego zdjęcia przyjaciółki, której już nigdy nie zobaczę.

Powinnam była powiedzieć o wszystkim Randi. Powinnam była powiedzieć Jackie. Skrywałam swoje sekrety jako dziecko, a Jackie i Randi robiły to samo w dorosłym życiu. Randi

nigdy nie powiedziała nam o mężu, który ją bił, a Jackie nigdy nie zwierzyła się, że jest lesbijką. Dowiedziałam się o tym dopiero podczas dochodzenia, kiedy Pierce Quincy, profiler wynajęty przez Jackie, wspomniał o tym od niechcienia, a ja siedziałam z kamienną twarzą, starając się nie pokazać niczego po sobie, ponieważ takie rzeczy powinnam wiedzieć o swojej przyjaciółce. Dziewczyny powinny czuć się na tyle swobodnie, by powiedzieć o czymś takim swoim przyjaciółkom.

Miałam większe zmartwienia niż cienkie białe blizny na spodzie przedramienia. Najbardziej bolały rany wewnętrzne. Mój świat zawsze był zbyt mały, najpierw tylko matka i ja, potem ciotka i ja, a w końcu Randi Jackie Charlie. Zawsze miałam za mało. Zawsze kochałam za mocno. I zawsze traciłam zbyt wiele.

„Na końcu korytarza płacze dziecko”.

Podejrzewam, że miałam też ją, dziewczynkę, którą powinnam była chronić. Ale teraz jej nie było, a ja nie pamiętałam nawet jej imienia. To tyle w kwestii patrzenia życiu prosto w oczy. W wieku dwudziestu ośmiu lat nadal codziennie nurzałam się w zaprzeczeniach.

Nie chciałam już siedzieć na komendzie. Chciałam wrócić do domu w górach. Chciałam wejść do domu ciotki, objąć ją i płakać jak dziecko.

„Przepraszam, przepraszam. Kochałam je i zawiodłam. Już dłużej tak nie mogę. Zbyt trudno jest iść przez życie samej”.

Rozległo się pukanie do drzwi. Detektyw Warren i ja uniosłyśmy głowy. W progu stała kobieta ubrana w sweter w kolorze cynamonu, który podkreślał falujące loki oszalamiających, miedzianych włosów i jeszcze bardziej oszalamiającą figurę. „Policjantka z programu telewizyjnego”, pomyślałam natychmiast. Taka, która rozwiązuje sprawę, wygrywa nagrodę za najlepszą rolę męską i świętuje oba sukcesy nową parą butów od Jimmy'ego Choo.

Spojrzałam w dół na swoją niemal płaską klatkę piersiową, potem dotknęłam prostych, brązowych włosów związanych w zwyczajny kucyk i od razu poczułam się zakłopotana.

- Pokazałaś jej? - zapytała kobieta.
- Dopiero zaczęłyśmy. Wejdz. Detektyw O, to jest Charlene Grant. Charlene, detektyw O. To ona założyła stronę jako nasz policyjny ekspert od Facebooka.

Detektyw O i ja podałyśmy sobie ręce. Wyglądała, jakby była w moim wieku, co mnie zaskoczyło. Potem spojrzałam w jej brązowe oczy i napotkałam spojrzenie tak bezpośrednie i szczere jak u D. D. Warren. Oczy policjanta. To chyba musi być jeden z wymogów do ukończenia akademii policyjnej.

- Ładny pies - powiedziała. Zerknęła pod biurko, gdzie Fuksja spała skulona.
- To nie mój pies - odrzekłam automatycznie.

Detektyw spojrzała ze zdziwieniem najpierw na mnie, a potem na D. D.

- Mój też nie - odparła D. D.
- To wszystko wyjaśnia. - O oparła się bokiem o biurko. Gabinet nie był duży, więc teraz zrobiło się tłoczno, a ja siedziałam ściśnięta pomiędzy dwiema twardymi bostońskimi policjantkami z lepszymi ciuchami i spluwami. Miałam wrażenie, że nie jest to przypadkowe.

- Co o tym myślisz? - nowa detektyw zapytała oschle i wskazała ekran komputera.
- Proszę?

Detektyw O znów zerknęła na D. D.

- Jeszcze do tego nie doszliśmy - wyjaśniła D. D. - To twoje dziecko, więc może ty o nim

opowiesz.

- Dobrze - zaczęła detektyw O. - A więc... w sobotę dwudziestego pierwszego przypada druga rocznica zamordowania Randi Menke w Providence.

Wzdrygnęłam się, ale milczałam.

- I pierwsza rocznica zabójstwa Jackie Knowles w Atlancie. Zważywszy na kluczową datę, postanowiłyśmy założyć stronę na Facebooku, by oddać cześć obu ofiarom i sprawdzić, czy uda nam się sprowokować reakcję.

- Jaka?

- Jackie i Randi musiały mieć inne koleżanki i znajomych, zanim przeprowadziłaś się do ich miasteczka - wyjaśniła D. D. - Czy twoje pojawienie się naruszyło któreś z tych relacji? Może inna dziewczynka została odrzucona, co spowodowało rywalizację towarzyską?

Spojrzałam na nią bez emocji.

- Nie wiem. Miałyśmy wówczas po osiem lat. W tym wieku nie byłam chyba świadoma takiej rywalizacji.

- A gdy dorastałyście? Byłyście jak trzej muszkietierowie. Jak reagowały na to inne dziewczyny?

Nadal nie rozumiałam.

- Nie byłyśmy nieprzyjemne. W każdym razie nie postrzegałam nas w ten sposób. Nie dokuczaliśmy innym. My tylko... bawiłyśmy się razem.

- A gdyby inne dziewczynki chciały pobawić się z wami? - zapytała szorstko detektyw O. - Pozwoliłybyście im? - W jej głosie pobrzmiwała dziwna nuta, niemal oskarżenie. Poczułam, że odchyłam się na krześle. Może często stosowała podobną taktykę wobec innych przesłuchiwanym, ale najwyraźniej już uznała mnie za winną.

- Chodzi pani o szkołę podstawową? - zaryzykowałam. - Jak przez mgłę pamiętam skakanie w gumę czy grę w berka, ale wiele dzieciaków bawiło się w ten sposób, nie tylko nasz trójka.

Detektyw Warren zabrała głos.

- A szkoła średnia? Jak wyglądały wasze relacje z innymi, kiedy Randi Jackie Charlie zaczęły szkołę średnią? Zawsze trzymałyście się razem czy miałyście innych kolegów, hobby, zajęcia sportowe i pozaszkolne?

- Nie zawsze trzymałyśmy się razem. Miałyśmy różne plany lekcji i różne zajęcia pozalekcyjne. Jackie działała w klubie dyskusyjnym, w drużynie piłkarskiej i narciarskiej. Randi interesowała się jazdą figurową na lodzie i dekoracją wnętrz. Ja zimą jeździłam na biegówkach, ale większość czasu spędzałam, pomagając ciotce w pensjonacie.

- A więc miałyście inne koleżanki? - podpowiadała D. D.

- Raczej tak. W szkole było sto pięćdziesięcioro uczniów z naszego rocznika, więc to oczywiste, że znałyśmy inne dzieciaki.

- Zacznijmy od Randi. - Detektyw O znowu przejęła rozmowę, sondując mnie swymi brązowymi oczami. - Z kim się przyjaźniła poza tobą i Jackie?

Musiałam się nad tym zastanowić, cofnąć o dziesięć lat i jak tylko to zrobiłam, niemal usłyszałam w głowie głos Jackie, która śmiała się z mojej fatalnej pamięci. I to właśnie mnie policjantki kazały grzebać we wspomnieniach.

- Była jedna dziewczyna... Sandra, Cynthia, Sandy... Becca! Miała na imię Becca. Chyba też jeździła na łyżwach. I może Felicity? Miłośniczka sztuki, jak Randi. Tak mi się wydaje.

- Lubiałaś je?

Wzruszyłam ramionami.

- Chyba tak.

- Czy one cię lubiły?

Znów wzruszyłam ramionami, czując jeszcze większe zakłopotanie.

- Mówiliśmy sobie cześć na korytarzu. - Prawdopodobnie. - Dlaczego o to pytacie? Czego szukacie?

- Czwartej dziewczynki - odparła detektyw Warren. - Dziewczynki, która też chciała się z wami przyjaźnić, ale nie przyjęłyście jej do paczki. Mamy podstawy twierdzić, że gdzieś się czai i jest naprawdę wkurzona.

Chwilę to trwało. Musiałyśmy przekopać się przez moje wspomnienia ze szkoły średniej, co stanowiło nie lada wyzwanie. Wiem, że niektórzy są w stanie podać imię kota, którego mieli w wieku czterech lat, ale ja do nich nie należałam. Po prostu nie pamiętam. Ani dobrych, ani złych rzeczy, ani sprzed dwudziestu lat, ani sprzed dwudziestu dni. Gdyby pamięć była mięśniami, mój został celowo osłabiony w wyniku nieużywania.

Do tego detektyw O zbijała mnie z tropu. Sposób, w jaki zadawała pytania, a następnie analizowała moje odpowiedzi, jakby z góry wiedziała, że coś ukrywam. Czułam się jednocześnie winna i skruszona. Była mną rozczarowana. Zawodziłam ją, powinnam przypominać sobie szybciej, odpowiadać lepiej, przyznać się do wszystkiego.

„Dobry glina, zły glina”, pomyślałam. Obie panie detektyw podeszły do rozmowy ze mną profesjonalnie, ale miały przed sobą jedynie zmęczonego i coraz bardziej zdezorientowanego świadka, który naprawdę nie pamiętał swojego dzieciństwa.

Wreszcie wyszukałyśmy przez Google moją szkołę średnią i znalazłyśmy archiwum z kopiami cyfrowymi zdjęć ze starych roczników szkolnych.

Przy odrobinie wysiłku udało mi się zidentyfikować kilkanaście dziewczyn, które kręciły się wokół naszej trójki, kilka koleżanek Randi, kilka Jackie. Żadna z nich nie przyjaźniła się ze mną.

Nawet kiedy przeglądałam zdjęcia swojej drużyny narciarskiej, nie rozpoznałam połowy dziewcząt na zdjęciach i nie byłam w stanie podać ich imion.

Randi i Jackie rzeczywiście były całym moim światem. Kiedy przebywałam z dala od nich, zabijałam czas, gdy byłam z nimi, świat znowu nabierał barw.

Zastanawiałam się, czy powiedziałyby to samo. Czy naprawdę sprawiało im przyjemność spędzanie każdego weekendu na pomaganiu mojej ciotce w pensjonacie? Czy rzeczywiście z radością odbierały telefony ode mnie o dziesiątej wieczorem, kiedy przypominałam sobie, że zapomniałam im o czymś powiedzieć?

Może nie byłam spoiwem, które trzymało nas razem. Może byłam kamieniem u ich szyi i dlatego nasze drogi się rozeszły, gdy skończyłyśmy osiemnaście lat. Cieszyły się, że wreszcie mogą ode mnie uciec.

Panie detektyw zapisały nazwiska i podstawowe informacje o rozpoznanych osobach. Chciały znać osobiste szczegóły na temat Randi, sprawy dotyczące Jackie, o których wiedziałyby jedynie przyjaciółka, takie jak przezwiska, ulubione wyrażenia, piosenki, filmy, programy telewizyjne, zwierzątka z dzieciństwa.

Odpowiedziałam na wszystkie pytania. Próbowałam wytłumaczyć sobie, że to coś znaczy. Nie

tylko kochałam moje przyjaciółki, ale też je znałam. Słuchałam, rozumiałam, troszczyłam się o nie.

Jackie i Randi, zapamiętałam.

Było mi jednak coraz trudniej utrzymać podupadający nastrój, kiedy panie detektyw wywracały moje dzieciństwo do góry nogami i na lewą stronę, przez co czułam się coraz bardziej pusta. Jakby czas Randi Jackie Charlie nie był najlepszym okresem mojego życia, ale jedynie bardzo niezdrową relacją pielęgowaną przez dziewczynkę o nadmiernych potrzebach, by wynagrodzić sobie destrukcyjną miłość matki.

Panie detektyw szeptały między sobą, robiły notatki, zadawały pytania, otwierały nowe strony w Internecie i szukały kolejnych osób w Google i na Facebooku.

Wstałam i zaczęłam chodzić po niewielkiej przestrzeni gabinetu.

Na ścianie wisiały oprawione w ramki certyfikaty D. D. Warren. Miała dyplom z prawa karnego i ukończyła wiele zaawansowanych szkoleń ze znajomości broni i metod śledczych. Ramki nieco się przekrzywiły, więc je wyprostowałam. Były również zakurzone, więc wytarłam je serwetką.

Potrzebowałam jedynie płynu do mycia szyb, by wyczyścić szkło. Bez namysłu odwróciłam się, by zapytać o niego i napotkałam wpatrujące się we mnie dwie pary oczu. Panie detektyw przeniosły spojrzenia z wyprostowanych ramek na mnie i znowu na ramki.

- Bzik na punkcie czystości? - zapytała przeciągle detektyw Warren.
- Tylko gdy się denerwuję.
- Jak często się denerwujesz?
- Przez ostatni rok codziennie.

Panie detektyw wymieniły spojrzenia.

- Chodziłaś do państwowej szkoły? - drążyła detektyw Warren.
- Tak.
- Kto ma ładniejszy charakter pisma, ty, Jackie czy Randi?
- Nie wiem. Randi miała zwyczaj rysowania małych serduszek nad „i”. Czy to się liczy?
- A samo pismo?
- Prawdopodobnie ja. - Wzruszyłam ramionami. - Ale tylko dlatego, że Randi wolała pisać pochyle, a Jackie miała koszmarny charakter pisma, pisała bardzo szybko i ściśle. Przekazywanie sobie z nią karteczek w czasie lekcji nie miało sensu, gdyż nigdy nie mogłyśmy odczytać, co napisała.

- Pisała jak lekarz - podsumowała życzliwie D. D.
- Właśnie.
- Słuchasz informacji z radia policyjnego po godzinach pracy? - zapytała nagle.

Zmiana tematu zbiła mnie z tropu.

- Co? Czasami. Dlaczego pani o to pyta?
- Pomyślałam sobie, że w twojej branży musisz lubić trzymać rękę na pulsie i wiedzieć, co się dzieje w mieście. Wyobrażam sobie, czego musisz wysłuchiwać, o czym się dowiadujesz, pracując jako dyspozytorka...

- Jesteś dyspozytorką? - zapytała detektyw O. W końcu coś zrobiło na niej wrażenie. Obejrzała mnie od stóp do głów, jakby chciała się upewnić. - Ciężka praca. Mam znajomą dyspozytorkę. Mówi, że najtrudniejsze telefony dotyczą dzieci. Tyle popapranych spraw, a tak

niewiele można zrobić.

- To prawda.

- Czy to cię złości? - kontynuowała konwersacyjnym tonem. - Ja zajmuję się przestępstwami seksualnymi i mnie osobiście doprowadza to do szału. Chodzi po świecie tylu zbrodni i tak okropne rzeczy uchodzą im na sucho, a my nie możemy nic na to poradzić. Większość dzieciaków jest zbyt przerażona, by opowiedzieć, co im się przydarzyło, a nawet jeśli to zrobią, system daje im niezły wycisk. Musi cię to denerwować. Odbierasz telefony i wiesz, że nawet jeśli na miejsce zdarzenia pojedzie policjant i dokona aresztowania, i tak źle się to skończy dla dziecka. Tak już jest.

- Najlepiej nie angażować się osobiście - odparłam. Odsunęłam się od obu policjantek. Zastanawiałam się, czy to zauważyły i doszłam do wniosku, że tak. Co ciekawe, ich strategia „na złego policjanta” zbijała mnie z tropu, natomiast gdy odgrywały „dobrego policjanta”, rzeczywiście się bałam i miałam ochotę zejść im z oczu.

- Posłuchaj - powiedziała energicznie D. D., machając ręką w stronę monitora i sterty notatek. - W krótkim czasie musimy przekopać się przez mnóstwo informacji. Zapisz na kartce nazwiska wszystkich pozostałych osób, które twoim zdaniem powinniśmy rozważyć, bez względu na to, jak wydają ci się nieistotne, i jesteś wolna. Skontaktujemy się z tobą, jeśli będziemy miały dodatkowe pytania.

Podawała mi kartkę papieru i długopis. Potem podniosła stos teczek i zrobiła dla mnie miejsce na stalowoszarej szafce na dokumenty.

- Proszę bardzo. Zapisz też pełne imiona i nazwiska twoich rodziców i ciotki.

- Dlaczego rodziców?

- To podstawowe informacje.

- Moja matka nie żyje, a ojciec nie interesuje się moim życiem. Nie sądzę, aby ich nazwiska były istotne.

Dobra detektyw nie miała zamiaru puścić mi tego płazem.

- Czy to nie ty postanowiłaś przyjść do mnie po pomoc?

Spojrzałam na nią.

- Stałaś niedaleko mojego miejsca zbrodni - kontynuowała, ale tym razem jej głos przybrał wyzywający ton. - Powiedziałaś, że pojawiłaś się tam, ponieważ znalazłaś mnie w Internecie, jednak gdy teraz o tym myślę, sama do mnie nie podeszłaś. Chciałaś odejść i to ja cię dogoniłam.

- Nie miałam zamiaru podchodzić.

- Ale powiedziałaś...

- Chciałam panią tylko zobaczyć. Nie... - Defensywnym gestem wskazałam na biuro. - Nie spodziewałam się czegoś takiego. Pani jest moim zabezpieczeniem. Zamierzałam napisać do pani list i przedstawić szczegóły mojej sprawy. W ten sposób, jeśli nie uda mi się dwudziestego pierwszego, będzie pani miała większe szanse na złapanie zabójcy dwudziestego drugiego. Moja ciotka będzie wiedziała, że sprawiedliwości stało się zadość, a rodziny Randi i Jackie poczują, że sprawa została zamknięta. Nie szukałam pani dla siebie, tylko dla nich.

D. D. zmrużyła oczy.

- Twoje dwie przyjaciółki zostały zamordowane - wypaliła prosto z mostu. - Wierzysz, że będziesz trzecią ofiarą.

- Tak.

- Więc opuściłaś dom i ludzi, którzy cię znają. Ukrywasz się w wielkim mieście, nie masz żadnych zarejestrowanych urządzeń elektronicznych, żadnego komputera, adresu mailowego, żadnego śladu w Internecie, po którym można by cię namierzyć. Zachowałeś jednak imię i nazwisko.

Uniosłam głowę.

- Nie mogę zmienić wszystkiego.
- Trenujesz, boksujesz, biegasz i strzelasz. Przygotowujesz się na ostatnie starcie, ale masz zamiar odesłać psa.

- Tak.

- Może mnie znalazłaś, ale nie z zamiarem poproszenia o pomoc przed dwudziestym pierwszym. Nie wspominając o tym, że chociaż chodzisz po mieście z tarczą strzelecką na plecach, to nie poprosiłaś o pomoc policjantów ze swojego komisariatu.

Nic nie odpowiedziałam, tylko wpatrywałam się w jej stalowoniebieskie oczy.

- Nie potrafię cię rozgryźć, Charlie - dodała w końcu przeciągle. - Próbujesz przeżyć dwudziestego pierwszego czy zginąć?

- Nie chcę zginąć.

- Ale czy chcesz przeżyć?

Milczałam. D. D. przeniosła wzrok na moją pokrytą bliznami rękę. Domyśliłam się, że w tych cieniutkich białych liniach znalazła odpowiedź.

Tego dnia Tess powiedziała, że dorośli mogą się zmienić, a dzieci dorastają. Jednak niektóre rzeczy bardzo trudno przetransformować. Na przykład biorąc małą dziewczynkę, która kiedyś stała biernie, gdy matka prasowała jej opuszki palców i ucząc ją, jak wymierzać ciosy, albo biorąc tę samą małą dziewczynkę, która posłusznie żuła i połykała tłuczoną żarówkę i ucząc ją, jak pociągać za spust.

Próbowałam iść do przodu. Niektóre dni były zdecydowanie lepsze niż inne. Ale w rezultacie spędziłam jedynie trzysta sześćdziesiąt trzy dni jako wojownik. Doświadczyłam o wiele więcej jako ofiara, dziecko, które robiło wszystko, co kazała mu matka, ponieważ taka była cena miłości. Ta mała dziewczynka przeżyła zbyt mało, kochała zbyt mocno i straciła zbyt wiele.

- Wypisz, proszę, nazwiska - poleciła detektyw Warren i wskazała pustą kartkę.

Nie spieszyłam się, głównie dlatego, że trzęsły mi się ręce. Kaligrafowałam uważnie każdą literę, chcąc, aby pismo było staranne i czytelne. Zapiisałam dwa imiona. Podążałam za instynktem, którego nie potrafiłam wyjaśnić, ale czułam, że to właśnie powinnam zrobić.

Przyjrzałam się na koniec starannie skreślonym literom.

Potem oddałam kartkę.

Odebrałam psa.

Odebrałam broń.

Czwartek, trzecia po południu. Zostały mi pięćdziesiąt trzy godziny. Odliczanie trwało.

Fuksja i ja ruszyliśmy w kierunku surowego, miejskiego, przykrytego śniegiem krajobrazu.

Rozdział 22

Detektyw O poczekała, aż Charlene wyjdzie z siedziby wydziału zabójstw, po czym wróciła do gabinetu D. D., zamknęła drzwi i opadła na krzesło po przeciwległej stronie biurka.

- Czyżbyśmy naprawdę miały takie szczęście? - zapytała z niedowierzaniem. - Czy tylko mnie się wydaje, że Charlene Grant idealnie pasuje do rysopisu naszego zabójcy?

- Nie wiem, czy to szczęście - zadumała się D. D., marszcząc brwi. - Pamiętaj, że po raz pierwszy spotkałam ją niedaleko miejsca drugiego zabójstwa. Kiedy ją zrugalam, powiedziała, że odszukała mnie, ponieważ chciałyby, żebym poprowadziła jej własną sprawę. Może wymyśliła to na poczekaniu. Opowiedziała mi swoją własną, niepokojącą historię, żeby odwrócić moją uwagę od faktu, że wałęsała się po miejscu świeżo popełnionej zbrodni.

- Co się stało z jej rękoma i szyją? Wygląda, jakby została napadnięta...

- To efekt treningu.

- Więc naprawdę myśli, że ktoś będzie chciał ją zabić dwudziestego pierwszego?

- Randi Menke i Jackie Knowles naprawdę nie żyją.

Detektyw O zamilkła, a po chwili otworzyła szerzej oczy.

- Motywacja. Pomyśl o tym. Charlene jest dyspozytorką. Odbiera telefony i rozmawia z dziećmi. Może chce im pomóc, ale nie jest pewna, jak to zrobić. Tymczasem ćwiczy boks, strzelanie...

- Nabywa nowe umiejętności.

- A co ważniejsze, odlicza czas do własnej śmierci. Oznacza to, że w tym momencie nie ma nic do stracenia.

D. D. ze spokojem spojrzała na detektyw O.

- Charlene postanowiła wykorzystać czas, który jej pozostał. Może naprawić błędy z przeszłości, biorąc pod uwagę, że w dzieciństwie doświadczyła przemocy.

- Ratuje inne dzieci - kontynuowała O. - Robi to, czego nikt nie zrobił dla niej, kiedy była w podobnym wieku, a Najdroższa Mamusia wyciągała insulinę.

- Insulinę?

- Och, to inna moja sprawa. Zwyródniały ojczym, cukrzyk. Wpadł na pomysł, żeby wstrzykiwać ślicznym pasierbicom bliźniaczkom insulinę. Ich poziom cukru gwałtownie spadał, co wprowadzało je w stan otępienia, ojczym robił swoje, a potem wyciskał im do ust lukier, by z powrotem podnieść poziom cukru we krwi. Później, gdy doprowadził swą technikę do perfekcji, zostawiał na blacie kuchennym pojemniki z lukrem, by bały się na sam ich widok.

D. D. wpatrywała się w O.

- Twoja praca jest do bani.

- Nie - odparła poważnie młoda detektyw. - Sprawy są do bani, a moja praca, która polega na wsadzaniu zwyródniałych ojczymów na dwadzieścia lat za kratki, aby nikt więcej nie skrzywdził tych małych dziewczynek, jest generalnie zajebista. I ty w szczególności powinnaś to rozumieć.

- Racja. Wracając do spraw bieżących. Motywacja oznacza możliwość. Tak, teraz Charlie wygląda na idealnego zabójcę w dobrej sprawie. - D. D. zerknęła na kartkę trzymaną w dłoni. Rozłożyła ją i podała detektyw O. - Charakter pisma nie pasuje jednak idealnie.

- Litery nie są spłaszczone na dole - zgodziła się O, biorąc do ręki kartkę. - Z drugiej strony, musiała popisać się swoją kaligrafią, gdy obie na nią patrzyłyśmy. Dziewczyna nie jest głupia. Jeśli napisała poprzednie liściki, teraz postarała się, by jej charakter pisma wyglądał inaczej.

- Ten tekst napisała drukowanymi literami, nie pisanymi jak liściki, jednak pismo jest

staranne. - D. D. zwróciła się w stronę sterty dokumentów na biurku. Nie mogła powstrzymać się przed zerkaniem na zegarek, świadoma ilości pracy, jaka na nią czeka i jednocześnie faktu, że za kilka godzin przylatują jej rodzice. Przeszukała stos kartek, aż znalazła to, czego szukała - zeskanowane kopie obydwu liścików zostawionych na miejscach zbrodni.

„Wszyscy kiedyś umrzemy. Trzeba być odważnym”.

Położyła obie kopie na niebieskoszarej wykładzinie pomiędzy sobą a O, która ułożyła pomiędzy liścikami niedawno wykonaną próbkę pisma Charlene. Obie spojrzały na dowody.

- Rosalind Grant - przeczytała O. - Carter Grant. Kim oni są?
- Charlene Rosalind Carter Grant. - D. D. wyrecytowała pełne imię i nazwisko Charlene. - Może dodatkowe imiona otrzymała na cześć matki lub ojca?
- Myślałam, że nie ma zamiaru podać nam imion rodziców?
- To musi być zasługa mojego uroku osobistego.
- Spójrz na literę „n” - powiedziała po kolejnej minucie O. - W liściku, w wyrazie „odważnym” i w nazwisku „Grant” z próbki. Moim zdaniem są podobne.

D. D. wzruszyła ramionami.

- Dla mnie wyglądają po prostu jak „n”.
- Górny łuk jest okrągły i ładnie zarysowany. Linie idące w górę po lewej stronie litery i w dół po prawej są niemal idealnie równoległe. Sama napisz „n” i zobacz, jak okrągły będzie łuk twojej litery i jak równoległe do siebie linie boczne.

Na potrzeby dyskusji D. D. napisała literę, najpierw małą, a potem drukowaną. W obu przypadkach jej „n” wyglądało okropnie, jak odwrócone „v”. Żadnych starannie zarysowanych łuków, żadnych równoległych linii, tylko maleńkie, wąskie bazgroły.

- Pisziesz jak lekarz - skomentowała O.
- W mojej rodzinie to komplement. - D. D. znów automatycznie spojrzała na zegarek. - W porządku, „n” Charlene znacznie bardziej przypomina „n” autora liścików niż moje. Szkoda, że nie są to wystarczające podstawy do aresztowania.
- Mógłby je zanalizować grafolog...
- Stwierdził już, że sąd nie uzna jego opinii za dowód, ponieważ grafologia nadal traktowana jest jako pseudonauka.

- Tu nie chodzi o grafologię. Wysnuwanie teorii, iż autor pisma jest pedantyczny, to grafologia. Tutaj przeprowadzamy analizę pisma z użyciem technik śledczych i wnioskujemy, że autor listu A najprawdopodobniej napisał również tekst stanowiący dowód B.

- I tak jednak grafolog potrzebowałby kilku dowodów - poprawiła się D. D. - Skopiuję próbkę z imionami i nazwiskiem Charlene, żeby mógł zacząć nad nimi pracować. Może mu to jednak zająć kilka dni. Tymczasem musimy znaleźć coś bardziej namacalnego.

- Narzędzie zbrodni.
- Które, jak na ironię, właśnie jej oddaliśmy.
- Co?
- Dwudziestkędwójkę. Przechowywaliśmy ją na dole.
- Naprawdę?
- Naprawdę. Nie możemy jednak przeprowadzić badań balistycznych bez prawdopodobieństwa winy. Powiem ci szczerze, że te prawa konstytucyjne codziennie utrudniają mi pracę. - D. D. ze zmarszczonym czołem nadal wpatrywała się w liściki.

Rosalind Grant. Carter Grant. Charlene Rosalind Carter Grant.

Dlaczego te imiona? Co Charlene próbowała powiedzieć?

- Lubię ją - rzuciła pod nosem. - Kto by pomyślał... Ale naprawdę ją lubię i wolałabym nie aresztować jej za morderstwo.

Detektyw O oparła się na krześle i złożyła przed sobą dłonie w wieżyczkę.

- Chcesz oddać sprawę? Mogłabym ją poprowadzić.

D. D. niemal się zaśmiała.

- Co, nie masz wystarczająco dużo pracy w wydziale przestępstw seksualnych? Najpierw chcesz przyłączyć się do śledztwa, a teraz chcesz je przejąć?

- Traktuję swoje obowiązki poważnie.

- A ja się objam?

- Cóż... Masz teraz również inne zobowiązania.

- Czy próbujesz w politycznie poprawny sposób powiedzieć mi, że jestem pracującą mamą?

- Prawda życiowa jest taka, że dziecko trzeba odebrać o określonej godzinie, i tyle.

- A inna prawda życiowa mówi, że w tej pracy nie chodzi o to, żeby pracować ciężko, ale by robić to z głową.

- Czy próbujesz w politycznie poprawny sposób powiedzieć mi, że nie jestem tak doświadczona jak ty?

- Tak.

Detektyw O otworzyła usta. Detektyw O je zamknęła.

- Masz mnie - odparła w końcu.

- Podsumujmy. - D. D. z trudem odwróciła wzrok od zegara ściennego i spojrzała na swoją nową, ambitną partnerkę. - Charlene Rosalind Carter Grant. Najwyraźniej wie, gdzie mieszka druga ofiara, Stephen Laurent, ponieważ spotkałam ją w jego okolicy. Ma pozwolenie na dwudziestkędwójkę, kaliber identyczny z narzędziem zbrodni i stwierdziła, że potrafi strzelić w środek tarczy z odległości piętnastu metrów.

- Sprawna fizycznie - dodała O. - Do tego drobna, nie sprawiająca wrażenia groźnej. Gdyby pedofil otworzył jej drzwi, nie spodziewałby się najgorszego.

- Dzięki pracy dyspozytorki miałyby możliwość zdobywania informacji o pedofilach. Może słyszy o nich przez radio policyjne albo przyjmuje zgłoszenia telefoniczne, ale może również logować się do policyjnych baz danych i list notowanych przestępców seksualnych.

- Dostęp do informacji nie byłby dla niej problemem - zgodziła się D. D.

- A w odniesieniu do profilu stworzonego przez grafologa...

- Naszego szarlatana...

- Pasuje do opisu osoby pedantycznej.

- Chociaż doceniam pomoc ze zdjęciami.

- Zdecydowanie ma lekkiego fioła na punkcie kontroli. Zwróciłaś uwagę na jej fryzurę? To nie jest zwykły kucyk, wszystkie kosmyki chwyciła niemal za gardło i żaden nie ma szans na ucieczkę.

- Bardzo staranna fryzura, ale niedbały strój. Za duże, workowate ubrania. Może w ten sposób chce sprawiać wrażenie większej i silniejszej niż w rzeczywistości?

- Ładne, niebieskie oczy - zauważyła O. - Z rozpuszczonymi włosami i w lepszym ubraniu mogłaby z łatwością wprosić się do mieszkań większości mężczyzn, czy to pedofilów czy też nie.

- Ale czy zostawiłaby szczeniaka? - zapytała D. D.
 - Proszę?
 - W mieszkaniu Stephena Laurenta zabójca zostawił młodego szczeniaka na łaskę losu. Zabicie prawdopodobnego zbrojcy to jedno, ale zostawienie zwierzątko bez jedzenia i wody to inna sprawa. Charlene musi lubić psy. Podobno przygarnęła kundla z ulicy. Czy zostawiłaby szczeniaka samego?
 - Skalkulowane ryzyko. Wcześniej czy później ciało ofiary zostanie znalezione, a psiak uratowany.
 - Możliwe - zgodziła się D. D., jednak ten szczegół nadal nie dawał jej spokoju. Nie pasował do całości jak pozostałe elementy.
 - Jako dziecko doświadczyła przemocy - kontynuowała O. - Łatwo jej więc utożsamić się z ofiarami.
 - Czuje się również bezsilna - dodała D. D. - Jej obydwie przyjaciółki zostały zamordowane, policja nie rozwiązała spraw, a ona sama jest przekonana, że zginie następna. Próbuje się na to przygotować, ale przede wszystkim czeka. Za chwilę ktoś ją zabije, a ona nie może nic na to poradzić.
 - Natomiast atakowanie pedofilów...
 - Da jej poczucie mocy. Tutaj to ona dowodzi, przejmuje kontrolę i naprawia krzywdy. Pociągnięcie za spust z pewnością skuteczniej łagodzi niepokój niż xanax.
 - Chyba że to ona zamordowała przyjaciółki - zauważyła O.
 - Niewykluczone.
- O przyjrzała się D. D. uważnie.
- Ale uważasz, że tego nie zrobiła.
- D. D. wzruszyła ramionami, próbując wyrazić słowami swoją myśl, która właściwie była raczej instynktownym przeczuciem.
- Były analityk, który badał miejsca zbrodni, wyjaśnił mi dziś rano, że zebrane tam dane nie wystarczają do przeprowadzenia dogłębnej analizy. Kto wie, czy Charlene naprawdę jest celem zabójcy i czy dwudziestego pierwszego rzeczywiście dojdzie do kolejnego morderstwa. Twierdzą jednak, że Charlene w to wierzy. Dowodzą tego ślady na knykciach i sine ślady palców na jej szyi. Trenuje bardzo intensywnie. Daje się atakować, okładać i podduszać, ponieważ uważa, że to konieczne, aby przetrwać dwudziestego pierwszego stycznia.
 - A zakładając, że wierzy, iż rzeczywiście zginie za kilka dni...
 - Ma motywację do działania poza prawem.
 - Pomszczenia młodych, bezbronnych ofiar.
- D. D. przytaknęła i podniosła wzrok na O.
- Jedno jest pewne.
 - Co takiego?
 - Jeśli to rzeczywiście Charlene Grant, to pozostały jej tylko dwa dni. Podejrzewam, że nie planuje nic na dwudziestego pierwszego, co oznacza, iż w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin...
 - Kolejny zbrojeniec będzie gryzł ziemię.
 - Zastrzelony z samopowtarzalnej dwudziestki, którą właśnie jej oddaliśmy.

Rozdział 23

Szesnasta trzydzieści. Już się ściemniło, za oknem śnieg padał leniwie, a Jesse prawie wariował ze zniecierpliwienia.

Całe, dosłownie całe popołudnie prosił mamę, by pozwoliła mu pójść do Bostońskiej Biblioteki Publicznej. Planował pojechać tam po szkole autobusem, ale mama się nie zgodziła. Nie chciała, aby podróżował autobusem w taką pogodę, co oznaczało, że z powodu sześciu płatków śniegu na chodniku cały świat musiał się zatrzymać.

Prosił ją, błagał i sfrustrowany prawie płakał, więc obiecała wreszcie, że zabierze go do biblioteki o czwartej, kiedy skończy rozmawiać przez telefon. Sama musiała tam poszukać materiałów do pracy zadanej na uczelni. Na dodatek Jesse powiedział, że jego klasa uczy się teraz o bibliotekach i ma za zadanie napisać trzy zdania o ulubionej bibliotece, dlatego musi tam pojechać. Mieli pojechać razem metrem do głównego gmachu Bostońskiej Biblioteki Publicznej, a potem może zjeść obiad w centrum handlowym Prudential. Mama powiedziała, że zrobią sobie specjalne, wieczorne wyjście.

Wydawała się zadowolona z tego pomysłu. Lekko podekscytowana planowała ich wieczorną wyprawę, co tylko zmartwiło Jessego, ponieważ ją okłamał. Ale tylko troszkę. Naprawdę miał zamiar napisać trzy zdania i mogli pójść na obiad w centrum handlowym, ale najpierw bardzo, ale to bardzo chciał spotkać się z Różowym Pudlem i nauczyć się podkręcać piłkę przy uderzeniu.

O trzeciej pięćdziesiąt pięć włożył grubą zimową kurtkę, świeżą parę suchych skarpetek, potem buty, czapkę i rękawiczki.

O trzeciej pięćdziesiąt dziewięć stał przy drzwiach, opatulony tak bardzo, że wyglądał na trzy razy większego, z Misiem Zombie pod pachą, gotowy do wyjścia.

Tyle że mama nie skończyła rozmawiać przez telefon.

Rozmawiała, rozmawiała i rozmawiała („Jeszcze minutka, Jesse!”, „Jesse, cicho!”, „Kolego, jeszcze raz mi przerwiesz i nici z biblioteki!”).

Jessemu było już bardzo gorąco. Strużka potu płynęła mu po karku i przeskakiwał z nogi na nogę, ponieważ chciało mu się siusiu, ale nie miał ochoty się rozbierać, gdyż mama może w każdej chwili skończyć rozmowę i trzeba będzie wychodzić, a był już na to najwyższy czas.

Zataczał małe kółka, drepcząc pod drzwiami i zabijał czas, skacząc przez sterty butów. Hop, hop, hop, najmniejszy na świecie tor z przeszkodami.

No dalej, mamó! Już czas!

I kiedy czuł, że nie wytrzyma już chwili dłużej, w przedpokoju pojawiła się mama.

- Jesse, gotowy do wyjścia?

- Aaa! - niemal krzyknął i ruszył pędem w stronę łazienki, zanim jego pęcherz eksplodował.

Kiedy wrócił, nadal zgrzany, ale nieco mniej oszalały, mama właśnie kończyła zapinać płaszcz. Bez słowa zszedł za nią dwa piętra w dół i wyszedł na mróz.

Jesse lubił miasto wieczorem. Podobały mu się świecące wszędzie światła, różne kolory i kształty, które odbijały się od nisko wiszących chmur i sprawiały, że miasto wyglądało jak lunapark. Szczególnie lubił wieczory jak ten, kiedy w powietrzu wirowały duże, grube płatki śniegu, które można złapać na język i czuć, jak rozpuszczają się w kropelki wody o rdzawym

posmaku.

Matka Jessego szła szybko w kierunku stacji metra oddalonej trzy przecznice od domu, a on pędził obok, udając śniegowego potwora napędzanego płatkami śniegu, które łapał w usta, aż mama ostrym tonem kazała mu przestać, zanim zrobi sobie krzywdę.

Truchtał więc obok niej, przygaszony, choć nadal szczęśliwy, ponieważ w końcu szli do biblioteki. Miasto mieniło się światłami, wszędzie wokół byli ludzie, co oznaczało, że Różowy Pudel nadal będzie siedział pochylony nad komputerem w Bostońskiej Bibliotece Publicznej, ponieważ to był właśnie jeden z tych wieczorów. Mroźny i tętniący życiem.

Z kieszeni Jessego wystawała zabandażowana głowa Misia Zombie. Przywrócony do życia pałkarz też brał udział w wyprawie.

Cale wieki zajęło im dotarcie do głównego gmachu Bostońskiej Biblioteki Publicznej na Boylston Street. Były to właściwie dwa budynki: zabytkowy budynek McKima i nowszy Johnsona. Jesse uwielbiał stuśsześćdziesięcioletni gmach McKima z ogromnymi kamiennymi lukami, ozdobnymi rzeźbieniami. Jego długie, zacienione korytarze przywoływały na myśl duchy i gargulce. W tym budynku przechowywano głównie publikacje naukowe, dokumenty rządowe i prace historyczne. Jesse i jego mama udali się do budynku Johnsona. Zbudowano go w latach siedemdziesiątych i zdaniem mamy Jessego zdradzał to jego wygląd. Od zewnątrz budynek niezbyt się Jessemu podobał, ale jego wnętrze było super. Znajdowała się w nim sala dla dzieci, a nawet pokój dla młodzieży.

Może będzie musiał odwiedzić pokój nastolatków, może tam przesiaduje Różowy Pudelek. O tym Jesse nie pomyślał.

Dotknął Misia Zombie i powiedział sobie, że się nie denerwuje. Chwycił mamę za rękę i ruszył truchtem po schodach.

W holu mama przedstawiła mu plan. Miała do odrobienia pracę domową z pielęgniarstwa. Zaprowadziła go do działu, w którym miała zamiar siedzieć, i pokazała mu dokładnie, gdzie będzie. Jessemu wolno było pójść do sali dla dzieci i wybrać sobie książki, a potem miał wrócić dokładnie w to samo miejsce, gdzie będzie mógł je przejrzeć, podczas gdy mama skończy zadanie domowe. Będzie też mógł napisać swoje trzy zdania, a potem pójść na obiad.

Jesse przytaknął z powagą. Przychodzili do biblioteki, od kiedy był małym dzieckiem, więc znał plan działania.

Ucałował mamę i uściskał ją, być może nieco mocniej niż zwykle, a potem zszedł po schodach w kierunku sali dla dzieci na pierwszym piętrze.

Jesse dobrze znał bibliotekę. Czasami w deszczowe dni mama przyprowadzała go tam, aby sobie „pozowiedzał”, co było jej naukowym określeniem na wizytę w miejscu, gdzie chłopiec mógł swobodnie pobiegać i nie słuchać krzyków pani Flowers na temat biegających w popłochu słoni.

Jesse i jego mama pierwszy raz zaczęli się rozdzielać, kiedy Jesse skończył sześć lat. Po części dlatego, że ona podjęła naukę w szkole pielęgniarstwa i miała do odrobienia swoje prace domowe, ale również dlatego, że Jesse dostrzegł w bibliotece inne dzieci, nad którymi nie wisały ciągle mamy, i postanowił, że nie chce już, by zawstydzała go własna. Najpierw czekała przed salą dla dzieci, a potem krok po kroku ich drogi się rozeszły.

W sali dla dzieci zwracano szczególną uwagę na to, aby nie wpuszczać „dorosłych bez opieki”. Dorosły nie mógł więc wałęsać się po jej terenie, jeśli nie był w towarzystwie dziecka.

Mama Jessego powiedziała, że ma to odstraszyć włóczęgów i zmniejszyć zagrożenie ze strony niebezpiecznych nieznajomych. Dzięki temu chyba łatwiej jej było zostawić Jessego samego.

W sali dla dzieci zawsze była bibliotekarka. Gdyby Jesse miał jakieś problemy lub denerwował się z powodu zagrożenia ze strony niebezpiecznych nieznajomych, miał poprosić ją o pomoc. Ale Jesse nigdy nie miał żadnych kłopotów. Uwielbiał bibliotekę, wielką, rozległą przestrzeń z wznoszącymi się wysoko półkami i stertami książek, ludźmi, którzy siedzieli, czytali i zostawiali go w spokoju. Mógł udawać, że jest odkrywcą na zaginionych, dzikich terenach Konga i w każdej chwili gigantyczna małpa może śmignąć spomiędzy wąskich alejek, aligator może kłapać paszczą spod stolika, a wąż rozwinąć się z wiszącej lampy.

Ale tym razem Jesse nie bawił się w zdobywcę. Ruszył w kierunku komputerów w sali dla dzieci. Ustawiono je w małych stanowiskach z blatami i wszystkie były zajęte. Zobaczył jedną dziewczynkę, ale wyglądała na jeszcze młodszą niż on sam i grała w grę Dora Odkrywczym, podczas gdy jej ojciec stał obok i wpatrywał się w swój telefon komórkowy.

W sali dla dzieci nie było zbyt wielu komputerów. Jesse o tym nie pomyślał. Po chwili namysłu doszedł do wniosku, że dziewczyna kryjąca się pod ksywką Różowy Pudel jest starsza i może teraz przebywać w pokoju dla nastolatków na półpiętrze. Nigdy tam nie był, ale biblioteka bardzo się tym miejscem szczyciła. Widział plakaty ze zdjęciami reklamujące salę, w której nastolatki mogą spędzić czas. Znajdowały się w niej wściekle czerwone fotele do gier i wielki czerwono-fioletowy dywan, który podobno podobał się dzieciakom, ale Jessego bolały od jego widoku oczy.

Znalazł schody i ruszył na górę. Był w stanie to zrobić. Musiał tylko otworzyć drzwi i wejść do środka jak każde inne dziecko. Oczywiście, był w pokoju nastolatków. Oczywiście, miał do tego prawo.

Jesse dotarł do drzwi i natrafił na pierwszą przeszkodę - napis informujący, że do sali mogą wejść jedynie dzieci w wieku pomiędzy dwanaście a osiemnaście lat. Każdy, kto jest starszy lub młodszy, może zostać poproszony o opuszczenie pomieszczenia.

Może poproszenie o opuszczenie nie oznaczało opuszczenia, pomyślał Jesse. Wziął głęboki oddech i wszedł do środka.

Sala była zatłoczona. Nastolatki, laptopy, wielkie okna ukazujące oświetlone miasto, czerwone fotele i szalony dywan tak podekscytowały Jessego, że zapomniał oddychać i cały pokój zafalował mu przed oczami.

Rozejrzał się pośpiesznie raz i drugi, zobaczył dziewczyny, zobaczył chłopców, nie dostrzegł żadnego pudła i postanowił dać nogę.

To koniec, nie może wejść do tego pokoju. Nie wytrzyma tego.

Co ma teraz zrobić? Jak znaleźć Różowego Pudelka?

Przypomniał sobie, że stanowiska z komputerami rozrzucone są po całej bibliotece. Stali bywalcy mogli nawet dokonać przeglądu swoich laptopów, co zrobiła mama, kiedy jej wieloletni komputer wymagał pomocy medycznej. Różowy Pudel nie wspomniał o konkretnym stanowisku komputerowym ani dziale bibliotecznym. Może po prostu błąkała się tak, jak lubił to robić Jesse i szukała wolnego komputera.

Postanowił spróbować. Zaczął na parterze i posuwał się w górę.

Wyjął z kieszeni Misia Zombie i ścisnął go w obu rękach. W zależności od działu, raz było gorąco, a raz zimno. Na półpiętrze było zdecydowanie za ciepło, więc Jesse rozpiął kurtkę,

schował czapkę do kieszeni i szedł coraz wolniej, próbując wypatrzyć dziewczynę-pałkarza ukrytą gdzieś w ciemnościach, nie sprawiając wrażenia, że kogoś szuka.

I zobaczył go.

Różowego pudła siedzącego na rogu stanowiska komputerowego.

Jesse się zatrzymał i dostrzegł użytkownika komputera dokładnie w momencie, gdy nastoletni chłopak podniósł głowę i zauważył jego.

Chłopak odezwał się pierwszy:

- Niedźwiedź Pałkarz?

- Różowy Pudel? - Jesse poczuł, że jego pytanie zabrzmiało głupio. Zamknął usta i pożałował, że w ogóle się odezwał.

Ale chłopak się zaśmiał.

- Tak, wiem. - Uśmiechnął się szeroko i wyglądał na nieco zawstydzonego. Miał zmierzwione, trochę potargane brązowe włosy, które teraz odgarnął z czoła. - Przysięgam, że pudel nie jest mój - wyjaśnił. - Należy do mojej młodszej siostry. Dostała go rok temu na urodziny i chciała, żebym pomógł jej z grami komputerowymi. Zacząłem więc szperać na stronach i... - Chłopak wzruszył ramionami. - Siostra nie spojrzała już więcej na pudła, ale za to ja gram w bejsbol trzy razy w tygodniu.

Jesse przytaknął, rozluźnił się nieco i zrobił krok do przodu.

- Powinieneś wziąć Niedźwiedzia Pałkarza - powiedział poważnie.

Chłopak znowu się zaśmiał.

- Myślałem o tym, ale Różowy Pudel ma na swoim koncie wszystkie wyniki, których nie chcę się pozbywać. - Chłopak wyciągnął dłoń. - Barry. A Ty?

- Uhm... Jesse. Jesse Germaine.

- Ładny misiek. Co mu się stało?

Jesse nieśmiało podniósł zabandażowaną maskotkę.

- Och, hmm... on jest teraz zombie. Pałkarz powstały z martwych. - Jak tylko wypowiedział te słowa, poczuł, że brzmią głupio, ale Barry znów się zaśmiał.

- To niezłe. Może sam zamienię Różowego Pudła w zombie. To przynajmniej fajniejsze niż szesnastolatek z różowym psiakiem.

- Grasz teraz? - zapytał Jesse i ryzykując, podszedł bliżej.

- Tak. Hipopotam Pałkarz właśnie był w sieci. Wiesz, jest moim nemezis. Ma o tysiąc pięćset punktów więcej niż ja. Ale cały czas doskonałą swoją grę, więc myślę, że w następnym miesiącu go dogonię. Pokonam skurwiela.

Jesse na chwilę otworzył usta, zaskoczony przekleństwem. Potem zamknął je i zmusił się, by znów wyglądać na zrelaksowanego. Barry miał szesnaście lat, a szesnastoletni chłopcy mogli używać takich słów. Jesse też mógł ich używać. Rozejrzał się wokół. Pod warunkiem, że mama go nie usłyszy.

- Grasz w bejsbol? - zapytał, stając za plecami Barry'ego i patrząc przez jego ramię na monitor.

- Tak, siódma runda, przy kiju, dwa zbicia. Mam w drużynie Śliskiego Ślimaka.

- Przykro mi - odparł Jesse.

- Właśnie, kiepsko nam idzie. Tylko cudem uda nam się znowu stanąć przy kiju.

- Och. - Jesse był zawiedziony. Chciał się nauczyć podkręcać piłkę.

Wydawało się, że Barry go rozumie.

- Chcesz zagrać? Przysuń sobie krzesło. Zalogujemy się jako twój misiek i pokażę ci parę chwytów.

Jesse z trudem znalazł wolne krzesło. Przysunął je blisko Barry'ego i usiedli razem ramię przy ramieniu tak, by obaj mogli patrzeć w monitor. Potem ostrożnie posadził Misia Zombie obok Różowego Pudła na blacie. Pomyślał, że dobrze razem wyglądają.

Jesse zerknął na zegarek i zdał sobie sprawę, że minęło już grubo ponad piętnaście minut.

- Zaraz wracam - rzucił. Zanim Barry zdążył odpowiedzieć, Jesse puścił się biegiem w kierunku działu, gdzie mama siedziała pochylona nad gigantyczną książką i ze zmarszczonym czołem przewracała strony.

- Przepraszam za spóźnienie bibliotekarka pomaga mi znaleźć nową serię książek do czytania czy mogę dostać jeszcze piętnaście minut proszę? - wyrzucił z siebie w biegu.

- Co? - Mama spojrzała na niego.

- Bibliotekarka. Pomaga mi. Muszę znaleźć nową serię do czytania.

- Dobrze, ale nie siedź tam zbyt długo. Weź, proszę, pierwszą książkę z serii i przynieś ją tutaj.

- Bra.

Jesse wziął głęboki oddech, ponownie spojrzał na zegarek i popędził z powrotem na dół, gdzie Barry wylogował się już ze strony jako Różowy Pudel i najwyraźniej czekał na niego.

- Musiałem się tylko zameldować - powiedział Jesse bez namysłu.

- Zameldować?

Policzki Jessego zapłonęły.

- U mamy. Uczy się.

- Okej - odparł Barry, jakby nic się nie stało. Poprosił Jessego o hasło, zalogował się jako Miś Zombie i już grali na całego. Barry zasiadł przy klawiaturze jako pierwszy i pokazywał Jessemu, co robić. Potem Jesse próbował go naśladować, używając klawiszy ze strzałkami. Czasami ruchy były zbyt szybkie, a wtedy Barry kładł swoją dłoń na ręce Jessego i pokazywał mu, którą strzałkę uderzać szybciej, w prawo, w lewo, w górę czy w dół. Na przykład lewo, lewo, lewo, dół, prawo.

Kiedy Jesse odbił piłkę, Barry się cieszył, ścisząc głos, by nikt ich nie uciszał. Kiedy chybił, Barry jeszcze ciszej mamrotał „kuźwa”, „cholera”, „w mordę jeża”, a Jesse chichotał, ponieważ nigdy wcześniej nie słyszał, by ktoś mówił „w mordę jeża”, a im bardziej o tym myślał, ty bardziej wydawało mu się to zabawne.

Nagle kieszeń Barry'ego zaczęła dzwonić.

- Jezu Chryste - powiedział chłopak, a oczy Jessego zrobiły się okrągłe jak spodki.

Barry pogrzebał w kieszeni i wyjął telefon.

- Muszę lecieć - oznajmił.

- Och - zasmucił się Jesse i zanim sam się powstrzymał, dodał: - Podkręcona piłka. Nie ćwiczyliśmy podkręcania piłki.

- No tak - Barry już się wylogował, chwycił Różowego Pudła i wcisnął go do kieszeni swojej za dużej kurtki narciarskiej. - Wiesz co, przyjdź jutro. Jutro poćwiczmy.

Jesse przygryzł dolną wargę. Chciał przyjść kolejnego dnia, ale już zorganizowanie

dzisiejszego wyjścia było wystarczająco trudne, a zważywszy na to, jak długo go nie było, mama pewnie już się na niego gniewa, więc na pewno nie pozwoli mu pójść jutro do biblioteki.

- Mam... coś... po szkole - wymamrotał.

Barry wstał już od stolika i przysuwał krzesło.

- W takim razie następnego dnia.

- Ale... ale...

- Słuchaj, kolego, muszę iść.

Jesse nie wiedział, co powiedzieć, i wpatrywał się tylko w starszego chłopaka.

- Dobrze już, dobrze - skapitulował w końcu Barry. - Chodź ze mną, okej? Muszę zapalić. Tutaj, na zewnątrz. Pokażę ci, jak zalogować się na moim telefonie i poćwiczmy podkręcanie piłki. Ale potem muszę lecieć, okej?

Starszy chłopak już szedł i Jesse starał się za nim nadążyć.

Powietrze na zewnątrz stało się mroźne. Jesse widział kawałeczki lodu tańczące w świetle latarni i czuł, jak mróz leciutko szczypie go w policzki. Barry zeskakiwał szybko w dół po frontowych schodach. Był wysoki, chudy, chodził i mówił jak fajny koleś. Jesse był pewien, że w szkole wszyscy go lubią i chcą być tacy jak on. A Barry był tutaj, z Jessem.

Chłopak zatrzymał się u podnóża schodów do biblioteki, wyciągnął paczkę papierosów i zapalił jednego.

Zauważył, że Jesse mu się przygląda.

- Nigdy nie pal - poinstruował go. - Te jebańce cię zabiją.

Jesse przytaknął.

Barry wyjął telefon.

- Pokażę ci, co robić.

Zalogował Jessego, znaleźli toczącą się już grę i Jesse czekał na swoją kolejkę przy kiju. Barry cały czas szedł, więc Jesse dreptał za nim. Skupiał się na telefonie, na świetle AthleteAnimalz i nie zwracał uwagi na nic innego.

- Muszę się wysikać - oznajmił nagle Barry.

Jesse podniósł wzrok. Nie byli już przed biblioteką ani na Boylston Street.

- Co? - Opuścił telefon. Po raz pierwszy czuł, że coś jest nie tak. Jessemu nie wolno było błąkać się samemu po wielkim mieście. Jesse nie chciał błąkać się sam po wielkim mieście.

- Wysikać się. No wiesz, odcedzić kartofelki, wypuścić węża, wyprowadzić pieska na spacer. - Starszy chłopak zabrał swój telefon i zaczął odpinać džinsy.

Jesse odwrócił wzrok, coraz bardziej zdenerwowany. Znajdowali się chyba za jedną z restauracji, obok pojemników na śmieci. Smród uderzył go w tym samym momencie co lęk. Wzdrygnął się i zrobił krok w tył.

- Co? Jesteśmy tu tylko my dwaj, same chłopaki. To dla ciebie jakiś problem?

Jesse potrząsnął głową, ale nadal patrzył w dół. Pocił się. Poczuł nagle, jak kropelki potu płyną mu po twarzy, karku i dole pleców. Coś ścisnęło go w żołądku. Źle się czuł. Nie wiedział dlaczego, ale czuł się źle.

Barry stał ze spuszczoneymi spodniami i trzymał w dłoni swoje przyrodzenie.

- Chodź, Jesse. Cicho, to tylko penis. Ty też go masz, prawda?

- Chcę wrócić do domu - wyszeptał Jesse.

Wtedy Barry powiedział głosem, którego Jesse wcześniej nie słyszał:

- Trzeba było o tym pomyśleć pół godziny temu, zanim wyszedłeś z biblioteki z kimś, kogo nie znasz.

Wtedy Jesse spojrzął na niego. Spojrzął prosto w oczy Niebezpiecznemu Nieznajomemu i nagle zrozumiał wszystko, o czym opowiadała mu mama, każdy błąd, który do tej pory popełnił i całe zło, które miało go spotkać.

W tym samym momencie inny głos powiedział:

- Co porabiacie, chłopcy?

Jesse odwrócił się i zobaczył za swoimi plecami kobietę. Miała brązowe włosy związane w kucyk i najbardziej przerażające niebieskie oczy, jakie kiedykolwiek widział. W jednej chwili zauważył dwie rzeczy: uśmiechała się do niego w sposób, który powodował, że czuł się równie niekomfortowo jak przy Barrym, i trzymała w ręce broń.

Spojrzała wprost na Jessego i przyłożyła palec do ust.

- Cśś.

Potem odwróciła się do starszego chłopaka.

- Co jest, kurwa? - zdziwił się Barry.

- Różowy Pudel, jak mniemam?

- Kim, do diabła, jesteś?

- Hipopotam Pałkarz. Obserwowałam cię. Jesteś bardzo niegrzecznym chłopcem.

Kobieta podniosła broń, a chłopak się cofnął.

W ostatniej sekundzie Jesse zamknął oczy. W ostatnim momencie zasłonił uszy.

Mimo to usłyszał:

- Czekaj, czekaj. Co jest? Jestem tylko dzieckiem...

- Wszyscy kiedyś umrzemy.

- Ja nie... Ja nigdy... Ja nie chciałem...

- Trzeba być odważnym.

- Poczekaj! Przestanę, zmienię się, przysięgam! Jestem tylko dzieckiem! Poczekaj...

Dźwięk, coś pomiędzy trzaskiem i hukiem. Jeden, drugi.

A potem cisza.

Jesse policzył do pięciu, a potem powoli otworzył oczy. Zobaczył stopy starszego chłopaka wystające zza pojemnika na śmieci i pochyloną nad nimi kobietę.

Potem wstała, wsunęła broń do skórzanej torby na biodrze i odwróciła się do Jessego.

Jęknął i cofnął się.

Ale ona tylko się do niego uśmiechnęła i wyciągnęła dłoń jak na powitanie.

- Cześć - powiedziała. - Spotkaliśmy się już? Nie martw się. Mam na imię Abigail.

Rozdział 24

Nie pamiętam, jak dotarłam do domu z komendy policji. Podejrzewam, że pojechałyśmy z Fuksją metrem. W ciągłym strumieniu ludzkości wlewającej się do popołudniowego pociągu łatwo się prześliznąć i kobieta z psem może przejść niezauważona.

Pojechałyśmy linią pomarańczową z Roxbury do Downtown Crossing, a potem przesiadły

się na linię czerwoną do Harvard Square. Na stacji przesiadkowej Downtown Crossing byłoby gorąco i tłoczno, a ludzie przytłumieni wydarzeniami całego dnia poruszali się na autopilocie, chcąc jedynie wrócić do domu.

Dwanaście minut zajęłyby nam spacer z Harvard Square, szłybyśmy wzdłuż Garden Street, obok pokrytego śniegiem parku Cambridge Common, przy parkingu skrzyłybyśmy w prawo w Madison, w kierunku obserwatorium Harvard College. A może bieglybyśmy. Chodniki nie były w najlepszym stanie, nawierzchnia była niebezpieczna z powodu miękkiego śniegu, a potem ostrzejszej, marznącej mżawki, która lałaby się na nasze pochylone głowy i pokryła płyty brukowe na Harvard Square szczególnie śliskim błotem.

Nie pamiętam, ponieważ moja pamięć znów miała jeden z kapryśnych momentów. To cena zapominania, stały koszt radzenia sobie z dzieciństwem, które powinno było mnie złamać, ale nie dało rady. Musiałam jednak udać się do domu, prawda? Gdzie indziej miałbym pójść z komendy policji? Gdzie indziej miałabym pójść?

Spałam. Tyle wiem. W pewnym momencie ocknęłam się we własnym pokoju, we własnym łóżku, z Fuksją przytuloną do mnie grzbietem. Obudziłam się, spojrzałam na zegarek wskazujący ósmą wieczorem i po ostatnich czterdziestu ośmiu godzinach byłam wdzięczna, że nie muszę iść do pracy. Potem oczy mi się zamknęły i przyśnił mi się zupełnie szalony sen.

Moja matka była w ogrodzie za domem. Miała w ręku łopatę i kopała dół. Na zewnątrz było ciemno i burzowo, lał deszcz i smagał wiatr. Na ziemi obok niej stała latarka, podświetlając padające krople i miotane wiatrem śmieci. Od czasu do czasu łopata pojawiała się na chwilę, migając w słabym promieniu światła. Góra, dół, góra, dół.

Stałam przy oknie. Znajdowało się dla mnie zbyt wysoko, więc stałam na paluszkach, aby wyrzeć na zewnątrz. Patrzyłam przez chwilę, choć bolały mnie palce u stóp, a łydki płonęły, ale nie mogłam przestać. Migotanie łopaty. Góra, dół, góra, dół.

Matka miała na sobie ulubioną koszulę nocną, bladożółtą z maleńkimi niebieskimi kwiatkami i zielonymi listkami. Deszcz przykleił ją do jej kościstej postaci, oblepiając żylaste nogi i cienkie jak patyki ramiona, kiedy pochylała się i dźwigała serty ziemi. Rozpuszczone, długie brązowe włosy przywarły mokrymi strąkami do jej zapadniętych policzków.

Góra, dół, góra, dół.

Dół był coraz większy. Nie za duży. W sam raz.

A potem dziecko płaczące na końcu korytarza.

Matka usłyszała je w tym samym momencie co ja. Podniosła głowę. Łopata zamarała w jej rękach. Odwróciła się w stronę okna i spojrzała prosto na mnie. Uśmiechnęła się, w jej rozdziawionych ustach zobaczyłam czarną otchłań, a jej włosy zmieniły się nagle w syczące wokół głowy węże.

Odsunęłam się od parapetu i upadłam na plecy. Uderzyłam głową o ławę, ale nie krzyknęłam. Podniosłam się na swoje małe nogi i zaczęłam biec.

Na końcu korytarza płacze dziecko.

Muszę dotrzeć tam pierwsza.

Skrzypienie otwieranych drzwi kuchennych i matka wchodząca do okropnie brudnej, małej kuchni, bosa, z kościstymi stopami oblepionymi błotem.

Na końcu korytarza płacze dziecko.

Muszę dotrzeć tam pierwsza.

Moje małe, zwinięte w pięści dłonie śmigały po bokach, a małe kolanka podskakiwały w górę i w dół, jak chwilę temu łopata matki. Biec, bieg, bieg. Słyszałam swój dyszący oddech i czułam przyspieszone bicie serca. Biec, bieg, bieg.

- Charlie - zaśpiewała za mną matka. - Wychodź, gdziekolwiek jesteś.

Na końcu korytarza płacze dziecko.

Muszę dotrzeć tam pierwsza.

- Chodź do mamusi, Charlie. Pamiętaj, Charlie... Nie złość mnie.

I już byłam na miejscu i otwierałam drzwi szaty. Żadnej kołyski, żadnego łóżeczka, tylko szuflada z toaletki wyłożona kocami i postawiona na podłodze.

Kroki, coraz bliżej. Spokojne, pewne.

- Wychodź, gdziekolwiek jesteś.

Mignięcie łopaty, góra, dół, góra, dół, góra, dół.

Wzięłam dziecko w ramiona, chwyciłam stertę koców i pobiegłam w stronę drzwi wejściowych. Wybiegłam w dziką noc. Smagający wiatr, zacinający deszcz, burzowe niebo. Nie mogłam zwracać na to uwagi, nie mogłam się przejmować.

- Charlie, widzę cię. Charlie! Nie złość mnie...

Ruszyłam prosto do lasu. Wiedziałam, gdzie bieg, już to przećwiczyłam. Musiałam próbować, musiałam coś zrobić. Z moimi małutkimi rączkami i małutkimi nóżkami, ale wielkim sercem, które niemal pękało w piersi.

- Charlie... Nie złość mnie.

Drzewo o szerokich liściach było tuzin pni dalej. Sekunda zatrzymania, by wziąć najdłuższy koc, przewiązać go na piersi jak nosidełko i włożyć do niego dziecko. To też już wypróbowałam. Czasami nosiłam tak dziecko po domu, ponieważ wtedy nie płakało, a kiedy było cicho, życie nas wszystkich było lepsze.

Koc był mokry, dziecko było mokre, ja byłam mokra.

Głos matki za moimi plecami, już nie tak odległy:

- Charlie Grant, podejdź tu natychmiast. Charlene Grant, nie złość mnie.

Złapałam się najbliższej gałęzi, najniższej, śliskiej, niezbyt dużej i rozpaczliwymi rączkami chwyciłam ją z obu stron i wspierałam się na górę.

Poruszałam się szybko i z desperacją. Tylko w górę, nigdy w dół. Drzewo nie było wysokie, ale ja też nie. Jeśli tylko uda mi się poruszać dalej, jak małpka wspinać się na szczyt...

Matka miała lęk wysokości. Mogła ścigać mnie na zewnątrz, mogła bieg za nami w dół, ale nigdy w górę.

Nagle usłyszałam pod sobą jej wrzask.

- Charlene Grant! Schodź na dół. Natychmiast! Słyszysz mnie, młoda damo? Charlene Grant, rób, co matka ci każe!

Wspinałam się coraz wyżej, nie patrząc w dół. Nie chciałam myśleć o szczycie, o upadku ani ciężarze wijącego się w kocu dziecka. Nie chciałam widzieć matki stojącej na dole z rękami na biodrach, wpatrującej się we mnie z wężowymi włosami, czarnymi, rozdziawionymi ustami i łopata, która skacze w górę i w dół, w górę i w dół, kopiąc dół w ziemi. Nie za duży. W sam raz.

Wreszcie skończyły mi się gałęzie. Dotarłam na szczyt i usadowiłam na rozgałęzieniu konarów. Drżałam niekontrolowanie, deszcz płynął mi strugami po twarzy, jedną ręką trzymałam

się gałęzi przy głowie, a drugą tuliłam dziecko.

Matka nadal krzyczała, ale teraz wiatr porywał jej słowa. Z tej wysokości wydawała się mniejsza i trudniej ją było dostrzec. Z tej wysokości już nie musiałam się jej bać.

W końcu się zmęczy. W końcu wróci do domu i oblepiona błotem, brudem i liśćmi zwinie się na kanapie i zaśnie. Wtedy ostrożnie zejść na dół.

Zmienię dziecku pieluchę, zawinę w świeży koc, który zostawiłam, by ogrzał się na kaloryferze. Usiądę po turecku na podłodze, oprę jej główkę na kolanie i nakarmię zimnym mlekiem z butelki.

Dziecko zaśnie. Potem zaniosę je z powrotem do legowiska w szafie w korytarzu, by następnie wrócić na zewnątrz i zasypać niewielki dół przy świetle latarki, pracując jak wcześniej moja matka.

Jeśli zrobię wszystko jak trzeba, rano nie będzie śladu po poprzedniej nocy. Wszystko zostanie wymazane jak zły sen, który nigdy się nie przyśnił. Matka obudzi mnie radosna, może śpiewając cicho pod nosem, będzie tańczyła ze mną po domu, beztroska i wesoła, będzie całowała i tuliła dziecko i wszystko znów będzie dobrze. Będzie nas kochała.

Przynajmniej przez chwilę.

Wtuliłam się głębiej w konary drzewa. Czułam ciepło dziecka na klatce piersiowej. Otuliłam je ramieniem i trzymałam mocno, mając nadzieję, że ono też czuje moje ciepło.

- Już dobrze - szeptałam do niej. - Już prawie po wszystkim. Jesteśmy prawie bezpieczne.

Już nie płakała. Spojrzała na mnie swoimi dużymi, brązowymi oczami.

A potem jej małą twarzyczkę rozjaśnił ogromny, bezzębny uśmiech.

Patrzyła na mnie rozpromieniona, moja mała siostrzyczka, Abigail.

Rozdział 25

D. D. dotarła do restauracji na czas. Alex wybrał Legal Seafood w dzielnicy portowej, obok bostońskiego akwarium. Restauracja znajdowała się niedaleko lotniska, serwowała smaczne jedzenie i zapewniała piękne widoki. D. D. dobrze ją znała, kiedyś chodziła do niej pieszo z mieszkania na North End. Spacer był jednak łatwiejszy niż poruszanie się w korkach w godzinach szczytu.

Wlokła się najpierw autostradą 93, a potem wykonała pętlę, pokonując rozbudowany system dróg wyjazdowych, co oznaczało czekanie na każdym świetłach przez trzy, cztery zmiany.

Kiedy dotarła na nabrzeże, była spięta, wyczerpana i przekonana, że przepociła niebieską jedwabną bluzkę, którą kupiła tydzień wcześniej z myślą o spotkaniu z matką.

Naprzeciwko restauracji znajdował się publiczny parking podziemny. D. D. wspięła się krętymi podjazdami na kolejne poziomy, by w końcu szczęśliwie znaleźć wolne miejsce na samym tyle parkingu, jak najdalej od schodów. Miejsce oznaczono napisem TYLKO SAMOCHODY KOMPAKTOWE. Wcisnęła ostrożnie swojego forda crown victoria w niewielką przestrzeń, a potem otworzyła drzwi.

Gdy wysiadła z samochodu, mroźny chłód przeszył ją jak nóż. W ciągu kilku sekund jej odczucie przegrzania zmieniło się w drżenie.

Rozgrzeje się w drodze.

Ale stała tylko w miejscu i czuła się znowu jak mała dziewczynka, która noga za nogą wraca ze szkoły, ponieważ w plecaku niesie kolejną uwagę, za co mama znów się na nią zezłości. Co gorsza, mama nie odezwie się do niej ani słowem. Zaciśnie jedynie usta i spojrzy na D. D. wzrokiem, który dziewczynka dobrze знаła.

„Jestem dorosłą kobietą”, przypomniała sobie D. D. „Detektywem, szefową zespołu, którą szanują policjanci i której boją się przestępcy”.

To jeszcze na nią nie działało. Chciała, żeby tak było, ale nie działało.

Pomyślała natomiast o Aleksie i małym Jacku. Alex z pewnością siedział cierpliwie z jej rodzicami, wprowadzając swobodną atmosferę i zachęcając ich, by cieszyli się wnukiem. Wyobraziła sobie, jak spojrzy na nią, gdy wejdzie do restauracji i jak natychmiast szczerze się do niej uśmiechnie, gdy podejdzie do stolika.

D. D. ruszyła, stawiając jedną stopę w czarnym buciku przed drugą, pokonała parking, zeszła schodami na dół, przeszła zaśnieżoną ulicą i wreszcie dotarła do tętniącej życiem restauracji.

Wzięła ostatni głęboki wdech i przypomniała sobie, że kobieta, która prowadzi śledztwa w sprawie zabójstw, z pewnością poradzi sobie w czasie jednego obiadu z własnymi rodzicami.

Ręce jej drżały.

Weszła do środka.

Alex i jej rodzice siedzieli na samym końcu sali, przy narożnym stole. Było tam nieco zaciszniej, ale i tak panował spory ruch, jak zwykle w czwartkowy wieczór w dużej bostońskiej restauracji. Kelner wykonał sztuczkę z wysokim krzesłem i odwrócił je do góry nogami, tak by fotelik Jacka zmieścił się pomiędzy drewnianymi nogami. Alex siedział po prawej stronie stołu, a jej rodzice obok siebie, po lewej.

Jej mama, Patsy, prezentowała opaleniznę prosto z Florydy, piękne włosy srebrno-blond i elegancko wyrzeźbioną twarz, która najwyraźniej służyła za wzór dla rysów D. D. Miała na sobie luźne, lniane spodnie, cienką białą koszulę i kamizelkę w kolorze morskiej zieleni - strój mieszkanki ciepłego stanu, która próbuje przyzwyczaić się do północnego klimatu, ale zapominała, jak przejmująco mroźny może być styczeń w Bostonie. Ojciec D. D., Roy, równie wysportowany i zadbany, w granatowej sportowej kurtce i koszulce polo w biało-niebieskie pasy sprawiał podobne wrażenie, jakby został żywcem wyjęty z pola golfowego.

Tak jak przewidywała, Alex zobaczył ją pierwszy. Miał na sobie czarny golf i jeden z jej ulubionych ciemnoczerwonych kaszmirowych swetrów. Gdy ją dostrzegł, jego niebieskie oczy zaświeciły się, a kąciki ust uniosły w szerokim uśmiechu.

Zawahała się. Miała zamiar zrobić krok i lekko się zachwiała. Pośrodku niezmiernie głośnej i tłocznej restauracji zdała sobie sprawę, że najprzystojniejszy mężczyzna, który się tam znajduje, należy do niej. Uśmiechał się do niej i siedział z ich dzieckiem i jej rodzicami. Dla niej.

I to ją przeraziło, ponieważ równie mocne jak uczucie miłości, którą do niego czuła, było przeświadczenie, że nie zasługuje na niego. Miała wrażenie, jakby ciemne chmury zakryły słońce. Poczwała, że tak przystojny, spełniony i inteligentny mężczyzna pasuje bardziej do towarzystwa jej rodziców niż jej.

To wkurzyło ją na nowo. Po tylu latach nie chciała czuć się tak mała. Może nie była dzieckiem, jakiego oczekiwali jej rodzice, ale była dorosłą osobą, jaką chciała być, i to powinno

wystarczyć.

D. D. podniosła głowę i ruszyła śmiało przez restaurację.

Podeszła do stołu i otworzyła usta, aby powiedzieć głośno „Witaj, mamó, cześć tato. Jak podróż?”.

I wtedy zadzwonił jej pager.

Alex odezwał się pierwszy.

- Wszystko w porządku?

D. D. odpięła urządzenie i przeczytała krótką wiadomość. Zamknęła oczy.

- Muszę iść.

- Co? - Pierwsze słowa, które skierowała do niej matka, już brzmiały ostro.

- Przykro mi. - D. D. robiła, co mogła, by się pozbierać. Pochyliła się, ucałowała w policzek matkę, a potem ojca. Kiedy mówiła, patrzyła jednak na Alexa, ponieważ łatwiej było jej znieść jego spojrzenie.

- Kolejna strzelanina - poinformowała go.

- Ta sama sprawa?

- Właśnie. Niedaleko Copley, więc przynajmniej mam blisko.

- Nie rozumiem - oznajmiła matka D. D.

- Jestem w trakcie ważnego śledztwa, dotyczącego serii morderstw. Przed chwilą miało miejsce kolejne. Muszę iść.

- Ale... przecież... dopiero przysłaś.

- Najwyraźniej zabójca nie został o tym poinformowany.

- D. D. Warren...

- Mamó. - D. D. podniosła rękę i starała się przybrać neutralny ton głosu. - Doceniam to, że przyjechaliście z Florydy. Wiem, że jest zimno i nie podoba wam się tutaj. Ale... To jest moja praca. Jestem nie tylko detektywem, ale głównym śledczym w tej sprawie. Odpowiedzialność za nią spoczywa na mnie.

Jej ojciec wziął matkę za rękę, jakby chciał ją uspokoić.

- Wrócisz?

Jego głos zadrżał, czego wcześniej nie słyszała. Gdy przyjrzała mu się bliżej, dostrzegła wokół oczu nowe zmarszczki, obwisłą skórę pod brodą i starcze plamy na dłoniach. „Siedemdziesiąt osiem”, pomyślała. Jej rodzice mieli po siedemdziesiąt osiem lat. Nie był to sędziwy wiek, ale coraz bardziej podeszły. Ile razy zdołają jeszcze przyjechać? Ile lat im zostało z nią i ich wnukiem?

- Prawdopodobnie nie na obiad - wyszeptwała.

- Więc zobaczymy się rano.

- Mogę się z wami spotkać na wczesnym śniadaniu, jeśli chcecie, albo na lunchu, jeśli wolicie.

- Nie rozumiem - wtrąciła się matka, a ton jej głosu nadal zdradzał dezaprobatę. - Jest siódma wieczorem. Dopiero wyszłaś z pracy, już do niej wracasz i masz do zaoferowania jedynie wczesne śniadanie?

- Witam w bostońskim wydziale zabójstw.

- A co z Jackiem? Masz teraz dziecko. Co z nim?

D. D. nie przywitała się nawet jeszcze z synem. Ucałowała rodziców, porozmawiała z Alexem, ale jej dziecko...

Pochyliła się nad fotelikiem. Jack spał, nieświadomy dramatycznych wydarzeń rozgrywających się wokół niego. Jego usta przypominały pączek róży, a piąstki spoczywały na ubranym na niebiesko brzuszku. Nowy śliniaczek pod szyją głosił: „Ktoś na Florydzie mnie kocha”.

D. D. spojrzała na rodziców.

- To urocze, dziękuję.

Jej pager znowu zadzwieczał. Zamknęła oczy i poczuła nieodpartą chęć, aby pójść za wezwaniem.

- Idź - powiedział łagodnie Alex. - Dam sobie radę.

- Dziękuję - powiedziała bezgłośnie znad śpiącego synka.

Przytaknął, nieco zasmucony. Najwyraźniej urok jej rodziców nie podziałał na niego.

D. D. przyłożyła usta do czoła Jacka. Wciągnęła zapach dziecięcego pudru i poczuła muśnięcie jedwabistych kosmyków jego włosów. Przez sekundę zgodziła się nawet ze swoją matką. Jak może zostawić to wszystko?

- Zadzwoń do was rano - rzuciła w stronę stołu.

Wyszła przez restaurację, przygotowując się psychicznie na mróz, jak również na ciężar bezwzględnej rozczarowania matki.

W linii prostej Copley Square był dosłownie rzut kamieniem od nabrzeża, jednak w bostońskim ruchu ulicznym, wzmożonym przez lodowatą mieszankę prószonego śniegu i lodu na asfalcie, pokonanie owych kilku kilometrów zajęło D. D. niemal czterdzieści pięć minut. Nie przejmując się formalnościami, zaparkowała na chodniku tuż za rzędem radiowozów.

Wysiadła z samochodu i dostrzegła czekającą już na nią detektyw O.

Bez względu na to, jakie plany D. D. miała na ten wieczór, O najwyraźniej miała lepsze. Zebrała ciemne włosy w luźny kok, musnęła tuszem rzęsy i pociągnęła usta ciemnoczerwoną szminką. Miała na sobie długi, czarny wełniany płaszcz, a pod nim sukienkę do kolan, na nogach czarne kozaki na szpilkach. Wyglądała bardziej miękko, delikatnie i kobieco. D. D. nigdy nie była w stanie osiągnąć takiego wyglądu, który jakiś facet prawdopodobnie bardzo doceniał.

O dostrzegła jej badawcze spojrzenie.

- Pager policyjny: najlepsza antykoncepcja, jaką człowiek zdołał wymyślić - wyrecytowała, przeciągając samogłoski.

- Zabawne, kiedyś sama tak mówiłam.

O ściągnęła brwi, biorąc pod uwagę fakt, że D. D. niedawno została mamą.

- Prezerwatywy też nie zapewniają stuprocentowej ochrony - dodała D. D. ze skrucą.

- Będę o tym pamiętać.

D. D. zamknęła drzwi samochodu. Włożyła czarne rękawiczki wyścielane polarem i naciągnęła na czoło czarną wełnianą czapkę.

- Co mamy?

- Martwy dzieciak w bocznej uliczce i przestraszony dzieciak na tylnym siedzeniu radiowozu.

- Myślałam, że ma to związek z naszymi zabójstwami przestępców seksualnych?

- Martwy dzieciak był oprawcą, a przestraszony ofiarą.
- D. D. przetrawiła informacje i otworzyła szeroko oczy.
- Przestraszony dzieciak nie pociągnął za spust, prawda?
- Nie, ale widział, kto to zrobił. Samotna kobieta. - O uśmiechnęła się szeroko. - Niewielka z niewielką bronią. Najbardziej niesamowite na świecie niebieskie oczy, jak określił je chłopiec, i brązowe włosy zebrane w kucyk.
- Charlene Grant - wyszeptała D. D.
- Alias Abigail.

D. D. najpierw zbadała miejsce zbrodni. W związku z dużym natężeniem ruchu wokół Copley lekarz sądowy już usunął ciało. Neila nie było w pobliżu, prawdopodobnie pojechał ze zwłokami do kostnicy. Dała Philowi wolny wieczór, więc zostały z O we dwie, aby czynić honory. O najwyraźniej spędziła już jakiś czas na miejscu zbrodni, D. D. robiła, co mogła, by za nią nadążyć.

Schyliła się i przeszła pod taśmą policyjną. Dostrzegła ledwie zarysowany ślad po usuniętym ciele, który wyglądał jak śnieżny anioł na przyprószonej białą uliczce. Ofiara była wysoka. Długie, rozłożone na boki nogi i zwisająca ręka.

Nie widziała zarysu prawej ręki. Może ofiara chwyciła się za serce, może zasłoniła nią twarz w momencie strzału. Widok człowieka postrzelonego z zimną krwią robił na niej wrażenie bez względu na to, czy był pedofilem czy nie.

- Ile miał lat? - zapytała detektyw O, która stała za nią, trzęsąc się z zimna w krótkiej sukience i kozakach.

- Ofiara przedstawiła się imieniem Barry. Powiedział, że ma szesnaście lat.
- Jego celem był inny dzieciak?
- Siedmiolatek. Podobno „poznali się” na stronie internetowej z grami. Umówił się z nim na spotkanie w Bostońskiej Bibliotece Publicznej, a potem wywabił na zewnątrz.

D. D. potrząsnęła głową. Chociaż usłyszała już od O, że pedofilami okazują się coraz młodsze osoby, trudno jej było przyjąć do wiadomości wiek szesnastu lat.

- Czy ciało zidentyfikowano?
- Umundurowani policjanci przepytują ludzi w okolicy. Chłopak przyszedł pieszo, więc może ktoś z miejscowych go rozpozna.

- Rozmowa z rodzicami będzie ciężka - wymamrotała D. D. - Po pierwsze, z przykrością informujemy, że państwa syn nie żyje, a po drugie, najprawdopodobniej został zabity, kiedy seksualnie napastował inne dziecko. Cholera.

Detektyw O nic nie odpowiedziała. Być może miała podobne odczucia.

- No więc tak, starszy chłopak wyprowadził młodszego na zewnątrz, a potem przyprowadził go tutaj.

D. D. się rozejrzała. Znajdowały się w bocznej alejce z kontenerami na śmieci, z których korzystały pobliskie zakłady usługowe. Miejsce było ustronne i cuchnące, ale nie całkiem odosobnione. Jeden koniec alejki dochodził do bocznej ulicy, nie wspominając o tym, że stały przed ciężkimi, metalowymi drzwiami, którymi wchodził i wychodził personel wyrzucający śmieci.

- Ciekawe, czy zbadał wcześniej teren - myślała na głos D. D. - Zaobserwował, jak wygląda

ruch w zaułku, poczuł się tu swobodnie. Możliwe też, że jak to wyjaśniłaś wcześniej, zadziałał impulsywnie w obliczu nadarżającej się okazji. Siedmiolatek za nim poszedł, więc szesnastolatek postanowił spróbować, jak daleko może się posunąć.

Detektyw O wzruszyła ramionami. Ponieważ sprawca nie żył, nie było sposobu, aby odpowiedzieć na tego typu pytania.

- Szesnastolatek zdążył się właśnie obnażyć, kiedy pojawiła się kobieta - powiedziała u. - Ofiara jej nie rozpoznała i nie pamięta, żeby kobieta szła za nimi. Sprawiała jednak wrażenie, że zna szesnastolatka, utrzymywała, że go obserwowała. Przedstawiła się jako graczy z tej samej strony internetowej.

D. D. wstała i ściągnęła brwi.

- Naprawdę? Więc gdy jeden użytkownik poluje na dzieci, inny poluje na pedofila. I obojgu udało się znaleźć ofiary w realnym świecie? W jaki sposób? Czyż to nie ma być właśnie najtrudniejsze?

- Szesnastolatek prawdopodobnie namierzył ofiarę, opierając się na jej zainteresowaniu Red Soxami. Kiedy ustalił, że chłopiec mieszka w Bostonie, wysłał mu mail z zaproszeniem do biblioteki, która jako miejsce publiczne wydawała się bezpieczna.

- Zwabił go.

- Właśnie. Co do naszej Femme Nikity - O wzruszyła ramionami - ma ona do dyspozycji kilka narzędzi. Osobiście zaczęłabym od sprawdzenia nazwy używanej przez ofiarę na Spokeo, aby dowiedzieć się, jakie inne strony odwiedza. Biorąc pod uwagę wiek „Barry'ego”, jedną z nich prawdopodobnie był Facebook. Weszłabym na jego profil, obejrzała zdjęcia, przejrzała listę znajomych, hobby, zainteresowania. Dodatkowo na Facebooku dostępna jest opcja „Miejsca”. Kiedy Barry zamieszcza posty z biblioteki publicznej, ta lokalizacja pojawia się w nich automatycznie. Femme Nikita może śledzić wszystkie miejsca pobytu Barry'ego, włącznie z tym, że był dzisiaj wieczorem w Bostońskiej Bibliotece Publicznej. Jeśli ma smartfona, nie musi nawet nosić ze sobą laptopa. W jednej ręce telefon, w drugiej broń, a Barry sam pokazuje jej dokładnie, gdzie jest i co robi. Moim zdaniem to pozbawia śledzenie całej frajdy.

D. D. potrząsnęła głową i spojrzała w dół na śnieżny odcisk ciała martwego dzieciaka.

- Powiedziałaś jednak, że szesnastolatek znalazł swą ofiarę na stronie z grami, a nie w chat roomie, o którym rozmawialiście wcześniej z Philem?

- Nie w chat roomie, ale na AthleteAnimalz.com. To jedna z popularniejszych stron dla dzieciaków. Możliwe, że nasi pierwsi dwaj pedofile też na niej przesiadywali.

- Czyli to jest nasze powiązanie, a nie chat room.

- Albo oba miejsca. Społeczność pedofilska nie jest duża. Ich drogi mogły skrzyżować się na kilku stronach internetowych.

To brzmiało sensownie. D. D. wstała i próbowała poukładać sobie w głowie kolejność zdarzeń.

- Szesnastolatek namierza siedmiolatka i zwabia go w ciemną uliczkę. Potem... pojawia się ta kobieta. Co było dalej?

- Według relacji naszego siedmioletniego świadka trzymała już w dłoni dwudziestkędwójkę. Właściwie zignorowała chłopca i zwróciła się od razu do Barry'ego. Oczywiście, w tamtym momencie chłopak miał rozpięte spodnie i trzymał w ręce penisa, co czyniło z niego łatwy cel.

- Co powiedziała?

- Niewiele. Potwierdziła, że w Internecie chłopak funkcjonował jako Różowy Pudel...
- Szesnastolatek, chłopak, nazywał się Różowy Pudel?
- Witamy w Internecie. A swoją drogą ta strategia mu pomogła. Siedmiolatek zgodził się z nim spotkać po części dlatego, że zakładał, iż spotka się z dziewczyną. A kto by się bał dziewczyny?

- Cholera - zaklęła D. D.

- Sprawczyni przedstawiła się jako Hipopotam Pałkarz, kolejny gracz ze strony. Nastolatek próbował się bronić. Powołał się na swój wiek i obiecywał, że się zmieni.

D. D. spojrzała w dół na śnieżnego anioła.

- Najwyraźniej to mu nie pomogło. - Myśl o zbrodni nadal ją męczyła. Szesnastolatek. Zastrzelony z zimną krwią. A jeśli by się zmienił? Sąd pewnie nie osądziłby go jak dorosłego, jednak inny obywatel to zrobił. Osądził go i stracił w ciągu kilku minut.

- Kobieta stwierdziła, że był bardzo niegrzecznym chłopcem, oznajmiła, że trzeba być odważnym, a potem go zastrzeliła.

- Tak po prostu?

- Tak po prostu. To prawda, że świadek jest młody i zszokowany, ale przypuszcza, że całe zajście trwało około trzech minut.

- Mówisz, że powiedziała „Trzeba być odważnym”. Czy zostawiła liścik? - zapytała D. D. - „Wszyscy kiedyś umrzemy, bla, bla, bla”.

- Wetknięty w kurtkę ofiary. Najprawdopodobniej został napisany wcześniej, ponieważ według świadka nie miała czasu, by napisać cokolwiek na miejscu zbrodni. Widział jednak, jak pochyła się nad ciałem, prawdopodobnie umieszczając kartkę w kurtce ofiary.

- Więc to na pewno ten sam zabójca. Doskonali swoją grę. Teraz nie tylko odstrzelą pedofilów, ale też ratuje ofiary.

- Jestem pewna, że w jej mniemaniu to był udany wieczór.

- Co się stało po tym, jak zastrzeliła szesnastolatka?

- Przedstawiła się świadkowi, powiedziała mu, żeby się nie martwił, i odeszła.

D. D. ściągnęła brwi.

- Którędy wyszła?

- Na lewo. Chłopiec nie ruszył za nią. Stał tam jeszcze przez minutę, a potem pobiegł do biblioteki, gdzie matka zdążyła zaalarmować pracowników, że nie może go znaleźć. Mieli już zamykać bibliotekę, wezwano policję, kiedy chłopiec wpadł po schodach ze łzami w oczach. Wpadł w histerię, jego matka też. Zorientowanie się, co zaszło, zajęło im pięć do dziesięciu minut. Umundurowani policjanci zostali natychmiast wysłani na miejsce i rozpytywali o opisaną kobietę, jednak bez skutku.

D. D. nie była zaskoczona. W Bostonie każdy mógł zniknąć, dlatego Charlene Grant się tu przeprowadziła.

D. D. zastanowiła się.

- Fakt, że użytkownik strony miał tylko szesnaście lat, powinien był ją spłoszyć. Powinna się zawahać, zadać mu więcej pytań, cokolwiek. Tak się jednak nie stało. Co oznacza, że twoja teoria ma sens: tropiła ofiarę już od jakiegoś czasu, odwiedzała jej profil na Facebooku, może nawet śledziła go osobiście. Nie zaskoczył jej jego wiek ani działanie. Spodziewała się obu.

- Premedytacja - dodała O. - Planowanie, strategia.

- Inteligentna, biegła w obsłudze komputera, cierpliwa.
- Opanowana - O uzupełniła profil zabójczym. - Zastrzeliła szesnastolatka i odeszła. Żadnych dodatkowych szkód ani zabawy ze świadkiem. Przyszła, strzeliła i zniknęła.

- Gdzie jest teraz świadek?
- Na tylnym siedzeniu radiowozu razem z matką. Organizujemy policyjnego psychologa, który specjalizuje się w sprawach dzieci, aby spotkał się z nim na komendzie.

- Czy chłopiec coś mówi?

O wzruszyła ramionami.

- Kiedy ostatnim razem go widziałam, wtulił się w matkę i nie powiedział ani słowa.
- Chciałabym spróbować.

O się zawahała. D. D. spojrzała na nią.

- Co?

- Masz jakieś doświadczenie z dziećmi?

- Pracowałam nad sprawą, gdzie głównym świadkiem był czterolatek.
- Posłuchaj, może jesteś starsza i mądrzejsza - powiedziała wolno O - ale to ja specjalizuję się w przestępstwach na tle seksualnym i, niestety, większość mojej pracy polega na przesłuchiwanie dzieci. Więc powiem wprost: nie możesz tego schrzanić. Jeśli teraz zepsujesz świadka, wpłynie to na dalszy przebieg sprawy. Całe przesłuchanie będzie niewiarygodne i nie będziemy mieć podstaw do aresztowania głównej podejrzanej, Charlene cośtam cośtam Grant.

- W takim razie głupie pytania sobie odpuszczę.

O nadal nie wyglądała na zadowoloną, ale odwróciła się w stronę migających świateł radiowozu. Chłopiec i jego matka siedzieli skuleni na tylnym siedzeniu. Drzwi samochodu zostawiono otwarte, prawdopodobnie po to, aby nie czuli się jak więźniowie.

W rezultacie jednak do wnętrza wpadało zimne powietrze i oboje drżeli. Matka trzymała w dłoni kartonowy kubek z parującym napojem, prawdopodobnie kawą, ale nie piła. Trzymała ją tylko, jakby jej ciepło miało coś zmienić.

Chłopiec nie podniósł głowy, kiedy podeszły. Siedział oparty o matkę, a jego malutka postać ginęła w za dużej czarnej kurtce zimowej, czapce, szaliku i rękawiczkach z jednym palcem. D. D. uchwyciła wzrokiem ciemne oczy i bladą, wychudzoną twarz, ale już po chwili chłopiec odwrócił się od niej.

Matka obejmowała syna lewym ramieniem. Miała podobnie bladą cerę i udęczonego wyraz twarzy. Zaciśnięte usta tworzyły cienką linię.

- Sierżant detektyw D. D. Warren - przedstawiła się policjantka. Wyglądało na to, że już poznali O.

- Jennifer Germaine. - Kobieta skinęła głową, ponieważ nie miała wolnej dłoni, by się przywitać. Szturchnęła syna, ale nie podniósł głowy. - Mój syn, Jesse - dodała po chwili.

- Jak się masz, Jesse? - zapytała D. D.

Chłopiec nie odpowiedział.

- W porządku - rzuciła. - Mój wieczór też nie należy do najbardziej udanych.

O odwrócił się lekko i spojrzał ostrożnie w jej stronę.

- Powinam jeść teraz kolację z moją mamą. Przyjechała aż z Florydy, żeby się ze mną spotkać, ale musiałam wyjść. Mama nie była zadowolona z tego, co zrobiłam. To kiepskie uczucie, kiedy mama nie jest z nas zadowolona.

Dolna warga Jessego zaczęła drżeć.

- Ale wiem też, że mama rozumie - kontynuowała D. D. - To jest właśnie w mamach najfajniejsze. Zawsze nas kochają, co?

Jennifer mocniej objęła syna, a on mocniej do niej przylgnął.

- Przepraszam - wyszeptał zachrypłym głosem. Może od niedawnego płaczu albo wcześniejszego krzyku.

- Za co przepraszasz? - zapytała D. D., utrzymując swobodny ton rozmowy.

- Byłem niegrzeczny.

- Dlaczego tak mówisz? - Pytania otwarte. Tak należy rozmawiać z dziećmi, nic nie sugerować, nie podpowiadać, zadawać jedynie otwarte pytania.

- Niebezpieczni Nieznajomi. Nie rozmawiaj z nieznajomymi w Internecie. Nie spotykaj się z nieznajomymi. Nie idź nigdzie z nimi. Mama mi mówiła. Przepraszam, mamusi. Przepraszam, przepraszam, przepraszam.

Chłopczyk zaczął płakać. Matka gładziła go po głowie, a potem pochyliła się nad nim, pocieszając go szeptem.

- Dziękuję, że wróciłeś do biblioteki - powiedziała D. D.

Chłopiec uniósł lekko wzrok.

- Szybko zareagowałeś. Musiałeś znaleźć drogę powrotną. Ja sama gubię się czasem w nocy w mieście, ale tobie się udało. Znalazłeś mamę i zawiadomiłeś policję. Byłeś bardzo dzielny. Czy kiedykolwiek wcześniej chodziłeś sam po mieście, Jesse?

Chłopiec potrząsnął głową.

- W takim razie gratulacje. Zachowałeś zimną krew. Na pewno mama jest z ciebie bardzo dumna.

Jennifer przytaknęła nad głową syna.

- Musisz teraz być dzielny, Jesse. Jeszcze tylko przez chwilę, dobrze? Rozluźnij się, przytul do mamy i przypomnij sobie kilka rzeczy.

Chłopiec skinął leciutko głową.

- Czy możesz nam powiedzieć, co zdarzyło się dzisiaj wieczorem? Swoimi słowami. Nie spiesz się.

Jesse nie od razu zaczął mówić. Matka znów się nad nim pochyliła.

- Pamiętaj, „Jenny i Jesse kontra reszta świata”. Weź mnie za rękę. Damy radę.

Chłopiec wziął mamę za rękę i zaczął mówić.

To była dość prosta historia. Szesnastolatek o imieniu Barry spędzał popołudnia, grając w sieci jako Różowy Pudel. Zdobywał punkty i przyciągał uwagę. Wysyłał maile do innych graczy, oferując przyjaźń i pomoc.

Jesse połknął przynętę.

Założył, że nie ma nic niebezpiecznego w spotkaniu w bibliotece publicznej z Pudlem, który prawdopodobnie był dziewczyną. I tak to się potoczyło do momentu, gdy Jesse znalazł się w bocznej alejce, zbyt przestraszony, by uciekać, i zbyt zszokowany, by krzyczeć.

Nie mógł wiele powiedzieć o kobiecie. Jej pojawienie się zaskoczyło go, a jej broń przeraziła. Pamiętał głównie oczy, intensywnie niebieskie.

- Szalone oczy - wyszeptał cicho. - Straszne, jak niebieskie oczy kota. - Spojrzał na kobiety.

- Myślę, że jest z innej planety albo może to robot albo potwór. Ona... ona zrobiła mu krzywdę,

a... a ja się ucieszyłem.

Znowu spuścił wzrok i nagle wtulił się mocno w objęcia mamy.

- Przepraszam - jęknął, a jego głos tłumiał płaszczy matki. - Byłem niegrzeczny, a potem ten hałas i on nie żyje. Byłem niegrzeczny, przepraszam, przepraszam, przepraszam. Mamusiu, już więcej tego nie zrobię. Przyrzekam, przyrzekam, przyrzekam.

D. D. odwróciła wzrok. Nie była pewna, co zabolę ją mocniej: oczywiste cierpienie chłopca, czy jego matki, która objęła go drugim ramieniem i kołysała w objęciach, próbując uspokoić, choć wiedziała, że to nie wystarczy.

- Chciałabym zabrać go do domu - powiedziała kobieta. - Jest już późno. I jutro idzie do szkoły - dodała po namyśle.

I nagle skrzywiła się, jakby po raz pierwszy zrozumiała, że jutro rano nie będzie szkoły. Dzisiejszy wieczór przerósł wszystko. To było jedno z tych zdarzeń, po których nie wystarczy dobrze się wyspać, aby dojść do siebie.

Detektyw podeszła bliżej, żeby wyjaśnić, że konieczna jest jeszcze rozmowa z psychologiem policyjnym, która powinna nastąpić jak najwcześniej, ponieważ wspomnienia dzieci są bardzo podatne na wpływy.

Matka Jessego potrząsnęła głową i widać było, że jest równie przytłoczona i wstrząśnięta jak jej syn.

D. D. ścisnęła dłoń kobiety.

- Jeszcze tylko godzina - pocieszyła ją. - Potem oboje będziecie mogli pójść do domu. A jutro będzie lepiej niż dzisiaj, a następnego dnia jeszcze lepiej. Będzie coraz lepiej.

Kobieta spojrzała na nią.

- Tak bardzo go kocham.

- Wiem.

- Zrobiłabym dla niego wszystko. Oddałabym za niego życie. Ja tylko odrabiałam zadanie domowe. Rozdzieliliśmy się na piętnaście minut. Robiliśmy to już wcześniej i jest już w tym wieku, kiedy nie zawsze chce, by mama z nim chodziła. Chcę, żeby czuł się silny i bezpieczny.

- Wiem.

- Zrobiłabym dla niego wszystko.

- Rozmowa z psychologiem pomoże - zapewniła ją D. D. - Wiem, że to brzmi strasznie, ale dzięki opowiedzeniu swojej historii Jesse będzie mógł bardziej nad nią zapanować. Z wydarzenia, które mu się przytrafiło, stanie się ona bardziej historią, którą może opowiedzieć i kontrolować. Obserwowałam to u innych dzieci. Rozmowa im pomaga, w przeciwieństwie do duszenia wszystkiego w sobie.

Jenny westchnęła i oparła policzek na głowie syna.

- Jenny i Jesse kontra reszta świata - wymamrotała.

- Jest pani dobrą matką.

- Powinnam była zrobić więcej.

- Tak wygląda życie matki.

- Ma pani dzieci?

- Dziesięcioletniego syna. Już jest miłością mojego życia.

- Co pani by zrobiła?

- Mam nadzieję, że nigdy nie będę musiała się tego dowiadywać.

- Proszę...

D. D. się zawahała, a potem odpowiedziała najszczerzej, jak umiała.

- Staralabym się pomóc mu odzyskać swoją siłę. To, co złe, już się wydarzyło. Teraz trzeba pomóc Jessemu odnaleźć drogę na drugą stronę. Tam, gdzie nie jest już ofiarą, ale tym, który kontroluje sytuację. Tam, gdzie poczuje się silny i bezpieczny.

Kobieta wpatrywała się w nią i przyglądała jej twarzy.

- Pojedziemy na komendę - powiedziała w końcu. - Spotkamy się z policyjnym... ekspertem.

- Będzie tam również adwokat ofiary - poinformowała D. D. - Pani i pani syn otrzymacie wszelką pomoc. Proszę śmiało z niej korzystać.

D. D. podała kobiecie swoją wizytówkę, potem wyprostowała się i wetknęła zmarznięte dłonie w rękawiczkach do kieszeni płaszcza.

- Dziękuję za pomoc, Jesse - powiedziała. - Doceniam to, że odpowiedziałeś na moje pytania.

Chłopiec nie podniósł głowy i milczał.

- Proszę dbać o syna - zwróciła się do matki.

- Tak zrobię, pani detektyw. Na pewno.

D. D. odeszła od samochodu i zaczęła iść w kierunku O. Stała koło niej, gdy rozległ się pełen zaskoczenia krzyk. Obie śledcze odwróciły się i zobaczyły umundurowanego policjanta, który machał do nich z pierwszego radiowozu.

- Panie detektyw - zawołał. - Szybko! Musicie to zobaczyć!

D. D. i O wymieniły spojrzenia, a potem ruszyły niepewnie po oblodzonym chodniku. Policjant otworzył drzwi od strony pasażera i podekscytowany machał zapraszająco.

- Na desce rozdzielczej - powiedział pospiesznie. - Nie ruszajcie. Właśnie to położyłem, no wiecie, żeby zanieść później na komendę i dołączyć do materiału dowodowego. Oczywiście, miałem włączone ogrzewanie, a kiedy spojrzałem po chwili...

Dowód okazał się liścikiem zabójcy, teraz schowanym w przezroczystej, plastikowej torebce. Cała kartka, a na niej tekst napisany znanym, starannie skreślonym pismem. Kiedy D. D. przyjrzała się jej bliżej, dostrzegła inne litery, tak małe i stłoczone, że początkowo wyglądały jak rozmazany tusz lub plama.

Gwałtownie podniosła wzrok na policjanta.

- Dotykałeś tego albo coś z tym robiłeś?

Odsunęła się i pozwoliła O zerknąć na list.

- Nie, nie - zapewnił żarliwie mundurowy. - To wpływ ciepła. Kiedy zobaczyłem, że coś się wydarzyło, podniosłem list i niech mnie diabli, jeśli litery natychmiast nie znikły. Potem znów położyłem kartkę na ciepłej desce rozdzielczej...

D. D. poczuła, że serce zaczyna jej szybciej bić.

- Myślę, że to sok z cytryny - ciągnął policjant. - Mój dzieciak zrobił podobny eksperyment w podstawówce. Można napisać nim sekretną wiadomość, słowa znikną, gdy sok wyschnie, ale pojawią się ponownie, gdy potrzymany kartkę nad gorącą żarówką. Moja deska rozdzielcza zadziałała jak żarówka.

- List w liście - wymamrotała detektyw O, nadal pochylona nad kartką papieru. - Inny charakter pisma.

- Inny wydźwięk - dodała krótko D. D., gryząc dolną wargę.

Pierwszy tekst „Wszyscy kiedyś umrzemy. Trzeba być odważnym” został napisany zaokrąglonym charakterem pisma o standardowej wielkości.

Tymczasem ukryta wiadomość była znacznie mniejsza, nierówne litery napisano pospiesznie i stłoczono na fragmencie papieru mniejszym niż dziesięciocentówka.

Rozkaz, drwina, a może nawet prośba:

Dwa proste słowa: „Złapcie mnie”.

Rozdział 26

Cześć. Mam na imię Abigail.

Spokojnie, już się spotkaliśmy.

Zaufaj mi, zaopiekuję się tobą.

Nie ufasz mi?

Rozdział 27

Przyjemnie było uderzać.

Podobał mi się dźwięk zetknięcia ubranej w rękawicę pięści z ciężkim workiem treningowym. To było miłe uczucie, gdy za ciosem szło całe ciało, przednia noga wykonywała krok ze zwrotem, biodra skręcały, a bark rotował do środka. Prosty, prosty, prosty, podbródkowy, sierpowy, markowany lewą ręką, lewy sierpowy na tułów, lewy sierpowy w głowę, kolejny sierpowy, krok dostawny od prawej i z powrotem, lewy prosty, prawy prosty, unik, podbródkowy i powtórka. Uderz, ruszaj się, uderz mocniej, ruszaj się szybciej. Uderz.

Czwarta trzydzieści rano. Na zewnątrz kompletny mrok i przeraźliwy ziąb. Zdecydowanie noc, a nie dzień. W całym mieście rozsądni, przystosowani ludzie spali głębokim snem, umoszczeni wygodnie w łóżkach.

Stałam samotnie pośrodku całodobowej siłowni w Cambridge i waliłam na odlew w ciężki worek treningowy. Ćwiczyłam już chwilę, tak że długie, brązowe włosy zdążyły przykleić mi się do głowy, pot przesiąkł przez szybko schnące sportowe ubranie i oblepiał mi ręce i nogi. Przy szczególnie silnym ciosie jego krople zraszały niebieską matę.

Nie jestem ładną dziewczyną: ostatnimi czasy moje ciało stało się zbyt wychudłe, a rysy twarzy zbyt surowe. Ale jestem silna. W rzędzie luster po przeciwnej stronie sali z dumą obserwowałam wydatne mięśnie ramion, wyraźny zarys bicepsa i zacięty wyraz twarzy. Gdyby byli tu teraz jacyś mężczyźni, wykonujący własne zestawy ćwiczeń, czuliby pokusę, aby skomentować ten widok, zbagatelizować moją spoconą figurę, unieść ze zdziwieniem brwi na widok mojego pełnego determinacji stylu walki i zapytać, jak on ma na imię i czym mnie tak rozczłodził.

To jeszcze lepszy powód, aby przychodzić na siłownię o czwartej nad ranem, uciekając przed niespokojnymi snami i zaburzonym zegarem biologicznym, który i tak nie był przyzwyczajony do nocnego snu.

Będąc sama, mogłam uderzać tak mocno i tak długo, jak chciałam.

Będąc sama, nie musiałam przeproszać za to, jaka jestem.

Moim zdaniem dziewczynki są traktowane niesprawiedliwie. Gdy chłopcy wszczynają bójki, przewracają się i przepychają, to wszystko chłopięce zabawy. A kiedy dziewczynka na kogoś naskoczy, od razu słyszy: „Rączki są do tulenia i obejmowania”.

Chłopców zachęca się, by byli silni i szukali na swych kościstych ramionach i chudych klatkach piersiowych pierwszych oznak mięśni. Dziewczynki natomiast już w wieku ośmiu lat z nadmierną uwagą obserwują swe talie i martwią się, gdy zjedzą babeczkę z zakazanym lukrem. Nie myślimy o tym, jak rozwinąć mięśnie, czujemy jedynie nieustanną odrazę do tycia.

Dziewczynki słyszą komplementy na temat urody, gibkości i gracji. A co z silną górną partią ciała niezbędną, by wspinać się na drzewa lub mięśniami tułowia, z których korzystamy, bujając się na drabinkach? Dziewczynki w całym kraju prezentują swą naturalną siłę w parkach i na placach zabaw. Rodzice rzadko jednak komentują ich wyczyny i w końcu dziewczynki zaczynają spędzać coraz więcej czasu na upiększaniu, za co zbierają pochwały.

Do niedawna było ze mną podobnie.

Musiałam nauczyć się agresji w bardziej wymagający sposób, poprzez praktykę, powtarzanie i bolesną motywację. Poprzez doświadczenie trzeszczącego bólu karku po przyjęciu ciosu podbródkowego lub uczucia natychmiastowego łzawienia po uderzeniu pięścią w nos. Odkryłam, że ból jest ulotny, podczas gdy satysfakcja z obrony swej pozycji i zaciętego odwetu trwała przez całe popołudnie.

Musiałam się nauczyć zagłębiać w siebie i docierać do tego maleńkiego miejsca, które zdołało przetrwać wszystkie lata z moją matką, gdzie mogłam wreszcie przestać przeproszać i zacząć oddawać ciosy.

Po mniej więcej czterech miesiącach treningu bokserskiego uchwyciłam przypadkiem swoje odbicie w lustrze. Zobaczyłam odznaczające się linie na ramionach i wyrzeźbione plecy. Mięśnie. Wynik pięćdziesięciu pompek wykonywanych co rano i co wieczór, skakania na skakance, interwałowych ćwiczeń z workiem treningowym i szybkich treningów na gruszcze. Rezultat potrojenia dziennej porcji białka. Pomijając całe moje filozofowanie, chłopcy różnią się od dziewcząt. Od początku mają większą masę mięśniową, skutecznie ją powiększają i łatwiej utrzymują. To oznaczało, że jeśli chciałam nabrać masy, musiałam jeść, jeść i jeszcze raz jeść. Białka kurcze i kielbasa z kurczaka, piętnaście dekagramów piersi kurczaka, piętnaście dekagramów ryby, koktajle białkowe z dodatkiem masła orzechowego, naturalny jogurt grecki z dodatkiem odżywkii białkowej.

W końcu mój trener zmienił mi trening na „ćwiczenia z oponą”. To były wielkie, ciężkie opony ciężarówek. Waliłam w nie, przewracałam je i skakałam po nich. Po sześciu miesiącach treningu wyszczuplałam i jednocześnie rozbudowałam mięśnie. Ludzie gapili się na moje ramiona, nastolatki zwracały uwagę na mój sposób poruszania i dawały więcej przestrzeni w zatłoczonym metrze, a mężczyźni patrzyli mi w oczy z większym szacunkiem.

Podobało mi się to. Zdałam sobie sprawę, że ból fizyczny nic nie znaczy. Chodzi o to, aby pozbyć się lęku, odnaleźć swą wściekłość i poczuć siłę.

Chyba że jest druga w nocy, a ty śniesz o dziecku, które nie mogło istnieć lub zabójczej matce, która zdecydowanie istniała albo o Stanie Millerze i metalowych prętach wystających z jego klatki piersiowej.

Czy dlatego, że kogoś zabiłam, stałam się pieprzonym gnojkiem? Czy więcej odwagi potrzeba, żeby dalej uderzać w ciężki worek treningowy, podczas gdy moja własna, pusta twarz sztywnieje ze mnie z lustra na drugim końcu sali?

Trenowałam z workiem przez kolejne trzydzieści minut, a następnie zabrałam się za ćwiczenia na atlasie. Potem stepper i skakanka. To by było na tyle. Mój ostatni trening przed jedynym, najważniejszym w życiu wydarzeniem. Kolejne trzydzieści osiem godzin spędzę, odpoczywając i odzyskując siły. Jak zawodowy sportowiec dwa ostatnie dni przed maratonem zrobię sobie wolne. Muszę być wypoczęta na ósmą wieczorem w sobotę. Muszę być gotowa.

O szóstej do siłowni zaczęli przychodzić ludzie. Zostawiłam ich i chwiejnym krokiem dotarłam do przebieralni, gdzie natychmiast weszłam pod gorący, parujący prysznic.

Stałam pod nim długo, a woda przynosiła ulgę moim wyczerpanym mięśniom.

I zastanawiałam się: skoro byłam tak silna i poczyniłam tak duże postępy w ciągu ostatniego roku, dlaczego nadal bałam się małej dziewczynki o imieniu Abigail?

Wróciłam do domu pieszo. Patrzyłam na obłok pary wydobywający się z moich ust i rozplywający w powietrzu o temperaturze ledwie powyżej zera. Obserwowałam, jak słońce powoli gramoli się nad szary horyzont. Mijałam ziewających studentów i przygarbionych pracowników idących do pracy, a wszyscy zmierzali w kierunku zabudowań Harvard Square, który ja właśnie opuszczałam.

Trzymałam dłonie głęboko w kieszeniach płaszcza, a uszy przykrywała mi gładka, brązowa czapka. Chłód mi nie przeszkadzał. Czułam się odświeżona po treningu na siłowni. Szłam powoli, a moje wymęczone ciało było gotowe, aby paść na łóżko.

W takich momentach niemal podziwiałam świat dokoła. Niemal czułam zapach płatka śniegu na czubku nosa. Czułam wdzięczność, patrząc, jak brząsk ubarwia horyzont smugami różu i pomarańczowego i sprawia, że ściśnięte blisko siebie budynki błyszczą w jego blasku.

Nie chciałam umierać.

Dotarło to do mnie podczas piętnastominutowego spaceru w kierunku mojego samotnego pokoju.

Żałowałam kilku rzeczy. Nie byłam wspaniała. Zaplanowałam śmierć człowieka. Zrobiłam straszną rzecz własnej matce i straciłam obie najlepsze przyjaciółki.

Ujmując rzeczy w ten sposób, nadal pozostawało dla mnie tajemnicą, dlaczego zawracałam sobie głowę tym, co stanie się jutro mniej więcej o ósmej wieczorem. Nie byłam gotowa, by się poddać. Może moje życie było jedną wielką pieprzoną porażką, ale czułam... Sama nie wiem. Jakbym była o krok od dokonania odkrycia. Wreszcie odkryłam siłę własnych rąk i nóg. Wreszcie, po dwudziestu ośmiu latach, uczyłam się, jak być sobą.

Chciałam przeżyć więcej poranków takich jak ten, więcej treningów z ciężkim workiem, więcej mroźnych, zimowych dni. Chciałam wyprowadzać na spacer swojego psa, który nie był moim psem i gładzić dłońmi jej słodką mordkę. Chciałam biegać i śmiać się, a któregoś dnia, a co tam, zakochać się. Urodzić kilkoro dzieci i wychować je w górach, gdzie każdy pilnuje swojego nosa, ale również patrzy prosto w oczy i uśmiecha się.

Pomyślałam o Mackerecie i jego zaproszeniu na brunch. Dziś miałam odbyć ostatnią nocną zmianę i prawdopodobnie nigdy więcej go nie zobaczyć.

Zostało mi trzydzieści siedem godzin życia.

Na co czekałam? Byłam tym, kim byłam. Zrobiłam to, co zrobiłam. A za półtora dnia stanie się to, co ma się stać.

Koniec z treningami, koniec z planowaniem, koniec z przygotowaniem.

Żyć. Tylko to mi zostało do zrobienia. Całe trzydzieści siedem godzin.

Zaczęłam o tym myśleć, naprawdę to rozważyć.

Wtedy skręciłam za rogiem w kierunku domu i zobaczyłam stojącą przed nim ciotkę Nancy.

Znam ją od prawie dwudziestu lat. Jest praktyczną kobietą, wstaje wcześniej, kładzie się spać późno, a w ciągu dnia ciężko pracuje. W życiu zdarzają się problemy, ale wszystkie da się szybko zidentyfikować i odpowiednio sobie z nimi poradzić. Na większość rzeczy pomaga wysiłek. Jeśli nie, talerz świeżo upieczonych ciastek czekoladowych powinien załatwić sprawę.

Podczas spędzonych wspólnie lat trochę płakałyśmy, czasami się przytulałyśmy, ale głównie śmiałyśmy. Ciotka wierzy w moc śmiechu. Jest potrzebny do prowadzenia biznesu, szczególnie w branży hotelarskiej.

Ceniłam sobie tę jej dewizę: dostajesz to, co widzisz. Dzięki temu była jedną z osób, które od razu wzbudzają sympatię. Dlatego podwójnie dziwnie się czułam, stojąc niezręcznie naprzeciw niej. Ciotka czekała na ganku dwupiętrowego domu w Cambridge, w którym nie spodziewałam się jej nigdy gościć. Stałyśmy metr od siebie, moje dłonie nadal tkwiły w kieszeniach płaszcza, a twarz była bardziej spięta, niżbym chciała.

- Charlene - powiedziała w końcu ciotka, przerywając ciszę.
- Jak...? Kiedy...?
- Już czas, Charlene. Wróć do domu.

Wpatrywałam się w nią jeszcze przez chwilę, próbując przyswoić informacje. Mój blask, którym cieszyłam się po treningu, zniknął. Zamiast tego poczułam się nieswojo.

- Może wejdiesz do środka? - zaproponowałam wreszcie, sięgając do kieszeni i wyciągając klucze.

Przytaknęła energicznie. Dopiero wówczas zauważyłam, że ubrana jest w długi, zimowy płaszcz, ale nie ma na sobie ani czapki, ani rękawiczek. Jej zwykle blade policzki zaróżowiły się od mrozu, a drobne ciało drżało pod ubraniem.

Źle się czułam, przytulając ją poniewczasie i czując, jak z wdzięcznością odwzajemnia mój gest. To powinno przełamać lody i przywrócić naszą relację do normalności, ale czułam się tylko jeszcze bardziej zdezorientowana. Oczywiście, że ciotka wiedziała, gdzie mieszkam. Była jedyną osobą, z którą utrzymywałam kontakt. Zamierzałam nawet zadzwonić do niej dzisiaj, aby zaplanować przekazanie jej Fuksji.

Ale jej pojawienie się tutaj. Teraz. Tak nagle. Dzień przed dwudziestym pierwszym. Przestraszyło mnie to i zdałam sobie sprawę, że wprowadzając ciotkę do kuchni właścicielki mieszkania, puściłam ją delikatnie przodem, by mieć ją na oku.

Gospodyni była rannym ptaszkiem. Spojrzała znad stołu kuchennego, gdy weszłyśmy. Nadal miała na sobie szlafrok w różowo-fioletowe paski, ale jako kobieta w poważnym wieku mogła sobie na to pozwolić. Zauważyła obecność ciotki, mojego pierwszego gościa, i dla pewności spojrzała w jej kierunku drugi raz.

Przedstawiłam je sobie.

- Uhm... Fran, to jest moja ciotka Nancy. Ciociu Nancy, to jest właścicielka mieszkania,

Frances Beals.

Ciotka wyciągnęła dłoń na powitanie i z bliska nawet Fran zauważyła, że drży z zimna.

- Była pani na dworze w taką pogodę? Mój Boże, zamarzła pani na kość. Zrobię pani filiżankę kawy. Jaka pani pije?

- Czarną, dziękuję. Piękny dom.
- Ma sto pięćdziesiąt lat - odparła Fran. - Ale lubię myśleć, że wygląda najwyżej na sto.
- Wiem, jak się czuje - skomentowała ciotka.

Fran się zaśmiała, krzając się po kuchni i przygotowując kawę. Wzięłam od ciotki płaszcz, wysunęłam dla niej krzesło i zaproponowałam śniadanie.

Potrząsnęła głową, ale w taki sposób, że jej nie uwierzyłam. Powiesiłam nasze okrycia, a potem wróciłam do kuchni i sprawdziłam półkę w spiżarni podpisaną moim imieniem. Zdecydowałam się w końcu na pełnoziarniste tosty.

Za moimi plecami Frances na nowo podjęła rozmowę z ciotką na temat domu, Bostonu, New Hampshire, porównując doświadczenia gospodyni wynajmującej pokój i właścicielki pensjonatu. Ucieszyło mnie to odwrócenie uwagi od mojej osoby. Dzięki temu ciotka nie zauważyła, że trzęsą mi się ręce, a Fran nie dostrzegła, iż nagle mam problem z obsługą tosterka.

Ostatni raz rozmawialiśmy z ciotką przez telefon dwa tygodnie wcześniej. Nie wspominała o wizycie, a ja o powrocie do domu. Miałyśmy umowę, która zakazywała rozmawiania o dwudziestym pierwszym. To była podstawa naszej relacji - kochamy się, wspieramy i nigdy nie wspominamy o nieprzyjemnych faktach.

Moje wczesne dzieciństwo było „niefortunne”, moja matka „zagubiona”, a to, co przydarzyło się Randi i Jackie, „tragiczne”.

Nie da się nie lubić mieszkańców Nowej Anglii. Wszystko, czemu nie chcemy stawić czoła, umiemy skutecznie wybielić, aby stało się jedynie odległym echem samego siebie, a potem zwyczajnie zamykamy to na klucz.

Udało mi się w końcu wyjąć dwie kromki chleba i włożyć je do tosterka. Gdy się przypiekały, znalazłam karton białek i zabrałam się za ich ubijanie. Zajęta czynnościami przy blacie, byłam zwrócona tyłem do ciotki i gospodyni. Najwyraźniej przyjemnie im się gawędziło, ale od czasu do czasu czułam na sobie oceniające spojrzenie ciotki.

Kiedy tosty wyskoczyły, rozdzieliłam je na dwa talerze, nałożyłam na każdy jajecznicę z białek i podałam potrawę do stołu.

Ciotka przerwała rozmowę z Fran, spojrzała na mnie i natychmiast ucichła. Wpatrywała się w moją odsłoniętą szyję, podobnie jak Frances. Poniewczasie dotknęłam siniaków z wczorajszej sesji z J. T.

- Dobry Boże - wyszeptła ciotka.
- Walka treningowa - odparłam defensywnie.
- Twoja szyja... twoje ręce!

Kilka z moich knykci było głęboko fioletowych, lewa ręka obtarta, a nadgarstek lekko spuchnięty. Postawiłam na stole talerz ciotki i schowałam rękę za plecami.

- Powinnaś zobaczyć mojego przeciwnika.

Ciotka i gospodyni patrzyły na mnie z równym przerażeniem.

- Wszystko w porządku - powiedziałam w końcu pewniejszym głosem. - Zaczęłam trenować boks, to wszystko. I podoba mi się to. A teraz jedz.

Wysunęłam krzesło, usiadłam koło ciotki i wzięłam do ręki swój tost. Po chwili ciotka przytaknęła, może mnie, może sobie samej i spojrzała na śniadanie.

- Bardzo smaczne - skomentowała po przełknięciu - Nigdy nie przepadałam za białkami, ale z tostem dobrze się komponują.

- Charlie zdrowo się odżywia - oznajmiła Fran.

Spojrzałam na nią ze zdziwieniem. Nie zdawałam sobie sprawy, że zwróciła uwagę na to, co jem.

- Ciężko pracuje - kontynuowała Fran, najwyraźniej biorąc na siebie odpowiedzialność poręczenia za mój charakter przed moją własną ciotką. - Pracuje w nocy, wraca do domu spać i kolejnego wieczora jest znowu gotowa do pracy. Żadnego objawiania.

- Charlene ma głowę na karku - zgodziła się ciotka. - Zawsze bardzo mi pomagała w prowadzeniu pensjonatu. Brakowało mi jej przez ostatni rok.

Ugryzłam kolejny kęs tosta, zaczynając czuć się jak obserwator własnego życia.

- Termin wynajmu dobiega końca - skomentowała Fran. Spojrzała na mnie zamiast na ciotkę. - Zostajesz czy się wyprowadzasz?

- Niedziela - odparłam.

- Dasz mi odpowiedź?

- Jasne.

Ciotka, która rozumiała znaczenie niedzieli, spojrzała na mnie ze zmarszczonym czołem.

- Czy to się tyczy również psa, który nie jest twoim psem? - kontynuowała gospodyni. - Wiesz, tego, który powinien być na zewnątrz, ale przebywa w twoim pokoju?

Zarumieniłam się, a ciotka uniosła brwi ze zdziwieniem.

- Tak... uhm.. Porozmawiam o tym z ciotką. Znajdę dom dla Fuksji.

- Hmm - powiedziała Fran. - Do niedzieli?

- Tak, do niedzieli.

- Jeśli pies coś zasika lub pogryzie, ty płacisz.

- Zgoda.

- Podoba mi się - powiedziała ciotka, mając na myśli Frances.

Wreszcie się uśmiechnęłam.

- Podejrzewałam, że tak będzie.

Kiedy prowadziłam ciotkę korytarzem do swojego małego pokoju, znów czułam zdenerwowanie, jak nastolatka, która chce, aby jej pierwszy pokój w akademiku zrobił na rodzicach dobre wrażenie. Spójrzcie na mnie, spójrzcie na życie, jakie samodzielnie stworzyłam. Czysta pościel, posłane łóżko, ubrania na wieszakach i wszystko w najlepszym porządku.

Fuksja przywitała nas za drzwiami. Sądząc po jej minie, nie była zadowolona, że zamknęłam ją rano, nie pozwalając na poranne przygody. Można zabrać psa z ulicy, ale zew wolności pozostanie w nim na zawsze. Wiedziałam, jak się czuje.

Nie przywitała się ze mną, tylko roztaczała swe uroki przed ciotką. Nancy zadawała typowe pytania: jak się wabi? Jakiej jest rasy? Komentowała jej słodką mordkę i miłe usposobienie.

Kiedy przymilała się do psa, który, miałam nadzieję, stanie się jej psem, ja wykonałam niezbędne gesty gospodyni, podsunęłam ciotce krzesło, dolałam kawy, a potem zamknęłam drzwi, żebyśmy miały więcej prywatności. Usiadłyśmy, ja na skraju łóżka, ona na drewnianym

krześle, a Fuksja na podłodze pomiędzy nami. Rozmowa natychmiast przestała się kleić.

- Przykro mi, że musiałaś przyjeżdżać - powiedziałam w końcu, nie patrząc na nią, tylko w podłogę za krzesłem.

Pomyślałam o ocenie zabójcy Randi i Jackie dokonanej przez detektyw Warren. Bliskie spotkanie twarzą w twarz. Mordercą będzie ktoś, kogo nie przestraszę się od razu, kogo powitam z otwartymi ramionami.

Nie potrafiłam bać się ciotki.

Czyżby?

- Czy policja dowiedziała się czegoś więcej? - zapytał ciotka.

- Na temat morderstw Randi i Jackie? - Pokręciłam głową. - Nie, ale pracuję teraz z parą detektywów z Bostonu. Mają kilka nowych pomysłów.

- Nadal uważasz, że będziesz następna - powiedziała ciotka, jakby stwierdzała fakt, a nie zadawała pytanie.

Przytaknęłam.

- Schudłaś, Charlie. Wyglądasz inaczej, zmężniałaś.

- Możliwe.

- To nie jest dla ciebie dobre, Charlene. Sposób, w jaki teraz żyjesz. To ci nie służy.

Zaskoczyłam samą siebie. Podniosłam głowę, spojrzałam ciotce prosto w oczy i zapytałam:

- Co się stało z moją matką?

Błękitne oczy ciotki otworzyły się szeroko. Chyba nie zszokowałabym jej bardziej, gdybym wypaliła, że jestem mężczyzną uwięzionym w ciele kobiety. Ale zreflektowała się. Przez chwilę bawiła się włosami, dotykając grzywki i zakładając krótki kosmyk sztywnych włosów za ucho.

Ręce jej drżały. Jeśli ja wyglądałam męźniej, niż mnie pamiętała, ona wyglądała starzej. Jakby zima była szczególnie długa i nadwerżyła jej wolę walki.

Albo może również spędziła ostatni rok, odliczając dni do dwudziestego pierwszego? Co było bardziej stresujące, obawa

o samą siebie czy o bliską osobę?

- Co twoim zdaniem stało się z twoją matką? - zapytała wreszcie.

- Nie żyje - odpowiedziałam bez emocji. - I to moja wina. Myślę, że... zrobiłam coś... przeciwstawiłam się jej albo w końcu się zezłościłam, straciłam panowanie nad sobą. W każdym razie zrobiłam jej krzywdę. Dużą, dlatego nie pamiętam. Nie chcę stawić czoła temu, co zrobiłam.

- Ona żyje, Charlene. Przynajmniej z tego, co mi wiadomo.

- Co?

- Charlene Rosalind Carter Grant - oznajmiła ciotka, tym razem innym tonem, jakby mnie sprawdzała.

- Nie rozumiem.

- A chcesz zrozumieć?

- Dlaczego zadajesz mi te wszystkie pytania?!

- Ponieważ od momentu, gdy przyjechałam do szpitala, to właśnie poradzili mi lekarze. Miałam nie mówić ci, co się stało, ale zapewnić ci miłość i wsparcie, aż pewnego dnia, kiedy poczujesz się wystarczająco bezpiecznie, sama sobie przypomnisz. Charlene, czekałam dwadzieścia lat, nie wiedząc, czy to właśnie będzie ten tydzień, kiedy nagle sobie przypomnisz

lub co gorsza, czy to będzie ten dzień, kiedy ona w magiczny sposób się pojawi. To było samotne czuwanie. I stresujące. Ale zrobiłam to, ponieważ tak polecili mi lekarze. Nie mam własnych dzieci, Charlie; więc nie wiem, co dla ośmioletniej dziewczynki jest dobre, a co nie. Jedyne doświadczenie w wychowywaniu dzieci miałam, kiedy próbowałam okiełznać młodszą siostrę i obie wiemy, jak to się skończyło. - Głos ciotki się załamał i usłyszałam w nim po raz pierwszy w życiu nutę gorzkości. Potem dostrzegłam blask w jej oczach, który nie miał nic wspólnego z oświeceniem.

Zraniłam ją. Doprowadziłam swoją ciotkę do łez.

Chciałam wszystko natychmiast cofnąć. Żałowałam, że poruszyłam temat matki. Żałowałam, że wyjechałam z New Hampshire. Zrobiłabym i powiedziała wszystko, wróciłabym do domu, byle tylko ciotka była szczęśliwa. Miałam tylko ją i kochałam ją.

Już po chwili zdałam sobie sprawę, jak moja reakcja była wypaczona. Jak szybko wpadłam z powrotem w pułapkę uspokojenia za wszelką cenę. Kochając za mało i trzymając się zbyt mocno.

Co gorsza, ciotka nie oczekiwała nawet, że ją uspokoję. Siedziała po prostu ze spuszczonej ramionami, zaciśniętą szczęką i czekała na moje następne pytanie.

- Jeśli moja matka żyje, dlaczego nigdy się ze mną nie skontaktowała? - zaryzykowałam.

- Nie wiem. - Zawahała się. - Sądziłam, że to zrobi. Jeśli nie osobiście, to listownie. Później, kiedy pojawiły się te wszystkie internetowe bzdury, maile i Facebook, też się o to martwiłam. Jednak nic nie rzuciło mi się w oczy ani ty o niczym nie wspomniałaś.

- Nie odezwała się ani słowem - potwierdziłam i zamilkłam na chwilę, aby przyswoić informację.

- Charlene Rosalind Carter Grant - powiedziała ponownie ciotka.

- Czy zrobiłam jej krzywdę? - zapytałam, a palce nieświadomie przesuwając po lewej stronie ciała, po udzie, po wierzchu dłoni. Nie mogłam się powstrzymać.

- Nie wiemy. Kiedy przyjechało pogotowie, sanitariusze znaleźli cię na podłodze. Miałaś poważne obrażenia i w zasadzie zakładali, że nie żyjesz. - Ciotka wypowiadała słowa bez emocji. Najwyraźniej spędziła ostatnie dwadzieścia lat, powtarzając je w głowie. - W domu nie było śladu twojej matki.

- Uciekła?

- Policja wysłała za nią list gończy, szczególnie po... dokonaniu innych odkryć. - Zamilkła na chwilę i spojrzała na mnie uważnie. Kiedy nie odpowiedziałam, kontynuowała: - Do dzisiaj jej nie odnaleziono, a wiedziałabym, gdyby tak się stało. Charlene, twoja matka została oskarżona o poważne przestępstwa. Dlatego prawdopodobnie nigdy nie pojawiła się osobiście. Na pewno wie, że gdyby tylko się zjawiała, wpakowałabym jej żalostny tyłek za kratki.

Zamrugłam, zaskoczona gwałtownością w głosie ciotki. Zrozumiałam, że przez większość życia obawiałam się, że któregoś dnia zmienię się w swoją szaloną matkę. Stąd potrzeba zapomnienia, unikania, ucieczki przed konfrontacją. Jeśli nie pamiętam, nie czuję. Jeśli nie czuję, nie mogę postradać zmysłów. Teraz zastanawiałam się, czy przypadkiem nie mam w sobie cienia odporności mojej ciotki. Kobiety, która patrzyła, widziała i potrafiła przetrwać. I przeżyć.

Zważywszy na datę, chciałabym przeżyć.

- Pamiętasz, jak dostałaś prawo jazdy? - zapytała nagle ciotka.

Zadziwiła mnie gwałtowna zmiana tematu i przytaknęłam niepewnie.

- Chciałaś, by wpisano w nim, iż nazywasz się Charlene Rosalind Carter Grant, a kiedy

powiedziano ci, że to niemożliwe, zdenerwowałaś się.

- Uważałam, że to głupie, że można wpisać tylko dwa imiona. Skoro miał to być oficjalny dokument tożsamości, powinny być na nim umieszczone moje wszystkie imiona i nazwisko.

- Nie - odparła ciotka.

Ściągnęłam brwi i utkwiałam wzrok w podłodze. Nagle przypomniałam sobie wizytę w wydziale transportu, gdzie trzeba było udać się osobiście po odbiór pierwszego prawa jazdy. Powinno to być radosne i ekscytujące wydarzenie dla nastolatki, ale ja byłam czerwona na twarzy, pocilałam się i niemal sapałam pod ciężarem presji, której nie potrafiłam wytłumaczyć. Ciotka mówiła do mnie, szeptała coś cicho i uspokajająco, ale ja jej nie słyszałam. Głowa mi płonęła, jakby za chwilę miała eksplodować i rozpaść się na tysiąc kawałków. Miałam ochotę płakać i krzyczeć. Nie wolno mi płakać ani krzyczeć, więc wcisnęłam pięści w oczodoły, aby powstrzymać ból. Kiedy to nie pomogło, podeszłam do ściany i zaczęłam uderzać w nią głową, jakby owa zewnętrzna siła miała złagodzić wewnętrzną agonię. Tak mocno waliłam czołem, że dwaj umundurowani policjanci przybiegli z dłońmi na kaburach.

Charlene Rosalind Carter Grant. Na moim prawie jazdy musiało być napisane Charlene Rosalind Carter Grant! Inne rozwiązanie było zbyt bolesne. Bycie inną osobą było zbyt bolesne.

- Zrobiło mi się niedobrze - szepnęłam. - Musiałam wyjść.

- W końcu zaprowadziłam cię do samochodu - dokończyła ciotka. - Zawiozłam cię do domu i położyłam do łóżka. Nie spałam całą noc, czekając, aż się uspokoisz, aż zaczniesz ze mną rozmawiać i powiesz mi, co pamiętasz. Ale tego nie zrobiłaś. O siódmej rano pojawiłaś się w kuchni i oznajmiłaś, że jeśli nie możesz mieć na prawie jazdy trzech imion, to zgodzisz się na Charlene Grant. Nigdy więcej o tym nie wspomniałaś.

- Ból głowy minął - stwierdziłam po prostu. - Obudziłam się... Zdecydowałam, że to było tylko prawo jazdy, a nie moje imię, więc nie ma to znaczenia. Mogłam... To było w porządku.

Ciotka uśmiechnęła się do mnie, ale wyraz jej twarzy zdradzał smutek. Wyciągnęła rękę i dotknęła wierzchu mojej dłoni, na której cienkie białe blizny przeplatały się ze świeżymi, fioletowymi siniakami.

- Jesteś silną dziewczyną, Charlene. Jeśli musisz zapomnieć o przeszłości, żeby odnaleźć swoją przyszłość, uważałam, że nie powinnam w to ingerować. Lekarz powiedział mi w zasadzie, że zmuszanie cię do stawiania czoła faktom, zanim będziesz na to gotowa, może przynieść więcej szkody niż pożytku. Więc siedziałam cicho. Czuwałam. I zrobiłabym to ponownie, ponieważ nie było mnie, kiedy mnie potrzebowałaś i nigdy sobie tego nie wybaczę. Ale to ja będę dźwigać to brzemie, nie ty.

- Oficjalnie nie nazywam się Charlene Rosalind Carter Grant - usłyszałam własne słowa.

- To nie są imiona, które widnieją na twoim akcie urodzenia.

- To dlatego w wydziale transportu... To nie miało nic wspólnego z dodatkowymi imionami, tu chodziło o akt urodzenia. Pokazałaś mi go i wtedy się rozłościłam. Ponieważ nie było tam żadnej Rosalind ani Carter. Zaczęła mnie boleć głowa i brzuch...

Ciotka nic nie powiedziała.

- Ale ja się nazywam Charlene Rosalind Carter Grant - spróbowałam ponownie, tym razem słabiej, bez prawdziwego przekonania. - Ja... ja to czuję.

- Takie imię sobie wybrałaś. Nie ma w tym nic złego.

Wtedy do mnie dotarło. Przypomniałam sobie listę, którą sporządziłam dla detektywa Warren.

Dwa imiona i nazwiska, które czułam się w obowiązku na niej umieścić: Rosalind Grant, Carter Grant. Zapisanie ich wydawało się słuszne. Musiałam je zobaczyć, spisane na kartce papieru w biurze detektywa.

Wreszcie wyrzuciłam z siebie to, czego nie zdołałam powiedzieć pielęgniarce.

Spojrzałam na ciotkę i poczułam, że kłapa w najgłębszym zakamarku mojego umysłu nagle otwiera się na oścież. Za nią panował mrok. Były tam duchy, potwory i rzeczy, na widok których każdy wrzasnąłby w środku nocy.

Jednak zbliżyłam się do nich o krok. Charlene Rosalind Carter Grant. Rosalind Grant. Carter Grant.

- Dziecko płacze - wyszeptałam.
- Tak mi przykro, Charlene.
- Chciałam powiedzieć pielęgniarce. Nie powiedziałam jej.

Kolejny krok. Klepki w podłodze mojego umysłu zatrzeszczały ostrzegawczo.

- Byłam za mała. Przysięgam, byłam za mała.
- Cśś. - Ciotka stała, wyciągając ręce, by objąć mnie za ramiona. Fuksja zaskomlała u jej stóp i podniosła się do siadu.
- W porządku, Charlene. To nie była twoja wina. To nigdy nie była twoja wina.
- Sama byłam tylko dzieckiem!
- Wiem, kochanie, wiem.

„Dziecko płacze!”. Tyle że już przestało. Była blada i nieruchoma, jak zrobiona z marmuru. Miała sine usta. Głaskałam ją po policzku, próbowałam otworzyć jej oczy i sprawić, aby znów uśmiechnęła się szeroko i promiennie.

Charlene Rosalind Carter Grant. Rosalind Grant. Carter Grant.

Ręce ciotki obejmowały moje ramiona. Może nawet trzymała dłonie na moim gardle. To nie miało już znaczenia. Zapadłam się w jej objęcia. To nie śmierci obawiałam się teraz najbardziej, tylko wspomnień.

Na końcu korytarza płacze dziecko.

Najpierw mała dziewczynka. Rosalind Grant.

Potem mały chłopczyk. Carter Grant.

Później...

Charlene Rosalind Carter Grant.

- Cśś - szeptała ciotka. - Gdybym wiedziała, przyjechałabym. Proszę, uwierz mi, Charlene. Gdybym wiedziała, przyjechałabym i zabrała was wszystkich.

Rozdział 28

- Powinniśmy ją aresztować. Natychmiast. Dziewczyna już jest niespokojna. Jeśli domyśli się, jak niewiele nam brakuje, aby zidentyfikować ją jako zabójcę, natychmiast pryśnie.

D. D. westchnęła. Pomasażowała bolące miejsce na karku, mające mniej wspólnego z dochodzeniową żarliwością detektyw O, a więcej z wielogodzinnym brakiem snu, po którym nastąpiło śniadanie z rodzicami, na które nie powinna była się umówić. Poza tym...

Podniosła czwartą filiżankę czarnej kawy, popatrzyła na dłoń, która wykonała typowy taniec zdradzający nadmiar kofeiny w organizmie, i wzięła łyk napoju.

- Na jakiej podstawie? - zapytała swą młodą koleżankę.

Phil przytaknął równie sceptycznie. Siedział obok Neila. Cały zespół zebrał się, by omówić strzelaninę z poprzedniego wieczora i odkrycia dzisiejszego poranka. Podczas dochodzeń w sprawie morderstw można było zwykle zaobserwować przyływy i odpływy. Obecne było w fazie wznoszącej, a tak naprawdę niemal groziło powodzią.

- Charlene Grant pasuje do rysopisu osoby, która strzelała - stwierdziła O.

Phil już potrząsał głową.

- W najlepszym razie daje nam to podstawy, by wezwać ją na konfrontację. Nie możemy aresztować wszystkich kobiet w Bostonie, które mają brązowe włosy i niebieskie oczy.

- Posiada dwudziestkędwójkę. Taki sam kaliber miało narzędzie zbrodni.

- Podobnie jak tysiąc innych osób, prawdopodobnie w promieniu zaledwie jednego kwartału.

- Analiza grafologiczna - rzuciła O, zerkając na D. D. - Szczególnie biorąc pod uwagę wiadomość ukrytą w liście.

D. D. wzruszyła ramionami.

- Zaniósłam Rayowi Dembowskiemu dwa nazwiska zapisane ręcznie przez Charlie wraz z trzema listami z miejsc zbrodni. Ma sprawdzić, czy listy z dwóch pierwszych zabójstw zawierają tę samą ukrytą wiadomość: „Złapcie mnie”. Potem porówna napis wykonany sokiem z cytryny z pismem wykonanym tuszem, by ustalić, czy napisała je ta sama osoba. Na koniec porówna obie notatki z listą sporządzoną przez Charlie. Oficjalny raport przekaże nam jednak najwcześniej w poniedziałek, a już narzeka, że go pospieszamy.

- Motyw oznacza sposobność! - Detektyw O wyrzuciła ręce w górę. - No, co wy?! Chyba nie tylko ja uważam, że Charlie jest winna!

O zmieniła małą czarną z zeszłego wieczoru na bardziej stonowaną, jasnoniebieską koszulę od Brooks Brothers. Była profesjonalnie skrojona, idealna do roli dobrze zapowiadającej się, młodej pani detektyw. D. D. pomyślała, że dobrze prezentowałyby się również w telewizji, gdyby reporterzy przyłapali ją podczas spektakularnego aresztowania.

- Tu nie chodzi o to, co uważamy, ale co jesteśmy w stanie udowodnić - stwierdziła, tym razem mniej cierpliwie, a bardziej oschle.

- Myślę, że powinniśmy ją aresztować - odezwał się Neil. Miał ponury wyraz twarzy, jego ruda czupryna była nietypowo przygładzona, a chude ramiona zaokrąglone. Od początku spotkania ledwie się odezwał, wpatrywał się tylko nieruchomo w punkt na stole.

O podskoczyła, znalazłszy wreszcie sojusznika.

- Ryzykujemy, że nam ucieknie. Jeśli za długo będziemy się organizować, może wyfrunąć z gniazdka.

- Dlatego właśnie zwykle nie dzielimy się naszymi strategiami dochodzeniowymi z głównymi podejrzanymi - wymamrotał pod nosem Phil.

- Jak miałyby się tego domyślić? - wykrzyknęła O. Wskazała palcem D. D. - Chcesz ją wezwać na okazanie. Myślisz, że to nie zdradzi naszego planu?

- Nie powiedziałam, żeby wezwać ją na okazanie - sprostowała D. D. - Stwierdziłam, że tylko do tego uprawnia nas zgodność wyglądu z rysopisem zabójcy. Tymczasem schowaj ten

palec, zanim zrobisz komuś krzywdę.

O spojrziała na nią gniewnie i opuściła rękę.

- Jaką mamy alternatywę? Poprosić o nakaz przeszukania jej pokoju lub skonfiskować jej dwudziestkędwójkę? Jasne, będziemy mieli nowe dowody, ale zanim zdążymy założyć jej kajdanki, będzie już w Kanadzie.

D. D. westchnęła. Spojrzała na O, spojrzała na Neila, a w końcu zwróciła się do Phila.

- Te dzisiejsze dzieciaki - wymamrotała.

Ojciec czwórki dzieci skinął głową ze zrozumieniem. Udało mu się wczoraj pójść spać, co czyniło go jedyną w tym pomieszczeniu osobą przy zdrowych zmysłach. D. D. pociągnęła krzepiący łyk kawy i przeszła do rzeczy.

- Neil, kiedy miałeś zamiar nam powiedzieć, że zerwałeś z Benem? - zapytała. Ben był koronerem, na którego Neil natknął się zeszłego wieczoru podczas przewożenia ofiary ostatniej strzelaniny do kostnicy.

- To nie wasza sprawa - wymamrotał jej rudowłosy kolega.

- Ależ nasza. Może nie spotykałeś się z kimś bezpośrednio z wydziału, ale ze współpracującą z nami jednostką. Rozpad waszego związku odbije się echem w firmie i dobrze o tym wiesz. Więc mów, co się stało?

- Robimy sobie przerwę.

- Dobry Boże... - Phil wywrócił oczami.

- Mówi, że jestem zbyt młody - wypalił Neil. - Że jestem zbyt zielony. Powinienem... się wyszaleć, czy inne bzdury w tym stylu.

- Stać się mężczyzną? - zasugerowała D. D.

- Pierdol się!

- To nie rozwiąże twojego problemu. Jesteś zarówno młody, jak i zielony. Jesteś również bardzo obiecującym detektywem, który spędza zdecydowanie za dużo czasu, chowając się za swoimi partnerami. Chcesz dorosnąć?

- Może.

D. D. spojrzała na niego wymownie.

Neil się wyprostował.

- Tak!

- W takim razie wyślemy cię do Akademii FBI. Będziesz tam miał okazję przejść dodatkowe szkolenia i zdobyć doświadczenie. Ponieważ jesteś bystrym gościem z niezłymi umiejętnościami śledczymi, możliwe, że ci się to nawet spodoba.

- Kiedy?

- Będziesz musiał wykonać kilka telefonów, żeby się tego dowiedzieć. Najlepiej zanim Phil i ja będziemy chcieli cię pobić.

- Horgan się zgodzi?

Cal Horgan był zastępcą naczelnika wydziału zabójstw, który musiałby wskazać Neila jako kandydata do wstąpienia w szeregi akademii oraz zatwierdzić fundusze na ten cel, jeśli Neil zostanie zaproszony na uczelnię.

- Użyj swojego miłego głosu - zaproponowała D. D.

Neil wydał wargi i stuknął kilka razy dłonią w blat stołu.

- Okej.

Tym razem D. D. przewróciła oczami.

- Nie ma za co. A skoro zdobywasz nowe umiejętności, może pójdziesz z Philem na przesłuchanie rodziny ofiary strzelaniny?

Nareszcie udało się im zidentyfikować szesnastoletnią ofiarę/pedofila. Barry Epsom. Mieszkał w Back Bay. Bogaty dzieciak, trójka rodzeństwa. Ojciec był grubą rybą w firmie ubezpieczeniowej Hancock Insurance, podczas gdy matka znana była jako mecenas sztuki. Uczęszczał do prywatnej szkoły, w której nie błyszczał jako prymus, ale również nie sływał z łobuzerstwa. Jak na ironię, kojarzono go jako specja od komputerów.

Rodzina już uzbroiła się w prawników. Rozpaczali, do niczego się nie przyznawali i poranne przesłuchanie zapowiadało się jako długie, rozwlekłe, dramatyczne wydarzenie, które nie dostarczy żadnych pomocnych informacji, ale za to zepsuje resztę dnia. Lepiej pozwolić, by żółtodzioby połamały sobie na nim zęby.

- Naszym celem jest okazanie współczucia, powstrzymanie się od oskarżania ich syna o cokolwiek i przejęcie jego sprzętu elektronicznego - poinformowała Neila i w mniejszym stopniu Phila, ponieważ ten już znał swoje zadanie. Przy ostatnim zdaniu spojrzała na Phila, ich własnego specja od komputerów. - Smartfona przejęto na miejscu zbrodni wczoraj wieczorem, ale nadal zostają komputery, iPad, iPod, konsole do gier. Zdziwiłbyś się, gdzie w dzisiejszych czasach pedofile ukrywają dane. Nakaz przeszukania ma szeroki zakres i chęć, byś z niego skorzystał. Pozwolimy naszym czarodziejom z kryminalistyki zająć się sprzętem. Może się dowiedzą, co Barry robił w sieci albo jeszcze lepiej, w jaki sposób nasza mścicielka go namierzyła.

- Miał szesnaście lat. Nie mógł figurować w rejestrze pedofilów - stwierdził Neil, marszcząc czoło.

- Nie był notowany - potwierdziła D. D. - Nie ma nawet utajnionych akt w sprawie zatartych wyroków.

- Więc skąd zabójczynie wiedziała...

- Charlene Grant wiedziała o jego poczynaniach, ponieważ odbierała wcześniej telefony od jego ofiar - powtórzyła szybko O.

- To kolejny dowód na to, że miała dostęp do poufnych informacji, na przykład dzięki pracy dyspozytorki w miejscowej komendzie policji.

- Lub zwabiła ofiarę w sieci - zasugerował neutralnie Phil.

- Kontaktowała się z różnymi zarejestrowanymi użytkownikami strony AthleteAnimalz. Pierwszy, który przesłał jej pornografię, stał się jej kolejnym celem.

- Dlatego waszym zadaniem jest skonfiskowanie wszystkich urządzeń elektronicznych - powiedziała D. D. do Neila i Phila.

- Nasza szesnastoletnia ofiara różni się w kilku kluczowych kwestiach od poprzednich ofiar. Młody, jeszcze nie figuruje w rejestrach sądowych i tak dalej. Kiedy powiążemy go z dwiema poprzednimi ofiarami, wreszcie odpowiemy sobie na kilka pytań.

- Przejrzyjcie jego telefon - dodała oschle O. - Sprawdźcie w rejestrze połączeń, kiedy ostatni raz dzwonił pod numer alarmowy.

D. D. przewróciła oczami, widząc, jak jednotorowo myśli detektyw do spraw przestępstw seksualnych.

- W ten sposób dochodzimy do kolejnej kwestii: jak zakończyć nasze obecne dochodzenie i ująć Charlene Grant.

- Nareszcie!

- Posłuchajcie - D. D. spojrziała kolejno na Neila i O. - Oboje macie rację: mamy do czynienia z na wpół dziką podejrzaną, która prawdopodobnie ucieknie spłoszona czymkolwiek. Dlatego musimy postępować ostrożnie. Moglibyśmy na przykład poprosić o nakaz skonfiskowania jej dwudziestki na takiej podstawie, że właścicielka odpowiada rysopisowi zabójcy. W ten sposób, jak zauważyła O, zyskalibyśmy narzędzie zbrodni, ale stracilibyśmy zabójczynię, gdyż Charlene Grant dałaby nogę. Moglibyśmy też poczekać, aż pojawi się o jedenastej wieczorem na swojej zmianie w komendzie policji w Grovesnor, gdzie sami przejmą jej broń.

Detektyw O ściągnęła brwi, najwyraźniej starając się nadążyć za tym tokiem myślenia.

- Wczoraj miała przy sobie broń, kiedy wezwałaś ją tutaj z pracy - mruknęła powoli. - To oznacza, że nosi ją ze sobą wszędzie, co jest...

- Wbrew regulaminowi - dokończyła za nią D. D. - Komenda policji w Grovesnor ma prawo zatrzymać jej broń, nie mówiąc o przeprowadzeniu później wszelkich badań, jak na przykład badania balistyczne, by sprawdzić, czy sześć pocisków znalezionych w trzech miejscach zbrodni pasuje do taurusa Charlene.

- Będzie się broniła - ostrzegła O. - Uważa, że potrzebuje broni na dwudziestego pierwszego, czyli na jutro.

D. D. wzruszyła ramionami.

- W takim razie musi poświęcić więcej czasu na zapoznanie się z regulaminem i przepisami obowiązującymi w jej miejscu pracy.

O skinęła głową.

- Sprytne - orzekła w końcu, co D. D. w większym stopniu uznałaby za komplement, gdyby ton głosu pięknej, młodej detektyw nie zdradzał jej zaskoczenia.

- Rany, dzięki. - D. D. zebrała swoje notatki, ułożyła je w jeden stos i wstała. - Musicie tylko utrzymać to w sekrecie, kiedy będziecie rozmawiać z nią dzisiaj po południu.

- Mamy rozmawiać z nią dzisiaj po południu? Po co? - O wyglądała na zdumioną. - Nie ma żadnych nowości w kwestii strony na Facebooku. Ludzie dopiero zaczynają ją lajkować. Szczerze mówiąc, nie jestem pewna, czy do ósmej jutro wieczorem mamy wystarczająco dużo czasu, nawet jak na wiralowe standardy.

- Nie chodzi o stronę na Facebooku. Mam dla niej inną wiadomość, dla której warto, aby nas odwiedziła.

Neil również wstał.

- Wiesz, kto zabił jej przyjaciółki? - zapytał.

- Nie. Odnalazłam jej matkę.

Czy wszystkie córki boją się swoich matek? D. D. zaczęła się nad tym zastanawiać po śniadaniu z rodzicami. Nawet teraz, po trzech godzinach od zdarzenia nie mogła się zdecydować, który moment spotkania był najbardziej upokarzający. Może ten, kiedy pojawiła się w holu hotelu Weston w Waltham, a jej matka zapytała ostantacyjnie:

- Kochanie, czy to nie ten sam strój, który miałaś na sobie zeszłego wieczoru?

D. D. nawet o tym nie pomyślała. Często zdarzało jej się pracować całą noc i zmiana garderoby nie była jej największym zmartwieniem. Wspomniała o tym. Ojciec wyglądał nawet,

jakby jej współczuł. Potem usiedli do stołu. Matka chciała wiedzieć, gdzie są Alex i Jack. D. D. odparła, że Alex ma dzisiaj wykłady w akademii, więc Jack jest w żłobku.

Matka znów przybrała wymowny wyraz twarzy. Jakbyssała cytrynę. To D. D. wkurzyło, ponieważ jeśli pamięć jej nie myliła, matka nie przesiadywała w domu, kiedy D. D. była dzieckiem. Wróciła do pracy. Zbyt mało dzieliło ją od etatu, by zrezygnować. D. D. chodziła do żłobka i, do diabła, pamięta, że to uwielbiała. Były tam inne dzieci, które się turlały i przewracały, brudziły i głośno śmiały. Żłobek to była nirwana. W domu słyszała ciągle: „Siedź spokojnie, nie rób min, na miłość boską, czy możesz przestać się wiercić choć na minutę?”.

Odpowiedź na wszystko brzmiała „nie”. D. D. nie potrafiła czekać cierpliwie, siedzieć spokojnie ani stać w jednym miejscu. Nawet teraz, w wieku czterdziestu jeden lat, już po pierwszych dwóch minutach śniadania kompulsywnie składała i rozkładała serwetkę na kolanach. Gdyby tego nie robiła, musiałyby zacząć krzyczeć.

Matka zamówiła miskę owoców, a ojciec tosty. D. D. wybrała jajka po benedyktyński! z dodatkowym sosem bearnaiskim.

Matka uniosła brwi ze zdziwienia. Tłuszcz, cholesterol - czy D. D. rzeczywiście powinna w tym wieku jeść takie rzeczy?

Co ciekawe, usta matki nigdy się nie poruszały, a jej gardło nigdy nie artykułowało sylab. Jak się okazało, nie musiała właściwie mówić. Była w stanie zakomunikować całą gamę oznak dezaprobaty poprzez jedno uniesienie brwi.

Gdyby D. D. nie czuła tak wielkiej wściekłości, byłaby pod wrażeniem.

Nie rozmawiali podczas oczekiwania na potrawę. Siedzieli po prostu, ojciec, matka i córka, którzy po tylu latach nie potrafili pokonać dzielących ich różnic. W końcu D. D. przestała tak bardzo się złościć i poczuła tylko przygnębienie. To byli jej rodzice, kochała ich na swój sposób, rozumiała, że oni kochają ją po swojemu i żałowała, że to za mało, by dobrze się czuli w swoim towarzystwie.

Podano śniadanie, a oni z ulgą zabrali się za jedzenie.

D. D. pomyślała, że może jakoś uda jej się przetrwać posiłek, i wtedy jej matka przeżuła ostatni kawałek kantalupy, odłożyła widelec na stół, popatrzyła D. D. prosto w oczy i oznajmiła:

- Jednego nie rozumiem: skoro Alex nadaje się na ojca twojego dziecka, dlaczego nie nadaje się na męża? Naprawdę, D. D. na co czekasz?

D. D. zamarła, trzymając w powietrzu widelec z jajkami po benedyktyńsku i wpatrywała się w matkę. Poniewczasie spojrzała na ojca, który gorliwie przyglądał się białemu lnianemu obrusowi. Tchórz.

- Cieszę się, że lubisz Alexa - wymamrotała wreszcie, a potem odłożyła widelec i czmychnęła do łazienki. Kiedy wróciła, jej matka siedziała z zaciętym wyrazem twarzy i patrzyła przed siebie. Ojciec trzymał delikatnie dłoń na jej dłoni, ale D. D. nie była w stanie stwierdzić, czy w ten sposób ją pocieszał czy prosił o wybaczenie.

Podchodząc do stolika, zdała sobie sprawę, że rodzice stanowią atrakcyjną parę w podeszłym wieku. Pasowali do siebie w sposób, który można było dostrzec z drugiego końca sali. I może w tym tkwił problem. Stanowili jedność, a ona na zawsze pozostanie postronnym obserwatorem.

Ucałowała mamę w policzek, wyczuwając jej sztywność. Ucałowała również ojca i poczuła szorstkość jego policzka na ustach. Potem zapłaciła rachunek i wyszła z restauracji.

W pewnym momencie należy pogodzić się z różnicą zdań, nawet jeśli dotyczy rodziców.

Logicznie rzecz biorąc, mogła zaakceptować ten fakt, ale to było bolesne. I zawsze takie pozostanie.

Przynajmniej gdzieś w głębi wiedziała, że matka ją kocha.

Zastanawiała się, co Charlene myśli o swej matce, kobiecie, która krzywdziła ją fizycznie przez większość jej dzieciństwa. Ale przynajmniej pozwoliła Charlene przeżyć. Według raportów policyjnych, które D. D. przeczytała tego ranka, Christine Grant nie pozwoliła na to pozostałej dwójce swych dzieci.

Rodzice i dzieci. Matki i córki.

Miłość i wybaczenie.

I zabójstwo.

D. D. wzięła do ręki telefon i wybrała numer.

Rozdział 29

Z niepokojem odebrałam telefon od detektyw Warren. Kiedy wyruszyłam na komendę główną, niepokój przybrał jeszcze na sile. Ciotka została w moim pokoju razem z Fuksją. Tak była wykończona poranną podróżą do Bostonu, że nie musiałam jej długo namawiać, aby odpoczęła. Powiedziałam jej, że przed pracą muszę załatwić parę spraw. Nie było potrzeby wspominać o rozmowie z tutejszą panią detektyw z wydziału zabójstw. O tym, że detektyw Warren namierzyła moją matkę. Że jest w posiadaniu dodatkowych informacji na temat mego rodzeństwa, o którym przypominałam sobie zaledwie kilka godzin temu. Nie było potrzeby wspominać o moim rosnącym przekonaniu, że przeszłość dogania mnie nie bez powodu. Że przypominam sobie o wszystkich dawnych zaniedbaniach na dzień Sądu Ostatecznego.

Piątkowe popołudnie, godzina piętnasta. Dwadzieścia dziewięć godzin do dwudziestej w sobotni wieczór. Niebo się w końcu przejaśniło i przybrało krystaliczny odcień błękitu, charakterystycznego dla przejmująco mroźnych zimowych dni w Bostonie.

Ten błękit raził mnie w oczy, kazał pochylić głowę i opuścić ramiona, gdy tymczasem powinnam iść wyprostowana jak struna, ze wzrokiem wbitym przed siebie, bez przerwy lustrującym otaczający mnie świat. Drzewa rzucały chude jak szkielety cienie na zaśnieżone chodniki. Na rogach ulic brejowate błoto kontrastowało z piętrzącymi się stertami pozgarnianego śniegu.

A jeśli zabójcy znudziła się idea pozbawiania życia młodej, bezbronnej kobiety w dwudziestym pierwszym dniu stycznia? Może uznał, że łatwiej mu będzie dwudziestego, gdy jego trzecia ofiara, a mianowicie ja, nie będzie się tego jeszcze spodziewać. Godzina dwudziesta także była przypadkowa, uśrednienie dwóch przybliżonych godzin zgonów w dwóch osobnych zbrodniach. Może w tym roku zabójca zdecyduje się na poranek. Albo sobotnią noc czy nawet niedzielę rano. W ciągu roku wiele się mogło wydarzyć. Zabójca mógł się przeprowadzić, znaleźć nową pracę, może się zakochać, zostać rodzicem.

Niewykluczone, że mnie śledzi. W tej chwili. Może zaczął to robić przed tygodniem. Albo przed rokiem. Funkcjonariusz Tom Mackereth, ostrożnie mnie sondujący. Albo moja ciotka, zjawiająca się nagle po niemal rocznej rozłące. Albo całe lata niewidziana koleżanka, ta

dziewczyna z liceum, której co prawda nie pamiętam, ale rozpoznam ją po spędzeniu wczorajszego dnia na przeglądaniu księgi pamiątkowej. Ktoś, w kim nie od razu dostrzegę zagrożenie. Ktoś na tyle sprytny, na tyle wyćwiczony, że zbliży się do mnie, nie uruchamiając mojego wewnętrznego alarmu.

Po dwunastu miesiącach nadal więcej miałam pytań niż odpowiedzi. Przede wszystkim odczuwałam stres, wiążący się ze zbyt wieloma nieprzespanymi nocami, i słyszałam tykanie zegara, tak już bliskiego, tak niewiarygodnie bliskiego, bardzo osobistego, bardzo przerażającego terminu ostatecznego.

Szłam chodnikiem w stronę przystanku na Harvard Square, podskakując przy każdym nieoczekiwanym hałasie. W sumie to dobrze, że zostawiłam taurusa w domu, gdyż na tym etapie gry stanowiłam zagrożenie dla siebie i innych.

Bardzo chciałam, aby był już dwudziesty pierwszy stycznia. Szczerze mówiąc, potrzebna mi była ta walka.

Jakieś skrzywienie za plecami. Odgłos szybkich kroków na zmrożonym śniegu. Uskoczyłam na bok i szybko się odwróciłam. Minęło mnie dwoje studentów okutanych grubymi, kraciastymi szalami. Chłopak dostrzegł moje akrobacje, spojrzał na mnie dziwnie, po czym objął ramieniem towarzyszącą mu dziewczynę, przyciągnął ją bliżej siebie i razem się oddalili.

Tętno zdążyło mi wrócić do normy i podjęłam marsz w stronę przystanku, kiedy odezwał się schowany w kieszeni telefon.

Wyciągnęłam go z ciekawością, a jednocześnie w nastroju fatalistycznym.

- Halo.

I usłyszałam głos dziewięcioletniego Michaela:

- Zadzwoiła do niego. Wczoraj wieczorem. Piła, potem zaczęła płakać, a potem do niego zadzwoniła.

Milczałam. Ogarnęły mnie wyrzuty sumienia i wstyd. Michael, jego siostra Mica i matka Tomika, rodzina, którą próbowałam ocalić. Mały Michael, którego pozbawiłam ojca, metalowe pręty wystające z jego zakrwawionego torsu.

- Ale on nie odebrał - kontynuował Michael, szybko i beznamiętnie, chcąc się podzielić tym, co wie. - Odebrał... odebrała Tillie, nasz sąsiad z naprzeciwka, i powiedział... powiedziała, że Stan spadł ze schodów przeciwpożarowych. Powiedział... powiedziała, że Stan nie żyje.

- Powiedział czy powiedziała? - Tylko te słowa były w stanie wydobyć się z moich ust.

- Nasz sąsiad, Gary Tilton. Tyle że teraz on to ona, więc mówimy na Tillie raz on, raz ona.

- Okej.

- Charlie... czy Stan naprawdę nie żyje?

- Tak.

- To dobrze!

Zaskoczyła mnie gwałtowność w jego dziecięcym głosie. Wzdrygnęłam się.

- Ona zamierzała do niego wrócić. Razem z nami. Dwa dni nie minęły, a życie już się stało zbyt trudne i potrzebowała swojego faceta, chociaż połamał nam palce. Krzychałam na nią, Charlie. Kazałam jej tego nie robić. Powiedziałem, że przecież obiecała nam tego nie robić, ale ona tylko jeszcze bardziej się rozplakała i wzięła do ręki telefon. Dlaczego ona taka jest, Charlie? Dlaczego nas nie kocha bardziej?

Michaelowi załamał się głos. Nie mówił już szybko i beznamiętnie. Płakał, mały chłopiec

wstrząsany spazmatycznym szlochem, a ja stałam obok śnieżnej zasy, szukając w głowie słów, którymi mogłabym jednocześnie uspokoić dziecko i złagodzić wyrzuty sumienia.

Ocalałam tego chłopca, pozbawiając życia jego ojca. Zabawiłam się w anioła zemsty. Zabiłam go w imię nadziei.

Co chyba w sumie miało sens, jako że dziewięcioletni Michael jednocześnie oplakiwał ojca i cieszył się z jego śmierci.

- Przykro mi - powiedziałam w końcu.
- Czy ona dojdzie do siebie? - zapytał, przełykając łzy.

Wiedziałam, że nie chodzi mu o młodszą siostrę, lecz matkę.

- Daj jej czas, Michael. Wasza mama nigdy dotąd nie była sama. Musi się tego nauczyć.
- Znajdzie po prostu jakiegoś innego palanta - orzekł, zapewne słusznie.
- Zostajecie tam czy mama mówi coś o powrocie? - Wcześniej nie przyszło mi do głowy, że wiadomość o śmierci Stana może stanowić dla Tomiki zachętę do powrotu na stare śmieci, być może do opowiedzenia nawet ludziom o tym, co zrobiła, o tym, jak jej pomogłam.

- Nie możemy wrócić. Zamykają budynek. Muszą go naprawić.
- Podoba wam się tam, gdzie teraz jesteście?
- Mnie podwórko. Dużo drzew i w ogóle. A w mieszkaniu jest dużo słońca. Mice podobają się okna. Wczoraj stała w nich cały dzień. Uśmiechnęła się nawet.

- To dobrze, Michael, naprawdę się z tego cieszę.
- Mama mówi, że na razie nie musimy płacić.
- Zgadza się, przez jakiś czas nie musicie.

Zapłaciłam za dwa miesiące z góry za wynajem zaadaptowanego poddasza, skąd blisko było do parku i porządnej podstawówki. Zadałam sobie sporo trudu, aby znaleźć to miejsce, mając nadzieję, że w ładnym mieszkaniu z opłaconym czynszem Tomika szybciej zrozumie, że da radę mieszkać sama i być szczęśliwa. Ale może to była z mojej strony naiwność. Miałam ochotę zadzwonić do Tomiki i nakazać, aby wykazała się hartem ducha. Ale jednocześnie miałam przed oczami siebie samą na pogotowiu, po raz kolejny skrzywdzoną przez własną matkę, mnie, która nigdy nie pisnęła na ten temat ani słowa.

- Mama chce jechać na pogrzeb. Mówi, że skoro on nie żyje, to może należą się nam jakieś pieniądze.

Milczałam. Tego akurat nie wiedziałam.

- Ja myślę, że nie powinniśmy jechać. Przecież wyjechaliśmy. Lepiej, żeby tak zostało. Według mnie bezpieczniej.

- Może we trójkę urządzić pogrzeb waszemu ojcu.
- Nie. - W głosie Michaela znowu pojawił się gniew dorosłego mężczyzny.
- Tęsknota za ojcem to nic złego, Michael. Przecież nie zawsze był zły. Założę się, że czasami był dla ciebie dobry. Założę się, że lubiłeś te chwile. Założę się, że tęsknisz za tamtym tatą.

Nie odpowiedział.

- Moja mama głaskała mnie kiedyś po głowie - szepnęłam. - W nocy, kiedy dręczył mnie zły sen. Gładziła mnie po głowie i śpiewała. Kochałam tamtą mamę. Tęsknię za nią.

- Zobaczysz się z mamą?
- Nie.

- Nadal... nadal się jej boisz?

Pragnęłam mu powiedzieć, że nie. Że teraz jestem dorosła, gotowa wystrzelać, pobić i przegonić wszystkie czające się w ciemnościach cienie. Ale nie potrafiłam okłamać Michaela.

- Tak - odparłam. - Przez cały czas.

- Jak umarł mój tata, Charlie?

- Wszystko już dobrze, Michael. Jesteś silnym chłopcem, a twoja mama i siostra mają szczęście, że cię mają.

Ziemia pod nogami zaczęła mi się trząść, sygnalizując przyjazd metra.

- Muszę teraz kończyć, Michael. Dzięki za telefon. Możliwe, że na jakiś czas wyjadę. Jeśli zadzwonisz, a ja nie odbiorę... Wiedz, że o tobie myślę, Michael. Wierzę w ciebie. Jesteś silnym chłopcem i dasz sobie radę.

- Charlie... Dziękuję.

I rozłączył się. Wsunęłam telefon do torby i zbiegłam na peron.

Zanim wsiadłam do wagonu, popatrzyłam w lewo i w prawo. Usiadłam plecami do ściany, w takim miejscu, skąd miałam widok na wszystkie drzwi, wszystkich wsiadających i wysiadających. Na kolanach postawiłam sobie czarną skórzaną listonoszkę i zacisnęłam na niej dłonie.

Przyglądałam się bacznie twarzom, napotykałam spojrzenia.

A moi współpasażerowie jeden po drugim wstawali i oddalali się ode mnie.

Siedziałam sama i nawet wtedy nie czułam się bezpiecznie.

- Charlene Rosalind Carter Grant.

Detektyw D. D. Warren wypowiedziała te słowa powoli, każdemu dodając odpowiedniej wagi. Spotkałyśmy się w holu. Zapytała mnie o psa, zapytała o broń i wydawała się autentycznie zdziwiona, być może nawet sceptyczna, kiedy się dowiedziała, że ośmieliłam się przyjechać do Roxbury bez jednego i drugiego.

Zamiast do swego klitkowego gabinetu zaprowadziła mnie do niezbyt dużej sali konferencyjnej, w której znajdował się stół na tyle duży, aby zmieściło się przy nim osiem osób. Jednak oprócz nas była tu jedynie detektyw O. Stała plecami do dużej białej tablicy. Miała na sobie jasnoniebieską koszulę o męskim kroju.

Kiedy podeszła do niej detektyw Warren, zobaczyłam, że bardzo dziś do siebie pasują, jako że D. D. ubrana była w koszulę o niemal identycznym odcieniu, tyle że uszytą z jedwabiu. Do tego czarne spodnie, a O w grafitowe w cienkie prążki w odcieniach błękitu i szarości. D. D. krótkie, jasne włosy miała rozpuszczone i te kręcone pukle niemal łagodziły surowe rysy twarzy, gdy tymczasem O ciemnobrązowe włosy miała spięte na karku w ciasny kok.

Dwie współgrające i kontrastujące sylwetki policjantek. Jedna starsza, druga młodsza. Jedna wysportowana, druga bardziej kobieca. Jedna z niebieskimi oczami, druga z brązowymi.

Obie profesjonalistki.

Żałowałam, że nie zabrałam ze sobą Fuksji, po to chociaż, aby mieć w tej sali bratnią duszę.

- Charlene Rosalind Carter Grant - powtórzyła D. D. powoli.

- Dlaczego nam nie powiedziałaś?

- Wygląda na to, że moja przeszłość przypomina mi się tylko fragmentami.

Przyjrzała mi się podejrzliwie.

- Podałaś nam dwa nazwiska, Rosalind Grant, Carter Grant.

Kiwnęłam głową.

Rzuciła na stół teczkę. Wylądowała na blacie z cichym plaśnięciem, a ja się wzdrygnęłam.

- Proszę bardzo. Kompletny raport. Siostra. Brat. Matka. Czytałaś to w ogóle?

Pokręciłam głową. Zmierzyłam wzrokiem teczkę, nie wyciągając po nią ręki.

Moja ciotka mówiła, że lekarze jej poradzili, abym sama sobie o wszystkim przypomniała. Że poruszanie tej kwestii, nim będę na to gotowa, może mi wyrządzić jeszcze większą emocjonalną krzywdę.

Większą krzywdę niż co? Budzenie się co rano i świadomość, że kiedy śnią mi się koszmary, jak moja matka kopie nocą groby, mając zamiast włosów syczące węże, to nie do końca jest to wytworem mojej wyobraźni?

Błada, nieruchoma dziewczynka. Jeszcze mniejszy od niej chłopiec, wyglądający jak marmurowa figurka. To o tym próbowałam zapomnieć przez minionych dwadzieścia lat. Rosalind Grant. Carter Grant. Małeńka siostra i małeńki brat, których kiedyś kochałam, a którzy przegrali z szaleństwem mojej matki. Dzieci płaczące na korytarzu. Nawet jako kilkulatek wiedziałam, że muszę im pomóc. Powiedzieć pielęgniarce. Uciec z nimi w deszczową noc.

Na swój sposób próbowałam. Ale byłam mała i bezbronna, a moja matka wszechwiedząca i wszechpotężna. Ostatecznie zdecydowałam się zapomnieć o tym, czego nie byłam w stanie zmienić.

Jedna matka wariatka. Dwoje zamordowanego rodzeństwa.

Chyba nikogo nie powinno dziwić, że moja psychika jest tak porąbana.

Wpatrywałam się teraz w szarą teczkę. Pomyślałam, jakie to niesprawiedliwe, że całe życie mojej siostry i mego brata da się zamknąć w jednej cienkiej tezcze. Zaslugiwali na coś lepszego. Wszyscy zasługiwaliśmy.

- Dlaczego ty? - zapytała rzeczowo detektyw O. - Ty przeżyłaś. Oni nie. Na pewno się nad tym zastanawiasz, masz własne teorie w tej kwestii. Lepiej współpracowałaś, byłaś grzeczną dziewczynką? Może oni byli ryczącymi bachorami...

- Proszę przestać. - Chciałam, aby zabrzmiało to stanowczo, ale głos miałam niewiele głośniejszy od szeptu. Odkasznęłam i spróbowałam jeszcze raz. - Chcecie mi dokopać, proszę bardzo. Ale nie im. To były małeńkie dzieci. Zostawcie je w spokoju, inaczej zaraz stąd sobie pójdę.

Detektyw Warren patrzyła gniewnie na swoją partnerkę, wyraźnie mnie popierając. A może nie. Może to tylko najnowszy odcinek serialu pod tytułem *Dobry glina, zły glina*. Ale wtedy coś sobie uświadomiłam: wcale nie chciały rozmawiać ze mną o zabójstwach sprzed dwudziestu dwóch lat, do których doszło w zupełnie innym stanie. Nie wspomniały także ani słowem o stronie na Facebooku ani o tym, w jaki sposób zarzucić przynętę na zabójcę szykującego się na jutrzejszy wieczór. Zaprezentowały mi tylko teczkę z policyjnymi raportami z czasów mego dzieciństwa.

Chciały czegoś ode mnie. Pytanie brzmiało: czego i ile mnie to będzie kosztować.

- Co pamiętasz? - zapytała mnie teraz detektyw Warren. - Z dzieciństwa?

Wzruszyłam ramionami, nie odrywając wzroku od zamkniętej teczki.

- Niewiele. Nie mogę... Nie... - Musiałam odkasznąć i zacząć od nowa. - Nie pamiętam

nawet brata. Żadnego uśmiechu, żadnego płaczu... Tylko jego ciało. Idealne małe ciało, nieruchome jak porcelanowa figurka. - Ponownie odkaslnęłam, ale to nic nie dało. Wbiłam wzrok w wykładzinę. - Przykro mi.

- Mogło być tak, że w ogóle nie widziałaś go żywego - zasugerowała D. D. - Lekarz sądowy skonsultował się w sprawie szczątków z antropologiem sądowym. Wielkość szkieletu sugeruje, że chłopiec został raczej donoszony, ale możliwe, że urodził się kilka tygodni przed terminem, być może zmarł jeszcze w łonie matki. Tak czy inaczej można uznać, że nie pożył za długo.

- Chłopcy są paskudni - usłyszałam swój głos. - Chłopcy dorastają i zamieniają się w mężczyzn, którzy od dziewcząt chcą tylko jednego.

Nie moje słowa, lecz wspomnienie usłyszanych kiedyś zdań. Pokręciłam lekko głową, jakbym chciała wyrzucić te słowa z myśli.

- Kiedy się urodził?

- Nie wiem. Brak aktu urodzenia.

- Na imię miał Carter. Nie wiem, skąd we mnie ta pewność, ale wiem, że to był Carter.

- Tak było napisane na pojemniku plastikowym.

Wzdrygnęłam się.

- Ona go zabiła. Urodziła i zabiła, tak właśnie uważacie.

Starsza pani detektyw wzruszyła ramionami.

- Formalnie rzecz biorąc, twoją matkę oskarżono o zbezczeszczenie zwłok i zatajenie śmierci dziecka. Szczątki szkieletu nie pozwalają stwierdzić, czy dziecko przyszło na świat martwe czy też zabito je po narodzinach. Jednakże logika sugerowałaby...

- A ty jak uważasz? - odezwała się detektyw O. Jej głos był bardziej stanowczy. - Mieszkałaś z tą kobietą. Powiedz nam, co się tam mogło wydarzyć.

- Nie pamiętam chłopca. Jedynie jego imię. Może mi je podała. Może przeczytałam je na pudełku. Nie wiem. Widziałam ciało. Pamiętam imię Carter. Przybrałam je, uczyniłam częścią siebie. To taki mój osobisty sposób na jego uczczenie.

- Ale dopiero co powiedziałaś, że go nie pamiętasz.

Podniosłam wzrok na detektyw O.

- Okłamywanie samej siebie jest możliwe. Da się jednocześnie wiedzieć i nie wiedzieć o czymś. Mnóstwo ludzi tak robi. To się nazywa radzenie sobie z życiem.

- Opowiedz nam o Rosalind - powiedziała ostro młodsza policjantka.

- Kochałam ją. Płakała, a ja próbowałam... Kochałam ją.

- Urodziła się pierwsza? - zapytała D. D.

- Nie wiem. Ale dłużej żyła. Zgadza się?

- Prawdopodobnie rok - powiedziała cicho detektyw.

Ponownie wbiłam wzrok w podłogę. Obraz miałam zamazany. Moje oczy pływały, przekształcając niebieskoszarą wykładzinę w poruszające się morze żalu.

- Byłam na pogotowiu - usłyszałam własny szept. - Matka nakarmiła mnie pokruszoną żarówką. Byłam na pogotowiu, wymiotując krwią, i była tam też taka miła pielęgniarka. I pamiętam, jak myślałam, że muszę jej powiedzieć. Gdybym tylko była jej w stanie powiedzieć o dziecku. Ale nie byłam. Nie powiedziałam. Matka dobrze mnie wyszkoliła.

Policjantki milczały.

- Nie rozumiem - podjęłam po chwili. - Moja ciotka jest miła i normalna. Ja sama przepadam

za szczeniakami i kociętami i nie bawię się zapalkami. A mimo to moja mama, moja własna matka... Robiła mi takie potworne rzeczy po to tylko, żeby zyskać czyjąś uwagę. A i tak to ja byłam dzieckiem, któremu dopisało szczęście.

- Tak właśnie siebie postrzegasz? - weszła mi w słowo detektyw O. - Jako szczęściarę?

Podniosłam na nią wzrok.

- Jaja sobie pani odpierdala czy co?

Oczy zaszokowanej młodszej policjantki rozszerzyły się i wtedy do akcji wkroczyła D. D., kładąc dłoń na ramieniu koleżanki.

- Obie próbujemy po prostu zrozumieć - oświadczyła D. D., posyłając detektyw O znaczące spojrzenie - jak udało ci się przeżyć tak tragiczne dzieciństwo i jaki może mieć to wpływ na twoje obecne położenie.

Przyglądałam jej się wzrokiem pozbawionym wyrazu, wyraźnie nie nadążając za jej tokiem myślenia.

- Nie wiem, jak udało mi się przeżyć. Obudziłam się w szpitalu, stamtąd zabrała mnie ciotka, a potem ze wszystkich sił starałam się nie myśleć o przeszłości. Tych kilka wspomnień z dzieciństwa pojawia się głównie w moich snach, a to przecież znaczy, że wcale nie muszą być prawdziwe. Nie wiem. Nie chciałam wiedzieć. Celowo i z determinacją usunęłam z pamięci osiem pierwszych lat swego życia. A jeśli to oznacza, że wspomnienia z dwudziestych ośmiu lat także są wybrakowane, no to cóż, tak już mam. Nie zapomina się pierwszego dnia w szkole, psa, którego się miało w trzeciej klasie, sukienki ze studniówki. Ze mną jest inaczej.

Obie przyglądały mi się sceptycznie.

- Naprawdę sądzisz, że w to uwierzymy? - Pierwsza odezwała się detektyw O, czyli zły policjant. - Wyrzuciłaś z pamięci całe dzieciństwo?

- Robię to z większością mego życia. Po prostu nie pamiętam różnych rzeczy. Nie wiem, jak inaczej mam to wyjaśnić. Pierwszy tydzień mego życia, ostatni tydzień mego życia. Nie wiem. Nie rozpamiętuję niczego. Może to dziwaczne, ale skuteczne. Budzę się każdego ranka. A z tego, co rzeczywiście pamiętam z czasów sprzed ciotki Nancy, nie chciałam się więcej budzić. Żyłam i napawało mnie to dojmującym rozczarowaniem. Miałam osiem lat - szepnęłam. - Osiem lat i już żałowałam, że żyję.

- Proszę nam opowiedzieć o swoich snach - rzekła D. D.

- Czasami śni mi się płacz dziecka. Wydaje się bardzo rzeczywisty. Wczoraj jednak śniło mi się, że moja matka kopała grób podczas burzy. A włosy miała pełne węży, syczących na mnie, a ja zabrałam z szafy na korytarzu małą dziewczynkę i uciekłam. Tyle że oczywiście włosy mojej matki to nie były węże, no i jasne, nie ma takiej opcji, aby kilkulatek weszła na drzewo, trzymając w ramionach niemowlę, nie wspominając o tym, że w moim śnie dziewczynka miała na imię Abigail, a przecież brzmiało ono Rosalind.

- Abigail? - zapytała ostro detektyw O. Wymieniła spojrzenia z detektyw D. D. - Opowiedz nam o Abigail.

Pokreśliłam głową i pomasaowałam skronie, gdzie czułam już ból.

- Wy mi opowiedzcie. Wiecie o jakiejś Abigail? Pytałam ciotkę Nancy i ona nie wie. Było dwoje dzieci. Rosalind i Carter. Żadnej Abigail.

- Brak aktów urodzenia, pamiętasz? Nie ma pewności. - D. D. przyglądała mi się równie nieustępliwie, jak detektyw O. - Jak ta Abigail wyglądała w twoim śnie?

- Jak małe dziecko. Uśmiechnęła się do mnie. Duże brązowe oczy.
- Brązowe oczy - weszła mi w słowo detektyw O. - Nie niebieskie?
- Nie wiem. W moim śnie były brązowe. Ale... może. Wszystkie dzieci rodzą się z niebieskimi oczami, prawda?

- Ale ty pamiętasz brązowe - powiedziała D. D. - Niebieskie oczy mogą się zmienić w brązowe, ale nie dzieje się tak, że dziecko rodzi się z brązowymi, które potem stają się niebieskie.

Czułam konsternację.

- Moja ciotka mówiła o dwójce dzieci, że to wszystko, co znalazła policja.

- Niewykluczone, że były także inne dzieci - rzekła cicho D. D. - W policyjnym raporcie napisano, że twoja matka dużo się przemieszczała, rzadko zostając w jednym miejscu na dłużej niż rok. To pewnie pomagało jej ukrywać kolejne ciąży i unikać zbyt wielu pytań. Funkcjonariusze przeszukali oczywiście miejsca, w których mieszkała, ale inne ciała mogła przecież zakopać, pozbyć się ich na przykład w lesie.

- Co za kobieta robi coś takiego?

- Psychopatka. - D. D. wzruszyła ramionami. - Zastępczy zespół Münchhausena wiąże się z narcyzmem, kobieta uprzedmiotowia, następnie robi krzywdę własnemu dziecku, co ma jej zapewnić współczucie. Dzieciobójstwo niewiele się od tego różni. Ciężę postrzegła jako niedogodność, możliwe nawet, że niemowlę traktowała jako rywala w walce o zwrócenie na siebie uwagi. I zrobiła to, co uznała za słuszne.

- A ty jak sądzisz, Abigail? - odezwała się detektyw O.

- Proszę?

Detektyw Warren spojrzała na O, ściągnęła brwi, po czym zwróciła się do mnie:

- Próbowalaś w ogóle odnaleźć swoją mamę?

- Nie. - Zawahałam się i dotknęłam palcami boku. - Ja, eee... zakładałam, że stało się coś złego. Wiem, że wylądowałam w szpitalu, że byłam poważnie ranna. A potem przyjechała ciotka. Nigdy więcej nie widziałam matki, a ciotka nigdy o niej nie wspominała. Zakładałam... zakładałam, że może ja coś jej zrobiłam.

- Policja otrzymała zgłoszenie. Ktoś zadzwonił pod 911. Znaleziono ciebie, całą zakrwawioną. Przeszukanie domu zaowocowało znalezieniem w szafie na korytarzu dwóch plastikowych worków z ludzkimi szczątkami. Wydano nakaz aresztowania twojej matki, ale nigdy do tego nie doszło.

- Ale mówiła pani, że ją znaleźliście.

- Mówiłaś, że rozmawiałaś ze swoją ciotką - wtrąciła O. - Przyjechała tutaj? Czy też rozmawialiście przez telefon?

- Jest tutaj...

- Gdzie?

- W moim pokoju...

- Kiedy przyjechała?

- Dziś rano.

- A wczoraj wieczorem?

- Co wczoraj wieczorem?

- Gdzie się udałaś po naszej rozmowie? Rozmawiałaś z ciotką, spotkałaś się z przyjaciółmi, wyszłaś z psem na spacer?

- Udałam się do domu. Poprzedniej nocy pracowałam i w ogóle potem nie spałam. Byłam wykończona.

- Gospodyni była w domu? - odezwała się D. D., przekierowując moją uwagę z powrotem na siebie. - Widziała, jak wchodzisz albo wychodzisz, może to poświadczyć?

- Nie wiem. Zaraz... Nie. Miałam ze sobą Fuksję, a jej nie wolno wchodzić do domu, ale na dworze było za zimno, więc przeszmygłowałam ją tylnym wejściem.

- Co znaczy, że nikt nie widział, jak wracasz do domu. - Kolej na detektyw O.

- Raczej nie.

- A dziś rano? - Ponownie detektyw Warren.

- Wysłałam o czwartej...

- Rano?

- Nie mogłam spać. Jestem przyzwyczajona do pracy na nocną zmianę. Poszłam na siłownię.

- Więc o czwartej rano ktoś na pewno cię widział. - Detektyw O. - Ale nie wcześniej.

- Nie wiem! - Wyrzuciłam ręce do góry.

- Owszem, wiesz. Starłaś się być niewidzialna i ci się udało. - Detektyw Warren. - Zatem nikt cię nie widział.

- Mówiła pani, że wiecie, gdzie się znajduje moja matka!

- Wiemy.

- Gdzie?

- Mówiła na ciebie Abigail? - Detektyw O.

- Słucham? Nie. Jestem Charlene. Charlie. Fakt, że dodałam dwa imiona, nie oznacza, że nie znam własnego.

Detektyw O uniosła brew.

- Och, a mnie się wydaje, że nie wiesz o wielu rzeczach.

- Chcę się dowiedzieć, gdzie jest moja matka!

- W Kolorado - odparła D. D.

- Macie adres?

- Można tak powiedzieć - rzekła D. D., nie spuszczać ze mnie wzroku.

- Chcę go dostać.

- Nie martw się, ona donikąd się nie wybiera.

Zawahałam się i popatrzyłam nieufnie na obie policjantki.

- To więzienie? W końcu została złapana? - I ułamek sekundy później: - Nie, bo gdyby ją aresztowano, to byłby proces i ktoś by się ze mną skontaktował. Wezwano by mnie na świadka. - Kolejne wahanie. Poruszające się trybiki w mojej głowie. - Szpital psychiatryczny? W końcu pękła, ujawniła swoją wewnętrzną wariatkę i ją zamknęto.

- Uważasz, że jest szalona? - zapytała detektyw O.

- Skrzywdziła mnie. Zabiła dwoje dzieci. Oczywiście, że jest szalona!

- W ogóle o tym nie pamiętałaś. Co to mówi o tobie?

Wyprostowałam się, wpatrując w młodszą policjantkę. I w tym momencie mnie olśniło. Detektyw O nie przerażały czyny mojej matki. Przerażałam ją ja.

Dziewczynka, która przeżyła to wszystko, ale prawie nic nie pamiętała. Dziewczynka, która mogła przynajmniej chodzić po całym domu, gdy tymczasem jej maleńka siostra i brat żyli i umarli w szafie. Dziewczynka, która następnie ukradła imiona nieżyjącego rodzeństwa.

Przez całe życie dręczył mnie strach, że zrobiłam krzywdę mamie. Teraz pożałowałam, że nie mogę cofnąć się w czasie i tak właśnie zrobić. Może gdybym to zrobiła, przynajmniej jedna chwila mego życia warta by była zapamiętania, jedno wspomnienie, które zapewnia pociechę.

- Ona nie żyje - oświadczyła teraz detektyw Warren. - Jest pochowana w Boulder jako N.N. Przyszło mi do głowy, że prawdopodobnie używała jakiegoś fałszywego nazwiska po tamtej nocy, kiedy pchnęła cię nożem...

- Co takiego?

Obie policjantki zawahały się i popatrzyły na mnie. Przyłożyłam dłoń do boku, a w moich oczach pojawiło się zrozumienie.

Pierwsza odezwała się detektyw O.

- Poważnie? Pchnięto cię nożem i o tym także zapomniałaś?

- Byłam w szpitalu. Usunięto mi wyrostek i kilka innych... rzeczy. Pamiętam rozmowę lekarzy. - Wzruszyłam ramionami, ponownie świadoma swoich niedostatków, ogromu dobrowolnej głupoty. - Wiedziałam tyle, że mnie rozcięto, a potem pozszywano. - Kolejne wzruszenie ramion. - Kiedy ma się osiem lat, czy powód ma rzeczywiście znaczenie?

Detektyw O pokręciła głową.

D. D. odkaslnęła.

- W raporcie policyjnym napisano, że w domu doszło do jakiejś przepychanki. Pchnięto cię nożem. Twoja matka musiała uciec, ponieważ wygląda na to, że ty zadzwoniłaś pod 911.

Zaintrygowało mnie to. Jak to jest, że można jednocześnie coś wiedzieć i nie wiedzieć?

- Lekarzom udało się uratować ci życie, ale twojej matki nigdy nie znaleziono. Zważywszy na styl jej życia, uznałam, że natychmiast przeniosła się w inny rejon. Jedynym sposobem na tak długie ukrywanie się przed wymiarem sprawiedliwości było przybranie fałszywego nazwiska. Zaczęłam więc od sąsiednich stanów, szukając kobiety w wieku twojej matki i o zbliżonym do niej wyglądzie, włączając w to znamię w kształcie ananasa na prawym pośladku. Dzięki inicjatywie federalnej niedawno do ogólnokrajowej bazy danych wprowadzono opisy niezidentyfikowanych zwłok. Znalazłam ją w Kolorado. Aby mieć pewność, oczywiście powinnaś oddać do zbadania próbkę DNA, ale oprócz charakterystycznego znamienia na ciele znajdowały się dwa tatuaże: imię Rosalind i imię Carter, oba nad lewą piersią.

- Nienawidzę jej. - Te słowa wydostały się z mych ust, nim zdążyłam je zatrzymać. Nie cofnęłam ich jednak. - Jak ona śmie? Najpierw zabija własne dzieci, a potem tatuuje sobie ich imiona nad sercem? Jakby je kochała?! Jakby zasługiwała na to, aby mieć je blisko siebie?

Nie siedziałam już na krześle, tylko przemierzałam niewielkie pomieszczenie. Dłonie miałam zaciśnięte w pięści. Marzył mi się ciężki worek. Miałam ochotę walnąć pięścią w drewnianą ścianę. Przy odrobinie szczęścia natrafiłabym na gwóźdź i rozharatała sobie dłoń. W tej akurat chwili ból fizyczny przyjąłabym z otwartymi ramionami.

- W jaki sposób umarła?

- Nie wiadomo. Kiedy znaleziono ciało, nie żyła już dość długo, przez co był problem z ustaleniem przyczyny zgonu. Koroner orzekł, że najbardziej prawdopodobną przyczyną stały się komplikacje będące skutkiem zaawansowanej choroby alkoholowej, na przykład uszkodzenie wątroby.

- Bolało ją to? Cierpiała? Czyjej ostatnie chwile były potworne i pełne straszliwego bólu?

Oczy detektyw O rozszerzyły się. Wpatrywała się we mnie jak zahipnotyzowana, po czym się

nachyliła w moją stronę.

- Jesteś wściekła.
- A jestem!
- Czujesz bezradność?
- Dlatego, że to nie mnie się udało ją zabić!
- Żałujesz, że nie można zmienić przeszłości? Cofnąć się do niej? Tym razem uratowałabyś

siostrę i brata?

- Tak!
- Może udałoby ci się uratować inne dzieci. Dopilnować, aby nie cierpiały tak jak ty i twoje rodzeństwo.

- Nie tak powinno być. Mnie zraniła, je udusiła i nikt nam nie pomógł. Nikt nie zrobił zupełnie nic!

- Skąd wiedziałaś, że je udusiła? - zapytała detektyw Warren.
- Zakładam, że tak właśnie było. Kobiety na ogół w taki sposób to robią, no nie?
- Policja cię zawiodła - rzekła detektyw O.
- Tak.
- Ale teraz współpracujesz przecież z policją. Wiesz, że w większości przypadków mają związane ręce.

- Tak.

- No i te telefony, które odbierasz, noc za nocą. Mali chłopcy bici przez ojców, dziewczynki molestowane przez opiekunów. Co możesz zrobić, co cokolwiek może zrobić? Zapisać nazwisko i numer telefonu. Hej, mały, twoje życie to piekło, zaraz sobie wszystko zanotuję. Założę się, że kiedy wracasz do domu, cała jesteś nabuzowana i aż się palisz do działania. Myślisz pewnie, że ty nie jesteś policjantem i twoje ręce nie pozostają związane. Możesz strzelać, możesz wymierzać ciosy, możesz uciec.

Zbyt późno zdałam sobie sprawę z zastawionej na mnie pułapki. Zbyt późno ugryzłam się w język. Gorączkowo usiłowałam sobie przypomnieć, o co dokładnie mnie pytały i jakich udzieliłam odpowiedzi. Ale przecież pamięć miałam beznadziejną i na to wszystko było już za późno.

Detektyw O wyraźnie się rozkręcała.

- Kiedy podjęłaś decyzję, że przynajmniej jeden z tych skurwieli zasługuje na śmierć? W jaki sposób wybrałaś cel? Telefon, który odebrałaś, sprawa, która przyciągnęła twoją uwagę? Może rozmowa policjantów, relacjonujących sobie sytuację, na jaką natrafili podczas służby. Jak mało mogli zrobić i jakie to beznadziejne, a ty słuchałaś i przypominałaś sobie. Przypominałaś sobie to, o czym nie chciałaś pamiętać... dom matki, pojemniki w szafie, to, że nikt ci nie pomógł.

- Nie wiem, o czym pani mówi.

- Jak się czułaś po wszystkim, kiedy miałaś świadomość, że nareszcie uratowałaś dziecko? To ci musiało dać niezłego kopa. Możesz nam o tym powiedzieć, wiesz? Pracujemy w policji, ale jesteśmy także ludźmi. Rozumiemy, co robisz i dlaczego trzeba to zrobić.

Wzięłam się w garść, wyprostowałam się, uniosłam podbródek. Detektyw O wbijała we mnie badawczy wzrok. Zmusiłam się do tego, aby spojrzeć jej w oczy.

- Nie zna mnie pani.

- Ależ znam. Pytanie brzmi, jak dobrze ty znasz samą siebie.

- Wychodzę. - Chwyciłam listonoszkę.
- Uciekasz.
- Macie nakaz?
- Robisz uniki. Uciekasz. Robisz to, co ci najlepiej wychodzi.
- Byłam tylko dzieckiem.
- To skąd wiedziałaś, że zostały uduszone?

Zamrugalam, dłonie zaciskając na pasku torby, w pełnej gotowości do ucieczki, tyle że nagle detektyw O nie zwracała się już do mnie. Mówiła do D. D.

- Przystudiowałam zastępczy zespół Münchhausena. Nie natrafiłam na ani jeden przypadek matki, która krzywdzi jedno dziecko w celu zwrócenia na siebie uwagi, jednocześnie zabijając potajemnie inne. W wielu przypadkach z bycia w ciąży matka robiła wielkie halo. Eksploatowała ją, aby przyciągnąć uwagę innych ludzi. Potem, kiedy dzieci były już na świecie, dusiła je w środku nocy i twierdziła, że to nagła śmierć łóżeczkowa. Och, cóż za tragedia, fala publicznego wsparcia, niekończące się wizyty sąsiadek z półmiskami z jedzeniem. Można zrozumieć, jaki coś takiego miało wpływ na osobę z tego typu zaburzeniami. Jak ta osoba mogła się czuć wręcz zmuszona do zrobienia tego po raz kolejny. Ale nigdy nie słyszałam o matce z Münchhausenem, która ucieka się do potajemnego dzieciobójstwa. Gdzie w tym fala publicznego wsparcia, emocjonalna satysfakcja? I zastanawiam się teraz, czego jeszcze Charlene nie pamięta. Czego jeszcze mogła się dopuścić.

- Ja bym nigdy...

- Spójrz mi w oczy, Charlene. - Detektyw O okrążyła stół, zbliżając się do mnie. - Spójrz mi w oczy i powiedz, że nie jesteś zabójczynią.

Otworzyłam usta. Zamknęłam usta. Ponownie otworzyłam usta i wydobyło się z nich jedno słowo, ale takie, jakiego się spodziewałam.

- Abigail - szepnęłam.

- Abigail?

- Abigail - powtórzyłam żałośnie. I uniosłam rękę. Wyciągnęłam ją, jakbym chciała dotknąć kogoś, kogo tu w ogóle nie ma.

- Charlene... - zaczęła detektyw Warren.

Ale ja nie czekałam, aby usłyszeć więcej. Nie miały nakazu. Nie mogły mnie aresztować, nie mogły mnie zatrzymać.

Dotarło do mnie, że może to być moja ostatnia szansa.

Mając za sobą rok intensywnych treningów, zlustrowałam swoich przeciwników. A potem odwróciłam się i wyszłam.

Rozdział 30

- Taaa, w życiu po tej rozmowie nie przyjdzie jej do głowy, że jesteśmy na jej tropie. Co za subtelność i delikatność. Wzbudzanie zaufania. Założę się, że Charlene udała się teraz do domu, aby zrobić dla nas obu bransoletki przyjaciół. Co ty sobie myślisz? - warknęła D. D.

Detektyw O popatrzyła na nią gniewnie, odsunęła od stołu krzesło i usiadła.

- Jest winna. Wiesz, że jest winna. Widziałas jej twarz? „Powiedz mi, że nie jesteś zabójczynią, Charlene”. Ona nie mogła tego zrobić. Nie mogła tego zrobić!

- Cholera, trzeba będzie zorganizować wóz patrolowy, żeby ją śledził. Jasne, nie mamy dowodu, że jest podejrzaną, nie mówiąc o budzecie na funkcjonariusza. Cholera do kwadratu. - D. D. także wysunęła krzesło i usiadła. Przed nią leżała szara teczka. Nie otworzyła jej. Obejrzała zdjęcia z miejsca zbrodni o piątej rano, pierwszej nocy z dała od Jacka.

Co ciekawe, to nie widok maleńkich szkieletów tak ją poruszył. Kości palców wielkości ziaren ryżu. Niezrośnięte kości czaszki chłopczyka, tworzące stosik niczym poźółkłe płatki róż.

Zwłoki dziewczynki uległy lekkiej mumifikacji, delikatna skóra otulała drobne kości. Na pierwszy rzut oka wyglądało to jak makabryczna lalka, która miała nawet długie ciemne włosy. Dopiero uważniejsze spojrzenie ujawniało, że kiedyś to było żywe dziecko, w wieku od dwunastu do osiemnastu miesięcy, które prawdopodobnie siedziało, raczkowało, zrobiło pierwszy krok.

Nie, to nie te niemożliwie maleńkie zwłoki tak bardzo poruszyły D. D. To kocyki. Jasnoróżowy w ciemnoróżowe groszki dla niej, granatowe misie na jasnoniebieskim tle dla niego. Najpierw Christine Grant zamordowała swoje dzieci. Potem je owinęła w ich kocyki. W tym geście było coś z gruntu matczynego.

Coś... koszmarnie popieprzonego.

O trzynastej D. D. odczuwała konsekwencje nieprzespanej nocy. Nie miała ochoty ponownie otwierać tej teczki. Pragnęła jedynie jechać do domu, do swojego dziecka, i mocno je przytulić.

Odsunęła teczkę, uszczypnęła się w nos i zastanawiała nad tym, co dalej.

- Uważam, że ona to Abigail - oświadczyła O.

D. D. otworzyła oczy i popatrzyła na koleżankę z wydziału przestępstw na tle seksualnym.

- Na czym się opierasz?

- Sybil. To była taka właśnie sprawa, prawda? Dziewczyna tak potwornie i rytualnie okaleczana przez matkę, że w wyniku samoobrony doszło u niej do rozszczepienia osobowości.

D. D. wpatrywała się w nią bez słowa.

- Wszystko wskazuje na to, że Charlene była potwornie i rytualnie okaleczana przez matkę. Może doszło u niej do tego samego, tyle że jeszcze inaczej: ona nie tylko przyjęła imiona zmarłego rodzeństwa, ale także ich osobowości. Powiedzmy więc, że ta Abigail, o której nam mówiła...

- Niemowlę z brązowymi oczami...

- W prawdziwym życiu, tak. Ale potem matka Charlene ją zabiła, a Charlene... wchłonęła... Abigail. Osobowość opiekuńcza. Charlene nie zabija przestępców seksualnych. Robi to Abigail. Stąd brązowowłosy, niebieskooki strzelec grasujący po Bostonie i mordujący przestępców seksualnych, przedstawiający się jako Abigail. Och, och, och. I te wiadomości ukryte w wiadomościach. Może to mocno zraniona Abigail, osobowość opiekuńcza, kaligrafuje „Wszyscy kiedyś umrzemy”, a z kolei Charlene, jakaś małeńka część niej, która wie, że zabijanie jest złe, szybko dopisuje drugą wiadomość, „Złapcie mnie”. Wołanie o pomoc. Jedna kartka z dwiema różnymi wiadomościami, reprezentującymi dwie różne osobowości.

D. D. przyglądała się młodszej koleżance. Ściągnęła brwi. A potem jeszcze chwilę się przyglądała.

- Uważam, że brzmi to jak fabuła filmu z kanału Lifetime.

Detektyw O wzruszyła ramionami.

- W większości fikcyjnych historii tkwi ziarno prawdy. Zaburzenie dysocjacyjne tożsamości to uznawana i rozpoznawalna choroba psychiczna. Poza tym czy potrafisz inaczej wyjaśnić tę wiadomość w wiadomości, nie mówiąc o klonie Charlie biegającym po Bostonie i strzelającym do pedofilów, a potem przedstawiającym się jako Abigail?

- Nie. Coś ci powiem, zadzwoń do Charlene i zapytaj, czy nie wróciłaby tutaj i nie poddała się ocenie zdrowia psychicznego. Zważywszy na to, jak wielką pała w tej chwili do ciebie sympatią...

- Bycie miłą nie skutkowało - odparła sztywno O.

- Naprawdę? A kiedy tego próbowałaś?

- Litości, i to mówi Suka Roku.

- Suka Roku?

- Hej, ja bym to uznała za komplement.

- Hej, uznaję. Ale fakt pozostaje faktem: naszą dzisiejszą strategią miało być niewystraszenie podejrzanej. A nie odwrotnie. Jako partnerki powinnyśmy się wspierać, a nie działać przeciwko sobie.

- Ale to zadziało - skwitowała spokojnie O. - Zaczyna się łamać. Słyszałaś, nie ma alibi na czas wczorajszej strzelaniny. I jasne, czuje się bezradna i chce uratować inne dzieci, a policja tak mało może itepe, itede. Ona chce nam powiedzieć. Teraz to już tylko kwestia doprowadzenia jej do takiego stanu, kiedy poczuje, że lepiej powiedzieć nam o tym, co zrobiła, niż dusić wszystko w sobie.

- Może - mruknęła D. D. bez przekonania. Wzięła do ręki ołówek i zastukała zakończonym gumką końcem w błyszczący blat z kloniny. - Jeśli przeszłość Charlie czyni z niej zabójczynię - dumiała na głos - to co z jej przeszłości czyni z niej cel?

- To znaczy?

- To znaczy, że mamy dwa śledztwa prowadzące nas do jednej osoby: Charlene Rosalind Carter Grant. Jakby mało to było zagmatwane, wydaje się być sprawczynią jednej serii przestępstw i jednocześnie potencjalną ofiarą innej serii. Zabija pedofilów, odliczając w tym samym czasie dni do własnego zabójstwa. Jest w tym wszystkim jakaś szalona logika, tyle że ja nadal jej nie potrafię rozszyfrować.

- Jej przeszłość może nie mieć nic wspólnego z morderstwami przyjaciółek.

D. D. uniosła brew.

- Sugerujesz, że ot, tak przyciąga do siebie psychopatów? Najpierw matka, potem przypadkowy nieznajomy, który postanowił zamordować tych, których kocha?

O wzruszyła ramionami.

- Jesteś pewna, że mama nie żyje?

- Tatuże z imionami Rosalind i Carter przesądzą sprawę. No bo mogłyby być inne zmarłe N.N. w zbliżonym wieku i odpowiadające opisowi. Być może nawet zmarłe N.N. z identycznymi znamionami w kształcie ananasa. Ale zmarła N.N. w zbliżonym wieku, odpowiadająca opisowi, ze znamieniem i tatużami na cześć dwóch nieżyjących dzieci...

- No dobrze, dobrze. Mama nie żyje. Zastanówmy się więc nad tym, co powiedziała Charlene: jako to możliwe, że jej matka okazała się wariatką, skoro pozostali członkowie rodziny wydają się tacy normalni? Tyle że jeśli Charlene biega po Bostonie i zabija przestępców seksualnych, to raczej nie można jej uznać za normalną, prawda?

- Co znaczy, że ciotki może też nie? - mruknęła D. D.
- Skoro w rodzinie jest dwóch maniakalnych morderców, to może i trzech? Choć to akurat prowadzi do pytania, o czym rozmawiają podczas rodzinnych spotkań.
- Czytałam kiedyś o pewnej rodzinie, w której dwóch braci było seryjnymi zabójcami. Ale najciekawsze było to, że zabijali niezależnie od siebie. Dwie oddzielne jatki.
- Wiele jest przypadków kuzynów działających jako zabójcze zespoły. Zdecydowanie pewne drzewa genealogiczne powinny się przycinać.
- Chcesz sprawdzić ciotkę? - zapytała D. D., odsuwając krzesło.
- Owszem. Skoro jest akurat w mieście, to dobra okazja na ucięcie sobie pogawędki. A ty co zamierzasz zrobić?
- Jechać do domu. Przespać się trochę. - D. D. się zawahała. Chciała być obecna podczas rozmowy z ciotką. No ale z drugiej strony zasypiała na stojąco, a jej zrzędlivość osiągnęła poziom, który przynosił więcej szkód niż korzyści. Powiedziała kiedyś swojemu zespołowi, że śledztwo to maraton, nie sprint. Być może ona także powinna mieć to na uwadze.
- Nie wspominając o tym, że jutro jest dwudziesty pierwszy. Dzień rozstrzygający. Zdecydowanie chciała być na tę okazję świeża i wypoczęta.
- Najpierw prześpię się z dwie godziny, a potem odbiorę Jacka ze żłobka - zdecydowała D. D. na głos.
- Wrócisz tutaj? - zapytała O.
- Może po kolacji. Niewykluczone, że do tego czasu przyjdzie już coś od tego biegłego od charakterów pisma. I jeszcze raport Neila i Phila z ich wizyty u rodziny naszej trzeciej ofiary. A, i skontaktuję się z wydziałem policji Grovesnor, żeby skonfiskowano broń Charlene. Jedno jest pewne - D. D. wstała i zerknęła na zegarek. - Charlene Grant nie zostało wiele czasu.
- Nie - przyznała O. - Z całą pewnością nie.

Rozdział 31

Dziewiąta. Piątkowy wieczór. Zostały dwadzieścia trzy godziny.

Słońca brak. Temperatura spada. Niebo czarne.

Ciotka wyszła, żeby zameldować się w hotelu. Fuksja wyszła i udała się tam, gdzie bywa pies, który nie jest moim psem. Przemierzałam nieduży pokój. Ładowałam i rozładowywałam broń.

Myślałam o mamie. Wysilałam pamięć, próbując sobie przypomnieć rodzeństwo, małe siostrę i brata, którzy nie otrzymali szansy, by żyć. Podobno pamięć to mięsień, a skoro moja przez większość mego życia ulegała atrofii, nie byłam jej teraz w stanie pobudzić w jakiś magiczny sposób do działania. Próbowałam wyobrazić sobie dom, podwórko, swoje zwierzątko. Kobieta, zapach, cokolwiek, co mogło być obecne w moim dawnym życiu.

Ostatecznie połknęłam dwie aspiryny, a potem przed lustrem walczyłam z cieniem.

Spoglądająca na mnie kobieta była wymizerowana. Sińce na szyi. Zaczesane do tyłu brązowe włosy. Oszalałe niebieskie oczy.

Wyglądałam jak moja mama, dwadzieścia lat później.

Abigail, tak mnie nazwała detektyw O. Abigail...

Walnęłam pięścią w lustro. Nagle. Szybko. Raz dwa trzy, barn, bam, barn. Stłukłam je gołymi dłońmi. Następnie patrzyłam, jak popękane fragmenty spadają na drewnianą podłogę, kaskada srebra.

I przez chwilę...

Kuchnia. Smugi srebrzystej księżycowej poświaty. Pelzający po ścianach ogień.

Do drzwi zapukała Frances, właścicielka domu.

- Wszystko w porządku?

- Przepraszam. Eee... wypadek. Nic się nie stało. Wszystko w porządku.

Przyjrzałam się krwawiącemu knykciom. W lewej dłoni tkwił mały odłamek szkła. Wyjęłam go. Zlizalam krew.

A potem wyszłam do pracy, choć to oznaczało, że zjawię się w niej godzinę przed czasem.

Na parkingu przydybał mnie funkcjonariusz Mackereth. Zdażył akurat zaparkować radiowóz. Otworzył drzwi, wysiadł, zauważył, że idę znajdującym się za nim kiepsko oświetlonym chodnikiem i zamiast udać się w kierunku ciepłego posterunku, ruszył zimną ulicą w moją stronę.

- Charlie - powiedział, a w jego głosie było coś, co samo w sobie stanowiło ostrzeżenie.

Zatrzymałam się, jedna latarnia za mną, druga przede mną. Lewą nogę wysunęłam do przodu, odzianą w rękawiczkę dłoń trzymałam na klapie listonoszki.

Mackereth zobaczył to i zatrzymał się jakieś trzy metry ode mnie. Jego prawa dłoń opadła na schowaną w kaburze broń, ciężar ciała przeniósł na przednią część stóp. Staliśmy tak przez całe piętnaście, dwadzieścia sekund, on z aureolą światła z jednej latarni, ja z drugiej. Żadne z nas nie miało przewagi.

- Masz broń? - zapytał w końcu.

- Czemu pytasz?

- Był dzisiaj telefon. Shepherd czeka na ciebie w środku, aby ci skonfiskować dwudziestkędwójkę. Co ty zrobiłaś, Charlie?

Nie odpowiedziałam, myślami wybiegając już dalej. Komenda główna, to na pewno oni. Domyślili się, co zrobiłam Stanowi Millerowi. Detektyw O właściwie to powiedziała, próbując wyciągnąć ze mnie przyznanie się. Nie miałam pojęcia jak, ale poskładali razem wszystkie części układanki. Może Tomika wygadała się koleżance koleżanki. Może ktoś zwrócił uwagę na fakt, że tamtego wieczoru nie wchodziłam do budynku raz, lecz dwa razy.

Może wszystko ułożyło się po prostu w logiczną całość. W końcu dzieciństwo miałam takie, jakie miałam. Może morderstwo i okaleczenie pozostawały jedynie kwestią czasu.

„Skąd wiedziałaś, że zostały uduszone, Charlie? Skąd wiedziałaś?”

Wiedziałałam i już. Białe ciało Rosalind otulone jasnoróżowym kocykiem w groszki. Kochała ten kocyk. Zaciskała maleńkie piąstki na miękkim polarze i ssała satynowy skraj.

To ja ją w niego owinęłam. Po wszystkim.

Zajmij się dzieckiem, Charlie. Niech nie płacze. Nie wolno jej płakać. „Jeśli będzie płakać, mama zrobi krzywdę nam obu”.

O Boże, co ja zrobiłam?

- Charlie?

Funkcjonariusz Mackereth. Ani kroku bliżej, prawa dłoń nadal nad pasem. Trzy metry ode mnie. Przejechał samochód, potem drugi. Moja leżąca na torbie dłoń drżała, choć nie byłabym w

stanie powiedzieć dlaczego.

- Jutro umrę - usłyszałam własne słowa. - Mniej więcej o dwudziestej zostanę uduszona i nie będę stawiać oporu. Ani śladu włamania, ani śladu walki. Z otwartymi ramionami powitam własną śmierć.

Mackereth nie odrywał ode mnie wzroku.

- Dobrze strzelam. Dobrze się biję, szybko biegam. Nie chcę zginąć jak moje przyjaciółki. Już zbyt długo moje życie jest do dupy. Jeśli jutro mam zginąć, chcę, żeby to samo spotkało zabójcę.

- Charlie...

- Potrzebuję broni. Wiem, że mi nie ufasz. Kurde, nawet mnie nie znasz. Ale potrzebuję broni. Jeszcze jeden dzień. Dwadzieścia trzy godziny. Nie, trzydzieści sześć. Jeśli w niedzielę rano będę jeszcze żyć, komenda główna może ją sobie zabrać. Przekażę ci ją. Pozwolę, byś osobiście im ją zaniósł. Pogodzę się ze wszystkim, co będzie mieć miejsce później. Przyrzekam.

- Co ty zrobiłaś, Charlie?

- Randi nie żyje. Jackie nie żyje. Nikt nie wie dlaczego, nikt nie wie, jak do tego doszło i nikt za cholerę nie wie, kto to zrobił. Ale to były moje najlepsze przyjaciółki, Tom. Zbyt mocno je kochałam, teraz to rozumiem. Ale nigdy się nie skarżyły. One także mnie kochały i za to jestem ich dłużniczką. Jutro wieczorem o ósmej. Zjawi się zabójca, a ja każę mu za to zapłacić. Tylko to mi zostało, Tom. Nic, dla czego warto żyć. Jedynie coś, za co warto umrzeć.

Mackereth zrobił krok w moją stronę.

- Jeśli cię poproszę, abyś oddała mi torbę...? - zapytał cicho, z ręką na kaburze.

- Nie rób tego, proszę.

- Krwawisz.

- Możliwe.

- Gdzie twój pies?

- Nie zostawiła mi wiadomości.

Westchnął. Ręki nie opuścił, ale ramiona tak.

- Nie wiem, co z tobą zrobić.

Milczałam, pozostawiając to tylko i wyłącznie jego rozważaniu.

- Spójrz mi w oczy, Charlie. Spójrz mi w oczy i powiedz, że nie zrobiłaś tego, co zrobiłaś zdaniem ludzi z komendy głównej, a pozwolę ci odejść. Odwrócę się, udam, że w ogóle cię nie widziałem.

Spojrzałam mu w oczy. Nie odezwałam się ani słowem.

Westchnął, tym razem ciężiej. W jego spojrzeniu widać było autentyczny żal.

- Polubiłem cię, Charlie.

- Ja ciebie też polubiłam.

- Pewnie powinienem coś takiego przewidzieć. Zawsze ciągnęło mnie do beznadziejnych przypadków. Kompleks bohatera, tak twierdzi moja siostra.

Nie mogłam się nie uśmiechnąć.

- A ja mam w zwyczaju pragnąć więcej, niż mogę mieć. Chyba oboje jesteśmy konsekwentni.

- Nie musi tak być.

- Nie znam innej opcji.

Zrobił jeszcze jeden krok w moją stronę. Dwa i pół metra między nami. Następnie dwa, półtora, metr. Odległość odpowiednia do zadania ciosu. Krok do przodu i mogłabym go uderzyć w głowę. Albo po prostu otworzyć torbę i zacząć strzelać.

Pomyślałam o Randi. Pomyślałam o Jackie. Zastanawiałam się, czy tak wyglądały ich ostatnie chwile. Nakazywały sobie walczyć czy po prostu czekały, aż nadejdzie koniec.

Funkcjonariusz Mackereth w końcu się zatrzymał, na tyle blisko, że był w stanie dotknąć nosem mój nos, a w lodowatym wieczornym powietrzu parowały razem nasze oddechy. Jego dłoń pozostała na rękojeści broni, nie wyciągając jej, lecz ją chroniąc.

- Siedemnasta, Charlie.

- Siedemnasta?

- O tej godzinie po ciebie przyjadę. Jutro po południu. Wiem o twoich przyjaciółkach. Poszperałem tu i tam. Jeśli ktoś ma ochotę cię sprzątnąć, będzie się musiał zmierzyć również ze mną.

Nic nie powiedziałam, wpatrywałam się jedynie w jego twarz. Malowało się na niej zdecydowanie.

- Niedziela rano - kontynuował stanowczym tonem. - Wtedy oddasz mi swoją dwudziestkędwójkę, tak jak obiecałaś.

Kiwnęłam głową.

- Potem nie będę mógł ci już pomóc.

Kolejne kiwnięcie.

- Tamtej nocy uratowałaś mi życie, Charlie. Uważam, że jestem twoim dłużnikiem. Ale w niedzielę rano będziemy kwita.

Drgnęła mu dłoń. Pomyślałam, że może dotknie mojego policzka. Może wyczekiwałam nawet jego odzianych w rękawiczki palców na moim lodowatym policzku. Albo ciepłych ust muskających moje usta. Albo jego ciała, silnego i pewnego, przyciskającego się mocno do mego ciała.

Zimno mi, pomyślałam, ale tak naprawdę chodziło mi o to, że czuję się zbyt samotna.

Mackereth się odwrócił. I odszedł.

Odczekałam chwilę, stojąc w ciemnościach, opierając się chęci zawołania go.

Jego barczysta sylwetka zniknęła w drzwiach posterunku. Za mną przejechał kolejny samochód. Zaczekałam, aż ulica i parking wyglądały na wyludnione.

Wtedy otworzyłam torbę. Wyjęłam taurusa dwudziestkędwójkę, owinęłam go w szalik i zakopałam w śnieżnej zaspie pod jakimś kolczastym krzakiem na skraju parkingu.

Oddając strzały w mieszkaniu Stana, powiązałam siebie z jego śmiercią. Co znaczy, że jeśli detektyw Warren wejdzie w posiadanie mojego taurusa, pójdę do więzienia. Może powinnam go jej po prostu dać. Może na tym etapie gry więzienie byłoby dla mnie bezpieczniejszą opcją.

Przypomniała mi się Fuksja dziś rano. Zamiast się cieszyć, że siedzi w ciepłym pokoju, była rozdrażniona tym, że przebywa w zamknięciu.

Niektórym z nas zamknięcie nie służy. Wolimy ryzykować na otwartej przestrzeni.

Dwadzieścia jeden godzin i zegar tyka.

Zamknęłam torbę, wyprostowałam się i udałam na swoją ostatnią zmianę.

Rozdział 32

- Nic z tego.

- Jak to „nic z tego”? Przeszukajcie jej torbę, skonfiskujcie broń i po sprawie.

Była jedenasta wieczorem. D. D. siedziała w domu i karmiła Jacka przed snem. Tulila do piersi ciepłe, małe zawiniątko wielkością i kształtem przypominające termofor. Kołysali się razem.

Przytulną domową scenkę musiał oczywiście przerwać dzwonek telefonu.

- Skonfrontowałem się z Charlene Grant, jak tylko weszła do budynku - kontynuował porucznik Dan Shepherd z wydziału policji w Grovesnor. - Poinformowałem ją, że otrzymałem doniesienie, iż przynosi do pracy broń, co jest wbrew przepisom wydziału. Stwierdziła, że się myślę i że do pracy przyprowadziła jedynie psa. Obiecała, że to się więcej nie powtórzy.

- Na miłość boską!

- Pozwoliła mi przeszukać swoją torbę. Ani śladu dwudziestkidwójki, pani detektyw. Zabawa skończona.

- Tak się właśnie dzieje, kiedy ktoś spieprzy przesłuchanie - wymamrotała D. D., raczej do siebie niż do Shepherd. - Przesadzi z pewnością siebie, wystraszy świadka i odejdzie z niczym. Wytatuuję „A nie mówiłam” pisane wspak na czole detektyw O, żeby mogła to sobie przeczytać w lustrze następnym razem, kiedy postanowi kogoś przesłuchać.

- Słucham? - zapytał Shepherd.

- Ja tylko głośno myślę. Sprawdziliście karty czasu pracy Charlene? - Wcześniej tego samego dnia, kiedy D. D. zadzwoniła do Shepherd. z informacją, że jeden z jego cywilnych pracowników nosi przy sobie broń, poprosiła go, aby sprawdził grafik pracy Charlene w odniesieniu do dwóch pierwszych zabójstw. Douglas Antiholde został zastrzelony dziewiątego stycznia. Nadal nie ustalono dokładnego czasu zgonu drugiej ofiary, Stephen. Laurenta, ale nastąpił on prawdopodobnie jedenastego lub dwunastego stycznia.

- Dziewiątego stycznia Charlene pracowała na nocną zmianę - oznajmił Shepherd.

- Zaczęła o jedenastej?

- Tak, zaczęła o jedenastej wieczorem, a skończyła o siódmej rano.

D. D. skinęła głową w stronę słuchawki i poprawiła Jacka na rękach. Antiholde'a zastrzelono późnym popołudniem lub wczesnym wieczorem. Charlene miałyby mnóstwo czasu, aby pociągnąć za spust i zdążyć do pracy.

- Również jedenastego stycznia miała nocną zmianę, która razem z nadgodzinami trwała aż do południa.

- Pracowała przez trzynaście godzin?

- Zmiana może trwać maksymalnie szesnaście.

- Jezus, niemal jak w pracy detektywa.

- Posada dyspozytora to nie zajęcie dla słabeuszy - skomentował Shepherd. - Natomiast dwunastego stycznia Charlene miała wolne. Prawdopodobnie również dlatego pracowała tak długo.

- Dobra. - D. D. będzie musiała skontaktować się z lekarzem sądowym, Benem, i poprosić, aby doprecyzował czas zgonu Laurenta. Biorąc pod uwagę lokalizację komendy policji w

Grovesnor, Charlene dotarłaby do dzielnicy Laurenta najwcześniej o pierwszej po południu.

W tej sytuacji Charlene nie miała alibi na okoliczność śmierci pierwszej i trzeciej ofiary, co nie było jednak pewne w przypadku ofiary numer dwa.

D. D. ściągała wielu podejrzanych, dysponując słabszymi dowodami. Teraz przeszła do pilniejszej kwestii.

- Poruczniku, czy słyszał pan kiedykolwiek, żeby Charlene mówiła o przynoszeniu broni do pracy?

- Oczywiście, że nie. Natychmiast bym zareagował.

- Czy opowiadała o swojej przeszłości, dzieciństwie?

- Pani detektyw, nocna zmiana to praca w pojedynkę. Z definicji wyklucza pogaduszki.

- A co z innymi policjantami na służbie?

- Mają za zadanie patrolować okolicę, a nie przesiadywać w komendzie.

- A przerwy? Obiady, lunche czy jakkolwiek nazywacie swoje posiłki w środku nocy. - Zaczęła sobie wyobrażać, jak wygląda praca Charlene, i zastanawiać się, czy miałyby możliwość, powiedzmy, wymknąć się na chwilę ze zmiany i niezauważona dokonać zabójstwa.

- Pracownicy mają jedną trzydziestominutową przerwę na posiłek. Większość zjada przyniesione jedzenie w swoich radiowozach, a Charlene przy biurku.

- To wszystko? Na całe osiem godzin?

- Mają jeszcze dodatkowo dwie przerwy po piętnaście minut, które połowa policjantów wykorzystuje, aby zapalić. Ale Charlene nie, jeśli pamięć mnie nie myli. Ona ma bzika na punkcie sprawności fizycznej.

- A jeśli musi się wysiusiać?

- Ogłasza kod dziesięć-sześć i robi sobie przerwę na toaletę.

- Jeśli jest sama na służbie, kto odbiera wtedy telefon?

- Jej zwierzchnik, który jest wówczas na służbie, zwykle sierżant mundurowy.

- A więc w nocy pracuje z nią druga osoba?

- Tak, ale sierżant siedzi w głównym budynku, podczas gdy dyspozytornia jest oddzielnym pomieszczeniem. To po prostu zwyczajny pokój, teraz napakowany monitorami, telefonami i odbiornikami radiowymi.

- Wiedziałby pan, poruczniku, gdyby opuściła dyspozytornię, na przykład gdyby odbiła kartę po przyjściu do pracy, a potem wyszła z komendy?

- To niemożliwe.

- Dlaczego? Z tego, co pan powiedział, ona i dyżurujący sierżant nawet się nie widzą.

- Ale słyszą się nawzajem. Charlene wspomaga wszystkich patrolujących policjantów. Oznacza to, że nie tylko oni meldują się jej podczas swych zmian, ale ona również ich wywołuje, jeśli nie zgłosili się do niej przez radio. Wzywa ich po numerach patrolowych i upewnia się, że wszyscy są w kontakcie. Dziewięć dwadzieścia sześć do dyspozytora, dziewięć dwadzieścia sześć do dyspozytora - coś w tym stylu. Kiedy ostatni raz była pani na patrolu, pani detektyw?

- Jakiś czas temu.

- W eterze nigdy nie zapada cisza. Nawet podczas nocnej zmiany Charlene ma za zadanie mówić i słuchać. Nasze słuchawki nie są tak nowoczesne, żeby mogła w nich wyjść na parking i nadal odbierać sygnały, nie mówiąc już o spacerze po ulicy.

- Więc kiedy Charlene jest w pracy, to jest w pracy.

- Właśnie.

D. D. w zadumie wyduła wargi. To brzmiało sensownie i w żaden sposób nie burzyło jej scenariusza.

- Czy mogę zadać pani pytanie? - odezwał się Shepherd.

- Jasne.

- Dlaczego prowadzicie dochodzenie przeciwko naszemu dyspozytorowi? Nie miałem okazji osobiście pracować z Charlene, ale mogę pani powiedzieć, że jest w porządku, solidna, godna zaufania, dba o naszych policjantów. Lubimy ją.

- Z jej słów wynika, że żaden z was jej nawet nie zna.

- Nocna zmiana nie jest dla typów towarzyskich.

- Sprawdził pan, poruczniku, informacje o jej przeszłości?

- Oczywiście.

- Znalazł pan coś szczególnego?

- Miała dobre referencje z Kolorado...

- Co?

- Arvada, w stanie Kolorado. Tam po raz pierwszy podjęła pracę dyspozytorki.

D. D. przeszył dreszcz.

- Jak daleko jest z Arvady do Boulder?

- Gdybym to ja wiedział. Pochodzę z Revere.

D. D. znów wyduła wargi, a jej myśli biegly jak szalone. Niezidentyfikowane zwłoki matki Charlene znaleziono w Boulder. Usłyszawszy dzisiaj tę wiadomość, Charlene nawet nie wspomniała, że mieszkała w tym samym stanie. Czy to był przypadek?

Nie wspominając o tym, że w ciągu ostatnich dziesięciu lat matka Charlene i jej dwie przyjaciółki zginęły. To oznacza, że jedna kobieta pozostawiła po sobie ślad w postaci trzech nieboszczyków rozsianych po kilku stanach. Wyglądało na to, pomyślała D. D., że znajomość z Charlene Grant jest ryzykowna. Może zwiększać ryzyko przedwczesnej śmierci, a co gorsza po wszystkim okaże się, że kapryśna pamięć dziewczyny pewnie cię nawet nie zachowała.

Charlene powiedziała, że można jednocześnie o czymś wiedzieć i nie wiedzieć. To mechanizm, dzięki któremu radzą sobie w życiu osoby mające za sobą trudne dzieciństwo.

Rozdwojenie jaźni, gdy każda z osobowości pamięta jedynie swój fragment układanki, odpowiedziała detektyw O, wyjaśniając w ten sposób wybiórczą pamięć Charlene, spreczne liściki w liścikach i jej pozorną nieumiejętność oplakiwania pewnych morderstw, gdy jednocześnie popełniała kolejne.

D. D. rozważała zarówno stwierdzenia Charlene, jak i teorię O i żadne z nich się jej nie podobały.

- Chcę mieć tę spluwę - jęknęła sfrustrowana.

- Przykro mi, pani detektyw. Zrobiłem, co w mojej mocy.

- Tak, tak. - D. D. zadała jeszcze kilka pytań, porozmawiała chwilę o pracy i kiedy nic więcej nie osiągnęła, zakończyła rozmowę.

Jack spał, a butelka leżała z boku jego opatulonego ciała. Wstała z bujanego fotela, postawiła butelkę na stoliku i przez chwilę tuliła synka w ramionach.

Oczyściła głowę z myśli o zabójstwach. Zapomniała o Charlene Rosalind Carter Grant, zabójcach pedofilów i mordercach papużek nierozłączek.

Tuliła swe dziecko. Wdychała słodki zapach mleka, pudru i niemowlęcej niewinności. Obserwowała, jak mała klatka piersiowa synka unosi się i opada. Podziwiała pomiętą buźkę i dziesięć idealnych, małych paluszków zwiniętych w dwie luźne piąstki.

Zachwycała się maleńkim cudem - swoim dzieckiem.

Potem pocałowała go delikatnie w zmarszczone czoło, ułożyła w łóeczku i nalała sobie szklanekę wody. Niemal w tym samym momencie ponownie zadzwoniła jej komórka.

Spojrzała na wyświetlacz. Detektyw O. Odebrała.

- Samospełniająca się przepowiednia - rzuciła w ramach powitania. - Najpierw określiłaś ją jako dziką, a potem sama wystraszyłaś i sprowokowałaś do ucieczki. Gratulacje. Charlene przyszła do pracy, ale nie przyniosła swojej dwudziestki dwójki.

- A właśnie że przyniosła! - odparła triumfalnie O.

D. D. zamilkła, wzięła kolejny łyk wody i próbowała zrozumieć, co jej umknęło.

- Skąd wiesz?

- Śledziłam ją.

- Śledziłaś Charlene Grant?

- Właściwie czekałam na parkingu przed komendą policji w Grovesnor. Gdyby udało im się skonfiskować broń, mogłabym ją natychmiast dostarczyć do laboratorium na badania balistyczne.

- W piątek, o jedenastej wieczorem?

- Zadzwoniłam wcześniej do Jona Cassira, eksperta od broni, a on zgodził się zostać po godzinach.

D. D. znów ściągnęła brwi. Zdecydowane kroki O drażniły ją i miała ochotę pokazać młodej detektyw, gdzie jej miejsce. Musiała się jednak powstrzymać. O postępowała mądrze, planując działania. Nie ma nic złego w agresywnej strategii, kiedy ściga się seryjnego zabójcę. W zasadzie jakiś czas temu D. D. postąpiłaby dokładnie tak samo.

Zamiast opuścić komendę, aby pojechać do dziecka. I oznajmić, że wróci po kolacji. Tyle że Alex był wyraźnie wykończony po ostatnich kilku nocach, ona sama zmęczona po całonocnej pracy, nie mówiąc już o śniadaniu z rodzicami, i zajęcie się Jackiem wydawało się lepszym pomysłem niż jazda z powrotem do Roxbury. Mogła pracować w domu, a potem zadzwonić do rodziców, by załagodzić atmosferę. Właśnie tak.

- A więc stałam pod komendą i widziałam, jak Charlene idzie ulicą od stacji metra - kontynuowała O. - Potem jakiś policjant wysiadł z radiowozu i podszedł do niej. Najpierw pomyślałam, że to jej znajomy, ale przyjęła pozycję obronną, a on trzymał dłoń na kaburze. Wyglądało to tak, jakby miał zamiar siłą odebrać jej torbę, ale ona mu nie pozwoliła. Po chwili odszedł, równie gwałtownie jak się pojawił. Wtedy wyjęła swoją broń z torby, zawinęła ją w szalik i zakopała w zaspie.

- Żartujesz.

- Nie. Oczywiście jak tylko Charlene zniknęła w budynku komendy, odkopałam jej taurusa i zawiozłam prosto do laboratorium. Jestem tu teraz. Cassir ma nadzieję, że do rana otrzyma wyniki.

D. D. nie była pewna, co myśleć o tym nagłym zwrocie wydarzeń.

- Mamy sześć łusek zebranych na trzech miejscach zbrodni. Czy wszystkie są w wystarczająco dobrym stanie, żeby dokonać porównania?

- Nie, ale Cassir ma naboje z drugiego i trzeciego zabójstwa, które nadają się do badania.

Trudniej będzie z pierwszą strzelaniną, kiedy zginął Antiholde. Oba pociski zostały spłaszczzone, gdy odbiły się rykoszetem od czaszki ofiary, więc prawdopodobnie będą bezużyteczne.

- Mamy przecież liściki, które łączą ze sobą wszystkie trzy zabójstwa. Jeśli ślady choćby na jednej łusce pasują do gwintu lufy dwudziestkidwójki Charlene... - myślała na głos D. D.

- Właśnie.

D. D. przytaknęła. O dobrze się spisała i D. D. nie powinna czuć do niej urazy. Na tym etapie życia jej zadaniem, jako doświadczonej policjantki, było wspieranie koleżanki mniej doświadczonej. Tak zwane przekazywanie pałeczki, a innymi słowy: starzenie się.

- Przesłuchałaś ciotkę? - zapytała D. D.

- Jeszcze nie. Byłam trochę zajęta przechytrzeniem Charlie. Nie jesteś zadowolona, że mi się udało?

Była zajęta, z tym D. D. się zgodziła, jednak obsesyjny sposób, w jaki O podchodziła do sprawy, nieco ją niepokoił.

- Wracasz na komendę w Grovesnor? - chciała wiedzieć D. D.

- Po co?

- Już tak wiele zrobiłaś w tej sprawie.

O nic nie powiedziała, co D. D. przyjęła jako wystarczającą odpowiedź.

- Chcesz zobaczyć, jak Charlie będzie wychodziła po zakończeniu zmiany, prawda? Popatrzeć, jak kopie w śniegu w poszukiwaniu swojej broni?

O nadal milczała.

- Ona uważa, że za kilka godzin będzie jej potrzebowała do samoobrony - oznajmiła D. D. - Jak myślisz, co zrobi, gdy jej nie znajdzie?

- Jeśli jest inteligentna, zgłosi się na policję - odparła bez emocji O. - Możemy ją chronić, wsadzimy ją do celi. Wierz mi, ktokolwiek zabił jej przyjaciółki, nie wpadnie na to, by tam jej szukać.

- To twoje pierwsze aresztowanie?

- Bynajmniej.

- Czy jako detektyw od przestępstw seksualnych trudno ci myśleć o aresztowaniu obywatela, który wykonuje część pracy za ciebie?

- Więcej wiary w nasz wydział. Sami radzimy sobie ze swoją robotą.

Biorąc pod uwagę liczbę pedofilów, których D. D. nie udało się aresztować z powodu niewystarczających dowodów, nie do końca zgadzała się z O. Wypiła jednak do końca wodę i wróciła do bieżących spraw.

- Wpisy na Facebooku?

- Ponad tysiąc znajomych - odparła O. - Wielu z Atlanty i Providence, rodzina i przyjaciele ofiar. Nie jestem w stanie sprawdzić każdego, potrzeba by do tego przynajmniej kilku osób. Szukałam dziwnych wpisów i niestosownych komentarzy. Jediną osobą godną uwagi okazał się na razie były mąż Randi.

- Czy on nie odsiaduje wyroku?

- Najwyraźniej ma tam dostęp do Internetu, ponieważ był jedną z pierwszych osób, które zostawiły komentarze. Napisał „Spoczywaj w pokoju” i dodał datę morderstwa.

- Dupek.

- Mogę trochę namieszać, jeśli chcesz... Mogłabym odpisać „Przynajmniej Randi uwolniła

się od swojego cholernego męża sukinsyna” albo coś w tym stylu.

- Dobrze, zobaczymy, jak zareaguje. Czy mogłabyś również monitorować wszystkie wpisy z Kolorado?

O chciała wiedzieć dlaczego. D. D. wyjaśniła jej, że Charlie pracowała kiedyś w Arvadzie.

- Przypomnij mi, kiedy zmarła jej matka - poprosiła podekscytowana O.

- Osiem lat temu. Muszę określić dokładną datę i miejsce jej zgonu, ale podejrzewam, że pokrywają się z okresem pracy Charlene w dyspozytorni w Arvadzie.

- Jak zginęła?

- Koroner podejrzewa, że zmarła śmiercią naturalną, z powodu niewydolności wątroby spowodowanej długotrwałym nadużywaniem alkoholu, jednak ciało znaleziono dopiero po pewnym czasie. W tym przypadku określenie przyczyny śmierci to bardziej sztuka niż nauka.

- Uduślenie - stwierdziła O. - Poduszka na twarz, ja bym tak zrobiła.

- Zabić mamę tak samo, jak ona kiedyś zamordowała swe dzieci? Koroner znalazłby jednak na to dowody w postaci wybroczyn.

- Nie, jeśli proces rozkładu był zaawansowany. Tak jak powiedziałaś, to raczej kwestia sztuki niż nauki.

- Myślisz, że Charlene to zrobiła? - D. D. naprawdę była ciekawa. Zastanawiała ją zbieżność faktów: matka zmarła w Kolorado w tym samym czasie, kiedy Charlene tam pracowała. A jednak... - Podczas przesłuchania Charlene zadała wszystkie pytania, które powinna zadać, gdyby nie wiedziała o śmierci matki. Nie zakładała, że kobieta nie żyje, najpierw zapytała o więzienie, potem o szpital psychiatryczny, a dopiero na końcu o śmierć. Chciała się nawet dowiedzieć, w jaki sposób zmarła. Oznacza to, że jeśli Charlene zabiła matkę - znalazła ją w Boulder, złożyła jej wizytę, przyłożyła poduszkę do twarzy na pełne pięć minut, podczas których kobieta kopała, walczyła i wyrывała się - musi być niezłą aktorką.

Detektyw O zamilkła na moment.

- Nadal ją lubisz.

- Lubienie nie ma tu nic do rzeczy. Po prostu głośno myślę. Dobrzy detektywi się spierają i na tym polega frajda tego zawodu.

- Dorastała z zabójczynią. Może widziała, jak matka zabija pozostałą dwójkę dzieci. Może sama to zrobiła...

- To daleko idące przypuszczenie.

- Jednak doświadczała przemocy, która miała rytualny charakter. Pomyśl o tym, że nigdy nie nawiązała więzi z matką, o braku empatii. Wolne duchy tego świata przekonują, że wystarczy odrobina miłości, aby ukoić każdy ból. Gliny wiedzą swoje.

- Twierdzi, że kochała Rosalind.

- To niczego nie zmienia. Być może to śmierć małej Rosalind doprowadziła ją do ostateczności. Wybuchła, walczyła zaciekle z matką i zabiłaby ją, gdyby ta nie pchnęła jej najpierw nożem.

- Kolejne daleko idące przypuszczenie.

- Mamuśka się zmyła, a Charlene pojechała w góry New Hampshire. Nowy dom, nowe zasady, nowa stabilność. Może na krótką metę to się sprawdziło, do momentu, gdy koleżanki się rozjechały i biedna Charlie znów została zupełnie sama. Może postanowiła odszukać matkę i załatwić porachunki.

- Bardzo chciałabym mieć świadka lub jakikolwiek dowód na to, że Charlie chociażby wiedziała, że jej matka mieszka w Boulder.

- Zarekwiruj jej komputer.

- Nie ma komputera.

- Ale jej ciotka owszem. Na pewno jest w New Hampshire. Dobierz się do niego, przeszukaj stare dokumenty. Musi gdzieś być jakiś stary e-mail albo hasło w historii wyszukiwania. W dzisiejszych czasach zawsze coś się znajdzie. Poza tym założę się, że Charlene nadal ma dostęp do komputera, może korzysta z jednego z laptopów w Bostońskiej Bibliotece Publicznej, by polować na pedofilów, a potem spokojnie zwraca go w recepcji. Każdy zostawia po sobie jakieś ślady, jak wczoraj tłumaczyłaś Neilowi. Inaczej się nie da. Musimy tylko dalej drażnić temat. Może osiem lat temu Charlie szukała swej mamy, znalazła ją i zabiła. I poczuła się dobrze. Sprawiedliwości stało się zadość.

Z tym D. D. nie mogła się spierać. Śmierć matki Charlie rzeczywiście wyglądała jak wymierzenie sprawiedliwości. Detektyw miała też nadzieję, że wszyscy korzystający z Internetu zostawiają po sobie ślady. Tuż przed obiadem rozmawiała z Philem, który wraz z Neilem zarekwirował osiem elektronicznych urządzeń z pokoju Barry'ego. Mieli nadzieję, że technicy odnajdą mnóstwo śladów, wraz z tymi, które łączyły chłopaka z dwoma innymi pedofilami, i odkryją, jak niebieskooki demon, jak określił ją świadek, zdołał ich namierzyć.

- A więc Charlene Grant zabiła własną matkę - kontynuowała D. D. - Tak bardzo spodobało jej się zabijanie, że postanowiła odczekać osiem lat, a następnie systematycznie namierzać pedofilów w Bostonie i dokonywać kolejnych słusznych zabójstw?

- Może nie czekała osiem lat. Może w innych miejscach policja odnalazła więcej martwych pedofilów. My wiemy o tych trzech, którzy zginęli u nas. Nie wspominając o tym, że stres jest największym impulsem dla zabójców, a wystarczy spojrzeć na Charlene Grant, aby przekonać się, że ostatnio jest nieco zdenerwowana.

- Jest porządną dziewczyną, dopóki jej poziom stresu nie przekroczy krytycznego poziomu, a wówczas chwytą za broń, by się trochę wyładować?

- Dlaczego nie? Są gorsze powody, by zabijać pedofilów.

- Kolejne daleko posunięte przypuszczenia.

- Dlatego śledziłam ją dzisiejszego wieczora, przejęłam jej dwudziestkędwójkę i dostarczyłam ją do laboratorium - odpowiedziała oschle detektyw O. - Jutro przypuszczenia będą głównie warte. Dostaniemy raport z badań balistycznych.

- Mam nadzieję - mruknęła D. D. - Biorąc pod uwagę, że właśnie odebrałyśmy legalnie zarejestrowane narzędzie samoobrony potencjalnej ofierze morderstwa na dzień przed zdarzeniem.

- Zapomnij o pozostałych morderstwach - wypaliła O, niemal zirytowana. - Tu chodzi wyłącznie o Charlene. O to, co stało się, gdy była dzieckiem, jej samej i jej rodzeństwu. Wątpię, żeby była jutro czymś celem. Założę się, że sama wszystko wymyśliła. Wielu ludzi doświadcza w dzieciństwie przemocy i pamięta później tak drobny szczegół, jak pchnięcie nożem przez własną matkę. A Charlene twierdzi, że wszystko zapomniała. Moim zdaniem to jej pierwsze kłamstwo.

- Wydawało mi się, że twierdziłaś, iż przypomina Sybil i dlatego ma kłopoty z pamięcią. To nie Charlie została pchnięta nożem przez matkę, ale jej osobowość ofiary, Rosalind, dlatego

Charlie o niczym nie wiedziała. I to nie Charlene biega po mieście, strzelając do pedofilów, ale jej osobowość ochronna, Abigail.

- Bzdury.
- Sama zaczęłaś ten wątek.
- Tylko po to, żeby się z tobą droczyć. Na tym polega frajda tego zawodu, czyż nie?

D. D. potrząsnęła głową, słysząc tę nagłą zmianę frontu.

- W porządku, przynajmniej w jednym się zgadzamy: potrzebujemy raportu balistycznego. Świetna robota z przejęciem broni i zorganizowaniem badań w laboratorium, pani detektyw.

Przez chwilę D. D. niemal czuła skrępowanie O po drugiej stronie linii i automatycznie przyszła jej na myśl inna detektyw, która zawsze czuła się swobodniej, słysząc krytykę niż pochwały. Ona sama.

- Detektyw O - powiedziała zdecydowanie.
- Tak?
- Pójdź do domu, prześpij się. Dopiero za mniej więcej siedem godzin Charlene skończy pracę, a Cassir będzie miał wyniki badań. Oznacza to, że jutro najprawdopodobniej będzie nasz wielki dzień. Poza tym... - D. D. się zawahała. - Ponieważ jutro przypada również rocznica dwóch morderstw, możliwe, że noc też będzie długa.
- Nie ma problemu - odparła natychmiast O. - Do jedenastej zdołamy aresztować Charlene, do pierwszej załatwimy formalności i do trzeciej umieścimy ją bezpiecznie w celi. Jeśli jakkolwiek zabójca zechce ją dorwać, będzie musiał przekopać się przez pustaki.

Rozdział 33

Cześć. Mam na imię Abigail.

Nie martw się, poznaliśmy się już.

Boisz się mnie? Czy może boisz się o mnie?

Zaufaj mi, zaopiekuję się tobą.

Nie ufasz mi?

Cześć. Mam na imię Abigail.

Rozdział 34

Sobota, siódma rano. Odliczanie trwa, zostało trzynaście godzin.

Może mniej? Może więcej?

Co ja wiedziałam? Moja zmiana dobiegała końca, ale zmienniczka się nie pojawiała, więc tkwiłam uwięziona przy biurku, a do centrali nadal dzwonili mieszkańcy Bostonu w różnych stadiach paniki.

Trafiła mi się masa wypadków samochodowych, samochód kontra kot, motor kontra budka telefoniczna, pijany nastolatek A kontra pijany nastolatek B.

O drugiej nad ranem zamknięto bary i na liniach telefonicznych zaczęło robić się gorąco. Tina

Limmer mieszkająca na Markham Street 375 zadzwoniła, żeby zgłosić, że jej chłopak jest dupkiem. Pewnie nakryła go na obracaniu jej przyjaciółki. Niestety, bycie dupkiem nie jest jeszcze przestępstwem, więc byłam zmuszona zakończyć rozmowę. W samą porę, aby odebrać zgłoszenie Cherry Weiss z Concord Avenue 896, która poczuła zapach dymu na klatce schodowej swojego bloku. Oprócz straży pożarnej wysłałam na miejsce dwóch policjantów. Aresztowali dwóch pijanych siedemdziesięciolatków, którzy z zapalem próbowali udowodnić, że da się podpalić bąka. Strażacy obejrżeli przedstawienie i nieźle się ubawili.

Tak dotarłam do Vinniego Pearla z Wentworth Way 95, który zadzwonił, aby zgłosić, że zgubił swój nos. Po chwili poszukiwań (udało mi się pokierować go do łazienki w jego mieszkaniu) odnalazł rzezony nos w lustrze. Okazało się, że Vinnie spędził większość piątku, preparując domowej roboty limoncello, co tłumaczy jego kolejny telefon dziesięć minut później, by zgłosić, że zgubił usta, zupełnie ich nie czuje i całe po prostu zniknęły.

Poleciłam Vinniemu, aby zażył cztery tabletki aspiryny, wypił trzy szklanki wody i życzyłam mu powodzenia rano.

Zakończyłam rozmowę i już po chwili dostałam informację o jednej z trzech barowych bójek, po których nastąpiły dwa zgłoszenia przemocy domowej i kolejnego wypadku drogowego: hummer kontra trzy zaparkowane samochody.

Zaparkowane wozy przegrały, chociaż hummer też nie wyszedł z kraksy bez szwanku, a pijany w sztok kierowca został aresztowany i, jak to mówią, nie stawiał oporu.

Około trzeciej nad ranem zjadłam na zimno pierś z kurczaka i pół grejpfruta, nadal siedząc przy biurku. O czwartej trzydzieści natężenie rozmów zmalało na tyle, że mogłam się wysiusiać. O piątej trzydzieści spróbowałam zalogować się do Facebooka z policyjnego komputera. Chciałam sprawdzić stronę ku czci Randi i Jackie.

Przez osiem minut mogłam podziwiać długą listę znajomych, potok wspólnych wspomnień i słodko-gorzkich łez, ponieważ już po chwili monitor zasygnalizował kolejne zgłoszenie, tym razem samochód kontra pieszy. Człowiek został ranny, ale zdołał zadzwonić pod numer alarmowy, podczas gdy sprawca wypadku uciekł.

Randi niczego się nie spodziewała dwudziestego pierwszego. Tak podejrzewałam. Policja nie odkryła śladów żadnych listów z pogrozkami ani podejrzanych zachowań. Prowadziła spokojne, niezależne życie, jej najbliższą przyjaciółką była prawdopodobnie instruktorka jogi, która zeznała, że Randi nie wspominała o niczym szczególnym. To oznacza, że dwudziesty pierwszy jawił jej się jako kolejny zwykły dzień. Wstała, wykonała codzienne czynności. Żadnych domysłów, podejrzeń, że mogą to być jej ostatnie godziny.

Czy tak jest lepiej? Nie spodziewać się śmierci czy spędzić ostatni rok jak ja, odliczając minuty i planując każdą sekundę przybliżającą mnie do nadchodzącej śmierci?

Jackie płakała rankiem dwudziestego pierwszego. Jestem tego pewna. Obudziła się pewnie z tym samym przygnębieniem, które towarzyszyło i mnie. To był ten dzień. Pierwsza rocznica śmierci Randi, a policja nadal nie miała żadnego tropu, żadnych znaczących przełomów w śledztwie. Nasza przyjaciółka z dzieciństwa zginęła bezsensowną śmiercią, a my nadal miałyśmy więcej pytań niż odpowiedzi.

Jackie zaczęłyby dzień spokojnie, z rezerwą. Może założyłyby sznur pereł, aby uczcić pamięć Randi lub kupiłyby świeże kwiaty albo posłuchała w drodze do pracy ulubionego zespołu Randi, Journey.

Ponieważ byłam wówczas w New Hampshire, tego ranka pojechałam na grób Randi i przyniosłam ze sobą kupiony w markecie bukiet żółtych róż. Obawiałam się, że spotkam jej rodziców i nie będę wiedziała, co powiedzieć. Jednak cmentarz był opustoszały i stałam samotnie na ubitym śniegu, trzęsąc się na mrozie i czując, jak płynące łzy zamarzają mi na policzkach.

Jackie pewnie była zajęta dwudziestego pierwszego, ale nie myślała o sobie samej, czując w powietrzu napięcie, cień lęku. Niewykluczone, że dlatego poszła do baru. Była smutna, nie przestraszona i być może pomyślała, że wieczorne wyjście poprawi jej nastrój.

Policja dowiedziała się, że tego wieczora Jackie spotkała się z kobietą. Najprawdopodobniej była to nieznajoma, ponieważ żadna koleżanka ani znajoma nie przyznała się, że spędziła z Jackie te ostatnie godziny. Poszła więc do baru, spotkała kogoś, kto się jej spodobał, kogoś, kto wydał się jej na tyle miły i porządny, żeby zaprosić go do domu.

Żadnych śladów walki.

Do tej kwestii stale powracam. Nie tylko umarła, ale umarła bez próby obrony.

Nie byłam w stanie sobie tego wyobrazić. Kiedy ręce J. T. zacisnęły się na moim gardle, doznałam szoku i w jednej chwili znieruchomiałam, ale potem pojawiła się instynktowna potrzeba oddychania, chęć odwetu i zacieklej walki o łyk powietrza.

Randi zawsze była słodka, ale Jackie miała twardszy charakter. Kobieta, która w wieku dwudziestu sześciu lat zdołała wywalczyć posadę wiceprezes dużej korporacji, nie poddawała się łatwo.

Cóż więc zaszło owej nocy? Kogo poznała i co takiego kazało jej skapitulować w obliczu śmierci?

Rozmyślałam nad tym teraz, tak jak przez cały ostatni rok. Nie znalazłam żadnych odpowiedzi, a jedynie kolejne powody do zdenerwowania.

Telefony dzwoniły, ręce mi się trzęsły. Pracowałam, pracowałam i pracowałam z zacisniętymi zębami, siedząc jak na szpilkach i chcąc jak najprędzej poczuć w dłoni swojego taurusa.

Siódma rano, ósma, dziewiąta.

O dziewiątej piętnaście w drzwiach pojawił się sierżant Collins, który oznajmił, że moja zmienniczka zachorowała. Próbuje znaleźć zastępstwo, ale na razie muszę pozostać na posterunku.

To było stwierdzenie, a nie pytanie. Tak wygląda praca dyspozytora. Przy telefonie alarmowym musi zawsze ktoś czuwać, co oznacza, że nie można opuścić stanowiska, dopóki kolejna osoba nie przyjdzie i nie posadzi tyłka na krześle. Nieobecność zmienniczki oznaczała, że nie mogę wyjść do domu.

Dziewiąta, dziesiąta, jedenasta.

Moje ostatnie godziny miały, kiedy ja siedziałam w zaciemnionej dyspozytorni, zajmowałam się dramatami innych ludzi i rozwiązywałam ich problemy.

„I tak się właśnie kończy świat”, pomyślałam, przypominając sobie wiersz T. S. Eliota ze szkoły średniej. „Nie hukiem, ale skomleniem”^{*}.

^{*} T. S. Eliot, *Wydrążeni ludzie*, przeł. Cz. Miłosz.

Chciałam walczyć. Cokolwiek miało zdarzyć się dzisiejszego wieczora, chciałam być tym, kto spowoduje zniszczenia i obrażenia cielesne. Czy wygram, czy przegram, D. D. Warren i jej ekipa dostaną świeże dowody z mojego miejsca zbrodni. Tak sobie postanowiłam.

Jedenasta trzydzieści. Pojawiła się Shirlee Wertz, z czarnymi kręconymi włosami

przepasanymi czerwoną bandaną i torbą wypchaną książkami przewieszoną przez ramię. Przejrzałyśmy razem rejestr rozmów, zreferowałam jej historię pijanego Vinniego i jego znikających części ciała. Potem przekazałam jej słuchawki, odeszłam od biurka i jeszcze raz się obejrzałam.

Czy będzie mi tego brakowało?

Przełożonym powiedziałam jedynie, że biorę dwa tygodnie urlopu. Dzięki temu moje odejście nie wzbudzi emocji i nie sprowokuje palących pytań o moją przyszłość, życie po dwudziestym pierwszym.

Zabawne, że miałam ściśnięte gardło. Wpatrywałam się w monitor i nie mogłam wykrztusić słowa.

Lubiłam tę pracę. Dbałam o policjantów, czułam ciężar i zaszczyt, że mogę ich ubezpieczać. Czułam, że w niewielki, niepozorny sposób w tym ciemnym pomieszczeniu, obsługując linie telefoniczne w ciągu ostatniego roku, zrobiłam coś dobrego.

Jedenasta czterdzieści pięć przed południem. Osiem godzin i piętnaście minut.

Znalazłam swoją torbę. Wyszłam z komendy policji w Grovesnor i zmusiłam się, by nie patrzeć wstecz.

Ruszyłam prosto po swoją broń. Odległy kraniec parkingu, pod kolczastym krzakiem. Spojrzałam w prawo, potem w lewo. Teren czysty, więc schyliłam się, by ją odnaleźć.

Tyle że jej tam nie było. Kopałam wokół, trochę bardziej w lewo, trochę bardziej w prawo, a potem, niczego już nie udając, szaleńczo przekopywałam zaspę śnieżną obiema rękami, jak terier rozgrzebujący łapami ziemię.

Na próżno.

Broń zniknęła. Została po niej jedynie zlodowaciała dziura przykryta przeoranym piaskiem i śmieciami.

Usłyszałam w oddali policyjne syreny. Jeden, dwa, trzy radiowozy.

Kto je wezwał?

Nikommu o tym nie mówiłam. Schowałam broń w ostatnim momencie, kiedy nikt nie patrzył. W jaki sposób ktoś mógłby przewidzieć coś, czego sama nie planowałam?

Włosy na karku stanęły mi dęba. Wreszcie zrozumiałam.

Zabójca był w Bostonie.

Obserwował mnie.

I był już krok przede mną.

Zaczęło się. Koniec odliczania.

Moje własne morderstwo oficjalnie się rozpoczęło.

Nie mogłam się powstrzymać. Chwiejnym krokiem odsunęłam się od pokrytej ziemią, brudnej zaspą, a potem nieuzbrojona i naprawdę przerażona, zaczęłam uciekać.

Rozdział 35

Jesse obudził się w sobotni poranek w dużym łóżku swojej mamy. Leżała plecami do niego, zwrócona twarzą do przeciwległej ściany, z rękami rozłożonymi po bokach i cicho pochrapywała.

Jesse nie wiedział, która jest godzina. Prawdopodobnie późniejsza niż zwykle, ponieważ w pokoju było jasno, a słońce przepychało się i wciskało przez opuszczone rolety.

Kiedyś Jesse wstałby sam i podreptał do kuchni po miskę płatków. Potem włączyłby w telewizji puszczone w sobotni poranek kreskówki. Gdyby miał ochotę trochę zaszaleć, może zalogowałby się w Internecie i odwiedził świat AthleteAnimalz.

Teraz przysunął się do pogrążonej we śnie mamy. Lubił dotyk jej ciepłego i miękkiego ciała na swych plecach. Jedną ręką wygładził kołdrę w czerwone kwiatki i spojrzął na odległą, jasnoszarą ścianę.

Był zbyt duży, aby spać z mamą. Gdyby koledzy z klasy dowiedzieli się o tym, śmialiby się z niego. Z drugiej strony, może spędzi tu jeszcze jedną noc. I kolejną. Potem zacznie się szkolny tydzień i to mu pomoże. Tak powiedziała mama i pani psycholog też. Rutyna dobrze mu robi. Obie tak powiedziały, jednak kiedy mama wypowiadała te słowa, dwie małe zmarszczki pojawiły się u nasady jej brwi, dokładnie między oczami. Jesse nie lubił tych zmarszczek. Chciał wyciągnąć dłoń i zetrzeć je z jej czoła.

Zranił swoją mamę. Nawet gorzej, wystraszył ją i teraz, tak jak on nie potrafi przestać zrywać się, gdy słyszy głośne dźwięki, tak ona nie umie spuścić go z oczu. Spędzili cały wczorajszy dzień przytuleni na sofie, oglądając głupie programy w telewizji i jedząc śmieciowe jedzenie, aż Jesse zaczął się martwić, że mózg mu gnije. Niemal czuł, jak wylęgające się robaki wygryzają mu dziury w mózgu, jak w mózgu zombie, i to tuż pod czaszką.

Odłożył na bok zjedzony do połowy baton Twinkie i poprosił o jabłko.

Mama wybuchła płaczem. Natychmiast podniósł batonik, ale ona mu go zabrała, więc najwyraźniej to nie batonik stanowił problem.

Był niegrzeczny. O to chodziło. Złamał zasady, poszedł za nieznanym, spotkał demona i patrzył, jak ginie chłopiec. I nie wiedział, jak to cofnąć. To już się zdarzyło. Był niegrzeczny. I co teraz...? Co teraz...?

Gdyby mógł, cofnąłby się w czasie, tak jak przewija się film na wideo. Patrzcie, Jesse wraca tyłem do biblioteki, wchodzi po schodach przed budynkiem, potem po schodach wewnątrz, siada z niebezpiecznym nieznanym chłopcem, tyle że teraz wstaje, odchodzi od niego i wraca na dół, do mamy. Patrzcie, Jesse siedzi ze swoją mamą. Zostań tam, Jesse, zostań. Bądź grzeczny, a mama nie będzie płakała.

Policja zabrała jego komputer. Chyba we czwartek wieczór lub w piątek rano. Zasnął na tylnym siedzeniu radiowozu, który zawiózł ich do domu z komendy, na której zadawali mu wiele, wiele pytań. Mama chyba zaniósła go do mieszkania, aż na trzecie piętro, chociaż na to był też zdecydowanie za duży. Położyła go na kanapie. Podobno był tak wykończony, że nie poruszył się nawet, kiedy zdejmowała mu buty.

Pierwszy raz zerwał się z krzykiem o szóstej rano. Miał zły sen. Nie pamiętał go dokładnie, ale był w nim chudy, przerażający demon z wyszczerbionymi, połamanymi zębami i jasnoniebieskimi oczami.

Mama powiedziała, żeby spał dalej. Próbował, ale po godzinie znów obudził się z krzykiem, a potem znów po kolejnej.

O dziewiątej mama pozwoliła mu wstać. Dobra wiadomość, on nie idzie do szkoły, a ona do pracy. Powiedziała, że zrobią sobie dzień zdrowia psychicznego, ale powrócił grymas, te dwie małe zmarszczki na czole i Jesse widział, że nie jest tak naprawdę wesoła i wcale dobrze się nie

bawią.

Zjedli śniadanie w małym bistro za rogiem. W drodze powrotnej mama mu powiedziała. Policja potrzebowała ich starego laptopa, bo pewnie pomoże im w śledztwie. Przekazała go policjantowi, który odwiózł ich do domu. Może odzyskają go, gdy będzie po wszystkim, ale mama powiedziała im, żeby nie zawracali sobie tym głowy. Nie chciała go więcej widzieć.

Spojrzała na Jessego i wypowiedziała te słowa. Nie sprzeczał się, tylko przytaknął. Westchnęła lekko, a jej zmarszczone czoło natychmiast się rozjaśniło. Jeden problem z głowy, milion innych przed nią.

Jesse myślał, że rozumie, jaka jest teraz jego rola. Był niegrzeczny. Nie można cofnąć się w czasie, przewinąć i odwrócić tego, co już się wydarzyło. Mógł jedynie próbować naprawić sytuację, zrównoważyć to, że był niegrzeczny, będąc teraz grzecznym. Jak wtedy, gdy po zjedzeniu batona Twinkie musiał wypić szklankę mleka. Dobre sprawowanie, by zrównoważyć złe.

Zeszłej nocy pani policjantka powiedziała, że potrzebują jego pomocy. Był świadkiem. Chcieli, żeby był dzielny i opowiedział im o wszystkim, co się wydarzyło. Nie ma powodu do wstydu, to nie była jego wina. Miał po prostu opowiedzieć.

Jesse zrobił, co mógł. Tyle że czuł się bardzo zawstydzony. Wstydził się z powodu niebezpiecznego, nieznanego chłopca, który tak łatwo wywabił go z biblioteki, chociaż Jesse wiedział, że to złe. Wstydził się tego, że niebezpieczny nieznanomy chłopak pokazał mu swoje intymne części ciała. A jeszcze bardziej zawstydziła go owa ciemnowłosa dziewczyna-demon w obcisłym ubraniu, która pojawiła się z bronią i zbyt niebieskimi oczami i to, w jaki sposób uśmiechnęła się wprost do niego, co było zupełnie nie w porządku.

Chłopak był zły i kobieta była zła i Jesse czuł się tym wszystkim zawstydzony, ale przede wszystkim faktem, że bardzo, bardzo się bał i dlatego zamknął oczy. Na większość tego, co się stało. Na wszystko. Na każdą sekundę, która pojawiła mu się w głowie.

Nie chciał wiedzieć, co stało się po tym, jak wyszedł z biblioteki. Chciał, żeby to zniknęło, a nawet zostało cofnięte i wymazane. Seria klitek filmowych wymazana z jego pamięci. Nie musiałby się już więcej budzić z krzykiem. Wtedy mama nie marszczyłaby czoła, patrząc na niego.

Znów zaczęłyby chodzić do szkoły i wróciliby do codziennego planu dnia, Jenny i Jesse kontra reszta świata.

Tego chciał. Bardziej niż czegokolwiek. Żeby on i mama znów mieli się dobrze. Jenny i Jesse kontra reszta świata.

- Mamusiu. - Odwrócił się i wpatrywał w jej śpiącą postać.

Nie poruszyła się.

Położył dłoń na jej ramieniu.

- Mamusiu.

- Mhm? - Usłyszał cichą odpowiedź, ale mama nadal się nie poruszyła.

Dotknął jej długich, brązowych włosów rozsypanych na poduszce. Przypominały trochę włosy demona, ale mama była zupełnie inna. Przede wszystkim mama była prawdziwa, a dziewczyna z bronią na pewno była potworem.

Jesse westchnął lekko. Nienawidził budzić mamy. Rozumiał jednak, co musi zrobić. Był niegrzeczny. Nie może cofnąć czasu. Teraz będzie grzeczny. Teraz rozwiąże problemy, będzie

szklanką mleka po zjedzeniu batonika.

- Mamusiu, obudź się.

Mama westchnęła i odwróciła się na plecy. Jej powieki się poruszyły. Ziewnęła i spojrzała na sufit.

Widział, kiedy się obudziła, tak naprawdę przebudziła, ponieważ jej łagodna i zrelaksowana twarz nagle zamarła. Zamrugła oczami, a jej czoło znów przecięły zmarszczki. Odwróciła się do niego.

- Wszystko w porządku, kochanie? - zapytała natychmiast i nawet w jej głosie słychać było napięcie.

- Kocham cię, mamusiu.

- Ja też cię kocham, skarbie. - Wzięła go za rękę. - Miałeś zły sen?

- Nie. Nie chcę dzisiaj jeść batoników.

- Dobrze.

- Powinniśmy gdzieś wyjść. Na świeże powietrze.

- Dobrze, Jesse.

- Zjem na śniadanie owsiankę. Bez cukru, zwykłą, taką jak ty robisz.

- Jesse...

- Kocham cię, mamusiu.

- Ja też cię kocham. Przejdziemy przez to, Jesse. Będzie dobrze.

I wtedy się rozplakał. Nie wiedział dlaczego. Nie planował tego. Ale ona wyciągnęła rękę, a on przytulił się do jej piersi, tak jak to robił, gdy był malutki. Ona głaskała go po głowie, a on płakał jeszcze mocniej, ponieważ ona była jego mamusią, a on ją kochał i chciał, żeby po prostu byli razem, Jenny i Jesse kontra reszta świata. Było wspaniale, gdy byli razem, Jenny i Jesse kontra reszta świata.

W końcu wstali. Ona zrobiła mu śniadanie, a on nakrył do stołu. Oboje dostali owsiankę, gotowaną powoli na kuchence, ponieważ mama wreszcie miała czas ją przygotować. Włożył do ust pierwszą łyżkę papkowatej mikstury, zacisnął powieki i dzielnie ją połknął. W tym samym momencie usłyszał wysoki, dźwięczący odgłos.

Mama się śmiała. Jego mama niemal przewracała się nad maleńkim drewnianym stolikiem, chichocząc niekontrolowanie na widok przerażonego wyrazu na jego twarzy.

To go rozśmieszyło, więc zjadł kolejną porcję, ona zjadła swoją owsiankę, która w zasadzie nie była taka zła, chociaż niesłodzona, kleista i w ogóle. Może nawet zje ją jeszcze kiedyś. Może.

Po śniadaniu ubrali się ciepło i wyszli do parku. Było bardzo zimno, minus dwanaście stopni, powiedziała mama. Ale świeciło słońce, które odbijało się od śniegu i wracało do nieba, tak niebieskiego, że Jessego aż bolały oczy.

Wtedy sobie przypomniał, na huśtawkach, kiedy szybował w górę do błękitnego nieba.

Tak się podekscytował, że puścił się i niemal spadł, gdy znalazł się w najwyższym punkcie lotu. W ostatniej sekundzie chwycił znowu łańcuchy i opuścił stopy, by przeciągnąć nimi po ziemi. Kiedy dostatecznie zwolnił, zeskoczył z huśtawki i popędził do mamy.

- Pamiętam, pamięta, pamiętam. Mam coś dla tych detektywów. Musimy do nich zadzwonić.

- Dobrze, dobrze. Co takiego, Jesse, co pamiętasz?

- Jej oczy, te bardzo niebieskie oczy demona. Wiem, dlaczego wyglądała jak potwór!

- Dlaczego, skarbie?

- One nie są prawdziwe, mamusiu. Widziałem je już wcześniej, w katalogach kostiumów na Halloween. Robią takie szkła kontaktowe, jak oczy wampirów albo zombie, ale też kocie. Niebieskie kocie oczy. Ona takie miała. Ta kobieta nie była prawdziwym demonem, tylko zwykłą dziewczyną w przebraniu!

Rozdział 36

D. D. obudziła się nagle o szóstej rano. Dziecko nie płacze, budzik nie dzwoni, a Alex nie szykuje się do pracy. Leżała przez chwilę, przepytując samą siebie i nagle zrozumiała. Dwudziesty pierwszy stycznia. Rocznica dwóch morderstw. Dzień, który Charlene Grant przewidziała jako moment swojej śmierci.

D. D. wstała z łóżka.

Zarzuciła na siebie granatowy flanelowy szlafrok Alexa i poszła cicho do kuchni zaparzyć kawę. Zerknęła na telefon, aby sprawdzić wiadomości. Nie miała żadnych.

Poszła do łazienki umyć zęby i zarejestrowała świeże sińce pod oczami, bladość niedospanej twarzy i nowe, ale widoczne zwiótczenie skóry pod brodą. Potrząsnęła podejrzanym fałdem skóry, pomyślała, że tak się dzieje, kiedy kończy się czterdzieści jeden lat, spojrzała gniewnie w lustro i wróciła do kuchni na pierwszą filiżankę kawy. Zadzwoiła do pracy i sprawdziła pocztę głosową.

Nadal żadnych wiadomości.

Powinna zadzwonić do rodziców, których udało jej się unikać przez niemal dwadzieścia cztery godziny. Nie spodobałoby im się to. Prawdopodobnie mieli do tego pełne prawo.

Po namyśle postanowiła najpierw zjeść śniadanie.

Usmażyła bekon, jajka i zabierała się za gofry, kiedy do kuchni wszedł Alex z zaczerwienionymi oczami. Miał na sobie białą koszulkę, na niej szarą bluzę akademii FBI i turkusowe spodenki, w których lubił spać. Policzki pokrywał mu delikatny, szpakowaty zarost. Na lewym ramieniu widniała plama po jedzeniu wyplutym przez Jacka.

Oboje jesteśmy starzy, skwitowała w myślach D. D. Ale generalnie nadal wyglądamy nieźle.

Nalała mu kawy.

- Nie masz dzisiaj wolnego? - wymamrotał, z wdzięcznością przyjmując kubek.
- Nie muszę być w pracy, ale to może być wielki dzień dla naszego dochodzenia w sprawie zabójstw. Czekam na telefon z laboratorium badań balistycznych. - Napełniła ponownie swój kubek.

Alex zauważył, jak dolewa sobie kawy, i uniósł brwi.

- Myślałem, że rzuciłaś?

- Tak, ale kiedy rozpracowujesz zabójstwa, po prostu trzeba napić się dobrej czarnej.

Ponieważ Alex sam pił kawę przez cały dzień, nie spierał się.

Usiadł przy stole. D. D. podała mu śniadanie, co było rzadkością, ponieważ kuchnia stanowiła rewir Alexa. Kolejna przytulna scena, pomyślała D. D. Zeszłej nocy była sama z Jackiem, mama i syn. Teraz ona i Alex, właściwie mąż i żona.

Poczuła irytację na myśl, że jej matka może mieć rację.

Zjedli w przyjemnej ciszy. Alex czytał gazetę, a potem rozwiązywał codzienną krzyżówkę. D. D. krzątała się po kuchni, zmyła naczynia, wytarła je i odstawiła na miejsce. Myśli kłębiły jej się w głowie. Znała siebie na tyle, żeby wiedzieć, że coś rozpracowuje.

Nie była tylko pewna co.

O siódmej trzydzieści dołączył do nich Jack. Alex nakarmił go, gdy D. D. brała prysznic. O ósmej uznała, że nadal jest zbyt wcześnie, aby niepokoić rodziców, więc tylko sprawdziła, czy ktoś z pracy zostawił dla niej wiadomość na komórce albo na poczcie głosowej. Znowu nic.

Charlene Grant pewnie skończyła już służbę, próbowała odkopać swoją dwudziestkędwójkę, nie znalazła jej i zdała sobie sprawę, że policja ją ściga. Albo może była zbyt rozkojarzona datą, domniemanym zagrożeniem i nową falą smutku z powodu losu przyjaciółek, żeby od razu pomyśleć o policji. Może zamiast tego po prostu spanikowała.

Co ty byś zrobił ostatniego dnia życia? Uciąłbyś sobie drzemkę, żeby być lepiej przygotowanym na ostateczną rozgrywkę? Poderwałbyś jakąś cizję na ostatni seks na tej ziemi? Zjadłbyś ostatni naładowany tłuszczem, cukrem i kaloriami posiłek?

Zadzwoiłbyś do ukochanych osób i pożegnał się z nimi?

Tyle że Charlene nikt już nie pozostał, tylko ciotka Nancy i bezpański kundel.

Rosalind Grant. Carter Grant. Dwójka zmarłych dzieci: brat i siostra.

Christine Grant. Jedna zmarła matka.

Charlene Rosalind Carter Grant alias Abigail. Kobieta w epicentrum burzy.

Mózg D. D. znów zaroił się od myśli.

O dziewiątej ona, Alex i Jack byli umyć i nakarmieni. Lepiej być nie mogło. Ostatnie sprawdzenie poczty głosowej. Znowu nic. Ostatnie sprawdzenie komórki. Nic.

D. D. w końcu się ugięła, zadzwoniła do rodziców i zaprosiła ich do siebie. Alex zgodził się przywieźć ich z hotelu, jako że nie wynajęli samochodu, ponieważ nie chcieli jeździć w bostońskich korkach. To Waltham, chciała powiedzieć D. D., nie Boston. Jazda po Bostonie była sportem widowiskowym jak walki sumo, gdzie największe i najbardziej agresywne pojazdy wygrywają. Natomiast poruszanie się po Waltham to przechadzka po przedmieściach... Westchnęła i obiecała sobie po raz enty, że nie będzie tak denerwująca dla Jacka, gdy ten dorośnie. Jeśli dobrze się nad tym zastanowić, będzie pewnie jeszcze gorsza.

Czekając na rodziców, włożyła Jacka do nosidelka i trzymając go przy piersi, odkurzyła chodnik w przedpokoju i uprzątnęła salon.

Przydałoby się go odmalować. Jeśli już się za to zabiorą, powinni również zmienić obicie wypłowiej, kawalerskiej sofy Alexa i wycyklinować parkiet. Może kupią pleciony dywan, by złagodzić wystrój i roślinę w doniczce jako zielony akcent. A najlepiej, jak odnowią okna.

D. D. przylapała się na dobieraniu tapety, a potem się opamiętała, wyłączyła odkurzacz i potrząsnęła sobą w myślach. Zapomnij, do cholery, o wystroju. Na miłość boską, detektyw D. D. Warren nie dobiera obić, tylko łapie zabójców.

Dziewiąta czterdzieści pięć. Zrezygnowała ze sprawdzania wiadomości i zadzwoniła bezpośrednio do laboratorium. Jon Cassir od badań balistycznych nie odbierał, więc zostawiła mu informację na poczcie głosowej. Potem jeszcze trochę pochodziła z Jackiem po mieszkaniu.

Detektyw O uważała, że Charlene jest zabójcą w słusznej sprawie. Brała na cel pedofilów, aby zrekompensować sobie bezsilność wypełnionego przemocą dzieciństwa, matkę, która ją krzywdziła, rodzeństwo, którego nie zdołała ocalić. Poza tym jako kobieta z wyrokiem na karku

cóż miała do stracenia?

O twierdziła jednak również, że Charlene nie będzie celem dwudziestego pierwszego i prawdopodobnie sama wszystko ukartowała.

D. D. zmarszczyła czoło. Te dwie teorie wzajemnie się wykluczały. Albo Charlene zaplanowała morderstwa z dwudziestego pierwszego, co oznacza, że nie jest o krok od śmierci, albo naprawdę uważała, że jest skazana na stracenie, a wówczas zabijanie pedofilów było w porządku.

D. D. przechadzała się po salonie.

Charlene twierdziła, że dzisiaj zginie. Prawda czy fałsz? D. D. czuła to w kościach. Zmizerowany wygląd dziewczyny, jej obite knykcie, sińce wokół gardła. Nikt nie trenuje tak zacięcie bez poczucia prawdziwego, nadciągającego niebezpieczeństwa.

To oznaczało, że D. D. miała do przeanalizowania dwie serie morderstw. Dwa zabójstwa przyjaciółek z dzieciństwa, w obliczu których Charlene staje się kolejną ofiarą, a do tego morderstwa trzech pedofilów, którym być może Charlene nierozważnie postanowiła wymierzyć sprawiedliwość podczas swych ostatnich dni na ziemi.

Tyle że na ostatnim miejscu zbrodni Charlene przedstawiła się młodemu, przerażonemu świadkowi jako Abigail. Zrobiła to kobieta, która już nosiła ze sobą bagaż imion zmarłego rodzeństwa. Jeśli musiała podać imię, dlaczego nie Rosalind albo Carter albo, jak zwykła robić, całą litanię Charlene Rosalind Carter Grant? A tak w ogóle, jaki morderca pociąga za spust, a potem odwraca się i przedstawia widowni?

„Szalony”, niemal słyszała w głowie odpowiedź detektyw O. Taki, który wcale nie jest osobą, ale „osobowością mnogą”. Kobieta, która najwyraźniej nie pogodziła się ze swoją przeszłością.

Otworzył się drzwi frontowe i Alex wprowadził rodziców D. D.

- Gdzie jest mój wnuczek? - zawołała entuzjastycznie mama, wchodząc do mieszkania z otwartymi ramionami. - Czas, by stworzyć parę wspomnień!

Wspomnienia, pomyślała oschle D. D. Wszystko zależy od punktu widzenia.

W tym momencie wpadła na bardzo ciekawy pomysł.

O jedenastej przed południem Jack spał z powrotem w foteliku. Rodzice D. D. siedzieli na sofie. Matka rozprawiała o mroźnej zimie, okropnej bostońskiej pogodzie, wielkich korkach na drodze, o tym, jak zawsze jest szaro (gwoili ścisłości, na zewnątrz świeciło słońce, a niebo było cudownie błękitne) i przerwie w refundacji leków w systemie ubezpieczeń zdrowotnych, o której nikt w rządzie nie mówi, a która w zasadzie oznacza, że żaden senior nie otrzymuje przyzwoitego ubezpieczenia zdrowotnego.

- Nie starzej się - poradziła na zakończenie. - To po prostu okropne. Dlaczego cały czas musimy wypełniać papiery? A kiedy dojdziemy do ładu ze wszystkimi lekarzami i lekami, wszystko się zmienia i musimy zaczynać od początku.

Alex siedział w bujanym fotelu, a wzrok miał lekko szklisty. Trzymał w dłoni czwarty kubek kawy, ale biorąc pod uwagę sposób, w jaki wpatrywał się w niego, napój nie spełniał swojego zadania.

D. D. nie mogła wysiedzieć na miejscu. Pozbierała zabawki Jacka. Obie. Potem wygładziła jego kocyk. Następnie przestawiła nosidełko. Później przyniosła swemu śpiącemu dziecku jeszcze dwie zabawki i ułożyła je obok niego w foteliku. Na wszelki wypadek.

- To kiedy przyjedziecie na Florydę? - zapytała matka.
- Co?

- Myśleliśmy o marcu - kontynuowała matka, zerkając na ojca. - Jest wtedy ciepło, słońce świeci codziennie. Pogoda jest o wiele lepsza niż w marcu w Nowej Anglii, moja droga. Przy odrobinie szczęścia temperatura osiągnie... Ile to może być? Około dwudziestu stopni? Możecie zabrać Jacka na plażę, będzie mógł zamoczyć nóżki w oceanie. Chcemy też urządzić przyjęcie. Nic wystawnego. Tyle, żeby nasi znajomi mogli zobaczyć ciebie i Jacka. Och, i oczywiście Alexa.

Alex poruszył się na dźwięk swego imienia. Podniósł wzrok, lekko spanikowany na myśl o tym, co mu umknęło.

- Zapłacimy za bilety - ciągnęła dalej matka. - To będzie nasz prezent dla ciebie i Alexa. Z okazji narodzin dziecka. - Promieniała.

D. D. stała pośrodku salonu, trzymając się smoczka Jacka jak ostatniej deski ratunku. Zerknęła na Alexa.

- Floryda? - zapytał beznamiętnie.
- Tak - potwierdziła D. D. - Rodzice chcieliby, żebyśmy ich odwiedzili. W marcu.
- Pogoda na Florydzie w marcu jest ładna - odparł.
- To prawda.
- Okej.
- Co?
- Pojedziemy. W marcu. Miło będzie zobaczyć, gdzie mieszkają twoi rodzice. - Potem wstał i poszedł do kuchni.

Zadzwoniła komórka D. D. i to prawdopodobnie uchroniło ją przed potrójnym morderstwem. Na ekranie wyświetliło się nazwisko detektyw O.

- Muszę odebrać - bąknęła i ruszyła prosto w kierunku pokoju w głębi mieszkania.
- Właśnie dzwonił Cassir - oznajmiła O bez żadnego wstępu. - Do broni Charlene pasują pociski wystrzelone na drugim i trzecim miejscu zbrodni. Łuski z pierwszej strzelaniny są zbyt zniszczone, jak przewidywał. Ale i tak, dwa na trzy...
- Tak - zgodziła się D. D., znów myśląc intensywnie. - Mnie wystarczy. Złóż wniosek o nakaz aresztowania Charlene Rosalind Carter Grant.

- Robi się.

- Sprawdziałaś dziś rano Facebooka? Tę stronę, którą założyłaś?

- Tak, tysiąc stu znajomych i dołączają kolejni. Żadnych oczywistych pogroźek ani dziwnych wpisów. Były mąż już się nie odezwał. Kilka osób, które najwidoczniej chodziły do szkoły z obiema ofiarami, ale nie mam zielonego pojęcia, czy są psychicznie. Potrzeba na to więcej czasu.

- Czy możesz sprawdzić ich daty urodzenia?
- Jeśli zamieścili je w swoim profilu. Jedni to robią, inni nie.
- Poszukaj dwudziestego pierwszego stycznia.
- Dzisiaj? Myślisz... myślisz, że ktoś chce w ten sposób uczcić swoje urodziny?
- Musi być jakiś powód, dla którego to właśnie ta data, prawda? Nie miała szczególnego znaczenia dla Randi ani Jackie i nie znaczy nic dla Charlene. W takim razie musi być ważna dla zabójcy.

- Wszystkiego najlepszego?
- Tak - odparła D. D. i w tym momencie poczuła, że ostatni element układanki trafił na swoje miejsce. Gonitwa myśli ustała. Pojawiła się odpowiedź. - Charlene Rosalind Carter Grant - oznajmiła. - Tu tkwi nasz problem. Wciąż uważamy, że chodzi tutaj o Charlene Rosalind Carter Grant.
- Tak.
- Może tak nie jest. Może to nie ma z nią nic wspólnego. Może tu chodzi tylko o Abigail.
- Charlie to Abigail. Badania balistyczne to potwierdzają.
- Możliwe, ale nadal nie znamy odpowiedzi na pytanie: dlaczego zabójca przedstawił się jako Abigail?
- Uspokajała chłopca. Nienawidzi zbrojców, a nie ofiar.
- Mogła uspokoić chłopca, nie podając swojego imienia. Ona jednak oznajmiła konkretnie: „Mam na imię Abigail”.
- By uczyć pamięć swej siostry, dziecka, którego ciała jeszcze nie odnaleźliśmy.
- A więc imię zmarłej siostry staje się jej drugim imieniem, imię brata - trzecim. A Abigail?
- To odszczepiona osobowość.
- Dlaczego?
- Skąd, do diabła, mam wiedzieć? Chyba dlatego nazywają to niepoczytalnością.
- A co z dwudziestym pierwszym? - kontynuowała D. D. - Obie przyjaciółki Charlene zostały zamordowane tego dnia. Dlaczego właśnie ta data?
- Już zadawano to pytanie, niestety nikt nie zna na nie odpowiedzi. Z drugiej strony, może dzisiaj dowiemy się czegoś nowego.
- Myślę, że te dwie kwestie są ze sobą powiązane.
- Jakie dwie kwestie?
- Abigail i dwudziesty pierwszy stycznia. Znamy tylko Charlene Rosalind Carter Grant. Szukałyśmy jedynie w jej przeszłości i jej zadawałyśmy pytania. A co z Abigail? Skąd to imię, skąd ta data?
- Sugerujesz, że Abigail to ogniwo łączące morderstwa przyjaciółek i zabójstwa pedofilów?
- Tak mi się wydaje.
- Ale... - w głosie O słychać było wahanie. - Abigail to Charlie.
- W zasadzie, jeśli mamy do czynienia z osobowością mnogą, to nie jest prawda. Abigail jest częścią Charlie, ale faktycznie nigdy się nie spotkały.
- Czy mam aresztować Charlie?
- Jasne. Mamy wyniki badań balistycznych. Użyj raportu, żeby dostać nakaz. Wsadzenie Charlene za kratki nie jest złym posunięciem, ale mówię ci, że tak naprawdę musimy poznać Abigail. Cokolwiek tu się dzieje, ona trzyma klucz do całej sprawy.
- Idę aresztować Charlene Grant - oznajmiła O, a jej ton głosu sugerował, że teraz to D. D. zwariowała.
- Dobrze - zgodziła się D. D. - A ja idę dowiedzieć się czegoś o Abigail. Zobaczmy, która z nas pierwsza znajdzie zabójcę.

Rozdział 37

Kiedy pierwszy jadący na sygnale radiowóz policji w Grovesnor pojawił się w moim polu widzenia, zamarłam. Przyjechali po mnie. Nie było ku temu logicznego powodu, ale tak właśnie pomyślałam. To, że jest się przewrażliwionym, nie oznacza, że cię nie ścigają.

Ustawiłam się obok budki telefonicznej, niedaleko wejścia na stację metra, przygarbiłam się i spuściłam głowę, jakbym mogła magicznie zniknąć w fałdach kurtki.

Nie zadziało. Usłyszałam pisk hamulców. Radiowóz zatrzymał się gwałtownie obok mnie. Zmierzyłam wzrokiem odległość do schodów prowadzących pod ziemię, do metra. Jakies czterdzieści, pięćdziesiąt stopni. Byłam mała i szybka. Miałam spore szanse uciec, jeśli skrucę w prawo...

- Wsiadaj! - wrzasnął Mackereth przez otwarte okno od strony pasażera. - Na miłość boską, Charlie, wsiadaj. Schyl się. Już!

Otworzyłam drzwi, wskoczyłam na przednie siedzenie pasażera, zamknęłam drzwi i skuliłam się na podłodze pod deską rozdzielczą. Ponownie spuściłam głowę, mając nadzieję, że moje ciemnobrązowe włosy zleją się ze skórzaną tapicerką fotela. Tom wcisnął gaz i radiowóz ruszył ostro z wciąż włączoną syreną. Wyglądało to tak, jakby policjant właśnie kogoś ścigał.

- Opisz swoją spluwę - rozkazał, trzymając obie dłonie na kierownicy, ze wzrokiem utkwionym przed siebie i chmurnym wyrazem twarzy.

- Co?

- Opisz swoją broń!

- Taurus dwudziestkadwójka, samopowtarzalna. Niklowany... palisandrowa rękojeść...

- Jaka rękojeść?

- Palisandrowa.

Mruknął, skrucił gwałtownie i lekko przyspieszył.

- Tom, co się dzieje?

- Dwie minuty temu dzwonił sierżant. Jesteś poszukiwana, wydano na ciebie nakaz aresztowania. - Wreszcie na mnie spojrzął. - Za morderstwo.

Otwarłam szeroko oczy, ale nic nie powiedziałam.

- Będziesz się ze mną sprzeczać, Charlie? Powiesz, że tego nie zrobiłaś? Jesteś niewinna.

- Nie rozumiem - odparłam.

- Ja też nie - oznajmił oschle i słychać było, że jest zagniewany. Na siebie czy na mnie, czy na sytuację - tego nie wiedziałam. - Oto czego nie rozumiem: od pół godziny w radiu wrze na temat przełomu w jakimś większym dochodzeniu, serii zabójstw pedofilów. Nareszcie znaleziono broń, z której strzelał morderca, czy coś takiego. Kilku bostońskich policjantów żartowało, że może zamiast aresztować zabójcę, powinniśmy dać jej odznakę. Jej.

Tom oderwał wzrok od drogi na wystarczająco długą chwilę, by przyjrzeć mi się uważnie.

- Wiedziałem, że to ty, Charlie. Wiedziałem, że to ty. Wczorajszy nakaz zarekwirowania twojej broni, porucznik sprawdzający twoje karty czasu pracy i przez pół nocy rozmawiający przez telefon z bostońską detektyw...

- Zaczekaj. - Wyprostowałam się i natychmiast wystawiłam głowę znad deski rozdzielczej. - Seria zabójstw? Pedofile? Co takiego?

- No właśnie. Wiem na pewno, że wczoraj wieczorem nie skonfiskowaliśmy twojej broni. Shepherd sprawdził twoją torbę, byłaś czysta.

Nie odzywałam się więcej, jedynie słuchałam.

- Zaczęłam się zastanawiać - kontynuował Tom - Jak bostońską policja zdołała dopasować luski do twojej broni. Zadzwoń mi więc do laboratorium...

- Zadzwoń mi do laboratorium?

- Jasne. Kilka razy w miesiącu chodzę na strzelnicę z szefem balistyki Jonem Cassirem. Porozmawiałem z nim więc jak kolega z kolegą i przyznał, że strzelał całą poprzednią noc w ramach badań balistycznych w priorytetowej sprawie. Nie mógł jednak zdjąć żadnych odcisków palców ze względu na kratkowaną, gumową rękojeść.

- Gumowa rękojeść?

Tom zwolnił nieco, a potem włączył kierunkowskaz. Wcisnął hamulec i zatrzymał się na skrzyżowaniu. Znowu zanurkowałam pod deskę i modliłam się, by nagle stać się niewidoczna. Następnie skręcił w prawo, zaczął stopniowo przyspieszać, ale po chwili wyłączył górne światła i zwolnił. Najwyraźniej zmierzał w konkretnym celu, ale ja nie wiedziałam dokąd.

- Sprawdziłem któregoś wieczora twoją torbę - powiedział.

- Szperałeś w mojej torbie?

- Ogłosiłaś kod dziesięć-sześć, a ja cię akurat szukałem. Ciebie nie znalazłem, ale twoją torbę tak. Więc zajrzałem do środka.

- Naruszyłeś moją...

- Powinnaś być mi wdzięczna, Charlie. Zobaczyłem twoją pukawkę. Pomyślałem, że to ładna sztuka, a szczególnie palisandrowa rękojeść. Więc jeśli masz przy sobie dwudziestkędwójkę z palisandrową rękojeścią, której z pewnością nie skonfiskowaliśmy zeszłej nocy, dlaczego bostońska policja jest w posiadaniu dwudziestki z gumową rękojeścią, która w ich mniemaniu należy do ciebie, a do tego łączy cię z serią zabójstw?

- Dlaczego grzebałeś w mojej torbie?

- Zawsze ciągnęło mnie do beznadziejnych przypadków, pamiętasz?

- Ale nie złożyłeś na mnie raportu.

- Jeszcze się nie zdecydowałem. Teraz twoja kolej. Mów.

Przez chwilę milczałam, gryząc wewnętrzną stronę wargi.

- Nie wiem - powiedziałam w końcu. - Nie zastrzeliłam trzech pedofilów. Mam jedną broń, którą schowałam po naszej... rozmowie... wczoraj w nocy. Tyle że szukałam jej dziesięć minut temu i nie znalazłam. Może więc ma ją bostońska policja, chociaż z tego co mówisz, dopasowali do naboju ze strzelanin zupełnie inną broń. Biorąc pod uwagę mój nakaz aresztowania, nie wiedzą jednak o tym. - Ściągnęłam brwi, przemyślałam tę kwestię i znowu ściągnęłam brwi. - Nie rozumiem tego.

Radiowóz zwolnił jeszcze bardziej. Tom włączył kierunkowskaz i skręcił w lewo.

- Kogo wkurzyłaś?

- Nie znam nikogo na tyle dobrze, by stać się jego przyjacielem albo wrogiem. Przez ostatni rok trzymałam się na uboczu. Myślę, że możesz potwierdzić mój stopień serdeczności i ciepła.

Tom mruknął z aprobatą.

- Zdaje się, że ktoś myśli, że jesteś zabójczynią. Albo - zawahał się - ktoś chce, żeby inni myśleli, że jesteś zabójczynią. Przecież tak to właśnie wygląda, prawda? Ktoś klasycznie chce cię wrobić. Ktoś dostarczył broń, twierdząc, że należy do ciebie, a teraz dopasowano ją do trzech morderstw.

- Ale to nie jest mój taurus. Moje pozwolenie... - zaczęłam i po chwili zamilkłam. W moim

pozwoleniu na broń widniał jedynie typ broni, a nie szczegółowy opis konkretnego egzemplarza, który posiada palisandrową, a nie gumową rękojeść. - To nie moja broń - powtórzyłam bardziej stanowczo. - Mój instruktor strzelania, J. T. Dillon, może zeznawać na moją korzyść. Trenował mnie przez ostatni rok i wie, jak wygląda mój taurus.

Tom mruknął.

- Przynajmniej masz pierwszego świadka obrony.

Zrozumiałam, co chciał przez to powiedzieć. Przy odrobinie czasu i wysiłku mogłam udowodnić, że policja bostońska się myli. Dwudziestkadwójka, którą dostarczono jako moją, nie należała do mnie. Tymczasem jednak zdążyli już wydać nakaz aresztowania. Oznacza to, że najpierw mnie wsadzą, a później sprawa się wyjaśni.

Dla mnie nie było „później”. Dzisiaj był ten dzień, dwudziesty pierwszy stycznia. Dzień, do którego przygotowywałam się przez ostatni rok. Miałam przywitać mojego zabójcę uzbrojona i gotowa do walki. Teraz, w ciągu niespełna dwudziestu minut, stałam się bezbronna i ścigana przez prawo.

Kto za tym stał? Kto?

Powoli, ale zdecydowanie mój mózg zaczął pracować.

- Prawdziwe narzędzie zbrodni dostarczył policjant. Tylko w ten sposób można było stwierdzić zgodność z nabojami, prawda? Zwykły obywatel nie może pojawić się w laboratorium policji bostońskiej i oznajmić: „Oto broń Charlene Rosalind Carter Grant. Proszę przeprowadzić badanie”.

- Bingo.

- Idąc dalej, ten sam policjant skonfiskował mojego prawdziwego taurusa, żebym nie mogła od razu pomaszerować z nim do komendy i oznajmić, że zaszła pomyłka.

- Możliwe.

- Nie rozumiem - powtórzyłam i nie podobało mi się to, że w moim głosie słychać słabość i dezorientowanie.

- Kto jeszcze wie, że masz dwudziestkędwójkę? Ja wiem. A co z innymi policjantami w naszym wydziale, albo w komendzie głównej?

- Współpracowałam z detektyw D. D. Warren i drugą detektyw, O. Obie wiedzą o moim taurusie. Detektyw D. D. obiecała zbadać sprawę morderstw moich przyjaciółek i sprawdzić, czego może się na dzisiaj dowiedzieć. O natomiast stworzyła stronę na Facebooku, żeby zwabić zabójcę...

W tym momencie zamilkłam. Ostatnim razem, kiedy byłam w komendzie, zadawały mi mnóstwo pytań, które miały niewiele wspólnego ze śmiercią moich przyjaciółek. Przepytywały mnie na temat mojej matki, dzieciństwa i zmarłego rodzeństwa. Szczególnie O powracała do mojego poczucia „frustracji i bezsilności” oraz tego, że najlepiej ze wszystkich wiedziałam, jak bardzo dzieci cierpią i jak niewiele policja może zrobić, by im pomóc.

Chyba że biegam po mieście, strzelając do pedofilów.

Myślały, że ja to zrobiłam. Oczywiście. A ja niczemu nie zaprzeczyłam, ponieważ nie byłam zupełnie niewinna. Inna zbrodnia, ale ta sama krew na mych rękach.

Ale jak to się stało, że przed chwilą byłam podejrzana przez dwie panie detektyw, a dzisiaj przynajmniej jedna z nich chce mnie zrobić?

I wtedy zrozumiałam. Wiedziałam dokładnie, co się stało. Popatrzyłam na Toma.

- Detektyw O - powiedziałam. - Ona to zrobiła. O mój Boże, wrobiła mnie we własne, cholerne zbrodnie.

Tom przyjrzał mi się z siedzenia kierowcy w zaparkowanym samochodzie. Jego wyraz twarzy od razu zdradzał sceptycyzm.

- Dlaczego?

- Sam to powiedziałeś. Policjanci żartowali, że zamiast aresztować zabójcę, powinni przyznać jej odznakę. Może dlatego, że morderca pedofilów już ma odznakę. Sfrustrowana detektyw od przestępstw seksualnych. Wiesz, młoda, gorliwa nowicjuszka przekonuje się w niezbyt łagodny sposób, że nie zawsze uda jej się rozwiązać sprawę, ocalić ofiarę i schwytać przestępcę. Ale pod osłoną nocy może go zastrzelić.

Tom zmarszczył czoło, ale nie nazwał mnie od razu wariatką.

- Ta praca może być frustrująca - przyznał. - Ale po co mieszać w to siebie? Jak sama powiedziałaś, masz kilku świadków, w tym mnie, którzy mogą poświadczyć, że posiadasz taurusa z rękojeścią z palisandru, nie z gumową. Prędzej czy później wytłumaczysz się z tego, detektyw O zaś w najlepszym razie wyjdzie na złego glineę, a w najgorszym zostanie ujawniona jako faktyczny morderca.

Teraz do mnie dotarło.

- Ponieważ dla mnie nie ma „prędzej czy później”. Dobrze wie, że mam dzisiaj zginąć. Do diabła, jestem idealna. Nawet wyglądamy trochę podobnie, tyle że ona jest ładna. Ale obie mamy brązowe włosy, podobny wzrost. Wie, że posiadam dwudziestkędwójkę, nawet mnie o to pytała. Zaledwie wczoraj poświęciła całe przesłuchanie, by przedstawić mnie w oczach swojej koleżanki D. D. Warren jako lekko szurniętą kobietę z wątpliwą pamięcią i traumatyczną przeszłością. Idealny zabójca w słusznej sprawie. - Zerknęłam na zegarek. - W najlepszym razie za mniej więcej osiem godzin nie będę już mogła dowieść swojej niewinności. Będę martwa i uznana za winną. Czego więcej mógłby chcieć policjant strażnik od kozła ofiarnego?

Tom znów ściągnął brwi, ale przytaknął lekko. Otworzył drzwi samochodu.

- Zostań - polecił.

Schyliłam głowę i zrobiłam, co mi kazał, ale już po chwili poczułam frustrację. Wszystkie te przygotowania i ciężka praca tylko po to, by wrócić do roli tresowanego psa? Pieprzyć to. Wprostowałam się na siedzeniu i rozejrzałam wokół.

Zaparkowaliśmy obok zasy przed blokiem z cegły. Nie była to kamienica, ale też nie budynek, który świadczyłby o wyższym statusie mieszkańców. Zwykły blok, gdzie mieszkali prawdziwi ludzie. Właśnie połączyłam wszystkie elementy układanki, kiedy Tom otworzył drzwi i warknął na mnie:

- Ryzykuję swój tyłek. Mogłabyś się nie wychylać?

Wysiadłam z samochodu ze spuszczoną głową i twarzą schowaną przed ewentualnymi świadkami. Mackereth przywiózł mnie do swojego mieszkania. Pomagając ściganej, brał udział w przestępstwie, z tego tylko powodu, że w głębi serca wiedział, że to właśnie powinien zrobić.

Weszłam za nim potulnie do środka, potem po schodach na trzecie piętro do prostego, dwupokojowego mieszkania z wielkim oknem wykuszowym wychodzącym na ulicę. W całym domu żaluzje były zaciągnięte. Zamrugałam w spowijającej mnie ciemności, a po chwili zrozumiałam, dlaczego zasłonił okna. Zawsze pracował na nocną zmianę, odsypiał w dzień, wychodził z mieszkania w nocy.

Zapalił kilka świateł i rzucił klucze na pusty blat w niewielkiej kuchni. Mieszkanie miało zapewne około pięćdziesięciu pięciu metrów kwadratowych. Duży kwadratowy salon połączony z kuchnią, przylegający do mniejszego pokoju, pełniącego rolę sypialni z przyległą łazienką. Dywan był brązowy. W kuchni znajdowały się szafki z ciemnego drewna i blaty ze złotego laminatu. W salonie stała wyściełana kanapa, a główny element wystroju stanowił płaski ekran telewizora. Kawalerskie gniazdko, niezbyt piękne, ale czyste i funkcjonalne. Mackereth mieszkał skromnie, lecz przyzwoicie.

- Nie mogę zostać zbyt długo - oznajmił. - Muszę wrócić na patrol, dopóki nie wycofają twojego nakazu aresztowania. Lecę, bo porucznik zacznie coś podejrzewać.

- Dziękuję - powiedziałam.

- Mobilizacja potrwa pewnie jeszcze około godziny. Wszystkie ręce na pokład. Potem, jeśli nie wydarzy się nic szczególnego, przejdziemy na tryb zmianowy. Odmelduję się, a potem odpocznę przed dzisiejszą nocną zmianą.

- Okej.

- Myślę, że będziesz tu bezpieczna. Ale musisz zostać w mieszkaniu, nie odsłaniać okien. Jeśli będziesz oglądać telewizję, nie nastawiaj głośno. Korzystne w tej dzielnicy jest to, że większość moich sąsiadów pracuje w dzień. Budynek jest dość cichy. - Spojrzał na mnie. - Dasz sobie radę bez psa?

- Zawsze chodziła własnymi drogami.

- Chcesz do kogoś zadzwonić?

- Do ciotki.

- To twoja najbliższa rodzina?

- Tak...

- W takim razie nie dzwoń do niej. Ją przesłuchają w następnej kolejności.

- Nie chcę, żeby się martwiła...

- Zna cię, lubi, a może nawet kocha?

- Tak...

- Więc zaufaj jej. Do tego się to sprowadza. Zatrzymanie zbiega, kurs podstawowy: sprawdzić znane miejsca, w których przebywał, czyli twoje miejsce pracy i wynajmowany pokój. Następnie przesłuchać znajomych. W twoim przypadku będzie to nieco trudniejsze. Na pewno twoja ciotka. Jeśli wspomniałaś komuś o instruktorach boks i strzelania, oni będą kolejnymi na liście. Przez ostatnie dwanaście miesięcy nie zostawiłaś jednak wielu śladów, więc to spowolni akcję.

- Nie sądzę.

- Dlaczego tak myślisz?

- Ponieważ jest ktoś, kto mnie obserwuje, czeka i już planuje moją śmierć. Dzisiaj powinnam być silna, gotowa, w najwyższej formie, a spójrz na mnie. Jest pierwsza trzydzieści osiem w południe i dzięki intrygom detektyw O jestem nieuzbrojona i ukrywam się z podkulonym ogonem. Za chwilę mnie zostawisz, a ten ktoś zastuka do drzwi. Otworzę, choć będę wiedziała, że nie powinnam. Będę wiedziała, że dokładnie tak samo postąpiła Randi. To samo zrobiła Jackie. Ale będę musiała to zrobić, ponieważ jesteśmy ciekawi, musimy wiedzieć to, co musimy wiedzieć. Więc ona zapuka, a ja otworzę. - Podniosłam lekko głos. - Za drzwiami będzie stał zabójca. Może to będzie sierżant detektyw D. D. Warren. Do diabła, może detektyw O albo

moja ciotka, której nie widziałam od roku, ale która w magiczny sposób pojawiła się wczoraj w Bostonie. Otworzę więc drzwi szerzej, ponieważ będę musiała. Będę chciała wiedzieć, co ma do powiedzenia. Wpuszczę ją do twojego mieszkania. Ona coś powie, nie wiem co. Ostatnie słowa, które usłyszała Randi, ostatnie, które usłyszała Jackie. Musi to być dobra kwestia. Najlepsza z syrenich pieśni. Ona będzie mówiła, a ja będę stała i nie zrobię zupełnie nic, kiedy podniesie ręce, oplecie palce wokół mojego gardła i powoli, ale stanowczo zacznie je zaciskać. W końcu się odmeldujesz, wrócisz do domu i zastaniesz mnie martwą na kuchennej podłodze. Żadnych oznak walki. Żadnych śladów włamania. Po prostu dwudziesty pierwszy stycznia.

Tom spojrział na mnie. Potem powoli wyciągnął dłoń i pacnął mnie w czoło.

- Co ty, do cholery, Królewna Śnieżka jesteś? Weź się w garść.

Zamrugałam i poczułam, jak mój wybuch przepowiedni powoli wygasa.

- Przepraszam, dawno nie spałam.

- No coś ty? Teraz cofnij się o parę sekund. Właśnie wymieniłaś trzy osoby, detektyw Warren, detektyw O i twoją ciotkę.

- Tak.

- To dobry trop. Przestańmy snuć hipotezy, a zamiast tego ustalmy chociaż jeden element tej układanki. - Tom wyciągnął komórkę i wybrał numer. - Z Jonem Cassirem poproszę - zaczął. Po chwili kontynuował: - Hej, Jon, tu Tom. Mam do ciebie pytanie. Nie chcę cię stawiać w niezręcznej sytuacji, ale pamiętasz te badania, które przeprowadzałeś zeszłej nocy? Naboje pasują do broni, która należy do dyspozytora z komendy w Grovesnor. Właśnie, wyobrażasz to sobie? Muszę ci powiedzieć, że wszyscy jesteśmy niemile zaskoczeni. Przynajmniej strzelała do pedofilów, ale jednak... Tak czy inaczej, razem z kilkoma kolegami mamy parę pytań do prowadzącego śledztwo. Masz jego nazwisko na karcie dowodu? Detektyw Ellen Ohlenbusch. Świetnie, dzięki, Jon. Będę cię informował na bieżąco. Tak, w przyszłym tygodniu chętnie postrzelam. Na razie.

Tom zamknął telefon.

- No i wszystko jasne. Detektyw Ohlenbusch. To ona dostarczyła „twoją” broń.

- Mordercza dziwka - wymamrotałam. - Nie żebym się kłóciła z jej potrzebą zabijania pedofilów, ale mogła przynajmniej sobie przypisać te zasługi, zamiast poświęcać moje bezpieczeństwo, żeby chronić swą reputację. Naprawdę...

- Pomyśl o tym w ten sposób: przeżyj dzisiejszy dzień, a jutro będziesz mogła ją wsypać. - Tom wziął do ręki klucze. - Nie muszę ci mówić, żebyś nie używała telefonu stacjonarnego. - Wskazał na aparat.

- Mam telefon na kartę.

- Z GPS-em?

- Na policyjnej pensji nie jestem w stanie pozwolić sobie na takie udogodnienia.

Wreszcie się uśmiechnął. Zwrócił się w kierunku drzwi. I wtedy, w ostatniej sekundzie zrobił krok w tył, odwrócił się na pięcie i wyciągnął rękę.

Nie przyjąłam pozycji obronnej. Nawet nie uniosłam rąk. Stałam tam, a on przyciągnął mnie do siebie. Po chwili jego ręce były na moich ramionach, jego palce wbijały mi się w ciało, moje dłonie dotykały jego klatki piersiowej, gdy on zbliżał swoje usta do moich.

Nie było w tym nic delikatnego. Żadnych pytań, pocieszenia ani obietnic. Tylko jego usta, zdecydowane, a nawet lekko zagniewane, ale jednocześnie nienasycone, pożądliwe i spragnione.

Po chwili zanurzyłam dłonie w jego włosach i oplótłam lewą nogę wokół jego biodra. On był zachłanny, ale ja jeszcze bardziej łapczywa, chciałam, pragnęłam i całowaliśmy się bez końca.

A potem mnie odepchnął. Zrobił krok w tył. Jego krótko ostrzyżone brązowe włosy stały nastroszone, a klatka piersiowa podnosiła się i opadała. Wyciągnął rękę, jakby chciał powstrzymać nas oboje.

- Nie dlatego to zrobiłem - oznajmił, a głos nadal mu drżał.
- W porządku. - Trzymałam zwinięte w pięści ręce po bokach, głównie po to, by się na niego nie rzucić.
- Muszę wracać do radiowozu. Zgłosić się do centrali. Sama wiesz to najlepiej.
- Pieprzona dyspozytornia - rzuciłam w odpowiedzi.
- Obiecuję, że za kilka godzin wrócę.
- Obiecuję, że za kilka godzin będę jeszcze żyła.

Przytaknął, spojrzał na mnie i...

Wyszedł.

Zamknęłam za nim drzwi na klucz. Potem stałam i zastanawiałam się, które z nas pierwsze okaże się kłamcą.

Sześć i pół godziny. Bez broni, bez psa, a do tego nie gram na swoim boisku.

Pieprzyć to wszystko. Zaczęłam przetrząsać kuchenne szuflady, aż znalazłam klasyczną szufladę z rupieciami. Taśma klejąca, długopis, cztery baterie R20, żyłka wędkarska, druciki do spinania, młotek, kilka monet.

Zaczęłam przygotowania do wojny.

Rozdział 38

D. D. wróciła na komendę i zawładnęła salą konferencyjną. Zaczynając od lewej strony ośmioosobowego stołu, porozkładała raporty z miejsc zbrodni. Najpierw Randi Menke. Dalej Jackie Knowles Pośrodku stołu, w długim rzędzie, ułożyła cztery zdjęcia z miejsca każdej ze zbrodni, niczym podkładki pod nakrycia.

Następnie zrobiła krok w tył i zaczęła się temu przyglądać.

Wszedł Neil, powiedział coś o świadku, do którego musi oddzwonić. Burknęła coś pod nosem. Wyszedł.

Wszedł Phil, powiedział coś o tym, że wszyscy wychodzą na lunch. Burknęła coś pod nosem. Wyszedł.

Dalej się przyglądała.

Myślała o Abigail. Zaginione dziecko? Rozszczepienie osobowości? Fragment kapryśnej pamięci Charlene Grant? D. D. uznała, że to nie ma znaczenia. Ważne, kim była.

Abigail. Brązowe włosy, niebieskie oczy, ochoczo przedstawiająca się świadkowi po dokonanym z zimną krwią zabójstwie pedofila. W jakiś sposób powiązana z Charlene Grant. Z tego powodu powiązana także z zabójstwami jej przyjaciółek? Główne ogniwo, brakujący element układanki. Powód, dla którego dwudziesty pierwszy stycznia miał takie znaczenie.

Abigail.

D. D. przyglądała się zdjęciom z miejsc zabójstwa Randi Menke i Jackie Knowles. A im dłużej patrzyła i im więcej się nad tym zastanawiała, tym bardziej była przekonana, że idzie dobrym tropem. To zrobiła Abigail. W tych fotografiach zdecydowanie dawało się wyczuć Abigail.

Kobiece, tak te zabójstwa określił Quincy. Schludne i czyste pomieszczenia, przetrzepane poduszki, nieskazitelne podłogi. Można było uznać, że obie ofiary śpią, co prawda w niewygodnych pozycjach, ale na ich twarzach nie malowało się przerażenie, ich karków nie skreśliła jakaś brutalna siła, kończyny nie były boleśnie wygięte.

Nawet na zbliżeniach sińce na ich szyjach były niewielkie, niemal delikatne. Zabójca użył tylko tyle siły, aby wypełnić swoją powinność.

A ofiary nie walczyły, nie stawiały choćby symbolicznego oporu.

O czym wiedziała Abigail, co Abigail zrobiła, że udało jej się pozbawić życia dwie dorosłe kobiety tak precyzyjnie, tak schludnie, tak... delikatnie?

Nie chodziło tu o przemoc. D. D. zawahała się, po czym podeszła do tablicy i zapisała to. Bez względu na to, co kierowało Abigail, nie była to żądza krwi ani okrucieństwo. Nie nienawidziła swoich ofiar. Nie torturowała ich, nie okaleczała, nie zbezcześciła w żaden sposób zwłok.

Weszła, zrobiła swoje i po wszystkim posprzątała. Towarzyszyła temu chłodna rzeczowość.

Nic osobistego. D. D. dopisała te słowa na tablicy.

Abigail zabiła obie kobiety, ale dla niej nie było to nic osobistego. Gdyby było, poczułaby się zmuszona do uczynienia czegoś klasycznie dehumanizującego, jak na przykład pocięcie ich twarzy, okaleczenie dłoni czy obcięcie włosów. Na drugim końcu spektrum znajdował się zabójca, którego napędzał przemożny wewnętrzny przymus zabijania, ale którego po wszystkim często dopadał wstyd albo wyrzuty sumienia i zakrywał ciało ofiary, zwłaszcza twarz, jakby chcąc ukryć to, co zrobił. Ale w tym przypadku nie było mowy ani o jednym, ani o drugim. Bez gniewu, bez wstydu. Na chłodno.

Abigail pozbawiła życia dwie kobiety z konieczności. Zabójstwa były względnie bezbolesne. Wypełniła swoją powinność prosto i szybko. A potem posprzątała. Niewykluczone, że była to kwestia zatarcia za sobą śladów. A może pierwsza oznaka wyrzutów sumienia. Kobieta przepraszała kobietę. Przepraszam, że musiałam cię zabić, ale zobacz, zmyłam naczynia, poprawiłam poduszki na sofie, zamiotłam podłogę.

Motywacja, tego potrzebowała D. D. Skoro nie była to sprawa osobista, dlaczego Abigail to zrobiła? Dla pieniędzy? Według raportów przygotowanych przez Quincy'ego nikt się nie bogacił na śmierci Randi i Jackie. Zysk natury osobistej - pozbycie się rywalki do serca mężczyzny, rywalizacja w pracy, cheerleaderka, która zajęła miejsce twojej córki? Tyle że nic nie łączyło Randi Menke i Jackie Knowles. Z całą pewnością nie rywalizowały o uwagę mężczyzny, nie pracowały w tej samej branży, nie mieszkały nawet w tym samym stanie. Były jedynie przyjaciółkami Charlene, a nawet to wydawało się mało aktualne.

D. D. ściągnęła brwi. Dopisała na tablicy hasło w drugiej kolumnie. I znowu ściągnęła brwi.

Postanowiła podejść do problemu z zupełnie innej strony.

Zapomnijmy na chwilę o „dlaczego”. Jak? Jak jednej kobiecie - a D. D. miała już pewność, że zabójca jest kobietą, musi być kobietą, zgodnie z przewidywaniami Quincy'ego - jak jednej kobiecie udało się tak łatwo zamordować drugą kobietę?

Fizycznie większa i silniejsza? Nawet w takim przypadku jeśli ktoś cię dusi, ty walczysz,

rzucasz się, wbijasz paznokcie w dłonie, kopiesz, zadajesz ciosy łokciami. Nawet jeśli po wszystkim posprzątano, na ciele obu ofiar pozostałyby wyraźne ślady. Stłuczenia, rany szarpane, pośmiertne wybroczyny.

Na ubraniach obu ofiar byłyby włosy i włókna; fragmenty naskórka, a nawet próbki krwi wydobyte spod paznokci ofiar. Równie pomocne mogłyby się okazać siniaki. D. D. miała okazję widzieć sińce w kształcie pierścionka sprawcy, odciski sprzączki od paska, nawet w kształcie klamry do włosów, którą pewna kobieta zaatakowała policzek rywalki po wyjątkowo zajadłej pyskówce.

Ale kiedy D. D. przyglądała się zdjęciom po raz kolejny i kolejny, i kolejny, wnioski pozostawały takie same: nic i nic, i nic.

Zupełnie jakby Randi Menke i Jackie Knowles stały i po prostu dały się udusić. Jedna to kobieta, która miała wystarczająco hartu ducha, aby odejść od maltretującego ją męża. Druga to kobieta, która wspięła się na górne szczeble drabiny korporacyjnej, nim przekroczyła trzydziestkę.

D. D. w to nie wierzyła. Te kobiety wiedziały, jak się walczy.

Dlaczego więc tego nie zrobiły?

Kobieta zabójca...

Narkotyki, pomyślała nagle. Broń wybierana przez większość zabójczyń.

Abigail otumaniła swoje ofiary, po czym je zabiła.

Tylko to wydawało się sensowne.

Tyle że... D. D. rozboleła głowa. Najpierw zerknęła na raport toksykologiczny Randi, potem na raport Jackie. W chwili śmierci Jackie miała we krwi 0,05 promila alkoholu, co pasowało do kobiety, która w barze wypila kieliszek wina, może dwa. Randi Menke nic.

D. D. wysunęła krzesło, siadła i marszcząc brwi, przejrzała jeszcze raz raport.

Wszedł Phil. W ręce trzymał brązową torbę. Wygląda na to, że zgodziła się na lunch. W sumie mogła coś zjeść.

- Z całą pewnością czymś je nafaszerowała - mruknęła D. D., biorąc od Phila torbę.
- Ona?
- Abigail.
- Abigail?
- Kobieta, która zabiła Randi Menke i Jackie Knowles.
- Okej.
- Tylko coś takiego ma sens. Żadna z ofiar nie stawiała oporu podczas duszenia. Powodem musiał być fakt, że zdążyły już zostać obezwładnione.
- Okej.
- Tyle że toksykologia niczego nie wykazała.
- W takim razie Abigail niczego im nie zaaplikowała.
- Ale ona to zrobiła! Ja to wiem.
- W porządku, popatrz na to w taki sposób: Abigail obezwładniła je przy użyciu substancji nie wykrywanej w większości badań toksykologicznych.
- To wyklucza barbiturany, opium, narkotyki. - D. D. otworzyła brązową torbę, rozpakowała kanapkę z rostbefem, wzięła pierwszy kęs. - A więc na pewno nie trawka, nie metadon, nie kokaina, nie ecstasy, nie oksykodon, nie vicodin... co pozostało?

Phil wzruszył ramionami i wgryzł się w swoją kanapkę z tuńczykiem.

- Co może sprawić, że jesteś pasywny, ale nie pozostawia farmakologicznych odcisków palców?

D. D. ponownie ściągnęła brwi.

- Hipnoza?

Phil pokręcił głową.

- Wątpię. Wadą hipnozy jest to, że nie da się zmusić kogoś do działania wbrew jego woli. Poddanie się ręcznemu duszeniu zdecydowanie jest sprzeczne z wolą większości ludzi.

- Też tak myślę, że ofiary by się wybudziły z hipnozy i walczyły - zgodziła się D. D. Ugryzła kolejny kęs. - Nie rozumiem tego. Abigail zabiła dwie kobiety, nie mając ku temu żadnego oczywistego powodu. Nie była rozgniewana, nie napędzał jej wewnętrzny przymus, nie dawało jej to żadnych osobistych korzyści. Zabiła je, bo tak było trzeba i już. Co jest gorsze, jak uważasz? Bycie ofiarą zabójstwa czy fakt, że zabójca nie jest osobiście zaangażowany w twoją śmierć? Jedynie, no wiesz, robi to, co do niego należy.

- Zabójstwo na zlecenie? - zapytał Phil.

- Tak czy inaczej musielibyśmy mieć kogoś, kto na tym zyskuje. Nie potrafię rozgryźć, jak śmierć tych dwóch kobiet może prowadzić do korzyści odniesionych przez jedną osobę. Jedynym rzeczywistym powiązaniem między nimi jest Charlene Rosalind Carter Grant.

- Może zabójca zyskał Charlene - zasugerował Phil. - Dostęp do Charlie, jej uwagę lub uczucie, coś w tym rodzaju.

- Prawdę mówiąc, uważamy, że Abigail to Charlene.

- Poważnie? Kiedy do tego doszliście?

- Przed południem. Technicy przypasowali broń Charlene do tych zabójstw pedofilów. Co znaczy, że Charlene ich zastrzeliła, a jako że zabójca przedstawił się podczas trzeciej zbrodni jako Abigail, Charlene to Abigail.

- Aż mnie rozboleła głowa - oświadczył Phil.

- Mnie też!

Zadzwoiła komórka D. D. Zerknęła na wyświetlacz. Z jednej strony bała się, że to jej matka, z drugiej miała nadzieję, że to detektyw O z informacją o aresztowaniu Charlene. Był to jednak numer, który rozpoznała jako ten, pod który dzwoniła wczoraj.

- O wilku mowa - mruknęła, po czym odebrała. - Dzień dobry, Charlene Rosalind Carter Grant. Chyba że skoro to dwudziesty pierwszy stycznia, wolisz, aby cię nazywać Abigail?

- Nie moja broń - oświadczyła Charlene bez żadnego wstępu.

- Proszę?

- Wasz raport balistyczny. To nie moją broń badano i jestem to w stanie udowodnić.

- Jak?

- Pani. Pani widziała ją na komendzie. Pamięta pani? Taurus dwudziestkadwójka, niklowany z palisandrową rękojeścią. Pistolet, który w nocy badano, miał gumową rękojeść. To nie moja broń.

D. D. zasznurowała wargi, zerknęła na Phila i gestem poprosiła o długopis i kartkę papieru. Szybko napisała: „raport balistyczny?”. Ponieważ prawda była taka, że jeszcze go nie widziała. Jedynie o nim słyszała.

- Może masz dwa pistolety - powiedziała D. D.

- Nie mam. Tylko legalnie zarejestrowanego taurusa z palisandrową rękojeścią.
- Udowodnij.
- Proszę się skontaktować z J. T. Dillonem, moim instruktorem strzeleckim. Rok temu pomógł mi w zakupie tego pistoletu, a przez dwanaście ostatnich miesięcy razem ćwiczyliśmy.
- To dowodzi jedynie tego, że posiadasz przynajmniej jedną sztukę broni z palisandrową rękojeścią. Nie wyklucza, że masz drugą dwudziestkędwójkę z gumową rękojeścią.

Przez chwilę Charlene milczała, w końcu się odezwała:

- A to nie po waszej stronie leży udowodnienie mi tego? - zapytała. - Proszę jeszcze raz zajrzeć do raportu. Znaleziono moje odciski palców na tym drugim pistolecie? Bo skoro nie jest mój, to ich nie ma, co oznacza, że nie jesteście w stanie udowodnić, że to moja broń. Nie zastrzeliłam trzech pedofilów, a wy nie możecie udowodnić, że to zrobiłam.

- Coś ci powiem. Przyjedź na komendę i się tym zajmijmy.
- Coś pani powiem. Dzisiaj jest dwudziesty pierwszy stycznia. Mój pistolet zniknął i uważam, że pani detektyw kopie pode mną dołki, więc nawet się nie zbliżę do komendy.
- Moja detektyw?
- Detektyw O. To ona przedłożyła fałszywy pistolet. I prawdopodobnie ukradła mojego taurusa.
- Co masz na myśli, mówiąc, że zaginął twój taurus? Chodzi ci o ten z palisandrową rękojeścią, tak?

- Właśnie tak. Ukryłam go wczoraj, kiedy pojechałam do pracy. Ja... - Charlene się zawahała. D. D. niemal słyszała, jak dziewczyna w ekspresowym tempie myśli. - Po tym, jak pani i O przepytaliście mnie wczoraj, zrozumiałam, że podejrzewacie mnie o zrobienie czegoś złego. Traktowaliście mnie jak podejrzaną, nie jak ofiarę. Wystraszyłam się. Nie chciałam ruszać się z domu bez pistoletu, ale wiem, że w pracy mieć go nie mogę. Schowałam go więc pod krzakiem na parkingu, w zaspie. Tam, gdzie będzie bezpieczny.

D. D. kiwnęła głową. Tę część знаła już z opowieści detektyw O.

- Tyle że kiedy w końcu wyszłam z pracy, pistoletu nie było. Potem... w policyjnym skanerze nasłuchowym usłyszałam o swoim aresztowaniu i coś tam o raporcie balistycznym. Zadzwoiłam więc do laboratorium...

- Ty zadzwoniłaś do laboratorium kryminalistycznego?
- Jasne. Zadzwoiłam, podałam się za detektyw O i poprosiłam o szczegóły raportu. Kiedy tylko usłyszałam opis broni, wiedziałam, że nie jest moja. Tyle że moja tymczasem zniknęła. Nie rozumie pani jeszcze?

- Może ty mi to powiedz - powiedziała powoli D. D., choć nagle ogarnęły ją złe przecucia. Zerknęła na Phila, który z szeroko otwartymi oczami przysłuchiwał się rozmowie.

- Detektyw O przedłożyła do badania balistycznego prawdziwą broń zabójcy - oświadczyła Charlene. - Taurus dwudziestkadwójka z gumową rękojeścią. Zabiła pedofilów. A teraz wrabia w to mnie. Przez nią nie mam broni, ukrywam się i generalnie jestem łatwym celem w dniu, w którym wiemy, że mam zginąć. O dwudziestej zabójca Randi i Jackie mnie wykończy i nikt się o niczym nie dowie. Ja będę martwa, detektyw O upieką się trzy zabójstwa. Cztery zabójstwa, jeśli liczyć mnie, a osobiście uważam, że powinno się to robić.

D. D. wpatrywała się w tablicę.

- Detektyw O zastrzeliła pedofilów.

- To właśnie mówię! To jej pistolet, nie mój. To ona wpadła w szal zabijania, nie ja.
- Detektyw O przedstawiła się chłopcu jako Abigail.
- Tak. Próbuje mnie zrobić.
- Próbuje cię zrobić? - upewniła się D. D. - W takim razie czemu się nie przedstawiła jako Charlene Rosalind Carter Grant albo Charlie? Czemu Abigail?
- Abigail to moja siostra.
- Charlie, skąd detektyw O miałaby o tym wiedzieć?

Cisza.

- Wszyscy kiedyś umrzemy - powiedziała cicho D. D. - Trzeba być odważnym.
- C-co?
- Co to znaczy, Charlie?

D. D. nigdy nie wspomniała Charlie o karteczkach łączących te trzy zabójstwa. Ich treść stanowiła tego rodzaju szczegół, który dobry detektyw trzymał w tajemnicy, próbował nakłonić podejrzanego do przyznania się, a nie informację, którą chętnie się dzielił.

Teraz usłyszała, jak Charlie szepcze nie swoim głosem:

- Wszyscy kiedyś umrzemy. Trzeba być odważnym, dziecko. Trzeba być odważnym.
- Charlie?
- Moja matka. Moja matka tak do mnie mówiła.
- Do ciebie, Charlie? A może do twojej siostry, Abigail?
- O mój Boże...

No właśnie, o mój Boże, pomyślała D. D. Popatrzyła na Phila. Phil popatrzył na nią, a potem razem popatrzyli na stół, kolorowy kolaż morderstw dwóch kobiet.

- Charlie - rzuciła D. D. tonem niecierpiącym zwłoki. - Opowiedz mi o Abigail. Musisz pamiętać Abigail. Ponieważ jakimś cudem, w jakiś sposób stała się detektywem bostońskiej policji znanym jako Ellen O, która zabiła przynajmniej trzech pedofilów, a także prawdopodobnie twoje dwie najlepsze przyjaciółki. Twoja siostra nie tylko żyje, ale idzie po ciebie. Za kilka godzin będzie po tobie.

Rozdział 39

Problem z boksem polega na tym, że to względnie cywilizowany sport.

Stoi się na wprost przeciwnika. Używa się tylko pięści. Ciosy zadaje się tylko od pasa w górę.

Z punktu widzenia samoobrony ta strategia nie jest tak skuteczna jak, powiedzmy, uciekająca się do wszystkich metod bójka. Istniały oczywiście inne dyscypliny, w których mogłam się wyszkolić, a które mogłyby się okazać bardziej użyteczne podczas walki z mordercą i jednocześnie miałyby wyższą skuteczność w przypadku dziewczyny.

Ale ja od samego początku pokochałam boks.

Wydaje mi się, że całe życie czekałam, aż stanę przed swoją przeciwniczką i spojrzę jej prosto w oczy.

Na szczęście Dick, mój trener, prowadził zajęcia z samoobrony dla kobiet. Robił także aluzje do zmarnowanej młodości, kiedy to walenie z byka i skopywanie tyłka wydawało się

najprostszym rozwiązaniem wszystkich życiowych problemów. W ciągu minionego roku, po zakończeniu treningu, dzielił się ze mną częścią swoich sekretów. J. T., mój instruktor strzelania, robił to samo. Uwierzcie mi, jeśli chcecie się nauczyć nieczystej walki, zapytajcie o to faceta, który służył kiedyś w komandosach. Jeśli chodzi o sztukę wojenną, oni rzeczywiście uważają, że cel uświęca środki.

Nie skarżyłam się wtedy i nie skarżyłam się teraz, kiedy czyniłam ostatnie przygotowania.

Piętnasta czterdzieści pięć. Powoli zapadał zmierzch.

Ciemność zapewni mi ochronę. Będę mogła opuścić mieszkanie Toma, namierzyć swój ostateczny cel i zabrać się za naprawianie błędów z przeszłości. Zakładając, że nie jest już na to za późno.

Zaczęłam od prostych trików. Długopis wsunięty pod gumkę na kucyku, gdzie będzie do niego łatwy dostęp. Z komody Toma wzięłam długą, białą sportową skarpetkę. Włożyłam teraz do niej cztery duże baterie, zawiązałam węzeł, po czym tytułem eksperymentu machnęłam nią kilka razy. Od ciężaru baterii skarpetka się rozciągnęła i będzie można nią nieźle przyłożyć, pozostając jednocześnie poza zasięgiem przeciwnika.

Z taśmy klejącej zmajstrowałam solidną pochwę na nóż, po czym przytwierdziłam ją do kostki. Do niej wsunęłam krótki kuchenny nóż z ząbkami. Nie było to rozwiązanie optymalne, ale jeśli się znajdę w położeniu, kiedy potrzebny mi będzie nóż, to i tak będzie oznaczać kłopoty. Nie miałam tego rodzaju umiejętności. Nie byłam nawet pewna, czy w ogóle bym się do tego uciekła. Ale w momencie desperacji przydają się desperackie środki.

„Wszyscy kiedyś umrzemy. Trzeba być odważnym”.

Usłyszałam kroki w korytarzu i zamarłam. Ciche pukanie.

- To ja - odezwał się Tom, po czym włożył klucz do zamka.

Szybko pobierałam resztę rzeczy i schowałam je do kieszeni spodni. Oddech już miałam zbyt ciężki, a bicie serca coraz bardziej przyspieszało. W ostatniej chwili przykucnęłam i poluźniłam sznurówki w obu ciężkich butach.

Prostowałam się, kiedy wszedł Tom.

I oto rozpoczęła się zabawa.

Dwudziesty pierwszy stycznia.

„Wszyscy kiedyś umrzemy. Trzeba być odważnym”.

Chciałabym uważać, że szokujące słowa detektyw D. D. Warren otworzyły zastawki w mojej pamięci. W magiczny sposób przypomniła mi się zaginiona siostra Abigail. W magiczny sposób zrozumiałam poczynania detektyw O, znaczenie dwudziestego pierwszego stycznia i powód, dla którego moje przyjaciółki musiały zginąć. Zrozumiałam nawet, dlaczego szanowana pani detektyw z wydziału przestępstw na tle seksualnym zaczęła strzelać do zbrojców, zostawiając przy każdym ciele taką samą niepokojącą wiadomość, jednocześnie wrabiając w to wszystko mnie.

Tak się nie stało.

Abigail pozostała w mojej świadomości uśmiechniętym, brązowookim, pulchnym, gaworzącym niemowlęciem. Moją siostrzyczką, którą kochałam całym swoim sercem. I zaginioną. Nieżyjącą, jak sądziłam. Tyle że gdyby rzeczywiście nie żyła, przyjęłabym przecież jej imię, tak jak to zrobiłam z resztą rodzeństwa. Charlene Rosalind Carter Abigail Grant.

Dla detektyw Warren to stanowiło kolejny dowód na to, że Abigail żyje i że jakimś sposobem,

którego na razie nie pojmujemy, stała się detektyw O z bostońskiego wydziału przestępstw na tle seksualnym. Brązowe włosy, brązowe oczy, tak jak niemowlę z mojego snu.

Tyle że ja naprawdę pamiętałam jedynie małe dziecko, najwyżej dziewięciomiesięczne. Nie tę piękną, egzotyczną postać z takimi włosami i takimi krągłościami, i karierą dobrze się zapowiadającej pani detektyw. Młodą, bystrą policjantkę, która od samego początku zdawała się nie darzyć mnie sympatią.

„Wszyscy kiedyś umrzemy. Trzeba być odważnym”.

Te słowa rozpoznałam. Te słowa rozumiałam w stopniu, który przyprawiał mnie o dreszcz, prostował mi ramiona i unosił podbródek.

Ulubione zdania mojej matki. To, bardziej niż cokolwiek innego, stanowiło dowód na prawdziwość twierdzenia detektyw Warren. Abigail żyła.

Ale moja młodsza siostra już mnie nie kochała.

- Opróżniłaś lodówkę? - zapytał teraz Tom, stojąc w drzwiach. Wyglądał na mocno zmęczonego. Nie spał od co najmniej osiemnastu godzin. Oboje nie spaliśmy. Przez chwilę wydawał się skrepowany.

- Wypiłam ci sok pomarańczowy.

- Znalazłaś jakieś nieprzeterminowane jedzenie?

- Ogórki konserwowe okazały się nawet smaczne.

- A sejf na broń?

- Dwanaście miesięcy wspólnej pracy, a ja nadal nie znam daty twoich urodzin, ulubionego zwierzaka czy nazwiska panińskiego twojej matki. Niby jak miałam odgadnąć szyfr?

- Tak też myślałem. Telefony?

- Jeden. Rozmawiałam z detektyw D. D. Warren. Dobra wiadomość. Myślę, że mi wierzy.

Tom podszedł bliżej. Stał przy jednym końcu blatu oddzielającego kuchnię od salonu. Ja stałam przy drugim.

- Nie wycofała nakazu - rzekł.

- Powiedziała, że mi wierzy. Nie, że mi ufa. - Trzymałam ręce wzdłuż ciała, ukryte za blatem. Nie chciałam, aby widział, że drżą. Że tak naprawdę cała się trzęsę z nerwów spowodowanych tym, co wkrótce się stanie.

„Wszyscy kiedyś umrzemy. Trzeba być odważnym”.

- Czemu więc ta druga detektyw, O, chce cię zrobić?

- D. D. twierdzi, że to moja zaginiona siostra. Pałająca żądzą zemsty.

Oczy Toma zrobiły się wielkie jak spodki.

- Poważnie? Dlatego zamierza cię zabić?

- Tak uważa D. D. - Zrobiłam krok w bok w kierunku końca blatu, wsuwając prawą dłoń do kieszeni, gdzie znalazłam to, co musiałam. - Ja się z tym nie zgadzam.

- Ty myślisz, że to nie jest twoja siostra?

- Nie, jestem w zasadzie pewna, że w tej akurat kwestii D. D. ma rację. Ale nie uważam, żeby Abigail, O, zamierzała mnie zabić. Przez cały ten czas byłam w błędzie. Nie jestem trzecim celem.

- To dobra wiadomość.

- Quincy, ten profiler, ostrzegł mnie, że nie posiadamy wystarczającej ilości danych. Nasz krąg ofiar był zbyt mały. Postrzegalam to tak, że skoro zginęły dwie z trzech przyjaciółek,

kolejnym logicznym celem jestem ja. Ale Randi i Jackie nie zginęły dlatego, że się ze mną przyjaźniły. Zginęły dlatego, że je kochałam.

Stojący po drugiej stronie blatu Tom ściągnął brwi.

- A to nie kwestia semantyki?
- Nie, to szersza kategoria. Miałam dwie przyjaciółki. Ale Kocham trzy osoby.
- Ciotka Nancy.

- Tak mi się wydaje. Dwa razy próbowałam dodzwonić się do hotelu, ale nie odbiera. Z tego co mi wiadomo, detektyw O miała ją dzisiaj przesłuchać. Detektyw Warren wydała oczywiście to polecenie, zanim poznała prawdziwą tożsamość O. - Kolejny krok w bok. Jeszcze dwa i będę mogła rzucić się, minąć blat i dopaść go, stojącego w kuchni.

Ręce zaczęły mi jeszcze mocniej drżeć. Poczułam ściskanie w gardle, przez co musiałam przełknąć ślinę, zrobić kilka głębokich wdechów.

„Wszyscy kiedyś umrzemy. Trzeba być odważnym”.

Po tylu latach moja matka miała nade mną przewagę. Tak się właśnie czułam. W sposób, którego jeszcze nie rozumiałam, ona kiedyś wygrała, a ja przegrałam, i dwadzieścia lat później nadal musiałam za to płacić.

Tyle że nie byłam już małą dziewczynką. Przygotowana byłam na to, aby umrzeć. Ale jeszcze lepiej byłam przygotowana na walkę.

- Jesteś pewna, że ta Abigail zamierza dopaść twoją ciotkę? - zapytał Tom. - No bo nadal masz tylko dwie ofiary do analizy. A jeśli ta policjantka to twoja zaginiona siostra szukająca zemsty, bardziej sensowne jest to, że zaatakuje ciebie.

- Gdyby jej celem było pozbawienie mnie życia, zrobiłaby to na samym początku. Zapukałaby do moich drzwi i powiedziała swoje imię. Wpuściłabym ją, Tom. Stałabym i bez stawiania oporu pozwoliła mojej młodej siostrzyczce zacisnąć dłonie na szyi. Ale ona tego nie zrobiła. Dopadła moje przyjaciółki. Ona nie chce, abym umarła. Chce, abym cierpiała. Prawdopodobnie równie mocno, jak ona cierpiała.

- No to czemu cię wrobiła? Chce zabić ci przyjaciółki, ciotkę, a potem wsadzić cię do więzienia?

Wzruszyłam ramionami, mając nadzieję, że wygląda to niezobowiązująco, i jednocześnie przesunęłam się o ostatnie centymetry.

- Myślę, że tym całym wrabianiem mnie grała po prostu na zwłokę. Zepchnęła mnie na pozycję defensywną, dzięki czemu jeszcze łatwiej jest jej dopaść moją ciotkę.

- No dobra - oświadczył zdecydowanie Tom. - Gdzie się zatrzymała twoja ciotka? Jedziemy tam.

- Nie sądzę.

- Mogę zadzwonić po wsparcie. Wymyślimy pretekst. Włamanie, pożar, zaraz się tam zaroi od policjantów. To ją przystopuje.

- Nie sądzę.

Wziął z blatu klucze, kompletnie mnie ignorując, co zresztą przewidziałam.

- Mam dla ciebie niespodziankę... - zaczął.

Rzuciłam się na drugą stronę blatu. Dwa kroki, półobrót, lewa ręka w górę, spotkanie twarzą w twarz z przeciwnikiem. Prosty, prosty, prosty w jego nos, palce mocno zacisnięte, kciuk na knykciach. Tom nie podniósł rąk. Nie bronił się przed tym nieoczekiwanym atakiem ze strony

dziewczyny. Nie bronił się przede mną.

Ostateczny cios. Z góry w głowę. Uniosłam nogę, która była z tyłu i jednocześnie wyrzuciłam do przodu ramię. Moja pięść, obciążona dodatkową garścią monet, trafiła w bok głowy Toma.

Padł na ziemię. Najpierw osunął się na kolana, zachwiał się, aż w końcu przechylił się do tyłu i przewrócił na bok. Ramieniem uderzył w drewnianą szafkę. Skrzywiłam się i zamknęłam oczy, ale zaraz przywołałam się do porządku.

Skoro można zaatakować mężczyznę, który mało brakowało, a trzy godziny wcześniej zostałby twoim kochankiem, mężczyznę, który byłby twoim jedynym obrońcą na świecie, to i można mieć te cholerne oczy otwarte i przyjąć cios.

Leżał na podłodze. Potrząsnęłam obiema dłońmi. Knykcie i nadgarstki bolały mnie od siły uderzeń. Ale o to chodzi w treningu - przygotowuje cię na ból, pomaga ci dać sobie z nim radę.

Nie zostało dużo czasu.

Wieczór. Dwudziesty pierwszy stycznia.

Ułożyłam Toma w wygodniejszej pozycji. Sprawdziłam tętno, aby mieć pewność, że jest miarowe, podłożyłam mu pod głowę poduszkę. Następnie zamiast własnej ciemnej kurtki włożyłam znaną w szafie ciepłą myśliwską kurtkę moro. Owinęłam szyję brązowym szalem Toma, wyczuwając zapach mydła i wody kolońskiej. Do tego brązowa włóczkowa czapka, nasunięta nisko na czoło. Po raz ostatni sprawdziłam zawartość kieszeni.

„Wszyscy kiedyś umrzemy. Trzeba być odważnym”.

Pocałowałam go w czoło. Delikatnie. Czule. Z żalem.

Następnie, ponieważ jestem tylko człowiekiem i poczułam, jak pieką mnie oczy, a determinacja zaczyna słabnąć, odsunęłam się.

Wiem, że Tom by mi pomógł. Że prawdopodobnie mogłabym liczyć i na detektyw Warren. Ale nie chciałam. Od chwili gdy D. D. powiedziała, że moja młodsza siostra żyje i zamierza mnie dopaść, wiedziałam, co muszę zrobić. Kilka kolejnych godzin będzie mieć charakter wybitnie personalny.

Sprawy rodzinne.

Zostawiłam napisaną wcześniej kartkę z krótkimi przeprosinami, choć wiedziałam, że nie wystarczą. Wzięłam klucze Toma i wyszłam z jego mieszkania.

Na słabo oświetlonym parkingu doznałam lekkiego szoku. Niskie wycie psa, które robiło się coraz głośniejsze, gdy zbliżałam się do radiowozu Toma. Z przedniego fotela przez szybę przyglądała mi się Fuksja.

Zaczął mówić, że ma dla mnie niespodziankę. Mojego psa. Tom szukał po mieście Fuksji i przywiózł mi ją.

Niewykluczone, że poczułam wilgoć pod powiekami, gdy próbowałam rozpracować przyciski na kluczyku, a potem otworzyłam drzwi, wypuszczając psa, który zdecydowanie był moim psem. Poczułam na sobie jej ciężar, gdy rzuciła się na moje drżące ciało. Wzięłam ją na ręce i mocno przytuliłam. Żał mi było jej, żał mi było Toma i żał mi było mojej małej siostrzyczki, którą nadal kochałam, a jeszcze bardziej żał mi było mojej ciotki, która może w tej właśnie chwili płaciła za moje grzechy.

Zamknęłam drzwi radiowozu. Zbyt podejrzany.

Zamiast tego zlokalizowałam ciemnozielony pikap Toma i otworzyłam drzwi. Fuksja wskoczyła do środka.

Wyruszyliśmy w ciemną noc.
Dwadzieścia lat później. Kiedyś ofiara, teraz kawaleria.

Rozdział 40

D. D. wezwała Neila i Phila na pilne zebranie w swoim gabinecie. W ciągu trzydziestu minut miała złożyć raport swojemu przełożonemu, zastępcy naczelnika wydziału zabójstw na temat ostatnich wydarzeń związanych z możliwymi działaniami przestępczymi dokonanymi przez koleżankę po fachu, detektyw O. D. D. chciała najpierw ustalić fakty.

Zacząła bez żadnego wstępu:

- Gdzie, do diabła, jest detektyw O, co takiego zrobiła i dlaczego nie wpadliśmy na to wcześniej?

Pierwszy odezwał się Phil. Biorąc pod uwagę fakt, że nie odbiera komórki, nie odpowiada na wiadomości wysyłane na służbowy pager ani na prośby o kontakt od policyjnego dyspozytora, możliwe, że wymknęła się spod kontroli. Nie wydano jeszcze oficjalnego nakazu aresztowania, ale poinformowano bostońskich policjantów, żeby natychmiast skontaktowali się z komendą główną, jeśli zobaczą detektyw O albo jej radiowóz.

Tymczasem Phil przeglądał jej oficjalne akta. Zważywszy na jej młody wiek i krótki staż, nie była to czasochłonna lektura. O wstąpiła w szeregi bostońskiej policji dwa lata temu, przenosząc się z mniejszego wydziału na przedmieściach. Znana była ze swojej pracowitości i niestrudzonego oddania. Być może nieco sztywna w swoim podejściu i nie zawsze potrafiąca współpracować w grupie, specjalistka do spraw przestępstw na tle seksualnym miała jednak na swym koncie wyniki w kilku trudnych sprawach w dość wymagającym obszarze działania.

Z pewnością nic w jej rocznym podsumowaniu pracowniczym nie sugerowało, że jest wariatką, której za chwilę odbije.

- Z drugiej strony mieszkała przez osiem lat w Kolorado, w tym samym czasie, kiedy Charlene pracowała jako dyspozytorka w Arvadzie oraz kiedy odnaleziono ciało Christine Grant - oznajmił Phil.

D. D. siedziała naprzeciw swojej ekipy, kompletnie oszołomiona.

- Niech mnie szlag, O czy Abigail, czy jak się tam nazywa, zabiła własną matkę i sama mi o tym opowiedziała. Przyłożyła jej poduszkę do twarzy i udusiła, tak jak jej matka udusiła swoje dzieci.

- Dlaczego? - zapytał Neil.

- Kiedy ją znajdziemy, będziemy musieli o to zapytać - D. D. przygryzła dolną wargę. - Potrzebujemy Charlene. Musimy mieć więcej informacji na temat tego, co wydarzyło się dwadzieścia lat temu i ostatniego incydentu, w wyniku którego Charlene niemal zginęła, a jej matka i młodsza córka uciekły. Tylko to ma sens. Coś się wydarzyło, może matka nie wytrzymała i chciała naprawdę zabić Charlene, zamiast ją tylko okaleczyć, potem spanikowała, chwyciła młodszą córkę i wzięła nogi za pas.

Odezwał się Neil.

- Nie rozumiem. Jak Charlene zdołała zapomnieć, że ma siostrę? Jak to się stało, że policja

badająca ów „ostatni incydent” nie zorientowała się, że było tam jeszcze jedno dziecko?

D. D. wzruszyła ramionami.

- Wiemy, że Christine Grant miała dwójkę dzieci, które oficjalnie nie figurują w żadnych rejestrach. Jeśli dodamy do tego młodszą siostrę Charlene, Abigail, jest ich troje. Co do dochodzenia, w oficjalnym raporcie najbardziej zdumiał mnie zapis stwierdzający, że w wynajmowanym domu nie było żadnych śladów sugerujących, że mieszkała tam rodzina, żadnych zabawek, ubrań, żadnych... rzeczy. Wygląda na to, że mamuśka Grant była nie tylko psychopatką, ale prawdziwą, autentyczną wariatką. Nie była zdolna do opieki nad sobą ani nad innymi. Coraz bardziej zastanawiam się, jak wiele z tego ciężaru musiała dźwigać na swych barkach ośmioletnia Charlene. A na koniec została pchnięta nożem i porzucona. Muszę przyznać, że nie mogę winić jej za to, że nie chce rozmyślać o tych „wesołych” czasach.

- A więc Christine Grant jest na tyle szurnięta, żeby zabić dwójkę dzieci, ale na tyle poczytalna, by próbować wychować dwójkę pozostałych? - Neil najwyraźniej nadal podchodził do tej teorii sceptycznie.

D. D. zastanowiła się nad tym.

- O zapytała Charlene, czy to ona była tym grzecznym dzieckiem w rodzinie. Sugerowała, że być może niemowlęta Rosalind i Carter sprawiały kłopoty i dlatego musiały zginąć. - Spojrzała na kolegów z ekipy. - Z tego, co wiemy w tej chwili, może tak matka przedstawiła jej tę historię. Bądź grzeczna, a pozwolę ci przeżyć, a jeśli zaczniesz się stawiać, narzekać, sprzeciwiać mi się, to...

- Jednak w pewnym momencie Abigail sprzeciwiła się matce - zauważył Phil. - W zasadzie, jak stwierdziłaś, prawdopodobnie ją zabiła.

- Jasne. Tylko pomyśl. Przez pierwsze osiem lat Charlene była głównym celem zabiegów matki, uszkadzała ją ona i naprawiała według swojej woli. Myślisz, że Mamuśka Grant pozbyła się objawów zespołu Münchhausena tylko dlatego, że straciła najstarszą córkę? Założę się, że zaczęła wyzywać się na córce numer dwa. Teraz Abigail musiała jeść tłuczone szkło i pić płyn do czyszczenia, teraz ona musiała się nauczyć, jak bardzo może boleć matczyzna miłość.

D. D. westchnęła, a jej głos przybrał ponury ton.

- Osoby dotknięte zastępczym zespołem Münchhausena najczęściej maltretują bardzo małe dzieci, niemowlęta i nieco starsze dzieci, które jednak jeszcze nie mówią i nie mogą się obronić. Kiedy Abigail osiągnęła pewien wiek, prawdopodobnie nie godziła się już tak łatwo na miażdżenie palców drzwiami. Być może opracowała własne sztuczki. Bóg jeden wie, co wymyśliła, uczyła się przecież od mistrzyni.

D. D. ponownie zwróciła się do Phila.

- To właśnie musimy udowodnić: jak Abigail Grant została Ellen O. Musimy mieć co do tego pewność, zanim oskarżymy koleżankę o dokonanie dwóch serii morderstw.

- Tak, tak, wiedziałem, że to powiesz. - Phil zerknął na zegarek. - W ciągu dwudziestu minut, które dałaś mi na zajęcie się tym projektem, nie zdołałem odpowiedzieć na to pytanie. Zakładając, że Ellen O to pseudonim, jest świetnie udokumentowany. Znalazłem numer ubezpieczenia społecznego, prawo jazdy, historię kredytową, nie wspominając o świadectwach z college'u w Denver. Podejrzewam, biorąc pod uwagę, jak daleko sięga ślad w postaci dokumentacji, że Abigail Grant została Ellen O jeszcze jako nastolatka. Mogło się to odbyć na kilka sposobów: formalna adopcja, oficjalne usamodzielnienie nieletniej albo, cholera wie,

program ochrony świadków. Będę dalej szperał w rodzinnych dokumentach sądowych itepe, choć na razie nic nie znalazłem.

- Czy O nie ma prawdziwej rodziny lub przyjaciół, którzy mogliby ją wydać? - zapytał Neil.

- Według formularza pracownika, nie. - Phil podniósł do góry kartkę. - Nie wymieniła żadnych członków rodziny, a kiedy zadzwoniłem pod numer telefonu podany jako alarmowy, dodzwoniłem się do firmy będącej właścicielem budynku, w którym mieszka. Myślę, że spokojnie możemy stwierdzić, że Abigail... O... jest oficjalnie sama na świecie.

- Ale dlaczego strzelała do pedofilów? - zapytał Neil, marszcząc czoło. - Biorąc pod uwagę jej sytuację rodzinną, rozumiem, że polowała na Charlene, a nawet na jej przyjaciółki w „poszukiwaniu zemsty”. Ale dlaczego pedofile?

- Pomyśl o tym w ten sposób - wyjaśniła D. D. - Jeden zabójca, ale dwie osobne serie morderstw, wynikające z dwóch różnych pobudek. To, co zrobiła Randi i Jackie, oraz to, co przygotowała dla Charlene, ma dla niej bardziej osobisty, rytualny charakter. Chce ukarać starszą siostrę, która ją porzuciła i jednocześnie odczarować lata przemocy, której doświadczała od matki poprzez tę najbardziej ostateczną metodę przejęcia władzy. Strzelanie do pedofilów natomiast służy jej jako codzienna metoda odreagowania stresu. Kolejna sprawa, której nie może zamknąć, kolejny przypadek molestowania dziecka przez zarejestrowanego pedofila, który właśnie wprowadził się do tego samego budynku... O oskarżyła Charlene o zbytne identyfikowanie się z ofiarami, o to, że nienawidzi czuć się bezsilna. Z perspektywy czasu rozumiem, że w ten sposób opowiadała nam o sobie. Ona również nadmiernie utożsamia się z ofiarami i po dwóch latach służby jest zmęczona poczuciem bezradności.

- A co z liścikami „Wszyscy kiedyś umrzemy...”?

- Według Charlene to było powiedzenie ich matki, rodzaj rodzinnej mantry. Moim zdaniem ciekawsza jest notatka w notatce, tajemnicza wiadomość napisana sokiem z cytryny - „Złapcie mnie”. Najpierw myślałam, że w ten sposób zabójca z nas szydzi, a teraz zastanawiam się, czy to nie było błaganie. Abigail napisała „Wszyscy kiedyś umrzemy”, a detektyw O dodała „Złapcie mnie”. Dwie wiadomości reprezentujące dwie strony jej natury.

- Dobry glina, zły glina - podsumował ponuro Neil.

- Właśnie - potwierdziła D. D. I pomyśleć, że tyle razy siedziały w tym gabinecie z O tylko we dwie, ślęcząc nad tymi starannie wykaligrafowanymi liścikami, analizując charakter pisma notatek i pisemnych zeznań świadków. O nigdy się z niczym nie zdradziła. Poziom oddzielenia konieczny do przeprowadzenia takiego fortelu był zwyczajnie przerażający.

Pasowało to również idealnie do profilu psychologicznego sporządzonego przez grafologa: ktoś nieugięty, pedantyczny, typ alfa.

Zaraz po rozmowie telefonicznej z Charlene D. D. pobiegła do biurka O i zebrała trzy próbki pisma śledczej. Położyła je na pustym stole obok trzech liścików znalezionych przy zabitych pedofilach. Charakter pisma nie był identyczny, a przynajmniej nie według D. D., która nie miała wprawy w tego typu porównaniach.

„Naturalne” pismo O było równe i dokładne, ale litery nie były ściśle, idealnie proporcjonalne ani spłaszczone u dołu. Może pisała je, używając linijki, a nawet szablonu, by jeszcze bardziej zamaskować swój charakter pisma. Zważywszy na to, że wszystkie liściki były tej samej treści, nie byłoby trudno wyćwiczyć do perfekcji pisanie owych dwóch zdań, zaledwie pięciu słów, poprzez ciągłe ich przepisywanie.

Jednak pewne elementy osobowości autora dawały się zauważyć. To osoba kontrolująca, wymagająca i psychopatyczna.

- Dziś po południu dzwoniła matka tego chłopca, świadka trzeciej strzelaniny - poinformowała D. D. - Powiedziała, że zdał on sobie sprawę, że zabójca nie miał tak naprawdę demonicznych oczu, ale specjalne szkła kontaktowe, dzięki którym wyglądały jak niebieskie kocie oczy. Znaleźli ilustrujące je zdjęcie w katalogu kostiumów na Halloween i przywieźli je godzinę temu jako pomoc wizualną.

Wyciągnęła wyrwaną z katalogu stronę i położyła przed Neilem i Philem.

- Podejrzewam, że O założyła owe szkła kontaktowe, aby bardziej pasować do ogólnego opisu Charlene: brązowe włosy, niebieskie oczy...

- Ale dlaczego kocie oczy? - zapytał Phil i wzdrygnął się lekko, przyglądając się kolekcji dziwnych soczewek.

- Czy to cię przeraża?

- Tak.

- Właśnie. Pamiętaj, że O nie tylko chciała upodobnić się z wyglądu do Charlene, ale musiała również ukryć własną fizjonomię. Zaledwie godzinę później stała osobiście przed tym chłopcem. Miała wówczas makijaż, rozpuszczone włosy ułożone w loki, ładną sukienkę i szeroki trenz. Pamiętam, że pomyślałam, iż pewnie wraca z randki. Myślę jednak, że próbowała złagodzić wszelkie ostrości w swoim wyglądzie. Chłopiec widział chudą kobietę o mizernej twarzy, z gładko związanymi włosami i przerażającymi oczami. Potem O zrobiła, co mogła, aby jej wygląd był diametralnie różny.

- Ale ona nie jest chuda ani wymizerowana - zaprotestował Neil.

- Może umieszcza pod ubraniami specjalne wkładki. - D. D. spojrzała na własną klatkę piersiową, która zdecydowanie nie miała już tych samych kształtów, którymi cieszyła się w czasie ciąży. - Chociaż ja nic nie wiem na ten temat.

Rudowłosy Neil zarumienił się lekko i potrząsnął głową, patrząc na D. D.

- W porządku, zakładając, że O przeniosła się tutaj dwa lata temu, żeby zabić Charlene, skąd wiedziała, że będzie ona w Bostonie? Charlie przeprowadziła się do Cambridge dopiero w zeszłym roku.

- O prawdopodobnie nie wiedziała, że Charlie będzie w Bostonie i pewnie nie było jej to potrzebne. Pomyśl tylko: przeprowadzając się do Bostonu, znalazła się w samym sercu Nowej Anglii. Stąd tylko dzień drogi dzieli ją od New Hampshire, Rhode Island i kilku innych stanów. Musiałaby polecieć do Atlanty, by zabić Jackie Knowles, ale z lotniska Boston Logan to i tak tylko kilka godzin podróży. Gdziekolwiek Charlie czy którakolwiek z jej ofiar znajdowałyby się dwudziestego pierwszego stycznia, O miałaby do nich łatwy dostęp.

- Rozmawiałem z jej zwierzchnikiem - odezwał się Phil. - Wygląda na to, że detektyw O nie pracowała dwudziestego pierwszego stycznia zeszłego roku ani rok wcześniej. Praktycznie rzecz biorąc, jest dzisiaj na służbie, ale wszyscy widzimy, jak to wygląda...

D. D. przytaknęła i zanotowała kolejną kwestię do zaprezentowania Horganowi.

- Po co najpierw zabijać Randi Menke? - zapytał Neil. - Dlaczego od razu nie zabić Charlie?

- Myślę, że Abigail szuka czegoś więcej niż szybkie morderstwo. Jeśli na tym by jej zależało, to masz rację, mogłaby pojechać do New Hampshire i załatwić Charlene dwoma strzałami w czoło, tak jak zrobiła to z pedofilami. Myślę, że zamierza najpierw poddać Charlie

torturom i sprawić, by poczuła się równie bezbronna i samotna jak ona. A dlaczego najpierw Randi, a nie Jackie? - D. D. wzruszyła ramionami. - Abigail musiała od kogoś zacząć i prawdopodobnie Randi wydała jej się najłatwiejszym celem. Mieszkała tylko godzinę drogi od Bostonu i doświadczyła już traumas w związku pełnym przemocy. Wyobrażam sobie, że O podjechała do niej, może machnęła jej przed oczami odznaką i oznajmiła, że bada sprawę byłego męża Randi. I tak po prostu, kobieta wpuściła ją do domu.

- Jednak nie bronila się, gdy O ją dusila - dopytywał Phil.

- To tylko szczegóły - mruknęła D. D., odnotowując jego uwagę. - Co do Jackie Knowles... O musiałaby polecieć do Atlanty, ale bez żadnych fajerwerków. Mogła rutynowo sprawdzić podstawowe informacje na jej temat, ustalić zawód Jackie, jej miejsce zamieszkania czy ulubione restauracje dzięki wyciągom z karty kredytowej. Albo po prostu siedziała przed biurem Jackie, potem poszła za nią do baru, a w końcu przedstawiła się jej. Postawiła jej kilka drinków i zaczekała, aż sprawy potoczą się własnym torem.

- Jackie zaprosiła ją do domu - dokończył Neil. - Sprzątnęła przyjaciółkę numer dwa i tym samym zbliżyła się do głównego celu.

D. D. zastanowiła się nad tym.

- Jeśli pomyśleć o psychozie ich matki, o tym, przez co te dziewczyny przeszły... Matka nie tylko je krzywdziła, ale też raniła w wysoce zrytualizowany sposób. Może to właśnie Abigail rozumie najlepiej. Nie chce jedynie zabić siostry. Chce, żeby siostra cierpiała i żeby wiedziała. To coś, co obie rozumieją. Może dla Abigail cierpienie oznacza nawet miłość. Dlaczego mamusia cię rani? Ponieważ bardzo cię kocha.

- Jednak w obu przypadkach Randi i Jackie nie cierpiały - zauważył Phil i zmarszczył czoło.

- Ponieważ to nie ich uwagi potrzebuje O, tylko Charlene. A tajemniczość tych morderstw - brak śladów włamania i walki - na pewno spotęgowały cierpienie Charlene i przykuły jej uwagę.

- Myślę, że Charlie nie będzie miała tyle szczęścia - stwierdził Phil.

- Myślę, że nie. Przynajmniej trenowała w ramach przygotowań.

- Podobnie jak O - zauważył Neil.

D. D. wyduła wargi.

- To prawda, a do tego O ukradła wcześniej broń Charlie, chociaż może wyjdzie jej to na dobre. Obniży to oczekiwania O względem oporu ofiary, co w rezultacie może pomóc Charlie.

- Więc zaczął się wyścig? - zapytał Phil. - Kto pierwszy znajdzie Charlie? My czy O?

- Nie zaproponowałaś Charlene ochrony policyjnej? - zapytał ze zdziwieniem Neil.

- Zaproponować jej? Proszę cię. Ona nawet nie odbiera moich telefonów. Zadzwoiła do mnie raz i opowiedziała swoją wersję historii. Niezbyt ją interesuje nasz udział w tej sprawie. Myślę, że nam nie ufa. To może mieć związek z faktem, że osobą, która zamierzają zabić, jest jeden z bostońskich policjantów.

- Dlatego nie wycofałaś nakazu aresztowania jej - zrozumiał Phil. - Nadal chcesz zgarnąć ją z ulicy.

- Tak, myślę, że tak będzie dla niej najbezpieczniej.

- Ale nie masz od niej żadnych wieści?

- Żadnych. Dziewczyna gdzieś się dobrze zaszyla.

- Oby - skomentował Phil. - O myśli podobnie.

- Dobra - D. D. zastukała w stół. - Za chwilę spotkam się z Horganem, aby otrzymać

pozwolenie na złożenie wniosku o nakaz przeszukania mieszkania detektyw O. Neil, chciałabym, żebyś wykonał to zadanie. Phil, kontynuuj szperanie w przeszłości O. Szukaj wszystkiego, informacji o jej przyjaciółach, zainteresowaniach, zwierzętach domowych, alergiach pokarmowych, czegokolwiek, co może nam zasugerować, co robi i jak to robi. Chcę znać daty i fakty, raz, dwa, trzy, w tym listę wszelkiej znanej broni zarejestrowanej na jej nazwisko. Ja w tym czasie porozmawiam z jej zwierzchnikiem.

- Jeszcze więcej informacji? - zapytał Phil.
- Mam przecucie.
- Podzielisz się?

Popatrzyła na niego przez chwilę.

- Właściwie zrobię coś jeszcze lepszego i przyznam, że uznanie należy się tobie, ponieważ to ty rozpocząłeś ten temat. Pamiętasz, jak dzisiaj przeglądałam raporty z badań toksykologicznych Randi i Jackie i nie mogłam znaleźć dowodów na obecność w ich organizmie żadnych leków, podczas gdy jedynym wytłumaczeniem na ich zachowanie jest to, że podano im narkotyki?

Phil przytaknął.

- Stwierdziłeś, że muszę pomyśleć o substancjach, które nie pozostawiają śladu i nie są widoczne w badaniu toksykologicznym.

Phil się nad tym zastanowił.

- Mądra rada. Wspomniałem może, co to może być za lek?

- Nie, ale O to zrobiła. - D. D. zastukała palcami. Ze wszystkich elementów układanki ten dręczył ją najbardziej. To, że siedziała ramię w ramię z koleżanką po fachu i niczego nie podejrzewała, nawet kiedy O subtelnie ujawniała informacje na temat swojej morderczej gry. Czyżby w ten sposób szukała pomocy, tak jak w liścikach wołała: „Złapcie mnie”? Czy może po prostu drażniła się ze starszą, bardziej doświadczoną detektyw, która powinna mieć więcej oleju w głowie. - O opowiedziała mi o sprawie, nad którą pracowała jako detektyw do spraw przestępstw seksualnych: zwyrodniały ojczym szprycował swoje pasierbice bliźniaczki insuliną. Poziom cukru spadał im tak bardzo, że niemal zapadały w śpiączkę i nie były w stanie stawiać oporu. Potem podnosił go z powrotem, podając im lukier. Insulina - podsumowała łagodnie D. D. - Dostępna bez recepty, łatwa do podania, tylko szybkie ukłucie w ramię. Po piętnastu, dwudziestu minutach ofiary traciły przytomność i O mogła z nimi zrobić, co chciała, a one nie były w stanie jej powstrzymać.

Neil wpatrywał się w nią.

- Insulina - powtórzył. - Tak, to by się zgadzało.

D. D. wstała.

- Musimy zlokalizować detektyw O - stwierdziła stanowczo.

- I musimy odnaleźć Charlene Grant. Panowie, jest trzecia czterdzieści trzy dwudziestego pierwszego stycznia. Abigail znów poluje i żadna walka ani ucieczka nie ocala Charlene, jeśli Abigail znajdzie ją pierwsza ze swoją insuliną.

Rozdział 41

Zaczęłam od hotelu ciotki w Cambridge. Jako kobieta oszczędna wyszukiwała tanie hotele w książce telefonicznej, a potem dzwoniła do nich, by przed podjęciem decyzji dowiedzieć się o ceny noclegów. Zważywszy na to, że przy zameldowaniu użyła karty kredytowej, bostońska policjantka nie miałaby problemu z namierzeniem jej. Detektyw O mogła śledzić jej transakcje i idąc tym tropem, dotrzeć pod same drzwi pokoju hotelowego, pokazać odznakę, a ciotka wpuściłaby ją do środka.

Zaparkowałam przecznicę od hotelu. Kazałam Fuksji zostać w samochodzie i podeszłam ostrożnie, starając się nie rzucać się w oczy, a jednocześnie rozglądając się po terenie w poszukiwaniu śladów ciotki lub bostońskich policjantów. Tani, zwykły motel składał się z piętrowego budynku w kształcie podkowy, otaczającego parking. Weszłam po schodach do pokoju ciotki na pierwszym piętrze. Drzwi były zamknięte, ale odsłonięte zasłony w głównym oknie ukazywały jasno oświetlone, brązowożłote wnętrza utrzymane w całkowitym porządku. Stałam przez chwilę, przyswajając ostentacyjność takiego gestu. Żadna kobieta przy zdrowych zmysłach, zatrzymująca się w hotelu, nie rozsuwa całkowicie zasłon, by odsłonić całe wnętrza pokoju. Ciotka nie zostawiała też nigdy włączonych świateł. Wicie, strata pieniędzy, nie mówiąc o marnowaniu energii i uszkodzeniu planecie.

Detektyw O. To musiała być ona. Pokazywała mi, że pokój jest pusty. Dawała mi do zrozumienia, że ma moją ciotkę.

Wróciłam do pikapa Toma z rękami wciśniętymi głęboko w kieszenie, spuszczoną głową i słuchem nastrojonym na odbiór szybko zbliżających się kroków, które mogły zwiastować atak od tyłu. Nic się jednak nie wydarzyło. Nadal był ciemny, przeraźliwie zimny sobotni wieczór. Reszta świata chroniła się bezpiecznie w domach, śmiejąc się z najbliższymi, podczas gdy ja przemierzałam puste ulice Bostonu, zdając sobie sprawę, że się spóźniłam i zapłacę za to.

Najwyraźniej detektyw O pierwsza znalazła moją ciotkę. Nie udusiła jej jednak na środku pokoju hotelowego, tylko zabrała gdzie indziej. Dlaczego?

Ponieważ pokój hotelowy nie był jej domem. Ofiary musiały zginąć w bezpiecznej atmosferze własnych domów.

Dlaczego? Ponieważ nigdy nie czułyśmy się bezpiecznie? Może by zwiększyć poczucie przerażenia i pogorszyć sytuację?

Ręka podświadomie powędrowała do boku. Dotknęłam blizny.

Przez chwilę niemal to poczułam. Moje żebra, wilgotne i lepkie, drżące nogi, powolną utratę przytomności. Widok pełzających po ścianie płomieni. Myślałam, jakie to dziwne, że jest mi tak zimno, choć patrzę na ogień.

- SisSis! - Usłyszałam wołający mnie głos. - SisSis!
- Przepraszam - powiedziałam. - Przepraszam.

Zadzwoiła moja komórka. Odebrałam ją pięć metrów od samochodu Toma.

- Przypomniałaś już sobie? - zapytała moja siostra.
- Dom się palił.
- Kochana mamusia. Zawsze miała zamiłowanie do teatralnych efektów.
- Gasiłaś płomienie.
- Wtedy wydawało mi się to dobrym rozwiązaniem.

Zawahałam się.

- SisSis. Nazywałaś mnie SisSis.

Tym razem nie odpowiedziała natychmiast. Gdy wreszcie się odezwała, w jej głosie brzmiała gorycz.

- Obiecałaś, że zawsze będziesz się mną opiekować. Obiecałaś mnie chronić. Ale nie dotrzymałaś obietnicy, prawda, Charlene? Zostawiłaś mnie, a potem zupełnie o mnie zapomniałaś. Taka była twoja siostrzana miłość, SisSis.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Nie miało to znaczenia, bo ona już wypełniała ciszę.

- Powiedz mi, Charlene, nadal jesteś dobrym żołnierzem?

- Dlaczego?

- Bo wszyscy kiedyś umrzemy. Trzeba być odważnym, Charlie, trzeba być odważnym...

Poczułam dreszcz na plecach. Nie tylko z powodu jej słów, ale również sposobu, w jaki je wypowiedziała. Jak głos zza grobu, matka szepcząca z przeszłości.

- Proszę, nie krzywdź jej - zmusiłam się, by wypowiedzieć te słowa spokojnie. - To nie ma nic wspólnego z ciotką Nancy. To sprawa między nami.

- A więc nadal nie pamiętasz.

- Czego chcesz?

- Powinnaś to wiedzieć.

- Powiedz mi, a przyjdę do ciebie.

- Powinnaś wiedzieć, gdzie jestem.

Wtedy zrozumiałam. Już wiedziałam. Otworzyłam drzwi furgonetki, wdrapałam się do środka z telefonem nadal przyklejonym do ucha. Czulałam ciężar tego, co miało się zaraz wydarzyć.

Dwudziesty pierwszy stycznia. Dzień, na który złożyło się dwadzieścia lat.

- Kocham cię, Abby - wyszeptalam do siostry, która miała mnie zabić. - Pamiętaj, że cię kocham, bez względu na wszystko.

Moja młodsza siostra przerwała rozmowę.

Długo i intensywnie myślałam o tym, co mam teraz zrobić.

Przez całe życie gdzieś w głębi rozumiałam, że moja matka jest szalona. Może nie zastanawiałam się, co dokładnie się wydarzyło, kiedy miałam dwa, cztery czy pięć lat, ale przebliski wspomnień, które miałam, nie były ciepłe ani serdeczne. Nie przypominam sobie, żeby mama czytała mi bajki na dobranoc i nie kojarzę jej ze świeżo pieczonymi ciasteczkami.

W mroźne zimowe wieczory, kiedy wiatr wył między górskimi szczytami, a ściany skrzypiały od jego niepokojącej siły, myślałam o mojej mamie. W wilgotnej piwnicy, czując zapach rdzy i posmak krwi, myślałam o mamie. Kiedy pewnego dnia w szkole spadłam z drabinek i lądując na ziemi, usłyszałam dziwny dźwięk, który wydał mój bark, a potem jeszcze głośniejszy, gdy uderzyłam nim w pień drzewa, by wrócił na swoje miejsce, myślałam o mojej mamie.

Była szalona w najczystszyznym znaczeniu tego słowa. Nieprzewidywalna, niestabilna, niewiarygodna. Kierowana dzikimi emocjami i jeszcze głębszymi i czarniejszymi okresami depresji. Kochała, a potem nienawidziła. Byłam jej najlepszą, ulubioną córką. Bądź grzeczna i nie ruszaj się, mówiła i upuszczała na moją stopę kulę do gry w kręgle.

W świecie mojej matki kochać kogoś oznaczało krzywdzić go. Dlatego im bardziej mnie raniła, tym bardziej powinnam czuć się uwielbiana.

Wicie, że niepoczytalność jest dziedziczna.

Spędziłam większość okresu dorastania przerażona, że pewnego dnia obudzę się owładnięta przemożną chęcią skrzywdzenia kogoś. Zacznę bić kolegów i krzyzczeć na ciotkę. Przeszanę kompulsywnie sprzątać jej górski pensjonat i zamiast tego zacząć plądrować pokoje.

Będę kładła się spać jako Charlene Rosalind Carter Grant, a budziła się jako Christine Grant, terroryzująca wszystkie małe dzieci w okolicy.

Na szczęście dla mnie, nigdy się to nie wydarzyło.

Myślę jednak, że moja młodsza siostra nie miała tyle szczęścia.

Najpierw pomyślałam, że zabierze ciotkę do New Hampshire, do jej przytulnego pensjonatu ukrytego w Górach Białych. To jednak oznaczałoby trzygodzinną jazdę na północ. Poza tym szaleństwo nie oznacza głupoty. Ciotka prowadziła w domu hotel, więc byłby on pełen świadków.

Znacznie lepszym miejscem na to ostateczne spotkanie rodzinne było moje małe, wynajmowane lokum w Cambridge. Jeden pokój w starym domu zajmowanym przez samotną, wiekową kobietę. Dla dobra gospodyni miałam nadzieję, że dzisiejszego dnia wyszła z domu. Wątpiłam, żeby któreś z nas się poszczęściło.

Zaparkowałam po drugiej stronie ulicy, obok Obserwatorium. W piątek o piątej po południu stało tam tylko kilka samochodów. Zrobiło się już całkiem ciemno, a latarnie rzucały wokół słabe światło, które odbijało się od białych zasp.

Planowałam zostawić Fuksję w samochodzie, ale jak tylko otworzyłam drzwi, wyskoczyła na zewnątrz, używając moich kolan jako trampoliny. Zatoczyła kilka szybkich kółek po parkingu, najwyraźniej zadowolona, że może pobiegać. Rozważałam złapanie jej i zaciągnięcie z powrotem do więzienia na czterech kołach, ale ostatecznie nie miałam serca, aby to zrobić.

Zawołałam ją tylko do siebie ostatni raz, pocałowałam w czubek głowy i podziękowałam za to, że była najlepszym psem na świecie. Zaskomlała, pomachała ogonem, a potem potrząsnęła swym białobrazowym ciałem, jakby chciała ustrzec się przed zimnem. Pognęła przez parking, oddalając się ode mnie i pędząc ku nowej przygodzie, o której może kiedyś mi opowie, jeśli tylko będę żyła i mogła jej wysłuchać.

Patrzyłam, jak znika za rogiem ceglanego budynku. W gardle ścisnęło mnie mocniej, niżbym chciała. Sprawdziłam kieszenie kurtki, poprawiłam szalik owinięty ciasno na szyi.

Spędziłam rok, planując, przygotowując się i opracowując strategię.

Teraz najzwyczajniej usłyszałam w głowie słowa mojej matki: „Wszyscy kiedyś umrzemy. Trzeba być odważnym”.

Ruszyłam przez ulicę w stronę spowitego w ciemności domu mojej gospodyni.

Dolny rząd odsłoniętych okien wyzierał jak bezzębny uśmiech, kiedy zbliżałam się do budynku. Światło nie rozjaśniało frontowej werandy ani nie mrugało zachęcająco z tylnego patio. Może drzwi wejściowe były otwarte, może moja siostra stała po drugiej stronie i czekała, aż wejde do środka.

Postanowiłam zrobić coś nieprzewidywalnego. Najwyraźniej chciała, żebym tu przyszła. Obie miałyśmy sprawy do załatwienia, więc podejrzewałam, że nie zastrzeli mnie od razu. Chciała porozmawiać, a ja chciałam posłuchać. Zamierzała zabić moją ciotkę i zranić mnie najbardziej, jak to możliwe. Ja chciałam, aby wiedziała, że mi przykro, że ją kocham i chociaż nie wiedziałam, jak naprawić przeszłość i wątpiłam, by na tym etapie dało się to zrobić, żalowałam,

że tak się nie stało.

Chciałam, byśmy obie mogły zacząć od nowa.

Nie widziałam żywego ducha na ulicach, gdy podeszłam do tylnego ogrodzenia, otworzyłam furtkę i zamknęłam ją delikatnie za sobą. Schowana przed wścibskimi spojrzeniami podeszłam do tylnych drzwi, którymi zawsze wchodziłam i wychodziłam.

Głęboki wdech, głęboki wydech.

Zapukałam trzy razy. Stuk, stuk, stuk.

Dziesięć sekund później otworzyła.

Korytarz spowijały ciemności, a za nią pojawił się cień. Wyobrażałam sobie, że nocne niebo Cambridge rzuca za mną delikatną, miejską poświatę.

Miała na sobie czarne dzinsy i obcisły czarny sweter. Wyglądała smukłej i bardziej złowieszczo niż detektyw O, z włosami ciasno związanymi w kucyk i oczami świecącymi dziwnymi, niebieskimi soczewkami.

Spojrzałam na nią i zobaczyłam swoją matkę.

Spojrzałam na nią i zobaczyłam siebie.

- Cześć, mam na imię Abigail - powiedziała.

Podniosła prawą rękę, ukazując igłę do zastrzyków podskórnych, którą wycelowała we mnie.

- Ręka.

- Co to jest? - wskazałam na igłę.

- Kto jak kto, ale ty nie powinnaś zadawać pytań. Bądź grzeczną dziewczynką i rób, co ci każę.

- Nie.

- Charlene Rosalind Carter Grant...

- Nasza matka nie żyje. Nie będę wracać do przeszłości i ty też nie powinnaś. Jesteśmy siostrami, a siostry nie traktują siebie nawzajem w ten sposób.

- Ręka.

- Nie - odwróciłam się i odeszłam.

- Jeśli odejdziesz, ona zginie - wrzasnęła za mną. - Osiem minut, może dziewięć. Tyle zostało twojej ciotce. Może cię to nie obchodzi. Może pozostawianie członków rodziny na pewną śmierć to coś, co najlepiej ci wychodzi, SisSis.

Użyła mojego dawnego przezwiska, co uznałam za swego rodzaju zwycięstwo. Obie zaczęłyśmy sobie przypominać. Jeśli miałam przeżyć najbliższe piętnaście minut, musiałam przypomnieć sobie większość swojego dzieciństwa. A Abigail... Musiałam sprawić, by przypomniała sobie przynajmniej te momenty, kiedy nie nienawidziła mnie tak bardzo, kiedy, być może, nawet trochę mnie kochała.

Odwróciłam się z powrotem w jej stronę. Ponownie wskazała igłę. Po kolejnej chwili wahania wyciągnęłam rękę. Zadziałała szybko, zanim zdążyłam zmienić zdanie, wbijając igłę wprost przez kurtkę w mięsistą część mojego ramienia. Ledwie to poczułam, delikatne ukłucie, które równie dobrze mógł spowodować kawałek żwiru zaplątany w koszulkę. Wcisnęła tłok i wszystko odbyło się w ciągu milisekundy.

Abigail spojrzała na mnie, a ja odwzajemniłam jej spojrzenie, czekając, aż coś poczuje, otumanienie, pieczenie w gardle, a może drętwienie ręki. Większość sztuczek naszej matki miała

wywołać natychmiastową gratyfikację, ale nic nie poczułam.

Abigail skinęła głową, najwyraźniej usatysfakcjonowana, potem kazała mi zdjąć kurtkę i oddać ją jej, natychmiast pozbawiając mnie większości własnoręcznie zrobionej broni, którą ukryłam w kieszeniach. Potem mnie przeszukała, odebrała komórkę, ale przeoczyła długopis wetknięty w związane włosy i przyklejony taśmą nóż, który przykrywały moje wystrzępione dzinsy, grube, wełniane skarpety i znoszone, zimowe buty. Kiedy przeszłam inspekcję, otworzyła drzwi szerzej i wpuściła mnie do mrocznego przedpokoju.

- Randi nawet tego nie poczuła - oznajmiła, jakby te słowa coś dla mnie znaczyły. - Twoja druga przyjaciółka Jackie odwróciła się, kiedy ją ukłułam. Powiedziałam, że do rękawa jej koszuli przyczepił się jakiś kolec i uwierzyła mi. Jednak ciotka Nancy widziała, jak idę z igłą w jej stronę. Pozwoliłam, by zobaczyła. Chciałam, żeby wiedziała.

Abigail poprowadziła mnie koło mojego pokoju do dużego salonu z wieloma miejscami do siedzenia, połączonego z kuchnią. Miałam rację, nikomu się dzisiaj nie poszczęściło. Były tam obie, ciotka Nancy i moja gospodyni Frances. Ta druga leżała bezwładnie na wypłóciwym fotelu najdalej ode mnie i wyglądała na bladą i osłabioną. Ciotka znajdowała się bliżej i spoczywała, półleżąc, na sofie, z zamkniętymi oczami. Jej powieki drżały w niepokojący sposób.

Podbiegłam do niej natychmiast, aby zbadać jej puls. Był wyczuwalny, ale słaby. Miała wilgotną skórę i drżała niekontrolowanie.

- Co jej zrobiłaś?
- Chcesz mi powiedzieć, że nigdy tego na tobie nie próbowała?
- Czego?
- Insuliny. Obniża poziom cukru we krwi, prowadząc do śpiączki, a nawet śmierci. Albo darmowej przejażdżki na ostry dyżur.

Wypowiadała te słowa z nonszalancją. Zrozumiałam niewypowiedzianą historię, która kryła się za nimi, niezliczone epizody, których doświadczała z rąk naszej matki. Chciałabym móc jej współczuć. Odwróciłam się jednak tylko do niej, rozstawiłam nogi dla zachowania równowagi i poprosiłam:

- Przyszłam, masz to, czego chciałaś. Dam ciotce Nancy i Fran trochę cukru w kostkach i pozwolimy im odejść.
- Lukier - oznajmiła Abigail. - Lepiej działa. Podałam go obu twoim przyjaciółkom na samym końcu. Inaczej pośmiertne badania krwi wykazałyby niski poziom cukru i tym samym ujawniły mój fortel. Ale trochę lukru podanego w odpowiednim momencie... Znajdziesz puszkę za tobą, na blacie kuchennym.

Zdziwiło mnie jej natychmiastowe przyzwolenie na pomoc ciotce i gospodyni. Zamiast ulgi poczułam jeszcze większe napięcie, kiedy odwróciłam się i ruszyłam w kierunku mrocznej kuchni.

W połowie drogi do wyspy na środku pomieszczenia nagle moje nogi zaczęły słabnąć. Potknęłam się, potem lekko zatoczyłam, ale odzyskałam równowagę. Otrząsnęłam się i zamrugałam, czując nagle, że robi mi się słabo. Insulina zaczęła działać. Znalazłam na środku blatu srebrną puszkę lukru do dekoracji i wróciłam z nią do ciotki.

- Możesz go im podać, ale jeśli weźmiesz choć odrobinę sama, strzele - Abigail schowała igłę do kieszeni i teraz trzymała w dłoni pistolet sig-sauer kaliber czterdzieści.
- I odbiorę ci całą frajdę? - zapytałam beztrosko.

- Nie powiedziałam, że cię zabiję, tylko postrzełę.

Przez chwilę mocowałam się z dyszą, na której zamontowano cztery dekoracyjne klipsy. Kolor biały, smak waniliowy. Do dekorowania ciasteczek i ratowania najbliższych przed nadchodzącą śmiercią. Ręce mi drżały i musiałam się skupić, żeby dłonie robiły to, co chciałam.

Najpierw zabrałam się za ciotkę, która wydawała się być w gorszym stanie. Potem podeszłam do Frances, wsunęłam dyszę do jej lekko rozchylonych ust i wycisnęłam lukier.

Potem odsunęłam się i obie z siostrą patrzyłyśmy na nie.

- Jak zostałam detektyw O? - zapytałam. Stałam dwa metry od niej, lekko z przodu, a ona trzymała pistolet wycelowany w moje ramię. Przy zgaszonych światłach pokój spowijały ciemności, widać było jedynie większe i mniejsze kontury mebli i innych przedmiotów, za którymi można by się schować.

Pomyślałam, że brak oświetlenia działa na moją korzyść, ponieważ znam teren lepiej niż ona. Nadal trzymała jednak broń i najwyraźniej czuła się z nią swobodnie.

- Sponsor.

- Sponsor?

Wyraz jej twarzy pozostawał zacięty i niewzruszony. Twarz gliny, twarz ofiary. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, jak niewiele je dzieli.

- Kiedy miałam czternaście lat, odeszłam od kochanej mamuski. Mieszkałyśmy już wówczas w Kolorado. Przestała mnie ranić, a zaczęła mną handlować. Sama nie wyglądała już tak dobrze jak dawniej, a czynsz trzeba było zapłacić. Nadal sprowadzała do domu facetów, tyle że nie spali już w jej pokoju.

Milczałam.

- Pewnej nocy dotarło do mnie, że dopóki sprzedaję swoje ciało, mogę dyktować warunki. Poczekalam więc na odpowiedniego faceta, no wiesz, takiego z dużą kasą, i złożyłam mu ofertę. Stanę się jego wyłączną własnością, jeśli mnie stamtąd zabierze. Okazało się, że dobrze wybrałam. Był wziętym prawnikiem, miał dużo aktywów i zawsze wyobrażał sobie siebie jako jednego z bogatych facetów, który trzyma na boku jakiegoś kociaka. Dostałam własne mieszkanie, a po kolejnych negocjacjach nową tożsamość, no wiesz, żeby kochana mamuska nie mogła mnie namierzyć i zabrać. Wszystko odbyło się w pełni legalnie, co było jedną z korzyści prostytuowania się dla gwiazdy palestry. Zapisalam się nawet na lekcje przez Internet i ukończyłam szkołę średnią. Problem pojawił się, kiedy skończyłam osiemnaście lat i chciałam iść do college'u, a on wolał zatrzymać mnie w złotej klatce.

Zamilkła. Na kanapie ciotka jęknęła i otworzyła oczy. Wpatrywała się w nas obie, ale wzrok nadal miała zamglony. Wątpię, żeby coś widziała.

- Kiedy go zabiłaś? - zapytałam swobodnym tonem.

Abigail się uśmiechnęła.

- Data nie jest istotna. Powinnaś znać tę znaczącą.

- Dwudziesty pierwszy stycznia?

- Oczywiście, ale dlaczego, SisSis? Co takiego ważnego wydarzyło się dwudziestego pierwszego stycznia? Sama mi powiedz.

Wpatrywałam się w nią. Próbowałam przypomnieć sobie spędzony wspólnie czas, przeszłość, którą tak skrupulatnie starałam się zapomnieć.

- Twoje urodziny?

Spojrzała na mnie dziwnie.

- Nie.
- Moje urodziny?
- Proszę cię. Urodziłaś się w czerwcu.

Frances się ocknęła. Jej oddech się zmienił, wyrównał. Nie siedziała prosto, ale widziałam, że jest bardziej przytomna. Zastanawiałam się, czy Abigail też to dostrzegła.

Jednak moja siostra nie zwracała uwagi ani na ciotkę, ani na gospodynię. Wpatrywała się we mnie i po raz pierwszy wyglądała na niepewną.

- Czy ty naprawdę wszystko zapomniałaś?

Wzruszyłam ramionami, czułam wstyd i zażenowanie.

- Większość rzeczy.
- Nawet mnie?
- Przykro mi, Abigail. Z całych sił próbowałam sobie przypomnieć, ale przysięgam, po prostu... Najpierw byłaś dzieckiem, a po chwili zniknęłaś. Byłam pewna, że cię zabiła. Jak Rosalind, jak Cartera. Te piękne, maleńkie dzieci, tak cudowne, a potem...

- Widziałam, jak zabija chłopca.

- Tak?

- Wszystko pamiętam. Płakał, a ona wzięła poduszkę. Była większa niż całe jego ciało. Przycisnęła ją do niego. „Tak robimy, gdy dzieci płaczą, Abigail”, powiedziała do mnie. „Więc nie bądź beksą”.

- Sama musiałaś mieć wtedy tylko kilka lat.
- Miałam chyba dwa, a ty cztery.
- Jak możesz pamiętać, co się stało, kiedy miałaś dwa lata?
- Jak możesz zapomnieć, co się stało, kiedy miałaś cztery lata?

Ciotka usiadła prosto i położyła rękę z boku ciała.

- Chciałam umrzeć. - Usłyszałam własny głos. - Obudziłam się w szpitalu i słyszałam, jak lekarze mówili, że mnie posklejali. Byłam o krok od śmierci, ale wyzdrowieję. Tyle że zamiast być im wdzięczna, chciałam ich zabić za to, że mnie ocalili. Byłam taka... zła, taka... przygnębiona. - Zrobiłam mały krok i odsunęłam się od ciotki, kierując się w stronę tylnego wyjścia. Chciałam, aby uwaga Abigail podążała za mną, jak najdalej od dwóch odzyskujących świadomość kobiet.

- Myślę, że musiałam zapomnieć - wyznałam siostrze. - Tylko w ten sposób mogłam przypomnieć sobie, jak można żyć.

- Ona cię zabiła - powiedziała Abigail. - Pchnęła cię nożem, to też widziałam.
- W domu wybuchł pożar.
- A więc pamiętasz!
- Pamiętam krew, płomień i to, że pomyślałam, iż to dziwne, że tak mi zimno.
- Próbowała spalić dom.
- Po tym, jak pchnęła mnie nożem?

- Tak. Najpierw dorwała cię, ale tego akurat nie widziałam. Wróciła na górę po mnie, potem stałyśmy w kuchni, ona trzymała zapalki, a ja nie mogłam uciec. Chciała spalić nas żywcem, ale pojawiłaś się za jej plecami i uderzyłaś ją w głowę tą starą, ciężką lampą.

- Tak?

Spojrzała na mnie i z radością dostrzegłam kolejny cień niepewności w jej oczach.

- Naprawdę nie pamiętasz?

- Niestety. Wolałabym pamiętać, że zadałam jej ból. Czuję przede wszystkim, że spędziłam większość życia, próbując nauczyć się, jak być sobą. Wpełzła do mojej głowy, kiedy byłam zbyt mała, by się temu przeciwstawić i potrzebowałam dwudziestu ośmiu lat, by odnaleźć własne myśli, by stać się sobą. Abigail, nasza matka była szalona, a my zbyt małe, by z nią walczyć. Teraz jednak jesteśmy dorosłe, a ona nie żyje. Już nie dyktuje warunków. Możemy być sobą. Wreszcie możemy wygrać.

- Próbowałam zabić ją tamtej nocy - wyszeptała Abigail, jakbym nie wypowiedziała swojej kwestii. - Myślałam, że nie żyjesz. Ona się ocknęła, a ja nie mogłam żyć bez ciebie. Wiedziałam, Charlie. Już wtedy wiedziałam, że nie jestem tak silna. Chwyciłam więc lampę i miałam zamiar ją uderzyć, ale zanim się obejrzałam, ona kopniakiem podcięła mi nogi i upadłam na podłogę. Kiedy tak leżałam, ona podniosła lampę i walnęła mnie nią.

Wzdrygnęłam się. Poczułam dreszcz... nie, falę przerażenia zalewającą całe moje ciało. Przez chwilę nie byłam pewna, czy to insulina obniża gwałtownie mój poziom cukru, czy był to wstrząs sejsmiczny wywołany głęboko zakopanymi wspomnieniami.

- Patrzyłam, jak umierasz. - Usłyszałam swój szept. - Ona... ona cię zabiła. Tą lampą. Pamiętam. Nie mogłam się poruszyć, nie mogłam nic zrobić. Nie mogłam podnieść ręki, krzyknąć ani błagać. Tkwiłam na podłodze i było mi jednocześnie zimno i gorąco.

Krzyczałam wewnątrz, to pamiętam. Czułam, że całe moje ciało krzyczy, kiedy upadłaś na ziemię, a ona wstała, ale nie wydałam żadnego dźwięku. Nic się nie wydarzyło. Krzyknęłam i wtedy ona pojawiła się z lampą, podniosła ją i opuściła. Zabiła cię. Tak długo cię chroniłam, Abby. Nawet sobie nie wyobrażasz. Te noce, kiedy uciekałam z tobą do lasu albo wsuwałam cię pod łóżko, albo chowałam w jakimś zakamarku... Nie udało mi się z pozostałymi. Nie byłam wystarczająco bystra ani silna. Ale z tobą... Pamiętam, że kiedy miałaś trzy czy cztery lata, myślałam, że mi się udało. Ocaliłam cię, byłaś moja i kochałam cię. Kochałam cię, Abigail.

Głos mi zadrżał, załamał się. Moje ciało zaczęło drzeć niekontrolowanie, a myśli rozmywać, uciekać i nie mogłam ich pozbierać z powrotem. Traciłam kontrolę. Mój poziom cukru spadał na łeb na szyję. Pomieszanie, dezorientacja. Żal, szczyry żal. Moja mała siostrzyczka zginęła. Mój mózg działał tak dziwnie, że nie pamiętałam tego, ale wiedziałam, że tak się stało. Wierzyłam, że widziałam, jak Abby umiera i to złamało mnie w sposób, którego żaden lekarz nie był w stanie naprawić.

- Ale nie umarłam - oznajmiła Abigail. Jej ręce też drżały i nie trzymały już broni tak pewnie. Powinnam się odsunąć, wykorzystać ten moment.

Nie potrafiłam zmusić nóg do działania. Chwyciłam się tylko ściany, czułam, że świat znów się chwieje i próbowałam utrzymać równowagę.

„Na to się nie przygotowałam”, pomyślałam. Na takie komplikacje.

- Przeżyłam - kontynuowała Abigail. Jej zachrypły głos brzmiał zarazem oskarżycielsko i żałościennie. - Zabrała mnie ze sobą i to było straszne, potworne i każdej nocy modliłam się o ciebie, Charlie. Byłaś moją starszą siostrą, obiecałaś mi ocalić, modliłam się o ciebie. Każdej nocy. Potem skończyłam dziesięć lat, pojawił się pierwszy mężczyzna i to bolało. Płakałam i błagałam, żebyś mnie ocaliła. Ale ty się nie pojawiłaś, nie ocaliłaś mnie. Zamiast tego gdy skończyłam czternaście lat, sprzedałam się zboczeńcowi tylko po to, by uciec. To nie wystarczyło, więc

musiałam go zabić. Okazało się, że to również za mało, więc musiałam odszukać i zabić także ją. Myślałam, że lepiej się po tym poczuje. Niestety, to też nie wystarczyło.

Wpatrywałam się w swoją siostrę.

- Zabiłaś naszą matkę?
- Oczywiście - odparła. - Powiedz mi kiedy.
- Dwudziestego pierwszego stycznia. Zabiłaś ją dwudziestego pierwszego stycznia.
- Tak, wreszcie zrozumiałaś. Użyłam jej poduszki i zrobiłam to dokładnie tak, jak mnie nauczyła.

Zastanawiałam się, czy powinnam czuć przerażenie, czy powinnam być wdzięczna.

- Ale... to powinno zakończyć sprawę. To powinno wystarczyć.
- Oczywiście, że nie. Nadal byłaś ty. Ta, która nigdy się nie pojawiła, ta, która mnie nie ocaliła.

- Ale ja nawet nie wiedziałam, że żyjesz!
- Owszem, wiedziałas.
- Nie. Skąd miałam wiedzieć?
- Ona by ci powiedziała.

Abigail odwróciła się i wskazała palcem ciotkę Nancy, która już całkiem się ocknęła i wpatrywała w nas.

- Przepraszam - wybuchła ciotka. - Tak bardzo cię przepraszam, Charlie!

W tym samym momencie Frances nagle podniosła się z sofy i z nieoczekiwanym rykiem rzuciła się na Abigail.

Rozległ się strzał.

Upadłam na podłogę.

Krzyki. Frances, ciotka Nancy, Abigail.

- SisSis - głos Abigail. Moja młodsza siostra mnie woła. SisSis!

Chwyciłam puszkę z lukrem, która leżała na podłodze i zaczęłam się czołgać.

Rozdział 42

D. D. odchodziła od zmysłów.

Siedemnasta dwie, sobota, dwudziesty pierwszy stycznia.

Ani śladu Charlene Rosalind Carter Grant czy detektyw O.

Przed godziną kilka radiowozów spatrolowało ulicę, gdzie Charlie wynajmowała pokój. Światła w domu pogaszone. Nikt nie otworzył drzwi. W Grovesnor sprawdzono oczywiście wszystkie osoby powiązane z jej pracą. Charlene miała dzisiaj wolne i nie kontaktowała się z nikim z pracy.

Pozostawała ciotka z domem w północnej części stanu New Hampshire i hotel gdzieś w Cambridge. D. D. skontaktowała się z policją stanową New Hampshire. Wysłano patrol do pensjonatu, ale Nancy Grant tam nie było, a młoda kobieta podająca się za jej asystentkę twierdziła, że dzisiaj w ogóle ze sobą nie rozmawiały, szefowa zaś miała wrócić najwcześniej jutro.

D. D. sprawdziła następnie płatności kartą kredytową i natrafiła na niedawne obciążenie w niedrogim motelu w Cambridge.

Jechała tam teraz nie dlatego, że uważała, iż znajdzie Charlene, ukrywającą się pod łóżkiem w pokoju ciotki, ale dlatego, że D. D. musiała się czymś zająć.

Nastał wieczór. Niebo było atramentowoczarne, temperatura ostro spadała. Był dwudziesty pierwszy stycznia i D. D. za nic nie dopuści do tego, aby doszło do kolejnego morderstwa na jej zmianie, w jej mieście. Nie ma mowy. Była zawnazas ostrzeżona i uzbrojona.

Znalezienie motelu nie nastęrczyło jej żadnych problemów. Był to jeden z tych powstałych pod koniec lat siedemdziesiątych nijakich piętrowych budynków w kształcie podkowy z parkingiem pośrodku. Trochę powęszyła i odnalazła samochód Nancy Grant, a potem jej znajdujący się na piętrze pokój.

Trzy minuty później D. D. stała w otwartych drzwiach i marszczyła brwi. Recepcjonista, który ją wpuścił, niski łysy Azjata, wydawał się równie niespokojny.

- Może wyszła - zasugerował.
- Może.

D. D. obeszła pokój, niczego nie dotykając. No i jakżeby inaczej: żadnej walizki, żadnych przyborów toaletowych, idealnie posłane łóżko. Jeśli ciotka Nancy w ogóle tu spała, skrupulatnie potem posprzątała.

Po plecach D. D. przebiegł wyraźny, zimny dreszcz.

Abigail. Na pewno. Zabójczym z największymi na świecie zaburzeniami obsesyjno-kompulsywnymi. Dusila swoje ofiary, a potem przetrzepywała ich poduszki na sofie.

Tyle że pośrodku pokoju nie leżały zwłoki. Co znaczyło, że zamiast zabić Nancy Grant, zabrała ją ze sobą. Dlaczego? Morderca z tak wysoce rytualnym podejściem raczej nie zmieniał zasad na sam koniec gry.

Abigail potrzebowała czegoś innego.

Kogoś innego.

Tak jak D. D., próbowała znaleźć Charlene Grant.

Tyle że najpierw udało jej się znaleźć Nancy Grant, aby użyć jej jako przynęty.

D. D. wezwała przez telefon posiłki, które miały się zająć dokładnym zbadaniem pokoju.

Następnie wróciła do samochodu i wyjechała z parkingu, a trybiki w jej głowie obracały się równie szybko jak koła crown victorii.

Abigail chciała dorwać siostrę. Abigail chciała zemsty. Dokąd teraz?

Tylko jedno miejsce wydawało się sensowne. Wynajmowany pokój w Cambridge. Nie mogło być inaczej. Tyle że oczywiście policja już to sprawdziła. Patrowano ulicę. Zapukano do drzwi. Ani śladu życia.

Może dlatego, że były tam tylko ślady śmierci.

Skrećila w ulicę Charlene, kiedy na chodniku dostrzegła jakiś ruch.

D. D. wcisnęła hamulec, a samochód jadący za nią ledwie zdążył ją ominąć. Kierowca wykonał w jej kierunku obraźliwy gest.

D. D. nawet go nie zauważyła. Zdążyła już wyskoczyć z samochodu i wyciągnęła rękę.

- Fuksja! - zawołała. - Tutaj, piesku. Chodź. Wszystko w porządku. Dobry piesek. Pamiętasz mnie? Byłaś u mnie w pracy. Jestem przyjaciółką Charlie.

Biało-brązowy pies pomachał niepewnie ogonem, po czym w końcu podszedł bliżej i

ostrożnie obwąchał dłoń D. D.

Z kolei D. D. pogłaskała drżącego psa po głowie i podrapała za uszami.

- Fuksja, gdzie jest Charlie? Wiesz? Bo ja się o nią mocno martwię. Chcesz pomóc? Pokaż mi, Fuksja. Gdzie jest Charlie?

I ku zaskoczeniu D. D. Fuksja odwróciła się i ruszyła chodnikiem. Obejrzała się raz, jakby się upewniała, że D. D. idzie za nią. A potem zarówno ona, jak i pani detektyw zaczęły biec.

Rozdział 43

Tyle technik obronnych przećwiczyłam przez ostatni rok. Jak się uchylać, wymijać, robić uniki i zadawać ciosy. Jak stać spokojnie, wycelować i nacisnąć spust. Jak biec i biec i nawet jeśli potknę się z wyczerpania, jeszcze trochę pobiec.

Teraz był dwudziesty pierwszy stycznia.

Leżałam w ciemnościach na drewnianej podłodze. Usłyszałam krzyki. Poczułam zapach prochu.

I zrobiłam to, co w tej akurat chwili wydawało się najbardziej logiczne.

Uniosłam puszkę z lukrem do ust i nacisnęłam dyszę.

Kolejny strzał, potem trzeci i czwarty. Chwiejąc się, ruszyłam na czworakach w kierunku zamieszania.

Usłyszałam jęki. Na podłodze leżała moja gospodyni, Frances. Skulona, trzymała się za ramię. Czulałam krew, choć w ciemnościach trudno było cokolwiek zobaczyć.

- Pomóż mi - jęknęła znowu. - Charlie, Charlie, pomocy...

- Pomogę, zaraz. Ćśś, spokojnie.

Więcej ruszających się wokół mnie ciemnych cieni. Jeden wysoko nade mną. Abigail, nadal z pistoletem w dłoni, ale niesprawiająca już wrażenia spokojnej.

- Gdzie jesteś? - zawołała. Broń trzymała uniesioną, celując we wszystkie cienie.

Zamarłam obok Frances, gdyż nie miałam już wcale takiej pewności, że moja siostra mnie nie zastrzeli.

- Nic ci nie jest? - Starłam się, aby mój głos brzmiał jak najspokojniej. - Abby?

- Zamknij się! Zamknij się, zamknij się, zamknij! Wiem, że z nią trzymasz. Porzuciłaś mamę i mnie dla niej. Proszę bardzo, skoro tak to chcesz rozegrać!

Nagle odwróciła się w moją stronę, a spoczywający na spuście palec poruszył się.

Na ułamek sekundy sparaliżował mnie szok, ale zaraz potem rzuciłam się w tył, w stronę teraz pustego fotela z uszakami. Byłam w ruchu, kiedy Abigail zaczęła strzelać, rozpaczliwie szukając osłony za trzema krzesłami stojącymi najbliżej okien. W tym samym czasie z drugiego końca pokoju moja ciotka zawołała:

- To nie jej wina! - Głos jej drżał. - Ona nie wiedziała. Nic jej nie powiedziałam.

- Nie powiedziałaś czego? - odkrzyknęłam, choć dopadło mnie paskudne uczucie, że wiem, o co chodzi.

Abigail przestała strzelać na wystarczająco długą chwilę, aby usłyszeć odpowiedź mojej ciotki. Wykorzystałam to i wyjrzałam zza fotela, dokonując szybkiej oceny sytuacji.

Frances była poważnie ranna i potrzebowała natychmiastowej pomocy lekarskiej. Abigail pozostawała uzbrojona i niebezpieczna. Moja ciotka... nie miałam pojęcia. Ale szybko musiałam coś zrobić.

- Odnalazłam twoją matkę w Kolorado - odparła moja ciotka. Jej głos zdawał się przemieszczać, prawdopodobnie więc szukała lepszej kryjówki. - Wynajęłam prywatnego detektywa, któremu w końcu udało się ją namierzyć. Kiedy miałam dziesięć lat, pojechałam, aby osobiście się z nią spotkać.

- Dlaczego? - Oslupiałam na tyle, że przestałam obserwować Abigail i odwróciłam się w stronę głosu mojej ciotki. Musiałam się ciut wychylić, gdyż Abigail znowu strzeliła, a ja szybko padłam na ziemię, gdy oparcie fotela eksplodowało. Przełknęłam jeszcze trochę lukru.

- Chciałam z nią porozmawiać jak siostra z siostrą - wyjaśniła ciotka. - Skrzywdziła cię, nie wspominając o tym, co zrobiła tym małym... Nie wiem, co sobie myślałam. Byłam rozgniewana. Chciałam z nią porozmawiać, powiedzieć, co o tym myślę, a potem zadzwonić na policję.

Abigail się przemieszczała. Nie w moją stronę, ale w kierunku, skąd dochodził głos ciotki Nancy. Wróciłam do pospiesznego analizowania sytuacji i tego, co mogę zrobić. Telefon? Za daleko, żeby się do niego bezpiecznie dostać. Broń? Zabrała mi skarpetkę z bateriami, którą chowałam w kieszeni kurtki, ale nadal miałam mały, przytwierdzony do kostki nóż, nie wspominając o długopisie. Nie miałam pewności, czy byłabym w stanie zagrozić nożem swojej młodszej siostrze, bez względu na to, jak bardzo była obłąkana. Będzie musiał wystarczyć długopis.

- Przyjechałaś do naszego mieszkania - powiedziała teraz Abigail, a głos miała niemal dziewczęcy, gdy tropiła w ciemnościach naszą ciotkę.

- Nie wiedziałam, że tam jesteś. Nie wiedziałam o twoim istnieniu. - Głos ciotki Nancy stał się łagodniejszy. - Policjny raport... Nie znaleziono żadnego śladu drugiego dziecka.

- Wszystko, co posiadałam, trzymałam w plecaku... - Abigail wypowiedziała te słowa w tym samym momencie, gdy pojawiły się w mojej głowie.

Resztę zdania dokończyłam bezgłośnie, tak że wypowiedziałyśmy je jednym głosem:

- Jak dobry żołnierz.

- Kiedy cię zobaczyłam - kontynuowała ciotka - nie wiedziałam, co zrobić. Wcześniej miałam plan. Zamierzałam nakrzyczeć na siostrę, powiedzieć jej, co o niej myślę, następnie zadzwonić na policję, która zgarnie ją i zamknie w więzieniu na resztę życia. Zasługiwała na to jak mało kto! Ale ona wiedziała. Chrissy wiedziała, co zamierzam zrobić, i dlatego sprytnie to wszystko rozegrała.

Jęki. Gdzieś za mną. To znowu Frances, dysząca ciężko z bólu. Ten dźwięk pobudził mnie do działania. Nie mogłyśmy tak tu siedzieć, przyczajone w ciemnościach, gdy tymczasem Abigail mierzyła do nas z pistoletu.

- Ale wtedy zobaczyłam ciebie - moja ciotka próbowała wytłumaczyć to Abigail, a jej głos unosił się w ciemności. - I nie wiedziałam, co zrobić. Powiedziałam Chrissy, że jest chora. Zażądałam, aby oddała się w ręce policji. Zaproponowałam, że cię wezmę, Abigail, że zaopiekuję się tobą tak samo jak Charlene. Tyle że Chrissy w ogóle nie chciała o tym słyszeć. Oświadczyła mi, że się mylę, że wszystko opacznie zrozumiałam. W Nowym Jorku miała kiedyś chłopaka. To on pchnął nożem Charlie, to on zamordował małego. Od tamtej nocy ciągle przed nim ucieka,

dlatego właśnie zgarnęła ciebie, Abigail, i uciekła policji. Aby ten „chłopak” nie mógł jej znaleźć.

Zobaczyłam, jak Abigail nieruchomieje. Dotąd przesuwiała się krok za krokiem w kierunku głosu ciotki Nancy, szukając celu. Teraz jednak zobaczyłam, że się waha. Wykorzystałam tę sposobność i zsunęłam z nogi ciężki zimowy but.

- Prawie jej uwierzyłam - szepnęła ciotka. - Ale potem Chrissy zaczęła się śmiać. Spojrzała mi prosto w oczy i oświadczyła, że to właśnie powiedziałyby policjantom. Oni oczywiście zaczęliby szukać tego chłopaka, a ona tymczasem złożyłaby wniosek o przyznanie prawa do wyłącznej opieki nad Charlie. Zabrałaby was obie i zniknęłaby. Nie mogłam uwierzyć, że zrobiłaby coś takiego, ale zrobiłaby i już. Dramat i intryga. To, co najbardziej kochała. Miała gdzieś, jeśli przy okazji działa się krzywda tobie, Abigail, czy tobie, Charlie, czy mnie. Dla niej liczyło się tylko to, że sama byłaby zadowolona. No więc zapytałam ją, czego chce, a ona zaproponowała mi układ. Jeśli ja nie powiem policji, że ją znalazłam, będę mogła zatrzymać Charlie. Ona nie skontaktuje się nigdy ze mną, ja nie skontaktuję się nigdy z nią. Każda pójdzie swoją drogą, każda z jednym dzieckiem. W jej ustach zabrzmiało to jak przysługa. A ja... Nie mogłam pozwolić, abyś znowu do niej trafiła, Charlie. Tak dobrze sobie radziłaś. Miałaś przyjaciółki i byłaś szczęśliwa, a ja... zbyt mocno cię kochałam, żeby cię do niej odesłać. Zawarłam więc diabelski pakt. Przystałam na jej warunki, Abigail. Poświęciłam ciebie, aby ocalić twoją siostrę. I w głębi duszy żywiłam nadzieję, że pewnego dnia mi to wybaczysz.

Głos mojej ciotki uległ zmianie, stał się zdecydowany. Zbyt późno dotarło do mnie, jaki ma zamiar. Zbyt późno wyprostowałam się za fotelem na drugim końcu długiego, ciemnego pokoju.

W tym samym momencie moja ciotka wstała zza sofy i popatrzyła na Abigail.

- Miałam nadzieję - szepnęła odważnie - że jako siostra ucieszysz się, że chociaż jednej z was udało się uciec.

Abigail patrzyła mojej ciotce prosto w oczy. Przez jedną sekundę sądziłam, że wyjdziemy z tego cało. Sądziłam, że Abigail...

Pociągnęła za spust. Sig-sauer eksplodował. Moja ciotka wydała dziwny świszczący odgłos, obróciła się lekko w lewo, wyciągając rękę, jakby walcząc o utrzymanie równowagi. Abigail wycelowała po raz drugi, a ja cisnęłam butem w jej głowę.

Trafił w nią w chwili, gdy pociągała za spust. Ciotka znowu syknęła, a potem Abigail odwróciła się, celując we mnie. Pozbyłam się szybko drugiego ciężkiego buciora i jego także rzuciłam w jej stronę.

Trafił ją w ramię. Nie na tyle mocno, aby zrobić jej krzywdę. Ale straciła równowagę. Potrzebowała sekundy, aby przyjąć z powrotem odpowiednią postawę, podczas której ja chwyciłam z sofy trzy poduszki i zaczęłam nimi rzucać.

Uchyłała się. W lewo. Prawo. Lewo. Wykorzystałam sposobność i rzuciłam się przez pokój.

Nie uciekałam od niej.

Biegłam w jej stronę. Przeskakując przez niską ławę, obiegając sofę. Schylając się i docierając do linii ognia.

Oczy miała szeroko otwarte. W ciemnościach jej błada i zaszokowana twarz zdawała się lśnić, a w mojej głowie pojawił się przeblýsk wspomnienia. Inny czas, inna błada twarz. Inna osoba, którą kochałam i którą pragnęłam uszczęśliwić.

Ale to by nie wystarczyło. Nigdy nie wystarczyło. Zamiast tego zrobiłaby krzywdę mnie.

Zatrzymałam się trzydzieści centymetrów od młodszej siostry i stałam nieruchomo, gdy

tymczasem Abigail wycelowała sig-sauera w moją pierś: gorąca lufa dotykała mi mostka.

- Powinnaś mnie była uratować - szepnęła ochryple.
- Robiłam to. Poświęcałam siebie dla ciebie. Raz za razem. Tyle że to zawsze było za mało.

Kochałam cię, Abby. A gdybyś ty mnie kochała, cieszyłabyś się, że mi się udało, tak jak powiedziała ciotka Nancy.

- Jak ja, kurwa, nienawidzę...
- Ćśś...

Ręka mojej siostry zadrżała. Potem jej palec poruszył się na spuście. W tym samym momencie ja wyciągnęłam z kucyka plastikowy długopis i trzymając go oburącz, uderzyłam nim jak metalowym prętem w jej ramię, tuż poniżej nadgarstka.

Stara barmańska sztuczka. Brzmi niewinnie. Wygląda niewinnie. Boli jak cholera, a zaraz potem twardy długopis odcina dopływ krwi do dłoni, która staje się odrętwiała i nie reaguje na bodźce.

Prawa dłoń Abigail odruchowo się otworzyła. To było niezależne od niej. Z bólu jej usta utworzyły milczące „O”, gdy jej sig-sauer upadł na podłogę. Kopnęłam go. Uderzyła mnie lewą pięścią w bok głowy.

A potem zaczęła okładać mnie pięściami. Staralam się bronić i w tym samym momencie drzwi otworzyły się i do domu wbiegł pies, szczekający zaciekle, a damski głos zawołał:

- Policja, ręce do góry!

Nie mogłam spełnić tego żądania detektyw D. D. Warren. Abigail dała sobie spokój z pistoletem i teraz jej palce znajdowały się na mojej szyi. Zaciskała je, zaciskała, zaciskała, a ciemny pokój stał się jeszcze ciemniejszy. Moje ręce na niej, mocujące się, próbujące odnaleźć jej palce, zmusić je do oderwania się od mojej szyi. Wewnątrz czaszki eksplodowało mi światło.

Miała niesamowitą siłę w palcach. Ona nie tylko wyciskała powietrze z mego ciała. Ona starała się zmiążdżyć mi szyję.

Zrobiłam krok w tył i potknęłam się o niską ławę. Straciłam równowagę. Upadłam na podłogę.

- Stać, policja!

Moja młodsza siostra wisiała nade mną, nadal mocno zaciskała palce na mojej szyi, a w jej oczach widniała niemal potworna radość. Tyle że obraz stał się niewyraźny i już nie była moją siostrą. Teraz wpatrywałam się w twarz matki.

Wszyscy kiedyś umrzemy. Trzeba być odważnym.

Przestałam czepiać się jej dłoni i zaczęłam walczyć na poważnie. Prosty, prosty, prosty w nerki. Hak w brodę, cios w prawą część twarzy, i jeszcze raz, i jeszcze. Cios za ciosem. Ćwiczona przez rok walka mego życia.

Świat robił się coraz bardziej mroczny, gdy moja obłąkana siostra przyjmowała kolejne ciosy, a nacisk jej palców na moją szyję nie słabł nawet odrobinę.

- Abigail Grant! Detektyw O! Proszę się natychmiast odsunąć. Chcę widzieć twoje ręce!

Strzelaj, zaklinałam w duchu detektyw Warren. Po prostu strzelaj. Ale oczywiście nie mogła. Ciała moje i Abigail splecione były ze sobą, jej dłonie na mojej szyi, moje pięści wbite w jej brzuch, dwie zdesperowane kobiety, jedna wielka postać.

Wtedy przez wyłożony boazerią korytarz śmignęła biało-brązowa rakietka. Fuksja z warkotem rzuciła się na odsłonięty bok Abigail.

Białe kły zatopiły się w ciele. Abigail wrzasnęła. W końcu moja siostra puściła moją szyję, zrobiła niepewny krok w tył, chwyciła z podłogi niewielkie ciało Fuksji i rzuciła nią o ścianę.

Pisk. I cisza.

Obróciłam się na bok. Próbowałam wstać. Próbowałam uciec. Czołgałam się. Tak jakby. Powiedzmy. Nie byłam w stanie podeprzeć się rękami. Nie byłam w stanie wciągnąć powietrza do płuc.

- Abigail Grant. Ręce do góry. To ostatnie ostrzeżenie. Przestań albo strzele!

Wszyscy kiedyś umrzemy. Trzeba być odważnym.

Moja siostra odwróciła się w stronę D. D. Miała coś w dłoni, coś, czego wcześniej tam nie było. Nóż. Z pochwy na mojej kostce. Musiał wypaść, kiedy się kotłowałyśmy.

Jej spojrzenie padło na mój odsłonięty bok, a ja odruchowo znieruchomiałam, czekając na cios. Krew i ogień. Może na to właśnie obie czekałyśmy. Dwadzieścia lat niedokończonych spraw.

Nie uniosłam rąk w samoobronie. Po prostu patrzyłam na moją młodszą siostrę. Siłą woli zmuszając ją, by spojrzała na mnie. By zobaczyła starszą siostrę, która szczerze ją kochała.

- Nie rób tego. - Głos D. D. Warren. Bliższy. Ale także łagodniejszy, jakby wyczuwała punkt zwrotny. - Odlóż nóż, Abigail. Jesteś policjantką, pamiętasz? „Złapcie mnie”. Napisałaś to w swoich wiadomościach, ponieważ masz swój rozum. To nie musi tak wyglądać.

- Moja matka miała rację - szepnęła Abigail, do niej, do mnie. - Potwory czają się wszędzie. Zjawiają się ciemną nocą, aby krzywdzić małe dzieci. W Internecie, na ulicach. Widzę je wszędzie. Próbowałam robić użytek z odznaki, próbowałam robić użytek z broni. Nic się nie sprawdza. Potwory. Nasza matka. Oni wszyscy siedzą w mojej głowie.

- O, odlóż nóż. Pomogę ci. Twoja siostra ci pomoże. Jakoś to wszystko wyprostujemy.

Moja siostra wpatrująca się w D. D. Moja siostra przenosząca spojrzenie z powrotem na mnie. Jedna chwila. Dwadzieścia lat.

Moja siostra uniosła nóż.

- Chcę tylko, żeby przestało boleć, Charlie. Chcę tylko spokoju.

Krzyknęłam z podłogi. Detektyw Warren przeskoczyła nad ławą.

W tym samym momencie Abigail wbiła sobie nóż w brzuch i obróciła go. Zaskoczenie na jej pobladłej twarzy. Zachwiała się i upadła na kolana, po czym przewróciła się na podłogę.

Głos detektyw D. D. Warren, tym razem głośniejszy, ostrzejszy, wzywający karetkę, wzywający posiłki. Ja już jej nie słuchałam. Teraz w ogóle się dla mnie nie liczyła.

Leżałam na podłodze obok mojej siostrzyczki. Odnalazłam w ciemności jej dłoń.

- SisSis? - szepnęła ochryple.

- Kocham cię, Abby.

A ona wydała odgłos, który był mokry i złowieszczy, i przepelniony bólem.

- Wszyscy kiedyś umrzemy - powiedziałam siostrze w tej ostatniej wspólnej chwili. Ścisnęła mocniej moją dłoń. Odpowiedziałam takim samym uściskiem. - Trzeba być odważnym, Abby. Kocham cię. Trzeba być odważnym.

Rozdział 44

Pochowałam moją siostrę obok naszego rodzeństwa, maleńkich Rosalind i Cartera Grantów. Nie mają dużych nagrobków; jedynie płaskie granitowe płyty, na które stać było moją ciotkę dwadzieścia lat temu, i na którą stać mnie teraz. Ale są razem, smutne trio spoczywające obok swoich dziadków na dwustuletnim cmentarzu w J-Town. Pozostają dwa wolne miejsca. Jedno dla mojej ciotki, a drugie, kiedy nadejdzie mój czas, dla mnie.

Detektyw Warren w komputerze mojej siostry znalazła jej prywatny blog. Zatyłowała go *Cześć, mam na imię Abigail*. W długich, przyprawiających o gęsią skórkę wpisach przedstawiła ze szczegółami zabójstwa moich przyjaciółek, jak również niezliczone godziny spędzone na przeczyszczeniu Internetu, śledzeniu złoczyńców, szukaniu sposobów pomocy dzieciom w potrzebie.

Ostatecznie miała rację. Wszędzie widziała potwory. A one napierały na nią niczym mroczny przypływ, którego nie było w stanie odeprzeć żadne tropienie ani zabijanie, choćby nie wiadomo na jak wielką skalę. Wyszło na jaw, że zastrzeliła co najmniej trzydziestu trzech podejrzanych pedofilów, a jej działania rozciągały się nie tylko na Boston, ale na obszar od Nowego Jorku do Los Angeles. Ostatnich trzech zabójstw dopuściła się w tym samym mieście, ale tylko dlatego, że zbliżająca się data dwudziestego pierwszego stycznia zmusiła ją do ograniczenia obszaru polowania do Bostonu. Wcześniej zachowywała się znacznie ostrożniej. Bądź co bądź była gliną i mądrze wykorzystywała swoją wiedzę.

Randi i Jackie nie zdawały sobie sprawy z nadchodzącej chwili śmierci. Randi otworzyła drzwi policjantce i przy herbacie rozmawiały o poczynaniach jej byłego męża, aż w końcu insulina zadziałała i pozbawiła moją przyjaciółkę przytomności. Jackie w barze poznała piękną kobietę. Inna historia, podobne podejście.

Obie prawdopodobnie w ogóle nie pomyślały o mnie, nie przyszło im do głowy, że przyjaźń ze mną oznaczała dla nich wyrok śmierci.

Czy w takiej sytuacji powinnam się poczuć lepiej czy gorzej?

Jedno z tych pytań, na które nigdy nie będę w stanie udzielić odpowiedzi.

Detektyw Warren zarządziła badanie DNA szczątków mojej matki, ostatecznie potwierdzając tożsamość zwłok znalezionych w Kolorado. Nie udałam się tam, kiedy poznałam wyniki testu DNA. Jeśli chodzi o mnie, to zwłoki Christine Grant mogą pozostać w jakiejś komunalnej mogile czy kwaterze cmentarnej dla ubogich. Nie zamierzam występować o wydanie ciała i za żadne skarby nie pochowam jej obok Abigail, Rosalind i Cartera. Może brzmi to okrutnie. Choroba psychiczna to przecież choroba, prawdopodobnie zasługująca na nieco współczucia.

Nie wiem, nie mnie to nie obchodzi. Policja zamknęła ich akta. Ja nie odczuwam potrzeby otwierania moich.

Detektyw Warren znalazła także mojego taurusa dwudziestkądwójkę. Leżał na stoliku nocnym mojej siostry. Jako że był zarejestrowany na mnie, zwróciła pistolet właścicielowi. Z tego, co mi wiadomo, nie miała żadnych podstaw do poddania go badaniom balistycznym, dlatego też nikt nigdy nie powiązał mojej dwudziestkidwójki z kulami znalezionymi w mieszkaniu innej ofiary zabójstwa, Stana Millera.

Czy w takiej sytuacji powinnam się poczuć lepiej czy gorzej?

Jedno z tych pytań, na które nigdy nie będę w stanie udzielić odpowiedzi.

Moja gospodyni, Frances, spędziła dwa tygodnie w szpitalu, dochodząc do siebie po ranie postrzałowej ramienia. Co ciekawe, w szpitalu pojawiła się dawno nie widziana siostrzenica,

która po krótkiej wymianie zdań postanowiła wprowadzić się do Frances i pomóc jej podczas okresu rekonwalescencji. Okazuje się, że moja gospodyni to alkoholiczka, której wódka pomagała radzić sobie ze śmiercią męża i czteroletniego syna w wypadku samochodowym przed trzydziestu laty. Spaliła za sobą wiele rodzinnych mostów, dokonała znacznych zniszczeń. To coś, o czym mi nigdy nie opowiedziała podczas tych rozmów, których nigdy nie odbyłyśmy.

Ale świadomość własnej śmiertelności to najlepsza pobudka. Fran od lat chętna była wybaczyć i zapomnieć, a teraz, w końcu, chęć tę wykazała także jej siostrzenica.

Wiem o tym wszystkim dzięki od tak dawna odwiekanym szczerym rozmowom z moją ciotką. Sześć tygodni spędziłam przy jej szpitalnym łóżku. Dwie kule trafiły ciotkę Nancy w ramię. Pierwszy tydzień był krytyczny. Miałam mnóstwo czasu, aby trzymać ją za rękę i próbować się uporać z własnymi popłatanymi emocjami.

Moja ciotka uratowała mnie, poświęcając moją siostrę. Przez kilka pierwszych dni tylko ta myśl siedziała mi w głowie. Chciałam czuć wdzięczność, ale towarzyszył temu gniew. Jak ciotka Nancy mogła zostawić własną siostrzenicę, małą dziewczynkę, z kobietą, która zabiła już dwoje dzieci, nie mówiąc o torturowaniu drugiej siostrzenicy? To się wydawało zbyt zimne, zbyt okrutne.

Ale potem zaczęłam się nad tym zastanawiać. Moja ciotka była praktyczna, ale nie bezduszna.

Piątego dnia zadzwoniłam do dawnych znajomych z dyspozytorni w Arvadzie. Skontaktowali mnie z dwoma emerytowanymi policjantami w Boulder. No i oczywiście wyszło na jaw, że ciotka nie opowiedziała całej historii. Owszem, namierzyła siostrę. Poleciała do Kolorado, doprowadziła do konfrontacji z Christine, przeżyła szok, odkrywając istnienie Abigail. I może po poznaniu warunków mojej matki udała, że na nie przystaje.

Ale moja ciotka nie zostawiła tak tego. Z lichego mieszkania siostry udała się prosto na posterunek policji w Boulder. Wygląda na to, że dopiero po kilku godzinach udało jej się porozmawiać osobiście z jednym z detektywów, a potem policja musiała dokonać ustaleń taktycznych, jak również skontaktować się ze służbami zajmującymi się sprawami rodzinnymi. Ale nie minęło pięć czy sześć godzin, a policja przypuściła atak na mieszkanie mojej matki, zamierzając aresztować poszukiwaną listem gończym zabójczynię i uratować małe dziecko.

Niestety, co później wyznała moja ciotka, siostra zna siostrę. Christine ani przez chwilę nie wierzyła w to, że jej starsza, sumienna siostra tak po prostu odejdzie. Tak więc w czasie gdy ciotka organizowała posiłki, Christina spakowała się, zgarnęła Abigail i po raz kolejny słuch po niej zaginął.

Abigail nie dane było zobaczyć powrotu mojej ciotki czy szturm policyjny, który miał ją uratować. Ona po prostu wyjechała z matką do kolejnego miasta, a ciotka w jej pamięci pozostała jako starsza pani, która ją porzuciła.

Ciotka próbowała, ale jej się nie udało. I nie opowiedziała mojej siostrze całej historii podczas tych mrocznych godzin w Cambridge dlatego, że nie próbowała się usprawiedliwiać. Próbowała zwrócić na siebie uwagę Abigail, tak bym ja mogła uciec.

Tyle lat później moja ciotka nadal gotowa była poświęcić dla mnie swoje życie.

Można chyba powiedzieć, że jest tak odmienna od swojej siostry jak ja od mojej.

Dwudziesty pierwszy stycznia ma oczywiście i inne konsekwencje. Nie rozmawiałam od tamtego czasu z Tomem. Wygląda na to, że można ukraść mężczyźnie samochód, ale nie da się przymknąć oczu na fakt pobicia go do nieprzytomności. Ja to oczywiście rozumiem. Oszustwo i

rozmyślne okaleczenie stanowią kiepskie podstawy związku.

Brak mi go jednak. Jedna z tych rzeczy, jak sobie często mówię, czując się samotna i przygnębiona. Inny czas, inne miejsce...

Może za jakiś czas, niedługo, wyślę mu wiadomość: „Nadal jestem beznadziejnym przypadkiem, jeśli cię to jeszcze interesuje”.

Nigdy nic nie wiadomo.

A tymczasem wróciłam do J-Town. Do gór, mojej ciotki, społeczności, gdzie wszyscy znają moje imię. Fuksja jest zadowolona. Wiedzie teraz szczęśliwy żywot psa pensjonatowego. Wita gości, uganiania się za wiewiórkami, przychodzi i wychodzi, kiedy ma na to ochotę.

Pomagam w pensjonacie, pracując tam podczas weekendów, do czasu, aż ciotka Nancy całkowicie wydobrzeje. Okazało się, że w moim miasteczku był wakat na stanowisku dyspozytora, więc pracuję na nocną zmianę od wtorku do piątku. I nie myślcie sobie, że w małym mieście nic się nie dzieje. Zaledwie zeszłej nocy ktoś ukradł wózek golfowy, a na polu popuścił wodze fantazji, za pomocą wybielacza wymalowując zygzyki na trawie. Jednakże odważny dzwoniący i dziewięćdziesięcioletni świadek pomogli w rozwikłaniu zagadki, opierając się na pozostawionych przez wandala kawałkach pieczonego ananasa.

Dalej biegam. Dalej trenuję boks. A czasami, po kilku bezsennych nocach, udaję się na strzelnicę i z przyjemnością strzelam do tarczy.

Ale próbuję wieść teraz łagodniejsze, delikatniejsze życie. Mam w pamięci moją siostrę i trzydzieści trzy zabójstwa, dzięki którym nie poczuła się ani na jotę bezpieczniejsza. Myślę o Stanie Millerze i swoich własnych wyborach.

Bo nie tylko niepoczytalność jest przekazywana w genach.

Upodobanie do stosowania przemocy także.

Przysięgam solennie, że maksymalnie wykorzystam tę drugą szansę. Będę podążać utartymi ścieżkami, powtarzam sobie, gdy odbieram niektóre telefony. Nie będę wychodzić przed szereg, myślę, gdy kolejne dziecko płacze do słuchawki. Nie przekroczę granic moralności, nakazuję sobie, gdy kolejna zapłakana kobieta błaga histerycznie o pomoc.

Ciekawe, jak długo wytrwam w tym postanowieniu.

Jedno z tych pytań, na które nie potrafię udzielić odpowiedzi.

Na razie.

Rozdział 45

D. D. potrzebowała kilku tygodni, nie wspominając o kilku przysługach, aby w końcu otrzymać upragniony raport. Kiedy wreszcie do niej trafił, przeczytała go, przetrawiła i pokiwała z satysfakcją głową. A potem, ponieważ niewiele on znaczył, nie mógł wiele znaczyć, schowała go do akt i pojechała do domu do swoich dwóch ulubionych mężczyzn.

- Wyglądasz na zadowoloną - oświadczył Alex, kiedy przekroczyła próg.
- Bo miałam rację.
- Ach. Generalnie tak to działa.
- Otrzymałam raport balistyczny. Potwierdził moje podejrzenia: Charlene Rosalind Carter

Grant może i nie zastrzeliła tych trzech pedofilów, ale jednak dokonała zabójstwa.

Alex próbował włożyć do ust Jacka łyżeczkę z jasną papką.

Wypróbowywali pierwsze dziecięce jedzenie: kaszka ryżowa. Jak na razie ładnie wyglądała na rumianych policzkach Jacka.

- Kiedy ją aresztujesz?
- Raczej się na to nie zanosi.

Alex zabuczał jak samolot. Jack nie dał się nabrać, więc pałeczkę przejęła D. D. Nie zdjęła jeszcze ulubionej czarnej marynarki, ale czuła, że dopisze jej dziś szczęście

Alex wyprostował się i przyjrzał jej się z ciekawioną. Wziął dziś dzień urlopu i spędził go z Jackiem. Stąd też nowe jedzenie, zachlapana kuchnia, generalny stan katastrofy.

- Niearesztowanie ludzi raczej nie sprawia ci przyjemności - zauważył.

D. D. wciągnęła policzki, robiąc minę rybki. Jack próbował ją naśladować, układając małe usteczka w literę „O”, a jej udało się wsunąć pierwszą łyżeczkę białej papki. Jak profesjonalistka, pomyślała i przeszła do łyżeczki numer dwa.

- Podstawy prawne tego raportu balistycznego są wysoce dyskusyjne. Czy rzeczywiście dysponowałam prawdopodobnym powodem, aby badać legalnie zarejestrowaną broń będącą własnością osoby, która nie jest podejrzana w tej akurat sprawie? Nie wspominając o tym, że rzeczona broń została zabrana z mieszkania policjantki, która okazała się morderczynią i która próbowała już zrobić Charlie w trzy inne zabójstwa. To wszystko oznacza, że moje powody są do dupy, co z kolei oznacza, że cały raport jest do dupy.

Złożyła usta w duże, radosne „O”. Jack zachichotał. łyżeczka numer dwa. Trafiony zatopiony.

- A mimo to jesteś zadowolona?
- Ponieważ miałam rację. Kiedy O i ja przesłuchiwałyśmy Charlie po raz pierwszy, dziewczyna wyglądała na winną jak diabli. Okej, może nie dlatego, że biegała po Bostonie i strzelała do pedofilów. Ale wiedziałam, że biegała po mieście i coś robiła.

- A co dokładnie?
- Zajmowała się wymianą ognia z pewnym uroczym dżentelmenem, Stanem Millerem. Słynnym na całą kamienicę tyranem. Ochrońca, damski bokser, podobno żywił upodobanie do młotków. Mniej więcej siedem tygodni temu znaleziono go nabitego na pręty wystające z przewróconych schodków przeciwpożarowych. On zginął na miejscu, mieszkanie pełne dziur po kulach, żona i dwójka dzieci nie wiadomo gdzie. Do dziś dnia się nie odnaleźli. Bardziej bym się tym zainteresowała, ale chodzą wśród sąsiadów plotki, że zniknięcie to prawdopodobnie najlepsze, co ich mogło spotkać.

- Ale jego zabiły schody przeciwpożarowe, nie rana postrzałowa.
- Kolejny szczegół, którym powinnam się zainteresować. Może udowodnić jedynie to, że do Stana Millera strzelał ktoś z broni Charlie Grant, nie że Stana Millera zabił strzał z broni Charlie Grant.

- A mimo to jesteś zadowolona.

Mały Jack chichotał na całego. Mały Jack zabrudził papką całe krzeselko i pół twarzy D. D. A mimo to nadal była zadowolona. Wyprostowała się, zamieszała kaszkę, czekając na kolejną sposobność.

Popatrzyła na swego partnera.

- Lubię wiedzieć. Podoba mi się świadomość, że wiem, co zrobiła Charlie Grant i

niewykluczone, że napisałam jej o tym, no bo podoba mi się świadomość, że ona wie, iż ja wiem, co ona zrobiła. Ta dziewczyna to członek samozwańczej straży obywatelskiej. Powinna wiedzieć, że bostońska policjantka z wydziału zabójstw patrzy jej przez ramię. To dla jej dobra.

- Ach. Dręczysz ją. Teraz rozumiem, dlaczego jesteś zadowolona.
- Monitoruję ją. To pomoże jej zachować uczciwość i lubię myśleć, że chociaż jakaś część jej świadomości to doceni.

Jack przestał pluć. D. D. powróciła do rybiej miny i udało jej się w niego wmusić dwie łyżeczki kaszki.

- No więc myślę o wrześnie - rzuciła od niechcienia.

Alex zmierzył ją wzrokiem.

- Wakacje? Zmywamy się. - Zamknął oczy, przełknął ślinę. - Naprawdę jedziemy do twoich rodziców.

- Nie, jeśli tylko będę mieć coś do powiedzenia. Ale tak sobie myślę, że to oni przyjadą tutaj. Nie opuszczą ślubu jedynej córki.

Spojrzała na niego. Alex otworzył oczy. Zdumiony, być może nawet speszony. Serce waliło jej jak młotem. Podejrzewała, że tak może się stać, ale ogrom własnego zdenerwowania ją zaskoczył.

- Ślubu? - zapytał.
- Jesień. Kolorowe liście na drzewach. Myślę, że mogłoby być ładnie.
- Jest tam miejsce dla mnie?
- Pomyślałam, że ja będę tą w bieli... no dobrze, w kości słoniowej, a ty będziesz tym w smokingu.

Pokiwał powoli głową.

- Powinienem zapytać, co przywiodło cię do tej decyzji czy po prostu wcisnąć ci pierścionek na palec, nim zdążysz zmienić zdanie?

- Cóż, znalezienie pierścionka może nam zająć ze dwa tygodnie...
- Przymknij się - rzucił Alex. I dodał: - Zostań tutaj.

Głośno odsunął krzesło, po czym chwiejnym krokiem wyszedł z kuchni, gdy tymczasem D. D. siedziała z miską kaszki w ręce i ze śliną niemowlaka na policzku.

Odwróciła się do Jacka, który zamachał pulchnymi piąstkami.

- Uważam, że twój ojciec to wariat - poinformowała go.

Kolejne balony ze śliny.

Wrócił Alex, trzymając w dłoni charakterystyczne granatowe pudełeczko. Na jego widok D. D. otworzyła szeroko oczy.

- Żartujesz!
- Czternaście miesięcy temu. Czekaliśmy czternaście miesięcy. Czy wspominałem coś na temat tego, co za uparta, doprowadzająca do szału i nieznośna z siebie kobieta?

Serce D. D. znowu waliło jak młotem.

- Nie takich słów spodziewałam się podczas oświadczeń.

Ale to nie miało znaczenia. Nigdy nie miało. Alex klęczał w ich kuchni, ich dziecko całe było umazane kaszką. D. D. połowicznie była umazana kaszką i było dokładnie tak, jak być powinno.

- D. D. Warren, czy wyjdiesz za mnie?
- Aleksie Wilsonie, czy się ze mną ożenisz?

- Tak - odpowiedzieli razem i on otworzył pudełeczko, a ona wciągnęła gwałtownie powietrze, ponieważ w środku krył się prosty pierścionek wysadzany szafirami, taki, który rzeczywiście będzie nosić. Potem ona uroniła łzę i on uronił łzę, a mały Jack zrobił jeszcze kilka balonów ze śliny, więc jego także przytulali i całowali, aż wszyscy byli brudni od kaszki, nawet pierścionek.

- Ja tego nie pojmuję - oświadczył Alex, kiedy emocje nieco opadły, Jack był już w miarę czysty, a oni postanowili otworzyć szampana. - Dlaczego teraz? Przekonujesz się, że nie możesz aresztować zabójcy i to sprawia, że w końcu się decydujesz na ślub?

- Nie. Przekonałam się, że jestem sobie w stanie poradzić z odrobiną zawodowej frustracji, ponieważ teraz mój świat to coś więcej niż tylko praca. Mam ciebie i Jacka. Nie wspominając o tym, że kiedy otrzymałam raport, uświadomiłam sobie, że nie obchodzi mnie nawet, czy wiedzą o nim Phil i Neil. Chciałam jedynie wrócić do domu i opowiedzieć wszystko tobie.

Popatrzyła na narzeczonego, siedzącego obok niej na kanapie, i dodała ciszej, poważniej:

- Zrobiłeś to, czego najbardziej się obawiałam, Alex. I dopiero gdy tak się stało, zrozumiałam, że to wcale nie jest takie złe.

- Co takiego zrobiłem?

- Zmieniłeś mnie. - Wzruszyła ramionami. - Całe życie o to walczyłam. Byłam odmieńcem we własnej rodzinie, małą, dziwną chłopczycą. A rodzice mnie nie rozumieli i zdecydowanie nie pochwalali mojego zachowania. I podczas gdy niektóre dzieci bardziej by się starały o zdobycie aprobaty rodziców, ja poszłam w innym kierunku. Nie odpuściłam. I postanowiłam, że bez względu na wszystko zawsze będę sobą, nawet gdyby to miało znaczyć, że czasami będę, powiedzmy... nieco drażliwa, nieco zaciekła. Nie było w tym nic złego, bo to oznaczało, że jestem sobą.

- Nieco drażliwa - powtórzył. - Nieco zaciekła.

Uśmiechnęła się.

- Ty nie dałeś za wygraną. I nie próbowałeś mnie zmienić. Jesteś dla mnie dobry, Alex. Jesteś cierpliwy i tolerancyjny, a właśnie takiego rodzica potrzebuje Jack. Obserwując ciebie, zdałam sobie sprawę z tego, że ja także mogę taka być. Czasami dobrze być cierpliwym. A odrobina tolerancji sprawia, że świat staje się łatwiejszy do zniesienia. Nie twierdzę, że nie potrafię być już wredna...

- Wcale w to nie wątpię - zapewnił ją.

- Ale mam także świadomość, że na pewne sprawy mogę patrzeć inaczej. I że mogę być szczęśliwa. Mogę wrócić do domu i po raz pierwszy w życiu mogę być. Po prostu... być.

Alex ujął jej dłoń. Uścisnął ją i nic nie powiedział, gdyż nie musiał. Miał ją i tylko to się liczyło.

- Kocham cię, Alex.

- Ja ciebie także, D. D.

Położyli Jacka spać i wtulili się w siebie na kanapie. Porozmawiali o przemalowaniu salonu. Obejrzel na kanale History jakiś program. Zasnęli, gdy żołnierze piechoty morskiej szturmowali plażę na jakimś dalekim lądzie.

O północy Jack obudził się na mleko.

D. D. go nakarmiła, po czym położyła jego i Alexa do łóżka.

O drugiej w nocy zaświergotał jej pager.

Ubrała się po ciemku. Pocałowała Alexa. Pocałowała Jacka.
Przypięła odznakę, ruszyła w drogę.
Sierżant detektyw D. D. Warren. Nowa sprawa. Jak ona kochała swoją pracę.

Podziękowania

Moją ulubioną częścią procesu pisarskiego jest zdecydowanie przeprowadzanie wywiadów z zabawnymi i interesującymi ludźmi, by poznać zabawne i interesujące metody przerażania moich czytelników (a czasami również siebie samej!). *Złapcie mnie* nie jest w tej materii wyjątkiem. Mam ogromny dług wdzięczności wobec:

Ellen Ohlenbusch, ekspertki od bezpieczeństwa w Internecie, która mnie całkowicie, dogłębnie przeraziła swoim rzeczowym wyjaśnieniem wszystkich sposobów wykorzystania sieci do śledzenia i prześladowania małych dzieci. To ciekawy temat, o którym większość rodziców nie chce słyszeć, a właśnie to, czego nie jesteśmy świadomi, może nas zranić. Wystarczy zapytać mamę Jessego, Jennifer z tej powieści. Dziękuję Ci również za możliwość użycia Twojego nazwiska. Cóż mogę powiedzieć, Ohlenbusch to okazja, której nie można przepuścić. Szczególnie dla bostońskiej policjantki.

A skoro mowa o bostońskich policjantach... mecenas Wayne Rock. Pierwszy raz spotkałam go siedem lat temu, kiedy zbierałam informacje do kolejnej historii D. D. Warren *W ukryciu*. Od tamtego czasu Wayne odszedł już z bostońskiej policji na emeryturę, ale nadal nie jest w stanie uciec przed moimi telefonami. Od policyjnych procedur po istotne szczegóły prawne, Wayne zawsze ma dostęp do poufnych informacji, ku mojej głębokiej uldze i wdzięczności.

Jestem wdzięczna wielu osobom z dyspozytorni policyjnej, w tym Shannon L. Barnes z policji w Gardner. Uważam, że łącznościowcy należą do najbardziej nieocenionych i niedocenianych członków społeczności pracowników ochrony porządku publicznego. Dziękuję, że pozwoliłaś mi podzielić się z czytelnikami twoją historią. Żałuję, że nie miałam więcej czasu i miejsca, by oddać jej sprawiedliwość.

Na froncie bokserskim winna jestem szczerze podziękowania trzykrotnemu mistrzowi świata Dickowi Kimberowi. Podzielił się swoją miłością do boks z całą moją rodziną. Tak, rodziną, która razem walczy, trzyma się razem. Zdradził mi również wiele taktycznych perełek z samoobrony, włącznie ze sztuczką z długopisem. Zapewniam was osobiście, że bardzo boli. Moje przedramię było posiniaczone przez kilka tygodni. Dzięki, Dick!

Jak zwykle wszystkie błędy występujące w powieści są wyłącznie mojego autorstwa. Cóż, sama też muszę mieć jakieś zasługi.

Ci z was, którzy twierdzili, że niektórzy bohaterowie mają w zanadrzu więcej historii - macie rację! Instruktor strzelania Charlie J. T. Dillon i jego żona Tess po raz pierwszy pojawiają się w książce *Mąż doskonały*. Sierżant Roan Griffin z Rhode Island poznał swoją żonę Jillian w *Klubie ocalonych*. Były agent FBI Pierce Quincy i jego córka, agentka specjalna Kimberly Quincy pojawiają się w całej serii książek, między innymi w powieściach *Mąż doskonały*, *Trzecia ofiara*, *Następny wypadek*, *Godzina zbrodni*, *Zaginiona* i *Pożegnaj się*. Jeszcze krótka wzmianka o śledczym do spraw oszustw ubezpieczeniowych Davidzie Riggsie, który odegrał swą rolę w *Dru-*

giej córce. Myślę, że bez problemu zebrał dowody przeciwko brutalnemu mężowi Randi Menke i żałuje tylko, że nie wsadził koszmarnego doktora za kratki na dożywocie. Więcej informacji na temat wszystkich bohaterów oraz innych książek Lisy Gardner znajdziecie na stronie LisaGardner.com.

Jeśli chodzi o fakt, iż w jednej powieści występuje tak wielu bohaterów, to jest to zasługa/wina mojej mamy. Powiedziała jej, że wpadłam na świetny pomysł, jak przywołać postać J. T. Dillona, ponieważ wiedziałam, że czytelnicy za nim tęsknią. Przytaknęła grzecznie, a potem przyznała, że bardzo chciałaby znowu zobaczyć Griffina z *Klubu ocalonych*. Po chwili namysłu dodała, że dawno nie czytała też o Quincym i Kimberly. Co z nimi?

Kiedy już przestałam zgrzytać zębami, zdałam sobie sprawę, że moja mama księgowa miała świetny pomysł. Tak więc ta książka jest dla Ciebie, mamo. Zawsze wykazywałaś zainteresowanie i inspirowałaś mnie, chociaż posiadanie córki pisarki nadal Cię deprymuje. Kocham Cię.

Skoro mowa o miłości, niniejszą powieść dedykuję również prawdziwej Fuksji. Przygarnięta szesnaście lat temu ze schroniska przez oddaną rodzinę, Fuksja wiodła wspaniałe życie jako jeden z najmądrzejszych i najmiłszych psiaków na świecie. Jej rodzina wygrała zaszczyt umieszczenia Fuksji w książce na aukcji charytatywnej zorganizowanej przez Ligę Ochrony Zwierząt (Animal Rescue League) z północnego New Hampshire. Wyznali, że mają świadomość, iż ich czas spędzony z Fuksją dobiega końca, dlatego chcieli uchwycić jej niezwykłego ducha i uwiecznić jednego z najlepszych psów, jakiego kiedykolwiek znali. Za Fuksję, która nie przestaje mnie inspirować.

Co do innych prawdziwych, fikcyjnych bohaterów... Gratulacje dla Toma Mackeretha i Randi Menke za zwycięstwo w corocznym konkursie *Zabij przyjaciela, Okalecz Kumpla/Mażonka* na stronie LisaGardner.com. Jako zwycięzcy mogli wskazać osobę, która w mojej następnej powieści zostanie zabita albo okaleczona.

Oboje wybrali samych siebie. Mam nadzieję, że podobała Wam się ta fikcyjna przejażdżka. Resztę osób informuję, że konkurs znowu trwa. Zajrzyjcie na stronę LisaGardner.com i kto wie, może w przyszłym roku Wam się poszczęści!

Gratuluje również Stanowi Millerowi, który wygrał zaszczyt pojawienia się w książce na innej aukcji charytatywnej oraz Frances Beals, której córka Kim łaskawie kupiła ten przywilej, przekazując w ten sposób pieniądze na rzecz organizacji Rozzie May Animal Alliance.

Jak zwykle wyrazy miłości i wdzięczności należą się mojej rodzinie, mężowi, który przyzwyczał się do żony godzinami wpatrującej się w dal i córce, która codziennie pyta mnie o książkę, domagając się szczegółowych odpowiedzi na pytania: co, gdzie, kiedy, dlaczego i kto. Jeśli mam szczęście, przytakuje z aprobatą. Uff!

Wreszcie moje głębokie wyrazy uznania nie dla jednego, ale dwóch nadzwyczajnych redaktorów, Bena Sevia z wydawnictwa Durton w Stanach Zjednoczonych oraz Vicki Mellor z Headline w Wielkiej Brytanii. Za początek wspaniałej przyjaźni.